

*~ Hotel ~
Varsovie*

Klątwa lutnisty

Sylvia Zientek

Wydawnictwo
alab

Sylvia Zientek

HOTEL VARSOVIE

Klątwa lutnisty



Mariannie, Gustawowi i Brunonowi,

moim dzieciom, urodzonym i wychowywanym w Warszawie

Katalog najważniejszych postaci tomu I

II poł. XIX wieku

Jeremi Żmijewski – właściciel hotelu Varsovie przy ulicy Długiej w Warszawie, głowa rodziny Żmijewskich

Regina Flora Żmijewska z domu Oryska – żona Jeremiego, matka jego dzieci

Eleonora Żmijewska – uzdolniona muzycznie córka państwa Żmijewskich

Konstanty Żmijewski – syn państwa Żmijewskich, malarz

Agnieszka Żmijewska – córka, która opuściła dom rodzinny z zamiarem bycia aktorką

Waleria Żmijewska – najmłodsze dziecko państwa Żmijewskich

Emilia Żmijewska – córka, która była obłąkana i przebywała na wsi

Luiza Oryska – siostra Reginy, będąca na jej utrzymaniu, stara panna

Ignacy Darski – prawnik państwa Żmijewskich

Karol Stawski (vel Carlo Amalfi) – gość hotelu, przebywający w nim z pewną misją

Teodor Szpakowski – przybyły z Włoch kawaler zabiegający o rękę Eleonory

Wanda Mednis – przyjaciółka Reginy Żmijewskiej

I poł. XVII wieku

Laurenty Żmij – lutnista, członek kapeli królewskiej, inicjator budowy zajazdu przy ulicy Długiej

Joachim Żmijewski – młodszy brat Laurentego, żeglarz, człowiek wielu talentów

Anna Szpakowa (z domu Melcer) – żona Laurentego, matka jego dzieci

Janusz Szpak – malarz, pierwszy mąż Anny

Tomasz Szpakowski – syn Anny i Janusza, malarz

Kalina Melcerówna – pochodząca z Brodnicy siostra Anny

Baltazar Melcer – brat Kaliny i Anny, rajca miejski Starej Warszawy

ojciec Bonifacy – jezuita

Julianna Żmijówna – córka Anny i Laurentego

Anusia Żmijówna – najmłodsza córka Anny i Laurentego, obdarzona talentem wokalnym

Piotr Żmij – niepełnosprawny syn Anny i Laurentego

Franciszek Żmijewski – syn Kaliny, karzeł, twórca sukcesu zajazdu

(a następnie hotelu) Varsovie
Czasy współczesne

Dana Spakowski – wnuczka Michała Szpakowskiego, posiadająca roszczenia do nieruchomości przy ulicy Długiej

Jan Kucharski – prawnik kancelarii specjalizującej się w odzyskiwaniu gruntów warszawskich

Część pierwsza
Klątwa lutnisty

Stolico! Hydro wieczyście łaknąca!

Kameleonie, co od barw tysiąca

Nieokreślonej nabrałeś postaci!

Czemu się duch twój powolniej bogaci

Niż ciało? Czemu w twych mrokach się leże

Grzech pełzający ukradkiem jak węże?

WIKTOR GOMULICKI, *Z dziejów dnia*

Rzeczy na świecie, odmieniając się ustawicznie według przepisane

im od Stwórcy prawa i za kolejną jedne po drugich następując,

nowymi być się zdają, chociaż już dawniej były.

JĘDRZEJ KITOWICZ, *Opis obyczajów*

*Cudowna jest głupota tego świata! Kiedy nasz los niedomaga – często
zresztą*

*skutkiem naszych własnych nadużyć – winimy za niepowodzenie słońce,
księżyc*

*i gwiazdy; tak jakby człowiek był nędznikiem z konieczności, głupcem
z wyroku*

*niebios, łotrem, złodziejem i zdrajcą za sprawą obrotów sfer, pijakiem,
kłamcą*

*i rozpustnikiem z racji niezwalzonego wpływu planet; tak jakby całe nasze
zło*

brało się z boskiego dopustu. Godny podziwu wykręt łajdaczącego się człowieka

– obarczać gwiazdy odpowiedzialnością za własną koźłą naturę!

WILLIAM SHAKESPEARE, *Król Lear* (przeł. Stanisław Barańczak)

Początek
Liliput

Ucisz się, serce! – swoich strat

Już nie oplakuj, stroskane;

Ale wschodzący pozdrów świat

I jego jutrznie różane

ADAM ASNYK, *Ucisz się, serce!*

10 kwietnia 1870 roku

Dziesiątego kwietnia tysiąc osiemset siedemdziesiątego roku właściciel jednego z najznamienitszych warszawskich hoteli – hotelu Varsovie – Jeremi Żmijewski strzelił sobie w skroń w domku myśliwskim w Puszczy Kampinoskiej, w chwili gdy jego dwudziestoletnia córka Eleonora, rozkosznie polegając w łóżku w warszawskim mieszkaniu przy ulicy Długiej, zaczęła jeść jajko na miękko.

O tym tragicznym zdarzeniu rodzina miała się dowiedzieć dopiero kilkanaście godzin później, kiedy inne zaskakujące zajście zdążyło zmienić stan wiedzy na temat pochodzenia i historii szacownego rodu Żmijewskich.

Nazajutrz po tym, jak po ponadrocznej nieobecności syn marnotrawny państwa Żmijewskich nieoczekiwanie powrócił do rodzinnego domu, panna Eleonora obudziła się z przeświadczeniem, że ten rozpoczynający się wiosenny dzień – na razie chłodny i pochmurny – będzie wyjątkowy. Tego miłego wrażenia nie zakłóciły nawet dochodzące od strony ulicy Długiej codzienny terkot katarynki – utrapienie mieszkańców, pokrzykiwania handlarzy starzyzną ani natarczywe nawoływania gazeciarzy. Żadne znaki na niebie ani na ziemi, żaden zły sen nie zwiastowały wstrząsu, który w ten kwietniowy piątek miał całkowicie odmienić spokojne, pełne wiary w boskie przeznaczenie życie dwudziestoletniej panny na wydaniu.



Gdy tylko Eleonora uświadomiła sobie, jaki jest dzień tygodnia, jej myśli pobiegły ku słynnemu maestro Saviano, wyśmienitemu gościowi hotelu Varsovie, podziwianemu na całym świecie dyrygentowi uznanej orkiestry weneckiej. Przybył zaledwie wczoraj i zajął najbardziej okazały apartament na najwyższym, trzecim piętrze kamienicy. Swojego asystenta i kilku służących ulokował w niemal równie wspaniałych pokojach.

Uwielbiająca muzykę Eleonora nie miała jeszcze okazji spotkać się z tym wybitnym gościem, ale liczyła na sposobność przedstawienia się mistrzowi, za którym ciągnęła się opinia ekscentryka, szaleńca i niepoprawnego romantyka.

Po południu w należącym do rodziny Żmijewskich hotelu Varsovie miał się odbyć koncert charytatywny, w trakcie którego Eleonora chciała zagrać na fortepianie trzy sonaty Beethovena, w tym jej ulubioną *Sonatę Kreutzerowską*. Zdawała sobie sprawę z tego, że na tym raucie obecni będą zapewne wybrani przez papę dwaj kandydaci do jej ręki – obaj stateczni, poważni i dojrzały mężczyźni, którzy nieco ją przerażali. Jednak posłuszeństwo woli ojcowskiej zawsze było dla niej niepodważalną powinnością, imperatywem, któremu tylko ona z pięciorga żyjących dzieci Żmijewskich umiała w pełni sprostać.

Jej starszy brat Konstanty – dziedzic hotelowej fortuny, który do tej pory unikał związanej ze swoją rolą odpowiedzialności, dostarczał rodzicom wielkich rozczarowań. Teraz wciąż zmęczony wielodniową podróżą z Londynu do Warszawy spał jeszcze po burzliwych wydarzeniach poprzedniego dnia, pełnego gorzkich słów, łez i błagania rodziców o przebaczenie, teatralnych gestów przejętej matki i wreszcie wzruszającego pojednania.

Ojciec i matka, którzy także bardzo mocno przeżyli powrót syna marnotrawnego, położyli się spać nadzwyczaj późno. Tym bardziej zdziwiła Eleonorę informacja, którą przekazała panience służąca Józefa, o tym, że papa wyjechał o świcie na polowanie. Wyjazd był nieplanowany. Czyżby pojawienie się w domu jedyne go syna nie ucieszyło ojca i nie przyniosło mu ulgi, jaka wydawała się naturalna w sytuacji, gdy należało jak najszybciej zacząć angażować Konstantego w sprawy prowadzenia hotelu, tak aby z czasem mógł przejąć zarządzanie rodzinnym interesem?

Niepokój Eleonory szybko jednak zniknął zagłuszony przez impuls radości: oto dzięki nieobecności despotycznego papieża można było tego ranka dowolnie długo poleżeć w łóżku! Zwykle ojciec nie tolerował żadnych odstępstw od żelaznej dyscypliny, kazał wstawać o szóstej rano i kłaść się o dziewiątej. Pojawienie się w jadalni choćby z kilkuminutowym spóźnieniem karane było utratą posiłku. Każde sprzeniewierzenie się etykietce wywoływało atak furii Jeremiego Żmijewskiego. Domownicy ogromnie bali się tych wybuchów złości i robili wszystko, aby nie zdenerwować pana domu. Dzisiaj jednak było inaczej i każdy członek rodziny mieszkający pod dachem kamienicy, w której oprócz hotelu mieściło się dwustumetrowe lokum rodziny Żmijewskich, wykorzystywał tę chwilę oddechu w inny sposób.

Na wieść o tym, że matka wyszła do pobliskiego kościoła Świętego Ducha, a najmłodsza latorośl rodziny Żmijewskich, ledwie kilkunastomiesięczna Waleria, jeszcze śpi, Eleonora poprosiła Józefę o przyniesienie śniadania i porannej prasy do łóżka.

Gdy służąca, nie kryjąc kwaśnej miny, zamknęła za sobą drzwi, Eleonora wstała z łóżka i trzęsąc się w nieogrzanym pomieszczeniu, które jeszcze do niedawna dzieliła z dwiema siostrami, kucnęła nad porcelanowym nocnikiem. Sikając, przyjrzała się dokładnie, czy w naczyniu nie widać jakiegoś śladu krwi. Obawiała się nadejścia miesięcznego krwawienia, które w jej przypadku oznaczało kilka dni wypełnionych bólem, w trakcie których nie mogła spacerować ani rzecz jasna brać udziału w spotkaniach towarzyskich. A przecież charytatywny raut odbywał się właśnie dzisiaj i Eleonorze ogromnie zależało, aby się na nim pojawić. Na szczęście w nocniku nie dopatrzyła się śladów krwi.

Następnie, siedząc przy toalecie, przemyła sobie ręce i szyję, korzystając ze świeżo przyniesionej przez Józefę letniej wody. Twarz orzeźwiła odrobiną wody różanej. Zwilżoną szmatką przetrła zagłębienia pach, osuszyła je, po czym obsypała talkiem weneckim, aby zniwelować pocenie.

Mimo że nakazem własnej woli i modlitwą walczyła z próżnością, obraz odbity w lustrze toaletki przykuł jej wzrok. Urodę zapewne odziedziczyła po matce – zimnej piękności o złotych włosach i mlecznej cerze. Nawet teraz, mimo przebytych dziewięciu ciąż i siedmiu porodów (pierwsze jej dziecko zmarło tuż po przyjściu na świat), zbliżając się do wieku czterdziestu pięciu lat, pani Regina Żmijewska była piękną kobietą.

Eleonora odgarnęła ręką sięgające pasa włosy, które rozpuszczała jedynie na noc. Taka jak teraz, ubrana tylko w białą koszulę, której marszczenie przy dekolcie czyniło piersi większymi, niż były w istocie, ze swobodnie opadającymi blond puklami, z tą niewinnością wypisaną na twarzy – taka podobała się sobie najbardziej. Ale taką Eleonorę będzie widział wyłącznie mężczyzna, któremu ojciec odda jej rękę. Jak każda młoda kobieta nie ustawała w domysłach, jaki będzie jej mąż. Ufała, że wybór papy będzie najlepszym z możliwych – on wiedział, jak sprawić, by życie córki, która zawsze z największym oddaniem wypełniała wolę rodziców, przebiegało wyznaczonym szlakiem.

Miała przed sobą całe życie: małżeństwo, prowadzenie własnego domu, wreszcie macierzyństwo... Widziała się oczami wyobraźni za kilka dobrych lat, gdy pochylona nad klawiszami fortepianu umila swą grą rodzinne zgromadzenie, jej pięknie ubrane w marynarskie wdzianka dzieci grzecznie słuchają muzyki, a w fotelu siedzi mąż – wyobrażała go sobie jako szczupłego, szlachetnego jegomościa, z rozmytymi – na razie jeszcze – rysami twarzy. Dzięki niemu ich hotel znowu będzie uznany za pierwszy w Warszawie, będą w nim przebywać najznamienitsi goście, a kuchnia zyska sławę nawet poza granicami Kongresówki...

Eleonora zawsze miała wrażenie, że gra jakąś rolę w spektaklu, i nie wnikała w sens ani ukryte znaczenie tego, co stawało się jej udziałem. „Życie to wielkie teatrum” – mawia papa. Każdy wygłaszał swoje kwestie i zachowywał się tak, jak

od niego wymagano, nie wiedząc nawet, czy rola została z góry określona, czy też pisana jest na bieżąco i podlega nieustającym modyfikacjom.

Gdyby nie zdarzenia, które nadeszły tuż po beztroskim poranku dziesiątego kwietnia tysiąc osiemset siedemdziesiątego roku, Eleonorze nigdy nie przyszłoby na myśl, aby odkryć zamysły reżysera, aby zrozumieć treść spektaklu.

Wraz z wejściem niosącej tacę Józefy bieg marzeń został przerwany. Eleonora radośnie wskoczyła do łóżka i nakryła się szczelnie pierzyną. Czekwały na nią świeże bułeczki, jaja na miękko, konfitura z pigwy i ciepłe mleko. Z zapalem zabrała się do smarowania pieczywa masłem, chcąc porządnie się najeść. Przed obiadem zamierzała odwiedzić położoną przy ulicy Piwnej placówkę przytułku żebraczego, należąca do Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności, w którym panna Żmijewska udzielała się wraz z ciotką Luizą, siostrą matki, starą panną.

Wśród dużej części mieszkańców Warszawy panowała tak wielka nędza, że towarzystwo nie było w stanie pomóc wszystkim, chociaż zasięgiem swojej działalności obejmowało coraz szersze kręgi Warszawy, a nawet jej przedmieść. Oprócz odwiedzin w przytułku, gdzie niekiedy serwowała biedakom wodniste zupy, Eleonora udzielała się w szkółce dla ubogich dzieci, gdzie uczyła je czytania i pisania.

Jej rodzicom coraz mniej podobał się zapal, z jakim córka poświęcała się na rzecz biedoty. „Wkrótce wyjdiesz za mąż i będziesz miała inne sprawy na głowie” – powtarzała pani Regina. Widząc, że jej los jest już nakreślony, w ostatnim czasie Eleonora każdą wolną chwilę poświęcała działalności w towarzystwie. Wiedziała, że jej praca jest ważna, mimo że różne zacne stowarzyszenia usilnie dążyły do poprawy sytuacji, analfabetyzmem dotknięta była niemal połowa populacji miasta.

Działalność w Towarzystwie Dobroczynności przynosiła pannie Żmijewskiej dużą popularność i uznanie wśród dystyngowanych znajomych. Zawsze czuła się kimś wyjątkowym – urodziwym i dobrym, kimś, kto wzbudza podziw otoczenia. Była przekonana, że jej szlachetna działalność zagwarantuje dobre, spokojne życie. Przecież Bóg nie mógł jej karać, skoro tak bardzo starała się ulżyć innym w cierpieniu.

Przejażdżka w wiosennej aurze po znanych jej z dzieciństwa kątach zaniedbanego, ale wzbudzającego ciekawość Starego Miasta zapowiadała się ekscytująco, mimo że obecnie tak bliskie jej sercu wąskie uliczki wokół Rynku zamieszkiwała biedota i drobni rzemieślnicy.

Porządni ludzie byli zmuszeni wynieść się poza obręb Starego Miasta z uwagi na wyrastające w ostatnich latach jak grzyby po deszczu domy schadzek i knajpy z taną gorzałką.

Ulica Piwna, jaką Eleonora pamiętała z lat dziecięcych, nie była już tym uroczym, przywodzącym na myśl odległą historię zakątkiem. Pamiętające lata panowania Wazów kamienice stanowiły obecnie obraz nędzy i rozpacz,

z odrapanymi elewacjami, cuchnącymi podwórzami i wilgotnymi, ciemnymi wnętrzami. Eleonora nieraz zadawała sobie pytanie, jak kiedyś, przed wiekami, ludzie mogli żyć w tych ponurych, wąskich i ciasnych izbach?

Żal ściszał serce, kiedy patrzyła na ruinę Starego Miasta, z którego zaborca chciał zrobić jeden wielki zamtuż, centrum taniej rozrywki i nierządu. Dzisiaj podle szynki i domy schadzek o różnym stopniu wytworności znajdowały się na każdej z wąskich uliczek, które wytyczone jeszcze wedle średniowiecznych reguł odchodziły od Rynku i dotykały zmurszałych ruder i przybudówek, którymi obrosły mury obronne. Ponadto po Starym Mieście krążyły grupki głośnych żołnierzy w rosyjskich mundurach, napawając przechodniów lękiem i odrazą. Mimo to Eleonora kochała to miejsce, lubiła brudne dzieciaki bawiące się w zapuszczonych zaułkach, kwiaciarki, handlarzy ulicznych, kataryniarzy i śpiewaków.

Jedząc jajko na miękko, sięgnęła po gazetę, którą rozłożyła przed sobą na kołdrze. W pachnącym jeszcze farbą drukarską wydaniu „Kuriera Warszawskiego” pisano, że tego właśnie dnia jasnowidząca Hersylia opuszcza Warszawę, a w ruchu umysłowym i literackim panuje zupełna posucha.

Jeden urywek szczególnie przypadł Eleonorze do gustu. W gazecie wspomniano bowiem jej imię i nazwisko! Trzykrotnie przeczytała drobny tekst dotyczący jej gry w trakcie koncertu charytatywnego, który kilka dni temu odbył się w kościele Świętego Krzyża przy Krakowskim Przedmieściu. Pisano, że „drobne utwory pod panny – czyli jej – palcami nabierały niepospolitej energii i olbrzymiały wobec zachwyconych słuchaczy”.

– A cóż droga siostra taka zarumieniona? – Do sypialni Eleonory wtargnął starszy brat.

Czym prędzej zakryła się po brodę kołdrą, odgarnęła włosy, cała czerwona z oburzenia, że Konstanty śmiał tak gwałtownie naruszyć jej prywatność.

– Czy tak postępuje się w Londynie, wchodzi bez pukania do sypialni panny?

– Pukałem! Widać, nie słyszałaś. Nie chciałem cię wystraszyć, wybacz... Wczoraj nie było okazji porozmawiać w obecności rodziców.

– Mnie obecność mamy czy papy w niczym nie przeszkadza, nie mam przed nimi żadnych sekretów! – odparła z wyraźną urazą Eleonora.

Kątem oka przyjrzała się mizernej posturze brata, który po ponadroczej tułaczce sprawiał wrażenie wygłodzonego, wręcz chorego. Część bladej twarzy zakrywały od dawna nieścianane, niechlujnie odrastające włosy. Przetarty na łokciach, poplamiony brązowy surdut nosił widoczne ślady zniszczenia. Czy wrócił, aby się ukorzyć przed rodzicami i przejąć hotel? Zaangażował się w działalność wywrotową? „A może cierpi na suchoty?” – przeszło jej przez myśl. Rodzice nie zapytali, ona również, a brat nie wyjaśnił przyczyny swojego powrotu.

– Co słyhać w Warszawie? Dużo się zmieniło przez ten rok mojej nieobecności?

– Nic nowego... Ten potwór Fiodor Berg nadal trzyma nas wszystkich za gardło. – Eleonora wzruszyła ramionami ze zniecierpliwioną miną, unikając wzroku Konstantego.

Ze wszystkich sił starała się zmanifestować rezerwę wobec brata.

– Potworne wrażenie robi Warszawa. Kiedy tylko wysiadłem z pociągu i wyszedłem przed budynek Dworca Kolei Wiedeńskiej, uderzyła mnie jakaś przytłaczająca atmosfera. Chociaż nikt już nie nosi popowstańczej żałoby, nadal czuć to zgnębienie, to poczucie beznadziei. A dorożkarz jaki był opryskliwy i cuchnął gorzałką! Okropność! Kiedym kazał się wieźć na Długą, powiedział, że nie radzi mi się tam udawać, bo to jest ulica, na której straszy! Wszyscy warszawianie ponoć wiedzą, że duchy krążą po Hotelu Drezdeńskim w pałacyku Pod Czterema Wiatrami i koło Arsenалу, gdzie żył jakiś perukarz, szpieg na rosyjskich usługach.

– Nie wiem nic o duchach na Długiej, tutaj jeszcze żadnego nie spotkałam. Na szczęście przyszła wiosna, ludzie się ożywią, jak tylko znowu będzie można pójść na spacer do Ogrodu Saskiego, posiedzieć w ogródkach kawiarnianych i zjeść lody! Jak pewnie zauważyłeś, nasz hotel wypiękniał. Papa zdecydował się zmienić nazwę i całe niemal wyposażenie. Zapożyczył się okrutnie. Zatrudnił nowego mistrza kuchni, cukiernika i agenta, który stara się nasz rodzinny interes utrzymać na powierzchni. Przy tej konkurencji to trudne. Na samej Długiej mamy cztery hotele pierwszej klasy! A w dodatku nieustannie władze carskie przysyłają tu szpiega, który lustruje wszystkich klientów...

Eleonora westchnęła. Podniosła temat hotelu po to, aby wywołać w Konstantym wyrzuty sumienia. On jednak nie odezwał się ani słowem i sprawiał wrażenie zupełnie niezainteresowanego rodzinnym interesem, jak nazwała hotel siostra.

– Coś ci pokażę.

Eleonora sięgnęła do stojącego obok łóżka sekretarzyka i wyjęła z szuflady wydany ledwie przed kilkoma tygodniami *Przewodnik po Warszawie*. W nowej edycji tej praktycznej publikacji papa zdecydował się zamieścić reklamę ich odnowionego hotelu o nowej nazwie. Po odszukaniu odpowiedniego miejsca w książce Eleonora z dumą pokazała bratu zajmujące całą stronę ogłoszenie. Pod ryciną przedstawiającą front klasycystycznej kamienicy można było przeczytać następującą treść:

Hotel Varsovie, ul. Długa 30. Właściciel Jeremi Żmijewski. Nadzwyczaj dogodnie położenie dla osób przybywających na kurację – sąsiedztwo bowiem ogrodów przyczynia się do czystości powietrza. Bliskie sąsiedztwo Instytutu Wód Mineralnych przy Ogrodzie Krasińskich. Hotel posiada około 42 numerów,

wygodnie i elegancko urządzonych w stylu angielskim, których cena wynosi od kop. 50 do Rs. 4 na dobę, wraz z pościelą. W samym Hotelu znajdują się powozy i karety do najęcia. Restauracja w miejscu. W godzinach popołudniowych wydają wykwintne obiady po rublu. Jedzenie à la carte o każdej porze. Służba mówi kilkoma językami.

Konstanty nie skomentował odczytanego ogłoszenia, jedynie wydał z siebie jakiś ponury pomruk. Zaczął kartkować przewodnik i przyglądać się niektórym stronom.

– „Ażeby określić rzecz krótko a dosadnie, powiemy, iż Warszawa dzisiejsza podobna jest do pięknej kobiety, która przez roztargnienie czy też przez lenistwo, zaniedbała umyć się... – Czytając fragment przewodnika, Konstanty zaśmiał się głośno. – Warszawa zatem jest nieumyta, ale piękna, i ma w sobie coś z baśniowego Kopciuszka, który mimo zaniedbanego stroju gasił urodą księżniczki i królowy”. Ha! A to wyborne!

– Daj spokój! – rzuciła Eleonora i wróciła do tematu: – Papa próbuje teraz pozyskać gwiazdy sceny w charakterze gości, którzy rozślwią nasz hotel za granicą. Mamy w mieście wielkie zainteresowanie teatrem, odkąd Helena Modrzejewska zamieniła scenę krakowską na warszawską i teraz tutaj święci triumfy. Papa był zachwycony jej rolą na premierze *Romea i Julii*. Mnie niestety nie pozwolili tego obejrzeć, bo to o miłości i tragicznie się ponoć kończy...

– Tak, słyszałem coś o tej Modrzejewskiej. Ma ambicję Szekspira propagować, ciekawe... W Warszawie Szekspir się wedle mojego zdania nie przyjmie. Podobno piękna ta Helena, choć głos ma nie za mocny. Jak trafi się parę rubli, pójdę ją zobaczyć na scenie. Chciałbym namalować jej portret. Ale najpierw chciałbym ciebie namalować, siostrze, zgodzisz się? – zapytał nagle Konstanty.

Eleonora wzruszyła ramionami. Myślała, że Konstanty wrócił, bo dał sobie już spokój z malarstwem.

– Ale taką, jak widzę cię teraz, prostą, naturalną. Chciałbym przedstawić cię jako syrenę!

– Syrenę? – obruszyła się dziewczyna. Pomysł wydał się jej dziwaczny. Czy właśnie takie rzeczy robił w Londynie, malował kobiety jako syreny albo jakieś chimery? Chce ją widzieć z rozpuszczonymi włosami, ubraną w koszulę, ale za to z ogonem syreny? – Papa nigdy się na coś takiego nie zgodzi! – odparła z nadąsaną miną.

– Nie musi wiedzieć. Powiem mu, że to będzie po prostu portret. Do tego pomysłu nie może mieć obiekcji. Obraz będzie częścią twojego posagu.

– Jaki to ma być obraz?

– W stylu prerafaelitów! Jestem jednym z nich, przyjęli mnie do siebie, biednego cudzoziemca...

Zimą tysiąc osiemset sześćdziesiątego ósmego roku Jeremi Żmijewski zabrał dwójkę swoich najstarszych dzieci w podróż do Londynu, gdzie dorastająca panna i dorosły syn towarzyszyli mu w objeździe najlepszych angielskich hoteli, które chciał dokładnie obejrzeć, traktując angielskie renomowane przybytki jako wzorce dla swojej warszawskiej inwestycji. Chcąc wygrać wojnę z rosnącą w siłę konkurencją, Jeremi postawił na nowoczesność i luksus, jakiego Warszawa dotąd nie widziała.

Rosnące jak grzyby po deszczu hoteliki, pensjonaty, a także oferta pokoi kawalerskich wokół Dworca Kolei Wiedeńskiej, nie wspominając już o nowym i wciąż budowanym Hotelu Europejskim, wszystko to spychało jego obiekt do kategorii staroświeckich domów gościnnych, które na Długiej istniały od siedemnastego wieku. Ale obecnie nawet Hotel Francuski z mistrzem kuchni sprowadzonym z Tuluzy przechodził kryzys. Trzeba było podjąć odważne działania, aby nie stracić spuścizny zacnego rodu. Jeremi czuł, że jest to winien swojemu bratu Januszowi, który zmarł na suchoty na Syberii, wywieziony w ramach represji popowstańczych, szlachetnie poświęcając się dla brata i ratując jego maleńkie dzieci.

Żmijewski postanowił więc zaciągnąć pożyczkę i wyremontować swój hotel, nadać mu nowy, wzorowany na modzie wiktoriańskiego Londynu sznyt, zastosować dekoracje wedle angielskiej mody, wymienić meble w stylu biedermeiera na nowoczesne, wstawić obite wzorzystym pluszem kanapy, ustawić donice z rozłożystymi palmami i wymienić tapety w pasy na takie w kwiatowe wzory.

Oszołomiony splendorem i nowoczesnością londyńskiej metropolii wrócił do domu z przekonaniem, że dyktat francuszczyzny za moment stanie się przeszłością. Owszem, od ponad dwustu lat snobistyczna Warszawa chciała ze wszystkich sił dorównać Paryżowi, ale teraz – Jeremi był tego pewien – nadchodziły czasy fascynacji językiem angielskim, mody na angielskie stroje, wnętrza i styl życia. Antycypując te trendy, podjął decyzję o modernizacji przybytku – jeśli jego hotel miał utrzymać rangę pierwszorzędnego, a także wysokie ceny za numery, konieczne było zaproponowanie gościom czegoś zupełnie nowego.

Martwiła go tylko nazwa hotelu. Poważnie zastanawiał się nad zmianą szyldu z „Varsovie” na „Londyński”, miał jednak opory przed podjęciem tej decyzji. W końcu przybytek pod taką właśnie nazwą z pewnymi przerwami funkcjonował w Warszawie od czasów króla Jana Kazimierza. Jeremi postanowił dogłębnie przemyśleć tę sprawę i skonsultować pomysł na nową nazwę z Reginą, która przejawiała doskonałe wyczucie w kwestiach smaku i upodobań klientów.

Tymczasem w trakcie pobytu w Londynie Konstanty, jedyny syn i dziedzic, w którym pokładano tak wielkie nadzieje, nieoczekiwanie po prostu wymknął się spod ojcowskiej kurateli. Lekceważąc obowiązki, jawnie godząc w honor rodziny

i pamięć stryja zameczzonego na śmierć przez rosyjskiego oprawcę, wykazał się skrajnym egoizmem i nieodpowiedzialnością.

Przekazał ojcu przez portiera hotelu Ritz bilet, na którym nakreślił kilka zdań. Informował, że poznał grono artystów zwanych prerafaelitami, ich głównego malarza, niejakiego Rosettiego, i chce pozostać w Londynie, aby malować. „Wybacz, ojcze, sztuka jest moim przeznaczeniem” – dodał na końcu.

Ojciec niemal odszedł na tamten świat. Dostał ataku serca, który z trudem przetrzymał. Przeklął wówczas syna, a zaraz po powrocie do Warszawy wydziedziczył.

Niestety, poza Konstantym żadne z pięciorga dzieci Żmijewskich nie mogło przejąć hotelu. Najmłodsza latorośl była jeszcze niemowlęciem, jej o trzy lata starsza siostra Emilia od pierwszych swych dni była nieodwracalnie chora, właściwie obłąkana, i przebywała na wsi, młodsza zaś od Eleonory o rok dziewiętnastoletnia Agnieszka przed kilkoma miesiącami wywołała skandal, wychodząc – wbrew woli rodziców – za mąż za aktora Teatru Rozmaitości i debiutując na scenie. Rodzina nie utrzymywała z nią od tego czasu niemal żadnego kontaktu ani nie interesowała się poczynaniami Agnieszki na scenie, mimo że pani Żmijewska ogromnie ceniła teatr, nie omijała żadnej premiery i zachwycała się gwiazdami teatru.

W tej sytuacji Eleonora pozostawała jedynym dzieckiem Żmijewskich, które mogło zapewnić kontynuację prowadzenia hotelu. O ile oczywiście do rodziny dołączyłby odpowiedni człowiek – jej mąż. Chciała mieć pewność, że jej pozycja w rodzinie nie jest zagrożona. Zapytała więc brata:

– Myślałam, że dałeś sobie spokój ze sztuką, że wróciłeś do domu, aby zająć się hotelem. Czyż nie po to tu przyjechałeś?

– Nigdy nie skończę z malowaniem – odparł spokojnie Konstanty. – Hotel mnie nie interesuje. Wiem, że ojciec mnie wydziedziczył, wiem też, że matka nigdy tego nie zrobi... Ale wróciłem, bo potrzebuje mnie mój przyjaciel. Chciałem też prosić cię o pewną przysługę. Zobacz! Pamiętasz te zdjęcia? – Konstanty otworzył papierową teczkę, którą przyniósł ze sobą. Pokazał siostrze kilka zdjęć oznaczonych pieczęcią atelier Karola Beyera.

– Te fotografie znalazłem wczoraj wieczorem, mają dobre kilka lat. Ale popatrz... – Wskazał siostrze zdjęcie, na którym widniała grupa studentów Szkoły Sztuk Pięknych, do której Konstanty uczęszczał przed kilkoma laty, a co ojciec niesłusznie uważał za młodzieńczy kaprys dziedzica hotelowej fortuny.

Eleonora świetnie pamiętała tę fotografię. Przedstawiała osiemnastu młodych mężczyzn skupionych wokół siedzącego na środku profesora. Dobrze znała te twarze, zwłaszcza jedną, ku której od razu powędrował jej wzrok. Młody chłopak o zaczesanych do tyłu falujących włosach, delikatnych rysach twarzy, z białą wstążką pod szyją. Patrzył odważnie w obiektyw, jakby był pewien swojego

talentu i przyszłości. To był Gabriel Różański, kolega Konstantego, którego kiedyś Eleonora poznała osobiście.

Miała wówczas szesnaście lat i nikt nigdy nie wydał się jej tak piękny, a zarazem tak niebezpieczny. Bała się go, a także własnych gwałtownych uczuć, jakie w niej wzbudzał. Ilekroć znalazł się w pobliżu, wiedziała, że ją obserwuje. Czuła jego uwagę i z dnia na dzień popadała w niezrozumiałe rozmarzenie. Ale w pewnym momencie Gabriel zniknął, podobno nie miał środków pozwalających na kontynuację studiów. Wyjechał, nie chciała nawet wiedzieć dokąd. Zdawała sobie sprawę, że papa nigdy nie wyraziłby zgody na jej mariaż z byle malarzyną, nie śmiałyby nawet o to błagać.

– Pamiętasz mojego kolegę, Gabriela? – zapytał Konstanty, jakby czytał jej w myślach. – Wezwał mnie tu na pomoc. Jest bardzo chory. Zaczął kilka miesięcy temu pracę nad odnawianiem malowideł w warszawskim kościele pod wezwaniem Świętego Jacka, ale teraz nie będzie mógł jej kontynuować. Poprosił mnie o dokończenie pracy za niego, bardzo potrzebuje pieniędzy. Sporą sumkę rubli, którą wypłacono mu z góry, już przekazał swojej nieszczęsnej siostrze, która urodziła właśnie bękarta i przymiera głodem.

Nagle ich konwersację przerwało pojawienie się w mieszkaniu matki. Pani Żmijewska jak zwykle robiła sporo zamieszania wokół swojej osoby. Do pokoju zajmowanego przez Eleonorę dobiegł apodyktyczny ton matki, która rozbierając się w holu, instruowała młodziutką służącą Marynię odnośnie do sposobu zdejmowania kapelusza tak, aby pozostawić nietknięte upięcie włosów, które każdego ranka zajmowało co najmniej czterdzieści minut.

Po chwili pani Regina, roztaczając zapach fiołków, których bukiet trzymała w rękach obleczonych w atlasowe rękawiczki, energicznym krokiem wmaszerowała do przestronnego, zalanego cytrynowym światłem pomieszczenia, o ścianach pokrytych tapetą w różyczki.

Jej suknia spacerowa koloru orzechowego zachwycała wykwintnym fasonem według nowej mody, stanik przechodził w udrapowaną tunikę, spod której wysuwała się bogato marszczona i ozdobiona licznymi falbanami spódnica z trenem. Tył sukni osiągnął znaczne rozmiary dzięki coraz powszechniej noszonej przez modne panie pod warstwami materiału sztywnej poduszce z włóścianki zwanej turniurą. Za sprawą tej oszalamiającej kreacji matka niemal całkowicie wypełniła wolną przestrzeń sypialni.

Po tym, jak przez długi okres Regina podobnie jak inne warszawianki nosiła jedynie ciemne, bure suknie manifestujące społeczne nastroje żałoby narodowej po upadku powstania, teraz nadrabiała te wszystkie lata ograniczeń i niemal co miesiąc szyla nową suknię w coraz to innym kolorze wedle najnowszych modeli z Paryża.

– Mój syneczek jedyny! – Matka zwróciła się do dwudziestopięcioletniego

mężczyzny z egzaltacją, jakiej córka nigdy nie była obiektem.

Pocałowała wyraźnie zmieszanego Konstantego w czubek głowy i pogładziła po policzku. Syn ucałował wyciągniętą ku niemu dłoń.

Eleonora spuściła wzrok, czekając na reprimendę – o dziewiątej wciąż tkwiła w łóżku, nieubrana, nieuczesana i niegotowa, by stawić czoła obowiązkom. Stłumiła w sobie ukłucie żalu, jakiego doznała, widząc ujawnione wobec syna uczucia, których rodzicielka nigdy nie okazywała córkom.

Choć jako jedyna z czterech dziewcząt Eleonora cieszyła się dobrą opinią rodziców, nie zdołała zaskarbić sobie czułości pięknej Reginy. Teraz jednak jej myśli gorączkowo krążyły wokół chorego Gabriela. Biedak, co takiego mu było? Konstanty nie zdążył powiedzieć. Wyobraziła sobie tę piękną, bladą twarz ułożoną na poduszce.

– Eleonoro! Przyjmujesz brata w takim stanie? – oburzyła się matka, po czym nie kontynuując tematu, zaczęła opowiadać o przyczynie swojego podniecenia.

Otóż gdy wychodziła z kościoła, zaczepił ją pewien człowiek, który twierdził, że został przysłany przez księdza z parafii Nawiedzenia Najświętszej Panny Marii z Nowego Miasta. Podobno gwałtowne ulewy i burze, które nawiedziły ostatnio Warszawę, doprowadziły do potwornych szkód na przykościelnym cmentarzu. Na skutek podmycia gleby najstarsza część uległa poważnemu uszkodzeniu, wiele grobowców zapadło się i zawałiło. Niestety, częściowo runął też grobowiec Żmijewskich – ten, w którym spoczywały szczątki Franciszka Żmijewskiego, protoplasty rodu, wspaniałego hotelarza.

– Tego, który urodził się za panowania Wazów, był odznaczony przez królową Ludwikę Marię Gonzagę za jakieś wyjątkowe zasługi? To straszne! – dopytywała wstrząśnięta Eleonora. – To on ponoć odbudował hotel i wystawił murowany budynek przy Długiej, gdy wcześniejszy, drewniany, całkowicie spłonął w trakcie potopu szwedzkiego! – Eleonora zwróciła się w stronę brata, który wydawał się jednak niezbyt przejęty rewelacjami matki. Historia rodu nigdy go szczególnie nie zajmowała.

Matka przytaknęła zrezygnowana.

– Wiemy tylko to, co opisują rodzinne memuary. Wasz dziadek Anzelm, kiedy przejął hotel w trzydziestym roku, opisał te wszystkie wzniosłe fragmenty o Franciszku, kto wie, jaka była prawda... – westchnęła pani Regina.

Ksiądz proboszcz oczekiwał, że jak najszybciej ktoś z rodziny przybędzie na miejsce i zorganizuje przeniesienie – choćby tymczasowe – szczątków w inne, bezpieczne miejsce.

– Cóż robić? Wasz ojciec akurat wyjechał, zupełnie nie wiem dlaczego. Ma jakieś swoje fascynacje, o których nic nikomu nie mówi, i tylko one mają dla niego znaczenie. Zawsze tak było. Kiedy braliśmy ślub, jego *idée fixe* była kolej żelazna,

całkowicie oszalał i gdyby nie hotel w ruinie, nigdy by swoich fascynacji nie porzucił. Potem były konie, kolekcje starych monet, w końcu rywalizacja o miano najelegantszego hotelu w mieście! Ciekawe, co teraz wymyślił... – Matka westchnęła z rezygnacją.

Wyraźnie czekała na męską decyzję syna. W końcu wrócił do Warszawy, zapewne dobrze wszystko przemyślał i chce stanąć na czele rodziny, wyręczyć, a wkrótce zastąpić przy prowadzeniu hotelu schorowanego, umęczonego sercowymi dolegliwościami ojca.

– Pojadę tam, zobaczę, co da się zrobić... – bez cienia entuzjazmu odparł Konstanty. Widać było, że załatwianie tego typu spraw jest mu nie na rękę. – Czy zechcesz mi towarzyszyć, Eleonoro?

– Oczywiście, że twoja siostra pojedzie. Pojedziemy wszyscy na ten cmentarz! Każę zamówić dorożkę. Pośpiesz się, córko! – zakomenderowała matka.

Eleonora pomyślała z żalem, że wizyta w przytułku na Piwnej i Starym Mieście musi poczekać. Podobnie jak wyprawa po pęk żonkili, które można było dostać na rynku i które tak chciała mieć w wazonie ustawionym na stoliku w swoim pokoju.

Zadzwoiła zatem na służącą Jadzię i oświadczyła, że musi jak najszybciej gotować się do wyjścia. Zaczęły od upięcia włosów i już po dwudziestu pięciu minutach (jako panna nie musiała jeszcze przesadnie dbać o uczesanie) złote pukle zostały ujarzmione.

Na białą, sięgającą kolan koszulkę i lekkie pantalonek za kolano Eleonora nałożyła gorset z fiszbinami, zapinany z przodu na mosiężne zaczepki. Służąca zasznurowała tył, ściągając sznurówki mniej ściśle niż zwykle, ale panna Żmijewska nie zaoponowała. Cienką kibić warto wyeksponować wieczorem, nie teraz. Do specjalnych tasiemek z tyłu gorsetu Jadzia przytroczyła tasiemkami wypchaną włosiem poduszkę w kształcie półksiężycy i przywiązała ją w pasie tak, aby jej końce znajdowały się na biodrach panienki. Na to wszystko służąca pomogła włożyć długą do kostek spódnicę z podszewki, której tył usztywniały poprzeczne plisy z tkwiącymi w nich stendami. Na końcu Eleonora ostrożnie założyła wymagającą zapięcia na przodzie suknię dzienną z nieco połyskującej materii o barwie zielonego groszku, ozdobioną przeróżnymi upięciami, falbanami, z ogonem uszytym z kilkunastu warstw zachodzących na siebie pasm materiału.

Po nałożeniu sukni pozostawało tylko umieścić na spiętych włosach przybrany fiołkami i wstążkami słomkowy kapelusik, założyć rękawiczki z kremowego atlasu, zawiesić małą torebkę na nadgarstku, w drugą rękę wziąć parasolkę uszytą z materii, z której zrobiona była suknia – i oto panna Żmijewska była gotowa do wyjścia z domu.

Dorożka już czekała, gdy Eleonora wyszła ze świeżo odnowionej kamienicy w stylu Ludwika XIV, ozdobionej od frontu aż jedenastoma balkonikami z kutego

żelaza. Unosząc obszerne poły sukni, z uwagą stawiała kroki, by w błocie zalegającym uliczny bruk nie ubrudzić nowych wiosennych pantofli.

Hotel usytuowany był w sporych rozmiarów budynku o klasycystycznej kubaturze z elewacją w kolorze wiślanego piasku, gruntownie przebudowanym we wczesnych latach panowania króla Stanisława Augusta. Dobudowano wówczas oficynę na tyłach hotelu, gdzie mieściły się pomieszczenia służby, pracowników oraz kuchnia, a także nowoczesną jak na tamte czasy stajnię dla koni gości, którą niedawno przerobiono na wozownię.

Reprezentacyjne wejście do hotelu zdobiły dwie kolumny podtrzymujące balkon z balustradą z kutego żelaza. Na pierwszym piętrze, w części narożnej budynku, mieściło się obszerne, komfortowe mieszkanie Żmijewskich.

Kilkanaście kroków dzieliło oficjalne wejście od bramy, która prowadziła do drugiego wejścia do budynku, pozwalającego na swobodne korzystanie z mieszkania przez rodzinę Żmijewskich.

Odźwierny w liberii, stojący przed wyłożonym czerwonym dywanem reprezentacyjnym wejściem do hotelu, skinął głową, witając córkę właściciela. Eleonora spojrzała w górę na szyld wypisany pochyłymi, złotymi literami po polsku oraz nieco niżej cyrylicą: „Hotel Varsovie”. Zanim wsiadła do krytej dorożki, z dumą pomyślała o wspaniałości rodzinnego przybytku.

Kiedyś to wszystko będzie należało do niej, spłaci brata, siostry, a ona i jej przyszły mąż sprawią, że ten hotel w każdym kolejnym przewodniku po Warszawie wskazany zostanie jako pierwszorzędny i godny polecenia przybytek. Będą się tu zatrzymywać sławni cudzoziemcy, dyplomaci, gwiazdy opery, sceny teatralnej i wybitni muzycy, a ona będzie organizowała wieczorki dobroczynne i rozmaite rauty dla zacnego towarzystwa. Ach, życie jawiło się jak z góry zaplanowana, piękna przygoda, którą Eleonora lada dzień rozpocznie. O ile miłośnicy Bóg pozwoli, rzecz jasna.

Gdy dorożka podjechała pod ogrodzenie gotyckiego kościoła Nawiedzenia Najświętszej Marii Panny, wysłany przez księdza pomocnik poprosił, aby panie poczekały w powozie, gdyż widok zdewastowanych przez żywioł części starego cmentarza przeraziłby nawet najbardziej odporną niewiastę. Matka nie chciała słuchać tych wyjaśnień. Dopiero informacja o potwornym błocie po kostki i fetorze, jaki wyziewał z ziemi cmentarnej, skłoniła ją do pozostania w wozie. Poprosiła fiakra, by czekał, i w pełnej napięcia ciszy trwały tak obie z Eleonorą, nie mając sobie zbyt wiele do powiedzenia.

Konstanty miał tak znoszone dziurawe buty, że bez żalu wszedł w potok błota i wraz z dozorcą pilnującym cmentarza udał się ku powalonemu grobowcowi, który pochodził z końca siedemnastego wieku.

– Dobrze, że już wczoraj nakazałam zamówić krawca i szewca, aby porządnie odziać i obuć naszego artystę. Mam nadzieję, że bieda na angielskiej

ziemi tak mu dokuczyła, że raz na zawsze wybije sobie z głowy to malarstwo. Oby ojciec jak najszybciej zmienił testament i ponownie ujął w nim swojego pierworodnego syna! – westchnęła pani Regina. – Och, Konstanty to typowy Żmijewski! W tej rodzinie od pokoleń mężczyźni rozdarci są między sztuką a interesem, lecz wygrywa zawsze interes!

Eleonora miała zapytać, czy w ich rodzinie była jakaś kobieta, która pragnęła poświęcić się sztuce, nie odezwała się jednak, nie chcąc przysparzać matce dodatkowych nerwów. O dach dorożki zaczął bębnić deszcz. Powietrze przenikała nieprzyjemna woń rozmokłej ziemi i zgnilizny. Dzień miał być obiecujący, jednak prognozy pogodowe się nie sprawdziły.

Konstanty długo nie wracał, wprawiając matkę w stan najwyższego zdenerwowania. Gdyby nie nowa suknia, pewnie odważyłaby się wyjść z powozu. Eleonora tonęła w myślach, wspominając Gabriela, który zapewne umierał w nędznej norze na suchoty albo – jeszcze gorzej – jak inni artyści zaniemógł na okropną chorobę zwaną francuską, roznoszoną przez kobiety lekkich obyczajów. Opowiadała jej o tych sprawach rezolutna Danusia, bliska przyjaciółka, z którą uczeszczały na pensję dla panien.

Gdy wreszcie Konstanty pojawił się w dorożce, na jego bladej twarzy malował się szok, a jednocześnie pewne rozbawienie. Od razu zaznaczył, że musi im powiedzieć o pewnych faktach, które są niepodważalne i zapewne okażą się wstrząsające.

– Mów, chłopcze, mów! – zachęciła go matka, dłonią w rękawicze przytrzymując jego dłoń.

– Na skutek zniszczenia grobowca trzeba było przenieść szczątki Franciszka Żmijewskiego i jego żony do nowych trumien. Po otwarciu tego, co się zachowało z trumny protoplasty naszego rodu, okazało się, że... – Konstanty zamilkł, sprawiając, że napięcie w powozie sięgnęło szczytu. – Okazało się, że nasz przodek był... karłem.

– Ależ skąd, to jakaś pomyłka! – Matka zaśmiała się nerwowo, machając na znak sprzeciwu ręką.

– Nie, mamó, na pewno nie jest to pomyłka... Trumna była oznaczona przytwierdzoną do niej tabliczką z nazwiskiem. W środku był kościotrup liliputa mierzącego nie więcej niż trzy stopy! W rękach trzymał książeczkę do nabożeństwa o okładkach ze złota i różaniec. Z odzienia ostały się tylko giemzowe buty z żółtej skóry, resztki kołpaka, jakieś szczątki podbitej futrem karmazynowej peleryny. Nie wiem, jak to możliwe, że o tym nie wiedzieliśmy...

– Ale mamó, przecież tyle nam z papą opowiadaliście o tym wspaniałym Franciszku, tyle ponoć zdziałał, dokonał heroiczych czynów w czasie szwedzkiej napaści. Skąd to wiedzieliście? – zapytała Eleonora.

Matka milczała. Siedziała nieruchomo, zasłaniając sobie twarz dłonią.

Eleonora z przerażeniem pomyślała, że być może dzieci, które kiedyś urodzi, okażą się karłowate. Słyszała kiedyś, że takie defekty przekazywane są z pokolenia na pokolenie.

– Ale przecież to niemożliwe... A portret Franciszka, który wisi w hotelu? Malowany za panowania króla Jana Kazimierza i Ludwika Marii Gonzagi. Na obrazie wygląda normalnie, nadzwyczaj kształtna twarz, francuski strój i ufryzowana głowa. Widziałam kiedyś karła na własne oczy, jego fizjonomia różniła się znacznie od zdrowej sylwetki. Poza tym karzeł szlachcicem? Jak to możliwe? – myślała na głos zgorszona Eleonora.

– Taki był rzekomo prawy i szlachetny. A teraz się okazuje, że to liliput. Pewnie w dodatku z nieprawego łoża! – powiedział z sarkazmem Konstanty, zapalając fajkę.

Sprawił wrażenie rozbawionego, jakby plama na honorze rodziny wręcz go cieszyła.

Matka nadal milczała. Siedziała blada, ciężko oddychając, i nagle zaczęła osuwać się na ziemię nieprzytomna. Syn i córka zerwali się, aby ją cucić.

– Na Długą! Proszę ruszać! – rzuciła Eleonora do fiakra. – W hotelu jest teraz medyk! Wołaj go, jak tylko dotrzemy! – powiedziała do Konstantego.

Eleonora nie mogła się otrząsnąć. Wszystko okazywało się inne, niż sądziła. Wspaniały protoplasta rodu to karzeł, który nie wiadomo, w jaki sposób wszedł w posiadanie zajazdu przy Długiej, z którego jego potomkowie stworzyli hotel cieszący się prestiżem, słynący z wysokiej jakości usług i pcheł mniej dotkliwych niż w innych tego typu przybytkach (czego nie omieszkały podkreślać wychodzące przez kolejne lata końca osiemnastego wieku bedekery).

W trakcie obiadu – podanego w jadalni Żmijewskich później niż zwykle – panowała napięta atmosfera. Matka przestała niemal zwracać uwagę na ukochanego syna, który wyraźnie nieswojo czuł się w salonie jadalnym, urządzonego na nowo ledwie kilka miesięcy temu z dużym przepychem.

– Gdzie się podziewa wasz ojciec?! – wykrzykiwała wyraźnie podenerwowana pani Żmijewska podczas spożywania cynadłów wieprzowych.

Obawiała się, jak mąż zareaguje na informację o przypadłości ich przodka, pierwszego właściciela hotelu, którym tak często się chwalo, wspominając jego zasługi na rzecz miasta Warszawy i dobra przyznane mu przez królową.

Herbatę podano w gabinecie orientalnym, pomieszczeniu niezwykle modnym i nowoczesnym, w którym ściany wyłożone były jedwabną tkaniną w kolorze ceglanym. Widniały na niej rysunki pawie o turkusowych i zielonych piórach. W przeszklonej witrynie przyciągała wzrok kolekcja niespotykanych wachlarzy. Wystroju dopełniały sprowadzane z Wiednia lampy gazowe o wielkich abażurach i nóżkach rzeźbionych w kształcie posągów Buddy.

Stary służący z wielkimi faworytami obsługiwał samowar. Dochodziła piąta

i moment, kiedy wedle angielskiej mody, którą Jeremi postanowił praktykować, w całym hotelu pito herbatę. Tego dnia ograniczono się do jednej filiżanki, nie tykając nawet rogalików nadziewanych różaną konfiturą, kupowanych w wykwintnej cukierni Lourse'a.

O godzinie szóstej po południu Eleonora była już przebrana w suknię szytą wedle najnowszej mody z Paryża, z blad różowej satyny, z trenem zdobionym falbanami i wstążkami. Od tygodnia nie mogła się doczekać, kiedy wystąpi w nowej kreacji i zagra na raucie Towarzystwa Dobroczyнного. Wyglądała jak anioł. Józefa ozdobiła jej – dosyć mocno wycięty – przód obcisłego stanika kwiatem róży, po czym wpięła spinki z drobnymi diamentami we włosy po obu stronach głowy, unosząc zwinięte w kilka grubych pukli włosy. Te jednak opadły dziewczynie na plecy, gdy zabrzmiał dzwonek wzywający służbę do natychmiastowego stawienia się.

Na specjalne życzenie matki Eleonora została przywołana do jej seledynowego buduaru, gdzie przy oknie stał już z założonymi z tyłu rękoma blady jak trup Konstanty. Wpatrywał się w zalaną popołudniowym światłem ulicę Długą, po której chodzili nobliwi panowie w cylindrach i damy w toaletach z długimi ogonami sunącymi po brudnym bruku. Ruch na tej ulicy pełnej hoteli i różnorodnych polskich i rosyjskich sklepów z oświetlonymi latarniami gazowymi szyldami zawsze był natężony, nawet jeśli najbardziej eleganckie towarzystwo wybierało teraz plac Teatralny i okolice ratusza.

Matka z posągową miną przekazała synowi i córce otrzymaną wiadomość, którą przywiózł przed kilkunastoma minutami posłaniec z domku myśliwskiego. Pokojowiec Jeremiego donosił, że jaśnie wielmożny pan dzisiejszego poranka odebrał sobie życie strzałem z rewolweru. W lakonicznym liście napisał, że jest bankrutem. „Hotel lada dzień nie będzie należał do nas”.

Eleonora czuła się tak, jakby ziemia rozstępowała się jej pod stopami, jakby jakaś niezrozumiała moc rozsadzała od środka jej mózg. Nie zdawała sobie nawet sprawy, że z jej ust wydobył się głośny jęk. Konstanty położył ciężką dłoń na jej głowie.

– Uspokój się, siostrze, ojciec był nieuleczalnym hazardzistą. Przegrał wszystko...

– Coś musiało się stać... – cichym głosem przemawiała sama do siebie matka. – Coś się wydarzyło... Przecież udało mu się znaleźć odpowiedniego kandydata na męża Eleonory, takiego, który chciał zająć się hotelem, a jednocześnie był w stanie spłacić niektóre długi. Przecież zawarli umowy, wszystko było ustalone... Dzisiaj po raucie ten człowiek miał nas oficjalnie prosić o jej rękę...

Eleonorze wydało się, że nie zniesie dłużej tego potwornego napięcia i fali żalości. A więc był kandydat, którego w obecnej sytuacji nawet nie pozna!

Dlaczego papa jej to zrobił?

Wejście służącej do seledynowego buduaru przywołało Żmijewskich do porządku. Matka i córka wyprostowały się. Należało czym prędzej pomyśleć o pochówku.

Rozdział I Skarpa w ogniu

*Próżne myśli człowiecze, próżne starania,
Omylne i fałszywe świeckie ukochania!
Próżno sobie lat dłuższych i mienia lepszego
Obiecujem, wszystko trwa do czasu małego.
Opadamy jako list zielony w jesieni,
Młodość, zdrowie, uroda – prędko się to zmieni,
A ponieważ odmiana bywa wszystkich rzeczy,
Chcemy się już wzdram sami mieć na lepszej pieczy.
Nie pokładajmy w marnym świecie swej nadzieje,
Którą dma po powietrzu i z nami rozwieje.*

ANONIM, *Tren VI*

Czerwiec Anno Domini 1607

W dwudziestym roku miłościwego panowania Jego Wysokości króla Zygmunta III Wazy na Zamku położonym tuż obok murów Starej Warszawy kończyły się obrady walnych sejmów. Ogień pojawił się w momencie, gdy po upalnym dniu mieszkańcy i setki przybyłych z całej Rzeczypospolitej Obojga Narodów gości z ulgą witali nadejście wieczoru, licząc na to, że po wielu dniach suszy spadnie w końcu deszcz.

Miasto wprost pękało w szwach po trwających przeszło pięć tygodni obradach sejmowych, które miały się ku końcowi. Zbliżał się okres zbierania plonów i panowie szlachta wraz ze swą liczną świtą nazajutrz mieli powoli opuszczać Warszawę. Zarówno mieszkańcy Starego Miasta, jak i goście, którzy tłumnie przybyli ze wszystkich stron Rzeczypospolitej – wszyscy mieli już dosyć tłoku, zgiełku i pokrywających każdy wolny skrawek bruku stert śmieci

i nieczystości, jakie zalegały wąskie uliczki w obrębie wiekowych murów miasta.

Ogień zaprószono w jednej z prowizorycznych, zbudowanych z drewnianych bali kuchni, w których gotowano dla przyjezdnych.

W momencie gdy wybuchł pożar, Laurenty Żmij, lutnista kapeli królewskiej Jego Wysokości Zygmunta III Wazy, opuszczał właśnie progi kolegiaty Świętego Jana. Z dumą niósł na ramieniu swoją lutnię, rozmyślając o tym, jak udany był dzisiejszy koncert i jak wspaniale w murach średniowiecznego kościoła brzmiał chór wyśpiewujący hymny i psalmy pełnej majestatu *Missa Sancta*. Koncertowi przysłuchiwał się sam król z królową Konstancją, dostojnicy kościelni i dworzanie.

Żegnając skinieniem dłoni rozchodzących się członków kapeli, Laurenty odwrócił się jeszcze ku wrotom fary i spojrział w górę, na otoczoną rusztowaniami gotycką fasadę strzelistej budowli, którą nadal jeszcze remontowano po tym, jak kilka lat temu zawaliła się kościelna dzwonnica.

Wówczas kątem lewego oka dostrzegł dziwne zamieszanie na widocznym w oddali wejściu na Rynek. Od strony placu zaczęły dobiegać odgłosy i niecodzienna wrzawa. Wokół zapanował niezwykle rwetes. Nagle przerwano przedstawienie *Syna marnotrawnego* teatru kukiełkowego, który rozstawił się u wylotu ulicy Grodzkiej¹. Grupka oglądających i ukryci za parawanem aktorzy z kukiełkami na kijach zamarli w oczekiwaniu. Nagle ktoś krzyknął, że widzi ogień. Biegący ulicą od strony Zamku chłopak krzyczał przeraźliwie: „Namioty kuchni polowej na Rynku płoną! Widać ogień z wieży strażniczej!”.

W niemal wszystkich oknach wąskich, ściśle przylegających do siebie budynków, które pamiętały jeszcze czasy Jagiellonów, pojawiały się sylwetki ludzi. Zaniepokojeni przechodnie przystawali na ulicy i rozglądali się wokół zdezorientowani i niepewni. Laurenty z przerażeniem zdał sobie sprawę, z jaką łatwością ogień może do cna strawić zamknięte murami miasto – niewiele było w nim bowiem ceglanych budynków.

Najbardziej bał się o żonę i dzieci. Biegiem ruszył w kierunku pożogi. Musiał jak najszybciej dostać się do swojego domu, który znajdował się blisko Rynku.

Tymczasem nad miastem zaczął zapadać zmierzch. Na niebie ukazała się zamglona, srebrzysta tarcza księżyca. Była pełnia, co nie wróżyło dobrze. Laurenty czasami myślał o tym, że wszystko, co przytrafia się tu, na ziemi, bardziej niż od woli boskiej zależy od układu planet. I teraz, widać, gwiazdy przesądziły o losie nieszczęsnego miasta...

Gdy po kilku minutach jego stopy stanęły na skraju placu, serce zabiło mu gwałtownie na widok ognia pochłaniającego otaczające Rynek domy. Kłęby czarnego dymu unosiły się nad dachami. Plac pełen był biegających w popłochu w różnych kierunkach i wrzeszczących ludzi. Przez kilka sekund Laurenty stał, patrząc na ten potworny, fascynujący spektakl.

Niemal cała pierzeja budynków od strony Wisły zdążyła już zająć się ogniem. Słysząc było rozpaczliwe wycie kobiet, krzyk i płacz dzieci, coraz gwałtowniejsze krzyki mężczyzn. Stojący na samym środku staromiejskiego Rynku reprezentacyjny ratusz ze strzelistą wieżą na razie pozostał nietknięty przez ogień. Szkoci i Ormianie w panice zbierali swoje precjoza z ciasno ustawionych jeden obok drugiego kramów. Przekupki w popłochu zwijały towary ze straganów wokół ratusza. Jeden z rajców miejskich wspiał się na schody wiodące do magistratu i nawoływał do jak najszybszego opuszczania miasta.

Spiesząc w kierunku domu, Laurenty co rusz oglądał się za siebie, nie mogąc oderwać wzroku od krwistych, agresywnych jęzorów płomieni, które wyzierały z czeluści okien domów. We wszystkich budynkach wokół Rynku ludzie próbowali ratować swój dobytek. Z wyższych pięter wyrzucano przez okna przeróżne przedmioty, które lądując na ziemi, wzbijały w górę chmury piachu i pyłu.

Pod nogi muzyka spadały z góry srebrne naczynia, kosztowne tkaniny, koszule, suknie, futrzane delie i pakowane w popłochu tobołki. Gdzieś wybuchła awantura, bo ktoś na ulicy chciał sobie przywłaszczyć wyrzucane przedmioty.

Ale to wszystko trwało ledwie chwilę. Przepychając się przez hordy uciekających w panice ludzi, lutnista zawrócił ku kościołowi patrona muzyków, Świętego Marcina, i uliczce, gdzie stał jego dom, wniesiony w posagu przez jego żonę. Biegając, nie zauważył nikogo, kto chociaż próbowałby gasić ogień, nikogo, kto nosiłby stągwie z wodą. Władze miasta zupełnie nie były przygotowane na pożar. Brak opadów i tłumy przyjezdnych, które przybyły do Warszawy na obrady sejmowe, wszystko to sprzyjało katastrofie, która właśnie spadała na to prężnie rozwijające się miasto.

Z głowy spadł Laurentemu całkiem nowy kapelusz o wysokim denku, ale bał się po niego wrócić.

– Nic tu po mnie – powiedział do siebie, przyciskając mocniej do ciała ukochaną lutnię.

Nagle jego ciałem wstrząsnęły dreszcze – oto we wszystkich świątyniach Starej i Nowej Warszawy przeraźliwie zabiły dzwony. Nawet ten brzmiący tak melodyjnie z kościoła Świętej Anny poza murami miasta.

– Boże miłosierny, nie karz nas, nie karz nas! – zawodziła grupa mnichów, którzy padli na kolana tuż przy kopie cuchnących odpadków jadła i śmieci.

Głosami pełnymi trwogi wznosili modły.

– Macie, macie teraz zapłatę, grzesznicy! Przyszła godzina boskiego gniewu! Szykujcie się na śmierć, albowiem zaraz staniecie przed obliczem Pana! – grzmiał czyjś głos w tłumie, który wypełniał wąskie uliczki.

Przeciskając się między ludźmi, Laurenty wreszcie wkroczył na ulicę Krzywe Koło. Od domu dzieliło go już tylko kilkadziesiąt kroków. Pograżona w panice ludzka tłuszcza zdawała się falować na ograniczonej ścianami domów

przestrzeni. Ktoś padł na ziemię i zaczął potwornie krzyczeć.

Ze wszystkich stron do uszu lutnisty docierały słowa rozlicznych modlitw, jęki i krzyki rozpacz. Wydawało mu się, że zaraz pęknie mu głowa. Powtarzał wciąż bezgłośnie: „Anna, Anna”, a bijące w oszalałym tempie serce niemal rozrywało mu pierś.

Wielu ludzi po prostu stało lub klęczało w miejscu, nie zamierzając nawet ratować się ucieczką.

– Niech się dzieje wola boska – mówiono, czyniąc znak krzyża.

– To kara za grzechy, za potworne grzechy, jakich dopuściliście się w tym mieście! – zawołał któryś z mężczyzn uciekających konno w kierunku Bramy Krakowskiej.

Gorące i przesycone czarnym dymem powietrze sprawiało, że coraz trudniej było swobodnie oddychać. Laurenty ściągnął sztywną, białą kryzę, która okalała mu szyję, i rzucił ją na bruk. Jednym ruchem ręki rozerwał rząd guzików przylegającego do ciała czarnego kaftana, który wraz z czarnymi krótkimi spodniami o bufiastym kroju stanowił podstawę stroju w kapeli Jego Królewskiej Mości.

Minął ludzi w pośpiechu wynoszących obrazy i cenne przedmioty z domów i ładujących je na drewniany wózek, który ograniczał ruch na ciasnej uliczce.

– Zostawcie to! Uciekajcie, zaraz wszyscy się spalimy! – krzyczał ktoś przeraźliwym głosem.

Laurenty dotarł do swojego domu na Krzywym Kole – wąskiego, trzypiętrowego budynku, ściśle przylegającego do podobnych budowli o drewnianej konstrukcji, których cały rząd stał od strony murów miasta. Spojrzał w górę, upewniając się, że ogień jeszcze tu nie dotarł. Zobaczył żonę Annę, która krzycząc coś w panice, zrzucała z góry na ulicę różne przedmioty: pod nogami muzyka co chwila lądowały srebrne lichtarze, kobierce, czepce i różne kobiece szmatki.

– Jesteś wreszcie, mężu! Tak żem się bała! Zbieraj te rzeczy, ino rychło! Ruszaj się żwawo, nie stój jak jaki słup! – krzyknęła do niego Anna.

Była starsza pięć lat od Laurentego, swojego drugiego męża. Odziedziczyła spory majątek i zachowywała się wobec młodego muzyka władczo. Ten nie umiał podporządkować sobie małżonki, coraz częściej spędzał wieczory w karczmach, a ostatnio – gdy zarobił nieco grosza – także w prowadzonym przez miejskiego kata przybytku uciech w słynnej wieży przy ulicy Dunaj, gdzie coraz częściej zabawiał się z ladacznicami.

– Zostaw to wszystko! Szybko, schodź, pani, na dół! Zaraz ogień zajmie nam dom! – zawołał Laurenty do żony, ale go nie posłuchała. Mimo błogosławionego stanu i sporego brzucha z wielkim impetem biegła po izbie na piętrze, w panice próbując zebrać do worka cenniejsze przedmioty.

Ogień trawiący kolejne stare, w większości pamiętające panowanie Zygmunta Augusta, budowle na Rynku sprawił, że wielka luna rozświetliła niebo.

Z każdą minutą pożar zagarniał kolejne budowle. Rozchodzące się po uliczkach kłęby gryzącego, czarnego dymu powodowały, że coraz trudniej było nie ulec trwodze.

– O Boże, zaraz wszyscy się spalimy! – wrzeszczała z całych sił służąca w domu Żmijów dziewczka.

Piastunka Maryla, przychodząca pomagać im przy dzieciach, stała oniemiała, jakby jej członki nie miały żadnych życiowych mocy. Przyciskała silnie do piersi zawinięte w bety najmłodsze dziecko Żmijów, które wrzeszczało wniebogłose. Z wnętrza domu z widocznym trudem zgięty wpół wyszedł ich pierworodny syn, nazywany przez wszystkich głupim Pietrkiem. Nikt go dotąd nie zawołał ani nikt nie dbał o to, aby z trudem poruszający się chłopak szybko opuścił mieszkanie.

Laurenty odwrócił wzrok od Pietrka i nie odezwał się ani słowem. Widok powykręcanych od urodzenia członków i gamoniowatego wyrazu twarzy siedmioletniego chłopca, nieustannie mrugającej powieki i ohydnie wykrzywionych ust sprawiał muzykowi gorzki ból. Czuł wielką odrazę do tego nieudanego Bożego dzieła i nie był w stanie jej przełamać.

Teraz nagle przeszło mu przez myśl, że pożerający miasto ogień mógłby strawić nieszczęsne ciało tego dziecka, jednak szybko wystraszył się tej okrutnej wizji i w duchu przeprosił Boga za grzechy, błagając go, by nie spełniał też chybionej prośby. W końcu dzieciak nie był niczemu winien. Nałożona na Żmijów klątwa, o której Anna nie miała pojęcia, na zawsze pozbawiała lutnistę możliwości posiadania tego, co dla mężczyzny jest w życiu zgoła najważniejsze – noszącego jego nazwisko syna.

Laurenty wbiegł po wąskich, częściowo spróchniałych schodkach na piętro, gdzie żona miotała się po izbie, wyjmując z otwartych skrzyń swoje ubrania.

– Moje haftowane giezła², moje czepce wyszywane perłami, gdzież się one podziały? – mówiła do siebie jak w gorączce, zagłębiając rękę w zwoje tkanin wypełniające ogromną skrzynię. – Laurenty, zabieraj konterfekty! – krzyknęła do męża, ten jednak nie widział sensu zabierania w takiej chwili zawieszonych tuż pod belkowanym sufitem portretów rodzinnych pędzla pierwszego małżonka żony.

– Nie ma na to czasu! Chodź szybko, bo wszyscy zginiemy! – wrzasnął, przytrzymując rozgorączkowaną kobietę.

Na jej spoconej, niemłodej już twarzy malowało się przerażenie. Jedną ręką bezwiednie przytrzymała dół widocznie zaokrąglonego pod niebieską materią spódnicy brzucha. Mąż chwycił ją za rękę i pociągnął za sobą. Spod siennika małżeńskiego łoża, nad którym wisiał dopiero co wymieniony baldachim z zielonego sukna, Laurenty wyjął sakiewkę z kilkunastoma dukatami i garścią talarów. Chwycił leżący na stole plik nut i czym prędzej zaczął zbiegać po

schodach, nie puszczając ani na moment ręki Anny.

– A co z Tomaszem? Gdzie on jest? – Anna zatrzymała się na schodach, zdając sobie właśnie sprawę, że do domu nie wrócił jeszcze jej najstarszy syn, jedyne dziecko z pierwszego małżeństwa, który uczęszczał do szkoły prowadzonej przez ojców jezuitów.

– Nie możemy na niego czekać. Ojcowie zapewne już uciekli i wzięli go ze sobą – powiedział Laurenty.

Ledwo wyszli przed dom, a w ogólnej wrzawie i tumulcie rozległ się potworny huk. Wielki słup dymu i ognia roziskrzył atramentowe niebo. Padł jeden z domów przy Rynku, a zaraz potem kolejny. Jedyne czarna sylwetka średniowiecznej Szerokiej Wieży górującej nad murami miejskimi i zabudową od strony Wisły zdawała się opierać płomieniom. W promieniu kilkudziesięciu metrów na miasto spadł deszcz iskier. Gołębie, zawsze tak licznie okupujące dachy budynków, jakby w obawie przed porzuceniem swoich gniazd, krążyły koło żarzących się okien i jeden po drugim padały na bruk.

– Szybko! Do Bramy Krakowskiej! Musimy wydostać się poza mury miasta!

Laurenty pociągnął za sobą Annę, szturchnął zupełnie zrezygnowaną Marylę z płaczącą córką Żmijów na rękach. Ruszyli wraz z gęstniejącym tłumem innych ludzi w kierunku Bramy Nowomiejskiej. Złowieszczo brzmiały dzwony wszystkich okolicznych kościołów. Języki ognia atakowały już strzelistą kolegiatę Świętego Jana.

– Szybko! – krzyczał Laurenty.

Anna zapłakała, mówiąc cicho, że czuje bóle w brzuchu. Pietrek został za nimi w tyle, nie będąc w stanie dotrzymać im kroku. Sumienie kazało Laurentemu cofnąć się kilka metrów i wziąć chłopaka. Przewiesił sobie jego drobne, nieforemne ciało przez ramię i trzymając go za nogi, dogonił powoli człapiące kobiety.

Wiedział, że muszą czym prędzej szukać schronienia na rzece.

– Zginiemy, wszyscy zginiemy! To koniec! Ojciec proboszcz ostrzegwał nas przed ogniem piekielnym. Ale my nie przestaliśmy grzeszyć. O Boże, Boże miłosierny! Oszczędź nam śmierci w płomieniach! – wyła z przeraźliwą trwogą w głosie Maryla.

Ktoś w tłumie mówił, że podobno królewskie karety wyjechały już z miasta, a ogniem zagrożony jest nawet Zamek Królewski, który od dłuższego czasu stał otoczony rusztowaniami, gdyż wedle woli Zygmunta III Wazy dawna siedziba książąt mazowieckich była obecnie rozbudowywana i zmieniana, tak aby w powiększonym gmachu mogła na stałe i z należnymi honorami zamieszkać cała rodzina królewska i jej dwór.

Teraz już każdy mieszkaniec Starej Warszawy wiedział, że ognia nie da się opanować i jedynym wyjściem jest ucieczka. Toteż tłum ogarniętych trwogą ludzi

tłoczył się w ciasnych uliczkach, depcząc porzucone w pośpiechu przedmioty. Co chwila słychać było rozdzierający wrzask zdeptanego kota albo wycie psa, który nie dawał rady przecisnąć się przez labirynt ludzkich nóg. Tłum napierał w wąskim gardle uliczek biegnących ku Bramie Nowomiejskiej, która ponoć była ciągle zawarta. Lecące z nieba iskry co rusz parzyły skórę. Zaduch i gorąc były tak potworne, że niektórzy padali na kolana i zanosząc się kaszlem, odmawiali dalszej drogi.

– Nie wyjdziemy stąd, nigdy się nie wydostaniemy! – zawodziła Anna, dysząc ciężko i z wielkim trudem idąc przed siebie. Grymas bólu wykrzywił jej twarz.

Laurenty pomyślał, że zapewne w brzuchy jego żony wierci się ich syn, któremu dzisiaj przyjdzie zginąć. Nie mogło być przecież inaczej, skoro moc klątwy rzucona niegdyś na ojca Laurentego promieniowała na losy jego synów.

– Dasz radę, pani, już blisko – przemawiał łagodnie do żony, starając się jedną ręką podtrzymać jej kibić.

Worek, który jeszcze przed kilkoma minutami wlokła ze sobą, został porzucony gdzieś na ulicy.

Co chwila przez płacz ludzi i syk płomieni przebijał się odgłos przepelnionego bólem rżenia koni uwięzionych w palących się stajniach. Gryząca woń spalenizny i duszący dym sprawiały, że miasto zamieniło się w piekło.

Nagle w tłumie rozległ się potworny krzyk. Z okna jednego z domów, którego dosięgły już języki ognia, na uwięziony w wąwozie uliczki tłum runęła paląca się kobieta. Pod jej ciężarem upadło kilka osób, których ubrania momentalnie zajęły się ogniem. Pochód uciekających przed śmiercią ludzi zdeptał leżących na bruku, gasząc przy tym załączki ognia. Jeden tylko starzec przystanął, z obłąkanym wyrazem twarzy wzniosł ręce ku niebu, na którym wisiał nieczuły, srebrny księżyc w pełni – i zawył jak ranne zwierzę. Tłum z większym impetem ruszył ku bramie.

Laurenty odwrócił się i zobaczył kilka sążni za sobą kurtynę żarłocznych płomieni. Poczul, jak trwoga ściska mu gardło. Wszystkie domy przy Krzywym Kole płonęły, wszystko przepadło. W jego głowie coraz natarczywiej wybrzmiewały ledwie przed godziną śpiewane przez anielski głos słowa hymnu: *Diffusa est gratia in labiis tuis*³. Przymknął na moment oczy. Syk ognia ucichł. Przez chwilę znowu był w chłodnym, pełnym majestatu wnętrzu świątyni i grał, starając się ze wszystkich sił, by z jego lutni wydobywały się najwspanialsze, najczystsze dźwięki. Kątem oka zerkał w stronę balkonu, w którego wnętrzu, za zasłoniętymi firankami, siedział sam król.

Nagle poczul, jak kłęby coraz gęstszy dymu zatykają jego płuca. Zaczął kasłać. Anna, z trudem łapiąc powietrze jak ryba wyciągnięta z wody, poprosiła, aby pozwolił jej tu umrzeć.

– Muszę usiąść, nie dam rady dalej – wycharczała z najwyższym trudem.

Po osmolonej twarzy ciekły jej strugi łez. Laurenty pomyślał, że nie mają szans, że lepiej byłoby po prostu się zatrzymać. Niech to wszystko skończy się jak najszybciej.

Ktoś idący z nimi w tłumie, widząc ciężarną, która dławi się od dymu, wyciągnął ku niej rękę z moką szmatką.

– Weźcie to i przytknijcie do twarzy, lżej będzie! – zachęcała jakaś niewiasta.

Laurenty chwycił wilgotną chustkę i podał żonie.

– Niech was Bóg błogosławi! – zawołał do dobrodziejki, która zniknęła gdzieś w tłoczącej się masie ludzkiej.

Ruszyli dalej.

– Pietrek! Żyjesz?! – zawołał Laurenty, gdyż niesiony chłopiec od kilku minut wydawał się nie ruszać.

Chłopak jęknął niewyraźnie. Prawie nigdy się nie odzywał, wydawał z siebie dźwięki niczym zwierzę. Czasami, jękając się okrutnie, próbował coś powiedzieć, ale nigdy nie był w stanie. Bóg nie tylko dał mu zdeformowane, kalekie ciało, ale na dodatek nie obdarzył go rozumem. I ktoś taki żył jednak, przetrwał różne choroby, w tym ospę, która zostawiła ślady na jego skórze. I to był właśnie jego syn!

Dotarli do otwartej już Bramy Nowomiejskiej, gdy Anna krzyknęła gwałtownie i łapiąc się za brzuch, zaczęła się osuwać na bruk. Laurenty przytrzymał ją, czując, jak gwałtownie łomocze mu serce. Jeśli teraz nie będą w stanie wydostać się poza mury miasta, zginą zdeptani przez tłum albo pożarci przez płomień, których drapieżne, krwiste jęzory atakowały praktycznie wszystkie widoczne wokół budynki. Odszukał wzrokiem Marylę, której stare nogi odmawiały już posłuszeństwa. Szła, trzymając kurczowo niemowlę, z zamkniętymi oczami, pot zalewał jej powieki. Ruch warg wskazywał na to, że wypowiada słowa modlitwy.

Nie widząc innego wyjścia, z wielkim żalem w sercu Laurenty poruszył ramieniem tak, że osunęła się z niego skórzana sakwa, w której tkwiła jego lutnia, otrzymana przed siedmioma laty, gdy dołączył do zespołu kapeli królewskiej. Misternie wykonany we Włoszech instrument o kształcie przypominającym połówkę podłużnego arbuza, o pięknie połyskującym pudle rezonansowym, jego najwierniejszy przyjaciel – po kilku sekundach został zdeptany przez ludzi.

Laurenty przerzucił niemal leżące się ciało syna przez drugie ramie i z ogromnym wysiłkiem dźwignął omdlałą Annę. Wraz z tłumem ludzi przeszli przez pierwszy ciasny dziedziniec, jednak gdy ludzka masa zablokowała drugie wąskie gardło bramy, ścisk stał się tak potworny, że ból zgniatanego ciała zwiastował rychły koniec.

Kiedy niemal już nieprzytomni z przerażenia wstąpili na most opuszczony nad fosą i znaleźli się poza murami miasta, zdawało się im, że umarli od gorąca i ścisku, a teraz jako duchy przechodzą do zaświatów. W pewnej chwili, czując dopływ świeżego powietrza, Laurenty pomyślał, że jest szansa na ratunek, oby tylko jak najszybciej dotrzeć do Gnojnej Góry i zejść ze skarpy do Wisły.

– Udało nam się! – krzyknął, aby podnieść nieco na duchu kobiety i Pietrka.

Odpowiedział mu tylko płacz malutkiej córeczki Julianny. Zerknął na lśniącą od żaru i potu twarzy żony, a potem na jej brzuch. Na spódnicy jej wierzchniej sukni w błękitnym kolorze zobaczył plamę świeżej krwi. Już wiedział, że to wszystko źle się zakończy.

Lepiej było umrzeć w płomieniach. Wiedział, że nie byłby w stanie żyć bez Anny. Z trwogą pomyślał o pozostaniu wdowcem w wieku zaledwie dwudziestu dziewięciu lat, z dwójką małych dzieci, bez domu i jakiegokolwiek dobytku. Ta myśl przeraziła go bardziej niż perspektywa śmierci w ogniu. Łzy popłynęły mu po policzku, na szczęście nie musiał ich ukrywać – wielu ludzi płakało, także mężczyźni. Teraz dopiero dopadło go prawdziwe przerażenie.

Od dziecka Laurenty był płaczącym chłopcem. Wzruszały go dręczone przez chłopców w zabawie zwierzęta, dopadał strach przed głodem, gdy wysychała albo wylewała kapryśna Wisła, łzy wywoływała w nim wreszcie myśl o własnej niedoli i cierpieniu jedyne go brata, gdy ich okrutny ojciec katował synów za najmniejsze przewinienie.

Kiedy stał się mężczyzną, łzy napływające mu do oczu w trakcie gry jakiegoś szczególnie podniosłego fragmentu niesporów bardzo spodobały się Annie. Kiedy zobaczyła go po raz pierwszy, grał swój pierwszy koncert w kościele Świętego Marcina, wzruszenie malujące się na twarzy młodego muzyka i jego gra na lutni głęboko zapadły jej w serce. Jak później mówiła, harmonia dźwięków wydawanych przez instrumenty oraz anielski głos sopranistki rozpałyły w niej miłość.

Gdy na skutek skrętu jelit zmarł jej mąż – powszechnie szanowany, majątny obywatel Starej Warszawy – malarz Janusz Szpak, w okresie żałoby trzydziestoletnia wdowa nie opuściła żadnego publicznego koncertu kapeli dworskiej i za każdym razem wpatrywała się we wzbudzącą zaufanie twarz Laurentego. To w muzyce się zakochała, nie w ubogim, młodym lutniście o okrągłej twarzy i jasnych, opadających na ramiona lokach.

Zdobycie dworskiego urzędu muzyka w kapeli Jego Królewskiej Mości było największym sukcesem w życiu syna organisty ze wsi Kamion. Zygmunt III Waza oraz jego małżonka Konstancja Habsburżanka ogromnie cenili muzykę. Król – sam muzyk amator – nie szczędził dukatów z królewskiego skarbcza na utrzymanie zespołu na światowym poziomie. Szczycąc się powszechnym uznaniem kapela liczyła aż sześćdziesięciu muzyków i chórzystów.

Dzięki tej prestiżowej, choć nieprzynoszącej ogromnych zarobków pracy (wynagrodzenie roczne nie przewyższało dochodów rozchwytywanego murarza), mimo braku majątku i własnego domu w mieście zdołał Laurenty poprawić swój los poprzez małżeństwo z wdową, która posiadała w Starej Warszawie własny dom. Brat Anny – Baltazar Melcer – rajca miejski, próbował początkowo wyperswadować jej z głowy pomysł wiązania się z młodym lutnistą, ale wdowa była nieprzejednana. Marzyła o wieczorach, które rozgrzeje i rozweseli swoją grą na lutni uroczy, nieśmiały młodzieniec. I dopięła swego.

Mimo że w rozmowie z Laurentym Anna nie znajdowała przyjemności – muzyk był zamknięty w sobie, raczej ponury i małomówny – wzięła go za męża, a tym samym sprawiła, że spełniło się jego największe pragnienie: stał się formalnie mieszkańcem Starej Warszawy, złożył uroczyste ślubowanie i poddał się prawu miejskiemu.

Anna szybko zorientowała się, że małomówność męża podyktowana była jego brakami w edukacji, której Laurenty ledwie liznął – znał trochę łaciny i geografii, katechizm i podstawy astronomii. Jego gra na instrumencie była jednak tak wyjątkowa, że mimo powszechnego zdziwienia, jakie budził brak ogłady, wykształcenia i peregrynacji do dalekich krajów, piękno jego muzyki oraz okazywana pokora wystarczyły, aby świetnie sobie radził w kapeli królewskiej.

Z biegiem czasu powoli zaczął otwierać się przed żoną. Wypytywany o plotki i wieści z życia dworu przekazywał jej wszystko, co widział i słyszał, grając koncerty i odbywając próby na Zamku. Opowiadał na przykład o tym, że król uwielbia tańce i zdarzyło się, że wracając z Krakowa do Warszawy, kazał zatrzymać cały orszak i w przydrożnym zajeździe urządzić zabawę. Pomieszczenie wyłożono prowizorycznie czerwonym sukniem, zagrała kapela będąca częścią orszaku, a Zygmunt III Waza z królową do późna w nocy tańczyli we dwoje galarde.

Anna była żądna ciekawostek. Wypytywała o to, czy naprawdę królowa Konstancja jest tak pobożna, jak mówią, i każdego dnia bierze udział w pięciu mszach, czy naprawdę rozumie język polski, ale nie lubi się nim posługiwać, czy ekscentryczny król rzeczywiście gra w jakieś dziwne gry i kopie piłkę w zamkowych salach? Laurenty potwierdzał to wszystko, opisując dziwne odgłosy, jakie dochodziły z apartamentów królewskich, gdy władca urządzał turnieje – uderzał specjalnym kijem w piłkę, którą potem gonił po pokojach. Szlachta nie znosiła tych królewskich rozrywek, krytykując dziwne pasje władcy, jego malowanie obrazków, zabawy w złotnictwo i nieustanne tańce oraz koncerty.

Anna nie mogła wprost uwierzyć, że król codziennie bierze długie kąpiele w wyłożonym czarnymi marmurami specjalnym pomieszczeniu, zwanym łazienką. Wiele aspektów dworskiego życia ogromnie ją fascynowało i z czasem Laurenty zaczął umilać jej wieczory nie tylko muzyką, ale też opowieściami, zwłaszcza gdy

żona szczerą ręką dolewała jemu i sobie do kielichów zacnego węgryna.

Na szczęście ich pożycie nie wymagało od Laurentego elokwencji i umiejętności krasomówczych, wystarczały jego talenty artystyczne, niezniszczona śladami po ospie ani żadną inną chorobą uroda i młode ciało. Okazał się pojętym uczniem i korzystając z nauk wdowy, zdołał zadowolić małżonkę nie tylko swoją grą na lutni.

Gdy na świat przyszedł Pietrek, Anna zaczęła widzieć w kalekim dziecku dopust boży i karę za grzechy. Laurentemu wydawało się, że jego małżonka żałuje mezaliansu z muzykiem, któremu trudno było pomnożyć majątek odziedziczony po malarzu Szpaku.

Lutnista z coraz większą niechęcią spełniał obowiązki małżeńskie, bojąc się, że straci żonę, jeśli tylko w jej łonie zagnieździ się męski potomek. Stało się tak, jak przewidywał – kolejne dwie ciąży zakończyły się narodzinami martwych dzieci. Anna stała się nerwowa, nieustannie czymś się zamartwiała, narzekała na los i niekończącą się niedolę. Ale Laurenty wiedział, że było już za późno, aby powiedzieć jej o klątwie, jaka ciążyła na Żmijach.

Nie chcąc patrzeć na zgryzoty i lęki swojej żony, Laurenty uciekał od poczucia winy, przesiadując niemal w każdy wieczór w karczmie Pod Karaluchem z kompanami z kapeli, a swoje potrzeby spełniał, korzystając z wdzięków usługującej w lokalu karczmareczki, która miała wielką słabość do muzykujących mężczyzn.

Starał się ze wszystkich sił wykorzystać swoje zawodowe możliwości i powiększyć majątek małżeński. Udało mu się uzyskać z łaski króla nadanie w postaci folwarku na wsi koło Góry Kalwarii, składającego się z młyna i tartaku. Gospodarstwo przynosiło wcale niemałe dochody, jednak wymagało od Laurentego częstych podróży Wisłą i nieustannego nadzoru nad zarządcą folwarku, któremu trzeba było patrzeć na ręce.

Pod koniec roku Pańskiego tysiąc sześćset szóstego Bóg zlitował się nad Żmijami i dał im zdrową córkę Juliannę. Małżonkowie znowu zbliżyli się do siebie, nowa lutnia z pudłem rezonansowym z palisandrowego drewna wydawała z siebie finezyjne pasaże tak, że nie minęło pół roku od narodzin Julianny, a Anna znowu była przy nadziei.

Gdyby nie pożar, może wszystko potoczyłoby się inaczej.

Podobny księżyc świecił nad praskim brzegiem Wisły osiem lat wcześniej, gdy będąc ubogim synem organisty – bez perspektyw na zdobycie majątku i praw mieszczanina – w trakcie suto zakrapianego wieczoru w gospodzie Pod Gąsiorkiem we wsi Praga, Laurenty ograł w kości doświadczonego, starszego Jana Kogucińskiego, zajmującego stanowisko lutnisty w kapeli królewskiej.

Chcąc pocieszyć się po przegranej, stary muzyk nabrał ochoty na płatną miłość z usługującą w karczmie młodziutką dziewczką, która opierała się, nie chcąc

iść z nim nad Wisłę. Gdyby nie pozyskana wcześniej informacja o tym, że muzyk piastuje tak ważne stanowisko na dworze, Laurenty nie okazałby się może gotowym na wszystko obrońcą czci dziewczątka z gospody. Widząc zaloty pijanego lutnisty, Żmij wyszedł z gospody i obserwował narowistego Kogucińskiego, który na siłę ciągnął dziewczkę w stronę zarośniętego krzakami brzegu rzeki. W odpowiedniej chwili Laurenty doskoczył do szamoczącej się pary. Młodość i zwinność zapewniły mu przewagę nad pijanym muzykiem, który musiał wypuścić z objęć swą zdobycz, nie zdołał też uciec przed serią silnych ciosów Żmija. Ten z łatwością powalił lutnistę, który po serii uderzeń wyzionął ducha.

Wody Wisły w kilka chwil pochłonęły ciało starego muzyka.

Kilka dni później, w związku z niezrozumiałym niepojawieniem się lutnisty na próbach ani na koncercie kapeli królewskiej, kapelmistrz zmuszony był przyjąć do zespołu nowego muzyka, który zadebiutował na koncercie specjalnym na dworze nuncjusza papieskiego.

Niezwykłą szansę od losu otrzymał Laurenty Żmij.

W tę czerwcową noc, jawiącą się przedsionkiem piekła, którego wizją tak często epatowali księża, przestrzegając wiernych przed życiem w grzechu, rodzinie Żmijów udało się przepłynąć na drugi brzeg Wisły (kosztowało to Laurentego w tych nadzwyczajnych warunkach aż dwa talary), a nawet wynająć jedną izbę u człowieka zajmującego się przeprawami ze wsi Praga na drugą stronę rzeki. Stamtąd patrzyli, jak widoczna na rozległym wzniesieniu Stara Warszawa wprost unicestwiana jest przez czerwone języki żarłocznego ognia.

Wszyscy obecni na brzegu Wisły pogorzelnicy płakali, widząc, jak na zawsze ginie dorobek ich życia, ich domy, cenne albo pamiątkowe przedmioty, wszystko, co dotąd stanowiło materię ich normalności. Płonęły domy wokół Rynku, dach fary. „To koniec tego miasta, to koniec Warszawy!” – takie słowa co chwila komuś cisnęły się na usta i tylko nieliczni byli w stanie patrzeć w przyszłość z iskrą nadziei.

– Zobaczycie, waleczna syrena obroni nasze miasto. Cokolwiek by się działo – szepnął ktoś w tłumie.

W nocy jakiś człowiek rozgłaszał wiadomość, jakoby gwardzistom królewskim udało się uchronić zamek przed ogniem i sprawić, że pożar nie wydostał się poza mury Starej Warszawy. Ale Rynek i otaczające go uliczki całkowicie niemal spłonęły.

Wielu myślało z żalem, że Zygmunt III Waza, który za sprawą swoich eksperymentów alchemicznych sam wywołał wielki pożar na Wawelu, po tym, co się stało w Warszawie, zrezygnuje z planów przeniesienia na stałe swojej siedziby i całego dworu na zamek, który tak wielkimi nakładami finansowymi i staraniami zagranicznych budowniczych już od kilku lat był rozbudowywany w duchu nowoczesnych trendów włoskich.

Wielu innych widziało jednak wielką szansę dla rozwoju miasta w decyzji przeniesienia ośrodka faktycznej władzy królewskiej do rozwijającego się grodu nad Wisłą, który był ważnym punktem gospodarczym i ośrodkiem handlu zbożem spławianym rzeką. Choć i ci zdawali sobie sprawę, że króla o tyle interesowała Warszawa, że znajdowała się zdecydowanie bliżej Szwecji niż Kraków, a Zygmunt III Waza – czego nie mogła wybaczyć mu szlachta – wciąż widział się na szwedzkim tronie i gotów był przehandlować Rzeczpospolitą za koronę ojczyzny swego ojca. Polska – kraj ojczysty Jagiellonki, matki króla – była dla niego zawsze tylko przystankiem na drodze do realizacji tego wielkiego celu.

Warszawianie odetchnęli więc z ulgą, gdy po dogaszeniu trwającego trzy doby wielkiego pożaru rozniosła się wieść, że wedle woli króla Warszawa będzie odbudowana. Dwadzieścia dwie spalone kamienice na Rynku zostaną odbudowane, ale w myśl uchwały magistratu – wyłącznie jako domy murowane. Król przeznaczył specjalne środki ze skarbcza koronnego, które miały służyć podniesieniu się miasta sejmowego.

Ledwie kilka tygodni po pożarze rozpoczął się okres budowlanej prosperity. Do Warszawy ściągnęli budowniczowie i murarze z dalekich miast, Rzymu i Florencji, zaroilo się od wszelkiej maści architektów, majstrów, muratorów i wyrobników. W obrębie starych murów obronnych, na niewielkiej przestrzeni skarpy nadwiślańskiej zaczęło wyrastać ciasne jak dawniej, ale nowoczesne, murowane miasto, którego kamienice i kościoły odbudowano wedle nowej włoskiej mody. Do tego nowego miasta na dobre w tysiąc sześćset jedenastym roku sprowadził się na zamek cały królewski dwór, zapoczątkowując nową erę w historii Rzeczypospolitej Obojga Narodów.

– Nie frasuj się, żono! Będziemy mieć jeszcze inne dzieci – pocieszał Laurenty pogrążoną w rozpacz, bardzo osłabioną Annę, która w noc pożaru urodziła martwe dziecko i z powodu dużej utraty krwi walczyła o własne życie. Pielęgnował ją cyrulik praski, który jakimś zrzędzeniem losu znalazł się w okolicy domu rybaka, gdzie zatrzymała się rodzina Żmijów.

Gdy ustąpiła gorączka, przy łóżku chorej (a raczej ubogiej pryczy, odstąpionej gościom za kilka talarów przez właścicieli chaty) czuwali jej mąż i syn Tomasz, który szczęśliwie przetrwał pożar w piwnicach fary.

– Pamiętacie ten obraz, który namalował mój zmarły małżonek, czcigodny Janusz, twój dobry ojciec, synu? Ten przedstawiający widok na Warszawę z praskiego brzegu Wisły? – To pytanie było, o dziwo, pierwszym, jakie zadała niewiasta po ustąpieniu gorączki.

Chłopak spojrzął na ojczyma zdziwiony. Ale Laurenty doskonale pamiętał ten obraz. Na pierwszym planie brzeg Wisły, widoczny drewniany most, który topniejąca kra zniszczyła bezpowrotnie w tysiąc sześćset trzecim roku, a także młyny, na wodzie barki i szkuty, okazały statek zwany dybasem, a nad tym

wszystkim oblepiona ogrodami skarpa. Na wzniesieniu sylwetki ciasno przylegających do siebie domów z drewna i czerwonej cegły oraz górująca nad nimi wieża ratusza, dach i zniszczona w trakcie potwornej burzy tysiąc sześćset drugiego roku, wówczas najwyższa w mieście dzwonnica kolegiaty Świętego Jana. A nad tymi budowlami kłębiaste – ogromne, ale sprawiające wrażenie lekkich – chmury na pogodnym niebie. Widok przesączony szklistym światłem, które przypominało blask przedzierający się do wnętrza kościoła przez witraże. Całość bardzo ujmująca, odwzorowana tak dokładnie, że gdy człowiek patrzył na ten widok, zdawało mu się, że sam stoi nad rzeką i patrzy na Stare Miasto.

– Odpoczywaj, Anno. Na co teraz myśleć o jakimś obrazie? Ledwo uszłaś z życiem. – Mąż pogłaskał żonę po bladym policzku.

– Śniłam... Warszawa spalona, ale ten obraz z jej dawnym wizerunkiem przetrwał. Wiem to, widziałam go we śnie. Ogień go nie zniszczył. Szukajcie go, musicie go odnaleźć. Szukajcie go! – Anna przymknęła oczy.

Biedaczka nie miała właściwego oglądu rzeczywistości.

– Tak, tak, teraz odpoczywaj – powiedział spokojnie Laurenty i zmienił żonie nasączony w specjalnym roztworze kompres, który cyrulik kazał zmieniać co pół godziny.

Jednak nie dawała mu spokoju świadomość, że właśnie ten obraz śnił się Annie w czasie gorączki, gdy walczyła o życie. Dlaczego nie jej perły, nie różne precjoza, których miała tak wiele?

Nie dał po sobie poznać, jak bardzo sprawa przywołanego przez żonę malowidła zaprzętała jego myśli. Teraz, gdy po wiekowym mieście zostały tylko zgliszcza, obraz pędzla Szpaka mógł się okazać wyjątkowo dużo wart. Ale jak mógłby przetrwać, skoro wszystkie domy przy Rynku i w pobocznych ulicach spaliły się do cna? Lutnista uświadomił sobie, że już od wielu miesięcy nie widział namalowanego na sporych rozmiarów desce obrazu. Że też nawet nie spostrzegł, gdy malowidło znikło z dużej izby na dole ich domu! Co się z nim stało?

– Zagraj mi, drogi mężu, chcę usłyszeć dźwięki ukochanej lutni – wyszeptała żona.

Kiedy usłyszała, że Laurenty nie może spełnić jej prośby, popadła w melancholię, która pogłębiała się z każdym kolejnym dniem. Nie pomogła gra na nowej lutni, nawet wspanialszej od poprzedniej, z otworem rezonansowym w kształcie misternej rozety, jaką Laurenty otrzymał kilkanaście dni po pożarze, gdy kapela królewska wznowiła swoją pracę.

Cyrulik zapewniał, że ciało Anny jest zdrowe, a jednak ona nie odzyskiwała dawnych sił i jej chęć do życia nikła. Nocą budziła się z krzykiem, dzień w dzień śniąc o ogniu piekielnym. Nie pomogły nawet odwiedziny księdza ani modlitwy w intencji jej chorej duszy. Sprawy ziemskie coraz mniej ją obchodziły, nawet widok małej Julianny nie cieszył tak jak kiedyś. Zawsze upatrywała w życiu szans

do polepszenia sytuacji rodziny, dotąd zaradna, zorganizowana, teraz nagle zobojętniała na wszystko. Nawet plany budowy nowego, murowanego domu, który miał zostać wzniesiony w miejsce poprzedniego, nie wzbudzały w Annie entuzjazmu ani chęci do działania.

Od kiedy Laurenty ją znał, była typem wiecznie niezadowolonej i narzekającej białogłowy, która często zamęczała go swoimi obawami o dzieci albo ich sprawy majątkowe. Teraz, po przeżyciach związanych z pożarem, nie sposób jej było dogodzić i każda kwestia spotykała się z jej krytyką.

Zmęczony postawą żony, udręczony odbudową domu, z niekończącymi się problemami finansowymi, pewnego dnia Laurenty nie wytrzymał i ostrym tonem upomniał małżonkę:

– Czemu nie potrafisz, pani, być wdzięczną Bogu za uratowanie ci życia? Byłaś o krok od śmierci, a twoje dzieci dorastałyby bez matki. Czyżbyś nie miała za co dziękować? – powiedział.

Anna nie odezwała się ani słowem.

Prace budowlane wymagały ciągłego nadzoru, a ponieważ całe miasto w obrębie murów przebudowano nie do poznania, ciężko było utrzymać i dopilnować dobrych budowniczych. Jednego muratora, przybyłego tu z Mediolanu, podkupił Laurentemu sąsiad. Kiedy muzyk znalazł drugiego, także Włocha, dużo bardziej łasego na pieniądze niż ten pierwszy, problemem okazał się murator. Ten, działając w pośpiechu, nie po myśli Anny zaprojektował izbę tylną domu, a stajnię mającą stać od podwórza finalnie narysował dla dwóch, nie czterech koni.

Nieustającym problemem było też zdobywanie gotówki, bo chociaż Rada Miejska pośredniczyła w udzielaniu tanich pożyczek na odbudowę, przekazywano pieniądze z opóźnieniem i nieustannie któryś z budowniczych rzucał w złości narzędzia i oświadczał, że nie ruszy palcem, dopóki nie dostanie do ręki swoich talarów.

Anna prawie nie interesowała się nowym domem, co bardzo niepokoiło Laurentego. „Może przeczuwa, że jej noga w tym domu nie zdąży stanąć?” – myślał, jednak z każdą sprawą przychodził do żony, chcąc poznać jej opinię i życzenia. Ale Anna była niezadowolona. Z tego, że dom będzie miał szerokość tylko trzech okien (choć poprzedni, budowany przez malarza budynek nie był wcale szerszy), nie podobały jej się belki, które miały podtrzymywać sufit, zielone kafle do pieców. Na bogate dekoracje, drogie tkaniny, kobierce i arrasy nie mieli środków, ale Anna tak długo narzekała, aż Laurenty ugiął się i zgodził zaciągnąć dodatkowy kredyt u brata żony, który jako rajca miejski należał teraz do grona najbardziej wpływowych patrycjuszy Starej Warszawy.

Baltazar Melcer nosił się jak wielki pan. Mimo upalnych dni przyodziewał się w kontusz z weneckiej tkaniny podbity oraz obsyty futrem i ozdobiony

czaplím piórem kołpak⁴. Wąsy podkręcał ku górze, golił włosy po bokach głowy, aby wyglądem przypominać szlachcica.

Laurenty szczerze nie znośił pychy, jaką prezentował szwagier. Ilekroć się widzieli, słyszał uszczypliwe uwagi na temat swojej sytuacji finansowej i pytania o dochody w kapeli królewskiej. Jednak ugiął się pod namowami żony i wziął sakiewkę dukatów od jej brata, licząc na to, że urządzenie nowego domu, wybieranie materii na ściany i baldachimy, firan i kobierców wyrwie Annę z letargu, w jakim się pogrążyła.

Ale tak się nie stało. Pewnego dnia, gdy ich murowany, dwupiętrowy dom już stał, żona Laurentego oświadczyła, że chce, aby mąż dał jej papier i pióro. Zamierzała spisać testament, gdyż – jak twierdziła – czuje, że pora odejść z tego żalosego świata.

Na upragnione spotkanie z Ojcem Niebieskim przyszło jej jednak poczekać ponad osiem lat.

Rozdział II

Jak pokochać to miasto

Jeśli żyjesz w środku świata

Musisz się liczyć ze wszystkim

Patrzą na ciebie żywi i umarli

ADAM ZAGAJEWSKI, *Nowy świat*

24 czerwca 2016 roku

Nad warszawskim Mokotowem wstał upalny dzień. Piątek, wyczekiwany przez tak wielu uczniów i rodziców dzień zakończenia roku szkolnego, moment rozpoczęcia upragnionych wakacji. Słońce z determinacją przebijało się przez bujną koronę czereśni widniejącej za oknem mieszkanca w przedwojennej kamienicy przy ulicy Narbutta.

Janek wstał na czas, teraz golił się szybko. W trakcie swojej dwuletniej kariery radcy prawnego spóźnił się do pracy może dwa, trzy razy i nigdy nie pozwolił sobie na pojawienie się w kancelarii nieogolony, bez krawata czy pedantycznie wyprasowanej koszuli.

Tania, jednorazowa maszynka sunęła po policzku jego kwadratowej szczęki, podczas gdy on intensywnie rozmyślał o pytaniach swojego współlokatora, które ten zadał mu w przerwie oglądanego w internecie meczu Euro 2016, podczas skromnej kolacji poprzedniego dnia. (Pod koniec miesiąca pozwalali sobie tylko na piwo i serdelki, ale przynajmniej mieli ten luksus, że mogli planować wyjścia do klubów i modnych knajp, gdy tylko trzydziestego czerwca wpłynie kolejna pensja). I właśnie wczoraj, podczas jednej z tych cienkich kolacyjek, Arek uczeplił się tematu Dany jak rzep psiego ogona.

– Ty się nigdy nie zastanawiałeś, kim był dziadek twojej prababci? Albo ojciec pradziadka? – dopytywał Janka. – To jest fascynujące, ale nie każdy ma czas i chęć grzebać w archiwach albo szukać w internetowych bazach. Tym bardziej gdy mieszka się poza krajem swoich przodków. Bo wspominałeś, że ojciec tej Dany był warszawiakiem z dziada pradziada, tak? I przed śmiercią zostawił jej list... Dziwisz się, że ona chce dowiedzieć się czegoś więcej? To naturalne, ja też bym tak zrobił!

Arek widział rzeczy takimi, jakimi były, i dlatego Janek od zawsze miał zaufanie do osądu swego współlokatora. Teraz na przykład Arek twierdził, że nowa

klientka kancelarii – o imieniu Dana i polsko brzmiącym nazwisku Spakowski – nie przyjeżdża do Warszawy tylko dlatego, że kierują nią względy finansowe i chęć szybkiego odzyskania nieruchomości na Długiej, ale jest osobą, która chce się czegoś dowiedzieć o kraju swoich przodków, którego nigdy wcześniej nie odwiedziła.



Dana znalazła ponoć namiary na kancelarię Sito, Krawczyk i Partnerzy,

szukając w internecie kontaktu do prawników zajmujących się odzyskiwaniem warszawskich nieruchomości, odebranych właścicielom dekretem Bieruta w latach pięćdziesiątych.

Kilka dni temu mecenas Sito przekazał Jankowi jej mejla. Wspominała w nim o liście, który przed śmiercią napisał do niej ojciec Michał Szpakowski. Nigdy go nie знаła, gdyż zaraz po jej narodzinach zostawił matkę z córką i zniknął z ich życia. Teraz okazało się, że Dana jest jego jedyną spadkobierczynią. Ojciec przekazał jej informację, że jego rodzina od kilkuset lat zajmowała się prowadzeniem hotelu Regina w Warszawie, który zlokalizowany był przy „Długa street”, jak napisała. Załączyła skany przekazanych jej wraz z listem dokumentów i pytała o możliwość zajęcia się przez kancelarię sprawą odzyskania praw do nieruchomości, na której posadowiony był zburzony w trakcie wojny hotel.

– Zajmij się tym. Sprawdź, czy ten rzekomy ojciec nie odwołał się od zawłaszczenia działki w latach pięćdziesiątych. Nawet jeśli tego nie zrobił, sprawa potrwa zapewne wiele lat, ale nie zrażaj klientki. Taka działka na Długiej, tuż przy Starówce, warta jest przecież fortunę. Co najmniej milion euro! – powiedział mecenas Sito.

Jeszcze tego samego dnia Janek napisał do Dany, informując ją, że został przydzielony do jej sprawy i rozpocznie odpowiednie działania, w pierwszej kolejności sprawdzając stan ksiąg wieczystych. Przesłał jej draft umowy na prowadzenie usług prawnych oraz poprosił o przekazanie mu wraz z podpisaną umową oryginałów dokumentów dotyczących działki.

Na swój profesjonalny, chłodny mejl otrzymał jeszcze tego samego wieczora dosyć osobliwą odpowiedź. Zdziwił go osobisty ton, jakaś uwierająca go poufałość bijąca ze słów tej kobiety. Nie był przyzwyczajony do tego typu korespondencji w ramach pracy w kancelarii i nie bardzo wiedział, jak odpowiedzieć na opisane wynurzenia.

Dana wspomniała, że zamierza przyjechać w lipcu do Warszawy, w której nigdy nie była, aby na własne oczy zobaczyć nieruchomość, która należała do jej rodziny. Pisała o tym, że przez całe swoje dotychczasowe życie nienawidziła ojca i nie chciała nic wiedzieć ani o nim, ani o kraju jego pochodzenia. Nigdy polskie korzenie nie miały dla niej znaczenia, przypominało o nich wyłącznie dziwaczne, przysparzające problemów nazwisko. Matka miała polskich rodziców, ale urodziła się w Bukareszcie, dokąd jej rodzina uciekła w trzydziestym dziewiątym roku i została na dobre.

Gdy Dana była mała, matka rozmawiała z nią po polsku, ale od momentu, gdy zamieszkały w Rzymie i obie uczyły się włoskiego, polszczyzna naturalnie wyszła w ich domu z użycia. Jej nieszczęsna matka, porzucona z małym dzieckiem, przez większość życia nosiła w sobie wielką gorycz i żal. Zginęła w wypadku samochodowym pięć lat temu.

Ojciec Dany, Michał Szpakowski (takie nazwisko Janek przeczytał na skanie jednego z dokumentów, zapewne tak też brzmiało oryginalnie nazwisko Dany), był jedynym spadkobiercą działki przy Długiej, na której przed wojną posadowiony był hotel Varsovie, całkowicie zniszczony w wyniku działań wojennych w trakcie powstania.

Dana zaintrygowała Janka. Jeszcze nigdy nie spotkał się z taką wylewnością ze strony klienta. Kim była? Jak wynikało z dokumentów, Szpakowski urodził się w tysiąc dziewięćset trzydziestym szóstym roku, więc w trakcie wojny był ledwie chłopcem, a w czterdziestym piątym roku wyemigrował – zapewne z kimś z rodziny – do Francji. Jego córka miała więc teraz prawdopodobnie ponad pięćdziesiąt lat, na co nie wskazywał jednak używany w korespondencji język angielski. Styl jej mejli pasował raczej do młodszej osoby, używała całej masy nowoczesnych skrótów. Ale w sumie, jaką to dawało pewność?

Odpisał na jej mejla w profesjonalnym stylu. Udzielił wyjaśnień odnośnie do tego, jak będą procedować w sprawie, na końcu zaś odniósł się do kwestii zapowiedzianej przez Danę wizyty w kancelarii. Podkreślił, że w Warszawie na początku lipca odbędzie się szczyt NATO, co spowoduje ogromne utrudnienia w poruszaniu się po mieście, i okres ten nie będzie najlepszym momentem, aby zwiedzać miasto. Zaproponował też, że prześle podpisaną przez mecenasa Sitę umowę o współpracy pocztą, i prosił, by po jej podpisaniu Dana ją odesłała. Osobista obecność w tej sprawie nie będzie konieczna.

Odpowiedział jej tak jak każdej nowej klientce, i tyle. Czuł jednak, że ta sprawa już na samym początku wykracza poza standardowe ramy współpracy prawnik – klient. Nic nie wiedział o tej kobiecie, nie znał na razie nawet jej adresu. Powołując się na konieczność określenia prawa właściwego dla ewentualnych sporów, zapytał w mejlu o to, czy jest obywatelką Unii Europejskiej. O to mógł zapytać, ale o nic więcej.

„Właśnie kupiłam bilet, przylatuję do Warszawy w przyszły piątek. Mam prośbę: czy będziesz mi mógł poświęcić trochę czasu?” – napisała w kolejnym mejlu.

„Ciekawe, skąd przyleci?” – przemknęło przez myśl Jankowi i sam się sobie zdziwił. Co właściwie obchodzi go ta cała Dana?

– Tak cię zaintrygowała ta kobieta? Szukasz nowej dziewczyny? – kpił sobie z niego Arek.

Janek kazał mu spadać. Jego związki z kobietami ostatnio kończyły się szybciej niż wówczas, gdy miał dwadzieścia lat. Nauczył się szybko analizować swoje partnerki pod kątem tego, czy przystają do jego wizji przyszłości, i od razu rezygnować, nie chcąc tracić czasu na coś bez perspektyw.

Za dwa, trzy lata i tak zamierza wynieść się z Warszawy, która nigdy nie stała się miejscem, gdzie chciałby założyć rodzinę i się zestarzeć. Wyścig

szczurów, zabieganie o uznanie szefa, nieustanne zadowalanie klientów i szukanie nowych – już wie, że to nie jest praca dla niego. Marzy o odłożeniu odpowiedniej ilości gotówki i otworzeniu małej kancelarii prawnej w rodzinnym Płocku, wychowywaniu tam dzieci, najlepiej trójki, z żoną, której nie będą zżerać ambicje zawodowe, dla której ważny będzie wspólny dom, obcowanie z naturą, obserwowanie ptaków, biwakowanie w lesie, chodzenie po górach i święty spokój. Janek kieruje się w życiu dewizą zaczerpniętą z *Kandyda* Woltera: *Il faut cultiver notre jardin*⁵. Wielka polityka i ważne sprawy tego świata tak naprawdę nie są częścią jego życia – nie zamierza się w nie wtrącać i pragnie skupić na swoim prostym szczęściu.

Jednak do tej pory tu w Warszawie nie spotkał kobiety, która pasowałaby do jego wizji.

– Cześć, jestem Dana – zaczęła po polsku z akcentem, który przypominał mu wymowę Azjatów. – Proszę, mówmy sobie po imieniu, dobrze? Ale upa! Nie myślałam, że może być u was aż tak gorąco! – przeszła na angielski.

Jej połyskująca od potu skóra koloru cynamonu świadczyła o tym, jak bardzo jest jej gorąco. Sięgające łopatek czarne, proste włosy co chwila zbierała w dłoń, zdecydowanym ruchem zawijała w kucyk i przekładała na jedną stronę. Gdy mówiła, gestykulowała, nieustannie poruszała głową i dłońmi. W uszach kołysały się wielobarwne kolczyki przypominające te z obrazów Fridy Kahlo. Sięgająca kostek sukienka z lejącej się tkaniny w kolorze kobaltu miała niestety długie rękawy, których Dana nie zdecydowała się podwinąć. W okolicy pach widać było ciemniejsze zabarwienie materiału – ewidentnie plamy potu, a jednak kobieta emanowała przyjemnym zapachem czegoś ciepłego, miękkiego i orientalnego.

Zasypując Janka pytaniami, co chwila błyskała białymi zębami w szerokim uśmiechu. Czarne włosy, czarne oczy i ciemna skóra przywodziły mu na myśl czarownicę. Dobrą czarownicę.

Była bardzo drobna, nie mierzyła więcej niż metr pięćdziesiąt i kiedy wyciągnęła rękę w kierunku mierzącego metr dziewięćdziesiąt dwa Jana, uniosła ją do góry jak dziecko witające nieznajomego. Trudno byłoby sobie wyobrazić bardziej niedobry duet: wysokiego, tyczkowatego młodego mężczyznę w garniturze, schludnie ogolonego, ostrzyżonego i w okularach w rogowych oprawkach, oraz malutką kobietę o śniadej cerze i wystających, wyraźnie zarysowanych pod materią sukienki pośladkach (Janek od razu wychwycił ten szczegół w jej anatomii). Ubrana była niekonwencjonalnie, jak jakaś artystka, o czym świadczyła w mniemaniu Janka wielka torba w krzykliwe napisy i graficzne wzory. Do tego nie potrafił określić jej wieku. Na pewno była od niego starsza, ale z pewnością nie miała pięćdziesięciu lat. Więc ile?

– Moja matka była polską Cyganką, rodzina uciekła do Bukaresztu. Ojca poznała, pracując w Sztokholmie, on był starcem, który zapewnił byt biednej

dziewczyni z komunistycznego świata... Urodziłam się w Sztokholmie, chociaż mieszkałam tam tylko kilka miesięcy, stąd mam obywatelstwo szwedzkie. Matka zabrała mnie do rodziny, do Bukaresztu, potem przeprowadziłyśmy się do Rzymu. Bardziej czuję się Włoszką, a w zasadzie obywatelką świata! – Dana mówiła płynnym angielskim, z typową dla Włochów intonacją. Co chwila uśmiechała się szeroko.

– A kim jesteś z zawodu? – Zanim uświadomił sobie, jak niestosowne było to pytanie z ust prawnika, wypowiedział je na głos.

– Jestem pisarką!

– A co piszesz? Kryminały? – spytał. Tylko z tego typu literaturą kojarzyła się Jankowi Szwecja.

– Och, bardzo różne! Na przykład biografie znanych ludzi. Ostatnio wydałam książkę o aktorce Audrey Hepburn.

Janek uśmiechnął się cierpko. Skąd miałby wiedzieć, kim była wspomniana aktorka?! Zaproponował Danie kawę, poprosił sekretarkę o napoje, po czym zaczął swój stricte prawniczy dyskurs.

Kobieta wstała od stołu konferencyjnego i podeszła do zamkniętego okna.

– Mogę otworzyć? – spytała, przerywając mu wypowiedź na temat dekretu Bieruta, na podstawie którego własność warszawskich nieruchomości przeszła w ręce państwa.

– Klimatyzacja przestanie działać – odparł Jan.

Jakże męcząca była ta kobieta ze swoją gadatliwością i wylewnością. Czuł się przy niej bardzo niekomfortowo, wręcz niestosownie w swojej roli zdystansowanego prawnika.

Tymczasem Dana otworzyła na oścież okno, przez które wdarły się odgłosy ulicy oraz niesforne liście czereśni.

– Nigdy nie widziałam czegoś podobnego! Owocujące drzewko za oknem, zobacz! Można sobie sięgnąć po owoc! – to mówiąc, chwyciła czerwoną, małą czereśnię i zerwała ją szybkim szarpnięciem. Wyciągnęła ku niemu dłoń z owocem leżącym na jej środku.

Usta Janka wykrzywił lekki grymas, po czym mężczyzna wrócił do wywodu. Mówił o kwestiach, które trzeba zweryfikować w sądach, w urzędach, a także w archiwach. Widząc jednak, że Dana wcale go nie słucha, stwierdził w końcu, że nie może podać profesjonalnie oszacowanej kwoty, ale działka na Długiej może być warta kilka, może nawet kilkanaście milionów euro. Wypowiedział dobitnie sumę, obserwując reakcję klientki. Ta zmarszczyła brwi i po chwili milczenia odparła:

– Mam propozycję. Mamy, zdaje się, porę lunchu, może skoczmy razem na obiad? Padam dosłownie z głodu. W samolocie dostałam tylko batonik, a w domu nie zdążyłam zjeść śniadania!

Janek westchnął zrezygnowany i po kilku minutach wyszli na zalaną słońcem ulicę Kazimierzowską. Dana chciała choć przez chwilę zagłębić się w tonące w zieleni uliczki, poszli więc w kierunku Narbutta, a Janek zaczął tłumaczyć, że znajdują się w dzielnicy Stary Mokotów, stosunkowo mało zniszczonej w trakcie wojny. Przypomniawszy sobie czytany gdzieś ostatnio w necie artykuł i chcąc wykazać się elokwencją, powiedział, że nazwa dzielnicy wzięła się od francuskiego określenia *mon coteau*, czyli mój zakątek.

– *Mon coteau*, Mokotów... – Dana powtórzyła francuską i polską wersję, jakby smakowała te słowa.

Zachwycając się skrytym pomiędzy kamienicami skwerem przy Narbutta, dotarli przed budynek zajmowany przez Instytut Kinematografii i kino Iluzjon, w części którego znajdowała się Café Iluzja. Na gałęziach drzew leniwie kołysały się kolorowe lampiony, na wystawionych na zewnątrz leżakach polegiwało kilka osób. Dana uparła się, że muszą się napić tu czegoś zimnego i coś zjeść.

– Jak tu pięknie! – zawołała, ale kiedy jej wzrok padł na widoczny w gablocie plakat filmu Felliniego *Dolce Vita*, wydała się wyraźnie poruszona. – Coś takiego! Uwielbiam ten film... Tam grała Anita Ekberg, o której kiedyś napisałam książkę. Widziałeś to? Pamiętasz słynną scenę kąpieli w fontannie di Trevi?

Niestety, Janek nie pamiętał, choć może kiedyś widział, kto wie.

Zamówili lemoniadę i wegańskie pierogi. Janek musiał tłumaczyć, czym jest to danie, tradycyjna potrawa zmodyfikowana zgodnie z gastronomiczną modą, której on nie hołduje. Najlepsze pierogi, i to z mięsem, robi jego matka w Płocku.

– Może mnie tam kiedyś zabierzesz i poczęstujesz pierogami mamy? – Dana uśmiechnęła się filuternie i Janek dostrzegł zmarszczki wokół jej oczu. Pomyślał, że trafił na wariatkę, zupełnie jak kiedyś, gdy jego patron w trakcie aplikacji radcowskiej scedował na niego urzędową obronę kobiety, która wyłudzała odszkodowania od firm produkujących słodycze. Rzekomo łamała sobie zęby, otwierając opakowanie dropsów. Przez ponad dwa lata Janek nie mógł się uwolnić od tej szalonej kobiety, która potrafiła zadzwonić do niego o pierwszej w nocy i przedstawiać swoje pomysły odnośnie do argumentacji w piśmie procesowym.

Jedzenie w trakcie polegiwania na leżaku nie należy do najbardziej przyjemnych czynności, zwłaszcza gdy jest się w garniturze. Janek odliczał w myślach czas, chcąc jak najszybciej wrócić do świata klimatyzowanych wnętrz i swoich spraw zawodowych, w których czuł się pewnie.

Na leżakach ustawionych pod drzewem, na gałęziach którego kołysały się papierowe kule lampionów, usiedli nagle dwaj osobliwie wyglądający młodzi mężczyźni. Zgodnie z aktualną modą mieli zaczesane do tyłu, podgolone po bokach włosy, wypielęgnowane brody i wąsy. Obaj nosili podobne ciemne okulary pilotki i mokasyny z widocznym logo drogiej marki. Jeden z nich ubrany był

w czerwone spodnie i beżowy T-shirt ze sporym dekoltem, odsłaniającym opaloną i wyrzeźbioną klatkę piersiową. Jego przedramiona pokrywały kolorowe tatuaże z motywem róży. Drugi z mężczyzn miał na sobie kobaltowe szorty i białą koszulę, spod której – jak u kolegi – wyłaniały się gęste rysunki na skórze. Nie odzywali się do siebie, tylko patrząc w swoje smartfony, popijali prosecco.

Nagle ten w czerwonych spodniach sięgnął do wielkiej, plastikowej klatki, którą przynieśli ze sobą, po czym wyjął z niej wielką, przepiękną papugę o czerwonych, zielonych i żółtych piórach. Egzotyczny ptak spokojnie usiadł na jego ramieniu i dumnie powiódł wzrokiem wokół. Dana wpatrywała się w ten niecodzienny obrazek jak urzeczona.

– Muszę zrobić im zdjęcie! Są po prostu cudowni! – W jej głosie pobrzmiwała egzaltacja.

Dana podeszła do mężczyzn i spytała, czy może ich sfotografować. Kiwnęli głowami, a ona pstryknęła kilka zdjęć wyjętą z przepastnej torby lustrzanką. Kolorowy ptak siedział jak zaczarowany na ramieniu spoczywającego na leżaku mężczyzny.

W trzydziestostopniowym skwarze jedzenie pierogów z soczewicą okazało się pewnym wyzwaniem. Twarz Dany zaczęła świecić się jeszcze mocniej. Dłonią ozdobioną w kolorowe pierścionki kobieta otarła krople potu ze skóry nad grubymi wargami. Jankowi zrobiło się jej trochę żal, więc zaprosił ją na lody do lokalu, który znaleźli tuż obok.

Kilka minut później usiedli na jednej z ławek wśród drzew, z kubeczkami ozdobionymi rysunkiem jednorożca i w milczeniu konsumowali modne smaki: sorbet czekoladowy, śliwkę w winie i słony karmel.

– Słuchaj, wiem, że to nie należy do twoich obowiązków, jestem tylko klientką, ale przyjechałam tu, żeby zobaczyć trochę Warszawy, a nikogo tu nie znam... Pomyślałam, że może mógłbyś mi pokazać jakieś ulubione miejsca w mieście, rano jadę na Długą, żeby zobaczyć działkę, która należała do rodziny mojego ojca. Chcę zobaczyć to miejsce, rozumiesz? Ale nie wiem, co dalej, dokąd iść? Mam przewodnik, ale jest taki jakiś... – powiedziała Dana.

„O, nie!” – krzyknął w myślach Janek. Jutro jest przecież sobota! W dodatku o piętnastej mecz Polska – Szwajcaria, a stawką jest przejście drużyny do jednej ósmej finału Euro! Tego nie może przecież przegapić, być może Polaków czeka historyczny awans. Z drugiej strony wiedział, że jeśli odmówi, klientka nie będzie zadowolona. A przecież ta sprawa to potencjalnie ogromny zarobek dla kancelarii, no i dla niego! Mecenasa Sito obiecał mu pięć procent *success fee*, jeśli nieruchomość zostanie zwrócona przez władze Warszawy prawowitej właścicielce.

– Ale mam czas tylko rano, do czternastej trzydzieści. Spotkajmy się rano na Długiej, przy kościele. Napiszę ci nazwę na kartce, podaj ją, proszę, taksówkarzowi.

Na odwrocie swojej wizytówki napisał „katedra polowa na Długiej”. Pomyślał, że obejrzą sobie ulicę, potem może zawrócą na Starówkę i pokaże Danie Rynek i Zamek, kolumnę Zygmunta, może fragment Krakowskiego Przedmieścia. Co więcej można pokazać cudzoziemce? Ewentualnie Łazienki, ale na to nie starczy już czasu. Pałac Kultury widzi z okien swojego apartamentu w hotelu Westin, o czym zdążyła już wspomnieć. No więc tyle.

Kiedy wieczorem zasiedli z Arkiem na kanapie z piwem, aby na ekranie laptopa obejrzyć mecz, Janek spytał kolegę, co jego zdaniem powinien polecić Danie jako godne obejrzenia w Warszawie. Muzeum Żydów Polskich? Niestety, sam jeszcze nie zdążył zwiedzić Polinu... Na pewno Muzeum Powstania Warszawskiego, może Centrum Nauki Kopernik.

Arek spojrział na niego z niesmakiem i spytał poirytowany:

– Stary, ile lat tutaj mieszkasz? Naprawdę nie wiesz, co pokazać?

– Przecież nie jestem stąd...

– Tutaj prawie nikt nie jest stąd! Ilu znasz warszawiaków z dziada pradziada? Prawie każdy ma rodzinę poza Warszawą, ale nawet jeśli mieszka tu od lat, nie mówi, że jest stąd. Nie rozumiem tego podejścia. Ktoś po kilku latach przebywania w Nowym Jorku z dumą mówi, że czuje się nowojorczykiem, a powiedzieć, że czujesz się warszawiakiem, to raczej wstyd, prawda? Mieszkamy tu, pracujemy, psioczemy na to miasto, dlaczego nie uważamy go za nasze?

Rzeczywiście... Janek mieszkał tu prawie od dziesięciu lat! Studia na Uniwersytecie Warszawskim, wynajmowana z kilkoma kolegami klitka na Pradze, potem praca w małej kancelarii na Ursynowie, rok w kancelarii na Żoliborzu i trzeci rok tutaj, na Mokotowie... To niemało. Powinien znać to miasto, mieć do niego jakiś stosunek emocjonalny. Z początku go nienawidził, czuł się kompletnie wyalienowany, nie miał znajomości i koneksji, które tutaj zwłaszcza – jak mu się zdawało – były podstawą sukcesu. Miotał się, odbijał od muru, podobnie jak jego koledzy. Tutaj każdy był skądś: ze Szczecina, Olsztyna, Lublina, z całego kraju, tylko nie z Warszawy. Każdy czekał na weekend, aby tylko pojechać do domu i w niedzielę wrócić z zapasami żywności, które pomagały przetrwać kolejny tydzień. Wszyscy tęsknili i narzekali na tempo życia, ceny i mody, które zmieniają się jak w kalejdoskopie.

Najbardziej irytowało go to, że w Warszawie nieustannie trzeba było gonić za czymś nowym. Jego znajomi szukali nowych wrażeń, nigdy nie spotykali się kilka razy z rzędu w tym samym miejscu. Najważniejsze było to, co nowe: nowo tworzona knajpa, targ śniadaniowy, targ nocny z tajską żywnością, festiwal food trucków, silent disco, leżaki, drip, wegańskie burgery, lemoniada w słoiku, surowa ryba ceviche, wyrafinowane ciastka o dziwnych nazwach, bajgle, kaszanka, flaki po warszawsku (z pulpetami), wódka i smalec, szampan i truskawki, lody z koperkiem i bazylią, drożdżowe bułki po siedem złotych sztuka, wegański sernik

bez sera, argentyńska wołowina, belgijskie frytki, kuchnia mongolska, pudding z kaszy gryczanej, ziemniaki z sosami na wynos, lejące się strumieniami prosecco, chleb z czarnuszką, koktajle z jarmuży, budyń z chia... Och, jakie to było męczące!

Duszny sobotni poranek zapowiadał kolejny upalny dzień. Kiedy Janek dotarł na jedenastą na plac Krasińskich, termometr uliczny pokazywał już trzydzieści pięć stopni. „To będzie męka” – pomyślał, kierując się w stronę katedry polowej i wypatrując drobnej, czarnowłosej kobiety. Nagle usłyszał dobiegające gdzieś zza jego pleców wołanie:

– Janek... *I'm here!* – Dana wymówiła jego imię, akcentując pierwszą sylabę. Zabrzmiało to krótko, ostro i dziwnie.

Odwrócił się. Jej drobna postać przypominała mu koleżankę ze studiów, która była karlicą – tak Dana wydała się drobna na tle masywnego pomnika Powstania Warszawskiego. Pomachała do niego, a kiedy Janek się zbliżył, pocałowała go w policzek, jakby znali się od dawna. Poczul się skrępowany. Dana ubrała się w powłóczystą suknię, w której wygląda jak wielobarwny motyl. Włosy upięła w wysoki kok. Dzisiaj wydała mu się niewiele od niego starsza, ale przecież dobiegała czterdziestki. Poprzedniego dnia poprosił ją o dane do umowy i pokazała mu swój paszport.

Od razu zaznaczył, że ma czas tylko do drugiej, bo o piętnastej Polacy grają ze Szwajcarią mecz o ćwierćfinał Euro. Poszli w kierunku przecinającej plac ulicy Długiej: działka Szpakowskich musi się znajdować po prawej stronie, bliżej arsenału i placu Bankowego.

Dana zdążyła już trochę pospacerować ulicami Warszawy i stwierdziła, że to miasto wydało się jej bardzo dziwne. Mieszkała w wielu miejscach na świecie, ale tutaj razi ją chaotyczna zabudowa, której przyczyną jest zapewne tragiczna historia miasta. Ta nazwa WARSAW mówi tak naprawdę wszystko. WAR-SAW – miasto, które widziało wojnę! Te wszechobecne tablice, pod którymi leżą świeże kwiaty, na każdej uliczce, na niektórych niemal co krok, to robi niezwykle wrażenie. Czyta napisane na nich słowa, nie wszystko rozumie. Jakby się chodziło po cmentarzu. Tu informacja o murze getta, tu o rozstrzelanych cywilach... Tego jest mnóstwo, wszędzie.

Widziała tego ranka w swoim tablecie zdjęcia miasta zamienionego przez hitlerowców w morze ruin, była wstrząśnięta, a jednocześnie pełna podziwu dla ludzi, którzy odbudowali stolicę. Przez tę szybką odbudowę w duchu socjalizmu nie wszystko odtworzono, architektura miasta jest bardzo eklektyczna, a to, jak przyznała, ogromnie ją razi. Klasycystyczne kamienice sąsiadują z komunistycznymi blokami, domy modernistyczne z blokami, kościoły z nowoczesnymi, szklanymi budynkami...

– Było takie hasło: „Cały naród buduje stolicę”. Zwożono tutaj autokarami ludzi z wielu miejsc w kraju. Mój dziadek był przywożony z Płocka... To

historyczne miasto nad Wisłą, oddalone stąd o około sto kilometrów. Później dali dziadkowi medal za odbudowę Starówki – wyjaśnił Janek. – Właściwie w czterdziestym czwartym roku zburzono miasto nie po raz pierwszy. Warszawa została całkowicie zniszczona przez Szwedów w połowie siedemnastego wieku. Słyszałaś o potopie szwedzkim? Uczyli cię o tym w szkole?

Dana kiwnęła niepewnie głową.

– Niestety, nie wiem właściwie nic o polskiej historii. Nie znałam dziadków, zmarli, gdy byłam mała, a mama nigdy nie była w Polsce. Do szkoły chodziłam w Rzymie, studiowałam w Stanach Zjednoczonych i pracowałam jako wolontariuszka na Haiti. – A widząc zaskoczenie malujące się na twarzy Janka, dodała ze śmiechem: – Mówiłam, że jestem obywatelką świata!

– A teraz gdzie właściwie mieszkasz?

– Wszędzie! Co kilka miesięcy gdzie indziej. W zeszłym roku pracowałam nad biografią pewnej pisarki, mieszkałam więc w Wenecji, tutaj przyjechałam z Islandii. Może teraz czas na Polskę?

Ruszyli w kierunku skrzyżowania z Miodową. Janek poprzedniego wieczoru trochę przeczytał na temat ulicy Długiej, żeby teraz móc opowiedzieć coś o niej Danie: w czasach gdy Warszawa nie była stolicą kraju, był to ważny trakt łączący Nowe Miasto i ulicę Freta z drogą do Sochaczewa i Łowicza... Oto barokowy kościół o dwóch wieżach pod numerem piętnastym, który ufundował polski król Władysław IV dla ojców pijarów... Widoczna nieco w dali dzwonnica należy do kościoła Świętego Ducha przy Freta.

Dana zrobiła kilka zdjęć lustrzanką Canona, którą nosi zawieszoną na pasku na szyi. Ruszyli węższym odcinkiem Długiej, miejscami sprawiającym wrażenie dosyć zaniedbanego. Przystawali pod niektórymi z odbudowanych po wojnie kamienic i pałaców (tu przecież toczyły się bardzo ciężkie walki w okresie powstania warszawskiego), Danę interesowała każda tablica wisząca na budynku, historia danej budowli, nawet to, jaka instytucja albo firma obecnie ją zajmuje.

Janek pomógł jej odcyfrować wszystkie napisy widoczne na tablicach, posiłkując się informacjami na szybko znalezionymi w smartfonie. Sam przechodził tą ulicą zapewne kilkaset razy, ale nigdy nie przyszło mu do głowy, aby sprawdzać, co stało kiedyś pod danym numerem i czym jest w istocie klasycystyczny pałacyk.

Pod numerem dwudziestym czwartym mieści się biblioteka, dalej pod numerem dwudziestym szóstym w dawnym pałacu Marii z Lubomirskich Radziwiłłowej wzniesionym pod koniec osiemnastego wieku znajduje się biuro Rzecznika Praw Obywatelskich. Dana zrobiła serię zdjęć. Pod numerem dwudziestym ósmym kamienica Na Lasockiem, dzisiaj Instytut Sztuki Polskiej Akademii Nauk. Minęli skrzyżowanie ze ślepą uliczką Barokową, którą kończy brama do parku, i doszli do urokliwego pałacu Pod Czterema Wiatrami, którego

charakterystycznym elementem są figury na ogrodzeniu oddzielającym dziedziniec od ulicy. Wybudowany w tysiąc sześćset osiemdziesiątym roku przez sekretarza królewskiego, przebudowany potem w stylu rokoko obiekt stanowi obecnie siedzibę Ministerstwa Zdrowia i Biuro WHO. Z tego, co Janek wyczytał w internecie, pałacyk jest znany z tego, że od lat zamieszkiwały w nim duchy.

Dana, zachwycona pałacykiem, zaczęła pstrykać zdjęcia. Zapewne pomyślała, że to jest właśnie nieruchomość należąca przed wojną do jej rodziny. Dopiero po chwili Janek wyprowadził ją z błędu:

– Nie! To nie tutaj! To jest już numer trzydzieści osiem przez czterdzieści! Minęliśmy twoją działkę!

Cofnęli się kilka kroków w kierunku Starego Miasta i stanęli pod dwuczłonowym blokiem – typowym okazem budownictwa socjalistycznego. Oto jest, poszukiwany przez nich adres Długa 30/34. To jest właśnie ten mieszkalny budynek, z niższym dwupiętrowym skrzydłem przy Długiej i czteropiętrowym skrzydłem cofniętym ku ulicy Barokowej.

– To jest twoja działka! Całkiem spora, z parkingiem przed blokiem będzie z tysiąc pięćset metrów! – stwierdził Janek, patrząc na blok.

Dana spojrzała bez słowa. Może pomyślała o tym, że kiedyś stanie się właścicielką tej parceli. Zrobiła serię zdjęć, nie komentując tego, co zobaczyła.

– Trudno sobie wyobrazić, że tutaj stała klasycystyczna kamienica, a w niej mieścił się elegancki hotel Regina... Nie należał z tego, co wiem, do najnowocześniejszych, ale wiązała się z nim jakaś tragiczna historia. Ktoś znany wyskoczył stamtąd z okna i był później sparaliżowany. Niestety, nie pamiętam nazwiska, jakiś aktor czy polityk... A wiesz, znalazłam dzisiaj rano na Facebooku kogoś z rodziny mojego ojca! Jakaś pani Mira, urocza blondynka około sześćdziesiątki. Prowadzi hotel dla psów!

Rozdział III

Błoto i muzyka

Żona ma być tak wdzięczna, jak winna macica,

Bogobojna, wstydliva, pilna robotnica;

Nieswarliwa, cierpliwa, trzeźwa, ochędożna,

Jednej myśli z małżonkiem, do tego nabożna;

Ozdobą męża swego, z którym wiernie ona

Potomstwo na świat puszcza, niczym nie zganiona.

Na żenięć rząd należy, a zwłaszcza domowy,

A nad nią zaś, jako pan, jest rozum męzowy.

BALTYZER Z KALISKIEGO POWIATU

Kwiecień Anno Domini 1616

1.

W dniu, w którym panna Kalina Melcerówna pierwszy raz ujrzała Warszawę, miasto wzbudziło w niej złe przeczucia. Pomyślała, że dobrze zrobiła, mając przy sobie ukryty na szyi wisior, dający ochronę przed nieprzyjawnymi mocami. Zanim opuściła rodzinną Brodnicę i udała się w podróż na grzęznącym w błocie wozie, w towarzystwie poczciwego i gadatliwego jezuitę, zaopatrzyła się w amulety mające chronić ją przed złem, jakie spodziewała się napotkać w mieście sejmowym.

Nigdy nie widziała człowieka, do którego pomimo jej sprzeciwu wysłała ją matka, chociaż formalnie był szwagrem Kaliny i mężem jej przyrodniej, dużo starszej siostry Anny Źmijowej, poczętej z pierwszego małżeństwa ojca.

Kiedy tylko do Brodnicy dotarła wieść o śmierci Anny w połogu, matka Kaliny z miejsca postanowiła wyswatać młodszą córkę z Laurentym, który jawił się jej jako świetna partia. Melcerowa wiedziała, że Źmij był niezależnym od cechu królewskim muzykiem, z własnym domem w Starej Warszawie, mężczyzną w sile wieku (jak liczyła, dobiegał teraz trzydziestego ósmego roku życia), w dodatku ojcem trójki własnych dzieci, nie licząc syna z pierwszego małżeństwa Anny, który – jak powiadano – wyjechał do cudzoziemskich krajów na nauki malarskiego rzemiosła.



Musiło się Żmijom dobrze powodzić! Trzeba było działać szybko, bo zapewne wiele chętnych panien już czekało, aby zająć się domem i dziećmi Żmija. Kalina miała niewielkie szanse, gdyż jej potencjalny posag był bardzo mały. Ale jako dziewiętnastoletnia zdrowa dziewczyna o zaokrąglonych kształtach i jasnych włosach, miała szansę zauroczyć szwagra.

Nie słuchając błagań pragnącej zostać w domu córki, jej matka, Urszula

Melcerowa – od niedawna wdowa po ochmistrzu brodnickiego zamku – z determinacją wprowadzała swój plan w życie. Problemy majątkowe, z jakimi borykała się po zgonie męża, zmuszały ją do szybkiego usunięcia córki z domu. Po tym, jak spłaciła wstydlive długi osiemnastoletniego syna, ukochanego Sebastiana, nie licząc niewielkiego folwarku w pobliżu brodnickiego zamku, ze spadku po ochmistrzu nic już nie zostało.

Ledwie pogrzebano córkę jej świętej pamięci małżonka i żonę Laurentego, zapobiegliwa wdowa zaczęła pisać do muzyka listy wyrażające współczucie, a także chęć odwiedzenia jego rodziny i biednych dzieci, którym przyjdzie wychowywać się bez matki. Uprosiła malarza, który wykonywał malunki na sufitach komnat zamku przebudowywanego przez starościny brodnicką, Annę Wazównę, siostrę rodzoną samego króla, o wykonanie portretu córki. Dzięki sowitej zapłacie malarz obiecał, że Kalina zostanie na nim ukazana bez pieprzyka nad ustami, a także z rozpuszczonymi blond włosami.

Cała intryga Melcerowej była dosyć ryzykownym posunięciem, z małymi szansami na powodzenie, bo przecież rzadko kiedy wdowiec, nie zważając na oskarżenia o kazirodztwo, brał za kolejną żonę siostrę zmarłej. Ale Urszula wierzyła w możliwości i urodę Kaliny, a także jej umiejętności warzenia mikstur miłosnych, które – gdyby dziewczyna tylko chciała – zagwarantowałyby jej zainteresowanie muzyka. Posłała więc Laurentemu konterfekt Kaliny, nadmieniając, iż jest ona tak podobna do zmarłej siostry, iż jej wizerunek przypomni mu nieco ukochaną małżonkę.

Pocieszała córkę, że jeśli Laurenty znajdzie lepszą kandydatkę z okazałym posagiem, Kalinie pomoże urządzić się w Warszawie jej starszy brat Baltazar. Taki wpływowi rajca Starego Miasta Warszawy powinien pomóc szukającej męża przyrodniej siostrze.

Kalina nie miała innego wyjścia, jak pożegnać ukochaną Brodnicę. Matka była nieprzejednana i zaczęła jej grozić oddaniem do klasztoru. Z racji braku należytego posagu zakon, do którego Kalina mogła trafić, byłby zapewne ubogi i położony gdzieś na krańcach Rzeczypospolitej, z dala od ukochanych lasów i łąk, po których Melcerówna spacerowała w każdej wolnej chwili. Zbierała zioła, grzyby, suszyła kwiaty. Nic, czego w życiu zaznała, nie mogło równać się z darami, jakie ofiarowywała natura – matka Ziemia, bogini, którą Kalina w sekrecie czciła.

W trakcie wielogodzinnej, monotonnej podróży niewygodnym, drewnianym wozem Kalinie dotrzymywał towarzystwa i – na prośbę matki – strzegł jej bezpieczeństwa pewien jezuita, który po kilku tygodniach pobytu w Brodnicy wracał do Warszawy.

Ojciec Bonifacy miał wesołą naturę i wyraźnie lubił skupiać na sobie uwagę. Milcząca i smutna współtowarzyszka podróży nie dawała się wciągnąć

w rozmowę, więc jezuita sam zaczął opowieść o przyczynie swojego pobytu w Brodnicy. Otóż jako jedyny spadkobierca swojego wuja, szlachcica herbu Bończa, Bonifacy odziedziczył liczne dobra i włości zmarłego, z czego otwarcie się cieszył, zamierzając przeznaczyć duże sumy na kolegium jezuickie, które wkrótce miało zostać otwarte w Warszawie.

Zniecierpliwiona opowieściami ojca Bonifacego, który z radością rozprawiał o wielkim szczęściu, jakim był nieoczekiwany spadek, Kalina zapytała wprost, czy duchownemu przystoi tak otwarcie okazywać zadowolenie z powodu zgonu członka jego rodziny. Zdziwiony bezpośredniością dziewczyny, ojciec Bonifacy odparł, iż zgodnie z naukami jezuitów dozwolona jest radość po czyjejś śmierci, o ile jest się beneficjentem dużego spadku po takiej osobie. Spojrzał wnikliwie na Kalinę, która nie kryła niesmaku, i przestrzegł ją przed okazywaniem hardego charakteru.

– Widzę, że waćpanna jesteś narowista i odważna. Ale niech waćpanna pamięta, że niewiasta, zwłaszcza taka, która czeka na kandydata na małżonka, musi być skromna i cnotliwa! Twoja czcigodna matka jest silną, prawą białogłową, nie wierzę, że nie wpoila ci zasad, jakie obowiązują wszystkie panny w zacnym towarzystwie! – Ojciec Bonifacy sapnął. Na jego okrągłej twarzy malowało się wielkie zaangażowanie. Widać było, że pouczanie innych było jego życiową misją. – Niech waćpanna Kalina nie zapomina, że białogłowa sama nigdy pierwsza nie zadaje pytań, jedynie odpowiada, a i to z oczami skromnie spuszczonejmi w dół. Nie wpatruj się z podejrzliwością w mówiącego, bo nigdy żaden mężczyzna nie weźmie cię za żonę! – ciągnął ojciec Bonifacy.

Kalina słyszała już nieraz tego typu mądrości z ust matki. Sama jednak w duchu postanowiła, że nie nagnie się do wymogów, które czyniły z kobiety bezwolną, podporządkowaną woli mężczyzn.

Dziewczyna miała ułożony w głowie pewien plan dotyczący swojej przyszłości w Warszawie, którego koniecznym elementem wcale nie było poślubienie tego nieznanego Laurentego i zostanie macochą jego dzieci. Oczywiście swoich zamiarów nie zdradziła ani przed matką, ani przed nikim innym.

Teraz tylko westchnęła i nie zwracając uwagi na niestosowność swojego zachowania, odwróciła głowę od ciągle przemawiającego jezuitę. Patrząc na mijane płaskie pola, gęste bory, gdzie na drzewach ukazywały się gdzieniegdzie pierwsze listki, rozmyślała o swoim losie. Miała jak najszybciej wyjść za mąż – taka przyszłość była jej pisana. Czuliła przy tym, że w dużej mierze tylko własną wolą i staraniami może doprowadzić do tego, iż jej życie zacznie zmierzać w oczekiwanym kierunku.

Wiedziała, że życie klasztorne nie jest dla niej – zbyt cieszyła się obcowaniem z naturą, przyziemnymi przyjemnościami, a przecież w kościele co

rusz słyszała, że jeśli ktoś kocha życie, nie jest w stanie prawdziwie kochać Chrystusa. Ona, jak widać, nie umiała. Nie mogła więc ofiarować swojego ziemskiego życia Bogu.

Marzył jej się kandydat na męża, dzięki któremu mogłaby zostać w okolicach, w których się wychowała, wśród znanych jej dobrze borów i pól. Bujała w obłokach, myśląc o ziemi, o ogrodzie, o sadach, jakich stałaby się panią. Ale żaden z miejscowych panów nie był zainteresowany dziewczyną bez posagu, z obciążeniem w postaci brata hultaja, którego znano w okolicy jako zabijakę, wiecznie pijanego awanturnika, potrafiącego przegrać w kości każdą kwotę pieniędzy.

Wiele osób, podobnie jak zakochana w nim bez pamięci matka, nie mogło uwierzyć, że ten cudownie zbudowany chłopiec o ciemnych lokach okalających twarz kupidyna jest w stanie poranić nożem miejscowego cyrulika, że potrafi porwać dziewczynę i żądać za nią pieniędzy, że jest zdolny do zbałamucenia karczmarki i porzucenia jej na pastwę losu w błogosławionym stanie. Kalina wiedziała, że dopóki żyje matka – ślepa na wszystkie niedostatki charakteru syna – dopóty poratuje Sebastiana z każdej niemal opresji, a on nigdy się nie zmieni.

Musiała więc sama zająć się swoim losem. Jak wynikało z listów Laurentego, nieszczęśnik nie podejrzewał nawet, z jakimi intencjami jedzie do niego Kalina. Wedle powszechnego obyczaju ożenek z siostrą żony był traktowany niemal jak kazirodztwo. Gdy sam król po utracie pierwszej żony Anny zdecydował się ożenić ponownie z siostrą zmarłej, Konstancją, dostojnicy kościoła wraz ze szlachtą grzmieci, że godzi to w dobry obyczaj i sprowadzi nieszczęścia na króla, jego dwór i Rzeczpospolitą. Gdyby Laurenty nie traktował szwagierki jako rodziny, nie zgodziłby się przecież, aby panna na wydaniu przebywała pod jego dachem. Zapewne nie myślał nawet o żeniaczkę, a już na pewno nie z Kaliną, bez względu na to, jak była urodziwa.

Z drugiej strony, jak przekonywała Kalinę matka, król nie ugiął się przed opinią kleru i możnych, wziął ślub z siostrą zmarłej i wiedzie od wielu lat szczęśliwe życie. Podobno tak odpowiada mu pożycie z Konstancją, że nie ma żadnej innej kobiety poza prawowitą żoną! Laurentego też można przekonać do żeniaczki, chociażby powołując się na casus samego króla. Jak instruowała ją matka, Kalina powinna stać się niezastąpiona w domu lutnisty, gotować pyszne potrawy, umilać życie muzykowi oraz uzależnić od siebie jego dzieci. Musi doprowadzić do sytuacji, w której stanie się muzykowi niezbędną. W odpowiednim momencie oświadczy, iż dłużej – jako panna na wydaniu – nie może już mieszkać w domu szwagra i przenosi się do brata, a wówczas Laurenty nie będzie sobie już wyobrażał życia bez niej. Ożeni się z nią, byle tylko utrzymać ją przy sobie!

Mimo wpajanej przez matkę strategii Kalina jechała do Warszawy, wcale nie wiedząc, czy będzie chciała Laurentego za męża. W jej rękach był jej los i nie

zamierzała wiązać go z kimś, kto nie byłby choć trochę bliski jej sercu. Oczywiście wszystkie mikstury i tajemne ich składniki, jakie ze sobą wiozła, będą jej w tym pomocne, ale zdawała sobie sprawę, iż nic się nie wydarzy, jeśli sama się o to nie postara.

Pierwszą i najważniejszą nauczycielką Kaliny była babka ze strony ojca, którą cała rodzina uważała za wariatkę i zamykała w oddalonej od głównych komnat izbie. Stara kobieta posiadała dar jasnowidzenia, rozumiała mowę roślin i zwierząt, znała tajniki ziół i substancji, ale ukrywała swoje umiejętności po tym, jak zaczęto uważać ją za wiedźmę. Kalina musiała wiele miesięcy zdobywać zaufanie babki, zanim ta pozwoliła się do siebie zbliżyć. Z czasem stara zielarka zdołała przekazać część swojej wiedzy wnuczce – jedynej osobie w domu, która wiedziała, że babka nie jest ani wariatką, ani wiedźmą.

Monotonna podróż do dalekiej Warszawy błotnistymi traktami na trzęsącym wozie ciągnęła się niemiłosiernie. Kalina zrobiłaby wszystko, aby choć przez moment odpocząć od nieustannych pytań wścibskiego jezuitę. Kiedy ten usłyszał, że dziewczyna nigdy dotąd nie była w Warszawie, z nową energią zabrał się do snucia opowieści o mieście sejmowym. Zaczął przemawiać tonem wszechwiedzącego znawcy, który oświeca nieznającą świata, ciemną panienkę.

Z początku wyjaśnił, że miasto Warszawa – jako takie – nie istnieje. Na nadwiślańskiej skarpie od co najmniej trzystu lat ulokowane jest miasto Stara Warszawa, otoczone murami obronnymi i fosą, do którego wjechać można tylko kilkoma bramami, w tym najbardziej okazałą Bramą Krakowską od południa i Bramą Nowomiejską od północy. W obrębie murów znajduje się Rynek z ratuszem, otoczony wąskimi uliczkami, a także zamek dawnych książąt mazowieckich. Przez dobrych kilka lat król Zygmunt rozbudowywał zamek, tak aby spełniał oczekiwania monarchy i dworu, ale też służył potrzebom całego państwa. Jak mawiają złośliwi, król z rodu Wazów już całkowicie zadomowił się w Warszawie, bo stąd mu bliżej do rodzinnej Szwecji.

Pałac o barwie wiślanego piasku jest majestatyczny, trochę surowy. Zbudowany na planie pięciokąta, z dwóch rogów ma ozdobne wieżyczki, a we frontowym skrzydle nad budowlą wznosi się czworokątna wieża, zwieńczona baniastym hełmem.

– A czy ojciec bywa czasem na Zamku? – zapytała Kalina.

– W rzeczy samej! Musi waćpanna wiedzieć, jaki przepych i cuda król na zamku urządził. Każdy, kto przybywa z zagranicy i odwiedza siedzibę króla, zachwyca się podłogami, kominkami z czarnych, chęcińskich marmurów, które król tak ukochał, orientalnymi kobiercami i arrasami, malowidłami, rzeźbami i bogactwem tkanin, których najwymyślniejsze barwy spotkasz na Zamku! Wiedz, że najjaśniejszy pan bardzo sobie ceni mądrości i porady naszego zakonu, a przecież Piotr Skarga – nasz brat – we własnej osobie jest nauczycielem

królewskich synów, wybitnym kaznodzieją i zaufanym doradcą króla. Tak więc i ja, skromny sługa boży, nieraz dostąpiłem zaszczytu zobaczenia na własne oczy królewskiego majestatu.

Kalina puściła wodze fantazji i zaczęła rysować w myślach obrazy dworskiego życia, pary królewskiej, wykwintnie ubranych panien z fraucymeru i rozbrzmiewających muzyką pięknych komnat zamkowych. Jezuita tymczasem ciągnął temat:

– Okolice wokół Zamku, Rynek, czyli najstarszy plac miasta, i otaczające go ulice to niemal cała Stara Warszawa. Sąsiaduje z nim miasto poza murami zwane Nową Warszawą, z własnym ratuszem i magistratem. A oprócz tych dwóch oddzielnych miast mamy jeszcze na przedmieściach odrębne miasteczka – jurydyki rządzone przez kościelnych możnych, z osobnymi władzami i własnym prawem.

Jezuita wciąż opowiadał o Warszawie, ale Kalina tonęła w swoich marzeniach i nie słuchała wykładu na temat specyfiki sejmowego miasta. Nie dotarła do niej opowiedziana z polotem i ze swadą historia nadwiślańskiej osady rybackiej, którą – zgodnie z legendą – nazwano Warszawą od imion szlachetnego rybaka i jego żony, Warsa i Sawy, którzy uratowali kiedyś księcia, zagubionego w trakcie polowania w puszczy nad Wisłą. Książę w dowód wdzięczności na cześć swoich wybawicieli nazwał te ziemie Warszowe⁶.

Wraz z rozwojem rzeczno-handlowym osada stała się ważnym ośrodkiem gospodarczym i od momentu nadania jej na przełomie XIII i XIV wieku przywileju lokacyjnego nieustannie rośnie jej znaczenie jako ważnego portu nad Wisłą. Oczywiście daleko jej do handlowych potęg, jak Sandomierz czy Gdańsk, ale dzięki decyzji Zygmunta Augusta, iż to właśnie tutaj szlachta z terenu całej Rzeczypospolitej Obojga Narodów będzie się zjeżdżała na walne sejmy, miasto zaczęło się szybko rozwijać. A od kiedy król Zygmunt III Waza zmuszony był znaleźć sobie inną siedzibę, bo naruszony przez pożar Wawel wymagał długotrwałych remontów, Warszawa stała się miastem rezydencjonalnym, nie mniej ważnym niż taki Paryż!

Mija już pięć lat, od czasu gdy cały dwór króla, wszystkie najważniejsze urzędy państwowe przeniesiono do Starej Warszawy. Po wielkim pożarze przed dziesięcioma laty, kiedy to większość kamienic wokół Rynku poszła z dymem, pobudowano zupełnie nowe, oparte na nowych założeniach murowane budynki. Na Zamku, rozbudowanym wedle założeń wzorowanych na rzymskich koncepcjach, nie tylko mieszka król z rodziną i dworem, tu też obradują sejmy, odbywają się sądy. Do miasta ściągają cudzoziemcy, bo rozmiłowany w sztuce król sprowadza na dwór wybitnych architektów, malarzy, muzyków. Królowa Rakuska⁷ otoczona jest swoimi ziomkami, jej fraucymer to głównie zaufane dwórki przybyłe z rodzinnego kraju Konstancji, wielu więc jej rodaków związanych z habsburskim dworem osiedla się w Warszawie.

Każdy, kto cokolwiek znaczy w kraju, chce mieć tutaj reprezentacyjną siedzibę. Magnaci i bogata szlachta, o ile nie wzywa ich wojna – a teraz, jak wiadomo, okazji do wojaczki nie brakuje – także poza sejmami bawią nad Wisłą. I tak Warszawa z każdym rokiem rośnie w siłę, ludności przybywa, aż miasto sięga daleko poza mury otaczające zamek i Starą Warszawę, nawet poza Nowe Miasto, rozlewa się na południe wzdłuż traktu czerskiego. Niedługo może i dojdzie do wsi Ujazdów, kto wie!

Dopiero gdy Kalina wyjęła ze swojego zawiniątka upieczone poprzedniego dnia mięso kapłona i kilka pajd chleba, ojciec Bonifacy przerwał monolog i zaintrygowany zapachem wydzielanym przez jadło zaczął się o nie wypytywać. Kalina poczęstowała, rzecz jasna, jezuitę tłustym kogutem. Mężczyzna zaś, gdy tylko skosztował pieczystego, zaczął rozplływać się w zachwytach.

– Toż to kagucik godny królewskiego stołu! – wołał, mlaskając z rozkoszą. – Gdybyś, waćpanna, była mężczyzną, kto wie, mogłabyś zostać kuchmistrem na wielkim dworze! – zachwycił się, a Kalina z pobłażliwym uśmiechem na twarzy spoglądała na mijane puste, jeszcze gdzieniegdzie pokryte śniegiem połacie mazowieckiej ziemi.

W wyobraźni budowała sobie wizerunek Laurentego. Nie miała żadnych informacji na temat jego obecnego wyglądu, z wyjątkiem relacji matki, która widziała go tylko raz, na ślubie pasierbicy. Był wówczas podobno ślicznym, małomównym chłopcem o dosyć krępej posturze i sięgających ramion złotych włosach. Słyszając o pięknym mężczyźnie, Kalina od razu pomyślała o swym bracie. Wolalaby kogoś mniej powabnego, ale stateczniejszego. Ludzie obdarzeni przez Boga pięknym obliczem i ponętym ciałem byli z reguły próżni i zbyt wiele oczekiwali od świata.

Gdy po kilkunastu godzinach podróży wóz zatrzymał się u brzegu ponuro wyglądającej Wisły, Kalina ścisnęła w dłoniach swój amulet schowany pod okalającą jej szyję mało wytworną kryzą. Wisior z jasnozielonym bezoarem⁸ z odległych krain wydzieliał dziwną woń, który miał ją chronić przed wszelkimi jadami i wyziewami zgniłego powietrza w mieście.

Korzystając z pomocnej ręki woźnicy, dziewczyna zeszła na ziemię, czując, jak but zatapia się w miękkim, śliskim mule.

– Panienska wyżej podniesie poły sukni – odpowiedział jej ojciec Bonifacy, który sam na tyle wysoko uniósł swój czarny habit, iż kobieta zdołała ujrzeć blade, owłosione nogi.

– Wiosenny czas gorszy niżli zima! Jak mróz ścisnął ziemię, można było jako tako chodzić po ulicach, a tera wszycko błoto zalewa, wszycko... – odezwał się woźnica.

– Nie traćcie wiary. Idzie nowe! Już kra na Wiśle zaczęła się łamać – zauważył jezuita i wskazał ręką płynące z nurtem rzeki duże połacie lodu.

– Ale przecież mówiono mi, że do Warszawy idzie się mostem! – zauważyła Kalina, rozglądając się na prawo i lewo.

– Skąd, mostu żadnego na Wiśle już nie ma i prędko nie będzie! – Jezuita machnął ręką. – Owszem, mieliśmy tu przepiękny most jagielloński, wybudowany za Zygmunta Augusta, który chciał ułatwić dojazd szlachcie jadącej z Litwy na sejmy. Ale to już ponad dziesięć lat, jak połączenie kry na kapryśnej Wiśle zniszczyły to wielkie człowiecze dzieło. Most runął w kilka minut! Ot, jak się kończą zmagania człowieka z żywiołem przyrody!

– Ojczy, musimy się więc przeprawić łodzią przez rzekę? Nie ma innego sposobu? – jęknęła Kalina, którą przerażała ta perspektywa. Od najmłodszych lat panicznie wprost bała się wody.

W to wczesnowiosenne popołudnie, blade i szkliste światło słoneczne kładło się na budynkach, ustawionych gęsto obok siebie na dopiero zieleniącej się skarpie, widocznej na drugim brzegu rzeki. Strzeliste wieże błyszczały w słońcu, nadając widokowi pewien majestat.

– Warszawa wita panienkę w całej swej okazałości – rzekł do dziewczęcia z pokrępiającym uśmiechem Bonifacy, także przypatrując się skupisku zabudowań, jakie prezentowało się przed nimi. – Widzi waćpanna tę wysoką, nieotynkowaną jeszcze wieżę w budowie? To właśnie będzie dzwonnica mojego kościoła jezuitów! Jeszcze rok, dwa i cały będzie ukończony. Nie licząc wieży na zamku i wieży ratusza, nasza dzwonnica będzie najwyższą budowlą w mieście! – wyjaśnił wyraźnie dumny.

Kolejnym etapem podróży była przeprawa przez Wisłę, o tej porze roku dosyć trudna z uwagi na dryfujące na wodzie tafle kry. Ojciec Bonifacy poprowadził Kalinę w kierunku portu wiślanego i drewnianej przystani, gdzie na podróżnych czekało kilku przewoźników z wąskimi czółnami i łódkami, które były w stanie przepłynąć w tych warunkach rzekę.

Tragarze zabrali skromny dobytek kobiety, który stanowił jeden drewniany kufer, w nim zaś oprócz jej skarbu – samodzielnie tworzonych od ponad dwóch lat zielnika – Kalina wiozła kilka drobnych podarków dla rodziny Żmijów, w tym nalewkę dla Laurentego, słoje konfitur z leśnych owoców i naszyjniki dla dziewczynek. Miała też dwa białe prześcieradła, piernat, poduszkę, dwie suknie wierzchnie, dwie pary pończoch, cztery płócienne wkładane pod suknię spodnią giezła, puzderko z precjozami: kilkoma ledwie ozdobnymi spinkami do włosów, grzebień i zdobione perłową macicą zwierciadło, modlitewnik, który należał kiedyś do nieżyjącego już, ukochanego ojca. Nie było tego wiele. A najważniejszym przedmiotem była zamykana na klucz szkatuła, w której Kalina trzymała swoje mikstury ziołowe i przeróżne składniki potrzebne do ich przyrządzenia, jakich nie spodziewała się kupić w mieście, jak sproszkowany szkielet nietoperza czy ekstrakt z krwi borsuka.

Łódka, kołysząc się mocno, przybliżała się do widocznych u podnóża skarpy zabudowań z zielonkawych desek, domów rybaków, sądząc po sieciach, rozwieszonych na płotach domostw otoczonych niewielkimi ogródkami. W trakcie przeprawy Kalina była wdzięczna ojcu Bonifacemu za jego gadulstwo, bała się bowiem, że zaraz utonie, i nawet ten krótki pobyt na łódce sprawiał, iż czuła się bardzo niepewnie.

– Niech waćpanna spojrzy na kształt tej skarpy, podłużny, niespotykany. Toć to wzniesienie kiedyś zwano Żmijem, a wiesz, czym jest Żmij wedle legendy? – zapytał jezuita.

Kalina zaprzeczyła, potrząsając głową.

– Żmij to dobry smok w podaniach starych Słowian! Niezwykłe, prawda? Ten dobrodziej, muzyk z kapeli królewskiej, do którego jedziesz, nosi nazwisko pochodzące od stwora, ale łaskawego!

Widząc, że panna siedzi nieruchomo, blada jak trup, jezuita zabawiał Kalinę kolejnymi ciekawostkami.

– A wie waćpanna, jaki jest herb Starej Warszawy? Nie? Takie rzeczy znać to konieczność! Z tej wody, którą płyniemy na brzeg warszawski, przybyła ponoć syrena z mieczem w dłoni. To waleczne stworzenie! Od pasa w górę nagie to stworzenie, jak biblijna Ewa, zaś od pasa w dół smok. Taka właśnie syrenka widnieje na pieczęci miejskiej oraz na herbie miasta.

Gdy dobili do brzegu i opuścili wreszcie niewielką łódkę, Kalina poczuła ulgę. Zaczęła rozpierać ją radość. A więc ona, dziewczyna z Brodnicy, dotarła do wielkiego miasta, rezydencji króla! Ścisnęła w dłoniach wisior z bezoarem – teraz szczególnie potrzebowała, aby kamień oczyścił zgniłe powietrze, które wdychała. Cuchnęło tu zepsutymi rybami i zgniłymi warzywami.

Szła blisko przy boku ojca Bonifacego, co chwila robiąc unik, aby nie być potraconą przez mijających ich tłumnie przechodniów. Dziad proszalny, śmierdzący okrutnie, w łachmanach wyciągnął ku niej niespodziewanie czarną od brudu dłoń, kierując błagalne jęki w stronę jezuity. Ten rzucił mężczyźnie szelągą.

Kalina spojrzała na drogę biegnącą w górę skarpy, którą w błocie po kostki brodzili ludzie. Wraz z ojcem Bonifacym minęli podle i biednie wyglądające chaty rybaków i kobiety robiące pranie u brzegu rzeki. Stąpali już nie tylko po rozmokłej ziemi, ale też zwałach cuchnącego gnoju.

– Teraz ulicą Mostową, zwaną też Przewoźną, w górę niestety – westchnął jezuita, po czym zebrawszy materię – on habitu, ona sukni – podeszli do budynku z nagiej cegły. – Zobaczy panienska, niedługo magistrat będzie czyścił te ulice, wywiozą błoto i nieczystości na Gnojną Górę, tak żeby szlachta przybyła na sejm zastała miasto uprzątnięte. Rychło zmieni się nasze miasto, bardzo się zmieni, i przez sześć albo i osiem tygodni zapanuje tu istne szaleństwo, ścisk będzie potworny, ludzi niezliczona ilość, gwar, hałas, kupcy przeróżni się zjadą, nawet

Żydzi, którym normalnie nie wolno w obrębie murów miejskich handlować. Będą komedianci, a i łobuzów i złodziei zjedzie się wielu! Zobaczy panienska, istna sodoma i gomora się szykuje! Najgorzej mi ten okres sejmu przetrzymać. Cóż, skoro trzeba posłusznie Panu Bogu służyć – mówił ksiądz, sapiąc potwornie.

Kalina słuchała przerażona. Już to, co usłyszała, nie wstąpiwszy jeszcze w obręb murów miasta, napawało ją zgrozą. Wskazała widniejącą w oddali dymiącą górę i zapytała, co to takiego.

– To Gnojna Góra, całkiem blisko mojego klasztoru i samego zamku. Wielkie składowisko nieczystości, góra, którą od czasu do czasu trzeba uklepywać, aby nowe ładunki mogła przyjąć. Cuchnie niemożebnie – czujecie to przecie – ale jak mówią medycy, takie błoto i szlam ma też działanie zdrowotne. Zawsze ilekroć waćpanna spojrzy na te zwały brudu, dostrzeże jakiegoś nieszczęśnika zakopanego po szyję w tych odpadkach. Podobno jeśli się ktoś odważy na taką kurację, korzonki i reumatyzm będzie miał od ręki wyleczone!

Kiedy się zbliżyli do starego budynku u podstawy wzniesienia, okazało się, iż jest to na oścież otwarta, przesklepiona brama przejazdowa, z urządzonymi nad nią opustoszałymi o tej porze dnia strzelnicami.

– Widzi waćpanna? To właśnie jest dawna Brama Mostowa, zbudowana przez Annę Jagiellonkę, którą wchodziło się i schodziło z mostu, o którym panience opowiadałem. Teraz to już tylko otwarte przejście – wyjaśnił ojciec Bonifacy.

Im bardziej zbliżali się do rysujących się przed nimi drewnianych, wysokich, przytulonych jeden do drugiego domów i licznie do nich przylegających zabudowań gospodarskich, tym mocniej biło Kalinowe serce.

– Stąd już blisko na Krzywe Koło! – powiedział ojciec Bonifacy, ciężko dysząc po pokonaniu podejścia.

Kalina poczuła gwałtowny ból brzucha. Denerwowała się zbliżającą się chwilą, gdy stanie na progu domu Laurentego Żmija, swojego szwagra, którego nigdy nie widziała i który nie widział nigdy jej. Po tym, jak uprzejmie, aczkolwiek wymijająco odpisywał na listy i zawarte w nich aluzje Urszuli Melcerowej, która wychwalała córkę pod niebiosa, nieustannie podkreślając jej podobieństwo do zmarłej Anny Żmijowej, Kalina nie spodziewała się entuzjastycznego przyjęcia. Wstydziła się tego, że jej niechciana obecność w tym mieście była wynikiem nachalnych działań pani matki, która z wielką, nieskrywaną wcale ulgą żegnała córkę, gdy wóz ruszył brodnickim traktem ku dalekiej Warszawie.

Zapewne Kalina nie będzie tu mile widziana, a co więcej, cała ta przygoda skończy się tym, iż los zmusi ją do szukania pomocy u brata Baltazara, którego od wielu lat nie widziała na oczy. Zdawała sobie sprawę, iż do kogokolwiek w końcu trafi, znajdzie się wśród obcych i będzie zdana na ich łaskę. Matka powiedziała jej wyraźnie, że ma pisać do niej listy, co najmniej dwa tygodniowo, ale cokolwiek by

się działo, nie może już wrócić do Brodnicy.

Wzruszenie ścisnęło jej gardło, gdy przed oczami stawał obraz starego ojca. Wciąż czuła zapach jego brody, pamiętała to poczucie bezpieczeństwa, jakiejś niezwyklej ochrony, którą czuła, ilekroć był w pobliżu. Nie licząc chwil, które od dzieciństwa spędzała w lasach i na łąkach, najwspanialszymi momentami jej niedługiego życia były ostatnie dwa lata, w trakcie których ojciec odnalazł w niej pojętną uczennicę i pozwolił pomagać sobie przy przyrządzaniu niezwyklej potraw, których sława sięgała aż poza Brodnicę.

Spokojny i dobroduszny był to człowiek, ale pracował ponad siły, łaknąc podziwu dla swojej sztuki kulinarnej. Niczym wielki czarodziej umiał przygotować jadło tak wyborne, tak zaskakujące i zadziwiające połączeniami smaków, iż nie ustawał w pracy, w której mógł ukazać swoje mistrzostwo. Kalina uważała, że zabił go pociąg do wina oraz uczyty, które ojciec organizował, nie tylko dbając o smak oraz oryginalność dań, ale traktując te przyjęcia niczym widowisko ze specjalnym ceremoniałem, których był siłą sprawczą. Nieustanna praca, trwające po dziesięć albo i więcej godzin biesiady, picie z gośćmi do rana, wszystko to sprawiło, iż ojciec w wieku sześćdziesięciu lat padł pewnego dnia na kuchennej podłodze zamku brodnickiego i już nigdy nie powstał. Jego serce nie wytrzymało.

Z Mostowej Kalina wraz z zakonikiem dotarła do drogi zwanej Fretą⁹, która – jak zaznaczył ojciec Bonifacy – łączyła Nowe Miasto ze Starą Warszawą. Przy okazji jezuita nie omieszkał wyjaśnić Melcerównie, iż osada powstała poza murami miejskimi i potężnym Barbakanem była zupełnie niezależna od bogatszej, zamieszkaanej przez stare rody Warszawy. Nowe Miasto miało własny ratusz, osobne władze miejskie, swoją parafię i znacznie różniło się od Starej Warszawy.

– Zobaczycie waćpanna, na Nowym Mieście więcej jest przestrzeni, ale prawie wszystkie budowle są byle jakie, drewniane, dużo biedniejsi ludzie tam mieszkają. Na Rynku tańsze towary sprzedają, nie tak zbyt kowne jak na Starym Rynku. Dominikanie swój kościół i klasztor budują tu blisko, będzie to kościół pod wezwaniem Świętego Jacka – mówiąc to, jezuita wskazał ręką lewą stronę ulicy, gdzie zasłonięta rusztowaniami widniała masywna budowla.

Do zamkniętej w obrębie murów obronnych Starej Warszawy wkroczyli przez zwodzoną Bramę Nowomiejską. Przeszli przez mostek i właściwy łuk bramy z podciągniętą ku górze kratą, po czym wkroczyli w wąską gardziel budowli. Pełniący straż halabardnicy rzucili „pochwalony” w stronę jezuity, a Kalinę przytrzymali, pytając o powód wkroczenia do miasta. Gdy ta tłumaczyła, iż przybywa z wizytą do rodziny, wartownik zaśmiał się dwuznacznie, ukazując czarne pieńki zębów, i rzucił:

– Każda małpa¹⁰, co ją tu Wisła przywlece, tak gada, a rychło wychodzi na to, że jej familia to jegomość Małodobry, co ją w Wieży przy Dunaju trzyma, i te chutliwce, co latają dla ulżenia taką chędożyć!

Ojciec Bonifacy obruszył się i ściągając groźnie brwi, zażądał przeprosin dla panienki, która została powierzona jego pieczy. Ani tusza, ani nalana czerwona twarz nie umniejszały jego dostojeństwa, gdy rzucał gniewne spojrzenia w stronę wartowników. Ci ukłonili się w stronę Kaliny i z poważnymi minami poprosili o wybaczenie.

Gdy jezuita wraz z Melcerówną wkroczyli w wąski dziedziniec Barbakanu, odprowadzały ich śmiechy halabardników, na które ojciec Bonifacy zareagował jedynie westchnieniem.

Kalina szła jak oszołomiona. Minęli z jezuitą przylepione do grubego muru okalającego miasto drewniane chałupy, z okien których dobywał się zapach pieczonej cebuli i łoju wołowego. Smród licznych nieczystości wymieszanych z błotem oraz woń zalegających bruk stert śmieci mieszały się z duszącym zapachem palonego w piecach mieszkań drewna. Wąskie kamieniczki o szerokości dwóch, czasem trzech okien tworzyły z obu stron ciasnej ulicy szpaler ściśle przylegających domów. Wszechobecny tłok, tupot końskich kopyt i gwar na błotnistej ulicy oszałamiały Kalinę.

– Najtłustsze koguty, najlepsze kapłony! – krzyczała przekupka.

– U mnie lepsze! Do mnie po kuraka, do mnie po gęś! – przekrzykiwała ją druga kobieta o bardziej donośnym głosie.

Co chwila jakiś żebrak albo błagająca o wsparcie białogłowa wyciągali swe czarne od brudu ręce po jałmużnę. Nieustannie ktoś potrącał Kalinę albo na nią pokrzykiwał, by przepchnąć się szybciej w stronę, ku której zmierzał.

– Już zaraz wkraczamy na Rynek! – zawołał jezuita.

Tego dnia Kalina nie dostrzegła nawet bogactwa różnorodnych, kolorowych elewacji kamienic ciasno otaczających prostokąt Rynku, który pełen był ludzi tłoczących się między straganami. Dzień powoli chylił się ku zachodowi. Przekupki zwijały już swoje towary leżące na kramach. Liczba stłoczonych na tej niewielkiej przestrzeni ludzi wzbudzała w Kalinie niezrozumiały lęk. Ostry zapach dymu był nie mniej nieznośny niż mieszanina błota, gnoju i rozmaitych odpadków, w jakiej brodzili warszawianie.

W pewnym momencie wzrok oszołomionej Kaliny padł na stojącą w centralnym punkcie placu okazałą, choć niewielką budowlę o zdobionej elewacji i strzelistej wieży.

– To ratusz, tutaj twój czcigodny brat obraduje wraz z innymi rajcami! – wyjaśnił jej Bonifacy.

– Piękny budynek – szepnęła w odpowiedzi, przyglądając się płaskorzeźbom na elewacji.

Kalina rozejrzała się dookoła, wodząc wzrokiem po zdobionych, pomalowanych każda na inny kolor, bogato złożonych kamieniczkach. Jej uwagę zwróciły dziwnie szerokie, kute, dębowe drzwi domów – osadzone były

w rzeźbionych portalach, nad którymi widniały rodowe godła, a w otwartych na oścież, szerokich oknach na poziomie parteru w prawie każdej kamienicy prowadzono handel. Dachy domów osłaniały attyki przypominające ozdobne grzebienie, z kulami i figurami na postumentach. Poza Brodnicą Kalina niewiele na świecie widziała, ale ten epatujący bogactwem, zatłoczony Rynek, którego budowie zalewało rdzawe światło zachodzącego słońca, wydał się jej niezwykle nobliwy, wręcz olśniewający.

– Wszystko tutaj murowane, takie nowe... Aż oczy cieszą te kolorowe domy. Zapewne mieszkają w nich majątni, zaci ludzie – powiedziała.

– O, tak! – zawołał jezuita. – Wszystkie prawie te kamienice trzeba było odbudować, ucierpiały w czasie wielkiego pożaru przed dziewięcioma laty. Dlatego wszystko, co zobaczysz w Warszawie, jest nowe, murowane – tak magistrat nakazał, aby umniejszyć ryzyko pożogi. Nowe są te kamienice, zupełnie inaczej budowane niż kiedyś. Waćpanna widzi te ściany o tak rozmaitych barwach? Od góry do dołu, każda pokryta kaskadą złocień, rzeźb, szkiełek i malunków. Każda inna, jedna piękniejsza od drugiej! Tutaj zamieszkuje patrycjat, najlepsze rody Starej Warszawy! Widzi tu waćpanna kamienice członków zaciej i możnej rodziny Baryczków, tam i tam domy wspaniałych Gizów. To kupcy, głównie bogacący się na handlu zbożem, które skupują od szlachty z południa i spławiają w górę rzeki, do Gdańska, skąd nasze plony rozprawdane są po całej prawie Europie. Brat waćpanny, Baltazar, jest właścicielem pokaźnego spichlerza, a także rajcą miejskim i – z tego, co słyzałem – kupił sobie niedawno kamienicę przy Rynku, ale nie wiem dokładnie, która to może być – wyjaśniał ojciec Bonifacy, z wielkim entuzjazmem wymachując rękoma i wskazując Kalinie wspomniane w trakcie tego wywodu domy. Ona jednak była zbyt oszołomiona, aby zapamiętać to wszystko.

Przechodzili właśnie obok kilku kramów z tkaninami. Przepych kolorów, wielość wzorów i faktur sprawiały, iż Kalinie zakręciło się w głowie od tego nadmiaru. Ojciec Bonifacy pociągnął ją za rękę ku wschodniej pierzei placu, gdzie na jednej z kamieniczek widniała tablica z napisem:

Licyliśmy lat tysiąc i sześćset siedem, gdy czerwony płomień zniszczył domy. Sroga ta klęska ogniowa długo pamiętna będzie Królestwu i nam, nieszczęśliwym mieszczanom. Ponieważ jednak słodka jest ziemia ojczysta, słodkie miejsce, w którym sprzyjają losy, słodka jest praca dla ojczyzny, przeto niech żyje Król Zygmunt III. Odbudowano od fundamentu R.P. 1610.

– Widzi waćpanna tę złoconą postać na samym szczycie wieży ratuszowej? To syrenka, postać z godła naszego miasta. Dzięki temu, że światło odbija jej blask, widoczna jest z oddali i naprowadza jeźdźców do serca miasta – to mówiąc, jezuita wskazał ręką baniasty hełm wieńczący wieżę.

Kalina mocniej ścisnęła łokieć Bonifacego, przeprasając Boga w myślach

za to, że z takim rozdrażnieniem traktowała dotąd zakonnika. Gdyby nie jego pocieszająca obecność, czym prędzej uciekłyby z tego miejsca. Było tu tak ciasno, tak gwarno, że wydawało jej się, iż życie w mieście sejmowym musi być jakimś dopustem bożym. Łza zakręciła jej się w oku, gdy pomyślała, że zamieniła przestrzenie, pola i lasy pod błękitnym nieboskłonem na życie tutaj, wśród tłumu obcych jej ludzi, którzy wszystko, co tutaj robią, czynią, mając na celu jedno: zdobycie pieniędzy, zaszczytów i łaski króla.

– Zobaczysz waćpanna, co tu się będzie działo za kilkanaście dni, kiedy szlachta ze swoimi licznymi orszakami zjedzie na sejm! W Starej i Nowej Warszawie przebywać będzie po dziesięć krotność ludzi co teraz! Oj, będzie się działo! Król gotów jest walczyć o szwedzką koronę i liczy na wsparcie sejmu dla jego planów.

– Moja imaginacja nie jest w stanie podpowiedzieć mi nawet, jak to możliwe, aby więcej ludu tu się tłoczyło! – westchnęła Kalina. Stała na moment zapatrzona w stronę jasnej wieży przykrytej gruszkowatym hełmem, ozdobionej widocznym z daleka zegarem o pozłacanej tarczy.

– Tam w dali widzisz panienko wieżę zygmuntofską zamku! – rzucił ojciec Bonifacy.

Minęli rozwidlenie ulic i weszli w wąską, ciemną o tej porze uliczkę. Jezuita wyraźnie przyspieszył kroku.

– Ja już jestem prawie na miejscu, tu zaraz jest mój klasztor i świątynia jezuitów, do której mam nadzieję, że przychodzić będziesz, panienko! – Ojciec Bonifacy wskazał widniejącą w dali strzelistą fasadę fary, obok której wznosiły się rusztowania drugiej świątyni. – Waćpanna patrzy, kościół już prawie gotowy! Architekt cudu prawdziwego dokonał, wpasowując taką bryłę w tak mały kwartał ziemi po spalonych kamienicach, jakie zakonowi dano za przyzwoleniem króla. Nie wszystkim braciom się podobało, że nasza świątynia stoi tuż obok kolegiaty Świętego Jana, ale bardzo chcieliśmy być w samym sercu miasta, gdzie najlepiej możemy walczyć z heretykami! Spójrz na wieżę dzwonnicy, ma być zaiste wielka!

Kiedy przyszło im się pożegnać, ojciec Bonifacy pobłogosławił Kalinę, ta przyklękła i ucałowała jego dłoń, czując szczere przywiązanie do gadatliwego jezuitę po wielu spędzonych wspólnie w podróży godzinach. Obecnie był jedynym jej znanym, w dodatku prawdopodobnie jedynym przychylnym jej osobie mieszkańcem tego zupełnie obcego miasta. Obiecała zakonnikowi, iż będzie go często odwiedzać.

– Panno Kalino, ile liczyacie wiosen?

– Dziewiętnaście.

– Ach, młoda, waćpanna, jesteś, ale już najwyższy czas, byś służyła Bogu jako żona i matka. Piękna jesteś z tymi włosami jak kłosa zboża, z tym warkoczem oplatającym twoją główkę. Zobaczysz, zaraz znajdzie się mąż dla ciebie i na

włosach pojawi się czepiec. Pamiętaj jednak, dziecko, widać, że masz wyjątkowy charakter, który w tym wielkim mieście łatwo może zostać zepsuty. Strzeż się! Niech Pan Bóg nad tobą czuwa, módl się gorąco do Przenajświętszej Pani, bo tylko jej opieka uchroni cię przed pokusami miasta. Powiem ci jeszcze jedną rzecz, bo patrzysz na ludzi, jakbyś stawała do walki, z hardością, bez wstydlivosti, która cechować powinna każdą przyzwoitą niewiastę. Oczy są zwierciadłem ducha, a w twoich ciemnych źrenicach widać, jak wielką masz w sobie siłę. Zastanów się, czy naprawdę każdy człek, już w pierwszym momencie, gdy cię poznaje, powinien wiedzieć, jaką masz w sobie moc...

Ze łzami w oczach Kalina ucałowała rękę jezuitę, nazywając go swoim dobrodziejem, i zgodnie z jego wskazówkami skierowała się w przeciwną stronę ku wąskiej uliczce zwanej Krzywe Koło.

Kierując się na północ, po przejściu kilku kroków, Kalina natrafiła na wskazany jej w opisie poczynionym przez Żmija wąski, dwupiętrowy budynek o zielonej fasadzie. To musiał być właśnie dom Pod Lutnią (o czym świadczył wykonany nad portalem wejściowym rysunek w kamieniu), o szerokości trzech okien, murowany, o dachu zasłoniętym niedokończoną attyką.

– A więc przybyłam – szepnęła do siebie Kalina i zastukała kołatką w powierzchnię kutyh drzwi. Czowała potworne zmęczenie, ale serce biło jej niemal tak głośno jak owa mosiężna kołatka.

Przez dłuższą chwilę nikt nie otwierał. Zaniepokojona Kalina zaczęła sobie przypominać opis lokalizacji domu przyrodniego brata Baltazara, gdy nagle wrota energicznie otworzyła kobieta w poplamionym fartuchu i prostym czepcu, zasłaniającym starannie zaczesane do tyłu włosy. Na oko mogła mieć nie więcej niż trzydzieści lat. Czerstwa twarz zdradzała pochodzenie z niższego stanu. Zmierzyła Kalinę wzrokiem i bez słowa powitania zapytała opryskliwym, nieprzyjemnym tonem:

– To waćpanny skrzynia do nas trafiła? Przed chwilą przynieśli ją tragarze, nie chciałam przyjąć, bo nikt nie wie tu o żadnej wizycie siostry nieboszczki pani Żmijowej... Jaśnie pan jeszcze do domu nie zawitał, nic mi nie mówił, że oczekuje najazdu rodziny z prowincji!

Od pierwszych minut spotkania Kalina zmuszona została do wyjaśnień. Przedstawiła się i spokojnie wytłumaczyła, dlaczego znalazła się w Warszawie. Najgrzeczniej jak potrafiła, wyraziła zdziwienie faktem, iż wielmożny Laurenty nie otrzymał wieści o jej przybyciu, przesłanej przez jej matkę listem z Brodnicy.

– Wpuście mnie czy mam stać na bruku i czekać, aż cała ulica obejrzy mnie od stóp do głów? – zapytała z rozpaczą Kalina, widząc, jak w pobliskich oknach pojawiają się przypatrujące się jej białogłowy.

Kobieta, która otworzyła drzwi – gospodyni domu Donata – z niechęcią wpuściła Kalinę do ciemnej sieni, w której przyjemnie pachniało strawą z mięsa

i grochu. Rozległ się pisk kota, któremu niezdarna kobieta nadepnęła na ogon. Zwierzę czmychnęło, strącając stojące w kącie wiklinowe koszyki.

– Chodźcie za mną – rzuciła gospodyni, ruszając do przodu.

Minęła zamknięte drzwi, przeszła kilka kroków ku drugim, które uchyliła, wpuszczając Kalinę do izby, w której panował ogromny gorąc. Była to sporych rozmiarów wąska kuchnia z oknem przesłoniętym – jak to było w powszechnym zwyczaju – zastępującą szybę błoną zwierzęcą. Okienko wychodziło na zagracone wewnętrzne podwórze, które oddzielało dom przedni, stojący przy ulicy Krzywe Koło od drewnianego, niższego domu tylnego przylegającego do murów miejskich, gdzie znajdowała się stajnia.

Nie prosząc przybyłej o rozgoszczenie się, Donata zaczęła krzątać się przy wielkim kuchennym piecu, na którym pitrasiała strawę. Kalina stała na środku izby, rozglądając się po utrzymanej w porządku kuchni, po ścianach, na których zawieszane były cynowe naczynia, kociołki, wiązki ziół i warkocze czosnku. Widząc stół i krzesła, bez pytania usiadła na jednym z nich.

– Gdzie są dzieci mojej siostry? – zapytała.

– Przyjdzie dobrodziej Laurenty, to i dzieci waści się pokażą – rzuciła opryskliwie Donata i obdarzyła Kalinę nienawistnym spojrzeniem.

2.

Laurenty w dobrym humorze opuścił zakład cyrulika Pawlickiego, mieszczący się w jednej z kamienic przy Rynku. Czuł się doskonale po serii zabiegów – miał wypielęgnowane dłonie (zawsze skrupulatnie o nie dbał) i wyczyszczone zęby. Jego sięgające ramion włosy cyrulik ugładził woskiem, a brodę starannie uformował wedle panującej na dworze mody hiszpańskiej. Tego wieczoru muzyk ubrany był wytwornie w obcisły, aksamitny kaftan zwany koletem, spod którego wystawały wydęte rękawy koszuli, pozszywane z czerwono-niebieskich pasów, wzdłuż jakby popekanych. Plecy osłaniała mu gruba burka z peleryną podbita karmazynową tkaniną, której poły lutnista odrzucał fantazyjnie na ramiona. Jego szyję ścisnęła świeżo bielona kryza z koronki. Na głowę nasadził ogromny, czarny kapelusz z wywiniętym skrzydłem, ozdobiony gęstym, czerwonym piórem. Buty za kostkę z szeroką cholewką niestety grzęzły w wiosennym mule.

Muzyk z wielkim zadowoleniem myślał o czekającym go wieczorze. W jego uchu błyszczało złote kółko – od niedawna noszony kolczyk, który dodawał mu uroku światowca. Teraz niemal każdy, kto przebywał na dworze, podążał za nowinkami i cudzoziemskimi modami, wzorując się na samych dworzanach i ludziach z otoczenia króla, a zwłaszcza na przybywających do Warszawy z Italii artystach, których coraz większa liczba przebywała na Zamku.

Tego dnia udało się Laurentemu oddalić na moment smutki, które ostatnimi

miesiącami zatruwały mu życie. Wreszcie los się do niego uśmiechnął, wielotygodniowe starania przyniosły skutek i udało mu się uzyskać obietnicę przekazania mu przez króla aż dwóch kaduków¹¹ po dwóch obywatelach z Piotrkowa, którzy nie pozostawili żadnych spadkobierców. Działając podobnie jak inni członkowie kapeli królewskiej, Laurenty robił, co mógł, by uzyskać jakieś nadania czy kaduki, dzięki którym mógłby wreszcie zacząć budowę zajazdu na placu na przedmieściu przy trakcie biegnącym od Nowego Miasta ku osadzie Leszno, zwanym Długim. Stał tam od kilku lat zajazd zwany Giełdą i coraz to pojawiały się nowe tego typu przybytki potrzebne ludziom przybywającym do Warszawy.

Teren ten muzyk otrzymał przed dwoma laty jako nadanie króla w podzięcie za jego służbę w królewskiej kapeli. Jednak ziemia Żmija stała odłogiem, zarośnięta chaszczami i zabudowana jedynie wałącą się drewnianą chatą. Najpierw Laurenty nie miał żadnych środków, a nie chciał ich pożyczać od praskich Żydów czy od brata swej żony, potem zaś, kiedy uzyskał środki ze sprzedaży młyna, nieszczęsna Anna zaciążyła i przeczuwając nieszczęśliwy rozwój wypadków, zakazała mu zajmowania się budową zajazdu, o którym kiedyś wspólnie marzyli.

Mając w perspektywie wieczór spędzony w towarzystwie pewnej damy, lutnista przyspieszył kroku. Wspomnienie jej bujnych piersi, wielkich, krągłych pośladków i skóry białej jak mleko sprawiało, że czuł wielki ogień w łędźwiach. Nie rozmyślał już o smutnych oczach jego córek, o tym, że musi jeszcze przetrzymać nieszpory, na których pojawiał się zawsze kapelmistrz i skrupulatnie odnotowywał nieobecność członków kapeli na nabożeństwie. Chwilowo nie myślał o tym, jak ledwie przed paroma miesiącami, na początku roku w mękach porodowych umierała jego ukochana Anna. Co noc we śnie słyszał jej krzyk, jej potworne wycie, które niosło się w tamten dzień po całej ulicy, doprowadzając dziewczynki, a nawet głupiego Pietrka do szlochu, którego nie sposób było uspokoić.

Mając przed sobą kilka godzin w towarzystwie pulchnej żony mistrza tańca Bontempo – któremu ta z wielką rozkoszą przyprawiała rogi, ilekroć wyjeżdżał z miasta – Laurenty mógł odpocząć od swoich największych zgrzyot i zapomnieć o niepokoju o swoją pozycję w kapeli królewskiej. Ostatnimi czasy było coraz trudniej dotrzymać kroku nowym muzykom, którzy coraz liczniej przybywali z Italii i z Niemiec, aby po kilkunastu miesiącach kontynuować karierę za granicą, i zwolnić miejsca kolejnym cudzoziemcom. W obecnych czasach nie wystarczała już tylko dobra gra, przykładne zachowanie i dobre stosunki z kapelmistrzem. Teraz muzycy prześcigali się we własnych kompozycjach, które przedkładali mistrzowi, a jeśli ten wybrał którąś z pieśni dla chóru albo menuet do zagrania w trakcie koncertu na dworze jakiegoś dworskiego dostojnika, wówczas muzyk miał szansę na kaduki, a przede wszystkim umacniał swoją pozycję w kapeli.

Ileż to wieczorów Laurenty poświęcił na komponowanie pieśni na swoją lutnię. Nie udawało mu się wymyślić czegoś ani nowatorskiego, ani przynajmniej łaskawego dla ucha, jednak kiedyś szczęście się do niego uśmiechnęło. W winiarni u Fukiera na Rynku, do której lubił zaglądać na kilka kielichów ulubionego alikantu¹², któregoś dnia po prostu zobaczył leżące na ławie w ciemnym rogu sali kartki papieru nutowego. Laurenty przyjrzał się zapisom nut i od razu zorientował się, iż są to cenne kompozycje. Nie były podpisane. Muzyków pijących wino u Fukiera zawsze bywało wielu, autor pozostawał nieznany.

Lutnista czym prędzej schował kartki za połą koletu i zabrał znalezisko ze sobą do domu. Wieczorem zagrał przywłaszczone utwory. Nigdy wcześniej nie słyszał tych kompozycji – były wprost doskonałe. Gdyby tylko dopisać do nich łacińskie słowa, które wyśpiewałby jakiś kontratenor albo lepiej jeszcze, jeden z kastratów, których sprowadzał z Italii kapelmistrz na prośbę rozkochanego w ich śpiewie króla, utwory te zapewne musiałyby spodobać się na dworze!

Nazajutrz przed próbą kapeli Laurenty przysłuchiwał się rozmowom muzyków, jednak żaden z nich nie wspominał o zgubionych nutach. W trakcie kolejnych dni nikt ich nie szukał. Lutnista pomyślał, że może to jakiś przebywający przejazdem w Warszawie cudzoziemiec pozostawił te kartki. Po upływie tygodnia, jaki minął od znalezienia nut, Laurenty stwierdził, że nie można odrzucić prezentu, który podarował mu los – zagra znalezione utwory kapelmistrzowi jako własne kompozycje. Poniesie to ryzyko, musi to zrobić, skoro sam nie jest w stanie przebić w swych kompozycjach tego, co przedstawiają inni muzycy z kapeli.

Kiedy zagrał „pieśni”, maestro pochwalił harmonię kompozycji, ich melodykę i liryczny nastrój. Od razu postanowił włączyć nowe utwory do repertuaru kapeli i zagrać je na przyjęciu u podkomorzego wielkiego koronnego, które miało być jednym z pierwszych spotkań, jakimi zwykle szlachta i magnateria witała się na kolejnym sejmie w Warszawie.

Laurenty patrzył więc teraz w przyszłość z nadzieją. Rozmyślając nad tym, jak potoczyły się dotychczas jego losy, widział wyraźnie, że mylili się ci, którzy uważali, iż człowiek może kierować swoim losem. Człowiek jest jedynie kukiełką w rękach Boga i spełnia wyznaczone przed swoim urodzeniem przeznaczenie. A wolna wola? Ludziom się tylko wydawało, że istnieje. Tylko myśleli, że sami podejmują decyzje, a w istocie swoimi kolejnymi krokami zmierzali do realizacji większego planu, zapisanego w gwiazdach czy też w zamyśle Stwórcy. Laurenty bardziej się skłaniał ku wersji z oddziaływaniem planet i gwiazd. Patrząc w niebo, czuł potęgę kosmosu. Bóg był gdzieś tam, być może górował ponad całym wszechświatem, ale nie ingerował w los każdej ludzkiej istoty.

Jak inaczej wytłumaczyć to, jak potoczyły się losy lutnisty? Miał trzydzieści dziewięć lat. Od piątego roku życia, po śmierci matki, wychowywał go okrutny ojciec, który znajdował upodobanie w katowaniu dwóch synów. Swoimi

niegodziwościami doprowadził do grobu małżonkę, a potem zapewne to samo zrobiłby z własnymi dziećmi, gdyby chłopcy sami nie puciekali z rodzinnego domu.

Stary Żmij był potwornym człowiekiem, który zrobił coś bardzo złego, za co rzucono na niego i jego ród klątwę. Laurenty nie miał żadnego wpływu na bieg wypadków ani na to, kim był i jak zachowywał się ojciec. Ale widocznie takie było jego przeznaczenie, że przez klątwę nałożoną na ojca i cały ród Żmijów, nie mógł mieć własnego zdrowego syna. Pozostawało jedynie zaakceptować swój los, choć nienawiść i żal, jakie Laurenty i jego młodszy brat odczuwali wobec ojca, nie dawały o sobie zapomnieć.

Gdyby nie kolejna igraszka losu, jakie życie czekałoby pozbawionego grosza Laurentego? Miał marne szanse na powodzenie – był synem biednego organisty, a jego jedynym kapitałem była umiejętność gry na paru instrumentach, kilkumiesięczny staż w roli czeladnika u stroiciela instrumentów i ładna twarz... Co mógł uzyskać, dysponując tylko takimi atutami? W najlepszym razie wyszkoliłby się na rzemieślnika naprawiającego czyjeś lutnie i wiole. Ale tutaj znowu ujawniło się jego przeznaczenie. Jak inaczej wytłumaczyć tę noc w jednej z karczm we wsi Praga, gdy pijany hazardzista, z którym grał w kości, okazał się lutnistą kapeli królewskiej? Co więcej, w tym kluczowym momencie Żmij nie miał oporów przed wykorzystaniem biednej karczmarki, której jednak ostatecznie uratował cnotę. O przeniesieniu klątwy na niego nie pomyślał.

Ten stary lutnista znalazł się tam po to, aby dopełnił się los Żmija. Młodzieniec wykorzystał szansę, jaką podsunęto mu na tacy: nie tylko uratował dziewczkę, ale zabijając – co nie było trudne – i wrzucając ciało starego muzyka do Wisły, zapewnił sobie wspaniałą przyszłość. Daleko mu było co prawda do wirtuozerii w grze na lutni, ale szybko się uczył, a w kapeli na gwałt potrzebowano muzyka.

Dobra praca zapewniła mu dobre małżeństwo. Te dwa najważniejsze w jego życiu czynniki zaistniały tylko dzięki temu, że wykonał polecenie losu. A teraz znalazł pieśni, które z dużym prawdopodobieństwem umocnią jego pozycję w kapeli i zapewnią mu dalsze przywileje. Znowu wystarczy, że nie będzie przeszkadzać losowi i podda się przeznaczeniu – a jakaś odpowiednio wyposażona panna czy wdowa – jak kiedyś świętej pamięci Anna – będzie chciała widzieć w nim męża. Wszystko zdawało się iść ku dobremu. Byle tylko ucichł w jego głowie ten przerażający krzyk umierającej żony, byle tylko nie myśleć o wszelkich nieszczęściach, które mogą spaść na człowieka w każdej chwili.

Anna Żmijowa od czasu pożaru i poronienia nie umiała sobie dać rady z wszechobecnym poczuciem zagrożenia. Każdego dnia wstawała z myślą, że właśnie zaraz przytrafią się jej samej bądź jej dzieciom najgorsze z możliwych nieszczęść. Wszystko było możliwe: atak zarazy, nagła choroba, wypadek... We

wszystkim dopatrywała się znaków wieszczących katastrofę i nieszczęście.

Laurenty polecił jej, aby jak najwięcej się modliła i w kontakcie z Bogiem szukała pocieszenia. Z biegiem lat popadła w tak daleko posuniętą dewocję, iż nawet grywana na lutni muzyka zaczęła jej się kojarzyć z uciechami życia doczesnego, którego wyrzekłaby się zupełnie, gdyby nie małe jeszcze córki i jej ukochany Tomasz, najwspanialszy z synów, któremu chciała wymodlić dostatnie i pełne chwały życie.

Muzyk usilnie starał się patrzeć w przyszłość, nieustannie myślał o wybudowaniu zajazdu na Długiej. Tamtędy właśnie biegly budowane z drewnianych rur wodociągi zaopatrujące staromiejskie studnie w wodę. Mieściła się tam już słynna gospoda z noclegami Jerzego Boryczki, zwana Giełdą, a także zajazd Pod Gąską i austeria z miejscami do spania dla przyjezdnych. Zapotrzebowanie na miejsca noclegowe rosło z każdym rokiem i kolejnymi obradami sejmowymi.

Laurenty wiedział, że teraz był odpowiedni moment, aby podjąć się takiego dzieła. Jak coraz częściej powtarzano w środowisku muzyków, w Rzymie i we Florencji lutnia wychodziła już z mody, zastępowała ją gitara, a napływ wybitnych cudzoziemskich muzyków do kapeli królewskiej sprawiał, że dni starych instrumentalistów w służbie króla były policzone.

Żmij wiedział, że musi działać, zabezpieczyć przyszłość swoją i dzieci, uchronić zgromadzony majątek. Musiał zrobić wszystko, aby trzymać się tych planów, nawet jeśli ich powodzenie było nie do końca zależne od nakładu jego starań. Inaczej cóż mu pozostawało? Mroczne stany duszy, które pchały go w niektóre dni na praski brzeg. Grał do rana w kości w lichych spelunach, pił i robił rzeczy, o których później – już po wytrzeźwieniu – bał się powiedzieć nawet swojemu spowiednikowi.

Zrobiłby jednak wszystko, absolutnie wszystko, aby zatrzeć w pamięci powracające wspomnienie ostatnich chwil jego żony Anny. Wydarzenia styczniowej nocy powracały do niego każdego dnia, a mijający czas wcale nie zacierał ich wyrazistości.

Mijała siedemdziesiąta trzecia godzina bezowocnego porodu. Patrząc na nieprzytomne, naznaczone potwornym cierpieniem oblicze kobiety, wiedział już, że to koniec. Akuszerka z zupełnie obojętnym wyrazem twarzy okadzała rodzącą dymem jakiegoś rzekomo wspomagającego poród zioła. W pewnym momencie babka złapała Laurentego za ramię i ze strachem w oczach powiedziała, że nadszedł ostatni moment, aby ochrzcić nienarodzone dziecko. Nic w tym momencie według kobiety nie było ważniejsze.

– Zostawmy nieszczęsną Annę w spokoju, przecież widzę, że kona! – oponował muzyk.

Jednak akuszerka przekonywała go, że dzieciątko częściowo wyszło już na

świat i nie można go skazać na wieczne potępienie. To mówiąc, podwinęła suknię omdlałej Anny, która siedziała bezwładnie na udostępnionym przez akuszerkę krześle porodowym i pokazała Laurentemu zakrwawione, mokre krocze, z którego wystawała maleńka nóżka dziecka. Nie zważając na okrzyk przerażenia, jaki wydał z siebie lutnista, kobieta pochyliła się nad rodzącą i zagłębiła swoją rękę w pochwie Anny, wywołując okrzyk bólu Żmijowej.

– Trzeba go ochrzcić, to syn! Jeszcze żyje, ale nie daję rady go wyciągnąć.

Laurenty odwrócił się i podszedł do okna. Opanował go gwałtowny szloch. To był syn. A więc klątwa nadal działała, tym razem realizując swą moc nie tylko na dziecku, ale też jego nieszczęsnej matce. Akuszerka tymczasem klepała łacińskie formuły prowizorycznej formy rytuału zmycia grzechu pierworodnego.

Obraz drobnej stópki wystającej z krocza Anny prześladował go potem każdego dnia, o każdej godzinie. Ilekroć jego umysł atakowany był przez to potworne wspomnienie, ogarniała go trwoga, jakiej nie zaznał w żadnym innym momencie życia.

Wytworny i elegancki dzięki zabiegom cyrulika, przed powrotem do domu Laurenty miał w planach wizytę w kościele Świętego Marcina – świątyni, gdzie na mszach gromadzili się warszawscy muzycy. Witając się skinieniem głowy z kilkoma znajomymi osobami, lutnista usiadł w ławie blisko ołtarza i nie angażując umysłu, niemal bezwiednie zaczął uczestniczyć w znanym mu ceremoniale, który od dawna nie niósł dla niego ze sobą żadnych znaczących treści.

Tego dnia odprawiający mszę ksiądz Michał jak zwykle przestrzegał przed niemoralnym prowadzeniem się i groził gniewem Boga, który ześle wkrótce na niemoralny lud Starej Warszawy klęski żywiołowe i morowe powietrze.

– Wiecie, co mówi Ewangelia według Świętego Jana? Nie miłujcie świata ani tego, co jest na świecie. Wszystko bowiem, co na tym świecie jest, a więc pożądliwość ciała, pożądliwość oczu i pycha tego życia nie pochodzi od Ojca, lecz od świata! Jeśli miłujecie ziemskie życie, nie miłujecie należycie Ojca swego! – pełnym mocy głosem mówił ksiądz, jednak jego nawoływania i groźby nie robiły już na nikim większego wrażenia.

Po zakończonym nabożeństwie Laurenty i kilku jego znajomych muzyków zatrzymało się jeszcze przed świątynią, aby zamienić ze sobą parę słów. Opowiadali o tym, że kra na Wiśle topnieje i wypływają ciała topielców. Wczoraj flisowie wyłowili podobno z wody szlachcica! Nie wiadomo, kim był ani kiedy dokonano morderstwa, bo to na pewno nie była przypadkowa śmierć. Mężczyzna miał poharatane wnętrzności, prawdopodobnie od noża.

Wśród muzyków wywiązała się dyskusja – skoro ciało co najmniej kilka miesięcy przebywało pod wodą, nie można było stwierdzić przyczyny zgonu. Ale szlachcic, zamordowany ubiegłej jesieni? I nikt by o jego zaginięciu nie słyszał? W roku Pańskim tysiąc sześćset piętnastym sejmy odbywały się przecież

w miesiącu lutym!

– Dajcie spokój, niejedyn jeszcze wypłynie tej wiosny. Szlachcic nie szlachcic, pewnie spił się małmazją¹³ i zaciągnął jakąś praską dziewczkę nad brzeg rzeki, może mu się nagle brodzić w wodzie zachciało? Albo w łeb dostał za długi karciane, kto wie? Zbóje praskie nie patrzą, czy zawinił szlachcic, czy ichniejszy – wyraził swoją opinię Laurenty.

– Jeszcze takiego nie widziałem, co by uniknął ćwiartowania albo łamania kołem za zabicie szlachcica – wtrącił się najstarszy z grona muzyków, pięćdziesięcioletni puzonista Antoni.

– Życzę ichmościom miłego wieczoru, muszę się pożegnać – powiedział Laurenty i uchylił kompanom kapelusza.

– Ja też muszę was opuścić, sławetni panowie. Chcę sobie dogodzić z moją ulubienicą z Wieży, póki nie zjedzie się tu ta cała hołota na sejm. Wtedy tylu będzie chętnych, że biedne bezbożnice chwili wytchnienia nie znajdą od tej ciężkiej pracy. – Skrzypek Wincenty, znany wszystkim wielbiciel płatnej miłości, zaśmiał się rubasznie. Na myśl o czekających go uciechach podkręcił wąs i przyglądał spiczastą bródkę.

– Przekaż pozdrowienia ode mnie Zezowatej Michalinie! Powiedz, że niedługo ją odwiedzę! – zawołał Laurenty ze śmiechem i oddalił się.

Z mniejszym entuzjazmem niż jeszcze przed godziną pomyślał o wieczorze z piersiastą białogłową. Teraz wolałby posiedzieć samotnie przy kielichu zanego wina. Westchnął, czując, że szybko musi wychylić chociażby jeden kufel wareckiego piwa.

Postanowił na moment wstąpić do domu, aby chwilę odpocząć i założyć bardziej eleganckie buty na platformie, z modną atlasową kokardą na czubku.

Gdy tylko Laurenty przekroczył próg zielonego domu Pod Lutnią, już w sieni usłyszał nieznany mu kobiecy głos dobiegający z głębi korytarza. Zaciekawiony podążył za dźwiękiem. W jego kuchni musiała siedzieć nieznajoma – sądząc po głosie – młoda niewiasta i opowiadała coś o rozjaśnianiu włosów płukanką z szafranem. Mówiła szybko, a ton jej głosu wskazywał na pewność siebie i stanowczość. Muzykowi zabiło serce. Jego zmarła małżonka w pierwszych latach ich pożycia była właśnie taką silną, energiczną białogłową. Przez długi okres muzyk bardzo tęsknił za mocą, jaką Anna utraciła.

Przypomniał mu się nagle śpiewany przez chórzystów na próbach nowy madrygał najwybitniejszego z żyjących w Europie kompozytorów – Claudia Monteverdiego. Spośród niezrozumiałego tekstu pieśni Laurenty zapamiętał powtarzające się w kilku strofach wyrażenie *freccia di Cupido*, co ktoś mu przetłumaczył jako „strzałę Amora”.

Przed działaniami Amora rzeczywiście nikt nie był w stanie się uchylić! Wszyscy artyści o tym wiedzieli. Gdy osiągnie kogoś grot jego strzały, człowieka

całkowicie ogarnia miłosny płomień i nie ma odtąd żadnego wytłumaczenia, dlaczego czuje tak silny afekt do tej, a nie innej osoby. Po prostu tak bywa. Myśl ta wydała mu się bardzo przyjemna. Podekscytowany wszedł do kuchni z poczuciem, że za moment ujrzy kogoś przeznaczonego mu przez los.

Kobieta, którą zobaczył, siedziała na krześle, trzymając na kolanach jego najmłodszą córkę, dwuletnią Anusię. Nieznajoma gwałtownie zwróciła ku Laurentemu wielkie, czarne oczy, które wpatrywały się w niego badawczo. Właśnie to spojrzenie, tak bezpośrednie, przypominające wzrok spłoszonej sarny, w pierwszej chwili speszyło lutniście. Jego umysł zanotował tylko złote pukle włosów niewiasty, która sprawiała wrażenie dojrzałej, wręcz stojącej u progu wieku, w którym mawia się, iż białogłowa wpędzona jest w lata. Po braku czepca od razu stwierdził, iż nie była jeszcze zamężna. „Dziewica” – zawołało coś w jego głowie. Skojarzenie ze strzałą Amora było tym razem najwyraźniej nie na miejscu.

– Pan ojciec! – zawołała radosnym tonem najmłodsza córka i podbiegła ku lutniście, aby pocałować wierzch jego dłoni.

Siedząca na krześle obok dziesięcioletnia Julianna wstała, odrywając się od robótki, i skinęła głową. Jak zawsze wydała mu się niezwykle piękna i jak zwykle naburmuszona.

Donata z kwaśną miną mieszała strawę w kociołku.

– Waćpanna języka w gębie i manier zapomniała? Niech się przedstawi panu Laurentemu – rzuciła opryskliwie w kierunku gościa.

Kalina wstała od stołu, ukloniła się i powiedziała, kim jest, a także szybko wyjaśniła, że przyjechała pomodlić się na grobie swojej siostry Anny.

Laurenty nie dał po sobie poznać rozczarowania, jakie odczuł, poznając tożsamość kobiety. Starał się odwieść teściową od pomysłu przysłania tutaj Kaliny, jak widać, nie udało mu się być wystarczająco stanowczym. I tak oto pojawił się kolejny kłopot na głowie. „Pewnie matka przysłała ją wywiedzieć się o darowane w spadku pamiątki po Annie” – pomyślał, wzdychając. Wizyta u samotnej tego wieczora żony tancmistrza stawała się mało realna.

– Zanim zasiądziemy do wieczerzy, pokażę waćpannie dom mój i twej nieboszczki siostry. Musisz widzieć, że wielką radość sprawiało Annie to domostwo, urządziła je, mając na uwadze umiłowanie dla muzyki i dla malarstwa.

Laurenty z galanterią zaczął prezentować swoje lokum, które traktował jak świadectwo jego pozycji społecznej i statusu osoby zatrudnionej na dworze. Ruszył przez długą, wąską sień, prowadząc za sobą Kalinę, której na krok nie opuszczały córki Anny i Laurentego – obie śliczne, o zdrowych kształtach, ubrane w niemal jednakowe suknie z połyskującej tkaniny o miodowej barwie.

Zaczęli zwiedzanie. Znajdująca się na dole izba od ulicy zajmowana była przez krawca, który zajęty sprawami rodzinnymi chwilowo w niej nie przebywał. Za sienią znajdowała się kuchnia, którą Kalina uznała za dobrze zaopatrzoną. Na

piętrze od ulicy znajdował się najbardziej reprezentacyjny – jak zaznaczył pan domu – pokój o wysokim, kasetonowym stropie, z którego zwisały świeczniki umieszczone na jelenich rogach. Dwa wąskie okna zasłaniały zielone firanki, ściany pomieszczenia obite były bordową materią w tłoczony, kwiatowy wzór. Oprócz łóżka, nad którym rozwieszony był baldachim z tkaniny o tabaczkowym kolorze, okazałej skrzyni i stołu pokrytego ormiańskim kobiercem oraz krzesel w izbie nie było więcej sprzętów. W rogu stał piec z zielonych kafli. Pokój był uprzątnięty i sprawiał wrażenie gotowego na przyjęcie gościa.

„Jakby na mnie czekali” – przemknęło przez myśl Kalinie.

Pan domu, jakby słysząc jej myśli, wyjaśnił, że tutaj właśnie chciałby ugościć tak ważnego gościa jak siostra jego zmarłej małżonki. Niestety izba ta może być wykorzystywana jedynie do czasu, gdy przybędzie kasztelan łomżyński, któremu magistrat przydzielił właśnie dom Laurentego jako lokum na okres walnych sejmów.

Kalina bardzo się zdziwiła, słysząc o niedogodnościach, jakie każdy niemal mieszczanin władający kamienicą w Warszawie musiał cierpieć w czasie obrad sejmowych. Jeśli dany dom nie uzyskał urzędowej libertacji, jego właściciel – pod groźbą surowej kary – miał obowiązek udostępniać co najmniej jedną izbę szlachcicowi i członkom jego orszaku, którzy przyjeżdżali do Warszawy na okres posiedzeń sejmowych, trwających od czterech do nawet sześciu tygodni. Nie dość, że warszawianie musieli to robić nieodpłatnie, to dodatkowo często pobyt gości oznaczał wielotygodniową udrękę – panowie pili na potęgę, byli głośni, dochodziło nawet do bijatyk i dewastacji pomieszczeń. A jeśli gość zniszczył dobytek, nawet nie fatygował się ze zwrotem pieniędzy za szkody. W takiej sytuacji trzeba było przed sądem dochodzić sprawiedliwości, co często bywało długotrwałe bądź w ogóle nieskuteczne.

Przez trzy ostatnie lata Laurenty i Anna podejmowali w swoim domu samego chorążego wielkiego litewskiego, który zachowywał się dostojnie i nie pozwalał ludziom ze swojego orszaku na zbytne folgowanie w picciu. Raz tylko przybyły z nim kompan uszkodził drzwi pomieszczenia, gdzie załatwiano szczególne potrzeby, było więc sporo niedogodności i problemów z tym związanych. Co miał przynieść rok obecny, nie było wiadomo, przypisano bowiem do kamienicy zupełnie nowego, nieznanego gościa.

„A więc mam tylko dwa tygodnie, aby przekonać lutnistę, by zatrzymał mnie na dobre” – pomyślała Kalina.

Z sieni na parterze wychodziło się na zagracone, wewnętrzne podwórko, gdzie znajdował się niewielki, ogrodzony płotkiem warzywnik. Z podwórza przechodziło się do drewnianego, niepozornego gmachu tylnego, w którym mieszkała wdowa Donata i pomagająca w domu dziewczka Edyta, a także do niewielkiej stajni.

Ciasnymi, krętymi schodami dębowymi obok kuchni zwiedzający weszli na drugie piętro domostwa, gdzie znajdowały się dwie prywatne izby. Z mniejszym pomieszczeniem z oknami od strony podwórza połączony był alkierz, w którym obecnie sypiał Laurenty. Z alkierza wychodziło się na ganek drewnianej konstrukcji połączonej z wieżą latrynową wyposażoną w schodki, którymi można było zejść na wewnętrzne podwórko, mieszczące się pomiędzy gmachem przednim a tylnym.

Izba od strony ulicy była głównym pomieszczeniem, w którym domownicy wspólnie przebywali ze sobą, muzykowali, jedli i przyjmowali gości. Była wąska i długa, jej ściany wyłożono tkaniną o kolorze wyblakłego błękitu, na niej zaś – tuż pod stropem – dookoła pomieszczenia zawieszono obrazy o różnej tematyce. Były tam dwie martwe natury przedstawiające owoce i nieżywe ptactwo, dwa konterfekty, w tym jeden Anny – jak w myślach stwierdziła Kalina – zupełnie niepodobnej do kobiety, którą zapamiętała z okresu dzieciństwa, malowidło przedstawiające Zwiastowanie, portret Świętego Tomasza i kilka scen z mitologii, których nie rozpoznała. Jednym z licznych braków jej wykształcenia była nieznajomość historii greckich bogów.

W izbie stało kilka zdobionych skrzyń, potężny piec z zielonych kafli, a także duży stół przykryty orientalną tkaniną, na którym obok srebrnych lichtarzy leżały zapisy nutowe. W izbie obok stały dwa sąsiadujące ze sobą łóżka z baldachimami z tkaniny w kolorze kwiatu malwy – spały tu dziewczynki, a wcześniej Anna, zanim ostatnia ciąża sprawiła, że potrzebne jej było osobne łóżko.

– Chciałabym posłuchać, jak waćpan grasz na lutni – powiedziała stanowczo Kalina, odwracając się do Laurentego i przyglądając się mu bacznie. Mężczyzna unikał jej wzroku i nie próbował ukrywać swoich odczuć. Zorientowała się, że traktuje ją jak kłopot, który niespodziewanie spadł na jego barki.

Nie tylko ojciec Bonifacy, ale matka także mówiła jej, aby zachowywała się skromnie, nie odzywała pierwsza i starała się wstydliwie spuszczać wzrok. Kalina nie umiała jednak zapanować nad tym, co wydawało się jej tak naturalne, więc szybko porzuciła próby poskromienia swojej ciekawości.

Laurenty był bowiem bardzo intrygującym jegomościem. Krępej budowy, o kilka cali niższy od niej, miał silne, proporcjonalne ciało. W czarnym stroju na cudzoziemską modłę, z koronkową krezą, prezentował się bardzo dostojnie. Miał delikatne zmarszczki (bruzdy ciągnące się od nosa do ust wręcz dodawały mu uroku) i wiecznie zafrasowany wyraz twarzy, którą zdobiła lekko tylko przyprószone siwizną broda i wąsy. Tak popularne na królewskim dworze, a niespotykane w Brodnicy długie włosy także się Kalinie spodobały.

Muzyk spoglądał na niezapowiedzianego gościa, marszcząc brwi, wyraźnie zmieszany. Kalina uznała to za dobry znak. Gdyby tylko miała możliwość

roztoczenia przed nim swojego uroku, gdyby Laurenty patrzył na nią jak na kobietę, a nie członka rodziny... Wiedziała już, że podejmie próbę przekonania lutnisty, że mimo miernego posagu byłaby dobrą żoną.

– Ojczy, zagraj, proszę! Zaśpiewamy z Anusią pieśń Jana z Czarnolasu, którą ćwiczyłyśmy w tym tygodniu! – błagalnym tonem zawołała Julianna. Sprawiała wrażenie bardzo rezolutnej, energicznej dziewczynki.

– Dzisiaj nie. Jestem zmęczony – odparł oschle Laurenty.

Próbując jednak zachęcić ojca, dziewczynki wspólnie zaintonowały:

Nie porzucaj nadzieje,

Jakoć się kolwiek dzieje:

Bo nie już słońce ostatnie zachodzi,

A po złej chwili piękny dzień przychodzi.

– Ależ cudnie śpiewacie! Prawdziwe skarby ma waćpan w domu! – radośnie zawołała Kalina, klaszcząc w dłonie.

Jej żywa reakcja nie sprawiła muzykowi radości. Spojrzał smutnym wzrokiem na córki i dłonią dał im znak, aby zakończyły popisy.

– Kiedy indziej, nie dzisiaj – rzekł muzyk.

Wpatrując się w nasyconą bogatymi barwami galerię oblicz ludzkich, Kalina w duchu układała już list, który nazajutrz napisze do matki do Brodnicy. Opisz dokładnie ten bogaty, wspaniały dom lutnisty.

Zapagnęła z całego serca usłyszeć dźwięk tego instrumentu. Muzyka dotąd niewiele znaczyła w jej życiu. Słyszała ją nader rzadko, a nabożne pieśni śpiewane w kościele i dźwięk organów budziły w niej trwogę.

– Szwagrze, a jeśli ja poproszę, uszanujesz pragnienie gościa i zagrasz? – zapytała Kalina bez cienia kokieterii.

– Może jutro... – odparł nieco zaskoczony jej bezpośredniością, i czym prędzej zmienił temat. – Wiesz zapewne, waćpanna, iż pierwszy mąż twej siostry był znakomitym mistrzem malarskim, ozdabiane jego ręką plafony można zobaczyć w kilku pałacach na przedmieściach Warszawy. W wielkim pożarze większość jego prac wraz z całym drewnianym domem bezpowrotnie uległa zniszczeniu. Jednak nieboszczce małżonce mojej udało się odkupić kilka obrazów od ludzi, których domy nie całkiem spłonęły. Niestety nie znalazła tego malunku, na którym zależało jej najbardziej. Do końca, nawet na łożu śmierci, wspominała pewien widok Starej Warszawy od strony Wisły, który zaginał, i chociaż nieszczęsna Anna czyniła starania o odnalezienie tego widoku, a był on naniesiony na dużych rozmiarów desce, tak więc niełatwy do ukrycia, nigdy nie odzyskała

dzieła tak bliskiego jej sercu – powiedział Laurenty.

Miła atmosfera ulotniła się, gdy tylko w izbie pojawiły się Donata oraz dziewczka Edyta. Z impetem zaczęły rozstawiać na stole cynowe talerze i drewniane łyżki.

– Dajcie, Donato, kielichy do wina i karafkę węgryzyna. Musimy uczcić przybycie naszego gościa! – powiedział Laurenty, w pośpiechu zbierając kartki z zapisanymi nań nutami.

– Wedle pana dobrodzieja każda okazja do wypitki jest dobra... – powiedziała z kwaśną miną gospodyni.

Kalina pomyślała, że kobieta musi się czuć bardzo pewnie, skoro pozwala sobie na tego typu odzywki. Laurenty nie odrzekł ani słowa, wyszedł z izby do spiżarki po wino. Nakazał zapalić usługującej dziewczce świece woskowe, co Kalina uznała za potwierdzenie bogactwa, jakie panowało w tym domu. W jej domu rodzinnym paliło się niemal wyłącznie tańszym łuczycem.

Donata wniosła zaraz gliniane naczynie z duszoną wątróbką z rodzynkami i imbirem, jak się okazało, doskonale doprawioną sokiem z cytryny i kwiatem muszkatołowym. Laurenty pobłogosławił żywność.

Gdy z zamkniętymi oczami szeptał słowa podziękui, Kalina nie mogła powstrzymać myśli, które ostatnio bardzo często ją niepokoiły. Jak by to było, gdyby legła w łóżu z mężczyzną, właśnie takim jak Laurenty? Wiedziała, że te myśli były niewłaściwe, a jednocześnie wcale nie czuła, że popełnia grzech. Wszystko, co było naturalne, nie mogło być złe. Bóg nie po to stworzył zwierzęta i ludzi z ich popędami i potrzebami, aby karać ich za czynienie tego, co było potrzebami ciała.

Zerknęła na muzyka, który zamyślony i nieobecny, bezwiednie podnosił łyżkę do ust. Był raczej typem małomównym i posępnym. Zdawało się jej, że Laurenty skrywa jakąś tajemnicę, która ciąży mu na duszy. Nie zwracał uwagi na dziewczynki, które sprzeczały się o coś przy stole. Ale może na osobności, gdyby byli tylko we dwoje, w łóżu, okazałby się bardziej śmiały?

Sen ten pierwszej nocy w domu muzyka miała niespokojny. Padał deszcz. Wilgoć panująca w izbie i chłód sprawiły, iż Kalina przewracała się z boku na bok, szcękając zębami. Wreszcie postanowiła poszukać czegoś do ogrzania się. Wysikała się do nocnika, pozostawionego jej przez Donatę, i oświetlając sobie drogę latarenką z łojową świecą, wyszła z izby na ciemny korytarz. Słyszalne z góry odgłosy sprawiły, że pomyślała o ciepłym piecu w głównej izbie i dodatkowej pierzynie. Weszła po wąskich schodach na drugie piętro, ale panowała tam całkowita ciemność – dziewczynki najwyraźniej spokojnie spały.

Przez uchylone drzwi do drugiej izby Kalina dostrzegła smugę światła kładącą się na kamiennej podłodze. Bez zastanowienia weszła do pomieszczenia, skąd dochodziły dosyć niecodzienne odgłosy stukania. Drzwi do alkierza były

niedokładanie zamknięte, a stamtąd właśnie wydostawało się pasmo ciepłego światła. Kalina podeszła bliżej i już miała pchnąć wrota, gdy przez wąską szczelinę między drzwiami a futryną dostrzegła ruszające się postacie na sporych rozmiarów łożu. Z przerażeniem dostrzegła, iż mężczyzną w białej koszuli, siedzącym na kobiecie, był Laurenty. Leżącą w jego łóżku białogłową, którą ujeżdżał – Donata.

3.

Kalina po raz pierwszy usłyszała, jak Laurenty gra na swojej lutni, w trakcie wielkiej uczty, jaką wydawał magistratus Starej Warszawy w reprezentacyjnej sali ratusza. Łkanie instrumentu wywołało w niej dreszcze, jakich nigdy dotąd nie doświadczyła, słuchając muzyki. Te dźwięki układające się w przepiękną melodię *canto* zdawały się ważnym przesłaniem z nieba, aby Kalina zrobiła wszystko, absolutnie wszystko, by wkraść się do serca mężczyzny, które kiedyś należało do jej starszej siostry. Wiedziała, że Anna była ogromnie bliska Laurentemu. Wspominał żonę z wyraźnym trudem, zdarzało się, że tłumiąc łzy.

W pierwszą niedzielę, w jaką przyszło Kalinie uczestniczyć w nabożeństwie w nowym dla niej miejscu, w kościele Świętego Marcina chowano akurat małżonkę jednego ze skrzypków z kapeli królewskiej. Po mszy Kalina wraz z rodziną Żmijów przystanęli, aby pomodlić się przed świeżo zasłoniętą kryptą, w której zimą pochowano biedną żonę Laurentego. Ten wzruszył się, odczytując napisane po łacinie na marmurowej tablicy epitafium dla zmarłej żony. Przełożył słabo znającej łacinę Kalinie treść napisu:

Na dowód wielkiego żalu po żonie i matce, z prośbą, aby jej ceniom miła była pamięć. Przyjm, ziemio, popioły Anny Żmijowej, szlachetnej białogłowy. Odejdą bogactwa, zaszczyty, potomstwo, zostaną tylko dobre i złe czyny.

Kalinie również zakręciły się łzy w oczach, ale poczuła też ukłucie zazdrości z powodu tego, iż jej siostra otrzymała od losu tak wiele – w tym miłość tego powściągliwego, wytwornego królewskiego sługi. Pamiętając charakter Anny, Kalina wiedziała, iż siostra zapewne podporządkowała sobie młodszego męża i umiała wszystko w życiu przeprowadzić wedle własnych upodobań. Jedyne nad własnym ciałem nie miała władzy i ono w końcu ją pokonało.

Ale przecież los, jaki spotkał siostrę, był chlebem powszednim wielu kobiet. Jeśli były mężatkami, w większości przypadków któryś z porodów w końcu okazywał się tym ostatnim. „Widać tak to Bóg urządził – myślała Kalina. – Taka była cena szczęśliwego pożycia małżeńskiego”. Białogłowy szybko kończyły swoją ziemską wędrówkę, a pozostawieni mężowie szybko brali sobie następne niewiasty za żony. Laurenty wcześniej czy później też tak zrobi. Oby tylko kwestie majątku nie były dla niego ważniejsze niż rozkosze, jakie mogło dać młode ciało odważnej i krewkiej niewiasty. Takiej jak Kalina.

W pierwszych dniach Kaliny w Starej Warszawie chwile rozpacz i zachwytu przeplatały się jak w kalejdoskopie. Już trzeciego dnia pobytu otrzymała list od matki, w którym ta wypominała jej milczenie i nawoływała do pilnego przesłania wiadomości. Ale dziewczyna zwlekała z odpowiedzią, nie wiedząc, co mogła, a co powinna napisać matce na temat swoich szans jako potencjalnej żony muzyka. Była skonfundowana, niepewna swoich uczuć i wrażeń, które zmieniały się w zawrotnym tempie. Sama nie wiedziała, co myśleć o tym mieście, czy jej się tu podoba, czy wyobraża sobie w nim życie...

Zatłoczone ulice cuchnące moczem, odchodami i resztkami gnijącego jedzenia zmieszanego z wonią palonego w piecach drewna sprawiały, że Kalina czuła popłoch, jakby ktoś zamknął ją w więzieniu, w którym nie ma czym oddychać. Przerażała ją gawiedź tak tłocznie zalegająca ulice, ci wszyscy odziani w nędzne łachmany żebracy i kaleki. Unikała ich wzroku, omijała wyciągnięte po jałmużnę ręce. Brakowało jej przestrzeni, widoku drzew, kwiatów i zwierząt. Tutaj widziała jedynie na otaczających ratusz kramach solone ryby, zabite króliki, poćwiartowane woły i wiszące na sznurach ptactwo. Pocieszał ją widok bezpiecznych psów i spotykane na każdym kroku koty, wylegające się pod murami kamienic. Każdy kwiatek, który wykiełkował gdzieś na tylnym podwórzu któregoś z domów, każdy kolorowy akcent, który przyciągał wzrok, gdy spoglądała na okratowane okna dolnych poziomów kamienic, gdzie wystawiano skrzynki z wiosennymi kwiatkami, cieszył ją, świadcząc o tym, że przyroda właśnie rozkwita i gdzieś tam, poza potężnymi murami miasta, wszystko ożywa po długiej i srogiej zimie.

Obrzydzenie potokiem mułu zmieszanego z ekskrementami, który płynął uliczkami, przysłańiał zachwyty nad strojami mieszczek spacerujących po Rynku, ich błyszczącymi w kwietniowym słońcu klejnotami, przepychem towarów oferowanych przez Ormian, bogatym wyborem różnych produktów na szkockich kramach. Wielość wszystkiego, co można było nabyć za pieniądze, oszałamiała ją. Zadziwiała ją obfitość produktów, z których szykowano potrawy, wyłożone na kramach egzotyczne owoce, jakich dotąd nie próbowała.

Zachwycały ją bogate stroje mieszczan, chcących wyglądać nie gorzej niż szlachta, która lada dzień miała zacząć masowo napływać do Warszawy. Kupcy i przedstawiciele władz miasta nie szczędzili środków na swoje kolorowe, krótkie żupany z karmazynowego czy niebieskiego sukna, zdobione guzami oraz okrywające ramiona, długie kontusze, szyte z mieniących się w słońcu włoskich materii. Ich futrzane kołpaki przyozdabiane były piórami i broszami z kamieni szlachetnych, mieszczki zaś nosiły na głowach śnieżnobiałe podwiki¹⁴, na które z kolei zakładały futrzane otoki albo haftowane perłami lub złotą nicią czepce. Właśnie taki zdobiony złotem czepiec nieboszczka Anna zapisała w swoim testamencie swojej młodszej siostrze.

W drugim tygodniu pobytu Melcerówny w domu Żmija Laurenty wręczył jej drogocenne nakrycie głowy, mówiąc, że już niedługo – jak tylko Kalina połączy się z kimś świętym węzłem małżeńskim – będzie mogła założyć go na głowę. Po chwili wahania wręczył też szwagierce wyszywany koralikami woreczek. Kalina przyjęła go z ufnym uśmiechem, niczym dziecko, któremu daje się łąkoć. Z nieskrywaną ciekawością zaczęła rozsupływać wiązanie woreczka.

Lutnista pomyślał, że ta dziewczyna jest dziwna, nieokrzesa, przesadnie szczerą. A przecież jego surowa teściowa zapewne wpoila córce reguły dotyczące zachowania oraz powszechnie obowiązujące zasady grzeczności.

– Dziękuję, szwagrze! – wykrzyknęła Kalina, wysypując z woreczka na środek dłoni zausznice z perłami o nieregularnym kształcie. – Są piękne, przepiękne! Czy należały do czcigodnej nieboszczki Anny? Perły mają tajemnicze właściwości, noszone blisko ciała chronią przed trucizną! – paplała, podskakując z radości.

Muzyk poczuł ulgę, pozbywając się ulubionych kolczyków zmarłej żony. W swoim szczegółowym testamencie nie zapisała ich nikomu konkretnemu, ale przecież nie mogła o nich nie pamiętać, skoro wyszczególniła niemal każdy przedmiot, jaki do niej należał. Skrupulatnie rozpisała legaty dla służby, wskazując, która służąca dziewczka ma dostać łyżkę srebrną, a która poduszkę. Rozdzieliła wszystkie swoje klejnoty między córki i syna. Zostawiła legat roczny na rzecz ubogich ze szpitala Świętego Ducha w wysokości trzynastu talarów. Dobrze zabezpieczyła swego syna Tomasza, zapisując mu wspólnie z Laurentym prawo do domu Pod Lutnią.

Doznawałam ja po wszystkim czas pożycia mego z dobrodziejem panem małżonkiem moim wielkiej w małżeństwie miłości i uszanowania, niemniej osobliwego w te zamieszane czasy wsparcia – napisała Anna w swej ostatniej woli.

Muzyk znał te słowa na pamięć.

Kalina z zazdrością spoglądała na suknie mieszczek, zwłaszcza te w kolorach miodu i cynamonu oraz gołębiego błękitu. Szyte były z aksamitu, sztywny stanik wydłużał się ku dołowi, a obszerne spódnice pięknie rozkładały się na fortugałach¹⁵. Oprócz obcisłych kaftanów białogłowy nosiły ściskające szyje kryzy z zachwycających, delikatnych koronek. Przed chłodem chroniły je podbijane futrem krótkie kazjaki¹⁶ w żywych kolorach.

Wszystkie te bacznie obserwowane sposoby ubierania się warszawskich mieszczek wprawiły Kalinę w przygnębienie. Zdawała sobie sprawę, jak bardzo wyróżnia ją z tłumu jej skromne odzienie – bura, pofałdowana spódnica, mocno ściskający duże piersi stanik bez rękawów, spod którego wystawały białe, szerokie rękawy sukni spodniej. Włosy wiązała w kok, wpinając w nie jedyne ozdoby, jakie posiadała – spinki z perłami. Jej kryza była przybrudzona i z tak marnego płótna, że Kalina wstydziała się dłużej ją tutaj nosić. Zakrywała zielonobure sukno spódnicy

długą peleryną w tabaczkowym kolorze z obszernym kapturem, jaką podarowała jej matka na podróż.

Zadziwiła ją też skłonność mieszkańców Warszawy do zażywania kąpeli – w jej rodzimej Brodnicy unikano kontaktu z wodą, bojąc się jej złego wpływu na naturalną osłonę skóry przed chorobami. Tutaj jednak należało od czasu do czasu pójść do jednej z kilku miejskich łaźni i moczyć się w wielkiej drewnianej balii, w samej tylko sukni spodniej. Co więcej, można było opłacić kąpiel z dodatkiem przeróżnych ziół, których działanie mogło pomóc zwalczyć niektóre dolegliwości.

Podobno sam król był zwolennikiem częstych kąpeli, zażywał ich wręcz codziennie! Miał specjalny pokój kąpielowy i wielki basen z jego ulubionego czarnego marmuru, w którym moczył swoje ciało. Za jego przykładem szedł dwór i chociaż szlachta krytykowała te cudzoziemskie nawyki, powstające w obrębie miasta łaźnie zachęcały mieszczan do pójścia w ślady tego, który wołał Boga i narodu reprezentował majestat Rzeczypospolitej Obojga Narodów.

Tym jednak, co najbardziej zaskoczyło ją po przybyciu do Warszawy, była muzyka. Mimo że Kalina nie rozumiała fachowych terminów, którymi posługiwał się Laurenty, nie znała zupełnie nut (wydawały się jej zresztą tajemnicze nie mniej niż sztuka kabały, której podstawy przekazał jej przed śmiercią ojciec), całym sercem czuła piękno wydawanych przez instrumenty dźwięków.

„Muzyka, waćpanno, to nic więcej, jak tylko drgania powietrza” – powiedział kiedyś Laurenty. Ale ona wiedziała, że to coś więcej. Ilekroć wybrzmiewała muzyka – a grana była w każdym z kościołów, dobiegała z piwnic winiarni, z każdego szynku, których w samym Rynku było siedem, dobiegała z okien kamienic, gdzie ćwiczone grę na instrumentach, a nawet pod ratuszem, gdzie kapela grajków umilała mieszkańcom zakupy na jarmarku, który rozpoczął się w drugą niedzielę po Wielkanocy – całe istnienie stawało się miłsze, bliższe Boga, wznioślejsze. Słuchając muzyki, można było zapomnieć na moment o tym, jak świat jest groźny, jak kary Boga straszne, o wszystkich niebezpieczeństwach i tragediach, które czyhały na człowieka na każdym kroku. Ważne było tylko to, że tu i teraz żyje się we względnym zdrowiu, a dzięki słyszanej melodii obawy o jutro i przykre wspomnienia wydawały się mniej dotykać duszę człowieka.

– Dopóki nie zobaczycie warszawskiej uczty, Kalino, nie będziesz miała pojęcia, jak naprawdę żyje się w tym mieście – rzekł pewnego dnia Laurenty, przyglądając smukłymi palcami brodę ufryzowaną na hiszpańską modłę.

„Uczta? A ja nie mam odpowiedniej sukni!” – pomyślała przerażona dziewczyna.

4.

Zorganizowana przez magistrat ucztą, mająca uświetnić kolejne wybory do rady miejskiej, odbyła się na pierwszym piętrze ratusza w reprezentacyjnej izbie

sądowej, do której wchodziło się zewnętrznymi, pięknie zdobionymi schodami. Ściany pomieszczenia ozdobione były malowanymi herbami burmistrzów, portretami książąt mazowieckich i wizerunkami aniołów. Przez wielkie okna z trzech stron rozpościerał się wspaniały widok na ściany kamienic i zadaszenia straganów.

Wybrany na kolejną kadencję rady miejskiej Baltazar Melcer zaprosił na ucztę swoją przyrodną siostrę Kalinę, którą do tej pory widział zaledwie dwa razy w życiu. Mieli jednak tego samego ojca, czuł więc powinność roztoczenia opieki nad młodą niewiastą, choć robił to z poczuciem spełniania przykrego obowiązku. Obawiał się, że ta nieszczęsna panna na wydaniu, pozbawiona posagu przez zaniedbania matki i hultajstwo młodszego brata, stanie mu się kulą u nogi, problemem, który w końcu będzie musiał jakoś rozwiązać. Nie na darmo jego sprytna macocha, której zresztą szczerze nie znosił, przysłała Kalinę do Warszawy, licząc na to, że pozbędzie się dziewczyny na dobre. Jak Baltazar policzył, przyrodnia siostra musiała już mieć co najmniej dziewiętnaście wiosen, był to więc najwyższy czas, aby poszła za mąż. Tylko skąd wziąć chętnego, który wziąłby ją do siebie, skoro nie miała posagu?

Małżonka Baltazara, czcigodna Tekla, od miesiąca już pogrążona w dziwnych boleściach, słysząc o przybyciu Kaliny do miasta, stanowczo zakazała przyjmowania jej pod swój dach. „Wymówisz się moją chorobą” – podpowiedziała mężowi, ten zaś zamierzał postępować zgodnie z jej zaleceniem. Baltazar spodziewał się, że z uwagi choćby na jej zaawansowany wiek pięćdziesięciu lat i dziewięć trudnych porodów jego żona niedługo będzie żegnać się z tym światem. Postanowił powoli zacząć rozglądać się za jakąś młodą, najlepiej piękną i uposażoną białogłową, która mogłaby stać się jego towarzyszką i grzać mu łoże w chłodne wieczory. Cierpiący na reumatyzm rajca znosił zimę bardzo ciężko.

Przyrodnia siostra z radością przyjęła zaproszenie Baltazara, tym bardziej że na wystawnej uczcie mieli grać muzykanci z kapeli dworskiej, w tym także Laurenty, który podjął się tej dodatkowej pracy z wielką chęcią, gdyż była dobrze płatna, a poza tym lubił grać muzykę świecką, w której lutnia odgrywała znaczącą rolę. Król i królowa zdecydowanie preferowali muzykę sakralną, więc z wyjątkiem chwil, które chcieli poświęcić na tańce, kapela królewska grała przeważnie nabożne psalmy, msze i nieszpory.

Kalina przybyła na uroczystość ubrana w suknię z bordowej materii przetykanej złotą nicią, która zwała się złotogłowie. Był to jeden z najlepszych ubiorów jej nieboszczki siostry, uszyty z okazji chrzcina Anulki. W testamencie Żmijowa zapisała ten strój swojej sąsiadce i przyjaciółce, która jednak zachorowała i zmarła zaledwie tydzień po Annie. Suknia leżała więc w skrzyni z osobistymi rzeczami nieboszczki, do której Laurenty nigdy nie chciał zaglądać.

Za to Donata świetnie znała leżące w niej przedmioty, zapewne z wielu

z nich korzystała, chociaż suknia z tak drogiej materii nie mogła się przydać zwykłej gospodyni. Przyniosła więc strój Kalinie i z cierpką miną rzuciła na łóżko, mówiąc:

– Macie, ubierzcie się tak, żeby wielmożnemu Żmijowi, ale i bratu waćpanny wstydu nie przynieść. W tych łaach, co ze sobą przywieźliście, to chyba nawet w Brodnicy pokazać się nie można.

Kalina nawet nie siliła się, by odpowiedzieć na złośliwości Donaty. Zapewne gospodyni liczyła na to, że jak najszybciej ktoś zechce wziąć Melcerównę za żonę, dzięki czemu zniknie wreszcie z domu lutnisty.

„Nieszczęsna wdowa – pomyślała Kalina. – Myśli, że skoro dzieli łożę z panem domu, to ten nie weźmie sobie nowej żony. A przecież na pewno to zrobi. Musi to zrobić, choćby z myślą o swoich dzieciach”.

Przystrojona kwiatami, rozświetlona ogromną ilością woskowych świec izba główna ratusza wypełniała się gośćmi, których z wielkim przejęciem, zgodnie z pozycją społeczną i znaczeniem, rozsadzał na miejscach mistrz ceremonii. Kameralny zespół muzyków, grający na lutni, wioli da gamba, altówce i klawesynie, rozpoczął swój koncert od radosnych pieśni włoskich. Ustawione w podkowę stoły zasłano trzema warstwami obrusów, na których stały drogocenne naczynia, puchary ze srebra, których czasze tworzyły kształt muszli. Na każdym talerzu leżała kromka chleba przykryta serwetką, a obok duża serweta do zawiązania pod brodą.

Kiedy kilkudziesięciu nobliwych gości, nie bez pewnych niesnasek (dwóch ławników pokłóciło się o miejsce bliżej burmistrza) usiadło w końcu na ławach, obecny wśród gości zakonnik zaintonował modlitwę. Kalinę usadzono w części stołów zajmowanej przez najznamienitszych gości, obok jej brata, który tego wieczoru przybył bez chorej żony.

Gdyby nie przyprowadzono jej do wysokiego jegomościa z wielkim brzuchem, nie byłaby w stanie nawet rozpoznać krewniaka. Wymienili z bratem ukłony i zwykle, chłodne pozdrowienia, patrząc jedno na drugie jak na zupełnie obcą osobę. Baltazar ubrany był niezwykle okazale, strojem dając świadectwo swojej pozycji. Na jego nalanej twarzy malowała się pycha i poczucie wyższości. Przyrodnią siostrę od pierwszej chwili traktował z rezerwą, wyraźnie dając do zrozumienia, że nie zamierza się nią opiekować ani jej pomagać.

Służba stała sztywno za plecami biesiadników, trzymając dzbany z wodą, misy i ręczniki. Rozpoczęły się oficjalne powitania gości i krasomówcze popisy, w których jeden z rajców wychwalał cnoty i dokonania członków magistratu. Kalina patrzyła na ten spektakl z zaciekawieniem, czując, jak wiele obcych osób wnikliwie się jej przygląda i wymienia komentarze na jej temat. Obecność nieznanego niewiasty o wspaniałej urodzie nie uszła uwadze mężczyzn przybyłych na ucztę w swoich galantnych strojach.

Wszyscy niemal mężczyźni – nie licząc księży, muzyków i kilku osób z królewskiego dworu – ubrani byli na modłę narodową w odświętne kontusze z drogich tkanin, mieli podgolone po bokach włosy, a ich wargi ozdabiały sumiaste wąsy. Towarzyszące im niewiasty prezentowały się skromniej, choć ich włosy zdobiły zakrywające niemal całą głowę opaski wyszywane perłami i klejnotami albo przykrywała je złota siateczka przetykana perłami. Przylegające do piersi, zabudowane suknie miały tył mocno powłóczysty. Zdobiące szyje sztywne, białe krezy sprawiały, iż ich głowy wydawały się śmiesznie małe, a ciała wręcz pozbawione szyj. Wszystkie ubrane były bardzo podobnie i bogato, chociaż uchwały przeciwzbytkowe zabraniały mieszczanom noszenia drogocennych ubiorów, takich jak futra i jedwabie, dozwolonych wyłącznie szlachcie.

Patrząc na to dostojne towarzystwo, Kalina pomyślała z żalem, że bardzo chciałaby być jego częścią, prawowitą mieszkanką Starej Warszawy, i jak jej siostra rozporządzać kiedyś majątkiem w swoim testamencie, urodzić dzieci i zatroszczyć się o ich przyszłość. Jednak ze smutkiem skonstatowała, że bez posagu nie ma na to wielkich szans. Nawet jeśli za pomocą miłosnych mikstur czy zdarzenia losu stałaby się żoną jednego z tych zacnych mężczyzn, ten, trzymając ją u swego boku, nie dałby jej zapomnieć, jaką uczynił jej łaskę. Byłaby niespłaconą dłużniczką, zawsze na przegranej pozycji. A tego nie chciała sobie samej uczynić za nic na świecie.

Po obmyciu rąk przystąpiono do jedzenia. Dwaj mężczyźni, którym przypadła rola krajczych, rozpoczęli porcjowanie mięsiwa: sarninę, kapłony i wołu, po czym podawali zapełnione półmiski na stół. Potrawy podlewano zawiesistym sosem z szafranu lub z przetartych śliwek. Mięso było dobrze przyprawione imbirem, cynamonem i kwiatem muszkatołowym, w połączeniu z sosem danie stawało się zgodnie z kulinarnymi preferencjami Polaków słodko-kwaśne, tak jak wszyscy lubili najbardziej. Podano też dzbany z wodą z dodatkiem soku owocowego i jasne piwo, które służba ochoczo dolewała do wysokich szklanek.

Jedząc, rozmawiano o cenach zboża, zbliżających się obradach sejmu, który miał wyrazić zgodę na wyprawę królewicza Władysława na Moskwę, narzekano na czekający wszystkich dopust boży – niechcianych gości i burdy pijanej szlachty.

Przyzwyczajona do czci, z jaką w jej stronach traktowano szlachciców, uznawanych za wywodzących się ze starożytniej Sarmacji wybrańców, Kalina nie mogła wyjść ze zdumienia, że tu, wśród warszawskich patrycjuszów, tak otwarcie się ich krytykuje i złorzeczy na zachłanność i lenistwo szlachty. Jak się szybko zorientowała, panowało powszechne niezadowolenie wywołane jej uprzywilejowaną pozycją: nie dość, że nie musiała płacić cła, miała liczne przywileje, w tym solne, to robiła wszystko, aby nie dopuścić mieszczan do handlu, umniejszać ich przychody i blokować wszelkie możliwe przywileje.

Tak wielkie i ważne miasto jak Stara Warszawa nie miało nawet swojego

przedstawiciela na sejmach, co więcej, nie było w stanie bronić się przed spekulacjami szlachciców, którzy oficjalnie nie mogli zajmować się rzemiosłem czy handlem, a jednak na różne sposoby robili to, wykorzystując swoją uprzywilejowaną pozycję.

Patrycjusze miejscy nie oszczędzali w swojej krytyce nawet króla, któremu wyrzucano dziwaczne upodobania i wyniosłość. Jednak z dużo większą zaciętością wspominano królową Konstancję, którą mieszczanie nazywali „wstrętną Rakuszką”. Choć król nie zyskał sympatii, darzono go jednak szacunkiem, podczas gdy jego żona wzbudzała jedynie powszechną niechęć. Przy stole wszyscy wyrażali dezaprobatę wobec okrutnej decyzji Konstancji sprzed kilku dni, gdy zgorszona zachowaniem jednej ze swoich polskich dwórek, wydalila ją z zamku – wręcz wyrzuciła na bruk – za to tylko, że panna przyłapana została na niewinnych amorach z jednym z królewskich sekretarzy. Jak mówiono, tak na pewno by się nie stało, gdyby w ten sposób zachowała się jedna z dwórek austriackich, które przybyły do Polski z habsburskiego dworu.

Królowa faworyzowała niemieckojęzycznych członków dworu, dużo gorzej traktując Polaków. Konstancja znana też była powszechnie ze swej dewocji, dyskryminacji wobec innych niż katolicyzm wyznań, a także z surowości, jaką nieraz okazała wobec innowierców.

Pięć lat wcześniej pewien arianin, Jan Tryszkowiec, który został rajcą miejskim Starej Warszawy, zmuszany był do tego, aby złożyć przysięgę na Trójcę Świętą. Było to niezgodne z jego wiarą, więc odmówił. Nadgorliwy sędzia doniósł o tym królowej, która doprowadziła do spalenia na stosie nieszczęsnego człowieka. Warszawianie zapamiętali ten haniebny czyn i Rakuszką zyskała miano potwora.

Kalina z ciekawością przysłuchiwała się tym opowieściom. Jak się zorientowała, wszyscy tutaj bardzo interesowali się każdą nową informacją dotyczącą tego, co działo się na Zamku, a życie na dworze każdego dnia dawało asumpt do dyskusji i rozmów na temat rodu Wazów, spośród których najwięcej sympatii u ludu zaskarbił sobie syn króla z pierwszego małżeństwa – Władysław. Opisywano go jako pięknego młodzieńca o jasnym licu, walecznego i rozmiłowanego w polskość.

– Już pani Urszula zabrała się za niego, rychło będzie z Władysława nowy król – rzekł, śmiejąc się pod wąsem, jeden z biesiadników. Miał na myśli niemiecką ochmistrzynię na Zamku, która po śmierci pierwszej żony Zygmunta pocieszała go ponoć, grzejąc mu łożę, teraz zaś – jak plotkowano – zaczęła wtajemniczać najstarszego syna królewskiego w arkana ars amandi.

Na drugie danie zaserwowano potrawy z ryb, które wprawiły Kalinę w zdumienie – nie jadła dotąd tak dobrze przyprawionego karpia w czarnym sosie ze śliwek, z limonkami, imbirem i goździkami. Wyczuła też w potrawie sok wiśniowy, pieprz i miód. Druga z serwowanych ryb – łosoś w żółtym sosie –

również jej smakowała i postanowiła odtworzyć to danie w kuchni Laurentego, dodając doń jeszcze więcej limony i szafranu.

Humory gości powoli poprawiały się, gdy po drugim daniu zmieniono nakrycia i zabrano drugi obrus, po czym na stół wniesiono desery: wyborne torty zdobione figurkami przedstawiającymi antyczne bóstwa, kolorowe głowy cukru, owoce smażone w karmelu oraz zsiadłe mleko i sery.

Jedząc, wspomniano niedawny wypadek podkanclerza koronnego, którego zaatakował i stratował niedźwiedź. Jeden z biesiadników zaczął rozprawiać o swoich przygodach wynikłych z polowań na niedźwiedzie, w których nieraz miał okazję uczestniczyć. Ktoś wspomniał o tym, że łapy niedźwiedzie uchodzą za przysmak na magnackich stołach, podawany przy wyjątkowych okazjach. I tak potoczyła się swobodna rozmowa, aż wesołe towarzystwo zamarło, słysząc relację siedzącego obok Baltazara wiekowego sekretarza, który służył kiedyś u wielkiego księcia litewskiego. Księżę miał oswojonego niedźwiadka, zdawałoby się, niegroźnego, ale pewnego dnia zwierz ponoć pohańbił młodą służącą, która niestety nie przeżyła ataku.

Po deserach zaczęto serwować szlachetny tokaj w srebrnych kielichach. Rozpoczęły się podniosłe toasty, które wielcy panowie – jeden po drugim, przez kilkadziesiąt minut – wznosili na chwałę magistratu, burmistrza, rady miejskiej, wreszcie kardynała i Najjaśniejszego Króla. Wina dolewano tak szczodrze i w takim tempie, że część gości nie nadążała z wypijaniem toastów, drogocenny napój wylewając na podłogę albo wprost na nieuprzątnięte jeszcze talerze po smażonych pierożkach z różaną konfiturą.

Po serii toastów biesiadnicy wręczali sobie nawzajem napelniane po brzegi kielichy i prosili sąsiada przy stole, aby wypił wina z podawanego pucharu. W izbie zrobiło się gwarno i wesoło. Co chwila słyhać było wybuch szczerego śmiechu. Alkohol rozwiązał języki i zaczęto rozmawiać swobodniej, opowiadać lubieżne żarty i intonować swawolne przyśpiewki. Pito przez wiele godzin, a służba uwijała się jak w ukropie, donosząc na stoły zimny drób i pasztety, wymieniając szklanice po piwie i dostawiając nowe świece.

W pewnym momencie któryś z rozbawionych biesiadników wstał zza stołu i z wielką kurtuazją poprosił siedzącą obok niego niewiastę, o to, aby nie skąpiła swego anielskiego głosu i zaśpiewała. Wszystkie oczy zwróciły się ku białogłowie, która już wcześniej za sprawą niezwyklej urody przyciągała wzrok wielu panów. Szeptano między sobą, że to przybyła właśnie do Warszawy wdowa po bogatym kupcu ze Lwowa, niejaka Kinga.

Wyglądała na dojrzałą białogłowę, co najmniej trzydziestoletnią. Miała kruczoczarne włosy, duże, ciemne oczy obramowane długimi rzęsami kontrastowały z mlecznobiałą skórą, której blask podkreślały okazałe perły, wplecione w czarny czepek na głowie, który inaczej niż w przypadku większości

warszawianek nie przysłał całych jej włosów. Suknia, chociaż uszyta z czarnego sukna z płóciennym kołnierzem, tak doskonale podkreślała jej kibić, że nikomu, kto patrzył na kobietę, jej strój nie kojarzył się z żałobą. Na piersiach widniał osobliwy naszyjnik złożony z trupich główek z kości słoniowej, połączonych ze sobą skrzydełkami nietoperza na srebrnym łańcuchu. Jej usta były równie wielkie jak oczy, co kilka siedzących przy stole pań skrytykowało, szepcząc między sobą o nieharmonijnym licu lwowianki.

Cała postać niewiasty, jej ciemna suknia z materii, jakiej nie mieli na swoich straganach ani Szkoci, ani Ormianie, z dekoltem, jakiego unikały warszawskie mieszkarki, jej twarz świeża mimo dojrzałego wieku – wszystko to robiło piorunujące wrażenie na gościach.

Białogłowa z nieukrywanym zadowoleniem, choć ze skromnie spuszczonej oczami, podziękowała za przedstawienie jej osoby i pochwalenie jej talentu, po czym wstała i zwróciła się do siedzącego przy stole Laurentego Żmija z prośbą o akompaniament.

– Zna wielmożny pan zapewne *canzonette*? – zapytała.

Nieco zmieszany lutnista skłonił się, po czym wziął w ręce instrument i przysiadł z nim obok Kingi.

Zaczął grać smutną, powolną melodię popularnej włoskiej pieśni miłosnej, spoglądając na białogłową z nieskrywaną podejrzliwością. Dziwiono się, skąd żona kupca mogła znać pieśń z dalekiej Italii?

Kinga doskonale знаła melodię i czystym, przepięknym głosem zaintonowała florencką pieśń. Jej śpiew był tak niebywale lekki, doskonały, wzruszający, że większość gości, którym stan upojenia pozwalał jeszcze na obserwowanie muzycznego duetu, patrzyła jak oniemiała na ten spontaniczny występ.

– Ona śpiewa jak syrena! Niejeden uwiedziony tym głosem zrobiłby wszystko... – powiedział Baltazar.

Poprawiając nerwowo sumiasty, posiwiały już wąs, z wypiekami na twarzy wpatrywał się w Kingę, oszołomiony słodyczą jej śpiewu, która w połączeniu z efektownymi podkreślonymi walorami urody wdowy stanowiła piorunującą mieszankę.

– Zważ, waszmość, że czcigodna Kinga nie tylko śpiewem przybliżyła nas wszystkim do Boga, ale też pięknie haftuje, a nawet – jak powiadają – maluje obrazy!

– Cóż za wyjątkowa niewiasta... – szepnął wyraźnie podekscytowany Baltazar.

– Wielu podobno mówi, że kto ujrzał Kingę, ten zaznał najszcześniejszego dnia! – dodał rozmówca Baltazara.

– Panie bracie, a jak zdrowie czcigodnej małżonki? Chciałabym móc złożyć

jej wizytę – wtrąciła się Kalina, poirytowana zachwytem Baltazara nad wdową.

– Tak, tak... Tekla jest ogromnie chora, kona już chyba biedaczka. Musisz się pospieszyć, jeśli chcesz ją żywą obaczyć – odparł Baltazar, wciąż wpatrzony w Kingę, która kończyła śpiewać pieśń.

Po tym jak umilkła, całą izbą wstrząsnął huk oklasków i wiwatów. Wdowa pokłoniła się, szczególną uwagą obdarzając Laurentego. Patrząc mu prosto w oczy, uśmiechnęła się nieco zbyt swawolnie jak na pogrążoną w żałobie wdowę.

– Idę się zaprezentować! – Baltazar zerwał się z ławy i skierował swoje kroki do części izby, w której otoczona wianuszkami panów stała Kinga.

Po kilkunastu minutach wrócił na swoje miejsce, wyraźnie niezadowolony. Kalina uznała, że zapewne wdowa nie obdarzyła go taką atencją, jaką skierowała ku innym mężom.

Tymczasem wyraźnie zmęczona (a także pijana) służba znowu dolewała gościom zacnego tokaju, mimo że cała podłoga cuchnęła już od wylewanego na nią wina.

– Kalino, nie przynoś mi wstydu, przestańże pić! – szepnął nagle do roześmianej Kaliny brat, piorunując ją wzrokiem. – Nie widzisz, że inne białogłowy jedynie moczą usta w tokaju, żadna go nie pije! To nie przystoi!

Kalina poczuła, że narasta w niej złość. Serce zabiło jej gwałtownie. Była gotowa na uzewnętrznienie swojej krnąbrnej natury. Ilekroć wprost jej czegoś zabraniano, w głowie dziewczyny odzywał się jakiś chochlik, który kazał jej postępować dokładnie odwrotnie, niż tego od niej oczekiwano. Poczuła jednak na sobie wyrażające dezaprobatę spojrzenie siedzącej naprzeciwko żony jednego z rajców. Ze wszystkich sił starała się uspokoić.

Po co napełniano kobietom kielichy, skoro miały ich nie opróżniać? W domu Laurentego częstowano ją winem, widziała nawet, jak pracując w kuchni, Donata popija ukradkiem węgryna. Powstrzymując się przed wywołaniem sceny, która sprowadziłaby na nią gniew brata, przeprosiła grzecznie, tłumacząc, że nie zna obyczajów tego miasta. Na szczęście sprawa poszła szybko w zapomnienie, gdy po sześciu godzinach jedzenia i picia mistrz ceremonii zarządził usunięcie stołów, by zrobić przestrzeń do tańca.

Całe towarzystwo ochoczo ruszyło na środek izby. Tańce rozpoczęto od drabanta. Brat pociągnął Kalinę za sobą, chociaż ta nie знаła kroków ani figur. Wiedziona przez znakomitego tancerza w kordonie par, szybko dostosowała swój posuwisty krok i naśladując innych, wysoko podskakiwała w odpowiednich momentach.

Tańcząc, zwróciła twarz ku grającemu z zapalem na lutni Laurentemu, który odwzajemnił się jej długim, powłóczyстым spojrzeniem. Dotąd ani razu nie widziała, aby mąż jej nieboszczki siostry śmiał się w głos czy choćby grymas uśmiechu przebiegł jego surową twarz. A jednak wydał się jej najwspanialszym

z przebywających na uczcie mężczyzn, mimo że był raczej niskiego wzrostu, a jego czarny strój i koronkowy kołnierz wydawały się nader skromne przy noszonych przez członków magistratu żupanach z tkanin przetykanych złotem i karmazynowych deliach podbijanych rysim futrem.

Nie potrafiłaby wyjaśnić, dlaczego szwagier wydawał się jej pociągający. Wyraźnie trapiła go jakaś rana z przeszłości albo dręczyła jakaś tajemnica. Może właśnie to wrażenie sprawiało, że małowówny muzyk o stalowych oczach tak bardzo ją intrygował.

Tańczono kolejno szewca, gonionego, następnie przechodząc do tańców dworskich – kuranta i modnego w owym czasie hiszpanioleta. Oczy większości co rusz zwracały się ku pięknej lwowiance. Mężczyźni nie mogli oderwać od niej wzroku, jawnie zachwycając się wdziękiem jej ruchów, syrenim głosem i wspaniałą figurą, podczas gdy kobiety wnikliwie analizowały atuty rywalki, starając się odkryć maskowane przez nią defekty.

Zmierzchało się i dzwony wzywały na Anioł Pański, gdy Laurenty zabrał zmęczoną biesiadowaniem Kalinę ze sobą do domu.

– To się nie godzi, abyś sam, waćpan, prowadził moją siostrę po ulicy, przecie to panna na wydaniu! – wybełkotał jeszcze przy pożegnaniu pijany Baltazar, na co muzyk odparł wzburzony, że przecież Kalina jest siostrą jego nieboszczki żony, czyli najbliższą rodziną.

– Racja to, ale skoro król nasz mógł po śmierci małżonki wziąć na drugą żonę jej siostrę rodzoną, to ty również... – bełkotał Baltazar, ale Laurenty przerwał mu ostro, mówiąc:

– Nigdy bym czegoś takiego nie zrobił! Kościół nie pochwała takich praktyk.

Wreszcie Kalina i jej towarzysz ruszyli zwawym krokiem w mglistą ciemność. Przeszli przez Rynek i skierowali swe kroki w kierunku Krzywego Koła. Dziewczyna nie odzywała się ani słowem, przygnębiona słowami Laurentego, które potwierdziły jej przypuszczenia. Zastanawiała się, czy i on, jak wielu obecnych na uczcie mężczyzn, nie zapalał afektem do czarnowłosej Kingi. Jedno było pewne: nie miała czego szukać w domostwie muzyka.

Kiedy przekroczyli próg domu Pod Lutnią, Kalina zaproponowała pijanemu i wyraźnie zatrutemu nadmiarem alkoholu i jedzenia lutniście, aby spożył pontyjski piołun, dobry na wątrobę i żołądek. Podpowiedziała, że trzeba włożyć do ust kilka ziaren i popić je łykiem białego wina.

Szykując się do snu w chłodnej komnacie na piętrze i wsłuchując się w odgłosy deszczu, zapaliła dodatkową łożową świecę, usiadła przy stole wyjęła kartkę papieru, zamoczyła pióro w inkauscie i zaczęła pisać list.

Jaśnie Czcigodna Pani Matko, a Dobrodziejko moja wielka!

Całuję stopy Twoje i donoszę, iż...

Zamierzała poprosić matkę, aby zdobyła dla niej list polecający do starościny brodnickiej, pani na zamku w Brodnicy i siostry samego króla – Anny Wazówny. Słyszała, że królewiczówna, powszechnie nie lubiana i z racji protestanckiego wyznania nazywana w Warszawie „szwedzką heretyczką”, przebywa właśnie na dworze swego brata Zygmunta. Kalina pomyślała, że skoro nie może zostać szanowaną żoną warszawianina, woli służyć Annie Wazównie niż wyjść za mąż za byle kogo i do końca swoich dni być jego popychadłem.

5.

Dzień po uczcie, mimo bólu głowy i problemów z żołądkiem, Laurenty musiał wstać o świcie, aby wcześniej niż zwykle stawić się na tyłach Zamku, skąd cały zespół kapeli wyruszał wraz z królem i jego świtą do Krakowa. Ubrany w swój oficjalny, elegancki strój na modłę hiszpańską, z wysokim, czarnym kapeluszem, który zdobiło barwione na czerwono strusie pióro, wychodził już z domu nakarmiony przez Donatę jajecznicą ze słodką śmietaną, gdy nagle – powodowany impulsem – przystanął w sieni, gdzie tuż pod stropem znajdował się mały, ukryty lufcik. Kilka lat temu świętej pamięci Anna kazała wykuć w tej ścianie mały otwór, zupełnie niemal niewidoczny wewnątrz izby przedniej, który pozwalał sprawdzić, co aktualnie dzieje się w najbardziej okazałym pomieszczeniu na parterze domu.

Chcąc podejrzeć Kalinę w trakcie snu, lutnista wspiał się teraz na stołek i zajrzał przez mały otwór w głąb izby. O dziwo, dziewczyna już nie spała, tylko siedziała na dębowym łożu w dziwnej pozycji. Z powodu panującego w izbie półmroku (zielone firanki zasłaniały wciąż okno), zrazu muzyk nie mógł dojrzeć, co Kalina właściwie robi. Pochylała się w pozycji siedzącej, podczas gdy jej nogi były mocno rozsunięte na boki, a kolana lekko uniesione. Rozpuszczone włosy barwy miodu opadały na jej twarz, zasłaniając częściowo dłonie, które trzymała w okolicy krocza. Podciągnięte do góry giezło, rozsznurowane na przodzie odsłaniało młecznę, wielkie piersi. Laurenty poczuł, narastającą chuć i zachłannie patrzył dalej, zastanawiając się, co takiego robi ta dziewczyna. Kiedy wzrok przyzwyczaił się do ciemności, lutnista dokładnie zobaczył jasną dłoń znikającą w gąszczu włosów pokrywających płeć Kaliny. Poczuł, jak serce bije mu coraz szybciej, a oddech staje się cięższy.

Patrzył dalej zachłannie, jak dziewczyna skrupulatnie i spokojnie iska sobie łonowe wszy, i poczuł gwałtowny ogień, który wypełnił go od środka. Siła pragnienia tak go zamroczyła, że ostatkiem sił powstrzymał się, aby nie wtargnąć do izby i nie rzucić się na piękną Kalinę. Od dawna nie spotkał niewiasty o tak niepospolitej urodzie i śmiałym spojrzeniu najpiękniejszych oczu. Nawet

czarnowłosa wdowa, którą tak opiewali na uczcie mężczyźni, nie podobała mu się tak bardzo jak siostra zmarłej żony, która mieszkała pod jego dachem! Przez to, co teraz widział, wzniecony już wcześniej płomień całkowicie ogarnął jego łądzwie i serce. Wiedział jednak, że wszystko, co czuje, musi w sobie zdusić, wyrzucić z siebie w trakcie spowiedzi i wrócić do swoich dotychczasowych praktyk – odwiedzin ladacznic w Wieży i swawolnych dziewczek ze wsi Praga. Na dokładkę pozostawała mu jeszcze zawsze gotowa do ogrzania jego łoża poczciwa, choć niegrzesząca wielką urodą Donata.

Widok twarzy Kaliny mocno ranił jego serce – tak bardzo jej oblicze przypominało mu zmarłą Annę. Poza tym, jeśli istniało piekło po śmierci, a niekiedy Laurenty miał co do tego wątpliwości, za to, co kilkakrotnie zrobił nocą nad praskim brzegiem Wisły, on zapewne zasili kiedyś armię potępieńców i będzie smażył się w wiecznym ogniu. Myślał o tym każdego dnia przed zaśnięciem, a gdy się budził, myśl ta była pierwszą każdego ranka. „Wszystko w ręku Boga” – powtarzał sobie w duchu. Pytanie tylko, czy długość nitki tego konkretnego człowieczego losu – życia Laurentego Żmija – jest już ustalona i po prostu zostanie przecięta w naznaczonym z góry momencie, czy też ścieżka jego losu wiedzie w nieznanie i nikt w całym wszechświecie nie wie, jak długo potrwa jego podróż?

6.

Przez pierwsze tygodnie pobytu w Warszawie Kalina tylko raz opuściła teren zamknięty murami miejskimi, gdy przeszła z całą rodziną Żmijów przez Bramę Krakowską, aby wraz z tłumem mieszczan obejrzeć uroczysty wjazd przybywających na sejm waszmościów. Finalnym odcinkiem tej parady był przejazd przez ustawioną z tej okazji specjalną, przybraną kwiatami bramę na placu Bernardyńskim, tuż obok kościoła Świętej Anny. Tłumy obserwowały wielką *entradę* obcych legacji, olśniewająco wystrojonych hetmanów, którym towarzyszyły orszaki służby, uzbrojonych hajduków, jezdnych na koniach, których ryszunki pokrywały zdobienia i kamienie szlachetne. Przez bramę ciągnęły wystawne karety, dęli w instrumenty trębacze.

Mieszczanie żywiłowo komentowali poszczególne orszaki, przeważnie krytykując ostentacyjny zbytek i pychę magnaterii, która w każdy możliwy sposób podkreślała splendor swoich rodów i wagę zajmowanego stanowiska. Robiono wszystko, aby przyćmić królewski majestat czarnego marmuru.

Możni panowie, najwięksi dostojnicy ubrani w niezwykle bogate stroje, w towarzystwie okazałych świt, jazdy konnej, zastępów swoich własnych prywatnych armii wkraczali do Warszawy, skupiając na sobie pełne podziwu spojrzenia. Eksponując swoje bogactwo, każdy chciał dać świadectwo swojej siły i pozycji. Ludność patrzyła na te barwne przemarsze niczym na spektakl o szczególnej treści. Nawet konie obwieszane były srebrnymi lub złotymi

ozdobami, a żołnierze ubrani w specjalnie na wjazd do miasta szyte mundury zachwycali swym wizerunkiem.

– Zawsze tak to wygląda? – dopytywała się Kalina, zaskoczona przepychem tego przedstawienia.

– Polski szlachcic słynie ze zbytku oraz okazałych strojów i ozdób... Musi pokazać swoje bogactwa. Gdyby to było możliwe, klejnoty kazałby sobie w zęby wstawić – westchnął Laurenty. – My tu już nie takie rzeczy w Warszawie widzieliśmy. Czego tu nie było, nawet zagrabione Tatarom, idące rzędem dziwaczne zwierzęta z garbami. Nie pamiętam, jak się zwały... – dodał.

Kalina pragnęła zobaczyć Zamek Królewski, ten okazały – jak wielokrotnie słyszała – nowoczesny, pięknie w środku urządzony budynek, w którym mieszkał nie tylko cały dwór, ale także odbywały się posiedzenia sejmów i sądy. Jednak okazało się, że nie było możliwości, by wejść do środka, i nie sposób było podziwiać zewnętrzną bryłę tej budowli. Zamek całkowicie zasłaniały prowizoryczne liczne zabudowania gospodarcze, stajnie, wozownie i szopy.

– Popatrz w górę – podpowiedział muzyk i gdy zadarła wysoko głowę, zobaczyła wystającą ponad mur i bramę wieżę zwieńczoną baniastym hełmem. A więc tam gdzieś naprawdę przebywał król i jego dzieci...

W trakcie pierwszych dni spędzonych w mieście Melcerówna odnalazła wielką przyjemność w życiu domowym, jakie dzieliła z dziećmi Żmija, podczas gdy ten przepadał na całe dnie, niekiedy nie wracając nawet na noc. Kalina pomagała w kuchni, przygotowywała posiłki wedle własnych receptur (a właściwie ojca, które po swojemu modyfikowała) tak smaczne, że nawet Donata osłabła w swoich złościwościach. Podczas gdy Julianna pięknie śpiewała nad robótkami, a mała Anusia siedziała na kocyku, bawiąc się figurką zrobioną z gałganków, Kalina pisała listy do matki albo oglądała książki, których spory zbiór odkryła w jednej ze skrzyń. Księgi należały do Laurentego, podobnie jak dużych rozmiarów, pięknie wykonany globus stojący na specjalnym stoliku. Lubiła poruszać modelem kuli ziemskiej i wodzić palcem po nieznanym krainach, jednocześnie przysłuchując się śpiewom dziewczynki.

Ku swemu zdziwieniu Kalina odkryła, że szesnastoletni Pietrek miał zupełnie normalnie ukształtowany umysł, wszystko rozumiał, a przyczyną jego dziwnego zachowania i głupkowatego wyglądu było wyłącznie niekształtne, uszkodzone ciało. Swoją cierpliwością i zyczliwością Kalina sprawiła, że zaczął przy niej mówić, i chociaż z początku ciężko było odgadnąć znaczenie wypowiedzianych słów, a także patrzeć na wykrzywione usta z wysiłkiem dukające wyrazy, z dnia na dzień mowa Pietrka stawała się coraz bardziej zrozumiała.

Dziewczynki – za namową Kaliny – przestały nazywać brata głupim Pietrkiem. Dotąd nikt nigdy nie uczył chłopca czytania, zakładając, że jego umysł nie jest w stanie przyswoić tej wiedzy. Kalina jednak podjęła próbę i zaczęła

tłumaczyć mu litery. Z lekcji tych korzystała nawet Anusia, robiąc zadziwiająco szybkie postępy.

Z każdym dniem Kalina przekonywała się, jak dobrze czuje się w domu Żmija, i z żalem myślała o tym, że niedługo będzie musiała go opuścić. Z wielką przyjemnością wychodziła na Rynek w towarzystwie chłopaka i jego sióstr, aby kupić świeże zioła, mięso czy śledzie u rybiarki albo po prostu pooglądać towary wyłożone na straganach. Nie zważała na złośliwe uwagi mijających ich ludzi, którzy wyśmiewali z trudem idącego z nimi Pietrka. „Patrzcie, ale go pokręciło!” – co rusz krzyczał ktoś w tłumie, palcem wytykając nieszczęsnego chłopaka. Kalina jednak uparcie udawała, że niczego nie słyszy, nie pozwoliła też reagować Juliannie i Anusi, które wyraźnie wstydziły się towarzystwa takiego „powykręcane” brata.

Wrażenia, jakie niósł za sobą pobyt w Warszawie, rekompensowały jej tęsknotę za przyrodą, lasami i kwiatami. Ptaki przysiadające na gzymsach kamienic, koty, myszy i ślimaki dawały jej namiastkę obcowania z naturą, której tak potrzebowała.

Mimo że chleb mieli tu w Warszawie wprost fatalny, nie brakowało wspaniałych przysmaków, takich jak pierniki czy limony. Okazało się, że łakocie potrafią wiele wynagrodzić.

Kalinę radowały niezmiernie występy akrobatów, połykaczy ognia czy komediantów. Raz widziała kobietę z brodą, wożoną w drewnianej klatce, aby rozbawić gawieź niecodziennym widokiem. Ogromnie podobały się jej występy trup aktorskich, które dawały popisy w dni targowe. Pewnego wiosennego dnia w pobliżu ratusza ustawiono drewniany podest, na którym przybyła z dalekiej Anglii trupa aktorska niejakiego Johna Greena; wystawiano – niestety po niemiecku – popularne w północnych krajach tragedie niejakiego Szekspira.

Kalina nie rozumiała wypowiedzianych przez aktorów słów, ale pewna opowieść o nieszczęśliwej miłości dwójki młodych ludzi z dwóch skłóconych ze sobą rodów bardzo ją poruszyła. Stojący obok niej w tłumie jegomość trochę znał niemiecki i tłumaczył po cichu główne wątki sztuki. Gdy w końcowej scenie zarówno aktor grający Romea, jak i mężczyzna odgrywający rolę Julii padli jak nieżywi, Kalina aż krzyknęła, nie umiając pohamować emocji. Ktoś stojący z tyłu zaśmiał się, komentując:

– Hamujcie wrzaski, waćpanno! Ze wsi dziewczka przyjechała! Nigdy teatru nie widziała czy co? Kalina nic nie odpowiedziała.

Po prawdzie w Brodnicy nie widywała aktorów. Za to uwielbiała słuchać opowieści, jakie na jarmarkach i kiermaszach opowiadały dziady, różni ludzie wędrujący w ubogim stroju pielgrzyma, z kapeluszem zawieszonym na sznurze, z kijem do obrony przed bezdomnymi psami i tobołkiem z całym dobytkiem na plecach. Bywał ma odpustach jeden taki, celowo ponoć osłepiony, aby bardziej

wzruszać słuchaczy. Towarzyszyła mu białogłowa wróżąca z ręki, która pomagała obieżyświatowi w jego wędrówce. Ach, jak on opowiadał! Swoim głosem umiał doskonale imitować odgłosy wszelkich zwierząt, przemawiać jak król, ksiądz, żebrak, zbrukana dziewczka, małe dziecko czy starzec złoścący na niewdzięczne dzieci. Snuł bajki i życiowe opowieści o dziewczynie dzieciobójczyni, złej macosze, o wyprawach na Smoleńsk, bitwach na morzu i o tym, jak pani pana zabiła pogrzebaczem.

Do Warszawy ściągali na sejm nie tylko posłowie ze swoimi orszakami, ale też kupcy, cyrkowcy, trupy aktorskie, zastępy ładacznic i ludzi wolnych. Każdy liczył na zarobek, nawet Żydzi, którym na okres sejmów pozwalano handlować w obrębie miejskich murów.

Warszawa z godziny na godzinę wydawała się pęcznić, zagęszczać i puchnąć od ludzi. Na uliczkach wyrastały góry śmieci i odchodów. Liczne wozy wywożące błoto i ekskrementy na Gnojną Górę nie były w stanie oczyścić wyłożonych drewnianymi balami uliczek, które albo pokrywały się nieznośnym kurzem, albo tonęły w szlamie.

– Będzie jeszcze gorzej, przyzwyczaisz się do tego! Buty tylko czyścić trzeba częściej i suknie dawać co rusz do czyszczenia – pocieszyła Kalinę Julianna.

Myśląc o konieczności opuszczenia domu muzyka, Kalina odwiedziła też dom brata, posadowiony na skraju Rynku. Pokłoniła się chorej bratowej, która szeptała coś w malignie, nie bardzo wiedząc, kto stoi przed jej obliczem.

Baltazar wydawał się zmęczony długo trwającym stanem niedomagania małżonki, sprowadzał do niej księdza, cyrulików, doktorów, chcąc koniecznie wiedzieć, jak długo to jeszcze potrwa. Jego dwaj synowie, jedyni, którzy przeżyli spośród dziesiątki dzieci wydanych przez Teklę na świat, wysłani zostali w świat – jeden na uniwersytet w Bolonii studiować prawo, drugi do Krakowa, do kolegium jezuickiego. Żona była potrzebna Melcerowi tylko dla dotrzymania towarzystwa i wspierania jego starań o pomnożenie majątku. Miał już jeden spichlerz i zaczynał właśnie budowę drugiego.

– Nie martw się, siostró. Nosisz moje nazwisko i nie opuszczę cię w potrzebie. Postaram się o jakiegoś kandydata, który rozważyłby twoją osobę jako swoją żonę. Może znalazłby się jakiś stary wdowiec albo młody pisarz radziecki na dorobku? Nie każ mi nic obiecywać, ale spróbuję. Daj mi tylko słowo, że jesteś nienaruszona... Widać, żeś śmiała, patrzysz w oczy tak butnie. Nigdy nie widział, ażeby panna na wydaniu tak śmiało sobie poczyniała. Dużo mówisz, często się w głos śmiejesz. Zrozumie, że nie mogę narażać mojego dobrego imienia na szwank, a pamiętając wychowanie twojej pani matki, nie mogę mieć pewności, czy należycie cię pilnowała – powiedział Baltazar, patrząc jej prosto w oczy.

Wytrzymała to spojrzenie i dusząc narastające w niej oburzenie, potwierdziła – a następnie uroczyście przysięgła przed bratem – że nadal jest dziewicą.

Baltazar nie zaproponował jej gościny w swoim domu, tymczasem do kamienicy Żmijów – tego roku wcześniej, niż się spodziewano – zawitali goście. Pewnego wieczoru przybył prezentujący się oryginalnie nawet na tle innych przybywających do Warszawy posłów kasztelan łomżyński Michał Żukowski wraz z dwoma synami – młodzianami w wieku szesnastu i siedemnastu lat, o twarzach obsypanych krostami – oraz z orszakami składającym się z kilkusobowej służby i kilku zbrojnych. Świta kasztelana miała nocować na rozkładanych łóżkach, na wewnętrznym podwórku domu Pod Lutnią.

Głośny i gadatliwy gość Żmija był mężczyzną mocnej postury, o nalanej twarzy, ubranym w fantazyjne nakrycie głowy ozdobione przedziwnymi piórami, w żupan z karmazynowego weneckiego atlasu, sięgającą kolan ferezję¹⁷ i buty z cholewami wykonane z żółtego safianu. Przywiózł ze sobą kufer z ukochanymi książkami, z którymi się nie rozstawał, drugi kufer pełen strojów, a także imponujący zestaw szabli o rękojeściach bogato inkrustowanych kamieniami: każdego dnia przypasywał inną i dumnie prezentował zwisającą na rapciach sporządzonych z ozdobnych sznurów i taśm.

Gościom czym prędzej oddano izbę od frontu na piętrze, nie wiedząc, co począć z Kaliną, której brat – rzekomo z uwagi na chorobę żony – nie mógł przyjąć do siebie. Wreszcie Laurenty porozumiał się z Donatą i ta odstąpiła pannie zajmowaną przez siebie niewielką izdebkę obok kuchni, pozbawioną pieca i ładnych mebli, sama zaś wyniosła się – okazując niezadowolenie – do domu tylnego, gdzie zajęła izbę na pięterku, nad stajnią. Narzekając głośno, że musi wdychać końskie zapachy, użyczyła Kalinie swojego siennika, oddała własną pierzynę, licząc na to, że jej gest spotka się z aprobatą Laurentego, za którym nieustannie wodziła oczami.

I tak Kalina położyła się spać w ciemnej, pozbawionej okna komórce, gdzie w mig oblaży ją pchły, które – jak się jej zdawało – były tu dużo bardziej wygłodniałe niż te w izbie głównej.

Długo nie mogła zasnąć. Zapaliła wreszcie świecę, z przerażeniem wsłuchując się w odgłosy pijatyki i kłótni dochodzące z frontowej części domu.

Kiedy obudziła się następnego dnia, poczuła ból w dole brzucha. W dziwny sposób bolała ją też głowa, a w ustach miała gorzki posmak. Natychmiast ogarnęło ją nieprzyjemne wrażenie, jakby w nocy doświadczyła czegoś bardzo złego. Nagle uświadomiła sobie, że we śnie nawiedził ją najwyraźniej inkub – demon chcący wykorzystać niewiastę w trakcie snu. Znała liczne opowieści o tego rodzaju nieszczęściach spadających na młodsze i starsze, dziewice i mężatki. W takich sytuacjach nie pomagał nawet bezoar. Należało szybko okadzić izbę dymem z ziół zebranych o północy przy pełni księżyca.

Ogarnął ją lęk, jakiego dotąd nie zaznała w tym mieście. Przeżegnała się kilka razy z rzędu, czując, jak jej ciało przebiegają dreszcze. Szybko sięgnęła do

dzbanka z wodą, naląła wody do cebrzyka i zmyła lepka wilgoć, jaką czuła między nogami.

Wstrząsnął nią szloch. Co ma teraz zrobić, komu zdradzić swoją tajemnicę, co wreszcie zrobić, aby obrzydliwy inkub nie nawiedził jej znowu? Pamiętała jego cuchnący siarką oddech, jego łapczywe, brutalne ręce, ruchy jego łądźwi, gdy przygniatał ją swoim cielskiem. Co zrobiła, by zwabić go do siebie? Dlaczego wybrał właśnie ją?

Tego dnia, a był to piątek, gdy tylko wszyscy domownicy zjedli śniadanie, na które Donata podała postne śledzie, Kalina – tłumacząc się zawrotami głowy – do wieczora przeleżała w ciemnej izdebce, wieczorem zaś wraz z Donatą poszła do Świętego Jana. Tam modliła się gorliwie przed czczonym przez warszawian krucyfiksem wykonanym przed kilkudziesięcioma laty z drewna obecnie już pociemniałego. Z całych sił błagała Boga o łaskę. Jak powiadano, rzeźba Chrystusa na krzyżu w cudowny sposób przetrwała zaważenie się dzwonnicy przed kilkoma laty. Wieża, upadając na dach świątyni, przebiła jej sklepienie, nienaruszony pozostał tylko ten krzyż z Norymbergi.

Po modlitwie Kalina poszła jeszcze do spowiedzi i z ulgą przyjęła surową pokutę – ksiądz zląjął ją za dawanie wiary w stare gusła, co sprzeczne jest z wiarą katolicką. Nakazał leżenie krzyżem przez poranną mszę i codzienne odmawianie różańca.

Postanowiła, że tej nocy nie zaśnie ani na moment. Natarła swoje ciało olejkim lawendowym, okadziła pomieszczenie, po czym położyła się na wąskim sienniku, trzymając w dłoniach drewniany krzyżyk.

Myślała o swoim niełatwym położeniu i o liście z rekomendacjami do Anny Wazówny, który matka obiecała jej przysłać. Pod poduszkę włożyła zabrany za dnia z kuchni niewielki nóż, z którym czuła się bezpieczniej, mimo że zdawała sobie sprawę, jak słabym jest orężem wobec demona. Robiła wszystko, aby nie zasnąć, jednak mimo starań musiała w końcu poddać się senności.

Jeszcze tliła się świeca, gdy Kalina wzdrygnęła się i przebudziła, słysząc odgłos otwieranych drzwi. W nikłym świetle, na wpół przytomna podniosła się i zobaczyła niewysoką, szczupłą postać z głową zasłoniętą obszerną czapką. Nie zdążyła nawet krzyknąć, gdy intruz zwinnym ruchem doskoczył do niej i zakrył jej usta rękoma. Poczwała uderzenie w skroń i straciła przytomność.

Gdy się ocknęła, poczuła, jak osuwa się z niej ciało złooczyńcy. Jej zakładane na noc do spania giezło z lichej materii było rozdarte i podkasane do góry, a wielkie piersi obnażone. Czuła ogromny ból, pieczenie między nogami. Jakiś lepki płyn spływał po wewnętrznej stronie jej ud. Nie mogła wydać z siebie nawet piśnięcia, gdyż w ustach tkwił kawałek szmaty.

Zamarła w bezruchu. Serce waliło jej jak oszalałe. Nagle zgasła świeca. W ciemności, którą rozjaśniała jedynie smuga światła przenikająca do izby przez

dolną szparę w drzwiach, dostrzegła, że mężczyzna podciąga spodnie, poprawia koszulę. Gdy odwrócił się tyłem do siennika, Kalina z trudem usiadła i sięgnęła pod poduszkę. Drżącą ręką wyjęła spod niej nóż i bez zastanowienia zadała nim kilkanaście ciosów, wbijając ostrze w miękkie plecy intruza. Ten krzyknął przeraźliwie, po czym osunął się na ziemię. Wówczas Kalina zamachnęła się i z całej siły ponowiła atak, wbijając nóż w kark ofiary. Poczula na twarzy krew, która gwałtownie trysnęła z ciała oprawcy.

Osunęła się na podłogę. Dysząc ciężko, czując potworny ból głowy i łona, przymknęła oczy i wypowiadając bezgłośnie słowa *Ojcze nasz*, czekała, aż drzwi do jej izdebki się otworzą i do środka wkroczy któryś z domowników. „To koniec, to koniec” – huczało jej w głowie.

Po kilkunastu ciągnących się w nieskończoność minutach w drzwiach stanął Laurenty.

W świetle rzucanym przez latarenkę, którą trzymał uniesioną ku górze, przerażenie malujące się na jego twarzy sprawiło, że Kalina ocknęła się z letargu. Rozejrzała się wokół siebie i zobaczyła leżącą u jej stóp ofiarę w kałuży krwi. Rozpoznała twarz jej gwałciciela. Był nim starszy syn przybyłego do domu Żmijów szlachcica.

– Jestem na wieki potępiona – szepnęła. – Pohańbił mnie, potraktował jak ladacznicę... – łkała. – A teraz czeka mnie gardło¹⁸... Zabiłam szlachcica!

Laurenty spojrział na jej brudną od krwi koszulę, liczne sińce, zadrapania, poczochrane, sklezione krwią włosy, które tak podziwiał... Wyciągnął rękę ku Kalinie. Ona, chwytając ją, podniosła się z podłogi i z płaczem rzuciła się ku muzykowi. Trzęsąc się przeraźliwie, wtuliła twarz w jego pierś. Zaniósła się szlochem. Z przerażeniem wypowiadała w myślach słowa modlitwy, prosząc Boga, aby nie pozwolił na to, by owocem gwałtu była ciąża.

– Co teraz? – zapytała płaczliwie, trzymając się kurczowo ramion muzyka, który nic nie mówił, tylko głaskał Kalinę po jej zbrukanych krwią, sięgających łopatek włosach.

– Nie wiem, nie wiem... Cóż go napadło, tego młokosa? O Boże miłosierny! Cicho bądź! Postaraj się uciszyć! Myślę... – westchnął Laurenty. Doskonale zdawał sobie sprawę z powagi sytuacji.

Kalina zdusiła szloch. Nie mogła wiedzieć, że błagania i prośby nie miały żadnego znaczenia, gdyż w jej łonie posiane zostało właśnie ziarno, z którego za dziewięć miesięcy miał narodzić się jej syn Franciszek.

Rozdział IV

Cylindry i ogony

Miłość jest klęską świata...

Jej wonie i jej blaski

Służą, jak niegdyś maski

Służyły – licom kata.

MARIA KONOPNICKA, *Listy VII*

Czerwiec – wrzesień 1875

1.

W ciepłe czerwcowe popołudnie, przed wyjściem na przechadzkę, Karol przejrzał się jeszcze w wysokim, bogato zdobionym lustrze, które wisiało w przedsionku hotelowego apartamentu. Jego wygląd korespondował z działalnością, jaką rzekomo prowadził – a przynajmniej z informacją znajdującą się na bilecie wizytowym, który wyrobił sobie przed kilkunastoma dniami – „Carlo Amalfi, impresario”. Pomyślał, że nabyte w Rzymie ubranie było eleganckie nawet jak na standardy Wiecznego Miasta, tym bardziej więc powinno się podobać w tej dziurze. A dzięki kamizelce z jedwabnej materii w fioletowe wzory, również nieco ekscentryczne. W końcu miał zajmować się gwiazdami sceny!

Przyglądał przystrzyżone przez hotelowego golibrodę wąsy i niewielką bródkę, okalające pełne usta. Poprawił tasiemkę – motylka z jedwabiu w kolorze starego złota, zawiązaną wokół śnieżnobiałego kołnierzyka. Wyłupiaste oczy, a zwłaszcza ogromne zakola, które wydawały mu się niesprawiedliwością losu w przypadku trzydziestodwuletniego mężczyzny, nie dodawały mu urody. Monokl i cylinder zamaskowały te defekty i dopełniły wizerunku. Karol założył rękawiczki i sięgnął po parasol z rączką inkrustowaną drobnymi turkusami – ukradziony pewnemu śpiącemu jegomościowi dwa dni temu, gdy w Wiedniu opuszczał wagon pociągu.

Zanim zamknął za sobą drzwi apartamentu, upewnił się, że nie zostawił żadnych przedmiotów mogących ujawnić jego prawdziwą tożsamość. Omiótł jeszcze wzrokiem przestrzeń eklektycznego saloniku, w którym jasne meble wyraźnie kontrastowały z karmazynową tapetą w kwiatowy, błyszczący wzór.

Pasiaste, ciężkie zasłony i dużych rozmiarów rozłożysta palma w orientalnej donicy oraz wiszące nad wezglowiem wielkiego łóżka płótno przedstawiające widok na Łazienki dopełniały dziwaczного wystroju pomieszczenia. No cóż. Komuś, kto urządzał ten hotel, wyraźnie brakowało smaku!



Karol wynajął jeden z większych numerów w hotelu Varsovie, chcąc wypaść wiarygodnie w ramach swojej misji, z jaką przybył do nieodwiedzanej od przeszło piętnastu lat Warszawy.

Właśnie w chwili, gdy ubrany w przesadnie kolorową liberię odzwierny zamierzał otworzyć przed Karolem drzwi, w holu rozległ się wesoly, choć pełen respektu męski głos:

– Uszanowanie wielmożnemu panu!

Słowa te wypowiedział wysoki, bardzo szczupły jegomość o włosach w kolorze słomy, cudacznie obciętych w taki sposób, że przypominały miskę osadzoną na głowie. Rozbiegane, wesole, ale zarazem ciekawskie oczka błyskawicznie zlustrowały hotelowego gościa od stóp do głów.

– *Parlez-vous français?* Pan pozwoli, że się przedstawię. Tyszka, dyrektor hotelu, do usług szanownego pana! – uprzejmym, wręcz przymilnym tonem odezwał się mężczyzna, po czym skłonił przed Karolem.

Ten zrewanżował się, wypowiadając swoje nazwisko.

– Wspaniale, zna pan polską mowę! – Tyszka wydawał się zaskoczony. – Familia, zdaje się, włoska, prawda? Czy szanowny pan przypadkiem pochodzi z Polski? *Pardon!* Z ziem dawniej należących do Rzeczypospolitej?

– Poniekąd, proszę szanownego pana. Przepraszam, spieszę się. – Karol dosyć niegrzecznie uciał rozmowę, nie chcąc wdawać się w bliższe relacje z nieznanym.

Skinął głową i energicznie odwrócił się w stronę drzwi, niemal zderzając się z ubraną z niebywałym przepychem damą w wieku balzakowskim, z widocznymi wciąż na twarzy śladami wielkiej urody.

– Najmocniej przepraszam. – Skłonił się kobiecie i czym prędzej opuścił budynek hotelu. Dorożka pierwszej klasy, która najwyraźniej przywiozła tu damę, stała wciąż przed wejściem. Przy skromnych zasobach gotówki, jakie miał ze sobą, Karol stwierdził, że lepiej będzie, gdy przejdzie się na własnych nogach do Ogrodu Saskiego, w którym zamierzał poczynić pewne ważne obserwacje.

Dama, którą niemal potracił jegomość przedstawiający się jako Carlo Amalfi, obrzuciła jego oddalającą się postać spojrzeniem wyrażającym wściekłość.

– Panie Tyszka, zapraszam do gabinetu. Musimy natychmiast porozmawiać! – Pani Regina Żmijewska zwinnie dokonała obrotu w zajmującej ogromną powierzchnię podłogi hallu sukni i na tyle szybko, na ile pozwalała jej obłożona kilkoma warstwami drapowanego materiału szeroka turniura, skierowała się do pomieszczenia oznaczonego tabliczką „Privé”.

Nie bez trudu zasiadła za mahoniowym biurkiem, które należało do Tyszki, i wskazując krzesło, powiedziała „proszę”, zupełnie jakby zwracała się do uciążliwego petenta. Mężczyzna skłonił się, maskując zbyt szerokim uśmiechem niepokój, jaki wywoływało w nim hasło „sprawy do załatwienia”. Pojawiało się ono bowiem zawsze wtedy, gdy jego chlebobawczyni miała dla niego jakiś nowy rozkaz.

Regina z trudem łapała oddech. Zażądała lodowatej wody, po którą Tyszka posłał służącego. Upał panujący na zewnątrz sprawiał, że kobieta widziała mroczki przed oczami. Uderzenia gorąca przytrafiały się jej ostatnio coraz częściej, i to nie tylko w gorące dni. „Trzeba się przyzwyczajać, przecież w Italii będzie o wiele cieplej niż tutaj!” – pomyślała i szybko przeszła do rzeczy.

– Panie Tyszka, ledwo uciekłam przed dziennikarzem... – wysapała.

– Och, znowu? Przecież ledwo tydzień temu pan z „Kuriera”... Już nawet nie wiem którego, tyle tej prasy się teraz namnożyło... – Zachichotał nerwowo.

– Tak, znowu. To się nigdy nie skończy i będzie jeszcze gorzej, o ile mój

szanowny mąż w końcu się nie zjawi. Choć po pięciu latach nieobecności to mało prawdopodobne... – Regina westchnęła i wychyliła duszkiem szklankę wody. – Miała być lodowata! Alojzy, jesteś gamoń! – zwróciła się ze złością w stronę starego sługi, który niedosłyszał i z przerażeniem wpatrywał się w jaśnie panią, przygotowując się do przyjęcia werbalnego ciosu.

– Szanowna pani wybaczy – wyjąkał.

– No co tak stoi? Niech idzie po wodę z lodem! Panie, czemu tak mnie doświadczasz koniecznością obcowania z osłami! – Regina wzniosła oczy ku górze. – Panie Tyszka, wyobraź pan sobie, że ten dziennikarz nachodził mnie tu już wcześniej, odprawiłam go z kwitkiem, ale on nie odpuścił. Dzisiaj śmiał mnie zaczepić w Ogrodzie Saskim! Spacerowałam jak zwykle z rana, aby posłuchać granej przez orkiestrę muzyki, aż tu nagle napadł mnie ten człowiek! Tak! To niewyobrażalne! Spacerowałam potem aleją Owocową w towarzystwie poczciwej Sierakowskiej, gdy ten młodzieniec śmiał podejść do mnie! Przedstawił się w taki sposób, że nawet nie zapamiętałam jego nazwiska, po czym przystąpił do ataku. Zapytał nawet, czy rodzina przyjmuje hipotezę śmierci Jeremiego Żmijewskiego?

– Co za tupet! Zaczepić damę zażywającą spaceru w miejscu tak przyjemnym i wyrafinowanym jak Ogród Saski! – Tyszka starał się ze wszystkich sił okazać emocjonalne poparcie dla wzburzenia chlebobawczyni.

– Ci młodzi ludzie dzisiaj są po prostu bezczelni! Wypytywał, czy w ciągu pięciu lat, jakie minęły od czasu, kiedy ostatni raz widziano pana Żmijewskiego w Warszawie, mąż komunikował się z rodziną. Skąd wiemy, że pojechał na Daleki Wschód, czy wynajęliśmy detektywa, który wyjaśniłby to tajemnicze zniknięcie... Pytania, pytania, zadawał dziesiątki pytań! A jaki był natarczywy! Och, wyobraź pan sobie, jak bardzo się zdenerwowałam. Musiałam zagrozić wezwaniem strażnika, aby ten człowiek dał mi spokój. O mało nie doszło do skandalu! Teraz będę się bała wyjść na ulicę, pokazać w opłaconej łoży w teatrze, bo a nuż znowu jakiś pismak będzie się domagał komentarzy... – Pani Regina teatralnym gestem przysłoniła oczy dłonią.

– Dzisiaj każdy jest dziennikarz, byle umiał pisać, już do gazety się pcha! Węszą, szukają sensacji, nie dadzą spokoju! – wykrzykiwał z egzaltacją Tyszka.

– Dobrze już, dobrze, panie Tyszka. Chodzi mi o to, że pewnie ten dziennikarz będzie się starał dotrzeć do pana, co gorsza, może zaczepiać nawet służbę. Proszę przestrzec ludzi, że każda informacja, jaka stąd się wydostanie na temat naszej rodziny, będzie skutkowałą wydaleniem z posady! Proszę wszystkim to wyraźnie przekazać. Jesteś, pan, za to odpowiedzialny!!! Ja zaś muszę odpocząć od tego nękania. Postanowiłam wyjechać na jakiś czas do Florencji. Zabieram panią Sierakowską i dwie służące, Helę i Justynę. Myślę, że jeśli ograniczę swoje potrzeby, tak skromna pomoc będzie wystarczająca. No i córeczkę jeszcze zabieram najmłodszą, Walerkę rzecz jasna.

- Ale, ale... Kto będzie tutaj o wszystkim decydował? – wydukał Tyszka.
- Pan! Przecież jest pan dyrektorem!
- Tak, oczywiście, wszystko dzięki dobroci szanownej pani... Ale...
- Żadnych „ale”. Gdyby się coś działo, w Warszawie jest panicz Konstanty.

Do niego udasz się, pan, ze wszystkimi problemami. On wesprze pana radą i mądrym słowem, już z nim zresztą to ustaliłam. No i nasz mecenas, Ignacy Darski. On się zajmie problemami, o ile się pojawią. Choć liczę na to, że sobie pan poradzi!

– A panienska Eleonora? – Tyszka był wyraźnie przerażony perspektywą samodzielnego kierowania hotelem, który nieustannie szturmowali wierzyciele Żmijewskiego albo dziennikarze liczący na jakiś trop, który pomoże rozwikłać zagadkę dziwnego zniknięcia właściciela hotelu, który pięć lat temu przepadł bez śladu i nikt nie wiedział dlaczego.

– Eleonora, jak wiadomo, jest już całkiem dorosła, drogi panie. Panienska kończy zaraz dwadzieścia pięć lat... Ja w jej wieku byłam stateczną matroną. – Regina zaśmiała się cierpko. – Ciotka Luiza sprowadzi się do mieszkania na okres mojej nieobecności, aby zapewnić mojej córce opiekę i towarzystwo. Wie pan, co mówić dziennikarzom? To, co ustaliliśmy: mąż wyjechał, nie mamy z nim kontaktu, prawdopodobnie zwiedza dzikie kraje, poluje na tygrysy, szuka kości słoniowej, sam wie pan najlepiej. O żadnych długach nic pan nie wie, hotel cieszy się wielką estymą wśród naszych gości i świetnie prosperuje. Tak? Zapisał pan moje słowa? Coś jeszcze mam wyjaśnić? Jeśli nie, to idę się położyć. Ten upał potwornie mnie zmęczył.

To powiedziawszy, pani Regina uniosła zwoje materiału w fioletowym kolorze i ruszyła ku wyjściu. Suknia z ciężkiej materii zdawała się potwornym, krępującym ruchy kaftanem bezpieczeństwa, z którego nie sposób było się oswobodzić. Na planowany od miesiący wyjazd do Włoch przygotowane miała już nowe, letnie suknie w żywszych barwach, które oświetlone złotym słońcem będą się pięknie prezentowały na tle renesansowych zabytków i pofalowanych wzgórz otaczających Florencję.

Pani Żmijewska zamierzała teraz odpocząć. Za dwie godziny zamówiła do mieszkania gotową kąpiel z łaźni rzymskiej Fajansa. Przyjadą do niej z wanną i będzie mogła bez ruszania się z domu trochę się odświeżyć. Wieczorem zaś czekał ją premierowy spektakl na pożegnanie sezonu w Teatrze Letnim – *Młoda wdowa* Korzeniowskiego z Heleną Modrzejewską w roli głównej. Po latach wypełnionych odgrywaniem roli matrony, po załamaniu, jakie przeszła w związku z ujawnieniem pewnych faktów z życia męża, wreszcie po tyfusie przeżytym w trakcie ostatniej epidemii przez najmłodszą córkę (co niemal skończyło się zgonem dziecięcia) teraz dodatkowo spotkał ją decydujący cios.

Ale przecież nikomu nie mogła zdradzić faktu, że otrzymuje listy

z pogroźkami, a jej reputacja jest wystawiona na poważną próbę. Wszystkim dookoła opowiadała, iż nareszcie rysują się przed nią perspektywy zaznania czegoś wspianego, podczas gdy w rzeczywistości nie miała wyjścia – musiała jak najszybciej opuścić Warszawę!

Nie miała już dłużej siły grać komedii przed światem, martwić się namiętnością syna do sztuki, brakiem odpowiednich kandydatów do ręki córki, długami i perspektywą bankructwa. Zabierała więc ze sobą dwie szkatuły drogocennej, w niektórych przypadkach dwustuletniej biżuterii, ruble uzyskane bez wiedzy dzieci ze sprzedaży pakietu akcji banku, a także pieniądze otrzymane za cztery stare obrazy, które Jeremi odziedziczył po swoich rodzicach. Malował je podobno siedemnastowieczny przodek rodziny. Były oczkiem w głowie jej męża, ale teraz nie miało to już żadnego znaczenia.

Regina nigdy nie lubiła tych płócien, z których jedno było ponurym pejzażem przedstawiającym Wisłę z licznymi statkami, łódkami i promami, jedno było portretem nieznannej damy, zaś dwa pozostałe – martwymi naturami o dziwnej kompozycji. Więdzące tulipany w wazonie, świeże, wilgotne mięso, muszle, perły, instrumenty muzyczne, świeże owoce, okruchy pieczywa i lichtarz z wypaloną świecą – na tych ciemnych, posępnych obrazach nie brakowało niczego! Pani Żmijewska pozbyła się ich z wielką przyjemnością, zaskoczona wysoką ceną, jaką za nie uzyskała.

Jak sądziła, zgromadzony zapas gotówki i biżuteria powinny jej wystarczyć na co najmniej rok życia we Florencji, nawet przy założeniu, że będzie utrzymywać tam kilka osób jej towarzyszących i samodzielnie pokrywać wszelkie koszty.

Zdecydowała, że po prostu ucieknie od tego wszystkiego i zacznie wreszcie żyć.

2.

Tak jak życzył sobie jego mocodawca, Karol na bieżąco sporządzał notatki dotyczące wszystkiego, co widział, mieszkając w hotelu Varsovie. Tuż po śniadaniu i poczynionych w jego trakcie obserwacjach zanotował w swoim reporterskim kajecie:

Małe pomieszczenie głównego lobby, ładne kanapy i dywany, lampy zbyt ozdobne, palmy przesadnie zagarniające przestrzeń. Wyłożona mahoniową boazerią recepcja, gdzie jegomość w czerwonej liberii ze złożonymi guzikami potwornie sapał i kaleczył angielski – wrażenie nieprzychylne. Pokoje niedawno odnowione, urządzone z przepychem, niekiedy zbyt ostentacyjnym, nic tu do siebie nie pasuje, wzory zasłon i obić się gryzą, ale nie jestem ekspertem w tych sprawach. Ogólne wrażenie bogactwa i przesady. Mankamentem hotelu jest brak pokoi kąpielowych, starszy portier kieruje do pobliskiej łaźni. Kamienica mieszcząca przybytek nie daje możliwości rozbudowy i modyfikacji – duży

problem, skoro chyba już wszystkie rzymskie eleganckie hotele mają osobne izby do tych celów. W tym samym budynku dodatkowo znajduje się duże mieszkanie właścicieli – z korzyścią dla interesu byłoby pozbycie się tych lokatorów i przeznaczenie ich apartamentów na pomieszczenia hotelowe, chociażby pokój rekreacyjny czy dostępną dla gości bibliotekę.

Goście hotelu wywodzą się raczej z wyższych sfer, kilku jegomościów przybyłych do Warszawy w interesach, kilku muzyków i aktorów, starszy rosyjski generał na emeryturze, prawdopodobnie szpieg, kilku cudzoziemców, o których jeszcze nic nie wiem, jakaś gwiazda operetki z taką ilością kufków i służby, zem nie widział czegoś podobnego nawet w Italii.

Służba szepcze, że żona Żmijewskiego wkrótce opuszcza Warszawę. Dokąd wyjeżdża? Ktoś ją nęka? Owa dama sprawia wrażenie osoby autorytarnej. Strój i maniery pani Reginy olśniewające. Chyba nie bardzo się interesuje sprawami hotelu, zarządzanie powierzyła niejakemu Tyszcze. Uwaga na niego, inwigiluje każdego gościa i wszystko spisuje do kajetu oprawionego w różowy safian.

Sutymi napiwkami, na które służba hotelowa była tutaj potwornie łapczywa, Karol zdołał szybko zaskarbić sobie łaskawość portiera Lucjana – młodego, wysokiego chłopaka o bystrym wyrazie twarzy. Wypytywany o sprawy związane z prowadzeniem hotelu, młodzieniec chętnie i wylewnie udzielał odpowiedzi, chociaż w pewnej chwili zapytał o powód zainteresowania *monsieur Conti* tego typu kwestiami. Zadowolili go banalna odpowiedź o wywiadzie robionym przez potencjalnego inwestora. Poniekąd było to zgodne z prawdą.

– Nam tu ciągle powtarzają, że nie wolno nikomu absolutnie opowiadać o hotelu, zwłaszcza jakby się kto dopytywał o właściciela, którego nigdy tu na oczy nie widziałem, a robię już tu drugi rok. Ciągle jacyś dziennikarze się tu kręcą. Pan pewnie też tak naprawdę do gazety pisze? Albo jakiś wierzyciel pana nasłał... Tacy też tu przychodzą, pytają, węszą, ale ja jestem lojalny wobec rodziny, właściwie byłem... Ostatnio coraz dłużej na wypłaty trzeba czekać, a teraz, kiedy pani Żmijewska wyjeżdża, wszyscy się boją, że runie to wszystko. Ale już więcej nie powiem, chyba że... – Lucjan spojrzał wymownie na Karola, ten zaś sięgnął do portfela i podał mu dwa ruble.

Widząc skrzywiony wyraz twarzy starszego portiera, zapytał wprost:

– Ile?

– Jeśli łaskawy pan będzie tak dobry, za moje informacje należy się pięć rubli – odparł Lucjan.

Karol westchnął ciężko i sięgnął po dodatkowe banknoty, myśląc o tym, że kwota przeznaczona na łapówki otrzymana od mocodawcy nie wystarczy mu na zbyt długo.

Już sam fakt, że rodzina chciała uniknąć rozmów na temat właściciela, wskazywał na tajemnice, jakie musiały się z tą sprawą wiązać. Jego mocodawca

był o tym przekonany, chciał jednak znać prawdę o przyczynach dziwnego zniknięcia Jeremiego Żmijewskiego. Karol nie pytał dlaczego i jakie jego zleceńodawca, pan Storno, miał plany odnośnie do hotelu i wobec rodziny Żmijewskich. W przekazanej mu instrukcji znajdował się też punkt dotyczący panny Eleonory, Karol podejrzewał więc, że być może chodziło tu o potencjalny posag tej osoby i ewentualne plany matrymonialne. Jako człowiek wynajęty do tej delikatnej misji nie zastanawiał się nad tym zbytnio. Robił to przecież dla pieniędzy.

Zadał Lucjanowi kilka pytań o rodzinę Żmijewskich i zapisał sobie informacje na temat dzieci zaginionego właściciela – jego syna malarza, który portretuje znane aktorki i bywa nawet w domu u słynnej diwy Heleny Modrzejewskiej, o skupionej na działalności charytatywnej Eleonorze, oddanej gdzieś na wieś chorej wariatce, o której nic prawie nie wiadomo, miernej aktorce Agnieszce, która grywa gdzieś w letnich teatrzykach dla gawiedzi na Pradze i która nigdy nie bywa w hotelu, a także o szwagierce Żmijewskiego, starej panie Luizie. Tą ostatnią, nie licząc Eleonory, Karol zainteresował się szczególnie i polecił kamerdynerowi, aby ten dał mu koniecznie znać, gdy tylko nadarzy się sposobność spotkania owej damy.

Po spisaniu tych wszystkich danych Karol czym prędzej opuścił hotel, chcąc skorzystać z wyśmienitej pogody, dzień był słoneczny, aczkolwiek niezbyt upalny. Postanowił przejść się po mieście.

Na pełnej całkiem eleganckich sklepów ruchliwej ulicy Długiej uderzyła go duża liczba szyldów z rosyjskimi napisami. Nawet drewniane odrzwia, na których malowano reklamy, przyciągały wzrok kolorowymi bukwami, które widniały obok polskich napisów. Wszystkie oznaczenia urzędowe, wszelkie nazwy sklepów spisane były cyrylicą i to była zasadnicza zmiana w stosunku do wspomnień sprzed piętnastu lat. No, ale kiedy Karol opuszczał Warszawę, udając się w tułaczkę po Europie, było jeszcze przed wybuchem powstania styczniowego i nie miały jeszcze miejsca te wszystkie straszne wydarzenia, w których miasto tak ucierpiało.

Ludzi też było więcej na ulicach niż kiedyś, wielu mundurowych, rosyjskich oficerów, którzy zachowywali się wyzywająco, jak panowie na swoim gospodarstwie. Co chwila jakiś młody, energiczny chłopak zachodził Karolowi drogę, wykrzykując tytuły sprzedawanych gazet, co rusz proponowano mu czyszczenie butów albo usługę kurierską. Człowiek pana Storno nie mógł opędzić się od zgiętych wpół, mamroczących babek proszalnych, kalek wyciągających ku niemu rękę w błagalnym geście, całej rzeszy żebraków albo ulicznych sprzedawców.

Przyśpieszył kroku i dotarł do placu Kasińskich, gdzie akurat trwał targ drewnem, na niewielkiej przestrzeni roilo się od wieśniaków, a zaprzężone w konie wozy zajmowały całą niemal uliczną przestrzeń.

Idąc w kierunku ulicy Miodowej, Karol spojrział na sobór prawosławny pod wezwaniem Świętej Trójcy przerobiony przez Rosjan z dawnego kościoła pijarów z końca siedemnastego wieku. To w tym kościele jego rodzice brali ślub! A teraz pięć złoconych, bańkowatych kopuł zdobiących szczyty wież lśniło nienaturalnym blaskiem na tle stalowego nieba.

Obszedł skupisko zaprzężonych w konie wozów, z których handlowano drewnem, i skręcił w lewo w Miodową, która zadziwiła go eleganckimi elewacjami kamienic. Następnie wszedł w ulicę Kapitulną, na której mieszkał w momencie, gdy zdecydował się uciec od ojca, chcącego za wszelką cenę zrobić z niego urzędnika kolei na swój wzór. Kiedy dotarł pod szary, zaniedbany dom, serce ścisnęło mu wzruszenie i musiał przystanąć choć na chwilę, spojrzeć na okna swego dawnego domu, wejść na podwórze. Spojrzeć na scenę, gdzie rozgrywało się jego smutne dzieciństwo.

Przypominające studnię podwórko, otoczone czteropiętrowymi ścianami budynku, Karol zapamiętał jako większe. Środkiem – jak kiedyś – płynął okazały rynsztok. Był szeroki, głęboki, pełen stojącej wody i cuchnących śmieci. Na środku stała skrzynia bez wieka, na nogach, pomalowana smołą i z dziurami na dnie. Wlewano w nią pomyje, a w nich były kości, skorupki jaj, obierki, odpadki od śledzi. Wszystko, co płynne, przeciekało do rynsztoka, reszta zaś gniła, zatrzuwała powietrze i czekała – niekiedy całe tygodnie, aż wywiozą te nieczystości. Psy i koty kręciły się wokół skrzynki, wybierając resztki jedzenia. Nic się tu przez lata nie zmieniło. Nadal nie było kanalizacji, a wodę nadal pobierano ze studni.

Nagle tuż przed Karolem pojawił się starszy mężczyzna o czerwonej twarzy. To musiał być wścibski stróż o nazwisku Skwarek! Agresywnie zapytał, czego Karol tu szuka.

– Chciałem tylko zerknąć. Wychowałem się tutaj! Pamiętacie mnie? Obijał mnie pan okrutnie, bo z procy strzelałem do ptaków... – powiedział z przyjaznym uśmiechem.

– Abo jeden hultaj tu mieszkał? Każdego tak samo walę w łeb...

– Karol Stawski jestem, nie pamiętacie? Nazywacie się Skwarek, czy nie tak?

– Aaa! Ten Stawski, co to pański ojciec zapił się na śmierć? – Stróż spojrział z większym zainteresowaniem na przybysza, poprawił lichą czapkę z podniszczonym daszkiem i splunął na bok.

– No cóż, było miło zobaczyć jeszcze raz kamienicę. Nic się tu nie zmieniło. Uszanowanie, Skwarek. – Karol uklonił się i czym prędzej skierował ku bramie.

W oknach kilku domów zauważył kobiece twarze z zaciekawieniem wyglądające przez okno i obserwujące stróża rozmawiającego z wytwornym mężczyzną.

„Co było, to było, nie potem tu przyjechał” – powiedział sobie w myślach

Karol. Czym prędzej opuścił dawne rewiry, nie chcąc, aby ten pobyt w Warszawie – w mieście, które chciał wymazać z pamięci – przerodził się w podróż sentymentalną. Wiedząc, że ma konkretną pracę do wykonania, czym prędzej skierował swoje kroki do przechodniego Domu Roeslera, przez którego galerię przeszedł na najbardziej okazały trakt miasta – Krakowskie Przedmieście.

Spojrzał w lewo na kolumnę Zygmunta, otoczoną basenem fontanny wodociągu Marconiego z tryskającymi wodą trytonami, a także na zalaną słońcem bryłę Zamku Królewskiego z zegarową wieżą, gdzie rezydował generał-gubernator Kotzebue. Kiedy Karol opuszczał miasto wiele lat temu, Zamek wydawał mu się jakiś jaśniejszy, dostojniejszy. Teraz elewacja w kolorze wiślanego piasku przypominała brudną szmatkę.

Przez moment kusił go malowniczy widok stłoczonych dachów różnej wysokości kamienic i rozlicznych wież kościołów Starego Miasta. Przed oczami stanął mu gęsto zastawiony zadaszonymi straganami Rynek, ulica Rybaki, gdzie z chłopakami chodzili na dziewczki, szynk na Pivnej, gdzie wdał się w bójkę i stracił dwa zęby, wreszcie placyk Kanonia – marzył o zamieszkaniu w jednej z kamieniczek na poddaszu i zostaniu literatem.

Powstrzymał się jednak przed zagłębianiem się w wąskie ulice Starego Miasta, gdzie – jak twierdził dorożkarz, który wiozł go z dworca Kolei Warszawsko-Wiedeńskiej do hotelu – „Znajdzie pan szanowny same tylko burdele pełne oficerów albo rozwalające się stare domy, gdzie siedzi biedota, której nie stać na zamieszkanie w lepszej części miasta”.

Karol skręcił więc w prawo i ruszył przed siebie, z ciekawością spoglądając na rozciągające się przed nim w całej okazałości Krakowskie Przedmieście, które i teraz wydało mu się najpiękniejszą aleją Warszawy. Od razu zwrócił uwagę na skwer z fontanną i młodymi drzewkami, który zastąpił stojące kiedyś w tym miejscu budowle, których ciągnął oddzielał ulicę Dziekanka od wąskiego Krakowskiego Przedmieścia.

Szeroką, brukowaną ulicą sunęły ciągnięte przez konie dorożki, po szynach jechały nowoczesne omnibusy. Spoglądał na elegancko ubrane panie, których bogato zdobione suknie o rozbudowanych tyłach i ogonach zmiatających całe połacie bruku zajmowały ogromną przestrzeń ulicy. Przypatrywał się mijanym składom z bogactwem wszelkiej maści towarów wystawionych w witrynach, nad którymi rozpościerały się płócienne markizy. Widoczne za bramami, odgródzone szerokimi dziedzińcami barokowe pałace wydały mu się jeszcze bardziej niż kiedyś zaniedbane, chociaż bezsprzecznie posiadały wyjątkowy urok.

Przez moment zastanawiał się, czy nie wstąpić do gmachu Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych, ale ostatecznie pomyślał, że piętnaście kopiejek (tyle kosztował bilet wstępu) lepiej spożytkuje, pijąc chłodne piwo w ten gorący dzień. Nagle zachciało mu się skosztować od lat niejedzonych flaków po warszawsku

z pulpecikami, których smak przywodził mu na myśl szaloną młodość. Ale wiedział, że na tej eleganckiej alei raczej takich specjałów nie dostanie.

Przeszedł na drugą stronę ulicy i przystanął na moment przed broniącymi wstępu do Pałacu Namiestnikowskiego kamiennymi lwami. „Ciekawe, co tu się teraz znajduje, pewnie biura carskich urzędów?” – pomyślał.

Pod kościołem wizytek o barokowej falującej fasadzie z żółtego kamienia stała grupa żebraków, z których kilku – widząc wytwornie ubranego jegomościa – biegiem ruszyło w stronę Karola. Mężczyzna przyśpieszył kroku. Minął sąsiadujący z zabudowaniami dawnego uniwersytetu szpital Świętego Rocha, gdzie – jak donosiła mu w liście kilka lat temu matka – dokonał żywota jego nieszczęsny ojciec. Jego wzrok przykuł malowniczy sztyl pracowni wypychania ptaków i zwierząt St. Wysockiego i wtedy Karol przypomniał sobie, że tu nieopodal, w Pałacu Karasia znajduje się okryty mroczną sławą szynk, w którym kiedyś przed laty jadał świetne flaki po warszawsku, podawane z pulpetami i kuflem piwa.

Mężczyzna spojrział na fasadę kościoła Świętego Krzyża i dwie górujące nad Krakowskim Przedmieściem dzwonnice, zastanawiając się, czy nie wstąpić do kojarzącej mu się z jego młodością świątyni, w której kiedyś bywał na patriotycznych manifestacjach, ale ostatecznie, z trudem omijając konie i dorożki, przeszedł ulicę i stanął pod pomnikiem Kopernika. Zerknął na klasycystyczny Pałac Staszica, gdzie – jak wynikało z tablic z rosyjskimi napisami – obecnie mieściło się męskie gimnazjum z internatem.

Pod wejściem do szynku stał spory tłumek żywo dyskutujących mężczyzn. Po ich lichym odzieniu i czerwonych twarzach Karol zorientował się, że są to ludzie czekający na dorywczą pracę. Minął ich, czując na sobie badawcze spojrzenia, i zagłębił się w ciemne, wypełnione dymem wnętrze knajpy. W środku, przy długich drewnianych ławach, nad talerzami z parującym jedzeniem siedziało kilku mężczyzn, którzy spojrzeli na Karola nieprzychylnym wzrokiem.

Krztusząc się od zaduchu rozlanego piwa i uryny, Karol usiadł przy jednym ze stołów. Jak się okazało, flaków tego dnia nie było. Zamówił więc dzban piwa, który wypił niemal duszkiem, i czym prędzej wyszedł z ponurego lokalu.

Mijając Pałac Staszica, poczuł silną potrzebę oddania moczu, ale nie miał odwagi wrócić pod szynk i załatwić swej potrzeby gdzieś w bocznej uliczce za Pałacem Karasia. Zaczął się rozglądać za jakimś miejskim urynałem. Nie widział żadnej tabliczki, żadnego oznaczenia informującego o takim przybytku. Wreszcie zagadnął grającego na harmonii biedaka, który stał u wylotu ulicy Nowy Świat.

– Panie szanowny, najbliżej to chyba w Ogrodzie Saskim! – odparł tamten i wyciągnął dłoń po zapłatę.

Karol wygrzebał z kieszeni kilka kopiejek i pomyślał, że od parku dzieli go kilkaset metrów, przejdzie się więc i tam.

– A szanowny pan posiada monokl? Bez tego do ogrodu nie wpuszczą! –

zawołał za nim uliczny grajek, po czym zarechotał rubasznie.

Kuśtykający z naprzeciwka nędzny starzec z uciętą nogą, opierając się o drewnianą kulę, z nadzieją w oczach wyciągnął brudną dłoń w stronę Karola i płaczącym głosem wypowiedział swoją kwestię:

– Upraszam, biedny kaleka, który nie mogąc zapracować na kawałek chleba, szlachetne litościwego pana upraszam.

Karol machnął tylko ręką i przyśpieszył kroku, miał dość nieustannego nagabywania. W parku przynajmniej odetchnie od żebrzących, którzy biorąc go za cudzoziemca (zapewne za sprawą dosyć ekstrawaganckiego stroju), lgnęli ku niemu jak muchy.

Zadziwił go urok Ogrodu Saskiego i wytwornych warszawian odpoczywających w tej pięknej scenerii. W przewodniku, który miał ze sobą, Karol przeczytał, że ogród ma cztery kąty. W północno-wschodnim znajduje się strzelnica, w kącie południowo-wschodnim jest wykwintna, słynąca z lodów cukiernia Semandeniego. W kącie południowo-zachodnim leży Zakład Leczenia Kumysem, pijalnia wód mineralnych i mleczarnia. W kącie północno-zachodnim kącik zabaw dla dzieci. W głównej alei, zwanej Owocową, napotkać można altankę wód gazowanych, namiot owocowy, loteryjne szalasy, a kawałek dalej rezerwuar wody Marconiego. Na całym obszarze ogrodu rozmieszczone są dwadzieścia trzy posągi wyobrażające symboliczne godła nauk i sztuk. Każdego dnia poranki spacerowiczom w pobliżu źródeł wód mineralnych umilała od szóstej rano orkiestra Leopolda Lewandowskiego. Koncert trwa dwie i pół godziny. Około dziesiątej rano park zaludniają niańki i bony z dziećmi, emeryci i młodzież lubiąca czytać książki na świeżym powietrzu, zaś po południu w parku spotyka się zazwyczaj śmietanka towarzyska, alejami spacerują znakomitości Warszawy, przedstawiciele sztuki, prasy i najpiękniejsze damy.

Przewodnik wszystko pięknie opisywał, ale o urynale nie wspominał ani słowem... Na szczęście w kiosku z gazetami, gdzie pan Stawski nabył kilka świeżych gazet warszawskich, sprzedawca udzielił mu tak pożądanej informacji. Skierowany na tyły drewnianego Teatru Letniego, wkrótce znalazł dyskretnie usytuowany między krzakami, otoczony zielonym płótkiem urynał, gdzie w końcu, po tylu godzinach powstrzymywania, mógł oddać mocz.

Wreszcie zrelaksowany, zachęcony opisem z przewodnika, Karol ruszył przed siebie płataniną alejek, nad którymi kołysały się gałęzie cicho szeleszczących, okazałych drzew. Byłoby bardzo przyjemnie, gdyby nie pył i kurz, który panie wzbijały ogonami swoich pysznych sukien. Od tego wszystkiego Karol zaczął potwornie kasłać i przysiadł na jednej z ławeczek, aby przeczytać kupione gazety. Potworny kurz i pył, tak ponoć charakterystyczny dla warszawskich ulic w okresie lata, wyraźnie mu szkodził. „Tu się nie da żyć” – jęknął do siebie w duchu.

Po opuszczeniu „zielonego salonu Warszawy”, jak prasa nazywała park, przez moment zdawało mu się, że naprawdę Warszawa bardzo wypiękniała, przez ostatnie lata nabrała szyku europejskiego miasta. Zmylił go splendor Krakowskiego Przedmieścia z jego sklepami, zadbanymi kamienicami, pałacami i kościołami, w tym z luksusowym Hotelem Europejskim. Ale wystarczyło, że Karol oddalił się od pałacu Saskiego i przeszedł na ulicę Świętokrzyską, aby zauroczenie miastem prysło. Ten rejon miasta wywołał w nim przygnębiające wrażenie wszechobecną biedą, zaniedbaniem i nędzarzami, którzy zamieszkiwali zaniedbane domy, częściowo wciąż jeszcze drewniane.

Karol postanowił udać się do budynku poczty przy placu Wareckim¹⁹, aby przesłać raport panu Storno. Kolację postanowił zjeść w restauracji Hotelu Angielskiego, która reklamowana była przez recepcjonistę jako niewielki lokal z wykwinną kuchnią mistrza kulinarnego o brzmiącym z francuska nazwisku.

Któraś wieczoru, po kilku dniach pobytu w Warszawie, zanim Karol położył się spać, wypił dwa kieliszki przyzwoitego koniaku (żołądek wciąż jeszcze trawił potrawkę z żyłastego królika, jaką zaserwowano mu w hotelowej restauracji), zapisał w swoim kajecie:

O Warszawie dzisiejszej. Pierwsze obserwacje, notatki na podstawie własnych obserwacji i doniesień lokalnej prasy, która rozwija się bardzo pręźnie (samych dzienników po dziesięć różnych tytułów dziennie) i informuje szczegółowo o każdym mającym tu miejsce wydarzeniu.

Ponoć żyje tu 280.000 mieszkańców, z czego połowa nie umie czytać i pisać. Elita miasta stłoczona w niewielkim jego fragmencie, najpiękniejsze rezydencje przy Alejach Ujazdowskich, kilka wystawnych pałaców w sercu miasta. Nowoczesność wkracza na Marszałkowską, która dotąd była niezbyt ważnym traktem, teraz zmienia się i nabiera splendoru.

Tłumy żebraków i nędzarzy na ulicach.

Na pierwszy rzut oka widać, że Petersburg nigdy nie pozwoli, aby miasto zdobyło poziom metropolii europejskich. Po śmierci hrabiego Berga urząd namiestnika zlikwidowano, generałem-gubernatorem od przeszło roku jest Paweł Kotzebue. Ziemię Królestwa Polskiego formalnie nazwano „Priwislanski Kraj”.

Wrażenie bardzo przykre robi wszechobecny rosyjski język, szyldy i wszelkie ogłoszenia w nim pisane. Na każdym szczeblu urzędniczym jest to jedyny dopuszczony język, co we mnie szczególnie wywołuje jakiś niesmak. Gdy opuszczał Warszawę pod koniec 1861 roku, zamieszki i związane z nimi represje nie gasiły ducha w narodzie. Czulo się wręcz, że naród za wszelką cenę chce

przeciwstawić się władzom. Dzisiaj widzę tylko rezygnację, choć nie zasklepiły się jeszcze bolesne rany po klęsce powstania.

Lud warszawski musi płacić władzom kontrybucję po klęsce powstania styczniowego 1864 roku w wysokości aż dziesięciu procent dochodu!

Do Warszawy przybywają każdego dnia ludzie ze wsi i mniejszych miasteczek, licząc na pracę w licznych fabrykach, szwalniach czy w handlu. Brakuje mieszkań, nie mówiąc o udogodnieniach, jakie dzisiaj zapewnia mieszkańcom każde duże miasto w Europie. Tutaj normalnym jest, że w jednej, niewielkiej izbie w kamienicy mieszka niekiedy po dziesięć czy więcej nawet osób!

Oprócz jednego wodociągu, który i tak tylko przenosi cuchnącą wodę z Wisły do centrum miasta, a i tak nadaje się tylko do fontann i ulicznych wodopojów, brak jest bieżącej wody, na każdym niemal podwórku stoi studnia. Wspomina się coś w prasie o kanalizacji, ale to niepewna przyszłość. Kto miałby się podjąć tak wielkiego przedsięwzięcia? Wszechobecne błoto (albo dla odmiany kurz, gdy akurat braknie deszczu) bardzo uprzykrza tutejsze życie. Przez brak wodociągów i kanałów do odprowadzania nieczystości, szerokie rynsztoki, na których kładzie się kładki, aby damy mogły je przekroczyć, to miasto nie może aspirować do miana cywilizacyjnie rozwiniętych miast europejskich. Jedyne zieleń centralnych alei, nieliczne zabytki zachowane sprzed szwedzkiego potopu sprawiają, że miejsce to nie napawa wstrętem.

Większość ludności jest bardzo biedna. Tkanka miasta to głównie urzędnicy, pracownicy fizyczni, robotnicy, szwaczki, raptem kilkunastu wielkich bogaczy, niedobitki szlachty, która nie miała funduszy, aby na stałe wynieść się za granicę, do tego kilkuset zapaleńców i reformatorów, którzy chcą koniecznie sprawić, aby Warszawa zasłużyła na miano metropolii. Kobiety widziane w parkach i na Krakowskim Przedmieściu chodzą w wystawnych sukniach wedle mody paryskiej, z długimi ogonami, którymi zamiatają alejki, wzbudzając tumany kurzu.

W „Kurierze Warszawskim” ciekawa wzmianka o wykonanych przez niejakiego pana Hivonnaita rzeźbach z gliny, wysokich na 12 cali, które przedstawiają typy ludowe żebracze Warszawy:

a) Ziemianin w kostiumie z zeszłego wieku grający na skrzypcach

b) Żyd przybywający po raz pierwszy koleją żelazną z Brodów do Warszawy

- c) *Żydek handlujący starzyzną*
- d) *Włóścianka z okolic Warszawy karmiąca dziecko*
- e) *Śledziarka z beczułką i bachorem, typ z Żelaznej Bramy*
- f) *Żebraczka prosząca: dajcie mi grosz!*
- g) *Żydek na kulach*
- h) *Typ warszawskiego Gavroche'a.*

3.

Eleonora Żmijewska była na matkę wściekła. Rodzina rozpadała się i nikogo już nie obchodziła jej przyszłość. Priorytetem było utrzymanie wizerunku szacownej, warszawskiej rodziny i ochrona dobrej opinii hotelu. Aby nie dopuścić do skandalu, którego skutkiem byłby upadek rodzinnego interesu, należało się zdobyć na każde możliwe poświęcenie.

Gotówki brakowało im wszystkim, a tylko prosperujący prawidłowo hotel mógł zaspokoić podstawowe potrzeby w tym zakresie. Kłamstwo dotyczące ojca i desperacki, nie do końca przemyślany krok, jakim było zatajenie jego samobójstwa, ciążyło na sumieniu Eleonory.

Matka i brat zdawali się tym w ogóle nie dręczyć, ale ona, za każdym razem gdy szła do spowiedzi, podchodziła do konfesjonału z myślą, że tym razem będzie miała siłę, aby wyznać księdzu ten potworny grzech rodzinny. Jednak kiedy już wymieniła swoje winy, opisała grzeszne myśli, przeoczone modlitwy, nieuważne wysłuchanie kazania, łapczywość w jedzeniu i picciu czy zakup zbytkowych dóbr, w ostatniej chwili, jakby wbrew sobie, mówiła: „więcej grzechów nie pamiętam...” i było już za późno, aby wspomnieć o tajemnicy i nieszczęsnym ciele nieboszczyka, pogrzebanym w lesie, bez żadnego nagrobka, bez należytego pogrzebu.

W końcu przysięgła na pamięć taty, na krew Chrystusa, że nie powie nigdy nikomu prawdy, nawet księdzu. Tamtego kwietniowego dnia, gdy posłaniec przyniósł wiadomość z domku myśliwskiego, Eleonora była tak przerażona i zaszokowana, że nie rozważała konsekwencji, jakie wiązały się z wieloletnim utrzymywaniem tak potwornej tajemnicy. Pogrążona w najczarniejszej rozpacz, nie uczestniczyła w działaniach, jakie podjęła matka z Konstantym.

Dyskutując na temat przyszłości hotelu i długach, jakie zaciągnął Jeremi Żmijewski, pani Regina postanowiła zataić to samobójstwo i zatrzeć jego wszelkie

możliwe dowody. Konstancy był podobnego zdania. Obawiano się, że jeśli prasa dowie się o tym, że właściciel hotelu Varsovie strzelił sobie w głowę, reputacja tego miejsca będzie na zawsze zszargana, wybuchnie skandal rzutujący na szanse matrymonialne Eleonory i wartość hotelu. Bank, który udzielił pożyczki na remont, ale też liczni wierzyciele chcący odzyskać pieniądze, jakie winien był im pogrążony w hazardzie Jeremi, zostawiliby rodzinę bez środków do życia. Żmijewscy straciliby hotel, a przecież dzięki niemu utrzymywali się w tym mieście od tylu lat!

Matka i syn powzięli kroki w celu zatuszowania „samolubnego czynu hazardzisty”, jak Regina określiła desperacki krok swojego męża. W tym celu Konstancy jeszcze wieczorem w dniu, w którym odebrał sobie życie jego ojciec, wyruszył do domku myśliwskiego w Puszczy Kampinoskiej. Dwukrotnie zmieniał dyliżans, na miejsce docierając już następnego dnia rano na koniu pożyczonym we wsi. W posiadłości zastał jedynie służbę ojca – Michalika, który wiernie służył rodzinie Żmijewskich od przeszło czterdziestu lat.

Zwłoki leżały na dywanie gabinetu w drewnianym dworku, który był ulubionym miejscem odosobnienia Jeremiego. Konstancy przekonał się, że nikt oprócz Michalika nie miał wiedzy na temat samobójstwa, nawet posłaniec, przekazując zalakowaną kopertę pani Żmijewskiej, nie zdawał sobie sprawy z tego, jak doniosłą przynosi wiadomość.

W porozumieniu ze zdruzgotanym sługą Konstancy pogrzebał ojca, wywożąc ciało daleko w las. Stary Michalik podpisał przyrzeczenie, zgodnie z którym zobowiązywał się do utrzymania tajemnicy, pod groźbą odebrania jego licznej rodzinie renty, jaką ustanowił syn Żmijewskiego i obiecał wypłacać ją rodzinie służącego nawet po śmierci Michalika.

Przez kilkadziesiąt godzin nieobecności Konstantego pani Regina odchodziła od zmysłów. Bieżące sprawy dotyczące zarządzania hotelem wymagały natychmiastowego podjęcia różnych decyzji w kwestiach, o których pani Żmijewska nie miała pojęcia. Sposób, w jaki funkcjonował hotel, nigdy jej nie obchodził, podobnie jak aktualne problemy, którymi zawsze zajmował się mąż. Teraz jednak zjawiał się szef kuchni z pretensjami i zarzutami wobec nowego cukiernika, z którym nie umiał się porozumieć i skomponować menu, pracownicy dopytywali, kiedy otrzymają swoje pensje, w jednym z pokoi przeciekał dach, a praczka nie przyjmowała od nich pościeli do prania, czekając na uiszczenie zaległych płatności.

Nieszczęsna wdowa nie spała całą noc, próbując rozeznaczyć się w hotelowych rachunkach i odnaleźć w gabinecie męża wszelkie niezbędne dokumenty. Zamiast potrzebnych jej teraz papierów znalazła listy z pogróżkami od jakiejś kobiety, która nie umiała poprawnie skonstruować pisemnej wypowiedzi, pliki niezapłaconych rachunków, jakieś weksle, papiery zastawne, pisma z banku wzywające do spłaty

odsetek od udzielonej pożyczki i korespondencję Jeremiego z Kołem Miłośników Kolei Żelaznej.

W tym trudnym dla Żmijewskich okresie nieocenioną pomocą okazał się mecenas Ignacy Darski. Był synem pokojówki, który dzięki wyjątkowej łasce pani Reginy został wysłany do szkół, gdzie objawił talenty do nauki. Za pieniądze Żmijewskich skończył studia prawnicze i niedawno został adwokatem. Jego lojalność wobec właścicieli hotelu Varsovie była bezgraniczna, a poza tym młody Darski jako człowiek błyskotliwy i bezpardonowy potrafił z bezwzględnością i sprytem toczyć spory ustne i pisemne z hordą szturmujących hotel wierzycieli. Jeszcze gdy żył Jeremi, Ignacy zyskał funkcję rodzinnego doradcy w interesach, a teraz dla Reginy okazał się wprost zbawieniem.

Nie wiedząc, jak poradzić sobie z bieżącymi wielce pilnymi problemami, pani Regina wpadła na genialny pomysł. Wezwała do gabinetu zarządcę Tyszkę i oświadczyła mu, że w związku z pilnym i prawdopodobnie długotrwałym wyjazdem męża, działając w jego imieniu na podstawie specjalnej plenipotencji (takową sama sobie później napisała, antydatując i podrabiając z pomocą Darskiego podpis małżonka), mianuje go dyrektorem hotelu!

Pan Tyszka pracował dla Żmijewskich od pięciu lat. Dotąd traktowany był przez właściciela jak powietrze i czuł się niedoceniany, a nawet wykorzystywany przez pana Jeremiego, który wymagał od niego niewpisywania do ksiąg pewnych sum wpływających do hotelowej kasy. Teraz, nie kryjąc wzruszenia, przyjął awans, godząc się – tymczasowo – na dotychczasową pensję, mimo że od wielu miesięcy marzył o niewielkiej choć podwyżce, która pozwoliłaby mu na wynajęcie samodzielnego lokum, chociażby w okolicach Nowego Miasta. Nie mógł doczekać się chwili, w której wyniesie się z pokoju dzielonego z dwoma urzędnikami carskich kolei w marnej kamienicy na Grzybowie. „Jak tylko staniemy na nogi, dostanie pan podwyżkę. Ja to panu gwarantuję!” – powiedziała władczo pani Regina i podała dłoń, na której uradowany nieoczekiwanym biegiem spraw Tyszka złożył pocałunek.

Ambitny, dumny ze swej roli dyrektor z niebywałym zapałem wziął się natychmiast do rozwiązywania hotelowych problemów, a pani Regina mogła skupić się wyłącznie na zabezpieczeniu przyszłości rodziny. Rozstrojona nerwowo, nie mogąc liczyć na żadne wsparcie ze strony pogrążonej wciąż po stracie ojca córki, z utęsknieniem czekała na syna. Gdy ten powrócił i szepnął, że wszystko zostało pomyślnie załatwione, z płaczem przyłgnęła do wątlej klatki piersiowej Konstantego, który obszedł się z matką nadzwyczaj chłodno. Za usługi, jakie wyświadczył rodzinie, zażądał gwarancji swobody. Potrzebował też sporej sumy rubli, którą Regina nie dysponowała. Przyjął więc jej diamentową tiarę i podarowany kiedyś przez Jeremiego pierścionek z okazałym szmaragdem. Brutalnie odepchnął Ignacą do niego matkę, przestrzegając, aby nie śmiała się

wtrącać w jego życie.

Co wydawało się Eleonorze dziwne, ani Konstantego, ani nawet matki wcale nie obchodziło dociekanie przyczyn tragicznej decyzji ojca. Czy matka przeczuwała, że jej mąż podejmie tak drastyczne kroki? Czy wiedziała, że ma problemy, z którymi sobie nie radzi? Wreszcie, czy naprawdę chodziło tylko o długi? Na każde z tych pytań matka odpowiadała jej wzruszeniem ramion – niczego nie zauważyła, o niczym nie wiedziała, zachowanie męża nie wzbudzało podejrzeń. Eleonora zdawała sobie sprawę, że matka najprawdopodobniej kłamie.

Jak okazało się kilka miesięcy później, ojciec uwikłany był w skomplikowany romans (jeden z wielu), którego przebieg mógł wpłynąć na decyzję o odebraniu sobie życia. Ze związku z aktorką występującą przed laty w letnich teatrzykach miał dorastającego już syna, który dowiedziawszy się prawdy o swoim pochodzeniu, pewnego dnia pojawił się w hotelu i grożąc swojemu naturalnemu rodzicowi rewolwerem, zażądał uznania go za prawowitego syna. Domagał się ponadto uwzględnienia go w testamencie i sporej sumy pieniędzy. Groził też ujawnieniem swojej historii w prasie.

Nie wiadomo, jak ojciec próbował załatwić tę sprawę, jednak w trzy miesiące po jego zniknięciu w hotelu pojawiła się krzykliwie i wulgarnie ubrana kobieta o twarzy zdradzającej pociąg do alkoholu, która przedstawiła się pani Reginie jako wieloletnia kochanka ojca, i zażądała pieniędzy dla siebie i swojego syna.

Wraz ze śmiercią ojca dotychczas poukładany, harmonijny świat Eleonory dosłownie się rozpadł. Dotąd żyła odgradzona od rzeczywistości kokonem, który zapewniał cieplarniane warunki i wizję prostego, zgodnego z nauką Kościoła życia. Teraz dopiero – gdy dowiedziała się tego, jakim człowiekiem był jej ojciec, gdy zobaczyła nieskrywaną ulgę, jaką odczuła matka po jego zniknięciu, i chcąc nie chcąc, współuczestniczyła w rodzinnym spisku – Eleonora odważyła się zobaczyć świat w pełnej jego krasie, z wszelkimi niegodziwościami i cudami, jakie oferował. Nagle dotarła do niej prawda o nędzy ludzi, których zatęchłe izby odwiedzała w ramach działalności w Towarzystwie Dobroczynności. Wcześniej zachowywała się, jakby ci wszyscy nieszczęśnicy, chorzy, niezaradni, cuchnący biedacy byli elementami dekoracji i statystami na scenie, na której ona – szlachetna i piękna Eleonora Żmijewska – odgrywała swoją rolę. Dopóki nie przeżyła szoku związanego z samobójstwem ojca, nie rozumiała wcale, czym jest cierpienie.

Widząc teraz świat w całej gamie kolorów, nie tylko w czarno-białych jak dotąd barwach, Eleonora bardzo szybko dorosła. Poczuli się wręcz stara, jakby wszystko, co życie miało jej do zaoferowania, zostało sprzątnięte jej sprzed nosa. Wystarczyło tych kilka dni pod koniec kwietnia tysiąc osiemset siedemdziesiątego roku, aby diametralnie zmieniła własną wizję przyszłości. Fantazja, jaką się dotąd karmiła, wizja własnej, szanowanej rodziny przysła niczym bańka mydlana.

Przychodzący dotychczas w konkury panowie bardzo szybko się ulotnili, skoro tylko po Warszawie rozeszła się wieść o dziwnym zniknięciu Żmijewskiego i pogorszeniu finansów rodziny. Rzeczywiście, w obecnej sytuacji Eleonora nie mogła liczyć na wielki posag. Jedyne, co mogła wnieść do małżeństwa, to kilka starych mebli, obrazów, ewentualnie biżuterii, o ile matka przeznaczyłaby część klejnotów na ten cel.

Eleonora przestała więc w ogóle planować swoją przyszłość, a w pewnym momencie nawet przywykła do myśli o staropanieństwie. Miała już dwadzieścia pięć lat, jej wiek był punktem krytycznym w życiorysie każdej niezamężnej kobiety. Kandydatów na męża nie było. Nikt się nawet już jej nie przyglądał w trakcie mszy, na które uczęszczała z matką i ciotką do kościoła pod wezwaniem Świętego Ducha na rogu ulic Długiej i Nowomiejskiej. Brak było zupełnie admiratorów jej urody, nie licząc rumieniającego się na widok panienki mecenasa Darskiego, którego Eleonora darzyła niezrozumiałą niechęcią.

Panna Żmijewska godzinami zawzięcie grała na fortepianie, swoją furję, żal, smutek i gorycz przelewając w sonaty Mozarta i preludia Chopina. Zainteresowały ją też nowe idee, które określano w prasie jako „warszawski pozytywizm”. Czytając periodyki sprzyjające nowym prądom, takie jak dwutygodnik „Niwa”, zdecydowanie podzielała w duchu koncepcję pracy u podstaw i dążenia do niepodległości tego nieszczęsnego kraju nie przez akt zbrojny, ale poprzez edukację i zwalczanie biedy. Nawet w tak wielkim mieście jak Warszawa kwestie zwalczania analfabetyzmu, niesienia konstruktywnej pomocy nizinom społecznym były teraz ważniejsze niż myśl o kolejnym, zapewne krwawym i bezowocnym, zrywie patriotycznym.

Widziała pozbawione słonecznego światła jednoizbowe mieszkania w wilgotnych suterrenach albo na zatęchłych strychach kamienic, w których na trzydziestu metrach tłoczyło się nieraz nawet i piętnaście osób, żyło razem po kilka rodzin krawców, sprzątaczy, handlarzy i ich dzieci. Wszyscy oni z trudem byli w stanie zapewnić sobie minimum egzystencji, wegetowali w cuchnących, wilgotnych norach, aby każdego dnia wychodzić o świcie do pracy, harować w fabryce czy szwalni przez dziesięć godzin i wracać po zmroku do swojej zatęchłej klatki.

Nie było niczym dziwnym, że żyjąc w takich warunkach, niedożywieni, przemęczeni ludzie podupadali na zdrowiu, a że nie było ich stać na lekarza ani na zakup mikstur przepisywanych przez pracujących za darmo medyków, wielu leczyło się zalecanymi przez wiejskich znachorów metodami, ziołami, okadzaniem albo preparatami z pajęczyn, smoły i zwierzęcych odchodów. Kto mógł się w tej sytuacji dziwić wysokiej śmiertelności?

Często myślała o pustych oczach, które ku niej zwracali, ilekroć przekraczała próg ich mieszkań, niosąc lekarstwa chorym albo odzienie dla dzieci. Pamięć tych

przerażliwie smutnych twarzy prześladowała ją, ilekroć zasiadała do sutego posiłku przy wykwintnie nakrytym stole w jadalni mieszkania przy Długiej. Mimo kłopotów finansowych punktem honoru matki było to, aby rodzina żyła na dotychczasowym poziomie.

Z tego też powodu, ale głównie po to, aby zrobić na złość matce, Eleonora zrezygnowała ze zbyt kownych strojów, przesadnych ozdób kapeluszy, falban i kokardek, skracając treny sukien do minimalnej długości. Im bardziej matka ozdabiała drapowania i upięcia swoich sukni bukietami kwiatów, falbankami czy kokardkami, tym skromniejsze stawały się suknie jej córki, panny na wydaniu. Do kapelusza z okrągłym rondem panna Żmijewska nie przyczepiała żadnego kwiatka, pozostając przy niebieskiej szarfie. Suknie także nosiła przeważnie niebieskie lub stalowoszare, co pani Regina skomentowała jako wyraźny pociąg ku życiu zakonnemu. „Jeśli chcesz spędzić resztę swojego życia w habicie zakonnicy, nie musisz się powstrzymywać. Już jesteś niemal jak święta” – kpiła z córki, coraz bardziej skupiając się na swoich wytwornych toaletach, wieczorach w teatrach i swojej nowej pasji, jaką stała się opera i koncerty znanych wokalistek.

Z głową pełną przekonań co do doniosłości edukacji Eleonora chodziła uczyć czytać dzieci biedaków, chcąc ze wszystkich sił wpoić im przekonanie, że tylko nauka i ciężka praca mogą zapewnić lepsze życie. Głównym celem jej egzystencji stała się faktyczna pomoc niesiona robotniczym rodzinom z Powiśla i doskonalenie swych umiejętności pianistycznych. Jako kobieta nie mogła marzyć o występach publicznych i karierze pianistki, ale dobrze zapamiętała pouczenia, jakie podczas kilku udzielonych jej lekcji wygłosił przed laty goszczący w hotelu maestro Saviano, który wzbudził w niej wielkie ambicje, twierdząc, że ma prawdziwy talent.

Powiedział wówczas Eleonorze, że doskonalenie przez nią gry powinno być celem samym w sobie, a duchowa wzniosłość w ten sposób uzyskana zapewni jej szczęście, jakiego nigdy nie zazna, żyjąc po prostu zwyczajnym życiem. Obiecał też, że gdy powróci do Warszawy na kolejne występy, zorganizuje jej specjalny koncert, zaprosi krytyków i znawców muzyki. Maestro twierdził, że kobieta również może być wirtuozem instrumentu i poświęcić swe życie muzyce. Niestety, nigdy więcej nie pojawił się w Warszawie.

Kiedy więc niespodziewanie oświadczył się jej Włodzimierz, młodzieniec poznany w trakcie koncertów dobroczynnych w kościele Zbawiciela, matka zachowywała się, jakby na rodzinę spłynęła boża łaska. Wizja wyprawienia najstarszej córki za mąż wyzwoliła w Reginie pokłady energii i entuzjazmu, jakiego nigdy wcześniej nie okazywała wobec Eleonory.

Córki państwa Żmijewskich, które do niedawna żyły w otoczeniu matki, nigdy nie były przedmiotem jej bacznej uwagi. Dogłądane przez nianie, kształcone w gimnazjum żeńskim, wychowywane były tak, aby jak najrzadziej zwracały

uwagę rodziców, szybko wyszły na mąż i przestały sprawiać kłopot. Pierwsza wyłamała się z tej wytyczonej im roli Agnieszka, przez co na trwałe – jak obwieściła pani Regina – została usunięta z rodziny i z serc państwa Żmijewskich.

Eleonora zdawała sobie sprawę, że najbardziej imponował matce fakt, iż Włodzimierz pochodził z rodziny szlacheckiej Ostrowskich, co prawda zubożałej i tonącej obecnie w długach, ale całkowicie zawładnęła nią magia szlacheckiego pochodzenia kandydata.

„Zawsze marzyłam, aby wyjść za osobę szlachetnie urodzoną, najlepiej za jakiegoś hrabiego!” – zwierzyła się pewnego dnia córce. Nieustannie pouczała ją co do sposobu ubierania się i czesania włosów: w jej opinii Eleonora powinna dołożyć więcej starań, by podkreślić swoją przeciętną urodę. „Nie zyskasz majątku, ale przynajmniej będziesz miała nazwisko i ktoś będzie cię utrzymywał” – mówiła córce, planując szycie nowych kreacji wedle najnowszych paryskich wzorów.

W opinii Eleonory matka i siostry Włodzimierza nie miały rozeznania co do plotek na temat Żmijewskich i uważały, że rodzina posiadająca elegancki hotel na jednej z ważniejszych ulicy Warszawy musi być niezmiernie zamożna. Sam Włodzimierz był miłym, anemicznym chłopcem o żółtym temperamencie, ewidentnie zdominowanym przez swoje siostry i matkę. Zapewne byłby uległym, cichym mężem, jednak Eleonora nie widziała siebie w tej rodzinie, w której prym wiodły inne kobiety.

Zanim doszło do konkretnych negocjacji finansowych pomiędzy Regimą Żmijewską a wdową Ostrowską, Eleonora poprosiła Włodzimierza o spotkanie w niedawno otwartej cukierni Bliklego na Nowym Świecie, gdzie przybyła bez zwykle grającej rolę przyzwoitki ciotki Luizy, i powiedziała mu w najłagodniejszy ze sposobów, że nie może przyjąć propozycji małżeństwa. Wyjaśniła mu, że dopóki z podróży po dalekich krajach nie wróci jej ojciec, dopóki nie będzie wiadomo, czy on żyje, Eleonora nie otrzyma posagu, jaki gwarantowałby im obojgu środki na samodzielne życie. Włodzimierz przyjął jej odpowiedź bez emocji, co tylko utwierdziło ją w słuszności tego kroku.

Eleonora zrobiła to głównie po to, aby zniszczyć wielkie nadzieje pokładane w tym mariażu przez jej matkę. Z ogromną satysfakcją sprawiła jej zawód. Teraz matka, wściekła z powodu niekorzystnego obrotu spraw, a zwłaszcza z faktu, że córka śmiała bez konsultacji odprawić jedyne kandydata do jej ręki, postanowiła opuścić na jakiś czas Warszawę. Zabierała ze sobą najmłodsze dziecko, małą Walerię. Był to zapewne odwet za sprzeczne z jej wolą działania najstarszej córki.

Eleonory wcale nie zdziwił fakt, że matka nawet nie zaproponowała jej wspólnej wyprawy do włoskich miast.

Ciotka Luiza miała jednak wielki żal do swojej siostry Reginy o to, że nie została wzięta pod uwagę jako towarzyszką podróży pani Żmijewskiej. Gdy w czerwcowe przedpołudnie jak zwykle Luiza spotkała się z Eleonorą w „salonie”

w Ogrodzie Saskim, ulubionym miejscu przechadzek eleganckich warszawianek i wytwornych panów, ciotka nie kryła urazy i rozgoryczenia wobec swojej młodszej siostry.

Eleonora przybyła na spotkanie spóźniona. Dorożka dowiozła ją do ulicy Żabiej, skąd zaledwie parę kroków dzieliło ją od jednej z bram wejściowych do parku. Strażnik pilnujący, aby na ogrodzony żelaznymi barierkami teren wchodziły – zgodnie z zarządzeniem władz carskich – wyłącznie osoby należące do wyższych klas społecznych, skłonił głowę przed damą, która chociaż ubrana była skromnie, ewidentnie należała do grupy uprzywilejowanych, tych, którzy nie trudnili się handlem ani nie wykonywali pracy fizycznej.

Tu, w ogrodzie, każda dama i każdy cieszący się szacunkiem jegomość mógł odpocząć od gazeciarzy, natarczywych handlarzy, a zwłaszcza zebrzących kalek i starców, dlatego pani Żmijewska zawsze lubiła tu spacerować i zabierała na przedpołudniowe spacerki wystrójone córki, a także Luizę – starą pannę, której przypadła rola damy do towarzystwa swojej młodszej siostry łożącej na jej utrzymanie.

Teraz Eleonora przeszła przez bramę i minęła rozległy trawnik, na którym na kocach przesiadywały nianie i piastunki z niemowlętami i małutkimi dziećmi. Widok płaczących albo śpiących maluszków, zawiniętych w koronkowe bety dzieci wywoływał w niej bolesny niepokój. Czy ona nigdy nie zazna słodyczy i trudów macierzyństwa? Jeśli nigdy nie wyjdzie za mąż, nie będzie jej dane wypełnić świętego obowiązku, jaki przypisany jest każdej kobiecie. Takie powinności zawsze wtlaczała jej do głowy matka. Święty, nieunikniony obowiązek, sens całego istnienia – bycie matką. Jeśli nie zostanie mężatką, stanie się też w końcu kimś takim jak Luiza – kobietą zgorzkniałą, rozgoryczoną i zależną od innych ludzi.

Odwracając głowę od głośnej grupki małych dziewczynek ganiających się na trawniku, Eleonora ruszyła szybkim krokiem ku okrągłemu słupowi oklejonym afiszami, w środku którego siedział sprzedawca prasy i wydawał gazety przez niewielkie okienko. Nabyła najnowszy numer postępowej „Niwy” i z zamiarem przeczytania artykułu jej ulubionego kronikarza rzeczywistości, Bolesława Prusa, skręciła w kierunku alei Owocowej.

Eleonora знаła każdy posąg, każdy kwiatowy dywan w tym parku, każdą aleję czy dróżkę, przyzwyczajona była do wystrojonych dam, które wzajemnie taksowały się wzrokiem, trenami swoich wystawnych sukien wzbijając tumany kurzu. Kroczyły główną aleją albo wokół fontanny, której strzelające ku wierzchołkom drzew strumienie wody przynosiły ulgę w wyjątkowo parny dzień. Spacerując pod rękę, panie docierały do majestatycznej kolumnady pałacu Saskiego, po czym zawracały, by skręcić w kierunku stoiska wód mineralnych albo otoczonego wierzbami płaczącymi stawu w północnej części parku, gdzie pływały

urokliwe łabędzie.

Kobiety w swoich wielobarwnych, bogatych toaletach, kapeluszach i z parasolkami zdobionymi falbanami z przezroczystych tiulów, z kokardami, klejnotami i wstążkami, w otoczeniu drzew i kwiatów obleczone letnim słońcem zdawały się tworzyć ruchome obrazy o najcudniejszych kolorach. Te niedoskonałe ciała ukryte w kostiumach przywodziły na myśl metamorfozę, jakiej podlega gąsienica przeistaczająca się w barwnego motyla.

Eleonora lubiła przysiąść na ławeczce w alei Owocowej, gdzie najczęściej spędzała czas złota młodzież Warszawy albo dystyngowani mężczyźni robiący kariery w rozwijającym się dynamicznie świecie finansjery (przychodzili tu zaczerpnąć powietrza i uwolnić się na krótko z czeluści biur zlokalizowanych przy placu Bankowym). Nie przeszkadzały jej nawet badawcze spojrzenia mężczyzn, którzy siadywali na ławeczkach i z monoklem przy oku udawali, że czytają gazetę, podczas gdy tak naprawdę przychodzili tu oglądać powabne panny.

Teraz jednak spieszyła spotkać ciotkę Luizę, która już na nią czekała, spacerując wokół fontanny, wśród wystrojonych w eleganckie ubranka dzieci bawiących się w berka. Z daleka jej sylwetka z czupurnym kapelusikiem z kolorowymi wstążkami, niebieską mantylką okrywającą ramiona, z tym wybrzuszonym tyłem szmaragdowej sukni oraz pokrytym falbanami ogonem czyniła ją podobną do papugi. Eleonora pomyślała, że matka natychmiast wykpiłaby ten krzykliwy strój, który nie nadawał się w jej mniemaniu dla starej panny.

„Dziwne – pomyślała – ciotka nigdy nie ubierała się ostentacyjnie, nigdy nie lubiła mocnych barw. Szyła raczej skromne suknie. Skąd ta zmiana?”

Przywitały się jak zawsze serdecznie, lecz z zauważalną rezerwą, po czym ruszyły przed siebie alejką parku wzdłuż szpaleru kojąco szumiących drzew i dywanów kwiatowych. Luiza była tego dnia wyraźnie podekscytowana, a jej zarumienione policzki sprawiły, że Eleonora chyba po raz pierwszy w życiu spojrzała na ciotkę zupełnie inaczej. Wyglądała niemal na młodą! A przecież była to kobieta młodsza od jej matki zaledwie o rok, miała już więc pięćdziesiąt cztery lata! Zawsze wydawała się jej stara i nieatrakcyjna, ale dzisiaj wyglądała szczególnie interesująco...

Zwykle nie miały sobie nic szczególnego do powiedzenia poza zwykłymi tematami codziennego dnia, banalnymi komentarzami na temat pogody i obojętnymi uwagami dotyczącymi sukien lub manier mijanych w parku osób. Ciotka traktowała Eleonorę jak nieświadomą niczego panienkę, która musi być bezwzględnie chroniona przed wiedzą na temat prawdziwego życia.

– Ciociu droga, mam coś dla ciebie! Przysłano mi dzisiaj nowości ze składu księgarskiego, w tym głośny ponoć nawet u nas tytuł *Tajemnicza wyspa* Juliusza Verne'a. Czytałam tę powieść, zanim jeszcze przetłumaczono ją z francuskiego.

Czy mogę ci podarować egzemplarz? Ogromnie porusza wyobraźnię!

Luiza zainteresowała się wymienionym tytułem i rozmowa potoczyła się nieco innym torem niż zwykle. Eleonora zdobyła się na szczere pytanie:

– Dlaczego droga ciocia nigdy nie wyszła za mąż? Mama wspominała kiedyś, że był jakiś narzeczony...

– Nie, to nie był żaden narzeczony ani żadna miłość, po prostu syn przyjaciela rodziny. Nigdy tego nie mówiłam, ale teraz, kiedy moja siostra, a twoja matka nas opuszcza, nie mam oporów. Wyobraź sobie, że kiedyś to ja byłam przyrzeczona twojemu ojcu!

– Ach! – wyrwało się z ust zaszokowanej Eleonory.

– Tak! Ogromnie mnie kochał, ale... Niestety coś, a raczej ktoś nas rozdzielił... – enigmatycznie skończyła Luiza.

– Nie rozumiem, to rodzina nie pozwoliła na ślub z ciocią? Dlaczego? Bo matka moja była starsza, i to ją chcieli wydać za mąż jako pierwszą?

– To zawiła kwestia, kiedyś ci to wyjaśnię. Ale dzisiaj już nie chcę do tego wracać.

Eleonora jednak nie ustąpiła, tylko z wypiekami na twarzy zaczęła wypytywać o rodzinną historię, o której nigdy nie słyszała. Rewelacje ciotki tłumaczyły napięte stosunki między siostrami. Czy ojciec przez lata małżeństwa z matką żywił uczucia względem Luizy?

Już miała o to zapytać, korzystając z wyjątkowej atmosfery zwierzeń, gdy nagle idący przed nimi niski jegomość o niecodziennym, przywodzącym na myśl cudzoziemca wyglądzie skłonił się nieco niezdarnie i uchylając cylinder, wypowiedział słowa powitania. Eleonora widziała go po raz pierwszy w życiu i już miała stanowczo odpowiedzieć na ten afront, jednak ciotka z nieskrywaną radością zareagowała na słowa tego dziwnie ubranego człowieka o wyłupiastych oczach.

– Pozwól, że przedstawię ci, droga Eleonoro, to pan Carlo Amalfi, impresario gwiazd operetki, gość naszego hotelu! Zanim przybyłaś do parku, miałam okazję już zamienić słowo z szanownym panem.

Eleonora podała mężczyźnie dłoń w satynowej rękawiczce, którą ten ucałował z przesadną galanterią. Wydał się jej odpychający, może z racji dziwnego akcentu, z jakim mówił po polsku, może z uwagi na przenikliwe spojrzenie i krople potu spływające po czole. Nie okazując więcej życzliwości, niż to konieczne w podobnej sytuacji, czym prędzej zakończyła prezentację i oddaliła się z wyraźnie zaintrygowaną panem Carlo ciotką. Jej błyszczące oczy i egzaltowane opinie o „interesującym cudzoziemcu polskiego pochodzenia” poirytowały Eleonorę. Spotkany mężczyzna pozostawił po sobie niepokojące wrażenie, którego przyczyn nie знаła.

– Chyba zanosi się na deszcz. Schrońmy się gdzieś. Mam ochotę na jakieś ciastko, co ciocia na to? – zagadnęła Luizę, chcąc opuścić park.

Czym prędzej udały się do wykwintnej cukierni Lourse'a, która znajdowała się w pobliżu parku, przy ulicy Królewskiej. Zatrzymały się w uroczym lokalu na filiżankę herbaty i rogaliki z masą migdałową. Usiadły w wiklinowych, wyściełanych jedwabnymi poduszkami fotelach w urządzonym z wdziękiem ogródku kawiarni od strony parku, wśród rozłożystych liści palm w wielkich donicach i w otoczeniu dystygowanej klienteli rozmowa Eleonory z ciotką wróciła na konwencjonalne tory, jakimi zwykle się toczyła. Więcej już nie poruszały tematu burzliwej – jak się okazało – przeszłości Luizy i jej relacji z Jeremim Żmijewskim. Gdy minęło pierwsze wstrząsające wrażenie, jakie wywołała ta sensacyjna informacja, Eleonora stwierdziła, że woli nie wiedzieć nic ponad to, co usłyszała.

– Teraz, kiedy twoja matka udaje się do Florencji, twój brat jak zwykle zainteresowany jest tylko sobą i damami, które portretuje. Kto zadba o to, abyś znalazła dobrego kandydata na męża? – westchnęła ciotka, dodając do herbaty dużą łyżeczkę słynnych konfitur wiśniowych.

– Nie interesuje mnie odpowiedni kandydat. Nie chcę wychodzić za męża. Jeśli matka ani brat o to nie dbają, tym lepiej dla mnie – stanowczo stwierdziła Eleonora, patrząc, jak nagły poryw silnego wiatru kołysze koronami widocznych za oknem drzew.

Zaczęło padać.

4.

Konstanty przyjął wiadomość o wyjeździe matki do Włoch z ogromną ulgą. Od lat męczyła go i irytowała jej zaborcza miłość, której wstydził się przed sobą samym i swoimi siostrami. Oschła, krytyczna dla dziewcząt, wobec jedynego syna pani Regina zawsze okazywała przesadną czułość i wyrozumiałość. Mieszanka egzaltacji i nadopiekuńczości sprawiała, że Konstanty czuł się osaczony i starał się opierać matczynej kurateli. Jednak im bardziej był wobec matki obojętny, tym więcej ona była w stanie mu zaoferować, błagając go wręcz o przyjęcie od niej pieniędzy albo wyświadczenie jej jakiejś przysługi, za którą hojnie go wynagradzała. A pieniędzy biedny malarz potrzebował zawsze.

Kiedy po śmierci ojca Konstanty oświadczył, że wraca do Londynu (po tym jak spędził tam rok, życie w gnuśnej Warszawie wydawało mu się niemożliwością), matka – niczym heroina grająca rolę życia na scenie teatru – rzuciła się młodzieńcowi do stóp i szlochając, zaczęła błagać. „Zostań, proszę, zaklinam cię! Nie możesz mnie zostawić, nie przeżyję tu sama!” – wyła z histeryczną emfazą. „Ale przecież mama nie będzie sama, mama ma córki” – odpowiadał. Próbował uwolnić się z objęć kobiety, która wzbudzała w nim w tej chwili odrazę.

Jednak został. Przekonała go ostatecznie znaczna suma rubli, jakie otrzymał

na swoje potrzeby, jak określiła to matka.

Pani Żmijewska nie wnikała nigdy, na co potrzebne mu są te pieniądze, a może domyślała się, jak ogromne kwoty kosztuje Konstantego utrzymanie kochanek. Kiedy przebywał w Londynie, pani Regina w tajemnicy przed mężem przysyłała synowi pieniądze, bez których ten nie byłby w stanie przetrwać. Londyńskie przyjemności i spędzanie czasu z grupą lubiących zabawę i przyjemności malarzy wymagały ogromnych środków. Same kobiety lekkich obyczajów, mimo że tanie jak na warunki angielskie, kosztowały matkę dwa naszyjniki z pereł, kilka pierścionków i kilka innych drobiazgów. Nigdy jednak nie odmówiła pomocy ukochanemu synowi, choć konsekwencją mógł być gniew groźnego męża.

W trzydziestoletnim życiu Żmijewskiego było wiele kobiet. Od młodzińskich lat gustował w artystkach scenicznych – one ekscytowały go najbardziej, ale były też kosztowne w utrzymaniu. Jego porywy namiętności zwykle wzbudzały aktorki, tancerki (zwłaszcza baletnice), córki porządnych mieszczan, które znalazły się w tragicznej sytuacji materialnej, rzadziej dziewczki z ludu. Chociaż zdarzało mu się nieraz chodzić na największy w Warszawie targ za Żelazną Bramą i tam wyszukiwać „łupu” wśród młodziutkich przekupek, które w wiankach na głowie i suto marszczonych spódnicach zachęcały do zakupu warkoczy czosnku, owoców czy pierza.

Teraz jednak najbardziej liczyła się Antonina – młoda i bardzo zdolna baletnica. Odkąd tańczyła w *Giselle* z obecną primabaleriną Teatru Wielkiego Heleną Cholewicką, jej kariera nabrała szybszego tempa, z czym wiązała się też zwiększona liczba adoratorów – wielu z nich było znacznie bogatszych i dysponowało bez porównania większymi możliwościami niż Konstanty. Tym, co zapewniało mu sukces w tych trudnych okolicznościach, była jego uroda i despotyczne usposobienie wobec kobiet, które umiał zrównoważyć w odpowiednich momentach wylewnością i poruszającymi wyznaniem swoich uczuć, a to nawet na bardzo wyrachowanych kobietach zawsze robiło duże wrażenie. Dzięki tym skutecznym zabiegom Żmijewskiemu udawało się utrzymać przy sobie kochankę, chociaż ostatnio coraz częściej podejrzewał, że nie tylko on korzysta z wdzięków jego pięknej, drobnej baletniczki.

Przez cały maj szalał z zazdrości. Ilekroć opuszczał teatralną garderobę Antoniny albo odwoził ją do jej małego mieszkania przy placu Zielonym²⁰. Nie spał do późna w nocy i nie był w stanie pić ani grać w karty z kolegami z braci artystycznej, z którymi mieszkał i pracował na poddaszu kamienicy przy zbiegu Mokotowskiej i placu Trzech Krzyży, gdzie grupa siedmiu malarzy urządziła sobie lokum i pracownię.

Kilkakrotnie, nie mogąc znieść niepewności, o świcie zjawiał się pod drzwiami mieszkania wynajmowanego przez Antoninę i dotąd walił w nie

pięściami, dopóki kochanka nie wpuściła go do środka. Ani razu nie zastał u niej innego mężczyzny, jednak co rusz zauważał nowe elementy jej garderoby, nowe kolczyki, spinki do włosów, jedwabne pończochy, wachlarze i kapelusze. Kochance zawsze udawało się wyjaśnić pochodzenie każdego drobiazgu, jednak nigdy podejrzewania Konstantego nie zostały uśpione.

Był zdeterminowany, aby zatrzymać baletnicę wszelkimi kosztami. Zrobiłby wszystko, aby ciągle móc odprawiać swój rytuał, który przebiegał następująco: najpierw z dolnych rzędów teatralnej widowni obserwował przedstawienie, w którym tańczyła Antonina, podziwiał precyzję jej ruchów, lekkość, zwinność, niebywały wprost wdzięk ciała, piękno twarzy, która przypominała mu porcelanową lalczkę. W trakcie spektaklu wyobrażał sobie, jak smakuje jej spocona skóra, sutki drobnych piersi, jej krocze, które wylizywał z zachłannością, z jaką kot chłepce mleko. Czuł, jak narasta w nim i kipi pożądanie, nie mógł doczekać końca spektaklu, a gdy wreszcie rozległa się burza oklasków, gdy po kolei tancerki i tancerze wychodzili do ukłonów, on opuszczał widownię i udawał się do garderoby Antoniny (dzięki pewnym zabiegom przydzielonej jej na wyłączność, z uwagi na jej rzekome problemy z uczuleniami) i czekał na swoją zabaweczkę. Gdy ta zjawiała się w pomieszczeniu dusznym od słodkiego zapachu świeżych kwiatów, Konstanty witał ją szampanem, po czym zachłannie brał to, co było jego – odwracał ją tyłem i niecierpliwie ściągał jej pończochy, po czym brał na stojąco przed lustrem toaletki. Dawał jej potem kilkadziesiąt minut na ochłonięcie, przebranie się, przemycie skóry wilgotnym ręcznikiem, poił ją szampanem, po czym kładł na podłodze i wchodził w nią raz jeszcze.

„Och, Kostuś, gdybyś ty nie był tak śliczny...” – szeptała czasem Antonina, mierzwiąc jego ciemne, gęste włosy dłonią i prosząc, aby wyznał jej miłość, co kochanek czynił z niebywałą elokwencją.

Bukiety jej ulubionych bladoróżowych róż, zabawy w gabinetach restauracyjnych, szampan i jej stroje kosztowały go fortunę, ona zaś niejednokrotnie dała mu do zrozumienia, że oczekuje też prezentów podkreślających jej wspaniałość, przynajmniej diamentowych spinek, jakie mogłaby wpinać w misternie upinane loki o niezwykłym, miedzianym odcieniu.

Doraźne sumy dostarczała mu kasa hotelu, z której czerpał coraz swobodniej. Początkowo ten żaloszny typ Tyszko burzył się i oponował, jednak Konstanty pokazał mu upoważnienie podpisane przez matkę (w rzeczywistości firmowane przez samego autora owego dokumentu, niepotwierdzone nawet przez rejenta), w myśl którego wszelkie decyzje związane z prowadzeniem hotelu pod swoją nieobecność powierzała synowi. Konstanty pozostawał nieczuły na błagania o pozostawienie w kasie niewielkiej choćby ilości gotówki, którą Tyszko miał odłożoną na zapłatę dla praczek i wypłaty tygodniówki dla służby hotelowej. W efekcie dwie panny służące, dziewczyna czyszcząca ubrania i kelner

zrezygnowali z posady, czyniąc duże zamieszanie w codziennym funkcjonowaniu hotelu. Zamożny bankier ze Lwowa nie otrzymał przed wyjściem do teatru odświeżonego fraka i zrobił Tyszcze karczemną awanturę.

Co to wszystko mogło obchodzić Konstantego? Teraz liczył na to, że jego finansową zapaść pozwoli przełamać sukces, który odniesie – był tego pewien – jeśli tylko pani Modrzejewska zgodzi się w końcu na namalowanie jej portretu. Gdyby stworzył obraz przedstawiający budzącą powszechne emocje gwiazdę sceny – najbardziej uwielbianą i najchętniej krytykowaną diwę warszawskich teatrów rządowych – nie zabrakłoby mu gotówki na długi czas. Byłby „tym malarzem, który zrobił wspaniały portret Heleny Modrzejewskiej jako Ofelii”. Marzył mu się tego typu laur i był blisko osiągnięcia swego celu.

Malowanie sprawiało mu przyjemność. Nie traktował swojego zajęcia z namaszczeniem i cechującym niektórych artystów poczuciem obcowania z absolutem. Po prostu lubił urozmaicać sobie czas, szkicując i malując twarze, rzadziej pejzaże czy widoki ulic miasta, jednak doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że nigdy nie będzie wielkim artystą. Owszem, opanował technikę, która pozwalała mu na tworzenie przyzwoitych portretów, umiał naśladować styl malarzy, którzy go zachwycali – jak poznani w Londynie prerafaelici z ich romantyzmem i odwołaniami do mitologii – jednak sam nie był w stanie wykształcić indywidualnego, rozpoznawalnego stylu. Obrazy, które malował na zlecenie, sprzedawały się głównie dlatego, że z całych sił starał się oddać na nich portretowaną osobę w jej doskonalszej odsłonie. Kobietom przydawał uroku i tajemniczości, u mężczyzn niwelował szkaradne wady fizjonomii i dodawał im powagi. Więcej nie potrafił, nawet nie chciał od siebie żądać.

Najważniejszym w życiu według niego było dążenie do zaspokajania swoich pragnień i czerpanie z nich przyjemności. Malował, bo to było zajęcie, przy którym miło spędzał czas. Za nic w świecie nie poszedłby do pracy do kantoru czy też nie zamartwiałby się całymi dniami – jak ojciec – utrzymaniem hotelu i walką z bezwzględną konkurencją, która nieustannie deptała im po piętach.

Ojciec nie mógł wybaczyć jednemu synowi jego hedonizmu i braku zainteresowania spuścizną rodziny. Niewiele jednak mógł z tym zrobić, zbytnio uwikłany był we własne problemy, hazardowe długi, kłopoty z nieślubnymi dziećmi i związki z kobietami, z których ciężko mu było się wyplątać. Nietrudno więc było Konstantemu oprzeć się woli ojca i odmówić pójścia wytyczoną dlań drogą. Hotel wydawał się żenującym ciężarem, który komuś obracającemu się w kręgach artystycznych przynosi tylko wstyd.

Inną sprawą były pieniądze, których nieustannie potrzebował. Kiedy wysyłane mu przez matkę do Londynu środki okazywały się niewystarczające na pokrycie kosztów związanych z utrzymaniem pewnej rudej piękności, modelki Rosettiego, Konstanty zmuszony był zwrócić się do ojca. Wiedział, że ten

wydziedziczył go i zakazał mu wstępu do rodzinnego domu. Łatwo jednak zmienił zdanie.

W liście napisanym do Jeremiego Żmijewskiego z Londynu jego syn stawiał konkretne żądania finansowe, w tym także przywrócenie należnej mu części majątku w testamencie pod groźbą ujawnienia w prasie warszawskiej kompromitujących szczegółów na temat pozamałżeńskiego związku hotelarza z pewną damą zawiadującą jednym z większych zamieszkałów w mieście.

Zapewne list był gwoździem do trumny, który przeważał szalę na rzecz decyzji o samobójstwie, jakie w skomplikowanej sytuacji Żmijewskiego było najlepszym wyjściem. Obiecał synowi pieniądze, ale pod warunkiem, że ten odwiedzi tęskniącą za nim matkę i siostrę. Konstanty pojawił się więc w Warszawie, jednak ojciec nie spełnił swojej obietnicy, podobnie jak nie zdążył (albo nie chciał) przywrócić zapisu na rzecz syna w testamencie.

Teraz pozostała Konstantemu tylko wielka Modrzejewska, jedyna nadzieja na zdobycie lokalnej sławy, a tym samym zamówień na dobrze płatne portrety pań i panów z towarzystwa. Czuł, że jest już bardzo blisko doprowadzenia swojego projektu do celu. Musiał się jednak spieszyć, umówić przynajmniej na pierwsze pozowanie, gdyż aktorka każde lato spędzała poza miastem. W tym roku planowała wyjazd do Zakopanego.

W parny czwartkowy wtorek Konstanty wybrał się na ulicę Królewską spacerkiem, wyposażony w tubę pełną szkiców do portretu, jakie zamierzał pokazać pani Helenie. W salonie prowadzonym przez wielką diwę w mieszkaniu aktorki i jej męża na słynnych już wtorkowych spotkaniach bywała miejscowa śmietanka. Oprócz przyjaciół pana Karola Chłapowskiego, męża Modrzejewskiej, prym wiedli tam malarze i pisarze, niemal wszyscy zadurzeni w pięknej Helenie, popisujący się i zabiegający o uwagę swojej bogini.

W wystawnie urządzonej sali, na obitych bordowym pluszem kanapach siedzieli już pierwsi goście, wśród nich młody dziennikarz o szlacheckich korzeniach, niejaki Sienkiewicz piszący do prasy pod pseudonimem Litwos. Rozparci na krzesłach kurzyli cygara inni sprzeciwiający się konserwatywnym trendom artyści: dwudziestopięcioletni Chełmoński, rok młodszy Witkiewicz, dobiegający trzydziestki Chmielowski, który stracił nogę w powstaniu.

Diwa warszawskiej sceny bardzo interesowała się malarstwem, odwiedziła kiedyś nawet pracownię, w której razem z innymi panami zamieszkiwał Konstanty. Nieraz uratowała młodych artystów przed widmem głodu, robiła, co mogła, aby wesprzeć ich rozpoczynające się kariery. Każdy z malarzy śnił o tym, by móc malować panią Helenę. Prześcigali się w pomysłach, jak ująć jej postać, w stylizacji na grecką boginię czy we współczesnym entourage'u.

Teraz, w tym pełnym palm, bogatych tkanin i mahoniowych mebli salonie, wszyscy czekali na pojawienie się pani Modrzejewskiej. Służba roznosiła

chłodzące napoje i kieliszki z wermutem. Niecierpliwiono się, niepokoiono – pani Helena spóźniała się już czterdzieści minut. Ledwie wróciła z proszonego obiadu u pewnej hrabiny, która słynęła ze swych patriotycznych działań. W swoim pałacu organizowała spotkania, w trakcie których – po zjedzeniu wykwinnego posiłku – znane osobistości w ścisłym gronie zaprzyjaźnionych osób recytowały niepodległościową poezję. Po tym wzruszającym wydarzeniu, w ramach którego Modrzejewska doprowadziła do łez licznych słuchaczy swoją deklamacją wiersza mówiącego o powstańczej chwale, teraz przebierała się w popołudniową suknię.

Do salonu przybywali kolejni znamienici goście, aktorzy i przyjaciele z Teatru Wielkiego: Rapacki i Popielówna. Pan Karol bawił ich rozmową. Omawiano plany na lato, przewidziane na jesień spektakle i wydarzenia.

Wreszcie w drzwiach salonu ukazał się lokaj i zapowiedział panią Modrzejewską. Panowie powstali z krzeseł. Wpatrywano się w napięciu na wylot korytarza, a gdy w progu wreszcie ukazała się *ona*, powitały ją okrzyki zachwytu i pokłony panów, z których żaden nie ukrywał swojego uwielbienia dla wielkiej aktorki. Przywitała ich łaskawym, zawsze stonowanym uśmiechem. W upiętych na czubku głowy ciemnych włosach tkwiły klejnoty podkreślające swym blaskiem lśniące, nieco zamglone oczy, które były jej największą tajemnicą.

Niejednokrotnie Konstanty zastanawiał się nad fenomenem tej kobiety, która w codziennych kontaktach wydawała się zupełnie wyzbyta kokieterii, zawsze poważna, lekko melancholijna, miła i niezwykle przyjazna. Ale gdy pojawiała się na scenie, władała nią całkowicie. W każdej z ról była inna, choć jednocześnie zawsze ta sama... Umiejętnie stopniowała napięcie, igrała z widownią, zapewniając niezwykle przeżycia. Miała w sobie jakąś magię. A może była to po prostu przenikliwa mądrość i zmyślna strategia?

Konstanty uważał się za odpornego na ten dziwny urok pani Heleny, ale dzisiaj nawet on oniemiał, gdy swoim cichym, dźwięcznym głosem na przywitanie wyrecytowała krótki fragment monologu Desdemony z trzeciego aktu *Otella*. Nagrodzono ją gromkimi brawami.

Diwa usiadła na wyściełanym, połyskującym jedwabiem krześle i odetchnęła z ulgą. Cienie pod oczami świadczyły o zmęczeniu kończącym się sezonem w teatrze oraz tempem warszawskiej egzystencji. Aktorka nigdy nie kryła, że nie czuje się najlepiej w tym mieście i chętnie by się stąd wyniosła. Od razu jej tron otoczył krąg panów, spośród których najbliższy Modrzejewskiej był jak zawsze Sienkiewicz. Patrzył na nią z przejęciem wymalowanym na bladej, pociągłej twarzy, ona zaś nawet na moment nie zatrzymała na nim wzroku. Szepnęła coś na temat Ameryki, o której mówiono tu coraz częściej i coraz śmieiej snuto plany wyprawy za ocean. Teraz też rozpoczęto spotkanie od informacji o farmach amerykańskich, które mogą zapewnić godziwy byt całej grupie zaangażowanych w jej prowadzenie osób.

Konstanty kilkakrotnie w trakcie tego popołudnia próbował dostać się na tyle blisko aktorki, aby móc porozmawiać z nią o portrecie, jaki pragnął namalować. Na szczęście znalazł się w pobliżu jakiejś damy, która pojawiła się w salonie Chłapowskich z onieśmiałą córką w wieku około osiemnastu, dziewiętnastu lat. Pani Helena na widok pań spojrzała wnikliwie na Konstantego i przez dłuższą chwilę wyraźnie skupiła na nim swoje myśli. Wszyscy wiedzieli, że aktorka uwielbia bawić się w swatkę, i ilekroć goście bywający w jej salonie łączyli się w pary – jak choćby Cyprian Godebski i Matylda Natanson – pani Helena nie posiada się z radości.

– Co pan myśli o panience Adeli? – zagadnęła go, zbliżając usta do jego ucha i zasłaniając dół twarzy rozłożystym wachlarzem z lekko falujących piór. – Może zdołam nakłonić pana na udział w pewnym spisku, który zaplanowałam...

– Jeśli będzie pani tak łaskawa, z największą rozkoszą poddam się tym czarodziejskim zabiegom. – Konstanty uśmiechnął się nad wyraz łagodnie, chcąc podkreślić swoją spolegliwość w tej sprawie.

Rzeczywiście, małżeństwo z panną mającą odpowiedni posag było w jego sytuacji niemal koniecznością. Być może dobroczynny wpływ i koneksje pani Modrzejewskiej sprawią, że trafi mu się jakaś niebrzydka i majątna panna.

Dalej dyskusja potoczyła się po myśli Konstantego. Zgodnie z życzeniem pani Heleny przedstawił się matronie i jej córce (która okazała się dzieckiem znanego fabrykanta), zdał następnie relację Modrzejewskiej, wysłuchał jej rad, wyraził wdzięczność i przywołał temat portretu aktorki jako Ofelii.

– Proszę pokazać mi te szkice, poczekajmy tylko, aż goście wyjdą – powiedziała w końcu pani Helena, a Konstanty poczuł, że niebiossa wreszcie traktują go życzliwie.

Gdyby wierzył w Boga, podziękowałby mu szczerze, nie był jednak aż tak dwulicowy, aby składać hołdy zmorom swojego dzieciństwa.

5.

Odkąd matka wyjechała do Florencji, Eleonora poczuła się wreszcie panią samej siebie. Brakowało jej tylko wesołego szczebiotu młodszej siostrzyczki, której lubiła czytać książki, pokazywać zabawę w dom (dużych rozmiarów domek dla lalek z miniaturowymi mebelkami i strojami kupił kiedyś Walerii ojciec) czy wiązać kokardy na włosach. Dom zupełnie opustoszał.

Ale teraz panna Żmijewska miała wreszcie pełną swobodę, spokój i ciszę. Nie musiała słuchać narzekań matki na grożące córce staropanieństwo ani porad, jak ma się ubrać, gdzie się pokazać i jak zachowywać, by zainteresować sobą jakiegoś kandydata. „Masz szansę, odziedziczyłaś częściowo urodę po mnie, gdyby nie ten orli nos Żmijewskich, byłabyś naprawdę ładna. Musisz się tylko trochę postarać, zachęcić panów” – mawiała matka z kwaśną miną. Wyjeżdżając, jak

widać, skapitulowała. Jej nadzieje na wydanie córki zgasły.

Teraz, kiedy tylko miała ochotę, Eleonora chodziła posłuchać orkiestry grającej walce Straussa w Ogrodzie Saskim, kiedy chciała, spacerowała po Marszałkowskiej, gdzie ostatnimi laty otwarto nowoczesne sklepy, najwspanialsze magazyny, składy towarów i kawiarnie i gdzie – jak pisała prasa – można było poczuć się trochę jak na gwarnej ulicy nowoczesnej metropolii. Najczęściej jednak Eleonora skupiała się na działalności dobroczynnej i pomocy paniom z przeróżnych komitetów działających na rzecz przytułków, szpitali i ochronek.

Czy takie właśnie życie uznać można było za niezależne? Do wolności i emancypacji nawoływano kobiety w prasie postępowej, przekonując je, że powinny pracować i pokrywać część kosztów swojego utrzymania, powinny być we wszystkim takie jak mężczyźni, odważne, mądre i nieustępliwe. Ale Eleonora nie była w stanie na siebie zarabiać – poza umiejętnością haftu, śpiewu, malowania pastelami (matka uważała, że kompetencje tego typu uwydatniają wdzięki młodej osoby, co sprzyja pozyskaniu dobrego kandydata na męża) oraz grą na instrumencie nie umiała robić nic użytecznego. Tymczasem coraz częściej docierająca do niej świadomość kiepskiej kondycji finansowej hotelu nie pozwalała spokojnie spać. Czy będzie zmuszona do pracy? Kiedyś, aż do momentu „wypadku” papy, żyła w przekonaniu, że należy do bogatej rodziny, kasty niepracujących. Teraz niekiedy myślała o dawaniu lekcji gry na fortepianie, ale to byłaby ostateczność i świadectwo upadku jej rodziny.

Gdyby tylko miała majątek, którym mogłaby samodzielnie dysponować... Wówczas zostałaby filantropką, kimś tak szlachetnym i dobrym jak Tekla Rapacka. Tę ponad siedemdziesięcioletnią już staruszkę, która tyle dobrego zrobiła dla warszawskiej ludności, Eleonora miała okazję poznać na jednej z loterii dobroczynnych. Ubrana w koronkowy czepek, drobna kobieta zrobiła na niej ogromne wrażenie swoją skromnością. „Módl się, Pan cię poprowadzi, abyś czyniła jak najwięcej dobra” – powiedziała jej wówczas staruszka, gdy Eleonora całowała z czcią jej dłoń.

Ciotka Luiza, która w związku z wyjazdem Reginy i jej najmłodszej córki sprowadziła się do kamienicy na Długą, by dotrzymać towarzystwa Eleonorze, traktowała ją niczym córkę. Zostawiły w domu tylko jedną służącą, dając gospodyni i kucharce częściowo płatny urlop, same zaś – chcąc obniżyć koszty życia – stołowały się w hotelowej restauracji.

Czytała wreszcie do woli Balzaka, którego matka tak uwielbiała (jak twierdziła, on jeden rozumiał kobietę w jej położeniu) i którego zawsze zabraniała jej dotykać. „Gdy będziesz mężatką, zrozumiesz tego geniusza literatury” – mawiała, chociaż – jak teraz stwierdziła Eleonora – w gorzkiej, wnikliwej wiwisekcji natury ludzkiej pisarz nie przedstawiał niczego, co mogło zaszokować niezamężną pannę. Tym bardziej gdy panna ta w dosyć gwałtowny sposób

uświadomiła sobie prawdę o życiu własnego ojca, którego uważała kiedyś za istny wzór cnót i surowej moralności, a który okazał się hazardzistą, kłamcą zdradzającym żonę, a wreszcie uciekającym od problemów tchórzem.

Perspektywa spędzenia nudnych miesięcy letnich w zakurzonej i dusznej Warszawie cieszyła ją bardziej niż kiedykolwiek. Nie chciała opuszczać miasta i opierała się namowom Luizy, która chciała chociaż na kilka tygodni skorzystać z wyjazdu na letnisko do podwarszawskiego Mokotowa, gdzie wielu warszawian miało swoje rezydencje.

– Ależ, moja droga, teatry będą zamknięte, koncertów nawet nie będziesz mogła wysłuchać, wszyscy porządni i interesujący ludzie stąd wyjadą! Pomyśl o upalnych dniach, duchocie i tej potwornej woni wysychających rynsztoków! – namawiała ją Luiza.

Na pobyt na letnisku potrzebowała kilkuset rubli, które Eleonora mogłaby w jakiś sposób spróbować pozyskać. Luizie marzyły się podwieczorki w zacnym towarzystwie na tarasie podmiejskiego domu, z widokiem na kwiaty i drzewa.

– Ciociu, wiesz, że nie mam gotówki, brata prosić nie mogę. Cóż, biedni ludzie na pewno nie przestaną potrzebować pomocy tylko dlatego, że nastał okres wakacyjny – westchnęła Eleonora i zakończyła dyskusję.

Zamierzała w spokoju poświęcić się sonatom Chopina, które zaczęła grać, a także opieką nad dwiema nieszczęsnymi rodzinami z dalekiej Woli.

W jedno z upalnych, spokojnych popołudni z żalem oderwała się od lektury czytanej po francusku powieści *Eugénie Grandet* – musiała przygotować się na spotkanie z ważnymi osobistościami, które zasiadały w zarządzie Towarzystwa Dobroczynności. Okazją była zaplanowana kwesta dobroczynna połączona z koncertem, które miały odbyć się na popularnych wśród warszawian „wiankach” w wigilię Świętego Jana. Wydarzenie to miało zakończyć letni sezon imprez i Eleonorze bardzo zależało, aby zebrana suma była w tym roku wyjątkowo wysoka. Włożyła tyle energii i zaangażowania w realizację celów towarzystwa, że teraz uznawała wynik kwesty za sprawdzian swoich własnych umiejętności i zaangażowania w sprawę.

W ostatniej chwili zdecydowała się założyć szytą jeszcze wiosną nową suknię, w której do tej pory nie miała okazji się pokazać. Była dosyć skromna, w jej ulubionym ostatnimi czasy kolorze spłowiałego błękitu. Tren i upięcia fałd materiału zdobiły jedynie drobne, czarne kokardki, a dopasowany stanik niezbyt głębokiego dekoltu przyozdabiał kołnierz z koronki. Słomiany kapelusik i parasolka z falbanką w kolorze identycznym z suknią dopełniły całości.

Dzień był wyjątkowo przyjemny. Jadąc dorożką i nie bacząc na słońce, Eleonora odchyliła parasolkę i obserwowała ulice, które zaczęto już ozdabiać kwiatami w koszach przytroczonych do słupów gazowych latarni, czyszczono rynsztoki i porządkowano przestrzeń przed budynkami – za parę dni do Warszawy

miał przybyć z wizytą sam cesarz w towarzystwie syna. Przez kilka dni miasto zostanie podporządkowane porządkowi uroczystości, oficjalnych przejazdów i wizyt cara, warto było więc skorzystać ze spokoju na ulicach. Eleonora zatrzymała więc dorożkę tuż przy Miodowej, zapłaciła niezadowolonemu dorożkarzowi o dwie kopiejki więcej niż powinna i wysiadła, postanawiając przejść się chwilę wzdłuż Krakowskiego Przedmieścia.

Krocząc ulicą Miodową w kierunku budynku, gdzie znajdowała się siedziba Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności, przyglądała się przechodniom, dała kilka kopiejek zapomogi żebrakowi z uciętą nogą, grającemu na skrzypcach rzewną melodię, przystanąła kilka razy przy witrynie księgarni, po czym weszła do przechodniego domu Roeslera i Hurtiga. Przez jego zajmującą obszerny parter galerię handlową można było dostać się na Krakowskie Przedmieście. Stąd wystarczyło przejść na drugą stronę brukowanej, szerokiej ulicy przed kościoł Świątej Anny, a stamtąd pokonać zaledwie kilkadziesiąt metrów przed okazały budynek dawnego kościoła klasztornego karmelitanek bosych, graniczący z ulicą Bednarską.

W pełnym przeróżnych towarów pasażu Eleonora przystanąła przed urządzoną z ogromnym przepychem wystawą sklepu z zabawkami. Przypomniał się jej nagle chłopczyk z biednej rodziny, którą odwiedzała kilka dni temu w drewnianej chacie na Powiślu, aby wesprzeć nieco wdowę, której mąż zginął potrącony przez omnibus i osierocił czwórkę dzieci. Najstarszy z rodzeństwa, ledwie sześciolatek chłopiec był bardzo dzielny, pomagał matce nosić wodę ze studni, pilnował młodszych braci i – jak mówiła wdowa – ani razu się nie poskarżył. W małym zawiniątku trzymanym pod materacem łóżka dzielonego z dwójką innych dzieci trzymał swoją jedyną zabawkę – nieumiejętnie wystruganego z kawałka drewna pokraccznego konika.

Widząc na wystawie pięknie malowane, idealne konie, a na nich jeźdźców w żołnierskich mundurach, Eleonora weszła do sklepu i poprosiła o zapakowanie jej gniadego konia z figurką jeźdźca. Płacąc dwa ruble, pomyślała z radością o smutnej buzi nieszczęsnego chłopca, którą ten drobiazg na moment chociaż rozjaśni.

Wyszła na chodnik zamyślona i skręciła na ulicę z takim impetem, że nie zwróciła uwagi na mijającego ją otyłego jegomościa, który palił cuchnące cygaro. Ten zaś zamyślony, nieprzytomny potknął się o ogon jej sukni i w jednej sekundzie jak długi runął wprost do rynsztoka. Padając wielkim brzuchem w breję nieczystości, wrzasnął przeraźliwie, tak iż kilka osób idących chodnikiem przystanąło. Jakaś dama wydała z siebie okrzyk zgrozy, ktoś podał swoją laskę leżącemu w szlamie mężczyźnie, który z wielkim trudem, sapiąc i złorzecząc, wygramolił się z głębokiego rynsztoka. Spodnie na kolanach i kamizelkę oraz poły surduta miał całkowicie pokryte nieczystościami.

– Nic panu nie jest? – zapytał jegomość, który pomógł nieszczęśnikowi wstać.

– A niech ją wszyscy diabli porwą z jej ogonem! – syknął w odpowiedzi grubas, zwracając czerwoną twarz ku Eleonorze.

– Bądź, pan, spokojny, jeśli porwą, to bez ogona! – odparła hardo Eleonora. Przecież wszystkie panie z lepiej usytuowanych rodzin nosiły tego typu suknie. Żadna nie założyłaby dzisiaj modelu nieposiadającego trenu. Gruby jegomość powinien był uważać.

– Zapłacę panu za praczkę, proszę. – Z westchnieniem sięgnęła do woreczka, który zawieszony był u przegubu jej dłoni, i wyjęła z niego jednego rubla.

Mężczyzna ze złością wymalowaną na twarzy bez słowa wziął banknot i wezwał dorożkę. Eleonora odwróciła się na pięcie i już miała ruszyć (teraz musiała się już spieszyć), gdy nagle usłyszała miły głos z cudzoziemskim, dziwnym akcentem, należący do mężczyzny, który od kilku minut stał z boku, przypatrując się tej ulicznej scenie.

– Ależ mu pani odpowiedziała! – Zaśmiał się subtelnie, patrząc wnikliwie i przyjaźnie na Eleonorę, która teraz dopiero przyjrzała się mężczyźnie.

Był bardzo przystojny, szczupły, jasnowłosy i ubrany w elegancki letni surdut z tkaniny, jakiej nie widywało się na warszawskich ulicach. Jasnoszare oczy i wąskie usta nadawały pociągłej twarzy o regularnych rysach wyraz surowości, który nieco łagodził uroczy dołek w brodzie.

– Pan jest dziennikarzem? – zapytała Eleonora z przerażeniem w głosie.

W wyobraźni zobaczyła już notkę w jutrzejszym kurierze informującą o tym przykrym zdarzeniu. Zaraz jeszcze się okaże, że jegomość, który wykapał się w rynsztoku, jest jakąś ważną personą!

– Skąd! Teodor Szpakowski, do usług szanownej pani. – Skłonił się, unosząc lekko brzeg cylindra. – Ledwie przed kilkoma godzinami przybyłem do tego pięknego miasta, w którym urodził się mój ojciec. Jestem tu po raz pierwszy!

– I od razu zobaczył pan kąpiel w rynsztoku! – Eleonora zaśmiała się lekko, szacując w myślach wiek rozmówcy. Wyglądał na dojrzałego jegomościa, który nie przekroczył czterdziestego roku życia.

– Jestem ogromnie rad, że przypadkiem zupełnie przechodziłem tą ulicą w chwili tego osobliwego zdarzenia, gdyż dzięki temu mam przyjemność rozmawiać teraz z panią – odparł z powściągliwym uśmiechem Teodor, patrząc prosto w oczy rozmówczyni, która lekko się zarumieniła.

Dygnęła tylko i szybko ruszyła przed siebie, mówiąc, że spieszy się na spotkanie w siedzibie Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności. Dżentelmen zaproponował, że odprowadzi ją, na wypadek – jak stwierdził – gdyby skąpany w błocie jegomość chciał odszukać sprawczynię swej hańby.

Po tych słowach zaśmiali się oboje i zrównali krok. W trakcie trwającej

ledwie kilkanaście minut przechadzki Eleonora odpowiedziała na kilka pytań o Warszawę, a także wspomniała o swojej działalności w Towarzystwie, która najwyraźniej zrobiła ogromne wrażenie na panu Szpakowskim. Stojąc już pod empirowym, otynkowanym na kremowy kolor gmachem, i podając dłoń na pożegnanie, Eleonora odważyła się zapytać, w jakim celu nowo poznany jegomość przybył do nieznanego mu miasta.

– W tym roku zmarł mój czcigodny ojciec. Opowiadał mi wiele o Warszawie, wspominał to miasto z tak wielkim sentymentem, że kazał przyrzec, że spełnię jego osobliwą prośbę związaną z tym miejscem. Nie mogę niestety zdradzić żadnych szczegółów, jednak już teraz cieszę się, że tu przybyłem, i niemal jestem pewien, że uczynię zadość życzeniu zacnego staruszka.

– A więc życzę panu wszelkiej pomyślności w realizacji tego zacnego celu.

Żegnając Szpakowskiego, Eleonora przez moment zastanawiała się, czy nie zapytać, w jakim mieście wychował się pan Teodor. Sądząc po akcencie, były to jakieś południowe, bardzo słoneczne rejony Europy. Zdradzała go ponadto śniada cera, znacznie odróżniająca się od bladości warszawian. Oddaliła się jednak i będąc przekonana, że nigdy więcej nie spotka pana Szpakowskiego, zniknęła w głębi gmachu Towarzystwa Dobroczyńności.

Gdy tego samego dnia wieczorem Eleonora wracała z Luizą z wesołego, pełnego tańca i żartów przedstawienia w teatrze ogródkowym Belle-Vue przy Chmielnej, zajrzała jeszcze do czynnej do późna restauracji hotelowej, aby zjeść niewielką kolację. Jakież było zdumienie Eleonory, gdy ujrzała tam pana Szpakowskiego. Pan Teodor, najwyraźniej będący rezydentem hotelu Varsovie, siedział przy jednym ze stolików w pustej już sali restauracyjnej i paląc cygaro, przy szklaneczce koniaku czytał wieczorne wydanie „Kuriera Codziennego”.

Pannę Żmijewską spostrzegł jednak od razu. Natychmiast wstał od stołu, pośpieszył w jej kierunku i przywitał się szarmancko z błyskiem w oczach, okazując na jej widok zdziwienie, ale też nieskrywaną radość. Po wymianie uprzejmości i zdawkowych informacji Eleonora i Luiza siadły przy jednym ze stolików. Gdy stary kelner z siwymi faworytami przyniósł im talerze z pasztetem z zająca, elegancki pan Szpakowski dyskretnie uklonił się paniom i zniknął w hotelowym korytarzu.

Ciotka Luiza z zapalem zaczęła ciągnąć siostrzenicę za język. Dystyngowany gość hotelu zrobił na niej wrażenie, a gdy usłyszała o niezwykłych okolicznościach, w jakich Eleonora miała okazję go poznać, stwierdziła:

– Moja droga, to musi być przeznaczenie! Ty spotykasz tego rezydenta naszego hotelu, a ja dopiero co też przecież zawarłam bliższą znajomość z jednym z gości, ze znanym ci już panem Carlo Amalfim, tym impresario. Cóż za zbieg okoliczności!

– A propos pana Carlo, czy rzeczywiście ciocia wybrała się w jego

towarzystwie na koncert do Dolinki Szwajcarskiej?

Luiza zaczerwieniła się.

– Po prostu oboje lubimy Beethovena – odparła.

Eleonora skupiła wzrok na pasztecie, nie mając odwagi więcej męczyć wyraźnie zmieszanej ciotki. W jej głowie huczała tylko jedna myśl: „Luiza na coś liczy ze strony tego pana”. W duchu nie mogła przestać się śmiać. Ależ matka będzie wściekła, że wszystko to rozgrywa się tutaj pod jej nieobecność i nie może przerwać tej skandalicznej sytuacji!

6.

Przez cały okres, jaki spędził w Warszawie Karol Stawski vel Carlo Amalfi, robił on wszystko, aby dostarczyć panu Storno wszelkie potrzebne mu informacje. W celu dotarcia do najlepszych źródeł nawiązał kontakt z wyraźnie spragnioną męskiej uwagi starą panną, siostrą Reginy Żmijewskiej. W ciągu zaledwie kilku dni i kilku przypadkowych pogawędek zdołał zdobyć zaufanie panny Luizy, zyskał w niej sojuszniczkę dla swojej działalności, która rzekomo polegała na zapoznaniu się z warszawskimi talentami scen koncertowych, a nawet – za namową samej panny Żmijewskiej – towarzyszył jej na koncercie, który potwornie go wynudził. Czas, jaki tam spędził, nie był jednak do końca stracony, gdyż delikatnie nakierowana w rozmowie na temat więzi rodzinnych Luiza sporo opowiedziała mu o swojej siostrze. Ewidentnie miała jakiś żal do pani Reginy, bo nie szczędziła na jej temat wielu uszczypliwych uwag.

W samym hotelu Varsovie Karol nawiązał wyśmienite kontakty. Przekupił nie tylko lokaja, ale też z łatwością nakłonił do intymnych relacji młodą pokojówkę Hankę – krzepką dziewczynę o wiecznie czerwonym licu, małych oczkach i wesołych dołeczkach. Była tak gadatliwa i tak łasa na pieniądze, że bez specjalnego wysiłku udało się Karolowi pozyskać jej przychyłność. Dał jej przywiezione z Rzymu pudełko karmelków (ogromnie się jej podobał rysunek na wieczku puszek przedstawiający dystygowaną damę), dał jej aż rubla za informację na temat panny Eleonory (zadziwiające, że służba hotelowa wiedziała o niej niemal wszystko).

Tak więc Hanka, zachęcona hojnością gościa, często wpadała do jego pokoju, a kiedy Karol wiedziony ogromną potrzebą złapał ją za wielką, pulsującą pod fartuchem pierś, powiedziała rezolutnie, że może mu oddać swój wianek, ale nie taniej niż za trzy ruble. Zapłacił bez słowa i z miejsca zabrał się do rzeczy.

W dosyć niesłychanych okolicznościach zdołał też nawiązać relację z dyrektorem hotelu panem Tyszką. Wracając ze spaceru w okolicy pamiętanej z dzieciństwa rzeczki Żurawki, gdzie jego babka miała drewnianą chałupę na ulicy Wspólnej (teraz na tych terenach posadowiono nowe kamienice, a dawne ogródki

o wiejskim charakterze widoczne były już tylko gdzieniegdzie), Karol wstąpił do hotelowej restauracji, by wychylić kieliszek koniaku na koszt pana Storno. Przy jednym ze stolików na sali siedziała kobieta o pooranej zmarszczkami, bielonej twarzy, w ekstrawaganckim kapeluszu przyozdobionym kwiatami, wstążkami i sterczącym ponad tym wszystkim sztucznym ptakiem, i bełkotała coś w kierunku wyraźnie zdenerwowanego pana Tyszki. Widać było od razu, że jest to kokota, lekko już pijana i w nastroju sprzyjającym konfrontacji.

– Ale ja, szanowny panie, ja mam prawo tu być! Ja mam co tydzień uzupełnianą książeczkę zdrowia, nie opuszczam żadnego badania! Zdrowa jestem, ale to akurat nie ma znaczenia, bo teraz nie jestem w pracy... – bełkotała owa „dama”.

Tyszka otarł krople potu, jakie wystąpiły mu na czole, i ścisząc głos, powiedział:

– Książeczka badań szanownej pani nie ma tu znaczenia, tu w hotelu nie może pani szukać klienteli, to jest zabronione carskim ukazem! Przez pani obecność na tej sali mój... to znaczy należący do państwa Żmijewskich hotel może być obciążony gigantyczną karą nawet dwudziestu rubli! Dlatego proszę o opuszczenie naszego przybytku, spożyte przez panią wino będzie na koszt zakładu, tylko błagam, błagam, aby pani wyszła!

Kokota spojrzała na wyraźnie przerażonego Tyszkę i z enigmatycznym uśmiechem podniosła w stronę kelnera pusty kieliszek i zawołała:

– Jeszcze jeden!

W tym momencie wkroczył Karol. Przeprosił dyrektora i szepnął kilka słów do ucha kokoty, która po chwili namysłu kiwnęła głową, zebrała ze stolika swój wyszywany cekinami woreczek i czym prędzej opuściła lokal, nie mówiąc nawet „do widzenia”. Karol odprowadził ją do wyjścia i w progu zamienił jeszcze kilka słów.

– Nie wiem, jak panu dziękować! Jak pan szanowny to zrobił? Ja nie mogłem przez dwadzieścia minut nakłonić jej do wyjścia... – powiedział skonfundowany dyrektor Tyszka, gdy Karol wrócił na salę restauracyjną.

– Och, to było nadzwyczaj proste! Umówiłem się z tą panią w późniejszych godzinach i obiecałem sowitą zapłatę za jej usługi, pod warunkiem że teraz stąd wyjdzie i da mi spokojnie zjeść kolację!

Tyszka aż otworzył oczy ze zdumienia. Tego typu rozwiązanie sytuacji nie przyszło mu nawet na myśl, czego teraz zaczął szczerze żałować.

Po tym, jak Karol okazał się pomocny w usunięciu z hotelowego lobby damy lekkich obyczajów, dyrektor Tyszka był dla niego niezmiernie uprzejmy, zapraszał na wspólne cygaro i kieliszek wódeczki. Pewnego wieczoru ten kieliszek zakończył się wypiciem przez obu panów półlitrowej butelki samogonu, który pędził w swoim domu na Pradze szwagier Tyszki. W atmosferze sympatii i poufałości

dyrektor pił z wielkim zapalem, zachęcany przez kompana, który podzielił się z nim opowieścią o swoim problemie z nieudanymi zaręczynami z pewną rzymianką, córką zacnego sędziego. Tyszka odwdzieczył się opowieścią o swoich problemach związanych z zarządzaniem hotelem. Skarżył się, że został tu sam, rodzina go wykorzystuje, pani Regina nie daje znaku życia, każde dziecko Żmijewskich wyłudza z kasy gotówkę, zwłaszcza ten malarz, który wszystko przepuszcza na kochanki.

Pijany Tyszka okazał się doskonałym do rozpracowania rozmówcą. Ciągnięty za język, przekazał Karolowi wiele informacji na temat rodziny, podzielił się też swoimi przypuszczeniami co do zniknięcia właściciela hotelu, który w jego opinii ukrył się gdzieś w Afryce.

– Zanim zniknął, potwornie się pokłócił z żoną o testament. Pani Regina nalegała, szantażowała go, żeby zmienił ostatnią wolę, w nocy kazała wzywać ich prawnika, tego grubego blondyna Darskiego. Ale Jeremi krzyczał, że wydziedziczył syna i musi się najpierw przekonać, czy ten zdoła zmienić swoje postępowanie. A potem ten syn do niego przyszedł i znowu wybuchła kłótnia, nawet chyba do rękoczynów tam doszło! Pani Żmijewska stała pod drzwiami ich sypialni i pilnowała, żeby nikt tam nie podchodził i nie podsłuchiwał. Spać nie było można, a ja akurat tamtej nocy do domu swojego nie wracałem, bo wie szanowny pan, samotny jestem, a tutaj była taka przyjemna pokojóweczka, co mnie chętnie do siebie na przeczekanie nocy przyjmowała... – opowiadał Tyszka.

– I myślisz, pan, że po tej awanturze Żmijewski po prostu uciekł, porzucił to wszystko?

– Och, panie Carlo! On miał dość tej swojej rodzinki, nie dziwię się. Pani Regina jest trudną, upartą niewiastą... Zresztą podobno miał drugą rodzinę na mieście, syna też, może lepszego niż malarz, ale z nieprawego łoża! – Tyszka zaśmiał się szyderczo i wychylił kolejny kieliszek wódki. – Może wołał z tamtymi się handryczyć?

Od słowa do słowa dyrektor powierzył nowemu kompanowi wiele ciekawych informacji, łącznie z kluczową wiedzą na temat testamentu Jeremiego Żmijewskiego, który to dokument rzekomo Tyszka raz widział na własne oczy. W myśl zdeponowanego u rejenta testamentu hotel powierzony miał zostać najrozsądniejszemu z dzieci – Eleonorze, która powinna pod kuratelą matki poślubić człowieka o odpowiednich zaletach, kierującego się szlachetnymi intencjami.

Z każdym dniem Karol dowiadywał się coraz więcej o Żmijewskich i ich historii. Wszystko, co usłyszał, skrzętnie notował i sporządzał szczegółowe raporty dla swego mocodawcy. Spędzał miło czas, gawędząc z panem Tyszką, spacerując po mieście i czekając, aż zapadnie noc i do jego pokoju przyjdzie, błędząc po omacku, Hanka. Biedna dziewczyna zawsze była radosna i chętna do nauki sztuki

miłosnej, a gdy było po wszystkim, czym prędzej uciekała do izdebki w suterenie, którą dzieliła z innymi służącymi. Dawał jej zwykle na odchodne po rublu, żeby nie wychodziła zupełnie z niczym, mówił, że to zapłata za informacje i plotki o Żmijewskich, jakie mu z chęcią powtarzała.

Tuż przed zaśnięciem, pijąc szklanekę gorzałki, Karol myślał z zadowoleniem, jak wspaniale się w tej Warszawie urządził, picia i jedzenia ma dostatek, narobić specjalnie się nie musi, a do tego ma jeszcze na zawołanie młodą, dorodną dziewczuchę (trochę brudną i zawsze prawie spoconą, ale siedemnastoletnie ciało, nawet niewymyte, warte jest grzechu), może nie do końca zorientowaną, co i jak należy robić, aby zadowolić mężczyznę, za to pojętą, niekosztującą go prawie nic, i do tego na miejscu. Nie musi chodzić po zamtuzach, bać się, że złapie chorobę francuską albo że przed godziną jakiś rosyjski żołnierz robił dokładnie to samo co on.

Hanka marzyła o uzbieraniu pieniędzy na kurs prowadzony przy ulicy Brackiej w Zakładzie Naukowo-Rzemieślniczym dla kobiet pod kierunkiem Olimpii Suchowieckiej. Najbardziej interesowały ją kursy kroju bielizny, układania kwiatów sztucznych, koronkarstwa, szycia rękawiczek, a nawet jedwabnictwa. Jednak na taką naukę potrzebowała od piętnastu do dwudziestu rubli i wolnego przez trzy miesiące, bo na okres szkolenia musiałaby się przenieść do zakładu. Na taki luksus nie mogła sobie do tej pory pozwolić, skoro całą pensję zarobioną w hotelu oddawała do rąk matki, nieszczęsnej praczki, wdowy, która z własnej pracy utrzymywała czwórkę dzieci. Tylko Hanka wychodziła pracować na mieście, podczas gdy trójka jej rodzeństwa pomagała prac i spędzała długie godziny przy wystawionej na środek izby balii. Często opowiadała Karolowi o tym swoim marzeniu, aż ten – zadowolony po odbytym stosunku – paląc cygaro, patrzył, jak dziewczyna się ubiera, i zapewniał ją:

– Oj, Hanka, zobaczysz, jeszcze zobaczysz, jeśli posiedzę tu jeszcze miesiąc czy dwa, zrobię to, co do mnie należy, i dostanę swoją dolę, dam ci, dziewczyno, te pieniądze... Zobaczysz!

W jeden z czerwcowych dni Karol dał się nakłonić Hance na wspólną wyprawę na Bielany, gdzie w sobotę był odpust. Zszedł na śniadanie już o siódmej rano i musiał czekać kilkanaście minut na świeże bułki. Zajadając się wyborną wiśniową konfiturą, czytał gazetę, gdy nagle w pustej dotąd sali restauracyjnej pojawił się lokaj i na srebrnej tacy przyniósł mu wiadomość. Karol rozerwał kopertę i rozwinął kartkę, na której odręcznie jego mocodawca napisał:

Jestem w Warszawie. Jeśli zobaczysz mnie w hotelu, udawaj, że mnie nie znasz. Najpóźniej pojutrze wyruszysz do Florencji i odnajdziesz Reginę Żmijewską.

Karol westchnął. Czuł zawód. Dobrze mu było w tym hotelu, przyzwyczaił się do pcheł gryzących go w nocy, nawet Warszawa wydawała mu się w tych

letnich dniach pełna uroku. Obiecał nieszczęsnej Luizie, że zabierze ją na koncert muzyki Schuberta i Schumanna w Dolinie Szwajcarskiej w najbliższą sobotę, poza tym wesoła trzpiotka Hania była nad wyraz pojętną uczennicą i wyzbyła się do cna pruderii. Za tak niewielkie pieniądze, jakie jej zostawiał, oddawała mu się nawet po dwa razy w ciągu dnia, zawsze przystępna i wdzięczna za każde miłe słowo. Wszystko wspaniale się układało, a teraz miał to wszystko, ot tak, rzucić w diabły i jechać szmat drogi do Florencji. I po co? Nawet nie wiedział, czy ma powstrzymać Żmijewską przed przyjazdem do Warszawy, czy też przeciwnie, sprawić, aby jak najszybciej wróciła do domu.

Wiedział jednak, że będąc najemnikiem pana Storno, nie ma nic do powiedzenia. Postanowił wybrać się na obiecany Hance odpust i bawić się tam na całego, zanim opuści to miasto na dobre.

Gdy późno w nocy dorożka kosztująca go oszałamiającą kwotą dowiozła go przed wejście do hotelu, w recepcji czekała na niego koperta z lisem od mocodawcy. Karol otworzył ją w swoim pokoju, do którego dotarł z trudem, tak bardzo kręciło mu się w głowie od nadmiaru gorzałki. Zwymiotował trzy razy i dopiero potem otworzył list.

Oczekuję raportu, w jaki sposób panna Eleonora udziela się w Towarzystwie Dobroczynności. Liczę na konkrety!!! Zostaw wiadomość, wsuwając kopertę pod drzwi pokoju hotelowego numer 15.

W niedzielny wieczór 22 czerwca rozpętała się ulewa połączona z burzą elektryczną, którą nazajutrz w prasie opisywano jako przerażający armagedon. Na niebie rozgrywał się dramatyczny spektakl, który niejednego przyprawiał o dreszcz przerażenia. Od silnego wichru pękały w oknach szyby, ulice zamieniły się w rwące potoki. Przez cały wieczór padało, Hanka nie miała jak wrócić do domu, chociaż nazajutrz miała wychodne.

Następnego dnia pisano w prasie, że pioruny uszkodziły wiele budynków, w tym jeden stojący naprzeciwko Hotelu Europejskiego. Wichura połamała wiele drzew, wybite zostały szyby w licznych budynkach, zerwane dachy, powalone szopy i drewniane budowle o lichej konstrukcji. Rano ruszono do usuwania skutków nawałnicy. Hanka obawiała się, że odpust się nie odbędzie, a jednak stawiała się przed hotelem ubrana w odświętną suknię uszytą z lichego materiału w deseń w burą kratę. Na głowę założyła słomkowy kapelusik przyozdobiony świeżymi kwiatami. Widząc ją tak przejętą i wystrojoną, Karol pomyślał, że nie powie jej nic o wyjeździe, tak jak nie zamierzał informować starej panny Luizy, która rumieniła się na jego widok i planowała kolejne wyjścia na koncerty i do teatrów. Łatwiej i przyjemniej będzie zabawić się na całego z małą Hanką, nasycić się jej młodym ciałem, sprzedać jej marzenia o tym, że sfinansuje jej kurs hafciarstwa, i jeszcze dać kilka rubli na nowe ubrania.

Podróż jednokonną bryczką na odległe Bielany trwała przeszło godzinę, ale kiedy już dotarli na miejsce, Karola zdumiały tłumy przybyłe na skraj lasu, gdzie urządzono liczne atrakcje, strzelnicę, garkuchnie z flakami i golonką, karuzełę i podest do tańców. Wesole towarzystwo na co dzień umęczonych wielogodzinną służbą mieszkańców Warszawy – robotą w szwalniach i fabrykach, stanieniem za ladą, dźwiganiem ciężarów, zmywaniem podłóg czy noszeniem węgla i wody ze studni, teraz folgowało sobie, jedząc przywiezione w koszach albo kupione na miejscu przysmaki i pijąc piwo i gorzałkę, która lała się strumieniami.

Tańczono oberka, polkę, potem walce, kontredansy, bawiono się pysznie, a gdy dzień chylił się ku zachodowi, powszechną wesołość zastąpiły kłótnie i mocne żarty, które prowokowały do bójek na pięści, które co chwila wybuchały w różnych miejscach lasu. Upojony przywiezionym przez Hankę samogonem, obżarty kaszanką, Karol od dawna nie czuł się tak zadowolonym z życia jak teraz. Wyłożony na kocu obok ponętnej dziewczyny, bez zahamowania ścisnął jej piersi, opowiadając o ich wspólnej przyszłości, o tym, jak da jej pieniądze na kurs hafciarski, a potem weźmie ją ze sobą na południe, może nawet do samego Rzymu, gdzie misternie wykonane koronki są bardzo cenione i gdzie będzie mogła zarobić na tych koronkach tyle, że wysyłać będzie pieniądze matce, a jej samej też starczy na to, by uzbierać środki, i po kilku latach wrócić do Warszawy i prowadzić własny sklepik!

Kiedy odwoził Hankę do jej domu na Wolę, pomyślał z żalem o ciemnej, ciasnej izbie, którą dzieliła z matką praczką i rodzeństwem, o jej przyszłości, która była z góry możliwa do przewidzenia. Dziewczyna przysypiała z głową opartą o jego ramię, z kącika ust ściekała jej strużka śliny. Karol wyjął dwudziestorublowy banknot i wsunął Hance za stanik, po czym potrząsnął nią gwałtownie i pożegnał się oschle, niemal wypychając ją z wozu na ulicę.

W hotelu sporządził raport dla pana Storno, zostawił go na recepcji w zalakowanej kopercie i opuścił hotel Varsovie, regulując rachunek za gotówkę, jaką przekazał mu poprzedniego wieczora mocodawca. Dorożka zawiozła go na Dworzec Kolei Warszawsko-Wiedeńskiej przy Alejach Jerozolimskich. W jednym z podle wyglądających szynków wypił jeszcze dzban piwa, myśląc o tym, że żał mu opuszczać to miasto, w którym tak wspaniale spędził czas. Gdy wychylił ostatni łyk marcowego, właściciel lokalu ze swoim pomagierem kończył dopiero sprzątać po nocnej popijawie.

Na poplamionych krwią deskach podłogi musiały się dziać niesamowite sceny, skoro zdołano zapełnić cały kosz resztkami walających się na ziemi strzępów odzieży, kępek włosów oraz wybitych w trakcie bijatyki zębów. „Och, jak żał wyjeżdżać” – westchnął Karol w duchu i zostawiając trzydzieści kopiejek na ławie, opuścił drewnianą budę, nad drzwiami której wisiał dumny szyld z napisem (po polsku i rosyjsku) „Szynk pod Zdechłym Psem”.

7.

– Czemu w tak, hmm, dojrzałym wieku zdecydował się pan podjąć naukę gry na fortepianie? – zapytała Eleonora swojego ucznia, który w piękny dzień w pełni lata zdecydował się poświęcić swój czas na ćwiczenie gam.

– Jak mawiał Beethoven, muzyka powinna zapalać płomień w sercu mężczyzny i napełniać łzami oczy kobiet – odparł Teodor Szpakowski, podnosząc wzrok nad klawiatury i patrząc Eleonorze głęboko w oczy.

Spłoszona odwróciła się w stronę okna. Twarz tego nieco wyniosłego, zimnego mężczyzny o stalowych oczach zaczęła ostatnio dosyć niespodziewanie pojawiać się w jej snach.

Nigdy się nie narzucał, nie kierował w jej stronę onieśmielających komplementów ani pustych, pięknych słówek, z których słynęli panowie, z jakimi Eleonora miewała styczność. Robiła na niej wrażenie jego powściągliwość, doskonałe manery, a przede wszystkim fakt, że tak wiele wiedział o Europie, mieszkał w tylu miejscach kontynentu, iż wydawało jej się, że obcowanie z takim światowcem jest niczym namiastka kontaktu z tym wszystkim, czego do tej pory nie miała okazji zaznać, a co fascynowało ją z racji ciekawości, jaką żywiła wobec innych kultur, nacji i krain. Był najbardziej elokwentnym i błyskotliwym z mężczyzn, z jakimi do tej pory miała okazję konwersować. Z początku onieśmielał ją ten nimb obieżyświata i znawcy obyczajów, który mimowolnie wokół siebie roztaczał.

Szybko jednak Teodor okazał się szczodrym, bardzo pomocnym towarzyszem wszelkich publicznych działań, w jakich uczestniczyła Eleonora. Musiała przyznać przed samą sobą, że towarzystwo tego dżentelmena bardzo jej schlebiało. Nie uwierzyła jednak, gdy któraś z pań z Towarzystwa Dobroczynności szepnęła jej do ucha, iż wszyscy widzą, że pan Teodor jest pod wielkim urokiem panny Eleonory. Absolutnie nie mogła to być prawda i myślą tą nie zaprzętała sobie nawet głowy.

Przez cały lipiec, gdy opustoszała Warszawa zdawała się zastygać w upale i kurzu, pan Szpakowski pobierał u Eleonory lekcje gry na fortepianie, a także – jak uzasadnił – kierując się chęcią niesienia pomocy ubogim, towarzyszył jej w wizytach, jakie składała u podopiecznych Towarzystwa Dobroczynności czy w kwestach, które latem odbywały się w ograniczonym zakresie, zawsze po mszy świętej w kościele. Zwykle w tego typu przedsięwzięciach towarzyszką Eleonory była ciotka, lecz tego lata Luiza zapadła na dziwną melancholię i podjęła dosyć nieoczekiwanie decyzję o wyjeździe na cały lipiec na letnisko do wiejskiej chaty na terenie Mokotowa i nie dbając o konwenanse ani ryzyko, że Eleonora stanie się przedmiotem plotek, zostawiła siostrzenicę samą w Warszawie.

Teodor był zawsze opanowany, pewny siebie, nonszalancki i nieco

zdystansowany. Coraz częściej Eleonora łapała się na tym, że w jej głowie jakiś głos mówi, jaki on przystojny! Kręcone, jasne włosy, smukłe dłonie i nieco zagadkowy uśmiech, wszystko to podobało się jej coraz bardziej. Cierpliwie i wytrwale wykonywał zalecone przez nią ćwiczenia muzyczne, uparcie doskonalił swoje bardzo skromne zdolności, imponując jej zawziętością i tym, że nie zrażało go żadne niepowodzenie. Parł do przodu i początkowo niemożliwe do zagrania preludia Chopina ostatnio zaczynały brzmieć odpowiednio.

Jako towarzysz Eleonory na charytatywnych rautach, koncertach czy loteryjkach wykazywał się dużym taktem, wspierał swoim ramieniem damy z Towarzystwa Dobroczynności, konwersował z nimi i z chęcią opowiadał o różnych krajach Europy, w których do tej pory mieszkał, a był to nie tylko dobrze znany Paryż, ale też daleka Hiszpania, Sycylia, Cypr, Turcja, Dania, kraje skandynawskie i Irlandia. Mając tak bogate doświadczenia i dosyć tajemnicze pochodzenie, o którym wiele nie chciał mówić, szybko stał się dla pań zaangażowanych w przeróżne przedsięwzięcia miłą odskocznią od tego wszystkiego, z czym stykały się, niosąc pomoc. Do tego Teodor nieraz ofiarowywał całkiem pokaźne pieniądze, wspierając zakup fantów na loterię czy sponsorując miejsce pobytu lub zakup sprzętów dla jakiejś nieszczęsnej rodziny, która straciła dom na skutek pożaru czy zawalenia się kamienicy.

– Szanowny panie Teodorze, zna pan tak wiele miast europejskich. Jak zatem skomentujesz porównanie Warszawy do Paryża Północy? – zwróciła się do Teodora sama hrabina Tuszyńska, wielka dama warszawskiej socjety, gdy zebrane panie usiadły na ogrodowych ławkach, by z daleka obserwować przebieg charytatywnej loteryjki w trakcie jednego z miłych, lipcowych popołudni.

– Jaśnie pani – odparł Teodor bez żadnego wahania – widziałem wszystkie stolice naszego kontynentu, dziesiątki miast, zarówno większych, jak i mniejszych od Warszawy, i stwierdzam z całą stanowczością, że nie znajduję żadnego absolutnie podobieństwa ze wspomnianym Paryżem. Rozumiem, że ten górnolotny tytuł miastu nadali żołnierze armii napoleońskiej, którzy chcieli uczynić to miejsce chociażby takim sposobem namiastką stolicy ich ukochanej ojczyzny. W czym jednak miałyby przejawiać się to podobieństwo?

Towarzystwo zamarło. Wachlarze na moment przestały się poruszać w dłoniach dam. Wszyscy wiedzieli, że hrabina jest lokalną patriotką, wielką miłośniczką Warszawy, która pokaźną część swojej fortuny przeznaczyła na renowację walących się barokowych kościołów czy prace konserwatorskie budynków, których carskie władze nie chciały remontować.

Teodor kontynuował, nie zwracając uwagi na porozumiewawcze spojrzenia, jakie damy wymieniały ze sobą nawzajem.

– Owszem, Krakowskie Przedmieście z barokowymi pałacami i uroczymi kościołami zrobiło na mnie duże wrażenie, jednak poza reprezentacyjnym

Krakowskim Przedmieściem głównie widzę tu potworny obraz biedy. I błota oczywiście! Gdyby jakieś miasto miało mierzyć się w plebiscycie ilości błota na ulicach, Warszawa zapewne zgarnęłaby wygraną! Drewniane rudery albo zaniedbane, pokraczne kamienice, gdzie w jednej izbie gnieździ się po kilkanaście osób, sąsiadują z okazałymi rezydencjami. Wszędzie tu brudno, smutno, tyle kalek, nędzarzy, wojska, ach, Paryż to to na pewno nie jest!

Gdy Teodor zamilkł, większość pań, w tym także Eleonora, spuściła wzrok, poprawiała sobie kwiaty zdobiące dekolty ich letnich sukien, byle nie patrzeć na reakcję hrabiny na ten odważny i zgodny z rzeczywistością osąd.

– Cóż, ma pan rację! – westchnęła nieoczekiwanie hrabina. – Podziwiam pana odwagę, nikt dotąd nie odważył się kontestować moich sądów! Silny, męski charakter, takich wolontariuszy w naszym towarzystwie właśnie nam trzeba! A teraz będzie pan tak miły i przyniesie mi szklankę wody – hrabina Tuszyńska mówiła spokojnym tonem, siląc się nawet na uśmiech. Jedyne czerwone plamy na dekolcie świadczyły o tym, że bardzo się zdenerwowała.

Eleonora pomyślała przerażona, że teraz Teodor nie będzie już tak mile widzianym przez panie wsparciem ich działań w ramach Towarzystwa Dobroczynności, z drugiej strony bardzo jej zaimponował śmiałym stanowiskiem.

– Mam nadzieję, że nie sprawiłem pani przykrości swoją opinią o Warszawie? Zawsze mówię to, co myślę, nie znoszę pustych pochlebstw i nadszakiwania arystokracji – powiedział Teodor, gdy wracali do hotelu. Zapadał zmierzch, a nad masywnym gmachem Teatru Wielkiego rozpościerała się krwista luna o niezwyklej intensywności. Eleonora zaprzeczyła ruchem głowy i powiedziała:

– Ponad wszystko cenię w ludziach prawdomówność, nie mogę więc gniewać się na pana.

Dorożkarz machnął batem i popędził konie. Ruszyli w milczeniu. Eleonora pomyślała o ojcu, którego całe życie było jednym wielkim kłamstwem. Ciekawe, czy wiedział, że protoplasta ich rodu nie był tym, kogo opiewali przodkowie Żmijewscy?

8.

W sierpniu pojawiła się w hotelu ciotka Luiza, blada i wychudzona, pomimo słońca i wiejskiego jedzenia, jakiego w Mokotowie miała w nadmiarze. Wyznała siostrzenicy, że przyczyną jej stanu jest nieodwzajemnione uczucie, którym zaczęła darzyć pewnego pana, ten zaś bez słowa zniknął, nie zostawiając jej nawet adresu ani słowa pożegnania. Mogła się tylko domyślać, że wyjechał do innego kraju. Czekwała na jego powrót, modliła się o to, aby jeszcze raz go zobaczyć.

Eleonora od razu pomyślała o mężczyźnie o wylupiastych oczach i dziwnym nazwisku – panu Carlo Amalfim. Nie powiedziała tego ciotce, lecz uznała fakt jego

zniknięcia z Warszawy za wielce korzystny – wydawał jej się bowiem bardzo podejrzany, zwłaszcza gdy swoim głębokim i autorytarnym tonem głosu zadawał jej dziwne pytania, ilekroć mieli okazję minąć się w hotelowym hallu albo sali restauracyjnej.

W przypadku ciotki najwyraźniej wspomnienie tego człowieka nie płowiało, lecz wręcz zyskiwało na wartości wraz z upływem czasu. Czekwała na niego, nie wstydząc się wyznać swoich uczuć, o których napisała w liście wysłanym na adres pana Amalfiego podanym na oświadczeniu meldunkowym, jaki z trudem zdobyła, zaglądając do ksiąg hotelowych. Jednak dni mijały, a żadna odpowiedź nie nadchodziła.

Letni miesiąc, pozbawiony publicznych wystąpień, rautów i imprez charytatywnych, Eleonora poświęciła na wizyty w domach rodzin szczególnie poszkodowanych przez los, którym pomagano w ramach towarzystwa. Dwa razy w tygodniu panna Żmijewska nadal samodzielnie pomagała przy rozdawaniu darmowych obiadów dla żebraków, na które potrafiło nieraz przyjść po czterysta osób.

Wciąż rezydujący w hotelu pan Teodor wydawał się nie mieć konkretnych planów rozwinięcia działalności zarobkowej w Warszawie. Czasami coś wspominał o spółce handlowej, niekiedy o handlu dziełami sztuki, którym doraźnie się zajmuje. Mówił też i o tym, że jesienią będzie wiedział, czy jego najskrytsze plany udało mu się zrealizować, czy też opuści miasto nad Wisłą z poczuciem straconego czasu. Eleonora nie rozumiała tych enigmatycznych wyjaśnień i nawet nie próbowała zrozumieć. Towarzystwo tego nadzwyczaj taktownego, elokwentnego dżentelmena o doskonałych manierach było jej bardzo miłe. Podobały się jej jego opanowanie, błyskotliwe – aczkolwiek zawsze bardzo subtelne – komentarze dotyczące mieszkańców Warszawy czy też aktualnych wydarzeń.

Najbardziej jednak intrygowała ją emocjonalna powściągliwość Teodora, jakby swoim zachowaniem dawał do zrozumienia, że hamuje i skrywa silne odczucia, które Eleonora coraz bardziej chciała poznać. Ponieważ rzadko kiedy cokolwiek go zachwycało na tyle, aby powiedział o tym wprost, panna Żmijewska zaczęła łaknąć jego pochwał. Łapała się na tym, że wypowiadając się w wyszukany sposób czy wyjątkowo przykładając się do odegrania sonaty Bacha, wyczekiwała komplementów czy choćby drobnej aprobaty ze strony Teodora. Niekiedy próbowała go sprowokować i kończąc grę, zalotnie pytała: „No i jak?”. W takich chwilach on uśmiechał się łagodnie i mawiał, że słuchanie jej gry sprawiło mu przyjemność i mógłby to robić godzinami. Gdy słysząc te słowa, Eleonora rumieniała się, Teodor natychmiast dodawał: „Styl pani gry nie pasuje do Bacha, niech go pani więcej nie gra” albo zadawał gorszy cios, pytając: „Czy pani coś komponuje, czy jedynie odtwarza cudze utwory?”. Pod wpływem jego słów

Eleonora nocami zastanawiała się, dlaczego nie spróbować swoich sił w kompozycji? Dlaczego nie? Cóż z tego, że jest kobietą. Skoro *Teodor* pyta o jej kompozycje, znaczy, że uznaje ją za zdolną do tego typu twórczości.

Pewnego sierpniowego dnia wraz z Teodorem odwiedzili zaniedbaną kamienicę czynszową przy ulicy Leszno, dokąd przywieźli kosze wiklinowe z jedzeniem oraz książki dla dzieci rodziny pewnego kaleki, który stracił nogę na warszawskiej ulicy, potrącony przez omnibus. Gdy po godzinnej wizycie w ponurej suterenie, przesyconej smrodem smażonych ziemniaków i lekarstw na niegojące się rany, wyszli wreszcie na zewnątrz, zdawało się im, że nic nie może dać większej przyjemności niż zapach powietrza przesyconego wonią lekkiego deszczu. Okolica nie przypominała wcale miasta, a na pewnych odcinkach raczej wieś – kamienice sąsiadowały z drewnianymi domami otoczonymi ogrodami pełnymi kwiatów. W dali majaczyła nawet sylwetka stojącego na polu drewnianego wiatraka.

W jednej chwili drobny deszcz przerodził się w ulewę i niemal momentalnie niebrukowana na tym odcinku ulica zaczęła przypominać potok rwącego błota. Nie widać było żadnej drożki, jaką można by przywołać. Chwilowo byli więc uwięzieni w bramie kamienicy. Odwrócona od swojego towarzysza Eleonora patrzyła przed siebie na szare, obskurne ściany widocznych po drugiej stronie ulicy domów. Czowała się przygnębiona niedawnym widokiem głodnych i brudnych dzieci w cuchnącej suterenie.

– Czy panna Eleonora nie sądzi, że pani biedna ciotka potrzebuje jakiejś skromnej rozrywki? Taka stała się wątła i mizerna. Wyprawa na wieś w piękne strony, gdzie przyroda nie jest jeszcze tknięta ręką człowieka, byłaby dla niej miłym oderwaniem od rzeczywistości – przerwał ciszę Teodor, patrząc w oczy Eleonory w intensywny sposób, zupełnie jakby chciał przekazać zupełnie co innego, niż znaczyły wypowiedane słowa.

– Czemu nie? – Wzruszyła ramionami i na moment odwróciła się i odważnie spojrzała w oczy Teodora, a wtedy nieoczekiwanie napotkała jego chłodne usta, które musnęły jej wargi.

Odkoczyła w popłochu i podeszła na skraj bramy, czując chłodne igły deszczu na swojej twarzy. Serce zabiło jej tak mocno, że poczuła dziwny lęk. Cofnęła się, a wówczas Teodor ujął jej dłoń i powiedział tonem, w którym nie słysząc było skruchy ani wzruszenia:

– Proszę mi wybaczyć, nigdy więcej tego nie zrobię bez pani zgody.

Nie wytłumaczył swojego zachowania, nie powiedział nic więcej. Stał tylko, wpatrując się w ulicę i nie spoglądając więcej na Eleonorę, która nagle poczuła się winna temu, że zachowała się jak pensjonarka, podczas gdy Teodor chciał ją potraktować jako stanowiącą o sobie samej kobietę. Trwała w milczeniu, czując, że pieką ją policzki, i nie wiedziała, jak się zachować.

Wkrótce z niezręcznej sytuacji wybawiła ich dorożka, która pojawiła się

u wylotu ulicy. Cuchnący gorzałką dorożkarz wykorzystał ich beznadziejne położenie i zażądał aż rubla za podwiezienie na Długą. W trakcie podróży do domu panna Żmijewska ochłonęła i pomyślała z satysfakcją, że Teodor ma zapewne wobec niej pewne zamiary. Gdy żegnał ją pod drzwiami mieszkania, skłonił się szarmancko i powiedział, że dłużej nie jest w stanie ukrywać swoich uczuć i wkrótce zamierza je wyjawiać.

Eleonora czuła, że w trakcie pikniku, w wiejskiej scenerii, dojdzie w końcu do wyznań, które tak bardzo bała się usłyszeć. Poważna, choć jak zwykle zdradzająca pewność siebie mina pana Teodora potwierdzała jej przypuszczenia.

Całą noc poprzedzającą ten wyjazd Eleonora nie mogła spać, modliła się o burzę, która popsułaby plany piknikowe, i próbowała zapanować nad chaotycznym potokiem myśli o swoim przyszłym życiu. Nie rozumiała niepokoju, jaki wzbudzała w niej wizja intymnego sam na sam i dotyku Teodora. Tłumaczyła ją sobie własną niewinnością i brakiem doświadczeń w obcowaniu z mężczyznami. Jednak myśl o rozebraniu się przed tym przystojnym mężczyzną, oddaniu się całkowicie w jego władzę napawała ją paraliżującym lękiem. Przecież był nie tylko elokwentnym, pewnym siebie koneserem sztuki i wyrafinowanych smaków, ale nieraz okazał też wrażliwość w obliczu nędzy biednych ludzi, nieraz widziała w jego oczach łzy wzruszenia, gdy patrzył na niedolę tych, których tak okrutnie potraktował los. Było w nim dobro, powtarzała to sobie przez większą część nocy. Będzie dla niej dobrym mężem, w noc poślubną poprosi go o to, by był delikatny, i zapewne tak właśnie się z nią obejdzie.

Wstała o świcie i włożyła wiele wysiłku w to, aby wyglądać tego dnia wyjątkowo pięknie. Wybrała toaletę w kolorze intensywnego błękitu, który kojarzył się jej z barwą morza, widzianą na obrazie Turnera w londyńskim muzeum. Wsiadała do wynajętego na ten dzień powozu, dwuosobowego landoletu z odsłoniętym dachem, czując się tak, jakby za moment miała wystąpić w konkursie pianistycznym. Pan Teodor przybył ubrany w letnią marynarkę i spodnie z lekkiej tkaniny w kolorze kości słoniowej, a także słomkowy kapelusz. W stroju tym prezentował się wyjątkowo młodo i energicznie. Na powitanie podarował Eleonorze bukietik złożony z nieotwartych jeszcze pąków białych róż, które wywołały na jej twarzy rumieniec, wiedziała bowiem, że kwiaty te w języku miłości oznaczają nadzieję.

Panie ubrane w letnie suknie z delikatnych muślinów, w kapeluszach ozdobionych świeżymi pąkami róż, osłaniając głowy parasolkami, spacerowały po łące zasłanej kwiatami, z której roztaczał się widok na otulone koronami drzew domy o dachach ze strzechy. W pobliżu pozostałości zrujnowanego młyna pasły się krowy.

Na rozłożonych kocach służąca tymczasem rozpakowała kosz piknikowy i przygotowała poczęstunek złożony z kanapek, ciasteczek, świeżej maślanki,

poziomek i malin.

– Już wiem, jak smakowało moje dzieciństwo w Polsce, to były poziomki ze śmietaną! Och, czuję, jakbym odzyskał wspomnienia, które na dobre mi umknęły – powiedział w pewnej chwili Teodor, wyraźnie poruszony.

– W Warszawie przecież pan nigdy jako dziecko nie był. Gdzie to było zatem?

– Odwiedzałem kilkakrotnie rodzinę w jej majątku na Mazowszu.

– Nie wiedziałam, że jest pan tak sentymentalny – z uśmiechem łagodzącym ironię odparła Eleonora.

– Jeśli uczucie jest szczere, nigdy nie ma w tych sentymentach nagannej cikliwości – odrzekł Teodor, z poważnym wyrazem twarzy patrząc jej prosto w oczy tak wnikliwie, że w końcu odwróciła wzrok.

By umilić sobie czas, grano przez kilkadziesiąt minut w corso, potem zaś spacerowano.

W tej idyllicznej scenerii błękitnego nieba, motyli fruujących nad makami i chabrami, wykorzystując okazję, iż Luiza oddaliła się, Teodor wreszcie przemówił. Patrząc Eleonorze prosto w oczy, mówił spokojnie, bez jakiegokolwiek egzaltacji opowiadając o swoich uczuciach względem niej.

Poprosił ją o rękę, snując wizje wspólnego życia tu, w Warszawie, w której zamierzał osiąść na stałe. Długie lata miotał się, jeżdżąc po całej Europie, nigdzie nie mogąc zagrzać miejsca i nigdzie nie czując się jak w domu. Ale tutaj, zapewne za sprawą tak wyjątkowej znajomości, poczuł, że chce się ustatkować, założyć rodzinę i służyć Bogu oraz tym, których doświadczył zły los. Będzie pomagał Eleonorze w działalności charytatywnej, oboje poświęcą część swojego życia działaniom społecznym, wspólnie będą nieść dobro zgnębnym biedakom. Dodał też, że nie ma wielkiego majątku, jedynie skromną rentę po ojcu, jednak wierzy, że tu, w Warszawie, zdoła rozwinąć swoje talenty, założyć spółkę handlową albo zająć się pośrednictwem w sprzedaży dzieł sztuki pozyskiwanych we Włoszech czy w jakimś innym słynącym ze swoich dzieł kraju, ma bowiem kontakty w wielu zakątkach Europy.

Przemowa zrobiła na niej ogromne wrażenie. Poruszyła ją jego naturalność i szczerłość. Speszona i onieśmielona, poprosiła o kilka dni do namysłu. Teodor zmarszczył brwi i powiedział, że zaczeka najpóźniej do niedzieli, która przypadała za trzy dni.

– Nie jestem w stanie dłużej znieść niepewności. Jeśli mnie panna Eleonora odrzuci, natychmiast, jeszcze w niedzielę, wyjadę z tego miasta! – odparł nieco gwałtownie.

Wydawał się jej nieco poirytowany, może nawet urażony brakiem jednoznacznej deklaracji z jej strony.

Wkrótce niebo zachmurzyło się i zaczęło kropić. Towarzystwo czym prędzej

wsiadło do landoletu, którego dach podniesiono. Wracali do Warszawy, nic nie mówiąc i obarczając zmianę aury odpowiedzialnością za pogorszenie nastrojów. Pożegnali się chłodno przed wejściem do hotelu.

Kiedy tego dnia wieczorem przed położeniem się do łóżka Eleonora szcztokowała swoje złote pukle, nagle przypomniała sobie, jak kiedyś Teodor, słuchając, jak grała sonatę Chopina na fortepianie, rozparty w fotelu, sącząc wino, powiedział, że urodził się po to, aby czerpać z życia wyłącznie przyjemności. A nic nie sprawiało mu większej niż słuchanie muzyki na odpowiednim poziomie, picie wybornego burgunda i obcowanie z interesującą kobietą. Wówczas speszona Eleonora poczerwieniała i nie odpowiedziała ani słowem, skupiając wzrok na klawiszach instrumentu. Zapomniała o tamtej dziwnej wypowiedzi, która nigdy później się nie powtórzyła. Teraz dopiero, na wspomnienie tamtego zdarzenia, ogarnął ją niepokój. Czy jego deklaracje dotyczące pomagania ubogim i działalności charytatywnej były rzeczywiście szczere?

Nie mogąc długo zasnąć w tę parną lipcową noc, stała długo w otwartym oknie, za którym pod bezgwiezdnym niebem było gdzieś niewidoczne teraz miasto i tysiące śpiących w swoich izbach ludzi. Po raz pierwszy zadała sobie pytanie, czy to, co czuje, może nazwać miłością. Romantyczne uniesienia były jej obce, wręcz wzbudzały w niej wstręt i niesmak. Nie interesowało jej uczucie, którego treścią były westchnienia w blasku księżyca, namiętności budzące cierpienia. Stąpała twardo po ziemi i chciała prowadzić pożyteczne, godne życie. Czy mogła zatem odrzucić ofertę kogoś, kto – jak jej się zdawało – rozumiał jej życiowe cele, kogoś, komu urodziłaby dzieci, przy kim mogłaby się zestarzeć?

Nazajutrz jednak miało miejsce zdarzenie, które ostatecznie skłoniło Eleonorę do przyjęcia oferty pana Teodora. Zmierzając do Ogrodu Saskiego od strony placu przy Żelaznej Bramie, zupełnie przypadkiem zauważyła spieszącą zapewne na targ wdowę Pawlikową, mieszkankę ulicy Drewnianej na Powiślu, którą kilkakrotnie odwiedzała w jej biednej chałupie. Okryta kraciatą chustą, zgarbiona i wątpa, dźwigała płaski, wiklinowy kosz pełen pomarańczy.

Eleonora zawołała kobietę i przystanęła, aby zamienić z nią słowo. Zapytała o zdrowie dzieci, a gdy usłyszała, że najmłodszy syn znowu cierpi na bóle w kościach, sięgnęła bez słowa do woreczka i wyjęła z niego dwa ruble. Ale Pawlikowa potrząsnęła stanowczo głową i nie chciała za nic przyjąć pieniędzy.

– Ja już dostałam dziesięć rubli od szlachetnego jegomościa, tego eleganckiego pana, który razem z panienką był w mojej izbie w odwiedzinach. Przesłał pieniądze przez posłańca, prosił, żebym nikomu nie mówiła, ale skoro i panienka chce mnie ratować gotówką, nie mam serca... – wyjaśniła, a Eleonora w duchu poczuła ogromną radość.

A więc był szlachetny, dobry! Z tym przekonaniem jeszcze tego popołudnia przekazała mu bilecik z prośbą o spotkanie.

Ze ślubem chciała poczekać na powrót matki z wojaży, ale Teodor nalegał, aby jak najszybciej połączyły ich więzi małżeńskie, tak aby nie marnując czasu, mogli szybko razem zamieszkać i wspólnie zająć się dobroczynnością, a także hotelem, który zdecydowanie wymagał poświęcenia mu uwagi.

Teodor obiecał, że bez zwłoki porozmawia z Konstantym i uzyska jego zgodę na zamążpójście siostry. Skoro nie było możliwości spotkania ani ojca, ani matki dziewczyny, jedynie brak jego błogosławieństwa mógł być problemem. Za namową Eleonory napisał uprzejmy list do Reginy Żmijewskiej do Florencji, *pro forma* prosząc o rękę córki. Nadał też depezę do Rzymu, aby przysłano do Warszawy kufry z jego osobistymi rzeczami i kilka mebli, które kupił w trakcie pobytu.

9.

Konstanty całe przedpołudnie spędził przy sztalugach, ubrany w poplamiony szlafrok, nieogolony. Nie zamierzał opuszczać zagraconego, chwilowo opustoszałego mieszkania, skoro ulice miasta i tak pełne były ludzi i policji, która czekała na przejazd cara i jego syna.

Z zapamiętaniem dopracowywał tło portretu Modrzejewskiej, która zgodziła się na wizerunek Ofelii. Pamiętając prace kolegów z kręgu londyńskich prerafaelitów, starał się odtwarzać ich styl oraz kolorystykę. Widział w tym własną szansę na oryginalność i powodzenie, tym bardziej że polscy malarze zapatrzeni byli w trendy francuskie i „nową sztukę”, o której opowiadali wszyscy ci, którzy wracali do Warszawy z Paryża. Ten nowy styl – „impresja” – oznaczał płynność, świetlistość obiektów, brak wyraźnych konturów, ale maniera malowania krótkimi pociągnięciami pędzla nie znajdowała aprobaty Konstantego. Uważał, że ta moda bardzo szybko przeminie, podczas gdy nawiązująca do mitologii i klasycznych wzorów sztuka prerafaelitów z czasem zdecydowanie przewyższy impresjonizm. Przekonywał o tym samą Helenę Modrzejewską, którą zachwyił swoimi szkicami, przywiezionymi z Londynu kopiami i opowieściami o tym, jak angielscy malarze postrzegają sztukę.

Tok jego myśli przerwało nagle natarczywe walenie w drzwi. Początkowo nie przerywał pracy, z wielkim pietyzmem malując wodną lilię, jednak w końcu musiał odłożyć pędzel, gdy z korytarza dobiegły go nawoływania posłańca.

Kilkunastoletni chłopak w chodakach i przekrzywionej na bok czapce noszonej przez gimnazjalistów, dysząc ciężko po przebiegnięciu kilkunastu ulic, podał mu list.

– Pan Konstanty Żmijewski? Przesyłka dla jaśnie szanownego pana – powiedział chłopiec.

Po zapachu fiołków, jakim nasączony był papier, Konstanty rozpoznał rękę jego baleriny. Dał chłopakowi kilka kopiejek i zamknął za nim drzwi. Jego

zabaweczka, spod której czaru nie był w stanie się wyzwolić, napisała do niego, że z uwagi na próbę musi odwołać ich wieczorne spotkanie. Z początku się nie zaniepokoił, wrócił do misternego malowania kwiatów i mętnej wody, w jakiej zanurzone było ciało Ofelii-Heleny.

Po południu zdecydował się jednak założyć elegancki frak (jedyne, jaki posiadał), świeżo czyszczony cylinder i udać się do teatru. Nie był w stanie odmówić sobie widoku przeraźliwie szczupłych dziewcząt w tych cudnych spódniczkach. Patrząc na ich wykonywany z wielką gracją i doskonałością taniec, myślał o sportretowaniu baletnicy w ruchu. Gdy na scenie pojawiła się jego Antonina, zalała go fala pożądania, która wzburzyła w nim krew i zmusiła do natychmiastowego działania. Zaniepokoił go zwłaszcza fakt, że siedzący w rzędzie tuż przed nim jakiś elegancko ubrany jegomość (na oko nieco starszy, typ zagranicznego, bardzo przystojnego dżentelmena bez wąsów ani brody) nieustannie lornetuje Antoninę, ostentacyjnie skupiając uwagę wyłącznie na niej.

Gdy po zakończeniu przedstawienia cały zespół wyszedł, by pokłonić się publiczności i zebrać brawa (tego wieczoru Antonina była głośniejsz oklaskiwana niż sama primabalerina), wielbiciel z rzędu przed Konstantym tak głośno klaskał i krzyczał „brawo” na jej widok, że zdawało się, iż zaraz wskoczy na scenę i tam padnie jej do nóg.

Zdeterminowany, by walczyć o utrzymanie stanu posiadania, Konstanty pobiegł tuż po owacjach za kulisy. Przekupiona garderobiana z zafrasowaną miną zakazała mu jednak wstępu. Antonina nie przyjęła go w swojej garderobie, chociaż zza drzwi pomieszczenia dobiegał jej piskliwy chichot. Zdenerwowany i wściekły malarz opuścił gmach teatru, ale nie był w stanie wrócić do domu.

Padał ciepły, letni deszcz. Na placu Teatralnym panował ruch powozów, dorożkarze kłócili się o pierwszeństwo na drodze, konie niepokoiły się. Na mokrych kocich łbach i ścianach czarnych pojazdów odbijały się malowniczo światła gazowych latarni oświetlających ulicę przed monumentalnym gmachem teatru. Czy nie takie właśnie sceny z życia wielkiego miasta malowano teraz w Paryżu i nie to właśnie chcieli przenosić na płótno jego koledzy malarze?

Wreszcie Konstanty podjął decyzję, że zajrzy do usytuowanego przy placu Zakładu Restauracyjnego Zięciakiewicza, jednej z najdroższych i najlepszych restauracji warszawskich, gdzie Antonina bardzo lubiła jeść kolację po spektaklu. Lokal ten słynął też z posiadania aż dwunastu wyłożonych ciemną boazerią gabinetów, które zapewniały intymność i były idealnymi miejscami omawiania interesów i dobijania targów o charakterze miłosnym. Przeczucie go nie zawiodło. Za rubla łapówki jeden z kelnerów powiedział Konstantemu, że w gabinecie pod numerem czwartym przebywa wytworna, piękna kobieta w towarzystwie eleganckiego dżentelmena. Zamówili szampana, tuzin ostryg, raki i dziczyznę.

Konstanty już wiedział, że ową damą jest jego balerina. Jej namiętność do

raków była mu dobrze znana. Nieraz z powodu jej kaprysu, gdy miała ochotę zjeść ulubiony przysmak – raki, przeprawiali się łódką czy tratwą na drugą stronę Wisły. Tam, na Saskiej Kępie – ulubionym miejscu warszawian do zażywania odpoczynku na łonie natury – można było wiosną i latem zjeść najwspanialsze, świeżo złowione raki. Najczęściej Antonina życzyła sobie odwiedzić słynną gospodę Pod Dębem, gdzie oprócz win i lemoniady podawano wyborne ogony świeżo złowionych raków w śmietanie.

Jakże lubiła przeprować się żaglówką przez Wisłę i spędzać całe popołudnie w wiejskim otoczeniu, wśród chałup, ogródków z huśtawkami, słuchać przygrywającej w altanie orkiestry dętej! „Saska Kępa, gmina Wawer, domów dwadzieścia osiem, ludności sto sześćdziesiąt cztery” – głosił napis na drewnianej tablicy przy brzegu. „Och, jak ja lubię wieś!” – wykrzykiwała Antonina, gdy tylko Konstanty pomógł jej wysiąść z łodzi. „Szybko, jestem głodna!” – wołała.

Jadła owe raki z tak urzekającym apetytem, że nieraz Konstanty dziwił się, jak baletnica może pozwolić sobie na tak obfity posiłek. Nie rezygnowała nigdy z deseru, na który zawsze życzyła sobie ciastko z kremem i świeżymi owocami. Jak się jednak okazało, po każdej takiej uczcie tancerka cieszyła się przez kilkanaście minut uczuciem sytości w żołądku, potem zaś udawała się w ustronne miejsce i – jak sama mu wyjawiała – samodzielnie doprowadzała się do torsi, wyrzucając z siebie zjedzone przysmaki. Nie miało dla niej znaczenia, że rujnuje swoje zdrowie, nie mówiąc już o pieniądzech, jakie wydawano za jej podlewane szampanem wiejskie przysmaki.

Wiedział więc, że teraz również po zjedzeniu dań Antonina będzie musiała szybko opuścić gabinet restauracyjny i tłumacząc się złym samopoczuciem, zniknąć na kilkanaście minut w odosobnionym miejscu, gdzie zapełni wiadro niestrawioną jeszcze zawartością żołądka.

Ukryty w ciemnym kącie korytarza, czekał ponad godzinę, z daleka obserwując kelnerów noszących tace z daniami i donoszących kolejne butelki szampana. Narastała w nim tak wielka wściekłość, że żałował, iż nie ma przy sobie pistoletu, bo w tym stanie nie wahałby się go użyć. Postanowił, iż będzie dochodził honoru i nie cofnie się przed wyzwaniem swojego przeciwnika do walki, chociaż zakazane pojedynki wychodziły powoli z mody i coraz rzadziej słyszało się o wykorzystaniu tej starej metody wyrównywania rachunków.

Czas dłużył się niemiłosiernie. Nad widocznymi przez okno dachami miasta zapadał zmrok. Wreszcie drzwi gabinetu numer cztery otworzyły się i wyszła przez nie tonąca w falbanach balerina. Szelest jej sukni sprawił, że Konstanty poczuł gwałtowne pragnienie, by dotknąć drobnego ciała ukrytego pod warstwami tiulu w kolorze szaroniebieskich fal morza. Głęboki dekolt sukni uwydatniał biust, co dodatkowo podkreślała czarna tasiemka, zawiązana wysoko na szyi Antoniny. Wyglądała olśniewająco, zarumieniona, wyraźnie podekscytowana. Konstanty

zwalczył chęć podejścia do niej, złapania jej mocno za przeguby rąk, wykrzyczenia jej w twarz swoich dyktowanych zazdrością wyrzutów, a potem uderzenia jej z całej siły w policzek, tak aby te lśniące jak klejnoty ciemne oczy straciły ohydny blask, za który odpowiedzialny był mężczyzna siedzący teraz sam w niewielkim pomieszczeniu.

Gdy jednak postać kobiety znikła w głębi korytarza, Konstanty z impetem otworzył drzwi gabinetu numer cztery i wszedł do środka. Tak jak przypuszczał, w rozświetlonym świecami wnętrzu, przy nakrytym białym obrusem okrągłym stole, na którym pozostałości kolacji przypominały barokową kompozycję martwej natury, siedział jegomość, który tak wnikliwie przypatrywał się Antoninie w teatrze. Spojrzał teraz na intruza z wyrazem triumfu w zimnych, stalowych oczach. Otarł usta rogiem serwety, po czym wstał i powiedział:

– Czekalem na pana. Proszę usiąść. Panna Antonina powiedziała, że nie będzie jej co najmniej kilkanaście minut. Załatwimy to szybko pod jej nieobecność.

Zbity z tropu Konstanty usiadł na jednym z krzeseł w stylu rokoko. Mężczyzna nalał mu kieliszek szampana i podał mu go, mówiąc:

– Pan jesteś Konstanty Żmijewski, malarz obecnie, jakby to wyrazić górnolotnie, związany z warszawskimi portrecistami, jeśli dobrze rozpoznaję? Syn Jeremiego Żmijewskiego, od lat niewidzianego właściciela hotelu Varsovie przy ulicy Długiej?

– W rzeczy samej... – odparł Konstanty, opróżniając kieliszek. – A pańska godność?

– To na ten moment nieistotne... Proszę się do mnie zwracać Storno. Mam do zaproponowania panu pewien układ, i jak mniemam, chcąc zachować względy ponętnej Antoniny, a dodatkowo otrzymać gotówkę w znacznej wysokości, która – z tego, co się orientuję – jest potrzebna w dużej ilości, aby spełniać życzenia owej damy, zgodzi się szanowny pan bez wahania, natychmiast!

W dalszej części rozmowy nieznajomy przeszedł od razu do sedna sprawy, rzeczowo przedstawiając swoją propozycję: panna Antonina jest gotowa zrezygnować z opieki Konstantego i bezzwłocznie oddać się w ręce nowo poznanego pana. Jeśli ma do tego nie dojść, Storno wycofa się i obiecuje nie interesować się więcej baleriną. W zamian Konstanty otrzyma dwuletnią rentę wynoszącą dwieście rubli miesięcznie, ale zobowiązany będzie do udzielenia wszelkiego możliwego wsparcia w realizacji celu, jakim jest poślubienie przez pana Storno siostry malarza, panny Eleonory Żmijewskiej. Jako jedyny będący na miejscu przedstawiciel rodziny Konstanty pobłogosławi związek, co więcej, będzie rekomendował pana Storno jako idealnego kandydata na jej małżonka. Gdy dojdzie do ślubu, który nie powinien odbyć się później niż we wrześniu tego roku, Konstanty opuści na zawsze Warszawę, wyjedzie za granicę, wcześniej notarialnie zrzekając się roszczeń do hotelu. Oczywiście oferta dotyczy wyłącznie sytuacji,

w której ślub będzie miał miejsce, jeśli do niego nie dojdzie za sprawą ewentualnego wahania panny Eleonory, przypadnie szansa na gotówkę, a także na zatrzymanie baleriny.

Konstanty patrzył na rozmówcę, nie kryjąc oszołomienia. Ten zaś siedział na krześle z nogą założoną na nogę, prezentując pewną siebie postawę. Sięgnął do szkatuły z cygarami i zaczął wachać kolejne sztuki, nie częstując malarza. Ten zaś wykrzyknął (na powrót wściekły, bo świadomy już, że stał się obiektem jakiejś niezrozumiałej intrygi), iż to jakaś maskarada, w której nie będzie brał udziału.

– O co tu chodzi? Czy moja siostra interesuje się panem? Poza dzisiejszym dniem na oczy pana nie widziałem! Pan jesteś cudzoziemcem? To nazwisko... Mówisz przecież doskonale po polsku. Nie rozumiem...

Storno zapalił spokojnie cygaro, wypuścił z ust obłok sinego dymu, po czym westchnął i z wyrażającą poirytowanie miną przedstawił jakieś zdawkowe wyjaśnienia, twierdząc stanowczo, że jego celem jest poślubienie panny Eleonory i zapewnienie jej godziwego życia. Jednak oferta kierowana wobec Konstantego obowiązuje tylko teraz, nie może dać mu czasu do namysłu. Jeśli ten nie wyraża zgody na realizację przedstawionych warunków, Storno jeszcze tej nocy skonsumuje swoją znajomość z baleriną.

– Ale co mi po pańskiej wielkodusznej rezygnacji z Antoniny, skoro mam wyjechać! Pańska propozycja jest niewiele warta. Mam ją zabrać ze sobą za granicę? To absurd! Dokąd? Przecież ona występuje na scenie! – nie kryjąc wściekłości, mówił Konstanty.

Nagle zza drzwi gabinetu dobiegł ich szczebiotliwy głos Antoniny, która najwyraźniej wracała z toalety i wydawała jakieś polecenia lokajowi. Konstanty zerwał się z krzesła i czym prędzej ukrył za jedną z ciężkich, bordowych kotar, której obfite fałdy zasłaniały częściowo wąskie okno.

Do gabinetu weszła Antonina, roztaczając woń orientalnych, mocnych perfum, jakie Konstanty kupił jej przed niecałym tygodniem w najlepszej w Warszawie Perfumerii Francuskiej przy Wierzbowej. Ukryty za zakurzoną zasłoną malarz jednym okiem zobaczył, jak Storno wstaje z krzesła, podchodzi do baletnicy i gwałtownie wpija się w jej usta, mocno ściskając jej wąską kibić. Konstanty zadrżał i z całych sił powstrzymał się przed natychmiastowym rozdzieleniem swojej kochanki i tego dziwnego eleganta o niezrozumiałych zamiarach wobec jego siostry. Cofnął się, aby nie patrzeć na ten bolesny spektakl. Nie był w stanie pozwolić, aby inny mężczyzna posiadał jego baletnicę.

Czy to możliwe, aby ten Storno się zakochał w kimś takim jak Eleonora? Nie... Musiało chodzić o ojca, o jego długi, jakieś sprawy z jego przeszłości. Co planował ten człowiek? Co konkretnie zyska, poślubiając Eleonorę Żmijewską? Nie może przecież wiedzieć, co stało się z Jeremim, to niemożliwe...

Zmagania z tymi pytaniami przerwał Konstantemu sam Storno. Oświadczył

Antoninie, że powóz już czeka i że pojedą teraz do Hotelu Europejskiego, gdzie czeka na nich apartament.

– Och, panie Strono – kokieteryjnie zaśmiała się balerina i szelest jej sztywnych falban świadczył o tym, że zebrała się do wyjścia z gabinetu. – Muszę poprosić o przyniesienie lustra, zdaje się, że przekrzywił mi pan kapelusz w trakcie pocałunku – dodała z perlistym śmiechem.

– Kapelusik wygląda cudownie, chodźmy! – powiedział zasadniczo Storno i oboje opuścili pomieszczenie.

Konstanty otarł spoconą twarz dłonią. Wysunął się zza kotary i wyjął z kieszeni surduta chustkę, aby wyczyścić nos, gdy nagle drzwi gabinetu się otworzyły i wkroczył do środka Storno.

– Mam tylko chwilę, powiedziałem Antoninie, że zostawiłem tu mój monokl. Jaka jest pańska decyzja?

Konstanty spojrział na niego, nie kryjąc złości, i po chwili odparł z wściekłością:

– Dobrze, ale znikniesz stąd natychmiast. Antonina ma cię już nigdy więcej nie zobaczyć. Znajdziesz mnie jutro po południu w kawiarni Pod Dzwonnicą na Krakowskim Przedmieściu.

To mówiąc, wyszedł z gabinetu, pozostawiając w nim Storno. Stojąca na korytarzu Antonina na jego widok wydała z siebie okrzyk zdziwienia i przerażenia. Bez słowa trzasnęła ją ręką w twarz, aż krzyknęła przeraźliwie.

– Chodź, odwiozę cię do domu, ty szmato! – syknął Konstanty.

10.

Ślub odbył się u schyłku lata, w dniu piątego września tysiąc osiemset siedemdziesiątego piątego roku w kościele Przemienienia Pańskiego przy Miodowej 13. Uroczystość była skromna i kameralna. Pomimo słanych do Florencji telegramów pani Żmijewska nie przybyła do Warszawy, z niewiadomych przyczyn nie wysłała nawet do córki listu, jedynie depezę z jednym słowem: „Gratuluję”.

Eleonora ubrana była w sprowadzoną naprędce z Paryża suknię, która z uwagi na zbyt ciasny stanik źle na niej leżała, a gorset ściśnięty do granic sprawiał, że wydawało się jej, iż zaraz zemdleje. Oprócz pracowników hotelu, mecenasa Darskiego, kilku przedstawicieli dalszej rodziny, przyjaciółek Eleonory ze szkoły oraz Konstantego Żmijewskiego przybyło zaledwie kilkoro gapiów. Nie przyjechał nikt z rodziny pana młodego (podróż z dalekich krajów, w których obecnie mieszkali, okazała się zbyt uciążliwa i kosztowna), nie przybyła też siostra panny młodej Agnieszka grająca z trupą teatralną przedstawienia gdzieś w okolicach Łodzi. W kościele brakowało nawet ciotki Luizy, która ostatnimi tygodniami mocno zaczęła niedomagać i od początku sierpnia nie wstawała już

z łóżka. Lekarze podejrzewali początki gruźlicy.

Konstanty był już spakowany i jego kufry podróżne czekały w hotelowym holu. Wieczorem udawał się na dworzec kolejowy, skąd pociągiem jechać miał do Gdańska, a stamtąd statkiem do Londynu. Nieodwołalnie opuszczał Warszawę, o czym powiadomił Eleonorę w dzień poprzedzający jej ślub. Przejęta ceremonią nie naciskała, choć wyjaśnienia przyczyn wyjazdu, jakie podał, wydawały się niewiarygodne.

Po uroczystym obiedzie w hotelowej restauracji wszyscy rozeszli się do domów, obawiając się nawałnicy, która nadciągała nad miasto. Eleonora z małżonkiem zajęli najbardziej luksusowy apartament hotelu, do którego służba przyniosła im szampana i dwa tuziny ostryg. Na razie najlepszym rozwiązaniem było mieszkanie w hotelu Varsovie.

Teodor nie ukrywał ulgi, jaką odczuł wraz z końcem uroczystości.

– Ależ to było męczące – mruknął.

Obiad w hotelowej restauracji również go zmęczył. Gdy więc tylko zostali sami z Eleonorą w pokoju, którego wybite czerwonym suknem ściany nastrojowo oświetlały świece srebrnych kandelabrow, rozpiął sztywny kołnierzyk koszuli, zrzucił kamizelkę i surdut, po czym usadowił się w fotelu, wyłożył nogi na stół i nie mówiąc ani słowa, z kieliszkiem w jednej ręce i muszlą ostrygi w drugiej, wodził wzrokiem po obrazach, które ozdabiały ściany apartamentu.

– Kim jest ten człowiek w zabawnym kapeluszu? – zapytał w końcu, wskazując na ciemny portret, który Regina Żmijewska kazała umieścić w tym rzadko oddawanym do dyspozycji pokoju po tym, gdy na jaw wyszła prawda o tym, iż Franciszek Żmijewski był karłem.

– To nestor rodu, który założył ten hotel. Ten portret jest bardzo stary, pochodzi z siedemnastego wieku – wyjaśniła świeżo poślubiona żona.

– Hotel był w posiadaniu rodziny Żmijewskich przez cały ten czas, od założenia go przez twojego przodka po dziś dzień? – zapytał Teodor chłodnym tonem, wpatrując się w żonę z nieodgadnionym wyrazem twarzy.

Eleonorę przeszedł dreszcz. Od rana czuła się nieswojo, a wrażenie obcości pogłębił przebieg uroczystości i przygnębiająca atmosfera w trakcie obiadu. Teodor zachowywał się jakoś inaczej niż w ostatnich tygodniach, gdy starał się o jej rękę. Niemal na nią nie patrzył, a gdy – tak jak przed chwilą – badawczo się jej przypatrywał stalowymi oczami, czuła tylko chłód, jakby zrobiła coś niestosownego albo w jakiś sposób go zawiodła. Może jej suknia nie znalazła jego uznania, a może poirytował go fakt, że tak niewielu członków jej rodziny przybyło na ślub? Bała się prosić go o wyjaśnienia. Na razie czekała na czuły gest z jego strony, na jakieś krzepiące słowa, których treść sprowadzałyby się do potwierdzenia, że czuje się uszczęśliwiony faktem, iż Eleonora została jego żoną.

– Tak mi się wydaje, nie wiem... Ojciec mój zawsze tak właśnie

przedstawiał historię tego przybytku. Wiem, że zmieniał lokalizację i nazwy, mieścił się na innej działce, spłonął w trakcie potopu szwedzkiego, później tutaj. Cały czas chyba nie należał do Żmijewskich, ale dokładnie nie wiem, jak to było, matka nigdy nie chciała mi tego wyjaśnić.

Teodor nie odpowiedział. Wstał z fotela, napełnił kieliszki szampanem i podał jeden z nich żonie, mówiąc:

– Twoje zdrowie, moja droga. Wypij za nasze szczęście i czym prędzej się rozbierz. Musimy przecież przypieczętować nasz uświęcony związek.

Eleonora patrzyła na niego osłupiała, czując się tak, jakby nagle obcowwała z człowiekiem, którego zupełnie nie zna. Oczekiwany gest czułości ani wyznania nie osłodziły jej momentu, którego tak bardzo się bała.

Usiadła na skraju wielkiego łóżka, które ozdabiał haftowany w złote kwiaty, krwisty baldachim. Cały pokój rozświetlały świece, co dodatkowo ją krępowało. „A więc tak to wygląda” – powiedziała do siebie w duchu, chcąc, aby jak najszybciej było po wszystkim.

– Musisz mi pomóc, zwykle moja pokojówka pomaga mi przy sukni – szepnęła, uciekając wzrokiem od wyzywającego spojrzenia Teodora, który wydał się jej nagle równie piękny co okrutny.

Dlaczego nie okazywał jej uwielbienia, dlaczego nie czuła siły tego afektu, który tak doskonale prezentował przez ostatnie tygodnie. Czyżby udawał? Jeśli tak, to był lepszym aktorem niż sama Modrzejewska.

Tymczasem Teodor wychylił zawartość kieliszka i wstał. Wolnym krokiem, nie odrywając wzroku od żony, podszedł do niej. Odwróciła się i przymknęła oczy. Do jej uszu dobiegł odgłos uderzającego o szyby deszczu.

Czuła niecierpliwe ruchy, szarpnięcia, które uwolniły ją po kilku minutach od wierzchniej spódnicy fantazyjnie udrapowanej i podpiętej ozdobnymi kokardkami na sukni właściwej, którą spinał rząd drobnych haftek idących przez całą długość pleców. Jego oczom ukazała się podtrzymująca konstrukcję sukni turniura, dzięki której dolna część ciała uzyskiwała modny kształt ślimaka. Eleonora samodzielnie rozwiązała tasiemki utrzymującej w pasie podstawy z perkalu, na której naszyte były trzy plisowane falbany. Na końcu pozostał do rozsznurowania przeraźliwie ciasny gorset. Mimo że dłonie jej męża niecierpliwie szarpały wiązania, sekundy wydawały się jej wiecznością. Narastał w niej niepokój i świadomość, że zaraz *stanie się to*, zaraz spełni swój święty obowiązek małżeński, o którym matka zawsze wspominała z kwaśną i dwuznaczną miną, dając córkom do zrozumienia, że nie jest to nic przyjemnego, aczkolwiek nieodwołalnego.

Uwolniona z gorsetu odetchnęła pełną piersią, myśląc o tym, że jej mąż musi mieć sporo praktyki w rozprawianiu się z damskimi sukniami. Stała tak przez moment w koszuli i sięgających kolan pantalonach, nie widząc twarzy Teodora.

Gdy jednak odwróciła się w jego stronę, ten gwałtownym ruchem odwrócił ją z powrotem i popchnął na łóżko, na które padła twarzą. Kolana gwałtownie ugięły się pod nią, poczuła, jak załomotało jej serce. Nie zdążyła nawet pomyśleć, co się z nią dzieje, gdy Teodor napał na nią i zadarł do góry jej halkę, ściągnął w dół pantalony i przytrzymując dłonią jej kark, niecierpliwie przywarł przodem swojego ciała do jej pośladków i przycisnął ją do łóżka. Zdążyła tylko wydać jakiś niekontrolowany odgłos, gdy poczuła rozdzierający ból w swoim kroczu. Krzyknęła, a wówczas odczucie nieprzyjemnego parcia nasiliło się. Teodor poruszał się w niej mocno, sprawiając, że jej intymne miejsce między nogami, którego nigdy nie widziała na własne oczy i którego bała się dotykać, zapiekło, jakby polewano je wrzącą wodą.

– Proszę, przestań – jęknęła, ale jej mąż nie spowolnił ruchów, wręcz przeciwnie, dysząc ciężko, zaczął poruszać się z jakąś furią.

Eleonorze zdawało się, że nie wytrzyma i zaraz wyda z siebie przeraźliwy krzyk, gdy nagle parcie ustąpiło, usłyszała jakiś odstręczający jęk wydobywający się z gardła Teodora i poczuła, jak coś ciepłego rozlewa się jej między nogami. Jej głośno oddychający mąż odstąpił od niej i stanął na nogi. Usłyszała, jak wzdychając, siada w fotelu i nalewa sobie kolejny kieliszek szampana.

Obciągnęła poły koszuli, zakrywając pośladki, po czym z wielkim trudem stanęła na trzęsących się nogach. Po policzkach ciekły jej łzy, nie chciała jednak, aby mąż zobaczył tę oznakę słabości. Jej misternie upinana rano fryzura rozsypała się, o czym świadczyły zmięte pączki kwiatów i spinki leżące teraz na złotej narzucie pokrywającej łożo. Nie odwracając się w jego stronę, pomimo okropnego bólu przeszła przez pokój i zniknęła w drugim pomieszczeniu, które wraz z sypialnią stanowiło jeden hotelowy apartament dla nowożeńców.

Teodor sarkastycznym tonem zawołał za nią:

– Moja droga małżonko, może teraz powiesz mi wreszcie, co się tak naprawdę stało z twoim ojcem?

Rozdział V
Łamanie kołem

*Próżne myśli człowiecze, próżne starania,
Omylne i fałszywe świeckie ukochania!
Próżno sobie lat dłuższych i mienia lepszego
Obiecujem, wszystko trwa do czasu małego.
Opadamy jako list zielony w jesieni,
Młodość, zdrowie, uroda – prędko się to zmieni,
A ponieważ odmiana bywa wszystkich rzeczy,
Chcemy się już wżdam sami mieć na lepszej pieczy.
Nie pokładajmy w marnym świecie swej nadzieje,
Którą dma po powietrzu i z nami rozwieje.*

ANONIM, *Tren VI*

Marzec Anno Domini 1624 – maj Anno Domini 1625

1.

Zrobił to znowu, mimo że przysięgał przed Bogiem, że już nigdy więcej nie zabije.

Ale ten szal, ta gorąca krew, to było silniejsze od jego woli. Być może winę ponosiła gorzałka, po której spożyciu Laurenty zdecydowanie tracił panowanie nad sobą, a być może tkwiło w nim bardzo głęboko coś tak okropnego jak niezasklepiona rana, domagająca się ofiary, coś, co sprawiało, że po raz kolejny zadawał cios za ciosem, w jakimś opętaniu wbijał nóż w miękkie ciało ofiary, dźgał raz za razem, aż dreszcze przechodziły przez całego jego ciało. Myślał w popłochu, że tym razem wpadnie i zapewne zostanie skazany na gardło. Rwanie rozżarzonymi szczypcami albo łamanie kołem byłoby najlżejszą z kar. Wolał nie

myśleć, jakie spotkałyby go tortury, gdyby oskarżono jego – mieszczanina, królewskiego grajka – o zamordowanie szlachcica.



Bo przecież to już po raz drugi tym, którego ohydne praktyki Laurenty ukrocił, był szlachcic. Czy teraz, pod szmatami godnymi co najwyżej kupca, krył się ktoś z wyższego stanu? Ciało wszyscy ludzie mają takie samo, podobnie miękko zapada weń ostrze noża, podobnie ofiara bełkocze i krzyczy, podobnie

błaga o łaskę. Nieraz już słyszał propozycję wykupienia się talarami albo i większymi korzyściami. Nieraz słyszał jęk i płacz, gdy w obliczu sprawiedliwości opity jegomość, który właśnie chciał pohańbić młodziutką dziewczkę (niekiedy tak młodą, że przypominała lutniście jego córkę Anusię, zaledwie dziesięcioletnią), kajał się i przeproszał za to, że gorzałka pomieszała mu zmysły i sięgnął po tak niewinne, świeże dziewczę. Ale Laurenty nigdy nie okazał litości.

Kiedy tak zadawał cios za ciosem, w tym amoku zdawało mu się, że zagłębia nóż w parszywym ciele swego okrutnego ojca, zabija starca z poczuciem satysfakcji i euforią, jaką daje poczucie spełnionej zemsty. Wreszcie odgrywa się na tym, który zadawał ból jemu, jego bratu, ale też wielu niewinnym. I czuje wielką ulgę, wiedząc, że ten potwór także zazna cierpienia. Laurenty zaczął już czterdziestą piątą wiosnę życia, a wciąż w snach nawiedzały go wspomnienia niewypowiedzianej trwogi i lęku, jakie czuł zamykany za byle przewinienie czy okazanie lenistwa w ziemiance ze szczurami i robakami. Razy zadane pasem, rzemieniem, sznurem, blizny od przypalania rozżarzoną węglą, rany od uderzeń deską nabitą gwoździem, to wszystko nie raniło tak pamięci jak ta potworna piwnica, w której siedząc, czuł, że zaraz umrze.

Gdy niedoszły gwałcieł przestał walczyć i jego ciało zastygło w bezruchu, przy pomocy dziewczyny, którą muzyk uchronił od deprawacji, Laurenty pociągnął okrytego peleryną mężczyznę w średnim wieku ku rzece. Obciążył kieszenie kaftana i szerokich pludrów²¹ kamieniami, po czym nie bez wysiłku, brodząc w lodowatej wodzie, zatopił zwłoki w Wiśle.

Dziewczyna, ocierając łzy ciekące jej po twarzy, rzuciła się na kolana i łapiąc Laurentego za dłoń, powiedziała, łkając:

– Dzięki ci, panie, zbawcą moim jesteś, na wieki będę ci wdzięczna za to, coś uczynił. Uratowałeś mój honor. Jeśli chcesz, w podzięcie położę ja się z tobą, choćby tutaj, w tych szuwarach.

– Przecież dopiero co ciebie od takich radości wyzwolił! A teraz ze mną kłaść byś się chciała?! – Laurenty patrzył na dziewczynę wstrząśnięty.

Sprawiała wrażenie wstydlivej, niewinnej dziewczki. Gdy w szynku we wsi Praga nazywanym Pod Syreną nosiła kufle z piwem, na każde klepięcie jej otulonych grubymi fałdami spódnicy pośladków reagowała wzburzeniem. Czerwieniła się jak rak i uciekała czym prędzej poskarżyć się chlebobdawcy, który nie robił nic, aby ochronić szynkarę.

– Tamten jegomość, niech Pan czuwa nad jego brudną duszą, nie był tak gładki jak waćpan... – Dziewczyna znacząco obniżyła ton głosu i zalotnie oblizwała językiem grube, pełne wargi.

– Ile masz wiosen?

– Będzie latem piętnaście.

– Idź do domu, uciekaj stąd! – syknął z wściekłością Laurenty.

Wzburzyła go świadomość, że ryzykował własne życie dla takiej bezbożnicy. Nie trzeba było zawracać sobie głowy byle dziewczką, która widocznie niejednego już w swoim młodym życiu zaznała. Odwrócił się na pięcie i odszedł w kierunku kępy wysokich krzaków, jaka porastała fragment brzegu rzeki. Tam musiał przeczekać dwa tuziny zdrowasiek do świtu, aby móc przeprowić się łódką z jakimś flisakiem na stronę warszawską.

Było po piątej nad ranem, srebrzyste gwiazdy na niebie odbijały się w wyjątkowo spokojnej tego dnia wodzie. Ucichły już odgłosy zabawy i śpiewanych przez rozpite towarzystwo pieśni. Ruch w pobliskim szynku, który swą sławą przypominał podobno najgorsze portowe tawerny, dogorywał po intensywnej nocy.

Powoli wstawał ołowiano-różowy świt, odbierając blask mętnym za dnia wodom rzeki. Trzęsąc się z zimna, Laurenty nasunął głębiej kapelusz z miękkiego filcu, którego szerokie rondo osłaniało twarz przez zimnym wiatrem. Owinął się najszczelniej jak mógł krótkim, uszytym z koła płaszczykiem, jaki noszono wedle ostatniej mody na dworze, po czym ruszył w kierunku miejsca, gdzie przy psychówkach²² i prymitywnych tratwach drzemali przewoźnicy. Trącając butem nogę jednego z nich, muzyk zażądał przewiezienia go na drugą stronę rzeki.

Smutek, jaki ciążył mu na duszy od kilku dobrych miesięcy, zdawał się niczym gład uwieszony u szyi. Nie wiodło mu się ostatnimi laty najlepiej – wzrok bardzo mu się pogorszył, przez co czytanie nut sprawiało mu ogromne trudności. Coraz częściej dokuczały mu stawy, tak że ciężko mu było wytrzymać w jednej pozycji długie próby kapeli królewskiej albo ciągnące się godzinami koncerty w kościołach. Nie było w tym niby nic dziwnego, skoro muzyk przekroczył czterdziesty piąty rok życia i sam siebie musiał uznać za starego człowieka.

Grał na lutni z mniejszym zapalem i kapelmistrz doskonale to wiedział. W zespole pojawiali się coraz to młodszy muzycy, których gotowość do walki o pozycję wzbudzała w Laurentym jedynie smutek. Nie miał już ochoty zabiegać o uznanie. Zresztą król Zygmunt III Waza bardzo się ostatnimi czasy postarzał, coraz mniej cieszyła go muzyka. Teraz interesowała go głównie modlitwa i towarzyszące jej nabożne chorały. Skłócony z najstarszym synem Władysławem, rozgoryczony świadomością, że nie zdoła już odzyskać szwedzkiej korony, gorzkniał i coraz bardziej zamykał się w swoim świecie.

Córki udało się Laurentemu umieścić na dworze – Julianna – panna na wydaniu – uczyła się haftu u słynnego mistrza Landorfięgo, który wykonywał samodzielnie wzory na szatach królewskiej rodziny, młodszą zaś Anusię – nie bez starań i łapówek – udało mu się umieścić w szeregach fraucymeru małżonki sekretarza królewskiego. Teraz wreszcie Laurenty mógł wszystkie swe środki i siły lokować w zajeździe, jaki budował wreszcie na działce położonej przy ulicy Długiej. Byle Bóg dał dokończyć dzieła, byle tego roku wybudować drewnianą

konstrukcję budynku głównego i stajni na kilkanaście koni, byle sił mu starczyło...

W marcowy poranek Laurenty Żmij wracał do domu zmęczony, zmarznięty i w ponurym nastroju. Szczelniej zasłonił peleryną przód koletu, na którego ciemnej tkaninie widniała plama krwi. Czy nie nadchodził czas, aby zaczął wreszcie myśleć o swoim zbawieniu? Wiedział, że było już na to za późno. W jego wieku ludzie pisali testamenty, fundowali msze w kościołach i zabezpieczali dzieci przed biedą, wiedząc, że dotarli do granicy, po przekroczeniu której starość jest darem i łaską, na które mało kto może liczyć. Może Bóg zlituje się nad nim, bo przecież sztyletując czy dusząc tych – w sumie ośmiu – mężczyzn, uratował też osiem dziewczęcych duszyczek przed hańbą, może nawet przed utratą życia?

Ulice były ciche i puste jak nigdy, w stronę Gnojnjej Góry toczył się jedynie niemrawo wóz pełen beczek z cuchnącymi nieczystościami. Muzyk przemykał przez ciemne zaułki, spoglądał na widoczne w oddali zamglone kopuły Zamku i majestatyczne, hełmiaste zwieńczenia kościelnych wieży, myśląc o tym, że od jakiegoś czasu nawet niewiasty nie wzbudzają w nim pragnień, jakie kiedyś sprawiały, że chciał mu się żyć. Po ostatnich doświadczeniach muzyk nie spieszył się już do wzięcia pod swój dach kolejnej żony, chociaż co rusz znajome swatki składały mu kolejne propozycje żeniaczki. Stwierdził, że widocznie małżeństwo nie jest mu już pisane, skoro zmuszony został do rezygnacji z ubiegania się o rękę czarnowłosej wdowy Kingi o pięknym głosie i niepospolitej, tak rzadko widocznej u białogłowy inteligencji.

Jego szwagier Baltazar Melcer, niewątpliwie lepszy i zamożniejszy kandydat do żeniaczki, gdy tylko został wdowcem, zechciał mieć dla siebie piękną Kingę. Zupełnie oszalał na jej punkcie, a widząc, że wdowie nie jest obojętny królewski muzyk, powołując się na dawne rodzinne układy, Melcer zażądał, by Laurenty wycofał się z wyścigu o rękę niepospolitej białogłowy. Groził lutniście, że jeśli ten tego nie uczyni, rajca będzie dochodził swoich długów w sądzie radzieckim i będzie domagał się zwrotu pożyczki, jakiej udzielił siostrze i jej mężowi Laurentemu na odbudowę kamienicy Pod Lutnią po wielkim pożarze w tysiąc sześćset siódmym roku.

Koniec końców dobrze się stało, że to nie lutnista ożenił się z Kingą, która – jak się okazało – wcale nie była wdową po bogatym kupcu ze Lwowa, ale zwykłą oszustką, która zwiodła już niejednego zamożnego pana. Na Rusi ścigał ją pewien kasztelan, którego zaślepiła swymi urokami, gonił ją też jej prawowity – nadal żyjący! – mąż, podczaszy służący na dworze magnackim. Piękna i inteligentna niewiasta miała za sobą kilkanaście awantur i kilku mężów, których okradała, uciekając w odległe rejony Rzeczypospolitej. I tak ograbiwszy podczaszego, zawitała do Warszawy, a tutaj także udało jej się omotać śpiewem i elokwencją samego rajcę miejskiego.

Po ślubie z Baltazarem próbowała uciec, zamierzając wywieźć ze sobą

szkatuły pełne biżuterii po zmarłej Tekli Melcerowej, a także liczne precjoza i sakwy pełne talarów. Została jednak schwyta, gdy konno wraz z pomagającym jej wieź dobytek parobkiem gnała Krakowskim Przedmieściem.

Tropiący ją od kilku lat, najęty przez podczaszego łowca przestępców pojmał ją na terenie Ujazdowa i stamtąd doprowadził do więzienia w ratuszu Starej Warszawy. Oskarżona o bigamię i liczne inne przestępstwa piękna Kinga wkrótce zawisała na szubienicy, a rajca Baltazar Melcer po dziś dzień był obiektem kpin wielu warszawian.

Rozmyślając o tym wszystkim, Laurenty dotarł w pobliże kościoła Świętego Marcina i chciał wstąpić do świątyni, by pokłonić się Świętej Cecylii, patronce muzyków, gdy nagle u wrót zauważył znajomą męską twarz. Dopiero po chwili dotarło do niego, że widzi przed sobą własnego brata, z którym nie miał styczności od ponad dwudziestu kilku lat.

– Ty, bracie, tutaj? Wiary nie daję, że cię widzę! – zawołał, rozpościerając ręce ku młodszemu, choć wyższemu i potężniej zbudowanemu od niego mężczyźnie.

– Czekam na ciebie, bracie, przez całą noc. – Joachim Żmij uchylił kapelusza i uśmiechnął się do brata szeroko, w ten swój niepowtarzalny, zawiadacki sposób.

Widok brata przypominał lutniście o tym, jak bardzo się postarzał, jak bardzo brakuje mu ostatnio chęci życia. A przecież Joachim był młodszy od muzyka raptem o siedem lat – to nie aż taka różnica, by Laurenty mógł się czuć jak zmierzający do kresu życia starzec przy kimś pełnym marzeń i werwy. A taki właśnie był młodszy brat Laurentego. Łączyło ich wyraźne podobieństwo: szare oczy, krzaczaste brwi, zmarszczone czoło przy każdym grymasie. Mieli podobne włosy, lekko kręcone, gęste, choć w przypadku lutnisty mocno już posiwiałe, a ponadto oszpecone zakolami. Ale Joachim miał w swoim obliczu coś wiecznie młodzieńczego, jakąś iskrę, która rozświetlała jego oczy. Może to przez ten zawiadacki uśmiech, który był jak obietnica zabawy dla każdego, kto przebywał w jego pobliżu, a może przez niezrozumiałą sympatię, jaką wzbudzał w ludziach.

Joachim raczej prezentował wobec ludzi przyjazne nastawienie, mimo że słusznego wzrostu i tuszy (był dużo wyższy od liczącego nieco więcej niż pięć stóp muzyka, znacznie też solidniej zbudowany), wydawał się opiekuńczym i serdecznym kompanem do wypitki. Dzbana piwa nie odmawiał nikomu, tylko dziękował swoim szerokim, niby nieśmiałym, ale bezsprzecznie czarującym uśmiechem. Po każdym łyku pocierał wąs i brodę dłonią. Pod tym względem nic się nie zmienił. Twarz tylko miał bardziej ogorzałą, niektóre pasma włosów rozjaśnione słońcem – jak wyjaśnił już w pierwszych słowach, pływał ostatnio na statkach do dalekich Antyli. Jedyne siatka zmarszczek wokół oczu zdradzała jego dojrzały wiek.

– Jak się miewasz, bracie drogi? Aleś posiwiiał! Widać, żeś krzepki, choć jakiś frasunek na obliczu się maluje? Czy zdrowy jesteś? A córki twoje?

Uściskał brata dobrodusznie, poklepał po plecach podchodzącego z rezerwą do tych czułości Laurentego, po czym od razu poprosił o drobną pożyczkę. Zafrasowany muzyk wyciągnął z sakiewki florena i wręczył bratu.

– Gdzieżeś, bracie, ostatnio mieszkał, czy nie w Gdańsku? Wyglądasz tak... z cudzoziemska – dopytywał Laurenty, nie mogąc się wprost nadziwić temu, że ma przed sobą od dawna niewidzianego młodszego brata.

Joachim wyjaśnił, iż ostatnimi czasy dużo podróżował, trudniąc się handlem przeróżnymi towarami, w tym też obrazami, które przywoził do Gdańska z dalekich Niderlandów, a w związku z pewnym zleceniem, o którym nie może mówić, popłynął nawet do Antyli. Ostatnio musiał jednak w pośpiechu opuścić piękny Gdańsk i szuka teraz nowego miejsca do życia. W pierwszej kolejności pomyślał o królewskim mieście Warszawie. I oto jest we własnej osobie!

Dopytywał brata, jakie stosunki panują w Warszawie, jak wyglądają możliwości rozpoczęcia działalności kupieckiej. Laurenty jednak niewiele mógł mu przekazać poza tym, że w obrębie Starej Warszawy brat nie ma raczej szans na znalezienie dla siebie miejsca, skoro konfraternie mocno bronią dostępu postronnym osobom, a należeć do nich może jedynie wpisany do ksiąg obywatel miasta. Żeby zaś otrzymać status obywatela, trzeba mieć przynajmniej jakąś nieruchomość w obrębie murów.

– Miałbym więc pójść w twe ślady i wżenić się w rodzinę białogłowy z odziedziczoną kamienicą? – Joachim zaśmiał się, a Laurenty zatrząsł się z gniewu.

– Rób, bracie, jak chcesz, ja tu dla ciebie miejsca nie widzę, wracaj lepiej, skąd przybyłeś.

– Kiedy nie mogę... Musiałem wyjechać, zostawiłem tam wszystko. Klątwa, jaka na nas ciąży, na wieki wygnała mnie z tego pięknego miasta. – Joachim ściszył głos. – Wiedz, bracie, że pomściłem nas obu, dokonana się sprawiedliwość. Nasz ojciec, nasz kat i oprawca, musiał stawić się przed sądem Pana i wierzę, że piekło otworzyło przed nim swe wrota! – wyszeptał Joachim i uczynił znak krzyża.

– Jak to? Znaczy, że ojciec nie żyje?

– Piach gryzie od przeszło pół roku. Opowiem ci o wszystkim, gdy spotkamy się w spokojnym miejscu przy kuflu piwa. Tymczasem tyle ci powiem, że to prawda, co powiadają: zemsta odroczonej nie ma już tego smaku. Gdy patrzyłem, jak zdycha, jego agonia nic już dla mnie nie znaczyła. Pamięć nocy w ciemnej, pełnej robaków i szcurów komórce, wspomnienie razów rzemieniem i uderzeń w twarz i tak nie minęła... Ot, co warta zemsta. Umarł, nie ma go, a ból i tak nie przeminął... – dodał gorzko Joachim.

Umówili się na spotkanie wieczorem w karczmie Pod Żłotym Kapłonem,

w leżącej kilka mil za Starą Warszawą wsi Wielka Wola, gdzie tymczasowo zatrzymał się Joachim. Jak stwierdził, będzie tam prowadził handel z Żydami, którzy – jak mu wyjaśniono – w obrębie Warszawy mogą wyłącznie przebywać w trakcie jarmarków.

Rozmowę Żmijów przerwał nagle powłóczący nogami żebrak, z płaczem błagający o pieniądze na chleb.

Laurenty z odrazą odwrócił się od cuchnącego nędzarza o nieokreślonym wieku, ale Joachim – ku zdziwieniu brata – bez słowa sięgnął do przytroczonej do pasa sakiewki, wyjął z niej florena i rzucił ją żebrakowi, który aż zawył z wdzięczności i rzucił się na kolana, by pokłonić się swojemu dobroczyńcy.

– Mam tyle grzechów na sumieniu, że chociaż kilka z nich sobie jałmużną przed Bogiem zatnę... – Joachim uśmiechnął się szelmowsko do muzyka. – Dawno tu nie byłem, będzie ze dwadzieścia lat – dodał, wzdychając. – Ależ ta Warszawa się zmieniła, rozlewa się poza murami miejskimi, widać, że wielu możnych tu siedzi, jest gdzie pieniądź zarobić. Chociaż nie ma porównania z Gdańskiem, o nie! Tam jakie cudne budowle, fontanna Neptuna, Dwór Artusa, wspaniałe jak te budynki, com je widział w Amsterdamie. A jakie potężne statki do portu przyplływają! Żebyś je widział, bracie, od razu chciałbyś rzucić wszystko i popłynąć hen, w daleki świat, zwiedzać dzikie kraje...

– My za to króla mamy tu pod bokiem, dwór, gości z całego świata, a Wisła wystarczy nam za wielkie morze – odparł Laurenty urażony peanami na temat Gdańska.

Mimo usilnych próśb brata Joachim nie chciał od razu wstąpić do domu muzyka, mówił, że ma sprawy do załatwienia i wielkie przedsięwzięcie do przeprowadzenia dziś wieczorem na tyłach karczmy w Wielkiej Woli.

– Zobaczysz, bracie, coś, czego w Warszawie jeszcze nie widzieliście! Z samego Gdańska to przywiozłem i pokażę dziś jeszcze na tyłach karczmy. Zarobię trochę grosza. I nic nie będzie cię to kosztowało, jesteś przecie moim starszym bratem! Przyjedź koniecznie! – powiedział Joachim, klepiąc brata po ramieniu, po czym poprawił zarzuconą tylko na jedno ramię krótką pelerynkę i czarny kapelusz z wywiniętym z jednej strony rondem, po czym zniknął w ciemnym wnętrzu kościoła.

Laurenty ruszył wąską uliczką ku swojej kamienicy, myśląc o swym ojcu. A więc stary muzyk Żmij nie żył! Wiadomość ta nie zrobiła na Laurentym wielkiego wrażenia. Dziwne, bo zawsze myślał, że świadomość tego, iż ojciec zasilił piekielny orszak, przyniesie mu ulgę. Ale nie. Najwidoczniej od dawna traktował swego okrutnego rodziciela jak kogoś martwego. Mimo wciąż żywych ran dzieciństwa, mimo goryczy, jaką zatrąła mu życie klątwa rzucona na ojca i zrodzone z jego nasienia dzieci. Czy teraz, skoro tamten gnije już w piekle, przestanie go trawić ten niepojęty zew krwi, ta wściekłość, która kazała lutniście

zabijać mężczyzn podobnych do ojca, takich, którzy nie bacząc na krzywdę dziecka, bez skrpułów hańbią młode dziewczęta, niszcząc im życie?

A Joachim? Ten nic się nie zmienił, jak zawsze szuka wszelkich okazji do zarobku, żyje to tu, to tam, zajęty mnóstwem przedziwnych czynności i interesów. Ciekawe, co teraz wymyślił... Chodziło pewnie o trupę komediantów, bo cóż by innego?

Siedząc już w ciepłej kuchni przy piecu, karmiony niemal jak dziecko przez Marylę, służącą w zielonym domu Pod Lutnią ledwie od kilku miesięcy młodziutką gospodynią, jadł wspaniale przyrządzoną kaszę ze słoniną i dodatkiem ulubionej przyprawy – kwiatu muszkatołowego, popijał piwo i ciągle widział przed oczami ogorzałą, pogodną twarz brata, ubranego jakoś inaczej – na modłę ludzi morza, odmiennie niż mieszczanie czy dworzanie warszawscy.

Po co tak naprawdę tu przyjechał, skoro tak bardzo zachwycił go Gdańsk? Może Joachim czegoś od niego chciał?

– Wielmożny pan taki dziś zafrasowany... A zaraz dziewczęta z kościoła wrócą, przyjdą jeść z ojcem wieszczę i będą pewnie chciały grać na instrumentach... – odezwała się dziewczka, nachylając nad stołem w taki sposób, że jej bujne piersi niemal ocierały się o twarz Laurentego.

Do tej pory nie tknął ich jeszcze, chociaż młode ciało powabnej córki rybaka powinno w nim wzbudzać ogień. Martwiło go to, że widok Maryli nie pobudzał jego lędźwi tak, jak to działo się, ilekroć nowa białogłowa pojawiała się w jego domu. Widocznie naprawdę się starzał...

– Jasnie pan może wie, kim jest jasnowłosa białogłowa o wielkich oczach, niemłoda, a wciąż uczesana jak panna? – zapytała Maryla, dolewając do pustego dzbana piwa.

– Dlaczego pytasz? – Laurenty poczuł, jak zabiło mu mocno serce.

– A bo wczoraj po południu, jakżem szła ze świeżymi rybami z targu, widziałam panienki przed domem wielmożnego pana, jak rozmawiały z tą niewiastą. Kiedy podeszłam, tamta od razu się oddaliła, a córki pana nic nie chciały rzec, ino tylko między sobą szeptały...

„To musiała być Kalina. Ona żyje? Wróciła do Warszawy?” – pomyślał muzyk. Wieść o tym bardziej nim wstrząsnęła niż widok brata.

– Co za dzień pełen niespodzianek! – powiedział do Maryli, która patrzyła na niego, nic nie rozumiejąc.

– Chodźże no tu, Marylo – westchnął lutnista i wyciągnął ręce do dziewczyny, a gdy ochoczo się zbliżyła, posadził sobie ją tyłem na kolanach.

Maryla pisnęła ze śmiechem.

Laurenty jednak nadal nie czuł przypływu męskich chuci. „To już koniec, czas umierać” – pomyślał.

Szczyście ostatnimi laty prawdziwie uśmiechało się do Kaliny. Los nieoczekiwanie wynagrodził jej wielki ból i całe miesiące cierpienia, jakich zaznała przed ośmioma laty, ledwie kilka tygodni po tym, jak po raz pierwszy przybyła do Warszawy.

Przeszło pięć lat temu jej życie nabrało smaku i barw, a wszystko to stało się za sprawą jaśnie pani, najwspanialszej, najpiękniejszej istoty, jaką nosiła ta ziemia – siostry króla, samej Anny Wazówny, starosty golubskiej i brodnickiej.

Zrobiłaby dosłownie wszystko dla swojej dobrodziejki, tym bardziej teraz, gdy Anna ostatnimi czasy zaczęła coraz częściej niedomagać. Jaśnie pani od lat cierpiała na dziwne bóle głowy i kręgosłupa, których żaden medyk do tej pory nie umiał powiązać z konkretną chorobą.

Po pięćdziesiątych piątych urodzinach królowny Anny jej dolegliwości bardzo się nasiliły. Podróże stały się coraz bardziej niebezpiecznym i trudnym przedsięwzięciem. Jaśnie pani lubiła być w ruchu, z całym swym licznym dworem przemieszczała się ze swego zamku w Brodnicy na zamek w Golubiu, aby na okres zimy i wczesnej wiosny zawitać w okolice Warszawy.

Gdy na początku marca roku Pańskiego tysiąc sześćset dwudziestego czwartego orszak królowny dotarł w pobliże królewskiej siedziby w Starej Warszawie, nieszczęsna Anna zaniemogła w karecie, właśnie gdy ta utknęła w trakcie przeprawy przez potok błota i śniegu na Trakcie Czerskim.

Pani starosta odzyskała przytomność dopiero w swoim drewnianym pałacyku położonym przy Krakowskim Przedmieściu zwanym Villa Regia – podarowanym jej przez brata na warszawską siedzibę królowny. Nie chcąc przyznać się do zasłabnięcia przed królem niepokojącym się o zdrowie ukochanej siostry, zakazała informować o swoim przybyciu do Warszawy. Przez kolejne dni jaśnie pani skarżyła się na bóle głowy tak silne, że jej jęki słychać było do późna w nocy.

Kalina zamartwiała się stanem swej dobrodziejki, aż wreszcie zaczęła eksperymentować z różnymi miksturami, mając w pamięci nauki swej babki, która potrafiła stworzyć maści pomagające na wszelkie choroby. Ze wszystkich sił starała się ulżyć w cierpieniu swej pani.

Na dworze zacinął deszcz ze śniegiem, drogi i ścieżki zamieniły się w potoki błota, gdy opatulona ciepłą, podszytą króliczym futerkiem czamarą²³ Kalina ruszyła w drogę z Villa Regia do Starej Warszawy, mając zamiar dotrzeć do apteki Pod Murzynem, w której – jak jej powiedziano – mogła nabyć cenny składnik, potrzebny jej do mikstury. Wierzyła, że sadło niedźwiedzia, powszechnie słynące ze swego dobroczynnego działania, dodane do uwarzonej mikstury, pomoże jaśnie pani.

Oślaniając twarz przed ostrymi igiełkami śniegu, niewiasta niemal nie

zwracała uwagi na budynki ani na ludzi, których mijała. Wciąż była panną (jak sądziła, taki pisany był jej los i nic już nie mogło tego zmienić), nie mogła więc nosić podwinki – białej chusty okalającej szczelnie twarz i włosy, na którą białogłowy kładły kołpaki bądź czepce. Podwika teraz osłoniłaby jej zeszywniałą od zimna twarz, za to sam czepiec co chwila zsuwał się z jej spiętych włosów, których pasma przyklejały się do mokrych policzków i czoła. Z nosa ciekł jej katar, ręce – mimo mufki – zziębły okropnie.

Żałowała teraz, że wzorem innych niewiast z fraucymeru Anny Wazówny nie nawykła nosić w swojej mufie maleńkiego pieska – tak popularnego wśród dam dworu maltańczyka – który oddałby jej choć odrobinę ciepła. Jak podśmiewały się panny z dworu, małe zwierzątko sprawdzało się zwłaszcza nocą, gdy wraz ze swą panią zagrzebywało się w pierzyny. Maltańczyk potrafił dać swej pani wiele przyjemności i dotrzymywał jej towarzystwa w chłodne noce, dostając się pod koszulę właścicielki i tam swoim drobnym języczkiem wylizując ukryte między nogami futerko.

Kalina jednak nie sprawiła sobie dotąd małego pieska – zbyt wiele czasu i czułości poświęcała licznym zwierzacom, jakie mieszkały w ogrodzie i zwierzyńcu Anny Wazówny. Zajmowała się tymi wszystkimi kotami płaczącymi się w pobliżu kuchni, dokarmiała kaczki i ptaki wyśpiewujące wiosną trele w ogrodzie, a zwłaszcza opiekowała się trzymanym przez jaśnie panią małym dziczkiem o imieniu Dasza.

Nocami, gdy tylko udało jej się umknąć przed złymi wspomnieniami, niekiedy myślała o tym płomieniu, jaki ogarniał ją, gdy blisko niej znajdował się jakiś powabny mężczyzna. Zapewne nadchodziła już pora, aby mały piesek choć troszkę umilił jej samotność. O tym właśnie myślała, idąc w stronę murów otaczających Starą Warszawę. Szła krokiem na tyle szybkim, na ile pozwalała jej obszerna spódnica na fortugale. Brnęła prosto przed siebie, zwinnie omijając grzęznące w błocie i śniegu wozy oraz jeźdźców na koniach, których na trakcie pojawiała się tym więcej, im bardziej Kalina zbliżała się do Bramy Krakowskiej.

Dopiero gdy minęła znajdujące się po prawej stronie fasady pięknego, starego kościoła Świętej Anny i stojącego obok dużo mniej miłego dla oka kościoła Świętej Klary²⁴, zatrzymała się na moment, by zaczerpnąć oddechu. Na dosyć obszernym, otoczonym drewnianymi budynkami Rynku Bernardyńskiego²⁵, mimo zacinającego teraz już regularnego śniegu, gęstniał tłum ludzi zmierzających ku Bramie Krakowskiej. Kalina przetarła ręką mokrą twarz i osłaniając się opadającym na większą część twarzy kapturem, żwawo ruszyła wraz z niewielkim tłumem ku otwartej bramie do miasta, gdy nagle poczuła silne uderzenie w klatkę piersiową. Osunęła się na grząski grunt. Nie zdążyła się zorientować, co takiego się stało, gdy jakaś silna dłoń pomogła jej powstać.

Kiedy stanęła na nogach, odchyliła z twarzy kaptur i przestraszona spojrzała

wreszcie wokół siebie. Obok karego konia, na którego wpadła, stał bardzo wysoki, barczysty jegomość w czarnym stroju, z twarzą ukrytą za szerokim rondem zdobionego okazałym, zielonym piórem kapelusza i materią peleryny.

– Nic się nie stało? Cała jesteś, pani? Idziesz, zupełnie nie patrząc przed siebie! – Oszołomiona upadkiem Kalina usłyszała głos mężczyzny. Kiwnęła głową, chcąc zapewnić, że nic się jej nie stało.

Nagle rozległ się uroczysty dźwięk dzwonów z pobliskich świątyń. Odpowiedziały mu zaraz dzwony zamkniętych w obrębie murów miejskich kościołów – fary i Świętego Marcina.

– Pani, nasze spotkanie nie może być przypadkiem, skoro aż odezwały się dzwony! – rzucił z uśmiechem nieznajomy mężczyzna, po czym skłonił się i uchylił kapelusza.

Kalina spojrzała na jego twarz o cerze ciemniejszej niż twarze innych ludzi, jakby ogorzałą od słońca – a był przecież ledwie początek marca! Jego brodę pokrywał kilkunniowy zarost. Pełne usta rozchyłały się w nadzwyczaj szerokim, przyjaznym uśmiechu, oczy zaś – ukryte pod zmarszczonymi brwiami – patrzyły na Kalinę przyjaźnie. Od pierwszej chwili poczuła bezpieczeństwo, ciepło i przychylność bijące od nieznajomego, który sprawiał wrażenie przybysza z dalekich krajów. Ale przemawiał przecież po polsku... Kiwnęła mu głową i zorientowała się, że od dłuższej chwili patrzy wprost na jego twarz, nie spuszczać oczu z odsłoniętych, równych i jasnych zębów. „Ale gładki” – powiedziała do siebie w myślach.

– Wybaczcie mi, panie, spieszę się. Dziękuję za pomoc – wycedziła wreszcie i zaczęła otrząpywać zabrudzoną spódnice.

Dzwony umilkły. Kalina oraz jegomość stali przez jakiś czas naprzeciw siebie i nie wiedzieli, co więcej powiedzieć. Mężczyzna wreszcie nacisnął głębiej kapelusz, zwinnie dosiadł konia i jeszcze raz skłaniając głowę, odjechał. Kalina trwała przez chwilę w miejscu, patrząc na oddalającą się sylwetkę wysokiego, barczystego nieznajomego. Pomyślała o jego ciepłych, silnych ramionach, do których chętnie chciałaby przywrzeć, o tej przyjaznej, tak miłej dla oka twarzy. Westchnęła i ruszyła ku Bramie Krakowskiej. Minęła tłoczących się w przejściu ludzi spieszących zapewne na targ na Rynku i wkroczyła w obręb murów Starej Warszawy.

W przylegających do murów dobudówkach znajdował się cel jej wizyty – apteka Pod Murzynem. Kalina spojrzała na wiszące przed wrotami wymalowane na drewnie godło: postać czarnoskórego chłopca oraz moździerz. Pchnęła drewniane wrota i weszła do mrocznego i ciepłego wnętrza. W nozdrza uderzyły ją zapachy suszonych ziół i cała gama dziwnych woni.

Po tym jak Kalina została pohańbiona, poniżona, wreszcie zmuszona – w obronie własnej – do popełnienia mordu, zdawało jej się, że jej życie jest

skończone, zanim naprawdę na dobre się zaczęło. Chcąc ochronić szwagra Laurentego i jego dzieci przed przykrymi konsekwencjami, jakie wiązały się z wykryciem pokłutych nożem zwłok syna szlachcica, Kalina nie posłuchała próśb muzyka i tuż po dokonaniu zbrodni uciekła z domu Pod Lutnią pod osłoną nocy.

Działając pod wpływem wstrząsu, wybiegła z domu muzyka okryta jedynie podebraną lutniście peleryną, która zasłoniła jej poszarpane, brudne gieżło, a także zdradzające tragiczny przebieg nocy sińce, zadrapania i ślady krwi na skórze. W tę wyjątkowo parną czerwcową noc, w trakcie której zdawało się, że całe miasto pełne mężczyzn przybyłych na walne sejmy i licznych przyjezdnych nie śpi, bawi się i pije na potęgę, roztrzęsiona Kalina zupełnie instynktownie myślała o tym, aby ze sobą skończyć. Z Krzywego Koła dotarła na Grodzką do kościoła Świętego Jana, po czym skierowała się ku Kanonii. Jej gorączkowo biegnące myśli i targające nią odczucia kierowały nią w stronę zejścia na brzeg Wisły. To był jedyny cel, jaki mogła w tej sytuacji obrać. Jak najszybciej, jak najprędzej musiała zniknąć, oddać się Bogu, zrobić wszystko, aby tylko nie dać się złapać i potem być rozrywaną kołem albo spłonąć na stosie jako morderczyni szlacheckiego syna. Szlochając, półprzytomna szła na tyle szybko, na ile pozwalał jej palący ból krocza, gdy nagle poczuła, że na kogoś wpada. Przestraszyła się, czując, jak postać z zasłoniętą kapturem twarzą przytrzymuje gwałtownie jej ramiona. Nogi się pod nią ugięły i zaczęła osuwać się na ziemię.

Podniosła oczy i zobaczyła przed sobą okrągłą twarz ojca Bonifacego, z malującym się na niej wyraźnie niepokojem. Przymknęła oczy i wszystko dookoła zaczęło wirować. Jezuita przytrzymał ją mocno, chroniąc przed upadkiem, i zapytał:

– Waćpanna Kalina? Co ci jest, moje dziecko? Dokąd tak biegniesz?

Wzruszenie odebrało jej mowę. Zniosła się szlochem.

Jezuita był jedyną osobą, która mogła ją uratować, i właśnie on, nikt inny, stanął na jej drodze. Widocznie Bóg nie chciał, aby topiła się w Wiśle, z niezrozumiałych względów chciał, aby żyła... Myślała o tym, płacząc, gdy dobroduszny zakonnik, podtrzymując jej wiotkie ciało, zaprowadził ją do jakiejś szopy przylegającej do przyklasztornych zabudowań. Niewiele zapamiętała z przebiegu tamtej nocy. Nawet nie zapytała, co ojciec Bonifacy robił w pobliżu Kanonii tak późno w nocy. Czyżby wracał z jakiegoś szynku pod ciemną gwiazdą?

Podobno zemdląca, a kiedy się ocknęła, leżała na twardym sienniku w jakimś ciemnym pomieszczeniu o ścianach z surowej cegły, pozbawionym okien, aż pojawiła się miła jej oczom sylwetka mnicha, który podszedł do niej i unosząc ku jej twarzy świecę, długo przypatrywał się kobiecie z zafrasowaną miną.

– Coś ty zrobiła, moje dziecko, co się wydarzyło? – szeptał, czyniąc znaki krzyża.

Kalina ucałowała jego ręce i wyznała mu wszystko, od gwałtu począwszy,

po drastyczną scenę wielokrotnego ugodzenia nożem oprawcy i gwałtowną śmierć szlacheckiego syna. Zataiła tylko udział w całym zdarzeniu Laurentego, nie chcąc za nic w świecie sprawić kłopotu jemu i jego córkom.

Po wysłuchaniu opowieści, co do której jezuita nie miał wątpliwości, że jest prawdziwa (plama krwi na wysokości krocza koszuli Kaliny stanowiła wymowny dowód), zakonnik zafrasował się i kiwając się w przód i w tył, długo rozmyślał, co począć ze zbrodniarką. Nie miał bowiem wątpliwości, że w związku ze śmiercią syna szlachcica rozpoczną się poszukiwania winnych, a skoro goszcząca u Żmija w domu Pod Lutnią kobieta zniknęła, podejrzenie od razu padnie na nią. Jej życie było zagrożone.

– A brat waćpanny nie może tu pomóc? To przecie rajca miejski, ważny człowiek. Czemu do niego nie poszłaś? – zapytał niespokojnie zakonnik.

Kalina jednak była przekonana, że jej przyrodni brat nigdy nie zaryzykuje swojej pozycji w takiej sytuacji i będzie pierwszym, który doprowadzi ją do katowskiej wieży.

Koniec końców ojciec Bonifacy nie miał sumienia wyrzucić dziewczyny na ulicę – oznaczałoby to skazanie jej na pewną śmierć. Postanowił ukryć ją przez jakiś czas w klitce usytuowanej w barakach przeznaczonych dla służby klasztornej. Kalina całymi dniami spała na stercie słomy w rogu pomieszczenia. Ojciec Bonifacy codziennie przynosił jej jedzenie i picie, wodę i napary z ziół pomagające przy gojeniu ran. Z każdym dniem stan fizyczny Kaliny poprawiał się, jednak jej zbrukana dusza sprawiła, że dziewczyna traciła wolę życia.

W mieście bardzo interesowano się tajemniczym zniknięciem młodego syna kasztelana łomżyńskiego. Chłopak po prostu zniknął w czerwcową noc. Niektórzy mówili, że widzieli go pijanego, jak idzie w stronę Wisły, inni twierdzili, że pewnie spodobała się chłopakowi mieszkająca u Żmija szwagierka i uciekł z nią z miasta. Ojciec zaginionego nigdy nie uwierzył w te bzdurne teorie, przeświadczony był o uprowadzeniu syna i oczekiwał posłańca, który zgłosi się po haracz.

Ciała chłopca nikt dotąd nie znalazł, zbrodnia na szlacheckim synu nie mogła więc zostać potwierdzona. W związku z tajemniczym zniknięciem młodego panicza niczego nie można było zarzucić ani Żmijowi, ani jego rodzinie czy służbie – wszystkich ich przepytali gwardziści królewscy, ale brakowało dowodów, aby gospodarz w jakikolwiek sposób brał udział w całym zamieszaniu. Niespodziewana nieobecność Kaliny nie mogła być jednoznacznie wiązana z dziwnym zniknięciem chłopaka – Melcerówna przebywała w domu lutnisty tylko przejazdem, zniknęły jej rzeczy osobiste, kufer podróżny, tak więc Laurenty uważał, że nie mając żadnej oferty ożenku, dziewczyna prawdopodobnie wróciła do matki do Brodnicy.

Z zasłyszanych na mieście przez zakonnika wieści Kalina domyśliła się, że Laurenty musiał skutecznie pozbyć się zarówno trupa, jak i wszystkich jej rzeczy. Ojciec Bonifacy pocieszał ją, że jeśli ciało chłopaka nie zostanie odnalezione, ona

będzie miała szansę wyjść z tego wszystkiego obronną ręką. Codziennie wysłuchiwał na targu, w kościele i w szynkach tego, co opowiadano o dziwnym zniknięciu. Większość ludzi była przekonana, że chłopak wymknął się nocą spod ojcowskiej kurateli, aby zaznać uciechy z dziewczkami lekkich obyczajów, które wozami przywożono do Warszawy na okres trwania sejmów, poszedł pić gorzałkę, wdał się w jakąś bójkę albo nie miał pieniędzy i pewnie skończył w Wiśle, jak wielu innych przed nim. Przyjeżdżający z prowincji młodzi chłopcy często z taką łapczywością korzystali z oferowanych przez miasto sejmowe rozrywek, że przypłacali tę zabawę życiem.

Kiedy obrady sejmowe i intensywne życie towarzyskie całkowicie pochłonęło rzeszę przybyłej do Warszawy szlachty, szybko zapomniano o dziwnym zniknięciu syna posła. Nie on jeden przepadł bez wieści – ciała służby lub członków orszaków co kilka dni znajdowano w wodach rzeki, tuż za murami miejskimi o świcie ukazywały się oczom strażników zwłoki mężczyzn, którzy stracili życie w wyniku bójki, pijackiej awantury lub honorowego pojedynku, które – mimo że zakazane – stanowiły powszechnie stosowany sposób rozstrzygnięcia waśni o honor.

Z biegiem dni Kalina uspokoiła się, jej rany zagoiły się i przygasała pamięć o ohydnych gwałcie oraz o tym, co stało się później. Ojciec Bonifacy znalazł dla niej miejsce w kuchni klasztornej, gdzie posługując się przybranym imieniem Dobrusia – jako dziewczka przybyła do Warszawy za pracą – zaczęła pomagać kucharzowi, który szybko przekonał się, jak wielki trafił mu się skarb. Melcerówna uczyła się wszystkiego zadziwiająco szybko, była chętna do roboty i szczególnie zaintrygowana ziołami i przyprawami, jakimi doprawiano potrawy lubiących dobrze zjeść jezuitów.

Wszystko wydawało się zmierzać ku dobremu, gdy niespodziewanie pewnego letniego poranka Kalina, jak co dzień stawiając się w kuchni, poczuła zapach szykowanych na postne śniadanie śledzi i dopadły ją tak potworne mdłości, że musiała czym prędzej wybiec z kuchni na wewnętrzny dziedziniec, gdzie ledwie zdążyła zwymiotować na uprawiane w rogu podwórka zioła.

Przez kolejne dni choroba – jak sądziła z początku – zdawała się nasilać, a praca w wypełnionej zapachami kuchni stała się niemożliwa do zniesienia. Zaniepokojony jej stanem kucharz nakazał Kalinie pozostać w odosobnieniu w pomieszczeniu przylegającym do stajni. Tam właśnie, leżąc na nakrytej kocem kopie słomy, męcząc się w smrodzie końskiego łajna, Kalina zrozumiała, że Bóg jednak ją ukarał, czyniąc brzemiennej.

Czując wstręt do własnego ciała, w którym zagnieździło się nasienie jej oprawcy, Kalina nie mogła nawet dopuścić do siebie myśli o wydaniu na świat dziecka, którego ojciec wzbudzał w niej złość i gorycz. Jak to możliwe, że pod sercem nosiła owoc tej potwornej hańby? Nie mogłaby nawet patrzeć na dziecko,

którego twarz przypominałaby oblicze jurnego chłopaka. Widzieć nieustannie oczy tego, który zadał jej tak wielki ból i zniszczył życie – to byłaby kara niemożliwa do zniesienia. Jej wściekłość na przemian mieszała się z rozpaczą i poczuciem bezsilności. Najpierw modliła się o to, aby poronić, szybko jednak zrozumiała, że musi jak najszybciej sama doprowadzić do spędzenia płodu. Jeśli tego nie zrobi, jedynym wyjściem z tej sytuacji będzie utopienie się w Wiśle.

Tłumacząc się potrzebą przygotowania leczniczej mikstury na żołądkowe dolegliwości, uprosiła młodą dziewczkę pomagającą w kuchni o przyniesienie jej kilku potrzebnych ziół i składników. Mieszkając w Brodnicy, wiele razy widziała, jak babka pomagała okolicznym białogłowom pozbyć się kłopotu i dziecka, którego nie mogły czy nie chciały urodzić. Znała tajemnicę odpowiedniej mikstury, która wywoływała szybkie skurcze, i bez wahania postanowiła ją zażyć.

Bez trudu zebrała tymianek, zaś po świeże liście żywotnika musiała posłać dziewczkę do apteki Pod Murzynem. Kiedy już miała pod ręką wszystko, czego było jej trzeba do sporządzenia wywaru, któreś nocy, upewniwszy się, że cały dom pogrążony jest we śnie, Kalina dostała się do kuchni i starając się nie zrobić hałasu, zaczęła przygotowywać miksturę, która działała najlepiej – jak twierdziła jej babka – gdy wypijano ją przy pełni księżyca.

– Co tu robisz, waćpanna? – usłyszała niespodziewanie gniewny ton głosu w momencie, w którym wywar był gotowy i musiał tylko trochę przestygnąć.

Na środku kuchni stał ojciec Bonifacy w spodniej koszuli, okryty kocem. Unosząc świecę ku górze, patrzył na Kalinę badawczym wzrokiem. Zanim dziewczyna zdążyła zakryć się chustą, jezuita zobaczył pod gieźlem lekko zaokrąglony brzuch.

– Brzemienna jesteś? Nic nie mówiłaś... Chyba nie chcesz napić się jakimś święństwem, które spędzi płód? – zapytał jezuita przerażonym głosem.

Kalina wzruszyła ramionami, nie przerywając mieszania mikstury drewnianą chochlą.

– Kalino! Nie wiesz, że za spędzenie płodu grozi gardło! Chcesz być łamana kołem albo żywcem w ziemi zakopana za pozbycie się dziecka! Widać Bóg uznał, że masz wydać na świat potomka tego nieszczęsnego szlacheckiego syna, którego... – Jezuita nie dokończył, tylko sięgnął po kociołek, w którym znajdowała się ciepła breja, i w jednej chwili wylał całą zawartość do beczki na odpadki, która stała w rogu kuchennego pomieszczenia.

– Nie! – pisnęła Kalina, ale było za późno. – Przecie za to, com zrobiła, za pozbawienie życia kogoś o szlacheckiej krwi i tak gardło mi grozi! Nikt mi nie uwierzy w to, że działałam we własnej obronie, jak mam zaświadczyć, że syn kasztelana siłą odebrał mi cnotę? – Kalina zanosła się szlochem. – Co teraz pocznę? Topić się w Wiśle przyjdzie...

Ojciec Bonifacy podszedł do płaczącej i przycisnął jej głowę do swojego

ramienia. Pogłaskał ją po włosach i powiedział, że nie pozwoli na to, aby w taki sposób zabiła dane przez Boga życie.

Do rozwiązania Kalina pracowała w kuchni. Poród odbył się szesnastego stycznia roku Pańskiego tysiąc sześćset siedemnastego, był krótki i przebiegł pomyślnie. Czując, jak dziecko wychodzi z jej ciała, Kalina odwróciła głowę, bojąc się spojrzeć na jego twarz. Modliła się, aby była to dziewczynka.

– Macie syna! – usłyszała szept odbierającej poród babki, którą sprowadził jezuita.

Nie chciała nawet spojrzeć na dziecko, które opuściło jej łono. Pewna była, że zobaczy w jego twarzy rysy jego nieszczęsnego ojca, którego obraz prześladował ją nocami.

Kiedy Kalina urodziła też łożysko, gdy było już po wszystkim, akuszerka zabrała ze sobą kwilące niemowlę, aby zgodnie z zaleceniami ojca Bonifacego przekazać je rodzinie biednego rybaka w jednej z nadwiślańskich chat, która miała zająć się wychowaniem chłopca. Kalina nie miała pieniędzy, aby płacić rybakowi, jednak jezuita i tym się zajął.

Kilkanaście dni później ojciec Bonifacy powiedział Kalinie, że chłopczyk otrzymał imię Franciszek. Jezuita go ochrzcił i upewnił się, że dziecko dotarło do rodziny, która miała go wychowywać.

– Jeśli kiedyś będziesz chciała go zobaczyć, poszukaj chaty rybaka Nalewki, tam znajdziesz swojego syna. W każdej chwili możesz go zabrać i będę się modlił, abyś kiedyś po niego wróciła i była dla niego matką – powiedział Bonifacy.

Ona jednak nie wyobrażała sobie tego, że kiedykolwiek będzie w stanie to zrobić. Robiła wszystko, co mogła, by wyrzucić syna z pamięci, choć wizja biegnącego ku niej chłopca miała przez najbliższe lata często powracać w jej snach. Nigdy go nie widziała, więc wkrótce po porodzie zdawało jej się, że męczący ciężar po prostu zniknął z wnętrza jej brzucha, a ona sama może zacząć nowe życie. Zostawiła jezuitcie list z podziękowaniami i nie żegnając się, opuściła Warszawę.

Miała wciąż przy sobie jedyny swój skarb, jedyną rzecz, jaką zabrała, uciekając feralnej nocy z domu Laurentego Żmija – list polecający do ochmistrzyni dworu starosty brodnickiej Anny Wazówny, siostry samego króla, która władała też ziemią golubską i była tam panią na zamku. Stawiając wszystko na jedną kartę, przebyła długą drogę lichym wozem, którym wieziono zakupione w Warszawie towary: bele materiałów, orientalne tkaniny, ozdoby i nakrycia głowy, aby z pustym od dwóch dni żołądkiem dotrzeć pod bramę zamku w Brodnicy.

Pamięć o wspomniałym ojcu Kaliny – ochmistrzu Melcerze – nie całkiem jeszcze wyblakła i dziewczynie udało się dostać na dwór Wazówny jako pomoc obecnej ochmistrzyni na brodnickim zamku.

Nie upłynęło od tego momentu wiele czasu, jak Kalina trafiła przed majestat

jaśnie pani. Dzień ten miała zapamiętać jako jeden z najpiękniejszych w całym swoim życiu.

Przebywając w Warszawie, Kalina wielokrotnie słyszała nieprzychylnie opinie na temat siostry króla, którą nazywano szwedzką heretyczką, w przeciwieństwie bowiem do Zygmunta Anna trwała niezachwianie przy religii kraju, w którym przyszła na świat – była zagorzałą protestantką i żadne naciski polskich dostojników dworskich ani kościelnych nie mogły skruszyć jej wiary. Mawiano, że jest wstrętna z wyglądu, inteligencją przewyższa swojego brata i bezczelnie nim manipuluje, chcąc zrobić wszystko, aby Wazowie odzyskali szwedzki tron. Opowiadano, że Wazówna nie cierpi Polski ani Polaków, swe serce zostawiła w dalekiej Szwecji, do której potwornie tęskni. Szeptano też o jej dziwnych chorobach i rozpuszczano plotki na temat jej czarodziejskich umiejętności. Znała się bowiem na roślinach i ich właściwościach leczniczych lepiej od najlepszych medyków, do tego fascynowała ją nauka i wszystko, co wiązało się z rozumowym poznaniem świata. Nic dziwnego, jak powiadano, że król nie mógł wymóc małżeństwa z Anną na żadnym szlachetnie urodzonym Polaku. Niektórzy mawiali, że siostra króla jest czarownicą, która sama nie chce dzielić łoża z mężczyzną i swoimi czarami dźwierży władzę nad Zygmuntem, tak że ten nie może nawet wydać jej za mąż.

Wszystkie te doniesienia okazały się nie mieć wiele wspólnego z rzeczywistością, o czym Kalina przekonała się, stając pierwszy raz przed swoją panią. A stało się to w rozległym, pełnym niezwykłych roślin i kwiatów ogrodzie otaczającym brodnicki zamek.

Jaśnie pani w otoczeniu swoich panien dworu i ulubionych karłów spacerowała między rabatami rozkwitłych kwiatów sprowadzonego z Nowego Świata ziemniaka. Lubiła samodzielnie doglądać ulubionych roślin i własnymi dłońmi je pielęgnować.

Kalina krzątała się akurat wokół posianych przez siebie ziół, które pozwolono jej posadzić na obrzeżach ogrodu.

– Kim jest ta dziewczyna? – zapytała królowna Anna, widząc Kalinę pochyloną nad krzaczkiem majeranku, który z pieczołowitością rozsadzała.

Kiedy powiedziano jaśnie pani, że jest to córka pracującego tu kiedyś na zamku ochmistrza, piśmienna i inteligentna pomocnica obecnej ochmistrzyni, Anna nakazała przywołać ją do siebie.

Kalina pokłoniła się przed niewysoką, niemłodą już panią o przepięknym obliczu, z którego emanowały spokój i życzliwość. W każdym jej geście i słowie pobrzmiwał szacunek dla drugiego człowieka. Ubrana w cudną suknię z połyskliwego złotogłowa o podsycanej przez słoneczne promienie miodowej barwie, cała lśniła, jakby perły, jakimi obszyta była jej bramka²⁶, wabiły światło, rozpraszając wokół królowny niezwykły blask. Jasne oblicze Anny, jej błękitne

oczy i łagodny uśmiech sprawiły, że Kalina poczuła się tak, jakby dostąpiła zaszczytu obcowania z aniołem. Odpowiedziała na pytania jaśnie pani na tyle lotnie, iż otrzymała zaproszenie do zamkowej komnaty, gdzie wieczory niewielki dwór umiłał sobie słuchaniem muzyki i śpiewem dam dworu.

Z biegiem miesięcy Kalina zyskała wielką przychylność jaśnie pani, która odnalazła w niej bratnią duszę z powodu miłości do roślin i zwierząt. Kalina dostąpiła zaszczytu towarzyszenia Annie, gdy ta wyruszała do ogrodu na poszukiwanie eksponatów do swoich badań naukowych, a nawet pomagała przy pracach nad pierwszym spisaniem po polsku zielnikiem, którego wydanie siostra króla finansowała z własnej kiesy. Jaśnie pani podobały się rysunki roślin, jakie szkicowała Kalina, i ceniła jej głód wiedzy w kwestii poznawania nowych gatunków.

Z czasem pomocnica ochmistrzyni zajęła szczególne miejsce w sercu pani, czemu zresztą z niechęcią przypatrywały się niektóre panie z fraucymeru. Nikt nie trafiał tak bardzo w gust Anny w kwestii przypraw jak Kalina, nikt nie umiał tak doskonale przyrządzić pstrąga z posypką z piernika ani doprawić szafranem jajek w tak wyborny sposób. Jej zasługi znalazły takie uznanie w oczach Anny, że Kalina została mianowana panną apteczkową. Powierzono jej bardzo ważne obowiązki związane z prowadzeniem i uzupełnianiem domowej apteki.

Życie obok tej nad wyraz szlachetnej, dobrej, tolerancyjnej pani było dla Kaliny darem niebios, za który dziękowała każdego dnia. Wiodąc życie w jej dobrach, obcując z niezwykłą przyrodą w jej ogrodach, Kalina przez kolejne pięć lat nie czuła potrzeby, aby jej stopa stanęła na warszawskiej ziemi.

Dzięki temu Melcerównę ominęła panika ludu, który po sromotnej klęsce polskiej armii pod Chocimiem bał się wtargnięcia Turków na terytorium Rzeczypospolitej i marszu innowierców na miasto będące siedzibą króla. Strach padł wówczas na wszystkich, tak wiele mówiono o potwornościach muzułmanów, którzy bez skrupułów zabijali chrześcijan albo brali ich w jasyr, przez co tysiące rodziców na zawsze straciło swoje dzieci.

Kaliny nie było w Warszawie, gdy zapadła decyzja o budowie potężnych wałów zyguntowskich, których pierścien, począwszy od tysiąc sześćset dwudziestego roku, zaczął oplatać przedmiejskie tereny miasta, ustanawiając *de facto* nowe jego granice.

Ominęły ją kilkakrotnie spadające na miasto zarazy, plaga szarańczy i wielka powódź, kiedy to Wisła zalała wieś Praga aż po dachy domów; przekłete lata suszy, kiedy rzeka wyschła i niemożliwy stał się transport zboża jej wodami.

Po przeszło pięciu latach nieobecności Kalina zawitała w okolice Warszawy dopiero w tysiąc sześćset dwudziestym drugim roku, gdy Anna Wazówna postanowiła na życzenie króla przyjąć od niego w darze drewniany pałacyk usytuowany poza obrębem murów miejskich, na szczycie wiślanej skarpy, tuż przy

ruchliwym Trakcie Czerskim, zwanym coraz częściej Krakowskim Przedmieściem.

Król Zygmunt życzył sobie, aby siostra, przebywając w okolicach Starej Warszawy, była na tyle blisko zamku, iżby brat jej mógł bez przeszkód i w krótkim czasie dotrzeć swą kareta pod pałacyk Villa Regia i tam w spokoju, na osobności poradzić się ukochanej siostry w sprawach rodzinnych, jak też tych wagi państwowej. Małżonka króla – zagorzała katoliczka – królowa Konstancja nie znosiła protestanckiej szwagierki i jedynie w tajemnicy przed żoną władca mógł swobodnie utrzymywać kontakt z bliską jego sercu siostrą, którą od dziecka nazywał Janusią.

W podwarszawskim domu ciotki bywali też niekiedy synowie króla, spośród których największą atencją sama królowa i jej fraucymer darzyli królewicza Władysława, jedyne go syna Zygmunta urodzonego przez jego pierwszą żonę, nieboszczkę Annę.

Na widok postawnie zbudowanego, długowłosego mężczyzny o miłej dla oka twarzy, ubranego w różnorodne – czasem polskie, czasem cudzoziemskie, lecz zawsze zachwycające bogactwem stroje – wszystkim mieszkankom Villa Regia szybciej biły serca. On zaś – zawsze głośny i radosny, serdeczny dla każdego, nawet dla służby – biegł do ukochanej ciotki, niosąc jej zawsze podarki, owoce w cukrze i uczone książki, które sprowadzał dla niej z zagranicy, wiedząc, jak wielką przyjemność sprawia jej lektura. Jego sława męznego wojownika, jaką okrył się po wydarzeniach wojennych w Moskwie, dodawała mu jeszcze uroku w niewieścich oczach, chociaż nawet jako młodzieniec robił już wielkie wrażenie na każdej białogłowie. On zaś słynął ze swego awanturczego życia, szastania pieniędzmi, życia ponad stan i nieustannego poszukiwania miłosnych przygód. Jego podboje i liczne przygody były przedmiotem siejących zgorznie anegdot i żartobliwych wierszyków, w których nieustannie podkreślano, jak bardzo wytrzymały był królewicz w miłosnych zapasach, mogąc dzień w dzień leć w łóżu z kilkoma dziewczkami naraz.

Powiadano, że dobiegający już trzydziestego roku życia królewicz nigdy nie zostanie królem – starała się o to jego macocha, królowa Konstancja, która widziałaby najchętniej któregoś ze swoich synów w roli kandydatów do korony w ramach wolnej elekcji. Mawiano, że to za sprawą jej niechęci do pasierba król nieustannie wadzi się z najstarszym swoim synem. Z drugiej strony trudniej byłoby wskazać dwa bardziej różniące się od siebie charaktery niż osobowości Zygmunta i Władysława.

Z tarasu drewnianego pałacyku Villa Regia, na którym jaśnie pani tak lubiła odpoczywać w ciepłe dni, rozpościerał się wspaniały widok na Wisłę, z nieustannie płynącymi po jej wodach statkami i barkami, a także wysepkami, gdzie stały spichlerze, młyny i kilka wiatraków. Na drugim brzegu rzeki dojrzeć można było nieliczne zabudowania wsi Praga i Skaryszew.

Zbocze skarpy aż do nabrzeża porastały zaprojektowane przez samą Annę Wazównę ogrody o niespotykanym bogactwie roślin. Górny ogród urządzony został wedle włoskich wzorów. Alejki wytyczone wzdłuż przyciętych geometrycznie bukszpanów zdobiły posągi imitujące greckie rzeźby, fontanny i altanki.

Dolny ogród dochodzący do brzegu rzeki był bardziej dziki, miał wyгородzony zwierzyniec z sadzawką, w której mieszkwały dzikie kaczki, łabędzie i żurawie. W obrębie tego ogrodu Kalina hodowała swoje zioła: chaber, bylicę, babkę lancetowatą, mniszek pospolity, nagietek lekarski, dziurawiec, rumianek, miłek wiosenny, szalwię i wiele innych. Sama je pielęgnowała, suszyła i przechowywała w specjalnie na te cele oddanym do jej użytku pomieszczeniu zwanym apteczką. Tam przygotowywała maści i mikstury, a klucz do tego kantorka nosiła przy sobie tylko ona sama.

Interesująca się zielarstwem Anna Wazówna z wielką pieczołowitością dbała o każdy listek, każdy kwiat, jaki wyrósł na użytkowanych przez jej dwór włościach. Grupa ogrodników dbała o stan tych cudów natury, jakich w żadnym chyba pałacu w Warszawie nie można było zobaczyć w takim bogactwie i różnorodności.

„Czy mogłabym znaleźć się w miejscu bardziej przypominającym raj niż to?” – powtarzała sobie nieraz Kalina, myśląc o tym, że ilekroć czyha na nią zagrożenie, Bóg zsyła na jej drogę anioła, który chroni ją od upadku. Tak było z ojcem Bonifacym i tak stało się, gdy jaśnie pani przyjęła ją na służbę do swego dworu.

Po przekroczeniu progu apteki Pod Murzynem pierwszą rzeczą, na jaką natrafił wzrok Kaliny, była wysuszona, długa ryba, zamocowana nad wejściem. W wąskim pomieszczeniu, w nikłym blasku kaganka łojowego, wzrok wędrował ku górze, skupiając się na zawieszonych na umocowanej u sklepienia żerdzi, do której przytrzymane były wiązki przeróżnych suszonych ziół. Wysokie regały pełne były przeróżnych słoików i naczyń, w których mieściło się niesłychane bogactwo natury: mirra, sadło niedźwiedzie, miody, sproszkowane ludzkie czaszki, łój kozłowy, lazur, owoce jałowca, przeróżne mikstury i maści. W butlach stały wody z dodatkiem olejków aromatycznych, w wielkich zaś słojach pastylki cukrowe oraz konfekty – powlekane cukrem całe nasiona i owoce.

Do Kaliny podszedł zgarbiony, mały człowieczek – aptekarz, stary Jacenty, który prowadził ów przybytek od kilkunastu lat i cieszył się wielką sławą za sprawą swoich zdolności preparowania doskonałych specyfików. Zapytał o dolegliwości, na które potrzebne jest panaceum, i wysłuchawszy opisu bóli nękających Annę Wazównę, zalecił sok z makówek. Kalina wzięła buteleczkę, poprosiła o sproszkowane kopyta łosia, biorąc też niewielki słoik sadła niedźwiedziego, które – jak zapewniał pan Jacenty – przywieziono zaledwie poprzedniego dnia,

a pochodziło ze zwierza powalonego przed kilkoma dniami w puszczy pod Ujazdowem.

Zadowolona ze sprawunków, zwłaszcza z sadła, którego idąc do apteki, nie spodziewała się nabyć (nadawało się idealnie na maść, jaka mogła ulżyć w bólu pleców jaśnie pani), Kalina opuściła ciepłe, przepojone zapachami łąki pomieszczenie. Wyszła prosto na zatłoczony plac między bramą a zabudowaniami stajennymi i murem odgradzającym od wolnej przestrzeni majestatyczny zamek króla. Zadarła głowę, by spojrzeć na niebywale piękną baniastą kopułę wieńczącą wieżę wielkiej budowli w żółtawym kolorze. Na wieży widniał niedawno zamontowany, pozłacany zegar, którego nie było w czasach, gdy przez kilka tygodni mieszkała w domu Żmijów.

Ciekawiło ją, jak wygląda teraz ta wąska uliczka, czy wciąż stoi tam dom Pod Lutnią, w którym mieszkał muzyk z rodziną? Co poczułaby, patrząc na okratowane okno izby na parterze, tej, w której została zhańbiona? Kusiło ją, by pokonać dzielącą ją od tego domu niewielką odległość i zajrzeć na ulicę Krzywe Koło.

Wiedziała, że nie powinna tam iść. Powtarzała sobie: „Nie możesz”, ale ciekawość okazała się silniejsza. Ruszyła Grodzką w kierunku Rynku. Płatki miękkiego śniegu nieśpiesznie, leniwie kołysały się w powietrzu. Zerknęła na ratusz i kolorowe, bogato zdobione kamienice okalające Rynek – nic się nie zmieniły od czasu, gdy widziała je po raz ostatni. Minęła szynk Pod Łabędziem, rząd eleganckich, zadbanych kamienic, i skręciła w ciemną, wąską uliczkę. Po przejściu kilkunastu kroków dotarła przed zielony front domu Pod Lutnią. Przystanąła, chcąc tylko popatrzeć na wysokie okna, gdy niespodziewanie usłyszała wesoły okrzyk zmierzającej uliczką od strony Rynku dziewczyny.

– Kalino, to ty?

3.

Laurenty czuł się niepewnie w siodle, jednak musiał dosiąść konia, aby dostać się w okolice wsi Wielka Wola, gdzie jego brat organizował jakieś tajemnicze widowisko. Rzadko mając okazję jeździć konno, muzyk ruszył pełen obaw ku bramie łączącej Starą Warszawę z Nowym Miastem. Po dojechaniu do rozległego, otoczonymi drewnianymi budowlami rynku nowomiejskiego Laurenty skierował się na zachód. Było już ciemno, gdy dotarł na mały plac, wokół którego stały drewniane budynki i chaty kryte gontem. Przy jednej z nich, najbardziej rozświetlonej i głośniejszej, widniała zielona wiecha. To musiał być szynk Pod Złotym Kapłonem, który wskazał mu brat.

Laurenty przekazał parobkowi konia do napojenia i nakarmienia, po czym przestąpił próg tłumnie wypełnionego gośćmi lokalu. Przy długich ławach zastawionych dzbanami piwa siedziało rozbawione, rozgadane towarzystwo.

Nikogo nie znając, muzyk poprosił szynkarę o dzban piwa i zasiadł na brzegu jednej z ław, czując, jak bołą go członki po konnej jeździe. Nie zdążył nawet wychylić połowy napitku, gdy niespodziewanie na środku gospody pojawił się jego rodzony brat Joachim, ubrany w istic paradny strój cudzoziemski. Przemówił, roześmiany jak zawsze, z tą idiotyczną wesołością, która tak irytowała Laurentego od czasów, gdy jako starszy brat musiał opiekować się młodszym i znosić jego radosne, tak odmienne od swojego usposobienie. Joachim zaprosił towarzystwo do szopy przylegającej do szynku, gdzie – jak zapowiadał – miało się odbyć przerażające i fascynujące widowisko, jakiego Warszawa i jej okolice nigdy dotąd nie oglądały.

Laurenty ruszył z miejsca razem z większością podpitych gości. Spory tłum gapiów rozlokował się w szopie, wokół wielkiej, byle jak skleconej ławy, którą ustawiono na środku pomieszczenia. Oprócz mieszkańców wsi Wola, kilkunastu Żydów i grupy mężczyzn wśród publiczności znalazło się sporo zaciekawionych, rozgadanych kobiet, w tym kilka ladacznic zerkających badawczo na gości w poszukiwaniu klienta. Jedna z białogłów tuliła podekscytowana swojego małego pieska, inna zaś przysła z owiniętym w futro niemowlęciem na rękach, które popłakiwało.

Gdy szopę oświetlił silny blask pochodni trzymany przez kilku parobków, Joachim jako mistrz ceremonii przemówił do gości, obwieszczając, że zaraz zgromadzeni będą świadkami sensacji – pierwszego na ziemiach mazowieckich krojenia trupa białogłowy!

Na te słowa w szopie wybuchła wrzawa pośród podekscytowanej i jednocześnie przejętej nagłą grozą gawiedzi.

Zaraz też do wnętrza pomieszczenia wniesiono drelichowy worek i położono go na drewnianej ławie, a ludzie natychmiast zaczęli się przepychać, aby zająć miejsca jak najbliżej centralnego miejsca widowiska.

Wówczas Joachim zaczął przemowę, w kilku zgrabnych zdaniach zachęcając do uczestnictwa w sensacyjnym eksperymencie, którego przygotowanie wiązało się z dużymi kosztami. Zmuszony był więc prosić widzów o uiszczenie skromnej opłaty, co łaska, aby pokryć wynagrodzenie światłego doktora, znawcy ludzkiej anatomii. Kilku młodzieńców natychmiast ruszyło między tłum z odwróconymi kapeluszami w dłoniach i podstawiając je natarczywie, zbierało od publiczności po szelągu.

Do izby wkroczył nagle okryty peleryną stary, brodaty mężczyzna z czarną, małą i wysoką czapką zakrywającą łysinę. Joachim przedstawił poważnie wyglądającego jegomościa jako doktora Gutenkę, który miał wykonać sekcję zwłok, a także w kwiecistym stylu wygłosił mowę na temat niezwykłych umiejętności i wiedzy obecnego tu medyka.

– Czyście widzieli kiedy morderczynię? Nieszczęsna ta niewiasta

dzisiejszego ranka zawisła na stryczku, skazana na gardło za czyn, którego dobry Bóg nie przebacza nikomu! Oto ta leżąca w tym drelichu białogłowa dopuściła się grzechu spędzenia płodu! W jej wzdętym brzuchu gnieździło się dziecko, które ohydnymi czarami i miksturami unicestwiła, ściągając na siebie gniew widzącego jej postępkę Boga. Niech jej marne, grzeszne ciało, które zaraz w proch się obróci, stanie się przedmiotem anatomicznej sekcji. Jak wiecie, człowiek może odczuwać ból nawet po śmierci, tak więc niech sekcja ta będzie karą za grzechy tej bezbożnicy. Już za chwilę będziecie świadkami wydarzenia, jakiego nigdy nie zapomnicie!

Joachim wypowiadał te słowa uroczyście, doskonale stopniując napięcie, zachowując się zupełnie niczym aktor grający w widowisku, jakie Laurenty widywał w zamkowych komnatach, gdy trupa aktorów przedstawiała dworzanom inscenizację antycznej tragedii. Efekt tej przemowy widoczny był na twarzach zgromadzonych gości, którzy czekali w napięciu na rozpoczęcie widowiska.

„Jedno jest pewne, posiadał dar oratorski i umie zaciekać ludzi” – pomyślał Laurenty, widząc po raz pierwszy brata w roli oratora i komedianta.

Joachim poprosił widownię, aby pohamowała śmiech i rozmowy, zastrzegając, że jeśli ktoś będzie próbował zabrać fragment ciała nieboszczki, zostanie zmuszony do zapłacenia wysokiej grzywny. Gdy w szopie zaległa w końcu cisza, czekając, aż napięcie osiągnie apogeum, Żmij wreszcie odsłonił połę materiału oblekające zwłoki nieboszczki. Oczom gapiów ukazało się sine ciało całkiem młodej białogłowy o dużych piersiach. Jej twarz i włosy zakrywał kawałek płótna. Na szyi widoczny był sinokrwawy ślad po sznurze szubienicy. Publiczność wydała z siebie okrzyk zgrozy i ekscytacji.

Laurenty nie mógł zapanować nad swoim wzrokiem, który nieustannie błędził w okolicach pokrytego rudawymi włosami krocza kobiety. „Gdyby tak przekroić ją całkiem i zobaczyć wewnątrz tego tunelu, który – w przypadku rzecz jasna żywej niewiasty – emanuje tak niezwykłym ciepłem...” – pomyślał.

Przy wspierającym nastrój akompaniamencie skrzypiec doktor Gutenko rozpoczął ceremonię – ostrą brzytwą wykonał pewnym ruchem nacięcie wokół pępka. Kolejne, długie cięcie sprawna dłoń starego medyka poprowadziła od środka klatki piersiowej do pępka, następne poniżej pępka aż po łono białogłowy. Publiczność wstrzymała oddech. Widowisko było tyleż obrzydliwe, co nadzwyczaj ciekawe. Kilka osób, ostentacyjnie czyniąc znaki krzyża, opuściło szopę. Niektórzy odwracali się i wymiotowali na posypane słomą klepisko. Białogłowę, która zemdliała i osunęła się na ziemię, parobkowie wynieśli, nie zakłócając nawet na moment widowiska.

– To takie wątąpia wszyscy w sobie nosimy, nawet te gładkie niewiasty, za które człek w ogień by skoczył – szepnął jakiś kupiec stojący tuż za Laurentym.

Muzyk patrzył z przerażeniem na to, co krył w środku worek ludzkiej

powłoki. Doktor z beznamiętną miną recytował łacińskie, niezrozumiałe terminy medyczne, zagłębiał czerwone dłonie w czeluściach ciała trupa i sprawnie manipulując nożem, wyciągał z nich coraz to nowe organy. Jakież to wszystko było obrzydliwe! Laurentemu zebrało się na mdłości i bez namysłu odwrócił się na pięcie, po czym wymknął się z szopy i wrócił do sali szynku rozgrzanego płonącym w kominku drewnem.

Lutnista usiadł w pobliżu otwartego paleniska i czym prędzej wychylił kubek lichego węgryzna, który nieco pohamował mdłości. Już miał się zbierać do wyjścia, gdy słyszany w oddali odgłos oklasków dał mu do zrozumienia, że pokaz krojenia trupa zakończył się wielkim sukcesem jego przedsiębiorczego braciszka.

Brat muzyka nic się nie zmienił. Lata mijały, a Joachim nadal czarował ludzi swoją gładką mową i tym uroczym uśmiechem. Niewiele umiał, nosiło go po świecie, coś sprzedawał, coś kupował, pośredniczył w podejrzanych transakcjach, żył z dnia na dzień, powtarzając od młodości swoją ulubioną maksymę: „*Memento mori*”.

Gdy Joachim wreszcie zjawił się w szynku, zbliżył się do starszego brata z triumfalnym wyrazem twarzy, po czym wyjął z sakiewki szeląga i zaproponował, że zapłaci za dzban najlepszego w tej budzie wina. Przysiadł koło Laurentego na ławie. Odgarnął z czoła gęste, sięgające ramion włosy, otarł pot z czoła, westchnął i powiedział:

– Muszę cię, bracie, zapytać o coś ważnego. – Szeroki uśmiech wreszcie znikł z jego ogorzalej twarzy. – Gadaj szczerze wszystko, co pamiętasz. Jak to było z tą klątwą rzuconą na ojca i jego męskich potomków? Jak to dokładnie było?

Laurenty nie miał ochoty wracać myślami do tej bolesnej sprawy, ale Joachim nie chciał dać mu spokoju. Twierdził, że skoro sam zakończył żywot ich okrutnego ojca, należy mu się rzetelna odpowiedź na tak ważne dla niego pytanie.

Wychylili po kolejnym kubku węgryzna i Laurenty opowiedział bratu wszystko, co pamiętał. Miał niespełna czternaście czy piętnaście lat, gdy któregoś dnia, oporządzając w stajni konie, usłyszał nagle przeraźliwy krzyk niewiasty. Zostawił w jednej chwili wszystko i biegiem ruszył do domu, w którym żył on, brat i ich rodziciel.

W głównej izbie jego oczom ukazała się przerażająca scena: ojciec z zaciętą miną, którą jego synowie znali nazbyt dobrze, powstrzymywał się przed ciosami rzucającej się na niego z pięściami, pogrążonej w jakimś szale młodej dziewczki, która wydała mu się znajoma. Ojciec z całych sił bronił się przed atakiem kobiety, a że był od niej rzecz jasna silniejszy, szybko ją obezwładnił, co więcej, wymierzył w śliczne liczko siarczysty policzek i wrzasnął, aby jak najszybciej stąd uciekała, zanim przetrąci jej kark.

Oswobodzona niewiasta z twarzą napuchłą od płaczu i emocji sprawiała wrażenie, jakby zaraz miała oszaleć. Trzęsąc się z wściekłości, stanęła naprzeciw

ojca i cedziła słowa, jakby chciała w każde z nich wlać truciznę. Wypowiedziała zdania, które lutnista na zawsze zapamiętał.

„Bądź przeklęty, Kazimierzu, niech ty i wszyscy twoi potomkowie nigdy nie zaznają już łaski bożej posiadania zdrowego syna! Za to, coś zrobił mojemu synkowi, niech Bóg mi świadkiem, obyś się smażył w piekle! Oby twoje nazwisko Żmij wymarło i z braku potomków na zawsze znikły owoce twojego żywota! Przeklinam cię!!!” – zawyła i padła na podłogę w konwulsjach, niczym obłąkana. Ojciec stał jak zamurowany, nie mogąc się ruszyć. Jej słowa wypowiedziane strasznym głosem musiały zrobić na nim wrażenie. Dopiero po dłuższej chwili odzyskał mowę. Splunął na wijącą się na podłodze kobietę, kopnął ją i wyszedł z chałupy. Zaraz kilku parobków wyniosło nieszczęsną dziewczkę na zewnątrz i zabrało ją z ich domu.

Jak się później dowiedział Laurenty, kobieta ta pracowała u nich w domu kilkanaście miesięcy wcześniej jako dziewczka do najprostszej posługi, a ojciec brał ją do swojego łóżka, kiedy tylko miał na nią ochotę. Dziewczyna jednak pewnego dnia zniknęła i okazało się, że pewien pomocnik młynarza wziął ją za żonę. Po kilkunastu miesiącach białogłowa powiła syna. Stary Żmij nadal jednak chciał ją do woli wykorzystywać i któregoś dnia próbował siłą zmusić ją do uległości. Kobiecie udało się uciec i ilekroć ten próbował ją pojąć, umiejętnie udawało jej się umknąć z jego łapczywych rąk. Jednak Kazimierz Żmij nie dawał za wygraną – czekał na nią nad brzegiem rzeki, gdzie niewiasty chodziły robić pranie, czekał na nią przy studni, skąd nosiła wodę, jednak jego wysiłki pozostawały bezskuteczne. W końcu pojawił się w chałupie białogłowy, wyczekując, aż zostanie sama z nowo narodzonym dzieckiem. Przy akompaniamencie wyjącego niemowlęcia usiłował zgwałcić młodą matkę, a gdy umęczony siłowaniem się ze stawiającą opór kobietą oberwał od niej pogrzebaczem po głowie, nie mogąc pojąć dziewczki, wyjął dziecko z kołyski, w której leżało, i – jak opowiadała we wsi kobieta – ze złością cisnął nim o glinianą podłogę. Jego nieznośne kwilenie natychmiast ustało. Chłopczyk wyzionął ducha.

Potem Żmij wypierał się swojego czynu i zaprzeczał, jakoby dopuścił się tak haniebnego postępu. Twierdził, że dziecko wypadło matce z rąk, tak nieporadnie je trzymała. Świadców zdarzenia nie było, a słowo chłopki przeciwstawione przysięgom poważanego przez księdza organisty nie znalazło posłuchu. Za to właśnie na Żmija i jego dzieci rzucona została klątwa. Co więcej – lutnista był pewien swoich słów – w jego przypadku ta klątwa działała! Za jej sprawą nieboszczka żona Anna straciła dwukrotnie dziecko płci męskiej i zmarła, wydając na świat martwego syna. Tylko córkom udało się przeżyć.

– Ale zdaje się, że masz syna, Pietrek mu na imię? – dopytywał Joachim, za wszelką cenę starając się znaleźć argumenty przemawiające przeciwko skuteczności klątwy.

– Pietrek nie jest normalnym chłopcem, przecież wiesz. Kiedy na niego spojrzysz, będziesz miał przed oczami dowód na to, że rzucona na nas klątwa działa i zawsze działać będzie! Czemu tak bardzo ci zależy, żeby to roztrząsać, bracie? Przecież wiesz od dawna o tym, że jesteśmy skazani na wymarcie, nikt nie będzie nosił naszego nazwiska, kiedy nas nie będzie już na ziemi...

– Ach, bracie... – westchnął Joachim i nalał po kolejnym kielichu wina. Wychylił niemal duszkiem jego zawartość i powiedział: – W Gdańsku żyłem z kobietą, była brzemienna i kilka tygodni temu powiła syna...

– Zdrowy jest?

– Dorodny, zdrowy chłopiec. Ale nie mogłem na niego patrzeć, nie czując bólu w sercu, ciągle myślałem o klątwie. Jeśli to, co mówisz, jest prawdą, to...

– To nie może być twój syn... – dokończył za niego Laurenty.

4.

Nadeszła od dawna wyczekiwana wiosna roku Pańskiego tysiąc sześćset dwudziestego czwartego i zazieleniły się zbocza skarpy wiślanej, ale Kalina nie była w stanie cieszyć się przebudzeniem przyrody. Stan zdrowia królowny Anny pogorszył się na tyle, że odwołano planowany od dawna wyjazd dworu starosty do zamku w Brodnicy. Jaśnie pani cierpiała na tak silne zawroty głowy, że były dni, gdy nie podnosiła się z łóżka, a jedzenie noszono jej do komnaty.

Kalina szykowała ulubione potrawy pani, zwłaszcza galaretki mięsne z cielęcych nóżek, doprawiane – tak jak Anna lubiła – cynamonem, goździkami i odrobiną piżma. Warzyła też polewkę migdałową, podawaną na zimno, z dodatkiem białego wina, cynamonu i opieczonych nad ogniem grzanek z białego chleba. Wkładała w to gotowanie tak wiele serca i starań, że jaśnie pani coraz częściej prosiła o potrawy przygotowywane samodzielnie przez Kalinę, aż kucharz Antoni zaczął krzywo patrzeć na pomocnicę ochmistrzyni i rozpuszczać wśród służby plotki, jakoby Kalina była dziewczką grzeszącą sodomią i z tego względu tak bardzo przywiązaną do jaśnie pani.

Sam król przybywał w wolnych chwilach, aby posiedzieć chwilę u wezgowia swojej ukochanej siostry, bez której rad i mądrych rozważań nie mógł się obejść. Często też odwiedzały chorą ciotkę dzieci królewskie, a najczęściej w Villa Regia słyhać było pełen werwy głos królewicza Władysława.

W maju Władysław pod przybranym nazwiskiem skrywającym jego prawdziwą tożsamość wyruszył w podróż po Europie, która miała być dopełnieniem edukacji królewskiego syna. Towarzyszył mu pięćdziesięcioosobowy orszak, w którym znalazł się najbliższy, wieloletni przyjaciel Adam Kazanowski.

Panny z fraucymeru żegnały królewicza z wielkim żalem, podobnie jak jego ciotka Anna. Panny szeptały, że królewicz zwiedzi najznamienitsze dwory królewskie w Italii i we Francji, ale poza nimi będzie się przemieszczał *incognito*,

jako pan Snopkowski, bo podobno w języku szwedzkim słowo *vasa* oznacza tyle co snopek.

Gdy żegnany wylewnie ukochany bratanek Władysław odjechał, jaśnie pani posmutniała i odprawiła tego wieczora zwykle zabawiające ją karły i muzykantów. Zawołała za to do swojego alkierza Kalinę. Poprosiła ją o nasmarowanie jej pleców maścią z niedźwiedziego sadła, a gdy jej wierna sługa z wielką troską wmasowywała cuchnącą papkę, Anna nieoczekiwanie się rozplakała. Kalina poczuła, jak ściska się jej serce, przejęte bólem odczuwanym przez jaśnie panią, i bez wahania przybliżyła się, klęknęła przy twarzy leżącej na brzuchu kobiety i zaczęła pocałunkami zbierać płynące po mlecznobiałym obliczu niewiasty łzy.

– Mnie też jest smutno, jaśnie pani, że królewicz na tak długo opuszcza dwór...

– Ja już więcej go nie zobaczę, Kalino. Wiem to. Dlatego dławi mnie smutek – szepnęła Anna, a gdy Kalina zaczęła gorąco zaprzeczać wypowiedzianym stwierdzeniom, królowna położyła jej palec na ustach i poprosiła: – Wiem dobrze, co mówię, droga Kalino. Jesteś naprawdę dobrą, oddaną mi sługą. Powierzę ci jeden z moich zielników, abys po mojej śmierci uzupełniła wolne strony o okazy roślin, jakie odnajdziesz w cudownych miejscach, do jakich zawiedzie cię los. Nic nie mów, daj mnie coś powiedzieć... Widziałam, jak patrzy na ciebie ten kupiec z Gdańska, który przychodzi do mnie z coraz to nowymi obrazami i przywiezionymi z dalekich podróży przedmiotami. Tak naprawdę chce tylko spotkać ciebie. Nie rezygnuj z małżeńskiego szczęścia dla mnie, odejdz z nim, jedźcie razem poznawać dalekie kraje, zobaczyć rośliny i zwierzęta, o jakich nam się tu nawet nie śniło! Kalino, widzę, że on nie jest ci obojętny, nie wolno ci się wahać! Ja świadomie wybrałam stan panieński, chociaż mój biedny brat, nasz czcigodny król, do dziś wierzy, że wyda mnie za mąż. W końcu nasza ciotka, Anna Jagiellonka, została poślubiona Stefanowi Batoremu w wieku pięćdziesięciu dwóch lat! Ale mnie taki los nie czeka. Ty zaś, ty ciesz się szczęściem, nie wahaj się miłować, to najpiękniejszy dar, jaki Bóg nam dał na osłodę okrutnych cierpień, których wszyscy doświadczamy...

Kalina, płacząc, ucałowała dłoń jaśnie pani, w duchu bijąc się z myślami.

Nie wiedziała, jak postąpić. Każda z wizyt Joachima w Villa Regia była dla niej źródłem coraz silniejszych emocji, a gdy znajoma postać pojawiała się znienacka w pomieszczeniu aptecznym albo w izbie ochmistrzyni, w której Kalina ślezczała nad rachunkami za dostawy opału i żywności, serce jej tłukło w piersi jak szalone. Witał ją jak zawsze swoim szerokim, szczerym uśmiechem i miłym żartem, a gdy się przybliżał, aby ująć jej dłoń i złożyć na niej pocałunek, czuła, jak miękły jej nogi.

Zjawiał się w królewskiej willi ledwie kilka tygodni temu, gdy jeszcze brudne łaty śniegu leżały na wiślanej skarpie. Kalina zobaczyła go, jak czekał

w ozdobionej arrasami izbie, gdzie jaśnie pani przyjmowała mniej znaczących gości i interesantów. Zabiło jej mocniej serce, gdy tylko rozpoznała w postawnym, wysokim mężczyźnie nieznanego, którego koń o mało co jej nie stratował, gdy pędziła, nie patrząc przed siebie, do apteki Pod Murzynem.

Przez otwarte drzwi izby przyjrzała mu się dokładnie, nie mogąc oderwać wzroku od szerokich ramion, które opinał kolet z czarnej skóry, rozpięty na piersiach, tak że widać było przód białej koszuli. Plecy częściowo zasłaniała podbita fantazyjnym, niebieskim suknem peleryna. W dłoniach trzymał rękawiczki i ozdobiony paradnym piórem kapelusz o szerokim rondzie. Zwracały uwagę jego sięgające kolan rajtarskie buty z jasnej skóry, z niezwykle szerokimi cholewami. Kalina nigdy nie widziała, aby jakiś miejscowy kupiec ubierał się w taki sposób.

Gdy tak mu się przypatrywała, stojący przy oknie jegomość nieoczekiwanie odwrócił się i natychmiast spostrzegł stojącą w drzwiach Kalinę, która wpatrywała się w niego swoimi wielkimi oczami. Dopiero po chwili zorientowała się, jak dziwnie się zachowuje – pochyliła głowę i skłoniła się przed mężczyzną. Ten odpowiedział ukłonem, a na jego ogorzałej od słońca twarzy zagościł szeroki, uroczy uśmiech. Dłonią przygładził niewielki wąsik i nie przestając się uśmiechać, przedstawił się:

– Waćpanna pozwoli. Joachim Żmijewski, kupiec z Gdańska. Do usług waćpanny.

Mężczyzna jeszcze raz skłonił głowę, po czym niecierpliwym ruchem głowy odgarnął do tyłu gęstą, sięgającą ramion czuprynę. Od czasu gdy Joachim zdołał dostać się przed oblicze Anny Wazówny i zgodnie z jej potrzebami i zachciankami sprowadzać określone towary, zaczął posługiwać się zmienioną na szlachecką modłę formą nazwiska. Familia „Żmijewski” brzmiała o wiele dostojniej niż „Żmij” i dodawała mu estymy.

Wówczas wzrok Kaliny padł na niewielki kolczyk w postaci srebrnego kółka, jakie zdobiło lewe ucho mężczyzny.

– Panie, Kalina Melcerówna, jestem panną apteczkową i pomocnicą ochmistrzyni na dworze jaśnie pani – odpowiedziała Kalina, myśląc o tym, że ów mężczyzna wydaje się jej dziwnie znajomy, jakby gdzieś już go widziała, a przecież poza zderzeniem na placu Przedmiejskim nie mogła mieć okazji, by tego człowieka spotkać.

Jak później powiedziała Kalinie ochmistrzyni, pan Joachim za wszelką cenę chciał dostać się przed oblicze króla i zaproponować mu nabycie kilku obrazów, które przywiezione zostały z Amsterdamu. Ktoś mu doradził, aby spróbował najpierw zainteresować płótnami królową Annę, więc przez kilka dni usiłował zaprezentować jej swoje – niezwykle, jak twierdził – skarby. Ale Wazównę zainteresowały bardziej niż owe obrazy (jak stwierdziła, dosyć osobliwe, ciemne i ponure) szlachetne przyprawy i drogie kamienie, jakie kupiec o niezwykle miłej

dla oka powierzchowności i uroczym uśmiechu miał do zaoferowania. Jak twierdził sam Joachim, wielokrotnie kursował drogą morską między Gdańskiem a różnymi portami Niderlandów, dotarł nawet dwukrotnie do wybrzeży Czarnego Łądu. Miał rozległe kontakty i możliwość sprowadzenia do Warszawy najbardziej wymyślnych przedmiotów.

W któreś wyjątkowo ohydne przedpołudnie, gdy na dworze hulała zamieć, pan Joachim niespodziewanie pojawił się w izbie apteki w Villa Regia, czym mocno zaskoczył Kalinę, która ubrana w roboczą suknię, z włosami w nieładzie ledwie obwiązany chustką, ucierała w moździerz miksaturę na reumatyzm trapiący ochmistrzynię.

Obecność tak powabnego mężczyzny mocno ją skrępowała. Jednak jego szeroki uśmiech i nadzwyczaj miłe usposobienie sprawiły, że szybko znowu poczuła się sobą. Odpowiedziała na dziesiątki jego pytań dotyczących widocznych w izbie ususzonych wiązanek ziół i roślin zawieszonych na stropowej belce. Pan Joachim wykazał bowiem wielkie zainteresowanie jej zielarskimi umiejętnościami.

– Poczęstowano mnie dzisiaj tatarakiem w cukrze, który to ponoć waćpanna samodzielnie przyrządzała! Nigdy nie jadł tak osobliwych słodkości. A piernik! Niezapomniany smak. Też ponoć waćpanny receptura! – powiedział, patrząc na nią w taki sposób, że poczuła, iż jej twarz i uszy się czerwienią.

Od tej pory pojawiał się w Villa Regia coraz częściej. Podobno realizował jakieś specjalne zlecenia dla jaśnie pani, która potrzebowała pośrednika w pozyskaniu różnych towarów ze swej rodzinnej Szwecji, a jak się okazało, pan Joachim znał też kupców skandynawskich i był w stanie sprowadzić potrzebne Annie wiktuały i drobiazgi.

Ilekcóż przybywał do królewskiej willi, zawsze starał się odszukać Kalinę, a ona z bijącym sercem czekała na te nigdy niezapowiedane wizyty. Przysiadł gdzieś obok, patrzył, jak Kalina miesza, ugniata i uciera. Ona zajęta jakąś pracą słuchała, jak opowiadał jej o sekretach przypraw, które Kalina tak umiejętnie wykorzystywała w swoich recepturach, dotąd nie znając ani pochodzenia, ani historii związanych z egzotycznymi ingrediencjami.

Mówił jej o drzewie o białych kwiatach z Cejlonu, zwanym cynamonowcem. Jego wysuszona kora to nic innego jak powszechnie używany w kuchni cynamon.

Opowiadał o krzewie z rodziny pieprzowatych, pochodzącym z krajów tropikalnych, który rosnąc dziko, wypuszcza pnącza owijające inne drzewa. Z niewielkich, białych kwiatów powstają jagody, z nich po wysuszeniu ziarna pieprzu.

Mówił o imbirze (ona obiecała mu przyrządzić swoją specjalność – imbir smażony w cukrze), o tym, jak wygląda roślina rosnąca w strefie międzyzwrotnikowej o mięsistych kłęczach w kształcie różańca. Opisywał kurkumę, kardamon, szafran, goździki, przyprawy muszkatołowe, wprawiając

Kalinę w zachwyt swoją wiedzą i barwnymi opowieściami.

Jej wyobraźnia została poruszona przez te opisy do tego stopnia, że nocami, nie mogąc zasnąć, Kalina starała się narysować opisywane przez Joachima rośliny. Marzyła, aby kiedyś popłynąć hen, daleko, statkiem do dzikich krain i zobaczyć na własne oczy te cuda natury. Oczywiście u boku pana Żmijewskiego.

5.

Pod koniec kwietnia roku Pańskiego tysiąc sześćset dwudziestego czwartego w okolicy Warszawy zawitała wreszcie wiosna, a ogrody Villa Regia zakwitły i pokryły się intensywną zielenią. Wyjazd do Brodnicy był coraz bliższy. Jaśnie pani chciała koniecznie odwiedzić swoje włości, a Kalina coraz częściej myślała z przerażeniem o tym, jak wielka będzie jej rozpacz, gdy nie doczeka się już spotkania z panem Joachimem.

Kiedy, idąc do apteki Pod Murzynem, zobaczyła go po raz pierwszy, jego silne ramiona uchroniły ją przed upadkiem, tak jak osiem lat temu ocalił ją niespodziewanie ojciec Bonifacy, na którego wpadła, idąc ku Wiśle, by się w niej utopić. Opatrzność musiała nad nią czuwać, skoro po raz drugi zupełnie przypadkiem natknęła się na człowieka, który okazał się kimś tak bliskim. Ilekroć się spotykali, Kalina czuła, że Joachim żywi wobec niej prawdziwy afekt. Wyczytywała to w jego oczach, gestach, w każdym słowie.

Któregoś dnia wreszcie (a był to akurat niezwykle radosny wieczór, gdyż jaśnie pani poczuła się na tyle lepiej, aby wstać z łóżka i odbyć krótki spacer po tarasie, z którego podziwiała zazielenione brzegi Wisły), idąc ku pokojom służby, Kalina napotkała szykującego się do opuszczenia Villa Regia Joachima. Zawołała go szeptem. To był ten właśnie moment. Stała w ciemnym zaułku korytarza i poczekała, aż mężczyzna się do niej zbliży, a gdy podszedł i stanął tuż przy niej, jednym zdmuchnięciem zgasła knot w kaganku. Natychmiast poczuła na swoich wargach jego gorące, łapczywe usta.

Specyficzny zapach mężczyzny – mieszanka woni skóry, potu i lawendy – w pierwszej chwili sprawił, że wróciły do niej wspomnienia zadanego jej gwałtu, jednak moment ten szybko przeminął, gdy Joachim, przyciskając ją do siebie i gładząc po włosach, szepnął jej do ucha:

– Ja cię miłuję, Kalino, od pierwszej chwili, w której cię ujrzałem.

Ugięły się pod nią nogi, gdy usłyszała, jak dodaje:

– Bądź moja. Chcesz być moja?

Przytaknęła i unosząc się na palcach, dosięgnęła jego ust.

Umówili się na schadzkę po zmroku, w zakątku ogrodu położonym blisko muru odgradzającego posiadłość od wiślanego brzegu. Tam właśnie, w ciemności rozjaśnianej jedynie blaskiem doskonale widocznych tego wieczoru gwiazd, Kalina legła na trawie w objęciach Joachima. Trzęsa się cała, nie wiedziała, czy z zimna,

czy z emocji, a mężczyzna okrył ją swoją peleryną, otoczył silnymi ramionami i przycisnął do piersi. I wtedy bez zastanowienia powiedziała mu o tym, co ją spotkało, o gwałcie dokonanym na niej przed ośmiu laty, o śmierci jej oprawcy, wreszcie o tym, że była brzemienna i powiła chłopca, którego oddała na wychowanie, gdyż nie miała możliwości się nim zajmować.

Gdy mówiła, Joachim przyciskał coraz mocniej jej drobne ciało do swojego, całował jej policzki mokre od łez, jej szyję, wreszcie usta.

– Boże Przenajświętszy! Nigdy więcej nie pozwolę, aby waćpannę spotkało coś podobnego. Nigdy, słyszysz, Kalino? Obronię cię przed wszystkimi, zawsze będę cię chronił, cokolwiek się stanie. Moja duszyczko leśna, moja złotowłosa nimfo! – mówił z przejęciem, szczerze poruszony opowiedzianą przez nią historią.

– Bałam się, że waćpan ucieknie, kiedy usłyszysz to wszystko – szepnęła, a on odpowiedział jej czułym gestem.

Po tym, jak okazał jej tak wielką dobroduszość, Kalina przestała czuć zimno, czym prędzej rozsznurowała gorset swojego kaftana i pozwoliła, by dłoń Joachima wślizgnęła się pod sztywną tkaninę i dotknęła piersi otoczonych jedynie cieniutkim materiałem białego giezła. Joachim położył się na niej, jęknęła, czując niezwykłą falę przyjemności. Jej ciało, od tak dawna uspięne, zaczęło się budzić. Od tej chwili nie czuła już lęku i poddała się kipiącej od doznań chwili, porzuciła siebie, swoje zmartwienia i pamięć o zaznaczonych ranach.

Na te kilkanaście chwil obcowania z mężczyzną zniknął natarczywie powracający w wyobraźni obraz twarzy nieznanego chłopca, który był jej synem. Wiedziała, że żył, czuła, że miewa się w miarę dobrze i nawet nie wie, że jest owocem gwałtu, przez który jego młodociany ojciec stracił życie, a matka żyje w nieustannym lęku o to, że kiedyś ktoś odkryje jej sekret, a ona zapłonie na stosie za przyczynienie się do śmierci szlacheckiego syna.

Tamtej nocy, po tym, jak Joachim opuścił już posiadłość Villa Regia, Kalina nie mogła zasnąć. Przywoływała w myślach świeże doznania, ten dziwny ból, który dawał przyjemność – wszystkie te wrażenia, tak nowe i niespodziewane. Płakała, wspominając wyznania Joachima, jego pełne współczucia i uwielbienia pocałunki, sposób, w jaki głaskał jej włosy i tulił głowę w zagłębieniu między jej piersiami.

Wzruszona faktem, że Joachim jej pragnął – chciał, mimo że była tak zbrukana, tak niedoskonała – poczuła się jak nowo narodzona i nieustannie myślała o tym nowym rozdziale swojego życia. Och, jaki był gładki, jaki dobry, jak łaskawy i delikatny, jak bardzo uważał, aby swym ciężarem ani gwałtownością ruchów nie zrobić jej żadnej krzywdy. Tysiąc razy pytał zaniepokojony, czy Kalina dobrze się czuje, czy nic jej nie boli, czy nie chce, aby przestał. A ona tylko jęczała cicho, zapewniając, że chce więcej i więcej.

Rozstając się w nocy, obiecali sobie, że należą tylko do siebie i zrobią wszystko, by być razem. Joachim powiedział jej, że jeszcze nie wie, jak do tego

doprowadzi, ale wkrótce wymyśli jakieś rozwiązanie. Ona wyobraziła sobie wielki żaglowiec, który zabrałby ich w nieznane krainy, na południe, może nawet do wybrzeży Afryki, której obraz – zbudowany na podstawie opowieści Joachima – zapadł Kalinie głęboko w serce.

6.

Wiosną zajazd zbudowany staraniami Laurentego za pieniądze pożyczone z magistratu Starej Warszawy był już niemal gotowy. Sporych rozmiarów drewniany, kryty gontem dom z gankiem podtrzymywany przez rzeźbione kolumny stanął przy trakcie zwanym przez mieszkańców Długim. Gościniec ten rozpoczął swój bieg na Nowym Mieście, tuż przy kościele pod wezwaniem Świętego Ducha. Gdy szło się od ulicy Freta w Długą, po prawej stronie mijało się ogrody należące do kościelnych i świeckich dostojników, nieliczne zabudowania gospodarskie, po lewej zaś kilka zasobnych domostw o drewnianej konstrukcji oraz zagajnik zwany Czarnym Lasem.

Trakt przecinał ulicę Miodowników, słynącą z tego, że zamieszkiwali ją piekarze wyrabiający najlepsze łąkocie i pierniki w grodzie nad Wisłą, po czym biegł dalej w kierunku Sochaczewa, do wałów bastionowych koło Świętej Trójcy, wzniesionych przez Zygmunta III po klęsce tysiąc sześćset dwudziestego roku polskich wojsk pod Cecorą, mających ochronić miasto przed napaścią innowierców tureckich.

Częścią traktu Długiego dzięki systemowi rur z drewna sosnowego biegła woda do studni Starej Warszawy, był on więc ważnym dla miasta miejscem, które w razie potrzeby miało być szczególnie chronione przed zniszczeniem. Ponadto gościńcem tym ostatnimi laty przybywało coraz więcej podróżnych zmierzających do Starej Warszawy, stąd wzdłuż tej długiej drogi otwierano coraz to nowe karczmy i zajazdy, gdzie strudzonym gościom proponowano nie tylko ciepłą strawę, napitek i obrok dla koni, ale też osobne izby, w których mogli zatrzymać się na jedną czy kilka nocy.

Laurenty nie miał środków, które pozwoliłyby mu konkurować ze słynną Giełdą, zajazdem U Jagusi czy karczmą Pod Świńskim Ryjem, gdzie goście mieli do dyspozycji nawet osobną łaźnię. Za to w swoim zajeździe postanowił oferować graną na żywo muzykę i najlepsze poza murami Warszawy wino, takie, jakie można było dostać w winiarniach przy staromiejskim Rynku.

Zajazd nie miał jeszcze nazwy, a tym samym szyldu, stolarz dopiero robił łoża, ławy, stoły i skrzynie, jakie miały wypełnić wciąż pachnące żywicą izby. Muzyk jednak już rozpoczął prace nad otwarciem przybytku dla publiczności i szukał kogoś zaufanego, kto zająłby się zapelnieniem piwnic beczkami wina i piwa, zgromadzeniem zapasów w spiżarni i przygotowaniem obszernej izby głównej z wielkim kominkiem, która była centralnym miejscem obiektu. Tam

miały stanąć szerokie stoły i ławy, a powabne szynkareczki donosić gościom zającą strawę i dolewać do kubków słodką małmazję czy szlachetny alikant.

Z biegiem lat, kiedy siły życiowe coraz częściej zawodziły Laurentego, a dawne uciechy cielesne były już tylko wspomnieniem, lutnista nade wszystko pragnął azylu i miejsca, gdzie na starość mógłby odciąć się od świata, grać w samotności na instrumentach i komponować wyłącznie dla siebie. Zaprojektował sobie niewielką izdebkę na tyłach zajazdu, nieco ukrytą między kuchnią a spiżarnią, gdzie będzie mógł zaszyć się w swojej samotni. Teraz, gdy jego starsza córka wychodziła za mąż za syna zanego królewskiego krawca, gdy dziesięcioletnia Anusia terminowała na dworze jako dama dworu jednej z goszczących na zamku kuzynek królowej, Pietrek znalazł dom w klasztorze przy kościele Świętego Jacka, w którym przepisywał i kopiował różne pisma oraz księgi, nie było sensu utrzymywać domu Pod Lutnią. Kamienica miała zostać wydzierżawiona magistratowi, a opłaty za korzystanie z niej miały pokryć koszt pożyczki na zajazd.

Nic teraz nie sprawiało muzykowi większej przyjemności niż chwile, gdy dom pogrążał się w ciszy i spokoju, on zaś zasiadał w pustej izbie w blasku świecy z dzbanem węgryzna i brał w ręce instrument, na którym nigdy nie odważył się grać publicznie, i zaczynał grać.

Jeśli w ciągu dnia niewiele jadł, w trakcie tych wieczornych posiedzeń wino wypite na pusty żołądek wprawiało go w oszołomienie, tak że trzymając w rękach skrzypce i smyczek i wydobywając pierwsze dźwięki, Laurenty przestawał czuć ciężar zmęczonego ciała, a wraz z muzyką zjawiał się w izbie duch jego ukochanej żony Anny. Nie mógł jej dotknąć, nie mógł zobaczyć, ale czuł, bardzo mocno czuł jej obecność. Jego żona uwielbiała dźwięk skrzypiec, ale kiedy żyła, Laurenty był nieprzejednany i nigdy nie uległ jej prośbom, aby zagrać na tym instrumencie. Musiało minąć tak wiele lat, zanim się odważył. Teraz był gotów zrobić wszystko, aby choć przez moment nie czuć się tak dojmująco samotny, a dźwięki wydobywane ze skrzypiec pozwalały mu na to, co wydawało się niemożliwe.

Coraz bardziej męczyły go wyjazdy z całym królewskim dworem do drewnianego dworku w Jazdowie²⁷, niekiedy nawet do Krakowa. Znienawidził koncerty dawane w siedzibach rosnących w siłę i bogactwa magnatów. Coraz częściej zawodziło go nieustannie zmęczone ciało, które wciąż objawiało swą słabość przeróżnymi dolegliwościami. Nieraz zdarzało się, że Laurenty tłumaczył się przed kapelmistrzem i muzykami z kapeli królewskiej, że dokuczają mu bóle reumatyczne, że nie może spać i przez to jego gra na lutni nie jest doskonała.

Na odczuwaną z coraz większym natężeniem melancholię i bóle kości zalecano Żmijowi lewatywy albo puszczanie krwi, od czego słabł jeszcze bardziej. Cyrulik zalecał mu poddanie się kuracji, która polegała na zakopaniu chorego po szyję w szlamie zalegającym Gnojną Górę, gorące kąpiele w ziołowych oparach

i biczowanie. Jak do tej pory lutnista nie zdobył się na te drastyczne kroki, chociaż z miesiąca na miesiąc słabł coraz bardziej.

W jedną z wiosennych deszczowych nocy muzyk nie mógł spać. W panującym półmroku ledwo widział pociągłą twarz nieboszczki, która spoglądała na niego z jedyne go konterfektu, jaki miał. Obraz na desce namalował jej pierwszy mąż. Nazwisko Szpak widniało wyraźnie w dolnym prawym rogu dzieła. Laurenty nie pamiętał już prawdziwego jej oblicza – Anna miała dla niego już tylko ten jeden wizerunek młodej dziewczyny z portretu, której nigdy nie poznał. Jego Anna była dojrzałą białogłową, przy której on – młody mężczyzna – uczył się życia. Odeszła zbyt wcześnie, a on nie umiał sobie bez niej poradzić. Wiedział już, jak prawdziwe było często powtarzane stwierdzenie, iż *Antiguus amor cancer est*. Stara miłość toczyła go niczym rak. Jedyne, co miał, to rozmyte wspomnienia i tęsknotę za silną, opiekuńczą niewiastą, która przejęłaby pieczę nad jego życiem.

Wiedział, że drugiej takiej jak Anna już nie spotka. Ludzie dziwili się, jak to możliwe, aby ktoś taki jak on – właściciel domu w Warszawie, muzyk królewski, wdowiec z trójką dzieci – nie wziął sobie następnej żony! Swatki prześcigały się w proponowaniu Laurentemu rozmaitych kandydatek na nową towarzyszkę życia. Same niewiasty próbowały zwrócić na siebie uwagę muzyka, ale ten po fiasku, jakim okazały się plany poślubienia pięknej Kingi, pozostał nieczuły na wszelkie naciski. Wystarczyły mu chętne do grzania łoża gosposie i piastunki jego dzieci, gotowe na przyjęcie swego pana, no i dziewczki z Wieży, do których systematycznie zaglądał.

Zdarzały się chwile, gdy Laurenty żałował, że nie rozważył małżeństwa z Kaliną, tak podobną do siostry, choć młodszą i niedoświadczoną. Strach przed tym, co ludzie powiedzą na powszechnie potępiany związek z rodzoną siostrą zmarłej, skutecznie ostudził jego zmysły. A przecież gdy Melcerówna zjawiła się pod jego dachem, lutnista czuł, że ta dziewczyna byłaby godną następczynią jego drogiej Anny. Król mógł wziąć za żonę siostrę małżonki, ale Laurenty nie miał tyle odwagi.

I gdy kilka dni temu niespodziewanie ją zobaczył, jego serce zabiło z taką gwałtownością, iż przez moment pomyślał, że zaraz stanie się z nim coś strasznego. Minęło już osiem lat od tragicznych wydarzeń, kiedy to w domu Pod Lutnią zmarł od ciosów nożem oprawca Kaliny. Teraz była już dojrzałą białogłową, nawet piękniejszą niż kiedyś. Upływ czasu tylko dodał smaku jej urodzie.

– Poznajcie, bracie, oto Kalina, o której ci opowiadałem, pomocnica ochmistrzyni i aptekarka jaśnie wielmożnej Anny Wazówny – z galanterią przedstawił Kalinę Joachim, początkowo nie zauważając oszołomionego spojrzenia tych dwojga, którzy tylko stali w milczeniu naprzeciw siebie i nie mogli wydusić z siebie słowa.

Kiedy Joachim powiedział bratu, iż w warszawskim pałacyku Anny Wazówny poznał zaradną, uczciwą, znającą się na kuchni, ziołach i aptecznych miksturach niewiastę, Laurenty od razu zaczął żywić nadzieję, iż to będzie szukana od dawna osoba, która poprowadzi jego zajazd. Nie rozumiał tylko, dlaczego ktoś pracujący w królewskiej willi chciałby porzucić tak godną szacunku służbę i zacząć pracować dla niego. Jednak Joachim wyjaśnił mu, że owa białogłowa, tak zdolna w swoich kucharskich talentach, nie chce wraz z dworem królewskiej siostry opuszczać okolic Warszawy, pragnie bowiem być blisko narzeczonego, który tutaj rozwija swoje interesy. Sam obiecał pomóc przy zaopatrzeniu piwnic i spiżarni zajazdu, a także w rozpoczęciu działalności nowego przybytku Laurentego.

– To naprawdę wy, Kalino? Nieraz myślałem, żeś na zawsze opuściła okolice Warszawy i nigdy więcej twoja stopa nie stanie na staromiejskim bruku...
– pierwszy przerwał milczenie Laurenty.

Skłonił się, zdejmując z głowy kapelusz zdobiony barwionym na szmaragdowy kolor piórem. Kalina także mu się pokłoniła i nie mogąc powstrzymać uśmiechu na widok znajomej twarzy, zaczęła wypytywać o zdrowie dzieci Laurentego.

– To wy się znacie? – Joachim był niezmiernie zdziwiony.

– Rzecz jasna! Kalina to przecie młodsza siostra mojej nieboszczki Anny! – odparł ze szczerym uśmiechem Laurenty.

– Po prawdzie nie pamiętałem, jak zwała się Anna przed wyjściem za ciebie, a przecie jej familia to Melcer, taka jak Kaliny! – zafrasował się Joachim.

– Jak ja mogłam waćpana z moim szwagrem nie połączyć w myślach? Ale to przez nazwisko, wy się Żmijewski zwiecie, a brat wasz Żmijem... Gdybym wiedziała, że to pan Laurenty takie inwestycje czyni, chwili bym się nie wahała! Tyle lat przepracowałam u jaśnie pani, przyda mi się odmiana i większa samodzielność!

Kalina była zachwycona tym spotkaniem i perspektywą prowadzenia zajazdu dla Laurentego, który był tak bliski jej sercu, a poza tym był kimś z rodziny. Czuła się teraz tak, jakby przeszłość nigdy nie istniała, jakby wydarzenia sprzed ośmiu lat były tylko złym snem.

– W Gdańsku, gdzie żem mieszkał, każdy, kto polskie ma nazwisko, stara się zmienić je tak, aby kończyło się na „ski”. Każdy chce sobie troszkę szlachectwa przydać, choćby dzięki tej formie. Ciągłe się pytali, co to ten Żmij, co to znaczy. Nie chciało mi się już tłumaczyć, że to ponoć smok warszawski, który zamienił się w skarpe wiślaną – odparł Joachim. Niepokoiło go zuchwałe spojrzenie, jakim brat nieustannie patrzył na Kalinę, a także jakieś pytania, które zadawał jej szeptem, gdy Joachim znalazł się wystarczająco daleko, by nie usłyszeć słów muzyka.

Po tych nieoczekiwanych powitaniach Laurenty oprowadził brata i szwagierkę po świeżo wybudowanym budynku zajazdu, pokazał wszystkie izby,

łącznie z kuchnią, która najbardziej Kalinę zainteresowała. Wstępnie we trójkę ustalili warunki i zasady, na jakich prowadzony będzie zajazd, i wspólnie postanowili, że szyld, jaki muzyk każe wymalować, brzmiał będzie U Kaliny. Umowę przypieczętowali butelką węgryna, po której Kalina poczuła zawroty głowy. Sam widok Laurentego wywołał w niej natłok emocji i wrażeń.

Zanim dosiadła konia, na grzbiecie którego przybyła na Długą wraz z Joachimem, stała przez kilka minut przed pięknym w jej oczach, nowym budynkiem z modrzewiowych bali, o pochyłym dachu i z nieuporządkowanym jeszcze obejściem, napawając się myślą, iż oto zaczyna nowy etap w życiu. Jeśli czcigodna Anna Waza zwolni ją ze służby i pobłogosławi na dalszą drogę, rozpocznie wreszcie samodzielne życie, dowolnie nim rozporządzając. Była na to gotowa, podobnie jak gotowa była powiedzieć „tak”, gdy tylko Joachim oficjalnie poprosi o to, by oddała mu swoją rękę.

Korzystając z okazji, że Kalina oddaliła się i czekała na niego na zewnątrz, Joachim przed pożegnaniem brata uściskał go z całych sił i z uśmiechem powiedział:

– Pewnie się domyśliłeś, drogi bracie, że to właśnie Kalina jest tą niewiastą, o której ci wspominałem. Tą, której oddałem serce i którą chcę poślubić. Co to za przypadek, że miłuję akurat twoją szwagierkę! Los bywa przewrotny, czyż nie?

Laurenty pobladł. Słowa brata sprawiły mu ból. Do tej chwili nie pomyślał, że to Kalina była narzeczoną Joachima. Zazdrość, jaką poczuł, pogłębiła tylko irytację i złość, jakie coraz częściej odczuwał wobec brata. Irytowały go jego niewyczerpane zasoby witalności, ten jego nieschodzący z ust radosny uśmiech, świetny humor, rzucane co rusz żarciki... Czy to się jej tak spodobało, ta wesołość? Obaj bracia fizycznie byli do siebie podobni, nikt nie powiedziałby, że ich oblicza były szpetne, choć rzecz jasna Joachim jako młodszy i wyższy prezentował się nieco lepiej niż Laurenty. Joachim miał też smykałkę do interesów, urok osobisty i dar krasomówczy, dzięki któremu udawało mu się wiele zdziałać. Ale był tylko kupcem bez majątku, obieżyświatem bez stałego miejsca na lądzie... Z kolei lutnista był majątnym, poważanym obywatelem Starej Warszawy, do tego zawsze był elegancki, zadbany i wytwornie ubrany. Czy nie tego pragnęłaby niewiasta z otoczenia Anny Wazówny? Gdyby Kalina mogła wybierać między Żmijami, którego z nich by wskazała?

Laurenty uśmiechnął się pod wąsem i żegnając się, szepnął do brata:

– Lepiej powiedz Kalinie o kłątwie, nie popełnij tego błędu, jaki ja zrobiłem. I nie omieszkaj jej wyjawić, że masz tam w Gdańsku niewiastę, którą zostawiłeś tylko dlatego, że powiła syna!

Uśmiech Joachima natychmiast zgasł. Laurenty odwrócił się na pięcie, aby ukryć radość malującą się teraz na jego obliczu.

Dom gościnny U Kaliny otworzył swoje podwoje pod koniec lata tysiąc sześćset dwudziestego czwartego roku ucztą, jaką lutnista kapeli królewskiej wyprawił na cześć wielmożnych przedstawicieli magistratu. Dzięki udzielonej przez nich pożyczce pod zastaw domu Pod Lutnią okolice Warszawy wzbogaciły się o tak potrzebny w czasach rozwoju miasta nowy zajazd – miejsce przygotowane z myślą o przybywających do siedziby króla podróżnych.

Uchtę przygotowała w głównej mierze Kalina, która zarządzała personelem złożonym z dwóch powabnych szynkarek, trzech dziewczek, dwóch parobków i uczącego się na kucharza chłopaka o imieniu Bolek. Nie wszyscy goście zmieścili się przy stołach głównej izby budynku. Część mniej znamienitych gości i piastujących mniej ważne funkcje w organach Starej i Nowej Warszawy usadzono przy ławach wystawionych na dworze. Do ostatniej chwili kilku parobków porządkowało obejście wokół domu, nad wrotami którego wisiała deska z wymalowaną na niej czerwoną i zieloną farbą nazwą przybytku. Ławy rozstawione w otoczonym krzakami i drzewami owocowymi ogrodzie – pozostałości po dzikim sadzie, jaki rósł na tej działce – ugięły się od wybornego jądła. Przygotowane przez Kalinę i jej pomocników potrawy cieszyły się wielkim powodzeniem, a zwłaszcza limoniata z ryb w ostrym sosie limonkowym oraz duszone przepiórki w sosie z szafranu, pieprzu, imbiru i cynamonu.

Laurenty z nieskrywaną dumą zagadywał coraz bardziej opitych i rozbawionych gości, spośród których znakomitą większość stanowili zacni obywatele Starej i Nowej Warszawy, w tym rajcy miejscy, kilku pisarzy radzieckich, syndyk, szafarz, a nawet przedstawiciele najbardziej wpływowych rodów: panowie Baryczka i Giza. Przybyło też wielu muzyków z kapeli królewskiej, dostawcy dworscy, krawcy, hafciarze z małżonkami, malarz florencki pracujący na dworze Pietro di Luca, alchemik z Wenecji Paolo Bressano, kilku księży i zakonników, cukrownik dworski Henriett Claude, dworzanie niemieckiego i francuskiego pochodzenia – jednym słowem – warszawska elita. Laurenty pękał z dumy i wypił tego wieczoru znacznie więcej wina, niż powinien.

Towarzystwo weseliło się i bawiło w najlepsze. Kilku młodych muzyków przygrywało im uroczym madrygały, odświętnie ubrane szynkarki dolewały szczerze wina do kielichów. Rozświetlona pochodniami i blaskiem księżycy parna noc przesycona zapachem pachnących kwiatów i balsamicznej woni roślin zdawała się nie mieć końca.

Przed dziewiątą wieczorem, gdy już zmierzchało, wstano od stołów, uprzątnięto środek sali i rozpoczęto wesołe tańce, w których prym wiódł Joachim. Najpierw wyciągnął rękę ku Kalinie i poprowadził ją na środek izby, wykonał kilka płaśów wokół niej, razem zatańczyli kilka figur, po czym Joachim ustawił dziewczynę na samym środku izby i zaczął wykonywać budzące wesołość ruchy.

Zabawa polegała na tym, aby niewiasta uczestnicząca w tańcu jak najdłużej powstrzymywała się od śmiechu. Widząc, jak Joachim krąży wokół niej niczym bocian i robi do tego zabawne miny, Kalina parsknęła śmiechem, co jej partner uznał za zwycięstwo. Ujął jej dłoń i wspólnie zatańczyli, prawidłowo, z należytą powagą wykonując wszystkie piruety i ukłony. Zaraz inne pary poszły w ich ślady, dopóki nie odwrócono kolei rzeczy i teraz to białogłowy wybierały sobie mężczyzn, których starały się zmusić do śmiechu. Z wielką swobodą, ku ogólnej wesołości, rozgrzane winem niewiasty poczynwały sobie bardzo swawolnie, kusząc swoich tancerzy zabawnymi, a także rozpalającymi męskie pragnienia ruchami ciała i próbując doprowadzić ich do wybuchu wesołości.

Kolejna zabawa polegała na tym, że na rozłożonym na deskach podłogi kilimie położono piórko. Mężczyźni i kobiety z rękoma związanymi na plecach starali się pochwycić je ustami i podnieść do góry. Nieporadne próby wywołały salwy śmiechu obserwatorów tego zadania.

Gdy zakończone zwycięstwem pewnego hafciarza zmagania z piórkiem nieco się towarzystwu znudziły, do budynku wpadł pewien mężczyzna, ciągnąc na powrozie bal drewna. Powróż zarzucił synowi kupca korzennego, który miał na Rynku Staromiejskim sklep i kilka kramów, ten zaś przygnieciony przez ogromny ciężar musiał na środku izby wykonać taniec. Następnie powróż przerzucił innemu kawalerowi, ten jakiejś pannie i tak po kolei, dopóki jedna z młodych panien, córka pisarza radzieckiego, nie zdjęła ciężaru z szyi młodego chórzysty i nie zadeklarowała, że go uwalnia, co wszyscy obserwujący zabawę uznali za pozwolenie na staranie się o jej rękę.

Kiedy po dziesiątej, chcąc zdążyć przed zamknięciem Bramy Nowomiejskiej, większość gości opuściła zajazd, garstka tych, którzy zostali z zamiarem doczekania do poranka, przy blasku latarenek i dźwięku cykad rozprawiała o bieżących wydarzeniach.

Ciesząca się powszechnym szacunkiem piękna mimo dojrzałego wieku żona cukiernika opowiedziała o zmarłym ledwie kilka dni temu wójcie Czerska, który w niedzielny poranek wstał jak zwykle wcześnie i kiedy sługa pomagał mu przywdziać żupan, wójt po prostu padł na kolana nieżywy. A poprzedniego dnia bez umiarkowania pił wino, startując w zawodach, kto podczas wieczerzy więcej butelek węgrzyna w siebie wleje.

Opowieść ta wywołała temat dziwnych zgonów. Wspomniano bawiącego niedawno w okolicach Warszawy kasztelana sandomierskiego, który przywiózł do miasta swoją świeżo poślubioną małżonkę, siedemnastoletnią dziewczynę młodszą od męża o trzydzieści sześć lat. Chcąc dogodzić małżonce i przetrzymać całą noc miłosnych zmagania, kasztelan zażył pewien specyfik przygotowany z ziół i sprowadzanej z obcych krajów substancji, lecz jego nieszczęsne serce nie wytrzymało i padł trupem, ledwie wybiła północ.

Zaraz też zaczęto opowiadać sobie mrozące krew w żyłach historie o dziwnych zdarzeniach, których nie sposób wyjaśnić jedynie mocą rozumu czy wiarą w Boga. Dworzanin królewski Kacper Woźny opowiedział historię zasłyszaną od swojego brata, który przez kilka lat walczył u boku hetmana Żółkiewskiego i mówił o tym, jak spotykał żołnierzy, których nie zabijały kule muszkietów. Dzięki diabelskim sztuczkom każdy pocisk w nich wycelowany nie przeszywał ponoć ciała, ale tworzył znikający po paru dniach guz. Kupiec korzenny opowiedział z kolei historię o tym, jak ledwie uszedł z życiem z wyprawy, która skończyła się na bagnach wokół Elbląga, gdzie wedle powszechnej wiedzy mieszkają złe duchy, które przeszkadzają ludziom w pracach, rzucają uroki i czatują na ofiary, gubiąc je w cuchnących wyziewach i mgłę. Towarzysz owego kupca nie wydostał się z owego bagna, zaś po tych potwornych wydarzeniach zaopatrujący królewski dwór w orientalne przyprawy mężczyzna był bliski obłądu, przez wiele tygodni zmagając się z sukubem – demonem, który przybrał postać zmarłej w młodości narzeczonej kupca i nawiedzał go co noc, doprowadzając do pomieszania zmysłów.

Joachim opowiedział o osobliwym doświadczeniu, jakie spotkało go, gdy wyruszał z portu gdańskiego i jak najszybciej musiał dotrzeć do wybrzeży Szwecji. Pewien kupiec zaproponował mu wówczas, że sprzeda mu wiatr. Ponieważ Joachimowi bardzo zależało na czasie, kupił wiatr za kilkanaście szelągów. Otrzymał od kupca chustkę zawiązaną w trzy węzły: pierwszy zawierał wiatr łagodny i pomyślny, drugi silny wiatr, trzeci zaś sztorm. Będąc już na statku, rozwiązał pierwszy supeł i wypróbował pierwszy z wiatrów, który okazał się zbyt łagodny. Następnie Joachim rozwiązał drugi supeł. Zerwał się silny wicher i popchnął statek po wodach z wielką siłą. Żmijewski był już niemal spokojny, iż dotrze do celu w wyznaczonym terminie. Nie zauważył, jak nieopatrnie chustka wypadła mu gdzieś na pokładzie statku, podniósł ją marynarz i szukając w niej pieniędzy, rozwiązał trzeci supeł. Wówczas niebo niemal natychmiast pociemniało i zerwał się sztorm. Tak potwornie żywił ów miotał statkiem, że rozbili się o skały, na szczęście już u wybrzeży szwedzkich.

Laurenty nie słuchał zbyt uważnie tych opowieści. Zdawał sobie sprawę, jak niesamowite historie jest w stanie wymyślać jego brat, który zawsze umiał barwnie i ciekawie opowiadać, czarując swych słuchaczy. Od dziecka koloryzował i fantazjował. A robił to przy tym wszystkim z wielkim urokiem. I ten urok działał nadal. Wzrok muzyka co chwila wędrował ku Kalinie, która z zaczerwienionym licem siedziała na ławie obok małżonki cukiernika i wyglądała jak bogini Flora z pewnego obrazu, który zdobił jedną z sal na Zamku Królewskim. Patrzyła oczarowana na rozprawiającego Joachima. Wyraz jej twarzy zdradzał wszystko.

Laurentego zaś męczyły natrętne myśli, że Kalina zamieszkała w należącym do niego domu, dostała swoją izbę na tyłach zajazdu i dzisiaj w nocy będzie spała

w swojej łożnicy. Świadomość ta nie dawała mu spokoju, tym bardziej że wiedział, iż także Joachim będzie nocował pod tym samym dachem. Nieustannie dręczyła muzyka myśl, iż jego brat będzie czynił starania, aby dostać się do łoża Kaliny. Zazdrość sprawiała, że pragnął szwagierki bardziej niż kiedykolwiek i zastanawiał się, jak ją osiąść.

Towarzystwo zasnęło w końcu, leżąc pokotem na ławach, gdy dogasał już ogień w wielkim kominku. Zbudziło ich gwałtowne walenie do głównych drzwi zajazdu. Posłaniec z Zamku przybył z wiadomością dla Laurentego: z rozkazu miłościwego króla, w związku z wybuchem zarazy na ziemi mazowieckiej, cały dwór królewski, w tym także kapela królewska, mają niezwłocznie opuścić Warszawę.

Lutniście nie pozostawało nic innego, jak zabrać czym prędzej swoje osobiste rzeczy, nakazać służbie pakować skrzynie i zostawiając ledwie poświęcony zajazd w rękach swojego brata i szwagierki, czym prędzej udać się na Zamek.

Śpiący jeszcze goście obudzili się w ten słoneczny, sierpniowy poranek w doskonałych nastrojach. Dziewki podały im kaszę na słodko i dobrą na pijackie dolegliwości maślankę. Nikt z nich jeszcze nie wiedział, jaka trwoga zagościła w sercach Joachima i Kaliny. Czy dobry Bóg uchroni Warszawę i jej okolice przed morowym powietrzem?

8.

Laurenty w towarzystwie parobka i służącego udał się do Zamku, skąd miał wraz z całym dworem opuścić Warszawę i przeczekać trudny okres w letnim pałacyku w Jazdowie. W pośpiechu zdążył jeszcze przekazać bratu i Kalinie informację o nadciągającej do miasta zarazie. Żegnali go oboje, obiecując pilnować dopiero co otwartego zajazdu i nie opuszczać miasta. Joachim uspokajał wszystkich, twierdząc, iż gdyby morowe powietrze miało dotrzeć do Warszawy, to stałoby się to już kilka tygodni wcześniej, gdyż dzuma najczęściej atakuje po okresie upałów, a tutaj nadal było jeszcze bardzo gorąco. Kalina nie mogła jednak odegnąć niepokoju. Czyż nie był złym znakiem fakt, iż ledwie zajazd został otwarty, a już spadła na nich tak wielka trwoga?

Zły omen sprawiał, że z przerażenia nie mogła spać, co rano spodziewając się najgorszego. Nadszedł wrzesień, ale nic złego się nie działo. Do zajazdu przybywali pierwsi podróżni, opróżniono pierwsze beczki piwa i wina. Goście zachwalali jadło, jakie przygotowano wedle instrukcji Kaliny.

„Czy dobrze postąpiłam? Dwór Anny Wazówny u progu lata wyjechał do Brodnicy. Gdybym pojechała z nimi, mogłabym uniknąć zarazy. A tu, w mieście?” – zastanawiała się Kalina. Joachim pocieszał ją: zajazd znajdował się na uboczu, poza murami miejskimi. Byli razem. Obiecał jej, że gdy tylko sytuacja się uspokoi

i wróci do miasta Laurenty, weźmie Kalinę za żonę. Na razie – jak przekonywał – mogą żyć pod jednym dachem jak mąż i żona, nikt w obecnej sytuacji nie zwróci uwagi na ich zażyłość.

Ale Kalina bardzo dbała o to, aby nikt ze służby nie dostrzegł łączącej ją i Joachima namiętności. Na okazanie uczuć pozwalała sobie dopiero wówczas, gdy pod osłoną nocy pojawiał się w jej skromnej łóżnicy, która była niewygodna i zbyt ciasna dla dwóch osób. Poddawała się jego pieścizdom z wielką chęcią, nieustannie zadziwiona tym, jak bezpiecznie i błogo czuła się uczepiona jego ramion, zupełnie jakby dryfowali oboje na rozkołysanych wodach morza. Zasypiali po kilkudziesięciu minutach miłosnych zmagania, ona wtulona w zagłębienie jego obojczyka. On ukojony, ona zawstydzona rozkoszami, jakimi zaskakiwało ją ciało.

Szybko zdała sobie sprawę, że Joachim był mężczyzną, który nieustannie potrzebował publiczności. Był duszą towarzystwa, snuł barwne opowieści, ochoczo wznosił toasty, w popisach krasomówczych był mistrzem. Kalina miłowała go coraz mocniej i z każdym dniem obawiała się, że jeśli pozostaną zdani tylko na siebie, Joachim od niej ucieknie. Ciągłe zajęty był w mieście jakimiś interesami, przeprawiał się do wsi Skaryszew, coś sprzedawał, coś kupował albo wymieniał, ale przecież tak naprawdę był wolny. Wystarczyło, żeby dosiadł konia i któregoś dnia po prostu odjechał do Gdańska, a może dalej, gdzieś w świat, który tak go kusił swoją egzotyką.

Pod koniec września wieść o zagrożeniu zarazą błyskawicznie rozniosła się po mieście. Ludzie opowiadali o przypadkach zarazy w oddalonych od Warszawy wioskach. Zajazd gwałtownie opustoszał, a Joachim zmuszony był groźbą skłonić niektórych gości do uregulowania rachunku i zapłacenia odpowiedniej sumy. Jeden z klientów próbował nawet zbiec, ale został w porę zatrzymany przez Joachima, gdy na skradzionym koniu zmierzał w kierunku wsi Pólków.

Warszawa wyludniła się niemal z dnia na dzień. Najpierw długi orszak królewskich karet i wozów przetoczył się drogą w kierunku Czerska i w pośpiechu opuścił miasto, chroniąc się przed zarazą w Jazdowie. Po kolei opuszczali swe domy i siedziby królewscy urzędnicy, magnaci przebywający w Warszawie, a nawet kościelni dostojnicy. Ruch na traktach wychodzących z miasta sprawiał, że pokrywający je pył zatruchiwał powietrze i osiadał ciekłą warstewką na roślinach, które Kalina kazała posadzić parobkom wokół wejścia do zajazdu.

W kościołach księża zaczęli ostrzegać wiernych przed nadejściem zarazy. Wzywano rozpustny lud Warszawy do opamiętania się i odbycia rychłej pokuty za grzechy. Napelniające trwogą kazania głoszone w kościele Świętego Ducha przy Nowomiejskiej sprawiły, że ludzie opuścili świątynię z poczuciem nadchodzącej katastrofy. Wielu ruszyło się wypowiadać i leżeć krzyżem na kamiennej posadzce. Na ulicach pojawili się biczownicy, nawołujący ludzi do bolesnej pokuty.

W mieście zapanował nastrój przerażenia i wyczekiwania na nadejście

zapowiadanej kary za grzechy. Szynki i gospody niemal opustoszały, handlarze winem i piwem liczyli straty i ubolewali nad tym nagłym nawróceniem wesołego narodu. Dziewczęta z wieży katowskiej narzekały na brak klientów i z nudów kręciły się wzdłuż murów miejskich, sprzedając wiązanki kwiatów.

Powszechny strach udzielił się też Kalinie i po powrocie z wieczornej mszy opierała się przyjemnym pieścizdom Joachima, który nie wierzył w napomnienia klechów, bo – jak sam mówił – nie są lepsi od swoich wiernych, takie same potrzeby mają względem ciała i ducha, a często nawet bardziej folgują swoim słabościom w picciu, jedzeniu czy uciechach cielesnych.

– Nie bluźnijcie, Joachimie! Może teraz właśnie decydują się nasze losy, może jest szansa, aby Bóg nie zesłał na nas zarazy... Powinniśmy żyć w czystości! Nie możemy dawać upustu naszym afektom! – Kalina uczyniła znak krzyża.

– Naprawdę myślisz, Kalino, że teraz, kiedy ważą się losy tyłu istnień i wisi nad nami groźba morowego powietrza, Bóg uzna naszą miłość za zniewagę? – Joachim objął jej kibić i Kalina poczuła narastające pragnienie, by mocniej otoczył ją ramionami, wziął na ręce – jak zwykł to robić – zaniósł na łożnicę i przygniótł ją swoim ciałem, mówiąc przy tym – to też miał w swoim zwyczaju – o tym, jak jest gładka, jak powabna, jak on ją miłuje i czci.

– Ach, leśna wróżko, lepiej mnie pocałuj. Kto wie, ile czasu nam zostało! – szepnął jej do ucha i wsunął w usta miękki język, na który zareagowała natychmiast, czując znajome mrowienie między nogami.

9.

W październiku zaraza zaatakowała Warszawę i jej okolice.

Któregoś deszczowego dnia Kalina, brodząc w wyjątkowo obfitym błocie, skierowała swe kroki ku straganom otaczającym drewniany ratusz nowomiejski. Przechodząc obok wznoszonej właśnie okazałej świątyni pod wezwaniem Świętego Jacka i w pobliżu fundamentów wznoszonego od kilku miesięcy klasztoru ojców dominikanów, zauważyła niecodzienne zamieszanie. Przybliżyła się, widząc jakieś pobudzenie wśród tłumu gęsto wypełniającego przestrzeń między straganami i stoiskami.

Wśród handlarzy, kupujących, robotników, służby, partaczy, zakonników i księży szeptano tylko o jednym: rano w kilku domach w obrębie murów Starej Warszawy zmarło na morowe powietrze co najmniej pięć osób. Rozprawiano o objawach choroby, takich jak gorączka, osłabienie, poty i czarne wrzody na ciele, po których następowały ponoć dreszcze, majaczenie i zgon.

Niemal natychmiast na Rynku pojawiły się kobiety nawołujące do kupowania małmazji, bo jak krzyczały, nic nie uchroni przed zarazą skuteczniej niż dobre białe wino z domieszką ziół, najlepiej piołunu.

Handlarka śledzi zdawała się najbardziej zorientowana w temacie i spierała

się z jakimś szukającym doraźnej pracy partaczem o wesołkowatym usposobieniu w kwestii skuteczności maści sporządzonej z ptasiego łąjna z dodatkiem miodu, która to rzekomo goiła wrzody na skórze.

Ktoś zaintonował śmieszny piosenkę opowiadającą o ludziach padających jak muchy, za co został niemal zlinczowany przez tłum.

– Róbcie zapasy, nie wiadomo, co to będzie! – nawoływała rezolutna handlarka zza drewnianej ławy pełnej korpusów kaczek, kur i kapłonów. Wiele osób robiło znak krzyża, ilekroć słyszeli określenie „morowe powietrze”, po czym zaczynało się modlić w głos i uciekać w stronę swoich domów.

– Po prawdzie to zasłużyliśmy tu wszyscy na boską karę. A toć mi się ledwie wczoraj wnuk narodził, długo nie nacieszy się tym światem, zemrze pewnie raz i dwa. A taki jest gładki, taki pulchny! – załkała starowina handlująca zebranych w puszczy grzybami.

– Ostatni raz tak się bałam, kiedy na Warszawę miała napaść banda innowierców. Ale wtedy udało się odeprzeć Turków, a teraz... Skąd oczekiwać pomocy? – zastanawiała się znajoma Kaliny, żona miodownika Tomasza, którego pierniki uważano za najlepsze w mieście.

Kalina również była przerażona. Czym prędzej nabyła tylko kilka ingrediencji, aby przygotować ulubione łakocie Joachima, i zawróciła na Długą, rezygnując z kupna sukna na kobierce, które zamierzała nakazać uszyć nudzącej się z powodu braku gości służbie zajazdu.

W ciągu zaledwie kilku kolejnych dni miasto ogarnęła morowa panika. Każdego dnia liczba chorych, a także zmarłych rosła. Ci, którzy mieli dokąd, w pośpiechu i panice uciekali z Warszawy i okolic. Miasto całkiem niemal ucichło. Zamilkła dotąd wszechobecna muzyka – dochodzące z kościołów i karczm śpiewy oraz dźwięki instrumentów zastąpiła złowieszczą ciszą, przerywana odgłosami wyjących psów albo jęków chorych i tych, którzy wypłakiwali na głos swoją stratę i swój lęk. Dzwony kościelne brzmiały niczym sygnał nadchodzącej śmierci. Tonące w szlamie i ekskrementach ulice cuchnęły trupią wonią, której nie łagodziły nawet trzymane przy ustach przez przechodniów chustki, nasączone wonnymi olejkami.

Powszechnie uważano, że przyczyną zarazy jest konstelacja ciał niebieskich, choć niektórzy rozgłaszali opinię, iż wszystkiemu winna jest przegrana bitwa z Turkami pod Cecorą, gdyż w jej wyniku niepogrzebana została olbrzymia ilość trupów ludzi, koni i wielbłądów, co z kolei z biegiem czasu wywołało tak gwałtowną epidemię.

W związku z tym, co się działo, Kalina biła się z myślami, czy nie rzucić w diabły zajazdu, który i tak na dobre nie zaczął jeszcze funkcjonować, i nie uciec z Joachimem do Brodnicy czy Golubia, i tam, u królowy Anny szukać schronienia. Jednak Joachim uspokajał ją i przekonywał, że pozostawienie

wzniesionego tak wielkimi kosztami i staraniami obiektu zapewne doprowadziłoby do jego dewastacji albo spalenia. Ucieczka byłaby też oznaką rażącej niewdzięczności wobec Laurentego. Kalina w duchu przyznawała rację ukochanemu, wiedząc, że ma wobec muzyka dług wdzięczności.

„Co będzie, to będzie, mamy siebie, nie oszukamy przeznaczenia, Kalino. I tak nic nie możemy zrobić. Radujmy się z tego, że jeszcze żyjemy” – mówił Joachim, a kiedy przyciskał ją do swojego krzepkiego ciała i szerokiej piersi, jej lęki tłumila chwilowa błogość.

Żyli więc chwilą, chociaż Kalina porozwieszała w kątach domu poduszeczki wypełnione mieszanką z suszonego piołunu i widłaka gwiaździstego, nacierała co wieczór swoje ciało (a gdy Joachim zasnął, także jego tors i pachy) olejkami lawendowym, zaś w ciągu dnia okadzała wnętrze izby, w której przebywali dymem z widłaka. Ilekroć zaś opuszczała zajazd, zawsze miała na piersiach wisior z jasnozielonym kamieniem bezoarem, który miał ochronić ją przed zarazą.

Ci, którzy nie mieli dokąd wyjechać z Warszawy, modlili się ponad miarę, spotykając się tłumnie na mszach rano i wieczorem. Na ścianach kamienic zawisły ogłoszenia zachęcające do nabycia „cudownych eliksirów”, „boskich nalewek” i innych specyfików mających moc ochrony przed zarazą. Oferowano też bezpośrednią sprzedaż penisa wieloryba i zalanego spirytusem bazyliuszka, święte medaliony i zęby świętego Ignacego, wszystko o wyjątkowej skuteczności w walce z morowym powietrzem.

Nocą słyhać było wycie psów i przypominające jedną ponurą pieśń jęki konających chorych. Coraz częściej lęk przed bólem i śmiercią w mękach sprawiał, iż rodziny wyrzucały na ulicę albo wynosiły na zbocze Gnojnej Góry konającego domownika. Morowa panika doprowadziła niektórych do najbardziej odstręczających czynów: coraz to słyszano o dobijaniu chorych albo wyrzucaniu trupów przez okna domów, choć władze magistratu surowo zakazywały tego typu postępów.

Coraz częściej zdarzało się, że psy jadły trupy w dużej liczbie leżące na ulicach, magistrat więc musiał narzucić ludności surowe zasady postępowania. Król ze swojej szkatuły wyasygnował sporą sumę dukatów, które miały uratować miasto.

Pod osłoną nocy ze Starej Warszawy uciekli jezuici, zaraz po nich dominikanie ze Świętojerskiej, opuszczając budowę kościoła i zostawiając zamkniętego w nim młodego zakonnik, który spowiadał przerażonych wiernych przez zakratowane okienko we wrotach do wnętrza świątyni, dopóki sam nie zaraził się dżumą i nie skonał w samotności.

W związku z tragiczną sytuacją władze miejskie powołały na specjalne stanowisko burmistrza powietrznego aptekarza Łukasza Drewnę, który z wielkim poświęceniem starał się ratować Warszawę. Powołani przez ratusz strażnicy

powietrzni w niebiesko-czerwonych sukniach z czarnym krzyżem na piersiach budzili powszechny popłoch. Przemierzając okolice Starej Warszawy, oznaczali coraz to nowe drzwi domostw czarnym krzyżem, co oznaczało, iż w danym domu zaraza zbiera swoje żniwo. Do zapowietrzonego domu nie wpuszczano nikogo.

Strażnicy nadzorowali też kopaczy morowych, zatrudnianych spośród ludzi trudniących się dotąd najohydniejszą pracą. Mężczyźni ci, ubrani w specjalne kapy z naszytym krzyżem i szerokim kapturem, uzbrojeni w łopaty, rydło, postronki i zapasy gorzałki, oczyszczali ulice i pobocza dróg z trupów. Chodzili od domu do domu, sprawdzając, czy nie ma w nich zwłok dotkniętych dżumą, a jeśli takowe znajdowali, nieboszczyk zabierany był z domu na specjalny wóz, który wywoził sterty ciał poza miasto, a tam posypywane były przed wrzuceniem do dołu wapnem, ługiem albo zalewane smołą.

Niekiedy w obawie przed zamknięciem domu i oznaczeniem go czarnym krzyżem ludzie po kryjomu wynosili zwłoki zmarłej osoby nad rzekę i topili je w wodzie. Straż każdy taki przypadek karała śmiercią przez powieszenie i była w tym bezwzględna, nie bacząc nawet na to, że najczęściej do ukrywania albo porzucania zwłok skłaniał ludzi paniczny lęk.

Kalina niejednokrotnie widziała, jak nagie, pokryte czarnymi wrzodami zwłoki spuszczano z górnego piętra na postronkach z okna, a wiecznie pijani kopacze naśmiewali się z nieszczęsnego nieboszczyka, zwłaszcza gdy zmarłą była kobieta. Ohydne to było i obrzydliwe. Zastanawiało ją nieraz to, że ci, którzy tak często mieli styczność z ofiarami morowego powietrza, sami niemal nigdy nie zarazali się chorobą. Ludzie mówili, że kopacze dzielą się między sobą tajemną recepturą octu, który zapewnia pełną ochronę przed zarazą.

Władze miejskie zalecały, aby dbać o oczyszczanie ulic i obejścia przed własnymi domami. Apelowano, by nikt nie kupował przedmiotów i szat niewiadomego pochodzenia, ale im bardziej rosła liczba zmarłych – a w listopadzie stwierdzano po trzysta czy więcej zgonów dziennie – tym więcej pojawiało się krążących wieczorami po domach handlarzy proponujących cenne przedmioty, złoto, perły, kosztowne stroje, hebanowe szkatuły, srebrne łyżki czy zdobione zwierciadła – wszystko to pochodzące z okradanych, pustych domów, w których zmarli domownicy.

Na początku epidemii Joachim wyprawiał się do okalających miasto wiosek, gdzie prowadził swoje handlowe interesy, jednak szybko wszelki handel w Warszawie i jej okolicach zupełnie ustał. Życie niemal zamarło. Nakazem magistratu zamknięto łaźnie publiczne, gospody i szynki. Wraz z nadejściem jesiennych słońc i ciemności zatrzymany został handel na Wiśle. Port zamknięto, opustoszał Rynek Starego Miasta, znikły tak dotąd liczne stragany i stoiska kupieckie. W mieście coraz bardziej brakowało jedzenia, gdyż wyznaczone przez magistrat dzienne racje chleba nikomu już nie wystarczały.

Kalina i Joachim mieli za to wypełnioną po brzegi spiżarnię, która przygotowana była na przyjęcie licznych gości bawiących w zajeździe. Przybytek stał zupełnie pusty. Beczki piwa i wina, beczki z kapustą, suszone kiełbasy, grzyby, zapasy słoniny, kaszy, mąki i miodu pozwalały do woli cieszyć się doskonałym jadłem i napitkiem.

Kalina gotowała i wypiekała ulubione potrawy ukochanego, który uwielbiał wszystko, co zaskakiwało połączeniem smaku słodkiego z kwaśnym. Robiła więc kruche wafelowe rurki – ulipki z kwaśną śmietaną, szykowała imbir pieczony w cukrze, pasztet migdałowy z dodatkiem przetartych winogron czy marcepan z piany cukrowej. Całymi godzinami z tego, co udało jej się kupić czy wymienić, smażyła różne konfekty, przez jedzenie których Joachim miał jeszcze więcej ochoty na ich wspólne igraszki w łóżnicy.

Nie zapominała też o potrzebujących i chociaż Joachim przestrzegał ją, aby pilnowała ich zapasów, codziennie zanosila po trochu kaszy i mąki kobietom zebrzącym o jedzenie na ulicy Nowomiejskiej.

Oboje zapijali swoje lęki węgryzmem i małmazją, a potem godzinami polegiwali w ciepłe rozpalonego kominka i folgowali miłosnym potrzebom. W chwilach odpoczynku Joachim opowiadał ze szczegółami swoje przygody z podróży morskich. Kalina leżała wtulona w jego ramiona i słuchała z zapartym tchem tych barwnych, mało prawdopodobnych, ale opowiadanych z fantazją i pomysłowością historii.

– Powinieneś je spisać, mój miły! Obiecuj, że to zrobisz! – mówiła, chwając jego język i wspinała opisy egzotycznych krain oraz ludzkich typów.

Zauważyła, że Joachim był szczególnie łasy na pochwały, ale największą przyjemność sprawiał mu śmiech Kaliny, ilekroć więc mówił o zabawnych zdarzeniach albo opowiadał jakiś żart, ona zawsze śmiała się uroczo, chwając jego dowcip, choć w duchu nieraz chciało się jej płakać – czuła ogromną trwogę, myśląc o tym, że kocha tak bardzo, że już bardziej nie można, a ta miłość w każdej chwili może zostać brutalnie przerwana i zgaszona przez zarazę.

Co rano sprawdzała, czy Joachim i ona nie mają gorączki, oglądała dokładnie skórę, sprawdzając, czy nie pojawiają się na niej guzy albo opuchlizna pod pachami. Jak dotąd byli zdrowi.

Pewnego dnia Kalina wybrała się do apteki, gdzie chciała nabyć zapasy ziół potrzebnych do okadzania domu i preparowanych przez siebie smarowideł. Postanowiła też kupić truciznę – podjęła decyzję, iż jeśli zobaczy u siebie czy ukochanego symptomy choroby, zażyją śmiertcionośne krople.

Teraz też częściej niż kiedykolwiek wcześniej myślała o swoim synu. Czy żył? Jakie miał szanse na uniknięcie zarażenia w rodzinie biednego rybaka? Niekiedy budziła się w środku nocy, myślała o tym, jak pełny ma żołądek, podczas gdy jej ośmioletnie dziecko być może cierpiało głód... A gdyby tam pójść w dół

Rybitwią²⁸, spróbować odszukać chatę tego flisaka, w której ojciec Bonifacy umieścił jej synka? „Może jeszcze żyje?” – myślała, aby zaraz się opamiętać. To, że przetrwał, było mało prawdopodobne.

A może jednak zejść do Wisły? Biła się z myślami, ale na tym się kończyło.

Na ulicach niemal całej Starej Warszawy nie było teraz żywego ducha, tak wiele domów stało opustoszałych albo zabitych deskami. Jedynie bijące na trwogę dzwony licznych kościołów przypominały, że to wciąż to samo miasto, w którym ludzie kiedyś umieli cieszyć się życiem.

Nakazem burmistrza powietrznego wywożono chorych, a nawet tych, których tylko podejrzewano o zarażenie się, poza miasto, na wyspę na Wiśle zwaną Kępą Pólkowską, gdzie odseparowani od reszty świata konali w zimnych szałasach i szybko byli zakopywani w masowych grobach.

Po tym, jak Kalina zobaczyła kiedyś wiezionych w kierunku Wisły na wozie z sianem kilkunastu ściśniętych chorych, poprzysięgła sobie, że zrobi wszystko, aby ona ani Joachim nie dogorywali w tej umieralni. Oby tylko zdołała podać im na czas truciznę! Zrobi to, mimo że za odebranie sobie życia mogli się skazać na wieczne potępienie.

Widok gnijących ciał, pokrytych czarnymi, zropiałymi pęcherzami, nieprzytomnych oczu trawionych gorączką nieszczęśników prześladował ją przez wiele dni i nocy. Decyzję o ewentualnym zażyciu trucizny łągodził nieco strach przed wrzuconym gdzieś do wspólnego grobu ciałem. Tak czy owak, szansa na zapewniający spokój duszy pochówek była niewielka. „Będziemy razem umierać i razem smażyć się w piekle” – mówiła sobie w duchu, patrząc z tkliwością na swojego ukochanego, który zdawał się odporny na strach przed śmiercią.

Przechodząc opustoszałą jak nigdy dotąd uliczką Krzywe Koło, tuż obok należącego do Laurentego domu, Kalina zauważyła, jak trzech młodych kopaczy morowych wychodzi z kamienicy sąsiadującej z domem Pod Lutnią i wynosi z jej wnętrza wypchane worki, tak ciężkie, że chuderlawi mężczyźni z trudem dają radę je unieść.

– Idźcie stąd, niewiasto! Byle szybko! W tym domu cała rodzina pomarła, ostało się jeszcze zarażone powietrze. Jeśli wam życie miłe, precz stąd! – zawołał w kierunku Kaliny jeden z chłopaków.

– Dlaczego wynosicie te rzeczy, skoro w domu była zaraza? Przecie nie wolno używać niczego, z czym miał styczność zmarły na dżumę! – odparła gniewnym tonem Kalina.

– Nie wasz interes, co wynosimy i dlaczego! Idźcie stąd czym prędzej, bo was siłą przegonię! – ryknął gniewnie najwyższy i wyglądający na najgroźniejszego kopacz.

Kalina odwróciła się i wzburzona sceną, której była świadkiem, pośpieszyła ku wylotowi ulicy, skąd było już bardzo blisko do apteki Pod Murzynem. Drzwi do

niej były jednak zamknięte. Kalina kilka minut stukała w nie pięścią, jednak nikt nie chciał jej otworzyć. Już miała odejść z niczym, gdy nagle poczuła, jak ktoś dotyka jej ramienia, odwróciła się odruchowo i zobaczyła przed sobą jednego z kopaczy, których przed kilkoma minutami spotkała koło Świętego Marcina.

– Jeśli szukasz, pani, ratunku u aptekarza, tracisz tylko czas i narażasz się na chorobę, chodząc po ulicach. Mam coś specjalnego, balsam, który uchroni przed zarazą każdego, kto posmaruje nim ciało. My, kopacze, nacieramy się nim każdego ranka!

– Macie do sprzedania ten sekretny ocet, który wam zapewnia zdrowie?

– Ano tak! To tajemna formuła... Nikt nie wie, że tym, co chroni przed zarazą, jest balsam wytworzony ze zwłok, a konkretnie z serca zdrowego mężczyzny!

Kalina wzdygnęła się, słysząc te słowa. Słyszała nieraz o drogocennych lekarstwach preparowanych ze zwłok zdrowych ludzi: cieszyły się wielkim uznaniem i miały wysokie ceny. Niektórzy aptekarze ponoć kupowali od grabarzy fragmenty ciał ofiar wypadków i przygotowywali z nich specjalne mikstury, dostępne dla najbardziej zamożnych i wpływowych ludzi.

– Nie wierzę ci! Czemu niby mielibyście dzielić się swoją tajemnicą? Taki specyfik możesz sprzedać komuś bogatemu, ja nie mam dukatów! – powiedziała gniewnie.

– Sprzedam ci odrobinę tego leku za tyle, ile możesz mi zapłacić, ale musisz przysiąc na rany Chrystusa i zdrowie twoich dzieci, że nie doniesiesz i nikomu nie powiesz o tym, żeś widziała, jak wynosimy rzeczy po zmarłych... Decyduj się szybko, muszę uciekać! – Chłopak rozglądał się nerwowo w obie strony, ale wąski przesmyk pozostawał pusty.

– Nie, nie chcę waszych lekarstw, nie potrzebuję! – rzuciła Kalina i czym prędzej ruszyła przed siebie w kierunku kościoła Świętego Jana. Poczuła, jak kopacz łapie ją za ramię, ale nagle zza zaułka ulicy Grodzkiej wyszedł jakiś zakonnik i widząc przed sobą niewiastę oraz kopacza, wykonał ręką znak krzyża i zaczął wypowiadać łacińskie słowa modlitwy. Kalina przeżegnała się i szybkim krokiem skierowała swe kroki ku majestatycznej budowli, która zawsze przejmowała ją wielkim zachwytem. Zerknęła na górującą nad miastem katedrę i podeszła pod zdobione wrota fary. Na szczęście były otwarte. Odetchnęła z ulgą, weszła do środka i czując duszny zapach kadzidła i stęchlizny, padła na kolana, intonując pieśń błagalną, która rozbrzmiewała wewnątrz kościoła.

Kiedy wróciła na ulicę Długą i opowiedziała Joachimowi o tym, jak spotkała kopaczy wynoszących z domu dotkniętego zarazą worki pełne rzeczy zmarłych, ten zafrasował się i stwierdził, że dla dobra ogólnego lepiej powiadomić strażę o tym, co widziała. Skoro ci, którym magistrat płaci za usuwanie zwłok, rozprawdzają po mieście zakażone przedmioty, wkrótce zachorują wszyscy i całą Warszawę czeka

zagłada.

Kalina poszła za jego radą. Gdy tylko strażnik miejski jak co wieczór zastukał do wrót zajazdu, opowiedziała mu ze szczegółami o tym, co widziała w pobliżu kościoła Świętego Marcina. Opisała szczegóły fizjonomii kopaczy, zwłaszcza tego, który zaczepił ją pod apteką. Dobrze zapamiętała jego twarz, gdyż na prawym policzku chłopak miał ohydną bliznę od ognia.

– Przekłęci kopacze! Będą wisieć! – zawołał dowódca straży i splunął z odrazą.

10.

Święta Bożego Narodzenia Anno Domini tysiąc sześćset dwudziestego czwartego były wyjątkowo smutne. Potworna choroba nie ominęła żadnej rodziny, zmarły nawet córki burmistrza powietrznego, który z tak wielkim poświęceniem starał się utrzymać porządek w mieście i zminimalizować rozmiar klęski. Co prawda siarczyste mrozy spowodowały, iż zaraza nieco przygasła i zbierała mniejsze żniwo, ale opustoszałe miasto i braki jedzenia oraz wszelkich potrzebnych artykułów dawały się wszystkim żyjącym we znaki.

W styczniu Kalina i Joachim opuszczali pusty i wiecznie wychłodzony budynek zajazdu jedynie po to, aby usunąć zwały śniegu zalegające ganek i połacie dachu. Nie było sensu wybierać się na Nowe Miasto ani tym bardziej za mury miejskie, gdzie niemal na każdym domu widniał znak czarnego krzyża.

Niekiedy zdawało im się, że czas zatrzymał swój bieg. Całe dni spędzali w łóżnicy, otuleni kocami i pierzynami, broniąc się przed wszechobecnym chłodem, jaki panował w budynku. Grali w kości, w karty, snuli opowieści i godzinami leżeli w uścisku objęci, całkowicie pławiąc się w swoim szczęściu – jakby nie istniały czyhające na nich zaraza, śmierć i cierpienia. Kaliny jednak nie odstępowało zupełnie złe przeczucie – chwilami zdawało się jej, że tę wielką dawkę bezgranicznego szczęścia Bóg dał im dlatego, że szybko przyjdzie im się rozstać i ta porcja miłości, którą dają sobie w czasie zarazy, będzie musiała im starczyć na całą resztę życia. Wiedząc, że każdy ich dzień może być ostatnim, nie szczydzili sobie nawzajem najtkliwszych pieszczot i przyjemności.

Jednak w styczniu nowego roku Pańskiego tysiąc sześćset dwudziestego piątego powtarzane po wielokroć opowieści o morskich wyprawach i przygodach na statku przestały już bawić, podobnie jak cielesne uciechy, których oboje odczuwali przesyt. Doskwierała im już bardziej nuda niż strach przed chorobą, bo nie ma takiego zagrożenia, które z czasem człowiekowi nie spowszednieje. W ciągu dnia Joachim próbował przelewać swoje opowieści na papier, jednak nie umiał władać tak dobrze piórem jak mową i męczył się godzinami nad pustą kartą papieru. Kalina pisała listy i godzinami studiowała zielnik podarowany jej przez Annę Wazównę. Skostniałe od zimna palce odmawiały posłuszeństwa przy

robótkach i szyciu, gotować nie było już co, żywili się skromnymi porcjami kaszy i resztkami buraków. Beczki po winie i piwie stały puste. Powoli czuli, że dopada ich szaleństwo.

Kalina ratowała się myślami, którymi wybiegała w przyszłość. Marzyła, że jeśli dane jej będzie żyć, założy na tyłach działki, na której posadowiony jest zajazd, ogródek warzywny i będzie siała różne zioła i eksperymentowała z sadzonkami. Planowała też ożenek, była bowiem przekonana, że Joachim był szczery, gdy czynił jej wyznanie, iż bardzo ją miłuje. A że ona nie wyobrażała sobie życia bez niego, oczywiste było, że kiedy zaraza minie, miasto znowu się zaludni, oboje wreszcie założą rodzinę. Godzinami fantazjowała na temat biesiady dla gości weselnych, tego, czym ich podejmie, kogo zaprosi i jaką minę zrobi jej matka, gdy zobaczy postawnego i pięknołicego Joachima. Będzie pięknie. Jeśli tylko uda się im przeżyć.

Ich codzienną egzystencję ożywiło niespodziewane pojawienie się gościa, który w lutym stanął w progu zajazdu i poprosił o nocleg. Władze nakazały co prawda zamknięcie wszelkich takich jak zajazd przybytków, jednak Kalina zlitowała się nad porządnie ubranym, starszym mężczyzną, który – jak twierdził – musiał przybyć z dalekiego Płocka do Warszawy, sprawdzić, czy żyje jego córka, która latem zeszłego roku powiła pierworodnego syna po sześciu latach starania się o dziecko. Śniła mu się noc w noc, jemu i jego małżonce, która wymogła na nim przyrzeczenie, iż gdy tylko zaraza zacznie się cofać, czym prędzej pośpieszy do Starej Warszawy. Jak się okazało, jego zaradny szwagier, pisarz miejski, zdołał wywieźć żonę z dzieckiem i ulokować w bezpiecznym klasztorze pod Toruniem. Dzięki temu przeżyli.

Mistrz krawiecki, pan Wojciech – bo tak przedstawił się przyjezdny – czuł się zmęczony podróżą, ale po zjedzeniu przygotowanej przez Kalinę kaszy z rodzynekami i goździkami opowiedział swoim gospodarzom o procesie, który właśnie toczył się w magistracie Starej Warszawy, i o wyroku śmierci, na jaki skazano trzech kopaczy morowych. Oskarżono ich o beczeszczenie zwłok zmarłych, okradanie ich oraz – co osądzono najsurowiej – zbywanie odzieży i przedmiotów należących do chorych, czym przyczynili się do rozprzestrzenienia się zarazy w mieście. Orzeczona kara – śmierć poprzez przypalenie i ćwiartowanie – miała być wykonana nazajutrz na ulicy Dunaj, przy baszcie katowskiej.

Słyszając te wieści, Kalina była niemal pewna, że strażę schwytały nicponi, których przyłapała na kradzieży rzeczy po zmarłych. Ciekawa tego, czy na pewno ujęci zostali właściwi kopacze, postanowiła nazajutrz udać się na publiczną egzekucję.

Zdziesiątkowana przez zarazę ludność Warszawy spragniona była rozrywki po miesiącach wypełnionych lękiem i żałobą po rodzinie oraz znajomych i w ten mroźny poranek tłumnie przybyła na mały placyk, który znajdował się w miejscu,

gdzie ulica zwana Dunajem dochodziła do starych murów miejskich i wieży katowskiej. Mieszkał w niej Walery Knur wykonujący na rzecz magistratu funkcję kata oraz jego dziewczki, które rada miejska tolerowała i które dostarczały dodatkowych przychodów do katowskiej kiesy. Dzisiaj czekające na zabawę, ale też liczące na złapanie klienta ładacznicę wystroili się w suknie o intensywnych kolorach i stały na schodach wiodących do baszty, wypatrując pośród gęstniejącego tłumu panów gotowych zapłacić za ich wdzięki.

Kalina wraz z Joachimem przybyli pod wieżę na tyle wcześnie, że usadowili się na przygotowanych dla publiczności ławkach wokół drewnianego podestu i wraz z resztą ciekawej gawiedzi wyglądali skazańców.

Gdy tłum wypełnił szczelnie plac, kopacze zostali powitani buczeniem i wrogimi okrzykami. Trzech chłopców przyprowadzono ulicą Dunaj z więzienia w podziemiach ratusza. Szli za uformowanym w orszak pochodem, złożonym z urzędników magistratu, księdza niosącego krzyż i kilku zakonników, który dotarł pod katowską wieżę ze świętą pieśnią na ustach.

Oczy wszystkich zwróciły się ku ledwo powłóczącym nogami chłopakom, którzy z trudem dreptali skuci kajdanami. Ich poszarpane, poczerniałe szaty noszące ślady zakrzepłej krwi świadczyły o tym, że przeszli ciężkie tortury. Kiedy tylko Kalina spojrzała na ich wykrzywione cierpieniem nieszczęsne twarze, serce ścisnęło się jej w piersi i pomyślała z żalem, że źle zrobiła, powiadamiając władze o kradzieży, której była świadkiem. Teraz między innymi przez jej świadectwo ci chłopcy zginą śmiercią tak potworną, że na samą myśl robiło się jej słabo.

– Trzeba było tu nie przychodzić – szepnęła do ucha Joachima, który obserwował wszystko w wielkim napięciu.

– Widać, że w lochach ratusza podpalano łajdaków święconymi świecami! – stwierdził tonem znawcy jeden z siedzących obok Kaliny mieszczan. Wygolone głowy kopaczy nosiły widoczne ślady noża. Świeże jeszcze rany krwawiły, sprawiając, że po twarzach kopaczy toczyły się strugi krwi.

Reprezentujący magistrat oskarżyciel wstąpił na podest i z powagą odczytał wyrok sądu ławniczego, uznający trzech kopaczy za winnych zarzucanych im czynów i skazujący ich na śmierć przez ćwiartowanie, a następnie spalenie.

Tłum żywo komentował uczone słowa, jakie czytał dostojnie ubrany rajca, z zaciekawieniem czekając na rozwój sytuacji. Ktoś stojący za plecami Kaliny i Joachima stwierdził, że kopacze ci i tak mają szczęście, że oskarżono ich tylko o handel skradzionymi rzeczami po zadzumionych, bo przecież mogliby zostać posądzeni o przyczynienie się do wybuchu samej zarazy, a wtedy kara mogłaby być jeszcze potworniejsza.

„Co może być gorszego?” – westchnęła w duchu Kalina.

Ktoś w tłumie wspominał o tym, iż ponoć kilka lat temu w jakimś pruskim mieście uznano, że rodzina grabarzy rozpowszechniała lekarstwa zrobione ze

zwłok chorych ludzi, czym wywołała epidemię morowego powietrza. Cała wieloosobowa rodzina została ukarana w ten sposób, iż kobiety i dzieci spalono na stosie, każdemu zaś z mężczyzn z rąk i piersi rozpalonymi do czerwoności obcęgami wyrwano kawały mięsa, wykrojono prawą, potem lewą łydkę, z pleców zdarto płaty skóry i dopiero wtedy rozćwiartowano, odrabując ręce, nogi i dalsze części korpusu, na końcu zaś dopiero spalono na stosie.

Kalina wzdrygnęła się, słysząc te słowa. Kilka kobiet jęknęło i przeżegnało się.

Wreszcie przystąpiono do egzekucji. Ksiądz zaczął wypowiadać słowa modlitwy i robić znaki krzyża przed obliczem każdego z klęczących przed nim chłopców. W tym czasie kat z miną niewyrażającą żadnych emocji podszedł już do rozłożonych na drewnianej półce przez jego pomocników narzędzi męki: solidnych toporów, noży i przeróżnych mniejszych akcesoriów, które robiły na zebranych potworne wrażenie.

– Niechaj ci zbóje przed męką wyjawią recepturę na sekretną miksturę, dzięki której kopaczy zaraza się nie ima! – krzyknął ktoś z tłumu.

– Po prawdzie należy się ludowi Warszawy nagroda za wyrządzone krzywdy! Niech kat wyciągnie z nich ten przepis! – dodał ktoś inny, wrzeszcząc na całe gardło.

Nie zważając na krzyki z tłumu, kat zaczął czynić swoją powinność. Rozkuł nogi jednego ze skazańców i trzymając go za kark, podprowadził na środek podestu, gdzie czekał już pień, do którego pomocnicy kata zaczęli przywiązywać szlochającego chłopaka. Kat wybrał z zestawu narzędzi spory toporek i trzymając go w obu dłoniach, stanął w rozkroku, aby za moment zamachnąć się i dokonać amputacji. Chłopakiem wstrząsał szloch. Nagle podniósł zwróconą dotychczas ku ziemi twarz i rozejrzał się po skupionym wokół miejsca kaźni tłumie. Ludzie na sekundę zamilkli.

– Powiedz, czy żałujesz, żeś zakażone rzeczy sprzedawał jako czyste?! – wrzasnął ktoś z tłumu.

Wówczas chłopak, wodząc wzrokiem po wpatrzonych w niego twarzach, rozwarł szeroko oczy i krzyknął:

– To ona! To ona, panie rajco! To jest białogłowa, którą napotkałem przy aptece Pod Murzynem. Chciała nam sprzedać miksturę do smarowania ciała sporządzoną ze zwłok ludzkich. Ponoć miało to nas ochronić przed zarazą, a ja myślałem, że ta niewiasta brała członki ze zmarłych od morowego powietrza!

W tłumie zapanowała wrzawa. Kalina nie wiedziała, co się dzieje. Nie mogła uwierzyć w to, co słyszy! Otaczający ją ludzie zaczęli ją łapać za ramiona, szturchać. Liczne twarze zwróciły się ku niej i z wrzaskiem pytały, czy prawdą jest to, co mówi ten chłopak.

– Nie, nie, toż to nieprawda! – zaprzeczała, płacząc.

Joachim – nie mniej przerażony niż ona – złapał ją za rękę i pociągnął za sobą, chcąc jak najszybciej wmieszać się w tłum.

– Ja mu wierzę! Czemu ma kłamać? Przecie stoi już prawie przed obliczem Pana! – krzyknął nagle ksiądz, z zaciętą miną patrząc na Kalinę.

Rajca miejski, do tej pory siedzący na ustawionym na podwyższeniu stołku, powstał zeń i ruchem dłoni wezwał strażników. Ci zaś po chwili z impetem weszli w tłum i u wylotu ulicy Dunaj dogonili Kalinę.

– Mamy rozkaz doprowadzić waćpannę przed oblicze dostojnego pana sekretarza – powiedział jeden z mężczyzn.

Złapał Kalinę pod ramię i zaczął ciągnąć w kierunku podestu. Ta zaczęła krzyczeć i zapierać się nogami. Joachim próbował oswobodzić ją z uścisku strażnika, jednak cios pięścią w twarz, jaki otrzymał od jednego z roślących mężczyzn, sprawił, że zamroczony zachwiał się na nogach.

Kalina została powleczona przed oblicze rajcy, ten zaś zwrócił się do czekających na egzekucję kopaczy z pytaniem, czy widzieli tę kobietę i czy potwierdzają oświadczenie ich kompana. Dwaj pozostali skazańcy, niemal nieprzytomni ze strachu i wycieńczeni torturami, na ułamek sekundy ożywili się i kiwnęli głowami, licząc być może na odmianę swojego losu.

– Zabierzcie ją do celi, zostanie przesłuchana, gdy dokończymy sprawę tutaj! – rzucił w kierunku strażników rajca, a ci, trzymając Kalinę pod pachy, szarpnęli ją mocno i ściągnęli z podestu.

– Na tortury ją wziąć! Niech się przyzna, czy przyczyniła się do zarazy! – zawołała jedna z kobiet z tłumu.

Coraz bardziej podekscytowany tłum zaczął się głośno domagać rozpoczęcia egzekucji i kat, nie słysząc żadnych innych komend, rozstawił szeroko nogi, zamachnął się toporem i mocnym, precyzyjnym ciosem odciął przywiązанemu do pręgierza chłopakowi nogę. Na placu rozległ się potworny wrzask, któremu zawtórowało skrzeczenie wron. Rozległo się powszechne „Ooo!”. W bladym słońcu krew tryskająca z uciętej tuż nad kolanem nogi zrobiła kolosalne wrażenie na zebranych.

– A to dopiero początek! – powiedziała z nieskrywaną wesołością któraś z kobiet stojąca w żadnym natychmiastowej ofiary tłumie.

11.

Gdy do miasta zawitała wiosna, odżył nie tylko transport rzeczny, również drogi stały się przejezdne po przedwiosennych roztopach i powoli do Warszawy powracali ci, którzy przed kilkoma miesiącami uciekali z niej w popłochu, chroniąc siebie i swoje rodziny przed zarazą.

Morowe powietrze ustąpiło, jednak wycieńczoną cierpieniami ludność trapił głód i niedostatek. W mieście brakowało wszystkiego, każda ilość mąki była na

wagę złota, a ceny chleba osiągnęły poziom, jakiego nie pamiętał żaden z najstarszych warszawian.

Wraz z niektórymi dworzanami i kapelą królewską do swojego zajazdu zawitał też Laurenty Żmij. Przez kilka miesięcy zastanawiał się, czy zaraza nie zabrała mu brata i szwagierki, więc kiedy wjechał na swoją posesję przy Długiej i zobaczył siedzącego na schodkach wiodących do ganku zajazdu Joachima, niemal zeskoczył z konia i w pośpiechu przywiązując lejce do słupka, rzucił się ku niemu z okrzykiem radości.

Na widok brata Joachim nie mógł pohamować wzruszenia. Ze łzami w oczach oparł mu głowę na ramieniu i trzymając w mocnym uścisku, zaczął opowiadać o tragedii, która trwała już piąty tydzień – od tego bowiem czasu nieszczęsna Kalina gniła w zimnej, ciemnej celi w podziemiach ratusza na Rynku Głównym, oskarżona o szerzenie zarazy, dwukrotnie już poddawana torturom.

Joachim robił, co mógł, starał się przekupić oskarżyciela, sędziego, który wydał dekret o oddaniu jej na męki, dotarł nawet do strażnika więziennego i kata, który męczył Kalinę w izbie tortur. Prosił o pomoc przyrodniego brata Kaliny, Baltazara Melcera, który do niedawna był rajcą miejskim, ubłagał go o wsparcie, ale ten nic nie wskórał – nikt się już z nim nie liczył.

Ani na przesłuchaniach zwanych inkwizycjami, ani w trakcie tortur Kalina nie przyznała się do winy. Nadal żyła, chociaż brak odpowiedniego pożywienia i zamknięcie w ciemnej piwnicy, gdzie poza szczurami nie miała kontaktu z żywą istotą, sprawiały, iż opadała z sił. Tylko tyle wiedział Joachim. Bał się, że ukochana długo już nie wytrzyma, była bowiem przy nadziei...

Żmijewski sprzedał, co tylko mógł, zaciągnął pożyczkę u Żydów ze wsi Skaryszew, dzięki czemu kilka razy udało mu się uzyskać wiadomości z pierwszej ręki o stanie Kaliny. Dowiedział się, że była ciągniona powrozami, ale wytrzymała wyciąganie stawów i nie przyznała się do tego, iż szerzyła zarazę w mieście. Następnie sędzia podjął decyzję o podpalaniu jej ogniem, ale w ostatniej chwili zrezygnowano z tej formy tortur z uwagi na stan i duży już brzuch skazanej.

Za dwa dni ogłoszony miał zostać finalny wyrok w procesie przed sądem ławniczym. Jediną nadzieją było dotarcie do któregoś z ławników i przekupienie go.

– Bracie, jej grozi śmierć w mękach! A przecie ona nosi moje dziecko w swym łonie! W takich sprawach nigdy nie uniewinniają oskarżonego, tym bardziej że przesłuchiwany aptekarz zeznał, że pamięta, jak Kalina wielokrotnie przychodziła do jego apteki i pytała ponoć o maści z ludzkich zwłok! Wszystko zrobię, bracie, nie ma czynu, którego bym się nie podjął, żeby ją uratować. Nikogo nigdy żem tak nie miłował jak jej, nigdy dotąd! Przeżyliśmy razem chwile, które połączyły nas na zawsze. Kiedyśmy tu siedzieli sami w te straszne dni, kiedy całe miasto pożerała zaraza, przysięgliśmy sobie, że razem będziemy żyć, do końca

swoich dni i tylko śmierć nas rozdzieli. Ale ja nie pozwolę, żeby ją skazano. Ona jest niewinna! Zaraza jej nie zabiła, a teraz zginąć ma przez oszczerstwo? Toć nie pozwolę na to, jako żyję! To ci zbójce, złodzieje, kopacze morowi, wiedząc, że zginą, w tych ostatnich minutach życia musieli pociągnąć ją za sobą. Oto podła natura ludzka! Porąbano ich jak prosięta, a potem spalono i dalej się smaży w piekle, mam nadzieję!

Joachim chodził w tę i z powrotem po izbie. Mówił w wielkim afekcie, który manifestował się poprzez uniesiony ton głosu, gwałtowne gesty i gestykulację. Gęsta broda i długie, tłuste włosy, brudna, rozchełstana na piersiach koszula – wszystko to sprawiało, że wyglądał na obłąkanego.

Informacja o tym, że Kalina jest brzemienna, zaboląla Laurentego mocniej niż obawa, że prawdopodobnie wkrótce zostanie skazana na gardło. Przez te długie miesiące spędzone poza Warszawą lutnista w duchu obmyślał swoją przyszłość. Chciał jak najszybciej zakończyć swoją służbę w królewskiej kapeli i zająć się prowadzeniem zajazdu razem z nią – z Kaliną – którą chciał pojąć za żonę. Modlił się wiele razy o to, aby przeżyła zarazę, aby Bóg zachował ją dla niego. Tylko ta wizja była w stanie odciągnąć go od prób przywoływania pamięci o zmarłej Annie. Przez nieboszczkę żonę zaczynał tracić zmysły. Kalina była jego ostatnią deską ratunku. Ale teraz, nawet jeśli jakimś cudem przeżyje, urodzi bękarta jego bratu... Wizja przyszłości rozprysła się w okamgnieniu.

– Błagam, bracie, pomóż jej, zrób coś! Znasz wpływowych ludzi na dworze. Może Anna Wazówna okazałaby łaskę swojej byłej służebnicy!

– Przecie siostra króla zmarła, zdaje się, w lutym, w swoim zamku w Brodnicy!

– O nie! Kalina pewnie w niej upatruje ciągle nadzieję... – Joachim zakrył twarz dłońmi.

Bez swojej wesołkowatości, bez tego uśmiechu od ucha do ucha, wydał się bratu maluczki i słaby. Nie wzbudzał jednak w muzyku współczucia. Przez całe życie dostawał to, o czym Laurenty skrycie marzył – uwolnił się pierwszy spod ojcowskiej władzy, podróżował i pływał na statkach, co więcej, to on widział, jak gasną oczy tego tyrana, a teraz posiadał niewiastę, która mu się nie należała. Sięgnął po nią, chociaż wiedział, że nie może jej poślubić.

– Czy Kalina wie, że masz prawowitą małżonkę w Gdańsku? – zapytał brata tonem, w którym nie było krztyny litości.

– Nie wie, o niczym nie wie... Chciałem jej wszystko wyjawić, jak już minie zaraza, jak wszystko będzie po dawnemu.

– Zniszczyłeś jej życie... – syknął Laurenty i zostawił brata, aby dokonać oglądu zajazdu.

Z rosnącym z minuty na minutę przerażeniem obejrzał zapuszczoną kuchnię, pustą spiżarkę i główną izbę zajazdu. Wszędzie niemal wałały się potłuczone

dzbanki i puste butle po winie, na ścianach zdobionych ormiańskimi kobiercami widniały wgniecenia i ślady, jakby ktoś rzucał o nie różnymi przedmiotami. Nad jego głową kołysał się zdewastowany świecznik, z którego był tak dumny, urządzając swój zajazd.

Kiedy przed kilkoma tygodniami znowu zaczęli przybywać ludzie do miasta i do zajazdu przyjeżdżali goście zainteresowani strawą i miejscem do spania, Joachim pomimo trudnej sytuacji starał się wznowić działalność przybytku. Zatrudnił dwie dziewczki do pomocy i kucharkę ze wsi Ochota, ta jednak opróżniła do cna spiżarnię i uciekła, kradnąc odzież Kaliny, jej szkatułkę z niewielką ilością biżuterii, jaką posiadała, i ulubione zwierciadło. Kilku gości, którzy zatrzymali się w zajazdzie, wyjeżdżając, pokradło elementy wyposażenia, zniknęły nawet cynowe naczynia i pościel z łóżek. Straty Laurenty ocenił na kilka dukatów.

Ale nie to było teraz najważniejsze. Pomyślał, że zajmie się tym wszystkim, pozbędzie się stąd brata, jak tylko uda mu się cokolwiek wskórać w sprawie Kaliny. Postanowił nazajutrz rano pójść po pomoc do jednego z sekretarzy królewskiej kancelarii, niejakiego Juliusza Borowskiego, który po ukończeniu studiów w samej Bolonii przez kilka lat praktykował w Warszawie jako doktor prawa. Przecież oskarżenie niewinnej niewiasty powinno być możliwe do obalenia, nawet jeśli wycieńczony zarząd lud miejski domaga się kózła ofiarnego.

„Jak nieszczęśliwie się złożyło – pomyślał – że Anna Wazówna zmarła akurat wtedy, gdy jedno jej słowo mogłoby oczyścić Kalinę z zarzutów”. Ponoć król bardzo cierpiał na wieść o gwałtownym zgonie swej ukochanej siostry, podczas gdy niejedni szlachcic i dworzanin wzniosł z radością kielich na wieść o śmierci znienawidzonej protestanckiej królowej.

Niestety prawnik, którego rady zasięgnął Laurenty, nie pozostawił złudzeń co do finału procesu. Wykorzystując swoje znajomości w magistracie, pozyskał wiadomości na temat postępowania w sądzie ławniczym, przed którym przeprowadzano proces inkwizycyjny Kaliny. Obciążały ją nie tylko zarzuty kopaczy, wysunięte tuż przed ich egzekucją, a wedle sądu wypowiedziane w takim momencie oskarżenia uznawane były za wyraz skruchy skazanego i tym samym prawdziwe, ale też zeznania aptekarza i handlarki ziół potwierdzały zainteresowanie Kaliny medykamentami i dziwnymi ich składnikami. Fakt, że oskarżona była brzemienna, bardzo niekorzystnie wpłynął na jej sytuację. Sędzia uznał, że skoro jako panna spółkowała z mężczyzną, sprzeniewierzyła się prawu boskiemu i postrzegana musi być jako osoba niemoralna, czyli zasługująca na potępienie. Przez ciężę nie mogła być poddana torturom, tak więc sąd nie uzyskał przyznania się do winy, a byłby to najważniejszy dowód w procesie.

Według prawnika jedyne, o co można było na tym etapie walczyć, to forma wykonania kary gardła. Jego zdaniem warto było wnioskować o okazanie łaski przez sąd dla brzemienną i zamianę spalenia na stosie czy łamanie kołem na

egzekucję przez powieszenie.

– Ale wiecie, Laurenty, można spróbować jeszcze jednego sposobu, to co prawda relikwium prawa obyczajowego, ale w Starej Warszawie zawsze zwyczaj ten traktowano z powagą... – Juliusz uśmiechnął się przebiegle. – Kalina jest panną, prawda to? Nigdy nie była niczyją prawowitą małżonką?

Laurenty potwierdził ten fakt.

– Można więc próbować wyprosić sąd o skazaną! Częściej to niewinna panna wyprasza sędziego o życie kawalera, ale pamiętam przypadek, kiedy to mężczyzna wyprosił łaskę dla niewiasty, którą przyrzekł przed sądem pojąć za żonę. Jeśli znasz jakiegoś kawalera czy wdowca, który wzięłby brzemienną, nic nie szkodzi spróbować. Musi to jednak być ktoś godny zaufania, najlepiej mieszkaniec Starej Warszawy, ktoś znany sędziemu i ławnikom. Choć wątpię, aby ktoś taki chciał pojąć za małżonkę niewiastę z reputacją Kaliny i bękartem w jej brzuchu... – zaśmiał się złośliwie Juliusz.

Tego dnia po odbyciu rozmowy z prawnikiem Laurenty wrócił do zajazdu z poczuciem, że zaraz zada bratu cios, a sam zazna triumfu, jakiego dotąd nigdy w relacjach z Joachimem nie doświadczył. Kalina musiała być naprawdę droga jego sercu, bo gdy Joachim usłyszał o sposobie, który być może pozwoli uniknąć jej kary śmierci, zbladł tylko, z trudem przełknął ślinę i powiedział uroczyście:

– Jeśli zrobisz mnie i Kalinie tę łaskę i weźmiesz ją za żonę, a tym samym uratujesz ją od kary śmierci, do końca życia pozostanę twoim sługą i zrobię wszystko, wszystko, co tylko zechcesz, i wypełnię każdy twój rozkaz. Przysięgam uroczyście na rany naszego Pana Jezusa Chrystusa. Amen!

– Rano powiem ci, jaką podjąłem decyzję. Ale wiedz jedno, bracie, jeśli wezmę ją za żonę, to małżeństwo będzie prawdziwe, to znaczy Kalina ma być moja i tylko moja! Ty znikniesz z Warszawy i nigdy twoja noga nie przekroczy progu naszego domu. Ja w zamian za to obiecuję wychować twoje dziecko jak swoje, dać mu nazwisko i być dla niej – bo modłę się, by była to córka – jak prawdziwy ojciec. Pojmujesz? – Laurenty z błyskiem w oku spojrział na brata. Ten skulił się, jakby ktoś zadał mu bolesny cios. Spuścił głowę i drżącym głosem odpowiedział:

– Ale ja ją miłuję, bracie, przecie to wyjawilem... Nie mogę zniknąć, nigdy już jej nie zobaczyć... Miej litość!

– Albo przysięgniesz, że stąd znikniesz na zawsze, a Kalina będzie należeć tylko do mnie, albo nie pojawię się w trakcie ogłoszenia wyroku!

Joachim przez dłuższą chwilę milczał z zaciętą miną. Na jego tak pogodnym z reguły obliczu malowała się wściekłość. Przez moment Laurenty myślał, że brat rzuci mu się do gardła.

– Życie Kaliny i dziecka w jej brzuchu jest najważniejsze... A więc przysięgam!

Kiedy strażnicy siłą wynieśli ją z wilgotnej celi, gdzie całymi dniami leżała na niewielkiej kupce siana, a potem wlekli korytarzem ratusza, światło słoneczne sączące się przez wysokie okna, blask, jakiego nie oglądała od długiego czasu, niemal ją oślepił. Nieustający głód, świad całego ciała i dokuczający jej od tygodni potworny ból mięśni nóg i stawów sprawiły, że umysł Kaliny był otępiały i tak przytłoczony cierpieniem ciała i ducha, że wydawała się zgaszona, niemal nieobecna.

Od kilku dni robiła wszystko, aby rozpamiętywać te najlepsze chwile w życiu, momenty, gdy była na służbie u czcigodnej królowny Anny, upojne momenty obcowania z Joachimem, przy którym zawsze czuła, że jego miłowanie jest mocne i prawdziwe. Jednak w jej myśli co rusz wkradał się lęk – na który nie pomagała żadna modlitwa – przed cierpieniem, na które zostanie skazana. Najszybsze byłoby powieszenie. Cwiartowania nie bała się tak bardzo, nawet spalenie, którego kiedyś była świadkiem w Brodnicy, nie było tak potworne, bo śmierć następowała stosunkowo szybko. Topienia w Warszawie nie praktykowano, podobnie jak grzebania żywcem. Najbardziej jednak przerażało ją łamanie kołem.

Kiedy była kilkunastoletnią dziewczynką, ojciec zabrał ją na brodnicki rynek, gdzie zgromadziła się większość ludności miasteczka, aby obejrzeć egzekucję miejscowego zbrodniarza, który zgwałcił wiele kobiet i dzieci, a także obcował cielesnie ze zwierzętami.

Widziała, jak ułożono tego człowieka na wznak na ziemi, wkładając pod niego kilka drewnianych pałek. Kat okutą żelazem pałką łamał skazańcowi kości we wszystkich kończynach, które następnie przewlekł przez szprychy koła, mocując do jego obręczy, koło zaś osadzał na wysokim drągu.

Do dziś pamiętała odgłosy łamanych kości i wycie skazańca, czego nigdy później nie słyszała. Na samą myśl przeszywały ją ciarki. Nieszczęśnik przeżywać musiał niewyobrazalny ból, który trwał godzinami, bo gdy już zgodnie z procedurą kilka rzutów kołem całkowicie go pogruchotało, tak że jego powłoka zewnętrzna zamieniła się w skórzany worek pełen zmiążdżonego mięsa i pogruchotanych kości, mężczyzna ten został zostawiony na środku placu. Skonał dopiero po dwóch dobach, gdy już całkowicie obsiadły go muchy, robaki, a szczury jadły ciepłe wciąż ciało.

W takich chwilach gładziła swój brzuch i przemawiała szeptem do nienarodzonego dziecka, któremu nie dane było najwyraźniej przyjść na ten świat. Wiedziała, że tak jak jej miłość do Joachima, tak i owoc tego uczucia pojawiły się tylko na chwilę.

Gdy wprowadzono ją na salę sądową, zgromadzony tłum żadnych sensacji i sprawiedliwości warszawian natychmiast przywrócił ją do życia. Powitały ją krzyki i gwizdy.

- Czarownica! – rzucił ktoś z głębi pomieszczenia.
- Służebnica szatana!
- Ladacznic! – zacharczał jakiś męski głos.

Z przerażeniem spojrziała na gestykulujących i pokrzykujących na jej widok ludzi. Nikt nie był tu jej przyjacielem, każdy przyszedł, aby przez moment poczuć, że oto znalazł się ktoś, kogo można choćby częściowo obarczyć winą za te potworne cierpienia, jakie spadły na miasto, wykrzyzczyć swój ból, wzywając sąd do spalenia albo poćwiartowania oskarżonej.

Usadzono Kalinę na drewnianej ławce z boku podwyższenia, gdzie zasiąść mieli sędzia i ławnicy. Od duchoty panującej w przepelnionym pomieszczeniu kręciło się jej w głowie. Co kilka minut czuła jakiś dreszcz bólu przechodzący przez jej spory już brzuch. Podniosła głowę, by jeszcze raz spojrzeć na tłum, i tym razem napotkała na życzliwą twarz niewiasty, w której rozpoznała handlarke ziół mającą swój stragan pod ratuszem Nowego Miasta, od której często brała różne nasiona i rośliny. Białogłowa bezgłośnie wypowiedziała błogosławieństwo pod jej adresem.

Kalina z całych sił wypatrywała w tłumie tej najbliższej jej twarzy, ale nie mogła jej dojrzeć. A przecież on musiał tu być. Wiedziała od przekupionego strażnika więziennego, że Joachim nie ustaje w staraniach o jej uwolnienie, robi wszystko, co w jego mocy, aby ulżyć jej doli. Dzięki niemu dostała koc i przynoszono jej czasem coś lepszego do jedzenia niż suchy chleb i resztki zgniłych warzyw. W obliczu tej wielkiej próby, jaką było więzienie i proces, jego miłość zdawała egzamin, musiał więc być przy niej do końca!

Kazano wszystkim wstać. Kalina z wielkim trudem stanęła na nogach i poczuła ból w podbrzuszu. Na sali pojawili się sędzia, starszy jegomość ubrany w żupan, z ramionami okrytymi delią ze szkarłatnej tkaniny, mający nalaną, znużoną twarz, której krągłość podkreślała dopasowana, czarna czapka, oraz dwóch ławników, starych mężczyzn o srogich obliczach.

Ksiądz zaintonował modlitwę, którą głośno podchwycili wszyscy zgromadzeni w sali. I wtedy zobaczyła siedzącego w głębi sali Laurentego. Wpatrywał się w nią w osłupieniu, nawet nie udając, że odmawia słowa *Ojciec nasz*. Wydawał się przerażony, zapewne jej wyglądem. Od wielu tygodni nie miała okazji wziąć kąpieli, posiwiałe włosy schowane miała pod płóciennym czepkiem, jej ciało osłaniała jedynie przypominająca worek sukienka.

Lutnista też się zmienił, choć wyglądał wytworniej niż kiedykolwiek wcześniej. Cały w czerni, z falującymi, siwymi włosami kładły mu się na ramionach i koronkowej, śnieżnobiałej kryzie. Głębokie bruzdy mocno podkreślały zapadłe policzki, a wypielęgnowana broda i wąsy wedle cudzoziemskiej mody nadawały mu wygląd nobliwego światowca.

Spotkali się wzrokiem i gdy ujrzała tę znajomą, przychylną jej twarz, łzy

potoczyły się po policzku Kaliny. Z całych sił starała się tym spojrzeniem przekazać muzykowi swój żal i wielkie pragnienie pocucia czyjejs zyczliwości.

Sędzia zaczął odczytywać wpisany już wcześniej do specjalnej księgi wyrok. Beznamiętnym głosem przytoczył czyny, o które władze miasta oskarżyły Kalinę Melcerównę. Z racji tego, iż oskarżona okazała się brzemienną, utrudnione było kontynuowanie przesłuchania i tortur, przez co niemożliwe było w ocenie sądu stwierdzenie, iż nie przyznając się do winy, podsądna mówi prawdę. Jej deklaracja nie została zweryfikowana przez co najmniej trzykrotne poddanie męczarniom, nie miała więc mocy dowodu w sprawie.

Wreszcie sędzia znużonym głosem stwierdził, iż opierając się na obciążających oskarżoną zeznaniach, sąd skazuje ją na śmierć poprzez łamanie kołem, którą kat wykona jeszcze dzisiejszego dnia, po przygotowaniu miejsca kaźni.

Kalina poczuła, że traci przytomność. „Boże, daj mi teraz umrzeć, zlituj się” – mówiła sobie w myślach. Osunęła się na podłogę, ale strażnicy sądowi natychmiast do niej podbiegli i unosząc za ramiona, ponownie usadzili na ławie.

Sędzia westchnął, otarł czoło wierzchem dłoni. Już podnosił się z bogato rzeźbionego krzesła, gdy nagle spośród tłumu wyłonił się Laurenty, podszedł przed ławę, za którą zasiadali sędzia i ławnicy, po czym donośnym, uroczystym głosem powiedział, iż zgodnie z obyczajem szanowanym od średnich wieków w Starej Warszawie chciałby wyprosić sąd o oskarżoną tu niewiastę, aby móc pojąć ją za żonę.

Kalinie wydawało się, że to, co dociera do jej uszu, musi być oznaką omdlenia. Zapewne śni albo majaczy, bo przecież niemożliwością było kierowanie tak brzmiącej prośby...

– Ty, członek kapeli królewskiej, znamienity obywatel Starej Warszawy, właściciel domu gościnnego, ty, lutnisto, weźmiesz brzemienną z innym mężczyzną pannę za swoją prawowitą żonę? – Sędzia patrzył na niego osłupiałym wzrokiem. Wśród wypełniającej salę gawiedzi zawrzało. Niektórzy śmiali się w głos, inni wypowiadali okrzyki zdumienia.

– Taka ma wola, miłościwy sędzio. – Laurenty pokłonił się, czyniąc przy tym wytworny gest trzymanym w dłoni kapeluszem ozdobionym srebrną broszą. – Wierzę, że nie uczynisz mi frasunku, i stanie się zadość temu starodawnemu obyczajowi i pozwolisz wziąć mi tę oto białogłowę!

Sędzia westchnął ciężko i spojrzał na muzyka z wyraźną dezaprobatą. Ławnicy nachylili ku niemu swoje starcze twarze i we trójkę zaczęli coś szeptać między sobą. Tłum tymczasem nie ustawał we wzburzeniu i komentowaniu zaskakującego gestu lutnisty.

– Toć to przez jego brata rodzonego ta białogłowa nosi dziecko w brzuchu! – dało się słyszeć z sali.

– To się nie godzi, aby majestat króla hańbić takim czynem! – zawołał ktoś inny.

– Panna Melcerówna to przecie siostra jego nieboszczki żony! Kazirodztwo ten człek chce popełnić! – przekonywała wystrojona niewiasta w haftowanym czepcu na głowie.

– Znałam świętej pamięci Annę, to tylko przyrodnia siostra tej Kaliny była – wykrzyknęła inna.

– Siostra to siostra! – dopowiedział ktoś stanowczym tonem.

– Ludzie, przecie ona jest brzemienna, zaraz urodzi! Krew jej się leje po nogach! – zawołała nagle handlarka ziół z przerażeniem w głosie.

Na sali podniósł się tumult.

– I tak nie dożyje egzekucji. – Ubrany strojnie kupiec bławatny z pierwszej ławy machnął ręką.

Sędzia powstał z krzesła, podnieśli się wszyscy zgromadzeni w sali gapie. Strażnicy unieśli za ramiona oskarżoną, która wyglądała, jakby uchodziło z niej życie. Resztką sił otwierała oczy i chociaż cały świat przed nią wirował, wypatrywała wśród tłumu gapiów ukochanej twarzy Joachima. Nie mogła uwierzyć, że nie ma go na sali sądowej. Jak mógł nie przyjść?

– Mości panie, skoro taka twa wola i chcesz wyprosić tę oto niewiastę za żonę, niech tak się stanie. Sąd uznał, że starodawny obyczaj będzie i tym razem uszanowany. Niechaj ksiądz szybko odbierze przysięgę, bo ta niewiasta zaraz się tu wykrwawi! – rzucił sędzia w stronę sekretarza, ten zaś oderwał się od pióra i pobiegnął szukać księdza, który zdążył opuścić salę rozpraw, mruczając pod nosem, że nie ślubu, ale ostatniego namaszczenia będzie trzeba udzielać.

Kiedy kilkanaście minut później półprzytomna Kalina powtarzała słowa przysięgi małżeńskiej, Joachim na łódce przecinającej rzekę opuszczał Warszawę. Jeszcze tego samego dnia na podłodze apteki Pod Murzynem odnaleziono zwłoki jej właściciela. Z nigdy niewyjaśnionych przyczyn uległ on dziwnemu wypadkowi, upadając ze stołka i uderzając swoją łysą głową o kamienną posadzkę apteki.

Rozdział VI

Warszawa głoduje, Warszawa tańczy

Nie myśl o szczęściu! Nie myśl o miłości!

Dla nas ten owoc nigdy nie dojrzeje,

My rwiemy inny z przeklętego drzewa,

Co daje wiedzę bytu i nicości.

ADAM ASNYK, *Sonet*

Styczeń – sierpień 1883 roku

1.

W pewne styczniowe popołudnie Eleonora Szpakowska stała przy oknie, obserwując spektakl ulicy: wirujące w kręgu światła rzuconych przez latarnie płatki śniegu, opadające na pochyłe dachy kamienic z naprzeciwka, ludzi wchodzących do składów i domów handlowych i z nich wychodzących, a także konie zaprzęgnięte w powozy, czekające przy Długiej, aż ich pasażerowie dokończą sprawunki i załatwią swoje sprawy. Przez szyby docierał do wnętrza mieszkania stłumiony odgłos uderzających o bruk końskich kopyt. Ruch na ulicy, pełnej obficie zaopatrzonych we wszelkie możliwe dobra sklepów, był wyraźnie nasilony.

Rozpoczynał się właśnie karnawał. Warszawa tańczyła. Na niezliczonych imprezach w całym mieście bawili się wszyscy – zamożni i biedni. Perspektywa bali, zabaw, redut, spotkań u znajomych z noworocznymi powinszowaniami, rewizyt i przeróżnych spotkań towarzyskich jawiła się Eleonorze czymś na kształt serii nieprzyjemnych wizyt u lekarzy, po których odbyciu wiedziała, że będzie czuła się jeszcze gorzej niż teraz.

Tego dnia czekała ją ostatnia przymiarka nowej sukni, którą miała założyć na bal w Resursie Obywatelskiej – jedyny, w którym brała udział co roku. Jej kosztująca zawrotną sumę piętnastu rubli kreacja uszyta była z bladozielonego jedwabiu zdobionego czarną koronką i bogatą pasmanterią. W myśl panującej od kilku lat mody miał to być model *princesse*, jeszcze bardziej krępujący ciało niż turniura. Szczupła sylwetka Eleonory dodatkowo wysmuklona przez krój sukni (bardzo wąska góra z kaskadami materiału, ozdobne upięcia poniżej bioder, oraz rozszerzający się niczym wachlarz tren) i wysoki obcasik sprawiały bardzo dobre

wrażenie.



Nagle z czeluści wąskiego korytarza dobiegł jej uszu dźwięk gongu, którym w domu Szpakowskich sygnalizowano czas posiłku. Poczowała bolesny skurcz żołądka. Nadchodziła pora obiadu. Na samą myśl o jedzeniu dopadała ją fala mdłości. Konieczność siedzenia przy jednym stole z małżonkiem przez ponad czterdzieści minut stanowiła jedną z najgorszych tortur. Znoszenie jego przesyconych nienawiścią spojrzeń, jego nieustannych wyrzutów i narzekań na hotel, na warunki panujące w mieście, zacofanie i prowincjonalność Warszawy, wreszcie na ludzi, w których widział samych oszustów i złodziei, wszystko to sprawiało, że czynność spożywania posiłku złożonego z co najmniej trzech dań była najgorszą męką.

Kilka miesięcy temu, po kolejnej awanturze i potwornym cierpieniu, jakie sprawił jej Teodor, Eleonora przestała jeść. Nie była w stanie przełknąć obiadu, gdy mąż siedział obok niej. Jej sylwetka zaczynała wyglądać jak ciało zagłodzonej żebraczki, takiej, którą widuje się leżącą u wrót kościoła. Na szczęście warstwy drapowanych materii, pod nimi gorset, spodnie odzienie i pantalonek nieco

maskowały jej stan.

Dzwonek rozległ się ponownie. Wiedziała, że musi iść, jeśli nie chce, aby Teodor wpadł w furję. Westchnęła, odruchowo zrobiła ręką znak krzyża i wyszła z buduaru.

W jadalni o ścianach obitych ciemną, kwiecistą materią, przy podłużnym, suto zastawionym stole siedział już jej mąż, tępo wpatrzony w płomień ustawionej przed nim świecy. Oprócz cykania wielkiego zegara stojącego w rogu pomieszczenia nadejścia Eleonory nie powitał żaden inny dźwięk. Gdy usiadła po prawej stronie pana domu, ten spojrzął na nią spod zmarszczonych brwi i syknął: „Żono”. Ze wzrokiem wbitym w śnieżnobiały obrus Eleonora skinęła głową i sięgnęła po serwetę, której róg założyła za sięgający szyi brzeg ciemnej, skromnej sukni.

– Nie raczyłaś się przebrać do obiadu? Znowu ta ohydna, stara szmata... Czemu moja żona nosi te ciemne kolory? Czyżby nosiła żałobę po naszym nienarodzonym dziecku? – zapytał ze złośliwym uśmiechem.

Eleonora tylko westchnęła, patrząc, jak służący nalewa do talerza o złoconych brzegach zupę o konsystencji błotnistej brei. Gdyby założyła jasną suknię, Teodor zapytałby, czy jej ubiór wyraża radość z powodu spełnienia po przeszło pięciu latach świętego małżeńskiego obowiązku. Ale przecież tego obowiązku nadal nie spełniała.

Ich pożycie od lat obracało się tylko wokół tej jednej sprawy – potomka, którego Teodor nie mógł się doczekać. Przez ten czas pani Szpakowska doświadczyła wielu awantur, przeżyła chwile skrajnego poniżenia i przemocy ze strony męża. Teodor miał nad nią władzę, która pozwalała mu bezkarnie gwałcić żonę, niekiedy przez kilka nocy z rzędu. Mógł też swobodnie ograniczyć jej wolność, zabraniając – pod pozorem dbania o zdrowie – udzielania się w Warszawskim Towarzystwie Dobroczyńności (kontakt z biedotą i wizyty w zatęchłych domostwach mogły być przyczyną jej kłopotów z płodnością), mógł odebrać jej wiarę w talent muzyczny i pozbawić poczucia wartości, przez co zaprzestała gry na fortepianie. Ilekroć bowiem jej mąż przebywał w domu i słyszał jej grę, nieudolne interpretacje Chopina psuły mu nastrój.

Mógł wreszcie całkowicie zawładnąć hotelem i jego finansami, mógł bez przeszkód chadzać do zamtuzów i nawet opowiadać żonie o tym, jak zabawiał się z kolejną dziwką, mógł ją bić, wymierzając siarczyste policzki w twarz, zrzucić ją z krzesła, kopać, gdy leżała przewrócona na podłodze, mógł właściwie zrobić z nią wszystko, ale nie był w stanie mieć z nią dziecka.

A przecież paradoksalnie pragnienie bycia matką zdecydowało o tym, że zgodziła się zostać jego żoną! Kiedy osiem lat temu rozważała przyjęcie jego oświadczeń, nie oczekiwała od życia zbyt wiele, nie pragnęła potężnej miłości, która nadałaby treść jej istnieniu. Chciała być tylko dobrą chrześcijanką i spełniać

się dalej w swojej służbie dobroczynności. Nie mogła jednak świadomie zrezygnować z macierzyństwa, to pragnienie zaślepiło jej zdrowy rozsądek. Wpadła w pułapkę i popełniła błąd, za który płaciła każdego dnia. Z pokorą przyjmowała swoją winę – skoro nie potrafiła dostrzec fałszu w działaniach Teodora, musiała znosić swój ponury los w ciszy i pokorze.

O jej trudnej sytuacji wiedziała jedynie przyjaciółka Wiktoria Jeżowska, od kilku lat zagorzała emancypantka, która szczerze przejmowała się losem zniewolonej towarzyszkii dziecięcych zabaw. Niestety ostatnio rzadko bawiła w Warszawie, zajęta „sprawą kobiet”, jeździła po Guberni Warszawskiej, organizując lokalne koła emancypantek – stała się kimś na kształt autorytetu w tych kwestiach.

Wiktoria wielokrotnie namawiała Eleonorę, aby ta po prostu któregoś dnia uciekła, wyjechała pociągiem choćby do Łodzi, gdzie znalazłaby pełne wsparcie grupy kobiet, którym bliskie były idee sufrażystek. Eleonora nie chciała jednak uciekać, zdecydowana dźwigać swój krzyż, przede wszystkim czując, że nie może zostawić na pastwę losu hotelu – dorobku całych pokoleń Żmijewskich, czegoś, co przez dziesiątki lat spajało tę rodzinę, która to obecnie przestała właściwie istnieć.

Matki, Konstantego, Agnieszki, nikogo nie obchodził już ten hotel, dlatego Eleonora postanowiła zrobić wszystko, by nie dopuścić do jego utraty. Przez wzgląd na pamięć o ojcu, przez szacunek dla przodków nie mogła zostawić tego wszystkiego Teodorowi, który po latach frustracji wywołanej problemami finansowymi i niepowodzeniem na polu ojcostwa był nieobliczalny w swoich czynach. Jako zarządca hotelu nie miał imponujących wyników, a przecież po to poślubił Eleonorę, aby za sprawą tego małżeństwa zyskać środki do życia. Eleonora była o tym przekonana. Często rozmyślała o tym, co skłoniło człowieka pokroju jej męża do pozostania w Warszawie i zabiegania o jej rękę. Doszła do wniosku, że to musiały być pieniądze.

Z jego charakterem i umiłowaniem wygod Teodor najlepiej odnalazłby się jako szlachcic, który podróżuje po świecie, czerpiąc środki do życia ze swych ziemskich dóbr. Niestety nie miał takich możliwości i musiał w jakiś sposób zapewnić sobie byt. Myślał najwyraźniej, że hotel jest źródłem zysku i zapewni mu dostatnie życie. Jak bardzo się mylił!

W ostatnich latach hotel Varsovie zdecydowanie podupadł, choć klientów nie brakowało w tak przeludnionym mieście jak Warszawa. Obiekt formalnie należący do rodziny Żmijewskich nie był już w stanie zwabić najbardziej zamożnej, goniącej za nowoczesnością klienteli – przedstawicielei zamożnej finansjery, właścicielei fabryk czy spółek. Teraz przy Długiej zatrzymywali się głównie prowincjusze przybywający do miasta w interesach, ich komicznie wystrojone żony chcące zaopatrzyć się w Warszawie w modne stroje i dodatki, a głównie przeróżni spekulanci chcący w przewrotny sposób zrobić nie do końca

legalny interes. Ceny za pokoje musiały więc spaść do rubla za najlepszy z numerów.

Eleonora i Teodor Szpakowscy tonęli w długach.

Jak twierdził Teodor, Jeremi Żmijewski podjął najgłupszą decyzję na świecie, zaciągając kredyt po to tylko, aby zmienić dekoracje pokoi, obwiesić okna i ściany zbytkowymi tkaninami. Te ekstrawagancje i bogaty wystrój robiły wrażenie przez kilka sezonów, teraz zaś goście wymagali pomieszczeń toaletowych i przyciągało ich wszystko to, co nowoczesne. Świat zmieniał się w oszałamiającym tempie. W europejskich miastach zakładano telefony, oświetlenie elektryczne, nieustannie ogłaszano jakieś nowe rozwiązania mające ułatwić życie ludności. Hotel na gwałt potrzebował więc inwestora, aby nadażyć z duchem czasów. Szpakowscy doskonale wiedzieli, że bez dodatkowych środków i remontu nie było szans, aby wrócić do lat świetności.

W trakcie obiadu Eleonora w napięciu czekała na wybuch męża – widziała, że Teodor wyraźnie dążył do konfrontacji. Wygłosił kilka standardowych kwestii na temat okropnego klimatu i architektury miasta, wyartykułował swój żal z powodu wciąż rosnących kosztów utrzymania „tej rudery, w której nawet nie ma jak urządzić łazienek”, prawdziwej plagi kradzieży, jaka ogarnęła miasto (w tym także ich hotel), skarżył się na chamstwo służby oraz okropnej hołoty, która zalega ulice, tak że dorożka nie może spokojnie przejechać ulicą.

– Czy wiesz, że z apartamentu pod siódmką znowu wyniesiono kandelabry? Cóż to za hałastrą tu zjeżdża, co za bydlę! Nie ma gościa, który czegoś by nie zabrał z wyposażenia pokoju! Wszystko ginie, każda rzecz kusi i wabi złodziejską naturę! Postanowiłem, że wyćwiczę jakiegoś chłopaka, który będzie sprawdzał każdego gościa i demaskował wszelkie próby wyniesienia z hotelu mojej własności!

Słyszając o „mojej własności”, Eleonora nawet mrugnięciem oka nie okazała dławiącego ją oburzenia. Teodor zamilkł wreszcie i spojrzał na żonę badawczo, gdy ta drżącą dłonią unosiła łyżkę z zupą do ust, wlewała jej zawartość i przelykała z wyraźnym trudem, za każdym razem czując mdłości i wstręt.

– Jedyne nadzieje w cywilizacji! Telefony, kanalizacja, wodociągi, latarnie na każdej ulicy, likwidacja rynsztoków... To są sprawy uregulowane w każdym większym mieście w Europie! Ale kiedy ona dotrze tutaj? – powiedział z przekąsem Teodor.

Żona nie skomentowała jego uwagi, przyzwyczajona do nieustannej krytyki Warszawy ze strony męża. Nic mu się tu nie podobało, każda rzecz go mierziała.

Zapadła cisza. Teodor tylko patrzył posępnie, gdy po zjedzeniu jednej trzeciej zawartości talerza Eleonora odłożyła łyżkę. Służący zabrał nakrycie. Tykanie zegara zestroiło się z siorbnięciami, jakie wydawał z siebie jej mąż.

Patrzyła w kierunku zasłoniętego grubymi, wiśniowymi kotarami okna.

Gdyby mogła zobaczyć choć skrawek widocznej za nim ciemności, mogłaby lepiej poradzić sobie z dopadającym ją nagle panicznym poczuciem osaczenia. Serce zaczynało jej bić mocniej, przelyk zaciskał się, wywołując wrażenie, że nie może nabrać powietrza.

Eleonora gwałtownym ruchem rozchyliła wystający spod sukni sztywny żabocik koszuli. W oczach jej pociemniało i zaczęła osuwać się z krzesła na podłogę.

– Niech ktoś otworzy okno! – rzucił beznamiętnym głosem Teodor, po czym z niechęcią opuścił swoje miejsce przy stole i podszedł do żony, która leżała na dywanie, łapiąc powietrze jak ryba.

– Przestań robić te komedie, nic ci nie jest! Musisz się porządnie odżywiać! Widzę przecież, że niczego nie jesz! Jak taki wyniszczony organizm miałby wydać na świat dziecko? Od tylu lat bezskutecznie czekam na syna, który będzie nosił moje nazwisko. Czy ty, na litość boską, nie rozumiesz, jak bardzo jestem rozczarowany? Czy pustka tego ponurego mieszkania nie spędza ci snu z powiek tak jak mnie? Jak jałową jesteś kobietą – mówił podniesionym tonem, wpatrując się w żonę z wyraźnym wstrętem.

Nagle z impetem chwycił ją pod pachami i wydając stęknienie, uniósł, po czym posadził siłą na krześle, z którego przed chwilą spadła.

– Jedz!!! Masz jeść! Rozkazuję ci! Jeśli nie zaczniesz się odżywiać, przywiążę cię do łóżka i sprowadzę na stałe pielęgniarkę, która na siłę będzie wciskać ci pokarmy!!! – darł się.

Gdy gwałtownie wstał od stołu, Eleonora odruchowo skuliła się i objęła rękoma głowę.

– Chcę zobaczyć, jak połykasz jedzenie!!! – wrzeszczał Teodor.

Mąż stanął nad Eleonorą, która drżącą ręką podniosła do ust widelec z ziemniakami i odrobiną pieczeni. Kropla brunatnego sosu kapnęła na karczek jej sukni i wtopiła się w bure sukno, niemal nie pozostawiając śladu.

– Opanuj się, jesz jak świnia...

Czując, jak łzy płyną po jej policzkach, żuła, zamykając co chwila oczy, aby nie widzieć nabrzmiałej od nienawiści i złości twarzy męża. Och, jaki był nieszczęśliwy, nie mogąc poradzić sobie z frustracją i swoimi niepowodzeniami.

– Pojedziemy w przyszłym tygodniu do lekarza, najlepszy specjalista kobiecych chorób przyjmuje ponoć w Berlinie. Ostatnie pieniądze wydam, żeby cię tam dowieźć. Chcę wysłuchać, jak autorytet lekarski mówi, że nie jesteś prawdziwą kobietą! – powiedział.

Nie odezwała się. Już raz Teodor zabrał ją do wybitnego lekarza, co więcej, był w gabinecie w trakcie badania i żądał pisemnego poświadczenia, że Eleonora wedle jego wiedzy jest zdolna do poczęcia i urodzenia dziecka.

Tamto badanie doprowadziło ją niemal do rozstroju nerwowego. Drżała na

całym ciele, co lekarz odebrał jako lęk przed dotykaniem jej miejsc intymnych przez obcego mężczyznę. Zapewniał, że zgodnie z wszelkimi zasadami etyki lekarskiej nie będzie widział jej ciała, a jedynie zbada drogi rodne. Kazał się jej ustawić pod ścianą, rozsunąć nogi, po czym – pod baczny spojrzeniem Teodora – wsunął rękę pod zwoje materiału sukni i pochylając się ku niej, dotknął palcami krocza (przyszła na wizytę zgodnie z zaleceniem pielęgniarki bez noszonych zwyczajowo bawełnianych pantalonów), zagłębił palce w miejscu, którego sama nigdy poza myciem nie dotykała. Wzdrygnęła się, a lekarz uspokajał: „Jeszcze chwilka, szanowna pani, jestem przecież lekarzem, proszę się nie denerwować”. Ona zaś przymknęła oczy, aby nie widzieć niezwyklego wyrazu twarzy męża, który patrzył w jakiś dziwny sposób na lekarza – bądź co bądź mężczyznę – z ręką pomiędzy nogami jego żony.

W myślach powtarzała sobie, że to niemożliwe, niemożliwe, aby lekarz wykrył albo nawet domyślił się, że od lat zażywała po odbytych stosunku dwie łyżeczki mikstury o smaku terpentyny i oleistej konsystencji, specyfiku, jaki regularnie dostarczała Eleonorze jej koleżanka Wiktorja, zapewniając, że jest to wypróbowany przez wiele kobiet sposób na niedopuszczenie do rozwinięcia się w łonie ciąży. Ogromnie się jednak bała, że lekarz czegoś się domyśli, zbada ją, dokona niezrozumiałych pomiarów i sprawa wyjdzie na jaw. Zdawała sobie sprawę, że gdyby tylko Teodor poznał prawdę, zathukłby ją na śmierć.

Ale lekarz nie stwierdził żadnych nieprawidłowości. Zalecił dietę bogatą w owoce morza i odpoczynek, dzięki czemu Eleonora na ponad trzy miesiące wyjechała do kurortu w Ostendzie, gdzie uwolniona od przykrej obecności męża, odzyskała wiarę w możliwość zaznania szczęścia.

Teraz więc podchodziła nieco spokojniej do konieczności odbycia kolejnego badania lekarskiego. Bardziej niepokoiła ją podróż do Berlina w towarzystwie Teodora, konieczność przebywania z nim w pociągu, w jednym pokoju hotelowym i znoszenia jego obecności przez cały boży dzień. Cóż, wytrzyma i to... Pomyślała, że zrezygnuje z każdego ze swoich pragnień, zrobi wszystko, aby nie doprowadzić do tego, że jego obsesja przekazania nazwiska legalnemu potomkowi doczeka się realizacji.

– Poruszę niebo i ziemię, zrobię wszystko, żebyś dała mi syna, skoro, jak twierdzi lekarz, możesz mi go dać – powiedział Teodor po otarciu ust serwetą, którą rzucił na stół. – Przysięgnij na Boga, na swojego ojca, przysięgnij, że nigdy nie spędziłaś płodu... – Teodor skierował ku żonie groźne spojrzenie.

Wstał od stołu i stanął za jej plecami, złapał w dłoń jej upięte wysoko włosy, które mimo śladów siwizny nadal wyglądały imponująco, po czym pociągnął je w dół. Pisnęła, do granic możliwości wyciągając szyję.

– Przysięgam, przysięgam na moją wiarę! – szepnęła.

Kiedyś Teodor umiał powstrzymać swoje humory ze względu na służbę, te

czasy jednak bezpowrotnie minęły. Od kilku miesięcy nie krępowała go już nawet obecność najstarszego kamerdynera, sześćdziesięcioletniego Lucjana, który pracował u Żmijewskich jeszcze w czasach, gdy w małżeństwie Jeremiego nie było dzieci. Ten stał teraz w pobliżu otwartych na oścież drzwi, ze wzrokiem wbitym w podłogę i pąsową twarzą, której zmarszczki maskowały starannie wypielęgnowane faworyty.

Eleonora z wielkim trudem hamowała łzy. Wiedziała, że służba nieustannie plotkuje na jej temat. Pokojówki i kucharki, jej pokojówka Marynia, wszystkie żyją jej małżeńskimi problemami i szeroko omawiają każdy „występ” pana. Niby jej żałowały, a jednak litość służby pogłębiało poczucie poniżenia, w jakim od przeszło ośmiu lat egzystowała Eleonora.

„Zostaw mnie, rozwiążmy małżeństwo w konsystorzu i znajdź sobie inną żonę” – chciała powiedzieć, ale nie odezwała się. Wielokrotnie mu to mówiła, niezliczoną ilość razy marzyła o tym, że któregoś dnia Teodor po prostu zniknie, zostawi ją. Ta wizja napawała ją nadzieją.

– Doprowadź się do porządku! – syknął Teodor, poprawiając swój surdut.

Spojrzała na niego, zaciskając wargi. Z jego urody, która przed laty tak ją oszołomiła, nie pozostało zbyt wiele. Dawniej gęste włosy zastąpiły okropne zakola i postępująca łysina, cera od nadużywania alkoholu i tytoniu zaczerwieniła się, straciła dawny blask, siwe faworyty i przyczerziane wąsy wyglądały nienaturalnie i dodawały mu lat. Jego młodość i powab bezpowrotnie przeminęły. A przecież to jego ciało – jak sobie wielokrotnie tłumaczyła Eleonora – musiało na nią silnie oddziaływać, do tego stopnia, że zupełnie mu się oddała. Tylko teoria Darwina o doborze naturalnym, o której sporo czytała, wyjaśniała to zauroczenie. Owszem, Teodor był elokwentny; kiedy opowiadał o zabytkach starożytnego Rzymu, chciało się go słuchać godzinami, ale nie miał za grosz empatii, dobroci, serca...

Jedyne, co mogła robić, to modlić się. Znikąd nie powinna oczekiwać pomocy. Jej ciotka Luiza, nieszczęsna stara panna, kiedyś tak bliska, opuściła Warszawę i zamieszkała w domu swego dalekiego kuzyna w Galicji. Rok temu zmarła – jak ją poinformowano – chora na głowę. Brat Konstany tuż po ślubie Eleonory wyjechał do Ameryki i próbował swoich sił na farmie w Kalifornii, którą prowadził Karol Chłapowski. Gdy przedsięwzięcie okazało się porażką, jeździł po tym rozległym kraju, pracując jako prowincjonalny portrecista. W końcu zamieszkał w Chicago, gdzie podobno został rysownikiem zatrudnionym w sądzie i żył obecnie z rysunków sporządzanych zgodnie z amerykańską modą w trakcie procesów.

Jej siostra Agnieszka, po ciężkich przeżyciach porzucona przez męża, który nakłonił ją do bycia aktorką i opuszczenia rodzinnego domu, kilka lat temu powróciła z prowincji do Warszawy, ale tutejsza scena teatralna okazała się dla niej

zbyt wymagająca. Występowała ponoć w prowincjonalnych miasteczkach z objazdową trupą komediantów, ale słuch o niej zaginął. Pokazała się ledwie kilka razy w hotelu, domagając się natychmiastowej wypłaty stu czy dwustu rubli. Nawet nie odpowiadała na listy.

Największym rozczarowaniem była jednak matka. Jak tłumaczyła sobie Eleonora, ślub córki z nieznanym mężczyzną odebrała jako afront i obrażona na córkę nie dawała znaku życia, nie odpowiadała na jej listy, mimo że Eleonora błagała ją o przesłanie jakiegoś zdjęcia od lat niewidzianej młodszej siostrzyczki Walerii. Nawet gdy zrozpaczona Eleonora przyznała się pani Żmijewskiej do błędu, opisała swoją mękę, jaką było pożycie małżeńskie, i błagała o pomoc, nie doczekała się żadnej reakcji ze strony matki, która ponoć bawiła się w Monte Carlo, żyjąc z rosyjskim arystokratą o złej reputacji. Kiedyś Regina przysłała córce pocztówkę z widokiem kasyna, na odwrocie której napisała: „Nigdy nie odezwę się do kogoś, kto nosi nazwisko Szpakowska”. Jako adresatka wskazana została „Eleonora z domu Żmijewska”.

Eleonora dopiero w trakcie tego nieszczęsnego obiadu na początku karnawału zrozumiała, o co chodziło matce. Gdy służba zabrała już ze stołu srebrną paterę z niemal nietkniętą pieczenią, Teodor zażądał kawy i podwójnego koniaku (a wypił w trakcie obiadu cztery kieliszki mocnego burgunda), po czym nieoczekiwanie powiedział wręcz łagodnym, zrezygnowanym głosem:

– I po co mi było to wszystko? Dla tego zatechłego, prowincjonalnego miasta zostawiłem włoskie starożytności... Wszystko to, bo umierającemu ojcu przysiągłem, że spełnię jego ostatnią wolę i w imieniu Szpakowskich odbiorę waszej rodzinie ten hotel, który powinien być od dawien dawna nasz!

– Nie rozumiem...

Teodor nic już nie dodał. Jakby zmieszany nieoczekiwanym odsłonięciem kart wstał gwałtownie od stołu, rzucił na blat serwetę i lekko się zataczając, opuścił jadalnię.

Eleonora podekscytowana tym, co usłyszała, poczuła niezrozumiałą radość. Dotąd była przekonana, że w tym małżeństwie chodziło o pozyskanie środków do życia. Z zaskoczeniem uświadomiła sobie, że myliła się, bo Teodor – ku jej zdziwieniu – miał jakieś dogmaty w swoim życiu! Zależało mu na spełnieniu ostatniej woli swego ojca... Żałowała, że nie знаła historii waśni rodzin Żmijewskich i Szpakowskich. Nie wiedzieć czemu pomyślała, że przyczyną kłótni była zakazana miłość pomiędzy osobami z dwóch rodów, miłość, na którą nie było zgody w żadnej z tych rodzin. Ale skąd miała wiedzieć, jaka była prawda? Ani matka, ani ojciec o niczym nigdy nie wspominali. Jakim sposobem nazwisko Szpakowski miało być jej znajome?

2.

W niezwykle jasną lutową noc Eleonora od kilku godzin leżała w swoim łóżku. Myślała o Teodorze z nieco mniejszą nienawiścią niż zazwyczaj. Tego wieczoru nie było go w domu, bawił się gdzieś w burdelu albo pijackim szynku, nie chciała wiedzieć gdzie. Czuła ulgę, ilekroć zniknął.

Oddała mocz do porcelanowego nocnika, który następnie wsunęła pod łóżko, wypila kilka łyków wody, po czym zapaliła lampę, aby poczytać przesłaną jej przez daleką kuzynkę z Paryża nową powieść pisarza, o którym rzekomo mówili wszyscy.

Gdy dotarł do niej stłumiony odgłos zegara dobiegający z nieużywanego od lat pokoju Konstantego, zgasła lampę naftową i zaczęła wpatrywać się w prostokąt wysokiego okna, który wypełniała atramentowa noc. Była już trzecia nad ranem, najgorsza godzina nocy. Padający śnieg uspokajał ją. Rozmyślała o nieznannej historii rodzinnej, która musiała być mroczna i bolesna. Bardzo chciała wiedzieć, co takiego poróżniło Żmijewskich i Szpakowskich. Od kiedy te dwa rody się znały? Postanowiła nazajutrz napisać list do matki w tej sprawie. Napisze nie tylko do niej, także do Agnieszki, od Konstantego, do Walerii (przecież to już czternastoletnia panienka, wiele mogła usłyszeć od matki), do każdego z rodziny. Przestanie być miłą, oświadczy im, że dłużej nie będzie samotną strażniczką rodzinnego majątku, który zresztą topnieje z każdym dniem. Wezwie ich do powrotu!

Zapadała wreszcie w sen, który został nagle przerwany, gdy niespodziewanie doszły do jej uszu stłumione, ale dramatyczne okrzyki. Wstała z łóżka i podeszła do okna, za którym zobaczyła ludzi biegnących po ulicznym bruku w kierunku hotelu. Uchyliła okno i poczuła na ciele mroźne, ostre powietrze. Dotarły do niej odgłosy: „Pali się, pali się!”.

– Wielmożna pani! Pożar wybuchł na poddaszu hotelu! – Do sypialni Eleonory wtargnęła przerażona pokojówka Mania. Podbiegła do stojącej przy oknie pani i obie patrzyły, jak na ulicę Długą wbiegają konie ciągnące beczkowóz.

– O mój Boże... – szepnęła Eleonora. – Niech Mania przyniesie mi szybko moją podbitą sobolami pelerynę i kapelusz! Przecież nie wyjdę na ulicę ot tak, bez kapelusza. No już!

Kiedy po kilku minutach Eleonora wyszła na ulicę, spory tłumek gapiów mimo późnej pory stał, obserwując postępy akcji gaśniczej. Spojrzała w górę na płonący dach kamienicy, w której zlokalizowany był hotel, i poczuła skurcz przerażenia. Nagle ktoś położył rękę na jej ramieniu, odwróciła się. Tuż za jej plecami stał Teodor. Jego oczy płonęły niespotykanym blaskiem.

– Może wreszcie, moja droga, wyremontujemy tę rudere – szepnął do jej ucha.

– Za co, Teodorze, skąd weźmiemy na to środki?

– Czyżbyś nie wiedziała, że jeszcze twój papa lata temu wykupił bardzo

korzystną polisę ubezpieczeniową? – Teodor uśmiechnął się dwuznacznie.

Eleonora spojrzała mu głęboko w roziskrzone diabolicznym uśmiechem oczy.

– Dlaczego wybuchł ten pożar? Czy masz coś z tym wspólnego? – zapytała przerażona.

– Och, moja droga żono, takie wypadki po prostu się zdarzają... Niczym się nie martw. Schroń się jak najszybciej w jakiejś bramie, jeszcze złapiesz bronchit i umrzesz, zanim uda nam się spłodzić potomka! – odparł sarkastycznie i uśmiechnął się do niej złośliwie, po czym zniknął w tłumie gapiów.

Pożar na ulicy Długiej ugaszono dopiero nazajutrz po południu. Jak się okazało, budynek uratował padający śnieg i natychmiastowa, ofiarna pomoc, jaką okazali stacjonujący w kamienicy sąsiadującej z hotelem kadeci. Nie spali do późna feralnej nocy i widząc pierwsze języki ognia w pokoju na najwyższym piętrze hotelu, natychmiast wszczęli alarm.

Załamana widokiem płomieni Eleonora spędziła kilka godzin w cukierni na Długiej, nie mając dokąd się udać. Żona właściciela lokalu dała jej krople na uspokojenie, co rusz donosiła herbatę, starając się dodać nieszczęsnej Eleonorze otuchy. Ta, paląc papierosa za papierosem, zdenerwowana śledziła przez szybę postępy akcji ratowniczej. Wywołane słowami męża wzburzenie nie ustępowało. „Czy był zdolny do takiej podłości? Co z nami będzie?” – myślała, czując dotkliwą samotność. Nie było nikogo, z kim mogłaby podzielić się swoimi obawami, poradzić się, co zrobić. Skoro Teodor był zdolny do podpalenia, mógł z łatwością dokonać rzeczy znacznie gorszych!

Tłum gapiów nieustannie okupował ulicę, przed hotelem kręcili się dziennikarze, stójkowi rozganiający gawieź i dzieciarnia. Pan Tyszka – człowiek udręczony trapiącymi go problemami żołądkowymi, od czasu ślubu panny Żmijewskiej zdegradowany z funkcji dyrektora do administratora – okazując teraz wielkie zdenerwowanie, łamiącym się głosem przeproszał opuszczających w popłochu hotel gości, którzy ewakuowali się w nocnych koszulach i szlafmycach, zarzucając jedynie na siebie koce albo futra, jeśli ktoś miał je akurat pod ręką.

Tuż po opanowaniu ognia, gdy policjanci weszli do wnętrza hotelu, okazało się, że w pokoju pod trzydziestką na najwyższym piętrze znaleziono częściowo zwęglone zwłoki mężczyzny. Przyjęto wersję, że to on, prawdopodobnie paląc w łóżku cygaro, zaproszył ogień, który na szczęście zdołano opanować, zanim zniszczeniu uległy niższe kondygnacje kamienicy. Największe szkody dotknęły poddasze i część górnego piętra. Reszta hotelu po osuszeniu prawdopodobnie będzie mogła być nadal użytkowana.

Roztrzęsiona Eleonora nie mogła się uspokoić na wieść o śmiertelnej ofierze pożaru. Ta sprawa nie dawała jej spokoju i musiała ją wyjaśnić. Co prawda

pełniący służbę na recepcji młodszy portier początkowo nie chciał – z rozkazu pana Szpakowskiego – pokazać księgi hotelowej gości, jednak Eleonora stanowczo zażądała wydania zeszytu.

– Pan chyba zapominasz, kim jestem! – powiedziała z dumą w głosie i dodała: – To wciąż mój hotel!

Zabrała z rąk recepcjonisty oprawiony w skórę dużych rozmiarów zeszyt i udała się z nim do usytuowanego na tyłach saloniku muzycznego, gdzie goście niekiedy słuchali koncertów fortepianowych. Tam w odosobnieniu otworzyła księgę gości, odszukała odpowiednią rubrykę i oniemiała z przerażenia. Jak się okazało, pod numerem trzydziestym, który jak jej się zdawało, był od dawna niezamieszkały, pojawił się nowy wpis datowany na cztery dni wstecz, zawierający dane rzekomego gościa. Był nim Alfred Kowalski, lat trzydzieści, zamieszkały we Lwowie. Cel przyjazdu do Warszawy: pobyt w interesach. Ale Eleonora mogłaby przysiąc, że nikt taki w hotelu nigdy się nie pojawił. Do kogo należały więc zwęglone zwłoki, jakie znaleziono w pokoju numer trzydzieści?

Kolejnego dnia w mieszkaniu Szpakowskich pojawił się oficer śledczy, lejtnant Aleksandr Grigorowicz Szurakin, który chciał zadać właścicielom hotelu pytania dotyczące pożaru. Właśnie wszczęto śledztwo w tej sprawie. Mężczyzna o oschłym, wręcz grubiańskim usposobieniu zaczął zadawać Eleonorze po rosyjsku szczegółowe pytania. Kim był gość pokoju numer trzydzieści, kiedy przybył do hotelu, czy był przy nim jego służący, czy jegomość zwrócił uwagę pani Szpakowskiej czymś szczególnym?

Eleonora co chwilę przymykała mokre od łez oczy, wzdychała ciężko, ocierała chustką czoło, na którym co rusz pojawiały się krople potu. Słowem odgrywała przedstawienie, aby tylko nie udzielić zbyt konkretnych odpowiedzi na zadawane jej pytania.

– Szanowna pani, rozumiem, że dla damy takiej jak pani wczorajsze wydarzenia były szokiem, ale to bardzo ważne, musimy to wiedzieć! – uspokajał ją oficer.

Ona jednak żądała soli trzeźwiących i odgrywała swoją rolę panicznie zdenerwowanej całą sytuacją.

Nie wiedząc, co odpowiedzieć, grała na zwłokę. Po kilku przesłuchaniach oficer zostawił ją w spokoju i zaczął przepytywać służbę. „Teraz wszystko się wyda” – pomyślała Eleonora i poszła pomodlić się do kościoła. Tylko to mogło im teraz cokolwiek pomóc.

3.

Fakt ugaszenia pożaru wywołał atak wściekłości Teodora. Złorzeczył na człowieka, który „wszystkim miał się zająć”, a nie potrafił jak należy podłożyć ognia. Miał oblać chodniki hotelowych korytarzy łatwopalną substancją i zrobić to

tak nieudolnie, że dywany na niższym piętrze nawet nie zajęły się ogniem.

Również tożsamość rzekomego gościa, który miał zostać uznany za tego, który zaproszył ogień, dobrana została tak pechowo, że wzbudziła zainteresowanie samego oberpolicmajstra. Śledczy już w trakcie pierwszej rewizji spalonych pomieszczeń mieli wątpliwości co do znalezionych szczątków – spalony mężczyzna wydawał im się starym i chorym człowiekiem i nie pasował do opisu hotelowego gościa, wpisanego do księgi jako Alfred Kowalski, trzydziestoletni kawaler ze Lwowa.

Po hotelu zaczęli się kręcić przedstawiciele tajnych służb policyjnych, zaintrygowani znalezionymi w pokoju zwęglonymi zwłokami. Nie do końca dali wiarę wyjaśnieniom państwa Szpakowskich, a także kompletnie niespójnym, wręcz sprzecznym ze sobą zeznaniom służby. Ponadto administrator hotelu, Tyszka, nie umiał okazać dowodu świadczącego o wypełnieniu obowiązku meldunkowego w stosunku do ofiary pożaru. Śledczy uznali, że nie wpłynął odpowiedni formularz wniosku o tymczasowy paszport, więc pobyt w warszawskim hotelu pana Alfreda Kowalskiego był nielegalny.

Teodor Szpakowski, przedstawiający się jako współwłaściciel hotelu, twierdził, że meldunku nie dopilnował pan Tyszka, i próbował załagodzić to przykre niedopatrzenie ze strony administratora łapówką wręczoną starszemu śledczemu. Sam pan Tyszka został spektakularnie zwolniony z pracy na oczach policjantów, tak aby zobaczyli na własne oczy, jak wielką wagę pan Szpakowski przywiązuje do kwestii meldunkowych. Zgodnie z przepisami bowiem każdy hotel miał obowiązek zgłosić władzom dane każdego nowo przybyłego do Warszawy gościa.

Udało się Szpakowskiemu uniknąć urzędowej kary za brak meldunku, za to firma ubezpieczeniowa oświadczyła, że wypłaci tylko część polisy, taką, która pokryje straty związane ze spaleniem górnego piętra i fragmentu dachu. Teodor szalał z wściekłości. A przecież cała ta operacja w jego zamyśle miała sens wyłącznie w przypadku doszczętnego zniszczenia kamienicy.

– Kim był ten człowiek, który spłonął? Muszę wiedzieć, ciągle mnie przesłuchują... – Eleonora w końcu odważyła się zapytać męża.

– Nikt! Po prostu anonimowy trup. To był nikt, rozumiesz? Jakiś włóczęga, który dopiero co zamarzył na ulicy, ktoś bez imienia i nazwiska. Ilu takich leży na bruku? Położono jego zwłoki w pustym łóżku i tyle, nie zabił go ogień ale mróz – syknął Teodor.

Eleonora była wystraszona, nie tylko z uwagi na dręczące męża poczucie klęski i jego zupełną nieprzewidywalność w furii, ale też z powodu stanu hotelu. Fragment zniszczonego dachu prowizorycznie zabezpieczono, ale jego remont musiał rozpocząć się natychmiast. Część spalonego piętra na razie wyłączono z użytkowania. Mimo że generalnie obiekt mógł funkcjonować w miarę tak jak

dawniej, pożar skutecznie zniechęcił gości do odwiedzania hotelu Varsovie, tym bardziej że na ulicy Długiej do wyboru były cztery niezłe hotele.

Gdy nadeszła wiosna, Szpakowscy musieli odprawić znaczną część służby. Z dostępnych piętnastu pokoi zajęte były trzy. W dwóch apartamentach gościli przebywający w Warszawie w interesach fabrykanci, jeden zaś przestronny apartament dużych rozmiarów, wynajął wytwornie ubrany młodzieniec Filip Sadurski, który co wieczór kazał sobie przynosić do pokoju po kilka butelek szampana, szastał pieniędzmi i rozdawał szczodre napiwki, a służba skakała wokół niego jak wokół jakiegoś księcia.

– Nie wydaje ci się podejrzanym, że tak młody człowiek bez znanego nazwiska wydaje tak wiele pieniędzy i do tego zamieszkał w naszym hotelu? Jego strój, pieniądze... Dlaczego nie wybrał Europejskiego, tylko nas? – dziwiła się Eleonora, ale Teodor niespecjalnie interesował się dziwnym gościem.

– Mnie teraz zajmują ważniejsze kwestie. Czy wiesz, że ponoć dorożkarze, parszywe typy, robią nam fatalną reklamę! Opowiadają gościom, którzy biorą dorożkę sprzed dworca i kierują się do hotelu Varsovie, że w tym miejscu dzieją się dziwne rzeczy, wybuchł pożar, toniemy w długach, piętro jest niewyemitowane i niebezpieczne... Doniósł mi taki jeden... Będę musiał zapłacić kilka rubli i zamknąć złośliwe mordy dorożkarzom. Ech! Jeszcze i to! – żalił się z nieskrywaną złością Teodor.

W deszczowe, ponure popołudnie siedzieli oboje w zielonym pokoju. Zmęczona poranną wizytą w kościele i przygotowaniem do Świąt Wielkanocnych Eleonora wpatrywała się w nowy numer magazynu dla pań „Bluszcz”, udając, że czyta wydrukowany na pierwszej stronie tekst modlitwy do Matki Boskiej Fatimskiej.

– Tak, tak, ucz się modlitwy, może to coś pomoże... Niedługo hotel zlicytują, a my wylądujemy na bruku – rzucił w jej stronę mąż, po czym zerwał się z fotela i mówiąc, że ucieka z tej umieralni, jak określił zielony salonik i towarzystwo żony, wezwał służącego, aby podał mu laskę, cylinder i rękawiczki.

– O mój Boże, co będzie z hotelem? – szepnęła do siebie Eleonora.

Przecież to dla ochrony rodzinnej schedy trwała w koszmarze zgotowanym jej przez męża. Gdyby nie hotel, dawno już uciekłyby daleko stąd albo zażyła truciznę i skończyła z tym wszystkim. Jedyne, co dodawało jej sił, była świadomość, że trwa na posterunku i jako jedyna z żyjących Żmijewskich pilnuje dzieła życia jej dziadka. Najpierw dziadek, a później papa całe życie poświęcił temu hotelowi. Ojciec zrezygnował ze swoich młodzieńczych planów i robił wszystko, aby utrzymać dobrą renomę przybytku. Skoro przez naiwność Eleonory ktoś zły, mający niezrozumiałe intencje psuł to, czego Żmijewscy dorobili się przez lata, ona musiała zrobić wszystko, aby Teodor nie zniszczył dorobku pokoleń przez swoją rozrzutność i brak umiejętności zarządzania hotelem.

Nie radził sobie ze służbą i pracownikami, ale w stosunku do gości bywał szarmancki i przedstawiał się jako światowiec, który spędził większość życia za granicą, popisywał się znajomością czterech obcych języków i wykwintnymi manierami. Niestety zdarzało się (ostatnio coraz częściej), że psuł całe wrażenie, ilekroć tym samym ludziom, którym opowiadał o skarbach Kartaginy czy śladach starożytnych Greków na Sycylii, pokazywał się pijany, nieogolony i śmierdzący, po kilkunastogodzinnych libacjach i orgiach.

Eleonora wiedziała, że na mieście mówiono o Szpakowskim, iż jest pijakiem, hazardzistą i dziwkarzem. Taka opinia na pewno nie przynosiła hotelowi chluby. Co mogła zrobić, poza modlitwą i pokornym dźwiganiem swojego krzyża? Jej duchowej martwoty nie uleczyła ani wiosna, ani nowe premiery teatralne. Zostało jej właściwie jedno rozwiązanie.

4.

Ten majowy wieczór Eleonora spędzała w salonie. Przeczytała w gazecie odcinek nowej powieści *Ogniem i mieczem* Henryka Sienkiewicza, a następnie siedziała w milczeniu z robótką w dłoniach, w towarzystwie męża, który coraz rzadziej przebywał w domu. Być może przyczyną jego pozostania na Długiej była gwałtowna burza, która przetoczyła się nad miastem.

Eleonora była niepokieszona. Bardzo jej zależało na swobodzie, tego bowiem wieczora zamierzała zająć się pokojówką Renatą, która ostatnio zachowywała się nad wyraz dziwnie. Kiedy w trakcie porannej toalety swojej pani, wynosząc wypełniony po nocy porcelanowy nocnik, wybiegła gwałtownie z pokoju, zakrywając dół twarzy skrawkiem białego fartuszka, Eleonora nabrała pewnych podejrzeń.

Jak na złość Teodor ciągle był w domu i tonąc w dymie cygara, czytał gazety.

– Zapal sobie, jeśli chcesz – rzucił w stronę żony, nie odrywając wzroku od „Kurier”.

Od czasu nieudanej próby wyłudzenia odszkodowania pan Szpakowski wyraźnie stracił zainteresowanie hotelem. Po początkowej fazie złości i rozczarowania pieniądze otrzymane na remont spalonych pokoiów przegrał w ruletkę, zaczął również znikać na całe dni z domu i przestał właściwie zauważać żonę. Niekiedy tylko w pijackim amoku forsował drzwi do jej sypialni (gdy którejś nocy zamknęła je na klucz, z pomocą nocnego recepcjonisty je wyważył), potrafił też wtargnąć do jej pokoju w środku nocy i wziąć ją siłą. Gdy budził się rano, za każdym razem stanowczo twierdził, że niczego nie pamięta.

Przez te nocne wizyty, które nie zdarzały się zbyt często, jednak były zawsze nieoczekiwane, Eleonora nie tylko nie jadła normalnie, ale przestała też sypiać. Wyglądała jak strzęp człowieka. Gdyby nie kilka warstw tkanin składających się na

dzienną garderobę, drapowania, kokardy i upięcia materiału, jej wychudzona sylwetka budziłaby przerażenie. W trakcie tych nocnych napaści bała się krzyczeć czy opierać, aby nie wystraszyć gości hotelu. I tak po mieście krążyły już plotki o gigantycznych długach Szpakowskich, braku pieniędzy na niezbędny remont i pijaństwie męża dziedziczki hotelowej schedy, spowodowanym według ludzi przez kłopoty finansowe. Skandal obyczajowy byłby gwoździem do trumny...

Ostatnio zaczęła trzymać pod poduszką krótki nóż. Niekiedy przyrzekała sobie, że jeśli tylko Teodor znowu ją gwałtownie zaatakuje, wbije mu ostrze w szyję. Po prostu to robi, dłużej nie wytrzyma. Potem poszłaby do więzienia, prawdopodobnie zostałaby powieszona, ale ta perspektywa już jej nie przerażała.

Kiedyś miesiącami myślała o tym, aby skończyć ze sobą, zażyć wiotriol²⁹ i przestać się przejmować rodową spuścizną, o którą oprócz niej nikt z rodziny nie zabiegał. Modliła się jednak dużo i strach przed potępieniem, jakie spotykało samobójców w Kościele katolickim, odwodził ją od takich zamiarów. Ostatnio jednak nawet wizja wiecznego potępienia i popełnienia śmiertelnego grzechu przestała krępować jej myśl o uldze, jaką mogłaby jej dać upragniona śmierć.

– Proszę. – Teodor wyciągnął w stronę żony srebrną papierośnicę.

„Łaskawca” – pomyślała Eleonora i sięgnęła po papierosa. Manipulował nią nawet w tak drobnych kwestiach: niekiedy urządzał awantury o papierosy, które paliła, aby innym razem zachęcać ją do palenia. Musiał dawać jej do zrozumienia, że każda, najdrobniejsza sprawa jest w jego gestii. Kreatura! W nocy znowu jej się śnił nieżywy, leżał w wyściełanej aksamitem trumnie, a ona, stojąc nad jego zwłokami, myślała tylko o tym, żeby pohamować uśmiech radości – tak wielkie czuła szczęście, wiedząc, że już nigdy nie będzie musiała słuchać ani widzieć tego obrzydliwego człowieka.

Niestety był to tylko sen. Jednak myśl o nożu – używanym przez ojca zabytkowym koziku o rączce z jeleniego rogu – dawała nadzieję na ziszczenie marzenia o śmierci tego typu, który siedział naprzeciw niej w sztuczkowych spodniach i surducie, z monoklem przy oku i uważał się za jej pana i władcę. Jego oszalamiająca uroda przygasła, ale obiektywnie rzecz biorąc, wciąż mógł być uważany za przystojnego. Eleonora widziała w nim tylko starzejącego się oportunistę, któremu w życiu się nie powiodło.

– Znowu walki na noże, co za zdziczenie obyczajów! Kradną już chyba wszyscy w tym mieście. Co za hołota! Ponoć w zeszłym roku w Warszawie było dwa tysiące czterysta czterdzieści osiem kradzieży na sumę dwustu pięćdziesięciu ośmiu tysięcy rubli! Wszędzie już kradną, w mieszkaniach, na ulicach, w dorożkach, nawet w kościołach! – odezwał się Teodor, wydmuchując kłęb dymu z ust. – A czemuś tak poczerwieniała? O co chodzi? – Zaczął wnikliwie przypatrywać się żonie, która z całych sił skupiała się na hacie.

Eleonora milczała.

W końcu dał jej spokój. Chwycił dzwonek i wezwał służącą. Pojawiła się stara Józefa.

– Gdzie jest Renata? Niech tu natychmiast przyniesie herbatę i ciastka z kajmakiem!

Eleonora nie spuszczała oczu z haftowanej serwetki. Teodor znowu wściubił nos w gazetę, a po chwili wygłosił zjadliwy komentarz:

– Mój Boże, w tym mieście najlepiej być nędzarzem! Tylko dla biedaków normalni ludzie wypruwają sobie żyły! Tylko dlatego, że zarabiamy jakiś grosz, musimy kwestować, śpiewać, tańczyć, robić z siebie idiotów, bo jakaś hrabina bawi się w dobroczynność! Ludzie poszaleli! Czasami wydaje mi się, że zaraz to biedak będzie jeździł powozem i mieszkał w kilku pokojach, a ich protektor skończy na bruku za nieuiszczanie komornego... Trudno się dziwić, że w Warszawie tylko Żyd może zrobić majątek, nikt inny... Wystarczy zresztą spojrzeć na listę warszawskich milionerów, oprócz kilkunastu hrabiów z rodowymi majątkami reszta to albo dysydenci, albo Żydzi!

„Boże, skąd w tym człowieku tyle jadu, tyle niechęci wobec słabszych... Że też nie widziałam w nim fałszu, gdy chodził ze mną do ubogich suterren i na strychy. Jak mogłam nie dostrzec, że to oszust! I jak on musiał maskować swoje naturalne skłonności!” – myślała Eleonora. Mimo upływu lat to, w jaki sposób Teodor zdobył jej przychylną, nie przestawało jej nękać.

Do saloniku po kilkunastu minutach weszła blada jak kreda Renata. Ręce tak się jej trzęsły, że aż podskakiwało wieczko na imbryku z porcelany malowanej w kwiaty. Teodor spojrział na nią bezlitosnym wzrokiem i zacisnął usta w wąską kreskę.

– Postaw to szybko. Co się z tobą dzieje?! Popatrz na mnie! – syknął.

Dziewczyna z przerażeniem podniosła ku niemu oczy pełne łez.

– Co ci jest? – jeszcze ostrzej zapytał pan Szpakowski.

Renata milczała. Pod suto marszczonym fartuchem rysował się wystający brzuch.

Eleonora odwróciła głowę i utkwiała wzrok w wielkim, stojącym zegarze. W myślach odliczała sekundy. Jedna, dwie, trzy... Wreszcie rozległ się tradycyjny dźwięk. Była siódma.

– Czy nie wspominałeś, mój drogi, że wybierasz się na partyjkę wista do Europejskiego?

Teodor złożył gwałtownym ruchem gazetę, wstał z fotela i patrząc złowrogo na obie przebywające w salonie kobiety, rzucił na odchodnym w kierunku żony:

– Widzisz, nawet takie zero może mieć brzuch, tylko nie ty!

I wyszedł.

Renata stała nadal tuż przy drzwiach, a łzy wielkości grochu płynęły po jej

policzkach.

– Usiądź, proszę. Spodziewasz się dziecka, tak? – Eleonora mówiła do dziewczyny łagodnym tonem.

Gdy ta przysiadła na skraju szezlongu, wzięła ją za rękę i zapytała:

– A ojciec dziecka? Ożeni się?

Służąca przecząco pokręciła głową.

Nie chciała z początku powiedzieć, z kim zaprzepaściła swoją cnotę, w końcu jednak wyznała, że zbałamucił ją gość hotelu, pewien młodzieniec z prowincji, który przyjechał tu, starając się o pracę na nowo otwartej giełdzie. Ponoć obiecał dziewczynie ożenek, miał ją zabrać ze sobą, a wyjechał bez słowa. Eleonora przypomniawszy sobie owego młodego mężczyznę, kilka miesięcy temu rzeczywiście bawiącego przez dwa tygodnie w ich hotelu. Wydawał się taki spokojny i skromny, widocznie – nie on pierwszy, nie ostatni – zgłupiał w wielkim mieście, przepuścił pieniądze, wdał się w dziwne towarzystwo i po fiasku starań o pracę skruszony wrócił do swojego miasteczka z podkulonym ogonem.

– Niech się pani nie martwi, ja odejdę. Jutro odejdę! Wiem, że nie mogę tu zostać...

– Nie o to chodzi. Co dalej z tobą, z dzieckiem? Oddasz je na garnuszek?

– Skąd na to rubli wezmę? – westchnęła Renata.

– Ja pomogę! Nie bój się, nawet jeśli pan każe ci opuścić hotel, nie zostaniesz sama z kłopotem. – Eleonora wzięła dziewczynę za rękę i ze współczuciem wymalowanym na twarzy popatrzyła jej w oczy.

„Sprzedam sygnet papy” – pomyślała.

5.

W popołudniowych godzinach pierwszego dnia czerwca mecenas Ignacy Darski zażywał codziennego spaceru i przemierzał odcinek od placu Krasińskich ku Senatorskiej. Szybciej niż zwykle opuścił kawiarnię Lourse’a, gdzie od lat po obiedzie zaglądał, aby przy kawie i ciastkach przeczytać niektóre tytuły gazet. Prasa produkowała obecnie tak wiele tytułów, tyle treści, że nie sposób było zapoznać się z wszelkimi nowinami przy śniadaniu. Samych „Kurierów” ukazywało się pięć różnych. A z każdego można było dowiedzieć się czegoś ciekawego.

Ignacy usiadł przy stolicku o marmurowym blacie i czekając, aż kelner przyniesie mu filiżankę kawy po wiedeńsku, spojrzął bezwiednie przed siebie. W kryształowej tafli luster, jakie pokrywały całą ścianę lokalu, zobaczył swoje odbicie i pomyślał, że wygląda niczego sobie, a nawet znacznie lepiej niż w latach młodości. Czas działał – o dziwo – na jego korzyść. Wraz z upływem lat Darski stracił zbędne kilogramy, które popsuky mu młodość. Rysy twarzy stały się bardziej wyraziste, spojrzenie twardsze, wyrażające pewność siebie i spokój związany

z osiągnięciem wysokiej pozycji zawodowej. Teraz był szczupły, dbał o to, aby lekko zakręcony wąs był zawsze elegancko wypomadowany, elegancji dodawał mu stosowny strój. Gdyby nie włos przyprószony siwizną i monokl (od niedawna był zmuszony go używać), nikt nie dałby mu więcej niż trzydzieści lat, choć w rzeczywistości skończył trzydzieści siedem.

Sięgnął po „Kurier Warszawski”, datowany na trzeciego czerwca. Zawsze z wielkim zaciekawieniem czytał *Kroniki warszawskie* Bolesława Prusa i tym razem zgrabny, napisany z odrobiną sarkazmu i nad wyraz inteligentny tekst bardzo mu się spodobał. Pan Prus zabawnie komentował fakt rozpoczęcia w Warszawie robót kanalizacyjnych na rogu ulicy Solec i Alej Jerozolimskich. Rzeczywiście wszystkim się wydawało, że te prace nie zaczną się już nigdy. Nieustannie pojawiały się przeszkody, o których donosiła prasa – a to był problem z dostawą rur, a to zabrakło cegieł, a to znowu inżynier Lindley musiał opuścić Warszawę...

W elegancko urządzonej lokalu Lourse’a mecenas Darski zawsze spotykał jakichś znajomych prawników, którzy podobnie jak on upodobali sobie to miejsce. I tym razem w głębi jednej z bocznych salek (gdzie na ścianach zamiast lusterek królowała dębowa boazeria) siedział krąg panów skupionych wokół byłego sędziego Szczakowskiego, obecnie już emerytowanego i brylującego w tematach prawniczych dysput w kawiarniach i szynkach.

Dzisiaj koledzy prawnicy żywo komentowali początek prac i wykopy pod rury kanalizacyjne. Wszyscy czekali z niecierpliwością, aż miasto pozbędzie się rynsztoków z przykrą wonią pomyj, a po ulicach wreszcie przestaną krążyć beczkowsy Bergera z cuchnącą zawartością zebranych fekaliiów.

Ignacy śmiał się z nich w duchu. Teraz każdy prezentował się jako zwolennik postępu, a przecież jeszcze parę lat temu, kiedy pełniący obowiązki prezydenta Sokrates Starynkiewicz, swoją drogą bardzo przychylny Warszawie uczciwy człowiek (jeden z nielicznych takich Rosjan w tym mieście) wszczął publiczną dyskusję o konieczności przekopania pod miastem kanałów, którymi płynąć miałyby miejskie nieczystości, z początku mało kto był przychylny tej idei. Ci tutaj wychwalający obecnie nowoczesność pod postacią kanalizacji krzyczeli wówczas najgłośniej, że trujące opary z kanałów zniszczą warszawianom zdrowie, podkopane zostaną fundamenty kamienic, z braku naturalnego nawozu upadnie rolnictwo, że koszty życia tak wzrosną, że trzeba będzie stąd uciekać. Sam pan Prus w kronikach krytykował i wyśmiewał planowane zmiany, którym sprzeciwiali się kamienicznicy przerażeni widmem kosztów, jakie będą musieli ponieść za podłączenie budynków do kanalizacji.

Znużony ciągnącą się od miesięcy, a wręcz od lat dyskusją o zaletach i zagrożeniach związanych z kanalizacją Darski opuścił kawiarnię pod pretekstem umówionego spotkania z klientem. Skwarne powietrze miasta wydawało się

niemożliwe do zniesienia. „Dzisiaj lepiej dać sobie spokój ze spacerem” – pomyślał. Tego dnia nawet zwykle energiczne kwiaciarki ledwie szły ulicą ze swoimi koszami, niemrawo kierując w stronę przechodniów wyciągnięte ręce z bukietami fiołków.

Widząc młodziutką, bosą dziewczynę w łachmanach, niemal dziecko jeszcze, idącą w jego stronę z naręczem bukietów, Ignacy wziął od niej wszystkie te kwiaty i wręczył dwa ruble. Dziewczyna oniemiała ze szczęścia, przeżegnała się i zaczęła płakać. Ignacy cofnął rękę, którą chciała pocałować, i sięgnął do kieszeni surduta, po czym wyjął z nich jeszcze kilka drobnych monet i dał dziewczynie.

– Kup sobie coś dobrego, dzisiaj miałabyś ochotę na lody, prawda? – rzekł, po czym ruszył przed siebie, kierując się ku ulicy Miodowej.

Przechodził akurat w pobliżu kościoła kapucynów, gdy nagle zauważył stojącą przed witryną atelier fotograficznego Mieczkowskiego znajomą postać, która oglądała wyeksponowane za szybą amerykańskie fotografie Heleny Modrzejewskiej. To była ona!

Od razu poznał jej twarz – wyjątkowo mizerną, bladą i sprawiającą wrażenie chorej, nadal jednak oszałamiająco piękną. Ostatnio wymienili gesty powitania po mszy w kościele karmelitów ponad rok temu. Spotykali się bardzo rzadko, częściej widział już jej męża, którego szczerze nie cierpiał – spotkał go parokrotnie w gabinetach restauracyjnych, a nawet w korytarzu mieszkania Madame Agnes.

Ślub panny Żmijewskiej z tym człowiekiem był dla Ignacego prawdziwym ciosem. Ale mimo że małżeństwo nie sprawiało wrażenia udanego (nie mieli przecież dzieci), Darski lata temu zaniechał prób zbliżenia się do Eleonory. Kilka razy próbował, niestety niezdarnie i bez powodzenia zagadnąc ją na tematy muzyczne (odparła krótko, że już nie gra na fortepianie) czy o dobroczynności, którą kiedyś zajmowała się z wielkim poświęceniem, teraz jednak – jak stwierdziła – absorbuje ją wyłącznie mąż i hotel.

Ta szczupła postać w skromnej, popielatej sukni, prostym, malutkim kapeluszu przypiętym do wysoko upiętych włosów, a ozdobionym tylko pojedynczym kwiatem, z koronkową parasolką w dłoni – to była ona, pani Szpakowska!

– Witam szanowną panią Eleonorę!

Gwałtownie odwróciła się w jego stronę. Skłonił się, unosząc rondo cylindra, w pierwszej chwili skrępowany i onieśmielony niespodziewanym spotkaniem. Trzymane w dłoni polne kwiaty niemal wysunęły mu się na trotuar. Gwałtownie bijące serce dało mu znać, że zapomniane uczucia, jakimi darzył kiedyś piękną pannę Eleonorę, wcale nie wygasły. Kochał ją, wręcz wielbił od młodzieńczych lat. Już dawno temu zdał sobie sprawę, że jego uczucie należało do tych, które nigdy się nie spełnią. Raz, że córka jego dobrodziejki, dziedziczka hotelu, nie mogłaby wyjść za syna pokojówki, nawet jeśli ukończył prawnicze studia, a dwa, że nigdy

nie wyraziła ona choćby cienia zainteresowania jego osobą.

– O! Dzień dobry, panie mecenasie. Co u pana słyhać? Zmierza pan do jakiejś damy z tymi pięknymi kwiatami? – zapytała pani Szpakowska, nie kryjąc zaskoczenia, i podsunęła mu okrytą szarą rękawiczką dłoń do pocałunku.

Nie miał specjalnych nowin do przekazania, choć kusilo go przez moment, aby odrzec: „Wciąż czekam na kobietę, która zajmie się mną i moim domem”. Ignacy tak długo zwlekał z zawarciem małżeństwa, że zbliżając się do przekroczenia progu czterdziestu lat swojego życia, zdał sobie sprawę, że jest już chyba starym kawalerem. Wcale nie bronił się przed założeniem rodziny, może zbyt mocno o to nie zabiegał, ale brał pod uwagę taką ewentualność. Raz się już nawet oświadczył córce pewnego mecenasa, jednak okazało się tuż przed ślubem, że dziewczyna choruje na gruźlicę, rodzina wywiozła ją do sanatorium, gdzie jakiś czas później zmarła. Były też zaloty, próby wyswatania, uniesienia, nadzieje i rozczarowania, kilka kochanek oraz wizyty w kameralnym saloniku Madame Agnes, gdzie od czasu do czasu korzystał z płatnej miłości.

A przecież odpowiednia żona byłaby wspaniałym dopełnieniem jego życiowego dorobku, podkreśliłaby sukces, który niewątpliwie odniósł, wspinając się mozolnie po drabinie społecznej i prawniczej kariery!

Od przeszło dziesięciu lat mecenas Darski prowadził własną kancelarię prawną przy ulicy Miodowej. Zatrudniał dwóch sekretarzy i dwóch młodych prawników, którzy pracowali z nadzieją na to, że kiedyś patron dopuści ich jako nominalnych partnerów swojej kancelarii. Dobrze mu się wiodło, ostatnio głównie dzięki kontaktom z bankierami i prężnie rozwijającej się giełdzie w Warszawie. Mógł sobie pozwolić na to, aby skoncentrować się na wsparciu prawnym finansistów i dać sobie spokój z uczestnictwem w procesach cywilnych, tym bardziej że wdrażana przez Rosjan wielka reforma sądów całkowicie rusyfikowała instytucje związane ze sprawiedliwością, a także doprowadzała do tego, że znakomitą większość sędziów polskich zastąpili Rosjanie.

Darski mieszkał nad lokalem, na pierwszym piętrze niedawno wyremontowanej XVIII-wiecznej kamienicy przy Miodowej, w którym praktykował. Wynajmował obszerne mieszkanie o sześciu pokojach, urządzone z najwyższym smakiem, słoneczne i przestronne. Czeakało tylko na panią domu, która będzie w nim swobodnie panować.

Ponieważ Darski był ciągle sam, czas wolny poświęcał głównie muzyce, którą wielił od dzieciństwa. Nigdy nie nauczył się grać na żadnym instrumencie, jednak jako chodzący na wszelkie możliwe koncerty meloman nie mógł się oprzeć pokusie i kupił do swojego salonu lśniący, sprowadzony z Wiednia fortepian. Co tydzień organizował w swoim mieszkaniu kameralne spotkania dla wielbicieli muzyki i koncerty, na które przychodziło wiele dam z córkami, w dużej mierze liczącymi na upolowania starego kawalera.

Wszystko to nie miałoby nigdy miejsca, gdyby nie start, który mu zapewniono. Dzięki bezinteresownej – jak lubił myśleć – pomocy chłopiec przejawiający od dziecka duży potencjał posłany został do najlepszych szkół, skończył studia prawnicze i nawet uzyskał pomoc, gdy ubiegał się o posadę w administracji sądów. Od najmłodszych lat wiedział, że ktoś nad nim czuwa i będzie go wspierał, głównie finansowo. Dopiero jako młodzieniec zadał sobie podstawowe pytanie, dlaczego on? Z jakiego powodu był tym wybranym, urodzonym w czepku chłopakiem, któremu wszyscy dookoła pomagali przekroczyć społeczne uwarunkowania wynikające z niskiego pochodzenia. Ta kwestia pozostawała nadal nierozwikłaną zagadką, dlaczego syn służącej zaznał w życiu szczęścia, jakie nie było dane niemal nikomu.

„W czepku urodzony jesteś, Ignasz” – mawiała jego matka, kobieta pracowita, niepiśmienna, do końca swoich dni ślepo lojalna wobec swojej pracodawczyni i dobrodziejki, pani Reginy Żmijewskiej. Syn jej pokojówki – bękart zrodzony ze związku z piekarzem, który wystawił naiwną dziewczynę do wiatru i zostawił z nieślubnym dzieckiem – zawdzięczał pani Żmijewskiej dosłownie wszystko. Pani Regina miała po prostu gest, była wdzięczna za usługę osobistej pokojówki, której wiele zawdzięczała, a poza tym – jak sobie tłumaczył – wykształcenie prawnika było pewnego rodzaju inwestycją na rzecz rodziny.

Gdy tylko Ignacy mógł wykonywać zawód, ze ślełą lojalnością zajął się wszystkimi problemami prawnymi Żmijewskich, a było tego całkiem sporo. Przez lata robił wszystko, aby chronić interesy swej dobrodziejki, nawet gdy wymagało to działań niezgodnych z prawem, niebezpiecznych – jak pomoc w związku ze śmiercią męża pani Reginy i ukrycie faktu popełnienia przez właściciela hotelu samobójstwa. Ignacy robił wszystko, co było konieczne: dawał łapówki sędziom i stróżom prawa, wymuszał zeznania, przekupywał świadków, zastraszał wierzycieli... Zajmował się problemami. Aby chronić swoją reputację, brudne sprawy powierzał swojemu pomocnikowi Stefanowi Wydmuszce.

W ten gorący czerwcowy dzień, kiedy spotkał od dawna niewidzianą panią Eleonorę, mecenas Darski od rana był rozdrażniony i niespokojny, jakby spotkało go coś niemiłego, z czym nie umiał sobie poradzić. Nieustannie wracała pamięć o wydarzeniach z poprzedniego wieczora. Jak w każdy co drugi czwartek miesiąca spędzał kilka godzin w salonie Madame Agnes, trudniącej się od dawna płatną miłością. W ostatnich latach mecenas swoje potrzeby w zakresie cielesnej miłości zaspokajał właśnie u niej, w przytulnym, urządzonym ze smakiem śliwkowo-złotym mieszkanku przy ulicy Freta.

Dobiegająca trzydziestego piątego roku życia Madame była kobietą bardzo dyskretną. Miała wyłącznie stałych klientów – zaledwie kilku (Ignacy dokładnie nie wiedział ilu) panów zaglądało do gniazdko kokoty, ona zaś żyła dzięki temu na wysokim poziomie, nie przepracowywała się i mogła utrzymać nieślubną córkę

oraz kuzynkę, które mieszkały wraz z nią na Starym Mieście.

I właśnie ową córkę – miłą dziewczę o wyglądzie aniołka – Madame wczorajszego wieczoru ośmieliła się podsunąć, jak na tacy, mecenasowi Darskiemu. Bez jakiegokolwiek zapowiedzi przyprowadziła do saloniku podlotka wystrojonego w pełną różowych falban sukienkę i poleciła córce usiąść „wujkowi” na kolanach. Mała, widocznie solidnie przygotowana przez matkę, umościła się na udach Darskiego i przyłgnęła do jego ciała, jakby przytulała się do ulubionego misia.

– Drogi panie Ignacy, chciałam panu pierwszemu ofiarować mój klejnot, który hodowałam od czternastu lat, zapewniając córce wszystko, co mogłam najlepszego. Umie doskonale tańczyć, śpiewa, gra na fortepianie i uroczo deklamuje. Helu, powiedz panu wierszyk o stokrotkach! – Madame zwróciła się do dziewczynki z ujmującym uśmiechem. – Możesz się poczęstować ciastkami z tacy... No proszę...

– Nie chcę słuchać wierszyka! Ile, ile ona ma lat? – zapytał wyraźnie zmieszany Ignacy.

Tuląca się dziewczyna sprawiła, że czuł się nieswojo.

– Niedługo już będzie miała czternaście. Jak pan wie, młodsze dziewczęta świetnie sobie radzą w miłosnym fachu, ale ja nie chciałam, aby Hela zaczynała zbyt wcześnie. Jeśli nie chce pan ponosić większych kosztów, to...

– Nie chodzi o koszty! To jeszcze dziecko! – zachnął się Darski.

– Panie Ignacy... – zaczęła pobłażliwym tonem Madame i szepnęła coś córce do ucha.

Ta ześlizgnęła się z kolan gościa, dygnęła przed nim i rzuciwszy: „Do zobaczenia, wujku!”, wybiegła z saloniku w podskokach, zabierając przed wyjściem oblane lukrem ciasteczko.

– Proszę przemyśleć sprawę. Zaczekam do jutra. Musi pan wiedzieć, że mam kolejkę chętnych, ale z uwagi na naszą wieloletnią zażyłość chciałam dać panu możliwość bycia pierwszym. Zapewniam, że Hela jest w pełni zdolna do sprawienia mężczyźnie przyjemności! Ja myślę o jej przyszłości. Chcę, żeby nie musiała wstawać o świcie do pracy w szwalni, ale była piękną kobietą, którą stać na to, aby wstawać późno i jeść na śniadanie ciastka! – Madame Agnes starała się niewzruszonym uśmiechem zatuszować afront.

Darski wiedział, że jeśli nie skusi się na usługi młodej debutantki, nie ma po co pokazywać się w tym domu. A tak lubił tu przychodzić, niczego specjalnego nie wymagał, dostawał to, co chciał, wychodził odprężony i z czystym umysłem, gotowy do zajęcia się sprawami emisji akcji albo obsługą prawną sprzedaży obligacji. Wiedział też, że jeśli nie on, zapewne inny klient rozdziewicz małą Helę. Jej „kariera” była przecież dokładnie zaplanowana przez matkę. A jednak nie mógł tego zrobić. Nie chciał tego zrobić.

W swoim niespełna czterdziestoletnim życiu mecenas Darski wiele razy szukał ukojenia i przyjemności w ramionach pań lekkich obyczajów. Nigdy jednak nie obcował z dziećmi ani nie wykorzystywał biedaczek czy dziewcząt oferujących swoje usługi w ciemnych zaułkach warszawskich ulic. Ilekroć był zaczepiany przez te nieszczęsne nędzarki, dawał im po kilkadziesiąt kopiejek jałmużny i próbował oferować pomoc. Proponował, że umieści je u magdalenek³⁰, gdzie w myśl hasła „Módl się i pracuj” będą szyć, haftować, tkąć i dzięki godnej pracy uda im się rozpocząć uczciwe życie. Zdarzało się, że niektóre kobiety decydowały się na przyjęcie pomocy, inne zbywały go wyuzdanym śmiechem i twierdziły, że nie chcąc pracować jak robotnice przez kilkanaście godzin dziennie za kilkanaście marnych kopiejek, wolą już udostępnić swoje ciało i przynajmniej wstawać późno.

Po słowach Madame Darski skłonił się tylko, przeprosił z nieco przesadną galanterią i pod pretekstem złego samopoczucia opuścił mieszkanie na Freta, zostawiając odliczoną sumę w rublach na stole. Tym razem bez dodatkowego napiwku. Wrócił spacerem do swojego domu i wypił przed zaśnięciem trzy kieliszki koniaku. W nocy śniła mu się leżąca pod nim naga Hela, śmiejąca się jak dziecko i jedząca ciastka, podczas gdy on starał się, starał, parł z całych sił i nie mógł dojść do finału.

Nazajutrz po tym fatalnym popołudniu czuł się nad wyraz okropnie. Zamierzał zająrzeć wieczorem do uczęszczanego przez prawników klubu i zagrać w bilard. Ale nagle pojawiła się *ona* i z miejsca poczuł, że dzień, który zapowiadał się tak fatalnie, okaże się jednym z najlepszych.

Zamienili kilka zdawkowych zdań na temat wyjątkowo upalnej jak na czerwiec pogody, z niecierpliwością wyczekiwanym robót rozpoczynających prace nad wodociągami (pan Lindley miał je rozpocząć już w tym miesiącu), przeludnienia i tłumów na ulicach miasta.

– Lubię tu zająrzeć i popatrzeć na witrynę z fotografiami, sprawdzić, czy nadeszły już najnowsze fotosy Modrzejewskiej. To wybitna aktorka, podziwiam ją. W zeszłym roku widziałam jej *Norę* w sztuce Ibsena. Widział pan może? Wybitna rola. A ten taniec na zakończenie, szalona tarantella... Och, zatańczyła się niemal na śmierć... – mówiła Eleonora, zupełnie niespodziewanie zmieniając temat i sprawiając wrażenie, jakby nie chciała, by mecenas Darski odszedł. Wyraźnie miała ochotę z nim pogawędzić.

– Obawiam się, że ominąłem ten spektakl. Może jeszcze będzie okazja...

– O, tak! Ponoć pani Helena wybiera się do Warszawy, chociaż nie wszyscy ją tu przyjmą z otwartymi ramionami... Powiem panu, że za to też ją podziwiam, że chce jeszcze tu występować! Wstyd mi okropnie, że tak ją nasza prasa opluwa, wyśmiewa, umniejsza jej sukces. Warszawa nie wierzy w międzynarodową sławę Modrzejewskiej, a ona przecież jest wielką gwiazdą w Ameryce! Czytałam, że

produkuje się nawet porcelanę i parasolki z jej wizerunkiem, suknie się nosi na podobieństwo jej garderoby, kapelusze, co tylko... Mówią tam na nią Modzeska! Ach, jacy ci warszawianie są zawistni... – zakończyła, kiwając głową z dezaprobatą.

– Tak, również nad tym boleję. – Darski westchnął i nie wiedząc, jak dalej pokierować rozmową (za teatrem nie przepadał i wołał nie brnąć w te tematy), zaczął mówić o nowo kupionym fortepianie i wspaniałym koncercie symfonii pastoralnej Beethovena, który ostatnio słyszał.

Rozmowa potoczyła się bardzo pomyślnie. Miała też zupełnie inny charakter od dotychczasowych. Po raz pierwszy Ignacy nie czuł, że jest traktowany z góry, z pewnym obcesowym dystansem, który Eleonora zawsze mu okazywała. Teraz nie czuł tamtego chłodu.

– Ależ się z panem zapomniałam w rozmowie, muszę wracać do domu, mąż czeka – powiedziała Eleonora w pewnej chwili takim tonem, jakby powrót był przykrą powinnością.

Darski pozwolił sobie zajrzeć głęboko w jej oczy. Zobaczył w nich niepokojący, bolesny smutek, co w połączeniu z ziemistą cerą, spuchniętymi powiekami i siatką przedwczesnych zmarszczek, jakie dostrzegł na jej twarzy, przywiodło niepokojącą myśl.

– Pani Eleonoro, czy pani jest zdrowa, czy wszystko jest w porządku? – zapytał spontanicznie, wręcz poufale, i ujął jej dłoń w delikatnej rękawiczce.

Nie cofnęła ręki, tylko cień uśmiechu naznaczył na moment jej bladą, wychudłą twarz, i jakby nagle zapominając o konwenansach, odparła enigmatycznie:

– Och, nic nie jest w porządku, panie mecenasie, ale też nic nie jestem w stanie na to poradzić w obecnej chwili...

– Proszę pamiętać, że mój fortepian czeka na panią! W pierwszy i ostatni czwartek miesiąca urządzam kameralne koncerty, jest pani na nie zawsze zaproszona. Proszę się kiedyś pojawić! – powiedział z nadzieją.

Rozstał się z nią, wręczając jeden z bukietów kwiatów. Odszedł z mieszanymi uczuciami, niepokojem pomieszanym z uniesieniem, jakie wywołała rozmowa i bliski kontakt.

Zanim położył się spać, polecił służącemu, aby przyniósł mu jedną butelkę wyśmienitego tokaju z trzymanej w piwnicy skrzynki. Pijąc bursztynowy napój, który przyjemnie rozluźniał spięte nerwy, Ignacy pomyślał, że to przecież oczywiste: całe życie czekał tylko na nią, dlatego żadna panna serio go nie zainteresowała i odrzucał nawet świetne oferty mariażu. To na nią czekał, chociaż nie miał żadnej nadziei, że będzie kiedyś należała do niego.

Zanim zasnął, pomyślał, że może powinien był powiedzieć Eleonorze o listach, które regularnie otrzymuje od jej matki, Reginy Żmijewskiej. Powinna

wiedzieć, co się dzieje z jej matką. Pani Regina stanowczo nie pozwoliła, aby mecenas Darski komukolwiek, nawet rodzinie, ujawnił jakiegokolwiek szczegóły dotyczące jej skomplikowanej sytuacji. Obiecał. Ale gdyby odkrywając rąbka tajemnicy pani Eleonorze, mógł zdobyć tym jej względy, był gotów to zrobić.

6.

Mecenas Darski w wolnym czasie – a ostatnio miał go coraz więcej, skoro kancelaria prosperowała doskonale, a zatrudnieni prawnicy wykonywali swoją pracę bez zastrzeżeń – zabawiał się we *flâneura*³¹ godzinami spacerującego po Warszawie i przypatrującego się mijanym ludziom. Wędrówki te stały się jego chlebem powszednim i najprzyjemniejszym momentem dnia. Z początku ograniczał spacer do Starego Miasta, ale szybko rozszerzył trasę o dzielnicę nalewkowską (zwaną tak od głównej jej arterii Nalewek), a potem dzielnicę zachodnią, sięgającą do Alej Jerozolimskich, a na południu do torów wiedeńskiej drogi żelaznej, zamieszkiwanej głównie przez ludność robotniczą. Ostatnio zdarzało się nawet, że zapuszczał się na Powiśle i Pragę.

Opuszczając kamienicę przy Miodowej, portfel zostawiał w kancelarii, wiedząc, że w czasach triumfu najbardziej wyrafinowanych form kradzieży nie miałby szans uniknąć straty. Już dwukrotnie mu go skradziono, a także papierosnicę i zegarek – nie wiedział nawet kiedy i w jaki sposób. Raz złodziej okazał się na tyle łaskawy, że odesłał mu na adres kancelarii sądowe powiadomienia, które znalazł w portfelu. Teraz Darski do kieszeni surduta wrzucał garść kopiejek, które rozdawał nagabującym go dzieciakom, zebrzącym kalekom albo matkom z niemowlętami. Więcej pieniędzy ani żadnych kosztownych przedmiotów przy sobie nie miał.

Wyglądał na tego, kim był – zamożnego mieszczanina – i nie zamierzał tego ukrywać. Zawsze elegancko ubrany, z laską z hebanowego drzewa zakończoną rzeźbioną rączką z kości słoniowej, w wysokim, idealnie wyczyszczonym cylindrze prezentował się niczym jakiś finansista czy przedsiębiorca, i przez ten wygląd wzbudzał wielokrotnie niechęć w ubogich dzielnicach albo przedmieściach Warszawy. Ignacy nie zamierzał jednak wstydzić się swojej pozycji, co nie oznaczało, że nie chciał nieść pomocy.

Robił bardzo wiele dla biednych, nie tylko łożąc wysokie kwoty na balach charytatywnych, loteriach i rautach, ale świadczył *pro bono* pomoc prawną w Warszawskim Towarzystwie Dobroczynności i każdego dnia rozdawał jałmużnę na ulicach. Przede wszystkim jednak na stałe opiekował się kilkoma ubogimi rodzinami i otaczał opieką kilkanaście pań zawróconych ze złej drogi.

Dokądkolwiek się udał w ramach swoich spacerów, w różnych zakątkach miasta spotykał tak wiele nieszczęść i biedy tak wstrząsającej, że nieustannie wyciągał kogoś z tarapatów i dramatycznej sytuacji życiowej.

Na placu Bankowym – nowoczesnej części miasta, gdzie skupiało się teraz życie bankierów i finansjery – Ignacy brał dorożkę pierwszej klasy (oznaczoną czerwono-żółtą chorągiewką) i kazał się wieźć za rogatki wolskie. Fascynował go fakt współistnienia dwóch skrajnie różnych światów w obrębie stosunkowo niewielkiego terenu tego ciasnego, przeludnionego miasta. Mniej interesowała go ta Warszawa, w której spędzał większą część dnia – w miarę czystych ulic, po których jeździły eleganckie dorożki z damami w pysznych falbanach, rewir zadbanych budynków, sklepów i składów z eleganckimi witrynami i bogatym wyborem towarów, miasto świąteł, teatrów, restauracji, zabawy i dostatku. Intrygowały go podupadłe rewiry, zapuszczone zaułki, zaniedbane i zarośnięte przedmieścia.

Od kilku lat z pewnego rodzaju ekscytacją i zażenowaniem śledził gorączkowy ruch budowlany, jaki przeżywała Warszawa, gdzie chaotycznie, bez planu i nadzoru zabudowywano działki, na których jeszcze niedawno pasły się krowy. Teraz na nieruchomościach, których ceny rosły w zawrotnym tempie, wznoszono wysokie, ohydne kamienice w tak zwanym „stylu gipsowym”, a budowano szybko, niechlujnie, niepoprawnie. Nie było tygodnia, aby prasa nie donosiła o kolejnej katastrofie budowlanej czy zawaleniu się jakiegoś domu oraz związanych z tymi wydarzeniami ofiarach ludzkich. Ogromne potrzeby mieszkaniowe mieszkańców i wciąż napływających do miasta ludzi z całej guberni sprawiały, że kwartały ulic w mieście wypełniły się setkami kiepsko wyposażonych kamienic o mrocznych, zazwyczaj pozbawionych zieleni podwórzach coraz częściej przypominających studnie.

Wystarczyło minąć plac Trzech Krzyży i zabudowywane w zawrotnym tempie działki wzdłuż Pięknej, Kruczej, Żurawiej, Wilczej i Nowogrodzkiej, aż po nowoczesną Marszałkowską, aby zobaczyć zaniedbane drogi tonące w błocie i cuchnące rynsztoki, coraz lichsze i niższe domy, często drewniane chałupy kryte strzechą, ubogie sklepy, ludzi brudnych i z wyglądu biednych. Gdy tylko oczom Ignacego ukazywał się sznur krzywych, drewnianych domów koloru zgniłej zieleni albo brunatnej ziemi, kazał zatrzymać dorożkę, płacił i wysiadał na grząską, ciemną ziemię.

Niekiedy jechał w najbardziej ohydne okolice, gdzie pracujące fabryki trwały powietrze obłokami cuchnącego dymu – na Powiśle albo Czerniaków. Tam krążył pomiędzy domami pełnymi chorych ludzi, którzy wodę czerpali ze studni sąsiadujących z wielkimi kopami śmieci i odchodów. I wszędzie znajdował ludzi łaknących pomocy. Wszędzie, gdzie trafił, zostawiał jakiś grosz, zapewniał miejsce w ochronce albo przytułku, opłacał lekarza i fundował leki, których większość chorych i tak potem nie brała, bo bardziej ufali lokalnej znachorce niż wykształconemu medykowi i jego dziwnym miksturom.

Gdy pogoda była dobra, Ignacy w nostalgicznym nastroju jechał na Wolę,

gdzie na polach stały jeszcze stare, drewniane wiatraki, pasły się krowy, a drzewka owocowe i polne kwiaty opierające się o krzywe płoty przywodziły na myśl najprawdziwszą wieś. Nędznie wyglądający ludzie zamieszkujący zapchlone, porośnięte brudem chaty padali jednak jak muchy w tych zaniedbanych rejonach. Serce mu się ścisnęło na widok tych nędzarzy.

Ignacy wielokrotnie myślał o tym, że gdyby tylko umiał rysować, naszkicowałby obserwowane widoki, mijanych ludzi, ich twarze, specyficzny ubiór i niesione akcesoria, które tak dobitnie świadczyły o wykonywanej przez nich profesji. Ale talentu plastycznego nie miał. Nieraz marzył, aby uwiecznić widzianych ludzi na fotografiach, stworzyć kolekcję typów warszawskich – utrwalić wesołego szewczyka, handlarzkę starzyzną z wielkim worem na plecach, starą babinę śmieciarkę, zwinnego druciarza, hardego dorożkarza, stróża zamiatającego bruk, urwisa gazeciarza, ślepego katarzyniarza, okryte chustami handlarki z nieodłącznym wiklinowym koszem w dłoni, nędzarza żebrzącego o chleb, Żyda w wytartym chałacie czy rumianą przekupkę.

Pewnego dnia postanowił przejść się plataniną alejek największego w mieście targu na placu Żelaznej Bramy i tam, gdzieś między straganami zawalonymi kopami kapusty a rzeźniczymi jatkami, zauważył nędznie odzianego młodzieńca w poszarpanym kapeluszu, który siedząc na zydelku z wikliny, w wielkim skupieniu szkicował wiejskie dzieci, które przycupnęły przy kołach wozu, jakim zapewne przywieziono na targ owe dorodne głowy kapusty. Widząc, że szkicowany obrazek zdradza artystyczną wartość, Ignacy zagadnął rysownika.

Nieszczęsny artysta przymierał głodem, dawał rysunki do prasy, ale redaktorzy gazet oferowali mu najniższe stawki, nie miał stałego lokum, rodziny ani perspektyw. Alojzy – bo tak na imię miał artysta – nie mógł uwierzyć w swoje szczęście, gdy mecenas zaproponował mu wykonanie kilkudziesięciu rysunków i jeszcze obiecał dać dwa ruble zaliczki i rubla na materiały.

Pan Ignacy miał gest.

W pewien letni dzień, kiedy Darski wybierał się na jeden ze swoich nieśpiesznych spacerów, ledwie wyszedł z bramy kamienicy przy Miodowej, zobaczył idącą dosłownie w jego stronę Eleonorę Szpakowską. Nie kryjąc radości, skłonił się i przywitał ją z szerokim uśmiechem na ustach. Jej zmieszanie i rumieniec na policzku kompletnie go rozculiły.

– Czy zgodzi się pani w ten piękny dzień odbyć w moim towarzystwie spacer do Ogrodu Saskiego? – zapytał pod wpływem nagłego przypływu odwagi.

– Och, tylko nie tam! Wyobraża pan sobie te wścibskie spojrzenia, tam wszyscy wszystkich obserwują. Pojedźmy do Łazienek! Tam jest zacisznie. Chciałam o czymś z panem porozmawiać...

7.

Jakiś czas temu pani Szpakowska już widziała tę dziewczynkę. Jej blada twarzyczka zapadała w pamięć z racji wyjątkowo jasnych, niebieskich oczu i zadartego noska. Dziecko przypominało odzianą w łachmany małą księżniczkę.

Było to w wyjątkowo mroźny dzień na początku roku. Eleonora wracała z kościoła Świętego Ducha, gdy zauważyła okrytą kraciastym skrawkiem koca postać, która drżąc z zimna, stała przytulona do boku konia czekającego z dorożką na kogoś robiącego sprawunki w składzie produktów kolonialnych przy Długiej. Eleonora podeszła bliżej i zobaczyła, że dziecko nie ma butów, a jego stopy owinięte są jedynie kawałkami drelichowego worka.

Nakazała wówczas jednej ze służących z hotelu zabrać dziewczynkę tylnym wejściem do kuchni, ogrzać i nakarmić. Chciała później porozmawiać z dzieckiem, ale kiedy pojawiła się na dole, gospodyni powiedziała jej, że dziewczynka była potwornie zawszona, brudna i wygłodniała. Zjadła talerz zupy i wzięła pół bochenka chleba, po czym uciekła, gdy chwilowo nikt jej nie doglądał.

A teraz znowu pojawiła się na Długiej. Było cieplej, więc niebieskooka dziewczynka chodziła boso po zabłoconym bruku, patykiem rozgrzebując leżące gdzieś śmieci i zmięte gazety, jakby liczyła, że znajdzie gdzieś między nimi coś wartego uwagi lub nadającego się do zjedzenia. Jej wychudzona sylwetka, buzia cała w krostach i plamach sprawiły, że Eleonorze ścisnęło się serce. Podeszła do dziecka i powiedziała, że weźmie ją ze sobą i nakarmi. Ale dziewczynka aż się wzdrygnęła z przerażenia, spojrzała na elegancko ubraną panią z nieskrywanym przerażeniem i zaczęła krzyczeć. Złapana za rękę, wyrwała się, wrzeszcząc:

– Ta pani chce mnie zabrać! Ratunku! Nie chcę z nią iść!!!

Eleonora rozejrzała się w popłochu, ale nikt nie zwrócił na nieszczęsne dziecko uwagi. Powozy i dorożki sunęły ulicą, ludzie wchodzili do sklepów i z nich wychodzili.

– Już raz byłaś w moim hotelu, pamiętasz? Zupę dostałaś i chleb! – powiedziała z uśmiechem Eleonora. – Nie bój się.

– Tamta pani też tak mówiła!

– Jaka pani?

– W parku mnie zaczepiła, obiecywała, że zabierze do ciepła, da stawę. Cukierka nawet dała! Poszłam z nią i... znalazłam się w strasznym miejscu. Ale uciekłam! Zawsze uciekam, nikt mnie nie będzie więził! – zakończyła butnie, ale nie chciała nic więcej powiedzieć.

Eleonora domyśliła się, że ową panią z parku mogła być rajfurka, która zaprowadziła dziecko do jakiegoś zamtuza. Prasa ostatnio ciągle informowała o takich sytuacjach. „Biedne dziecko” – westchnęła w myślach pani Szpakowska. Wiele było na ulicach żebrzących, samotnych dzieciaków, jednak w tej dziewczynce było coś szczególnego.

– Jak masz na imię?

– A pani?

Eleonora zaśmiała się w głos. Dziewczę miało niespotykany charakterek!

– Widziałam cię tu kilka razy, czemu tak patrzysz w górę, oglądasz szyldy sklepowe?

– Uczę się czytać... Matka moja, kiedy jeszcze żyła, powtarzała, że najważniejsze to umieć czytać, bez czytania liter będę żyć, ale jak igłą się nie nauczę operować, to zginę. A ja zawsze chciałam poznać litery. Co to znaczy? – Wskazała napis nad drzwiami zakładu po drugiej stronie ulicy.

– Powiem ci, jeśli zdradzisz mi swoje imię!

– Werka mnie wołają.

– Weronika? Piękne imię! Ile masz lat?

– Nie wiem dokładnie, będzie trzynasta wiosna chyba... To co tam jest napisane?

– Skład kolonialny – odczytała napis Eleonora.

Eleonora zdołała nakłonić dziewczynkę, aby poszła za nią tylnym wejściem do pomieszczeń służby. Tam służąca na życzenie pani Szpakowskiej wykąpała małą w balii, nasmarowała zawazonie włosy ługiem i olejem, spaliła jej szmaty i ubrała w koszulę, nakarmiła barszczem i dała pled do okrycia.

Weronika siedziała w kącie gorącej kuchni rozgrzana panującym tam ciepłem, nagle potulna i rozczulona okazaną jej dobrocią. Z zaróżowionymi policzkami, rozczesanymi włosami o orzechowym kolorze wyglądała wprost prześlicznie. „Taką mogłabym mieć córkę, gdybym zaraz po ślubie nie wypłała specyfiku na spędzenie ciąży...” – z żalem pomyślała Eleonora, ale zaraz uświadomiła sobie, że Teodor zniewoliłby to nieszczęsne dziecko, zapewne bił i tyranizował. A więc lepiej, że tak się nie stało.

– Opowiesz mi coś o sobie, Weroniko? Nie masz rodziny ani domu, prawda? Jak to się stało?

Dziewczynka nadzwyczaj chętnie opowiedziała krótką historię swojego życia. Pochodziła z ubogiego domu, gdzie często brakowało jedzenia. Mieszkała z rodzicami i trójką rodzeństwa w domku krytym strzechą, na dalekim Czerniakowie. Ojciec pracował jako pomocnik murarza przy budowie domów w mieście, a kiedy Werka skończyła osiem lat, wraz z matką i starszą siostrą pracowały igłą w pobliskiej szwalni.

Zarabiać w szwalni może dopiero dziewczynka mająca dwanaście lat, więc Weronika pracowała za darmo, dostawała tylko szklankę herbaty z bułką rano i wieczorem oraz obiad wart dziesięć kopiejek. Pomagała przez dwanaście godzin dziennie (z krótką przerwą na obiad) matce i siostrze. Praca w szwalni była bardzo ciężka. Najgorsze były poranki, kiedy wszyscy wstawali w ciemnościach i w potwornym zimnie szli w mróz i słońce do baraku, gdzie w ciasnocie i zaduchu siedzieli do wieczora.

Życie Werki zmieniło się drastycznie i stało jeszcze gorsze, gdy jej ojciec zginął w wypadku przy pracy – zawałała się ściana budowanego domu przy Wilczej i na miejscu zmarło trzech budowlańców. Od tej pory matka przestała sobie radzić z utrzymaniem siebie i dzieci. Załamała się i zaczęła niedomagać. Wkrótce zmarła na serce, a jej dzieci – z wyjątkiem najstarszej córki – zostały oddane do przytułku. W pierwszym roku pobytu dwójka najmłodszych zmarła, Weronika zaś nie mogła znieść tego miejsca i uciekła. Od kilku miesięcy tułała się po warszawskich ulicach. Zima była potworna, ale teraz, kiedy zrobiło się ciepło, było całkiem przyjemnie.

Eleonora pocałowała nieszczęsne dziecko w czoło, kazała dać jej ciepłego mleka z miodem i ciasteczka, po czym wyszła czym prędzej z sutereny, nie chcąc, by ktokolwiek widział łzy w jej oczach. „Jak los jest potwornie niesprawiedliwy... Tyle nędzy, tak wiele nieszczęść!” – myślała. Wedle ostatnich doniesień prasy takich nieszczęsnych robotnic w szwalniach i zakładach było już w Warszawie szesnaście tysięcy!

Niedawno rozmawiała o tych sprawach z panem Ignacym, który słusznie twierdził, że konieczne jest doprowadzenie do tego, aby wszystkie te magazyny i szwalnie objąć przepisami dotyczącymi teraz zakładów fabrycznych, gdzie nie wolno pracować dzieciom.

„Pani jest wyjątkowa, pani Eleonoro. Nie spotyka się często kobiet tak wrażliwych na ludzką nędzę. Większość, które spotykam, stroi się w piórka, koronki i kwiatki, za nic ma ludzi, którzy dzień w dzień od nowa walczą o kawałek chleba, aby przetrwać. Czy któraś z pań, wkładając nową suknię, zastanawia się, ile drobnych rączek ją szyło? Czy mężczyźni prowadzący swoje interesy myślą o nieszczęsnych kilkunastoletnich robotnicach?”

Te słowa pana Darskiego szczególnie zapadły jej w pamięć. Myślała o nich ze wstydem, bo cóż, że ma wrażliwe serce, skoro nikomu nie pomaga naprawdę? Kiedyś chociaż nalewała biedakom darmowe zupy, zachęcała bogatych do kupowania losów na loterii, starała się coś zrobić. A dzisiaj? Może zdoła uratować to jedno dziecko, jedno z tysięcy cierpiących, skazanych na nędzny żywot dzieci...

Kiedy ostatnio odbyła spacer po biednym Powiślu w towarzystwie mecenasa Darskiego (coraz częściej towarzyszyła mu w wyprawach poza ścisłe centrum miasta i zwiedzała tereny do tej pory dla niej niedostępne), rozmawiali z panem Ignacym o tragicznej sytuacji sierot i podrzutków.

– Tyle dzieci niechciany... Serce boli – westchnęła ze szczerym żalem Eleonora. „A ja tak chciałabym, aby Bóg pozwolił mi być matką” – dodała w myślach.

– Noworodki znajdowane na śmietnikach, podrzucane do kościołów, pod bramy kamienic... To istna plaga! Wie pani, że nawet u mnie, na Miodowej, kilka miesięcy temu znalazłem dzieciątko w wiklinowym koszu. Zaraz kazałem

gospodyni ogrzać je jakoś, bo zimno było tego dnia potwornie. Maryla przyprowadziła szybko jakąś mamkę, a potem zawieźliśmy nieszczęsne niemowlę do Dzieciątka Jezus.

– Czy przeżyło?

– Wątpię... Warunki w szpitalu okropne, umieralność jest bardzo wysoka. A to dziecko ledwo oddychało, ani razu nie zapłakało! Potrzeba nam jakiejś instytucji, miejsca, gdzie matki, które nie mają środków na chowanie dzieci, mogą je po prostu zostawić.

Mecenas Darski opowiedział Eleonorze o aresztowaniu zbrodniarki zarabiającej na uśmiercaniu dzieci. Pod koniec czerwca w warszawskim Sądzie Okręgowym odbyła się dwudniowa rozprawa akuszerki Wiktorii Wypyskiej, którą oskarżono o bycie „fabrykantką aniołków”. Był to potworny proceder, o którym coraz częściej słyszano w Warszawie. Przeludnienie miasta, zwiększająca się liczba nowo narodzonych dzieci, których nie było czym wykarmić, sprawiały, że kobiety pokroju Wypyskiej bez skrupułów zarabiały na uśmiercaniu niemowląt.

Oskarżona zorganizowała sobie haniebne źródło zarobkowania: kobiety pracujące w fabrykach stręczyły jej matki, które ona oddawała do służby, a ich niemowlęta odpłatnie brała do swojego domu, aby rzekomo powierzyć dzieci kobietom zarabiającym jako mamki albo oddać do Szpitala Dzieciątka Jezus. Za pieniądze płacone przez matki Wypyska balowała, a nieszczęsne, zaniedbane dzieci umierały z głodu i zimna w jej mieszkaniu na Nalewkach. W ten sposób zmarło kilkanaścioro niemowląt!

Jej czyny zakwalifikowano na podstawie artykułu 16 kodeksu karnego jako dręczenie niemowląt. Orzeczono jej karę dwóch lat domu wyrobnego, a następnie czterech lat dozoru policyjnego. Eleonora była oburzona tak niską karą, zupełnie niewspółmierną do czynów popełnionych przez tę potworną kobietę.

– Wielmożna pani, nie mam w co ubrać tej dziewczyny, co to ją pani na ulicy znalazła... Bardzo jest drobna, skóra i kości... – Służąca zaczepiła Eleonorę, gdy wchodziła po schodach.

– Masz tu pięćdziesiąt kopiejek, gdy będziesz szła na targ za Żelazną Bramą, kupisz małej jakiś przydziewek.

Służąca zrobiła oburzoną minę.

– Pani wybaczy, ale taka suma dla tego obdartusa? Mało to takich ulicznych złodziejek? Pewnie uciekła z przytułku, łobuzica! Wygląda na szelmę!

– Zrób, jak mówię. To dla mnie bardzo ważne.

Wracając tego popołudnia z wizyty – był to akurat *jour fixe* – u pani Cieplikowej, żony jednego z właścicieli nowego sklepu kolonialnego przy Marszałkowskiej, Eleonora wstąpiła do składu książek i nut, gdzie oprócz kilku nowości dla siebie, nabyła też dziecięcy elementarz z zamiarem podarowania go Weronice, o ile ta – rzecz jasna – jeszcze nie uciekła.

W domu wydała służbie dyspozycje. W kuchni uwijały się pomocnice kucharza, smażąc wymyślne konfitury z czerwonych owoców według przepisu Lucyny Ćwierczakiewiczowej z poradnika dla pań.

– Jeśli przysięgnie, że nie będzie kraść, dajcie jej, Józefo, jakieś niezbyt ciężkie zajęcie w kuchni, niech wam trochę pomaga. Chcę, aby ją dobrze traktowano i karmiono tłustymi bulionami.

– Kucharz nie będzie zadowolony... I tak ciągle narzeka, że pójdzie do innego hotelu pracować, skoro tu nie ma dla kogo gotować... A co wielmożny pan na to? – ze złośliwym uśmiechem zapytała ochmistrzyni.

– To już moje zmartwienie... – westchnęła Eleonora i opuściła duszną suterенę.

Od oparów gotowanych potraw zrobiło się jej niedobrze. Jeszcze nie wiedziała, co powie Teodorowi. Zapewne każe on odprawić małą. W ich sytuacji finansowej każda kolejna osoba była zbędnym kosztem.

8.

Tegoroczny czerwiec miał zostać na długo zapamiętany przez mieszkańców Warszawy: miasto nawiedziły potworne upały, a ich konsekwencją była awaria starych wodociągów dostarczających pitną wodę do śródmiejskich studni. Wszyscy z utęsknieniem czekali na realizację planów dotyczących budowy nowoczesnych wodociągów i narzekali na fakt, że wszystko tak bardzo się przeciąga.

Poza tym było jak zawsze – damy w kreacjach uszytych na nowy sezon letni (chwilowo zrezygnowano z pysznych „ogonów” sukien, choć niebezpiecznie) znowu rozpoczynały dzień w Ogrodzie Saskim przy dźwiękach orkiestry. Rozpoczął się sezon rautów, loteryjek, wycieczek statkiem parowym do Lasu Bielańskiego, wypraw łódkami na wiejską Saską Kępę, wystaw kwiatów w Oranżerii, koncertów pod chmurką w Dolinie Szwajcarskiej, wyścigów konnych, uroczystych parad w Alejach Ujazdowskich, spotkań w kawiarnianych ogródkach, premier wodewili i teatryków ogródkowych Tivoli czy Eldorado. Mimo upału i drażniącego płuca wszechobecnego kurzu bawiono się jak zawsze.

Tak spędzali wolny czas zamożni warszawianie, biedota zaś – dzięki wysokim nawet w nocy temperaturom – nie musiała martwić się o dach nad głową. Wizja wyziębienia stała się tylko koszmarnym wspomnieniem i choć wyrzucane resztki żywności psuły się z niezwykłą szybkością, lżej było przeżyć letni dzień, sprzedać świeżo zerwane poza miastem kwiatki, zyskać parę kopiejek na sprzedaży wachlarza czy garnuszka poziomek.

Teodor nie miał ochoty oglądać przedstawień w Teatrze Letnim na skraju Ogrodu Saskiego („Nie znoszę tej drewnianej szwajcarsko-chińskiej budy!”), za to zaproponował Eleonorze, aby towarzyszyła mu na występach dopiero co otwartego przybytku – pierwszego stałego w Warszawie cyrku w murowanym budynku przy

ulicy Ordynackiej. Nie tyle interesowały go popisy egzotycznych zwierząt, ile walki toczone przez najbardziej znanych zapaśników. Ekscesy kobiety-gumy czy cyrkowe sztuczki klaunów nie robiły na nim takiego wrażenia jak spocone, zwierzęce ciała muskularnych, toczących walkę na śmierć i życie mężczyzn.

– To takie brutalne! – szepnęła żona i od razu ugryzła się w język.

– No tak, nie są to operetki Offenbacha w letnich ogródkach albo kuplety w Tivoli – odparł Teodor i zapalił cuchnące cygaro. – Wracaj do domu, ja mam kilka partyjek bilardu do rozegrania w klubie...

Wróciwszy do domu, Eleonora zawołała Renatę. Zauważyła, że jej brzuch zaczął być wyraźnie widoczny pod fartuchem, i cała służba hotelu plotkowała na temat ojca mającego się narodzić bękarta. Gdy służąca pojawiła się w buduarze pani, Eleonora oświadczyła, że wszystko przemyślała i pomoże jej odszukać ojca dziecka.

– Słyszałam, że jest taki przepis, który mówi o tym, że jeśli mężczyzna nie dotrzymał słowa i nie ożenił się z dziewczyną, winien jest jej płacić alimenty, skoro ta urodzi jego dziecko. Wiem, co zrobimy! Mam znajomego prawnika, pójdziemy do niego i o wszystko zapytamy. To zacny człowiek, na pewno ci pomoże *pro bono*. Trzeba tylko ustalić adres tego młodzieńca, ale to powinno się znaleźć w hotelowej księdze gości!

Eleonora podeszła do sprawy z takim entuzjazmem, tak serdecznie pocieszała Renatę, że ta uspokoiła się i wedle zaleceń pani poszła z nią do kancelarii mecenasa Darskiego na ulicę Miodową. Ignacy, widząc przybyłą w jego proggi Eleonorę, nie krył radości. Przyjął panią Szpakowską i jej służącą jakby były najważniejszymi gośćmi pod słońcem, dwoił się i troił w uprzejmościach i szarmanckich gestach.

Zanim udzielił rady, oczywiście *pro bono*, oprowadził po swojej kancelarii, z dumą prezentując też bibliotekę, w której na mahoniowych regałach stały w równiutkich rzędach oprawione w safian książki, a także nowy nabytek – aparat telefoniczny! Eleonora dotąd nie widziała tego przedziwnego urządzenia, więc pan Darski z przyjemnością dokonał prezentacji przytwierdzonej do ściany skrzynki i przytroczonej do niej dziwnej trąbki, którą należało przykładac sobie do ucha, aby usłyszeć głos dzwoniącego.

– Szkoda, że w Warszawie mamy zaledwie kilkadziesiąt linii telefonicznych, nie ma na razie do kogo telefonować, ale jestem pewien, że wkrótce się to zmieni. Całe miasto będzie kiedyś połączone ze sobą w ten sposób i każdy będzie mógł, ot tak, o każdej porze zadzwonić do drugiej osoby. Wyobraża sobie pani? – mówił.

Widząc jego szczerą radość i uroczy, odrobinę nieśmiały uśmiech pięknie wykrojonych ust, Eleonora pomyślała, że jego życzliwość wobec niej jest absolutnie prawdziwa. Kiedyś, gdy z jakimś wymalowanym na twarzy przejęciem pożerał ją oczami, wydawał się odpychający. Dzisiaj czuła się przy nim swobodnie,

bezpiecznie, jak przy dobrodusznym przyjacielu.

Ignacy wysłuchał całej historii ciężarnej pokojówki i stanowczo stwierdził, że niestety poszukiwanie ojcostwa jest zakazane, tak stanowi artykuł 305 Kodeksu karnego Królestwa Polskiego. To jest przepis żywcem wyjęty z Kodeksu Napoleona i nie widać perspektyw, aby miał się zmienić. W tej sytuacji trzeba było dowieść przed sądem, że młodzieniec z hotelu oferował Renacie ożenek.

Eleonora dyskutowała z Ignacym o możliwych rozwiązaniach, gdy niespodziewanie służąca się rozpląkała.

– Pani taka dobra, taka szlachetna dla mnie! Nikt się moim losem nie przejął, tatko jeno zbił i powiedział, że w domu z bachorem mnie nie przyjmie i na ulicy skończę. A pani tyle serca okazuje, a ja, a ja... Ja pod sercem dziecko pana noszę... – wyznała i zawyła w głos.

Eleonora spuściła wzrok, a Ignacy nie odezwał się wcale, choć ukradkiem spoglądał na panią Szpakowską z wielkim żalem.

– Nie płacz, to nie twoja wina, wiem, że nie twoja! – przemawiała łagodnie do Renaty, głaszcząc jej ramię i próbując ją uspokoić. Zapewne ta służąca nie była ani pierwszą, ani ostatnią, którą jej mąż wykorzystał.

Pani Szpakowska zupełnie nie wiedziała, co w tej sytuacji robić. Mogła jedynie dać Renacie własną biżuterię, aby zaniósła ją do lombardu i uzyskała trochę gotówki.

W domu odważyła się powiedzieć Teodorowi o tym, że wie o ciąży służącej. On zaś w żaden sposób nie okazał zakłopotania ani skruchy. Odparł bez wahania, że w tej sytuacji trzeba dziewczkę jak najszybciej usunąć z hotelu, aby nie pokazywała się gościom na oczy. I tyle.

– Ale zdajesz sobie sprawę, mój drogi, że ona wyląduje na ulicy? Ojciec wyrzucił ją z domu, nie ma dachu nad głową. Co będzie z dzieckiem? – dopytywała Eleonora.

– Czy to mój problem? – Pan Szpakowski nie krył poirytowania.

– Zdaje się, że chyba twój... – butnie odparła żona i spojrzała Teodorowi prosto w oczy.

– Jak śmiesz! – wrzasnął. – Skoro ja ją brałem, to pewnie wielu innych też. Jeśli żal ci tej rozpustnej kurwy, to ją utrzymuj, tylko żeby mi jej rumiana gęba nie pokazywała się na oczy! – krzyknął Teodor i wybiegł z pokoju.

Po tej awanturze nie wrócił do domu przez kolejne trzy doby, aż Eleonora zaczęła żywić nadzieję, że może zdecydował się na dobre zniknąć z miasta. Łudziła się, że może jej mąż ma jakieś resztki sumienia i głupio mu patrzeć, jak dziewczka ląduje na bruku.

Jednak tak nie było. Teodor pojawił się po kilku dniach nieobecności na Długiej, brudny i cuchnący, i kazał naszykować sobie w kuchni balię z kąpielą o dwunastej w nocy. Zapowiedział też Eleonorze, że przemyślał sprawę i skoro ona

okazała się jałowa jako jego żona, a głupia służąca urodzi mu dziecko, to wychowają je jako syna i spadkobiercę.

– Od dzisiaj lepiej zacznij nosić poduszkę pod suknią i udawaj, że masz prawdziwy brzuch. Jak się urodzi mój bękart, zabierzemy go Renacie i będziemy mówić, że ty go urodziłaś. Sprawę z dziewczką załatwię. Wyjedzie z miasta z gotówką i nigdy nie puści pary z ust, już ja się o to postaram. No, a teraz zabieraj się do roboty, szyj, haftuj, szykuj ubranka. Jutro ogłosimy światu cudowną nowinę! – powiedział ostrym tonem Teodor.

Następnego dnia rano Renata zniknęła. Ani ochmistrzyni, ani nikt ze służby nie potrafił powiedzieć, dokąd się udała. Z pokoju, jaki dzieliła z inną służącą, zniknęły też jej rzeczy, nie zostawiła żadnego listu ani nikogo nie prosiła o pieniądze.

„A jeśli ją zabił?” – pomyślała w pierwszej chwili Eleonora, ale skoro Teodor chciał, aby urodzone przez służącą dziecko było wychowywane jako jego prawowity potomek, musiał sam się zająć służącą i gdzieś ją ukryć do czasu rozwiązania.

Nie zmrużyła oczu przez całą noc w sypialni, której drzwi zastawiła ciężkim kufrem. Teodor nie pojawił się ani tej nocy, ani przez kilka następnych. Po prostu zniknął. Eleonora początkowo modliła się, aby tym razem to było na zawsze. W pewnym momencie mąż okazał się jednak potrzebny.

Pewnego dnia w hotelu pojawili się policjanci i zażądali klucza do apartamentu zajmowanego przez szastającego pieniędzmi młodzieńca Filipa Sadurskiego. Pani Szpakowska nie wiedziała, co robić, aby uniknąć skandalu. Teodor powinien być w takiej chwili na miejscu i starać się zadbać o dobre imię hotelu.

Niestety przepadł.

Stójkowi wyprowadzili z hotelu zakutego w kajdanki Sadurskiego, zamierzając zabrać go do cyrkułu³². Poinformowano tylko panią Szpakowską, że człowiek ten zatrudniony jest jako kancelista w jednym z banków i od ponad roku podrabiał podpisy dyrektora, kontrolera, a także kasjerów, dzięki czemu wyprowadził z banku sumę dwudziestu tysięcy rubli!

Eleonora przerażona widmem skandalu posłała niezwłocznie po mecenasa Darskiego, który przybył w niespełna godzinę, nadzwyczaj kontent, że może okazać się pomocny.

– Niech się szanowna pani nie martwi, co rusz słyhać o podobnych oszustwach. Zrobię wszystko, aby nie wzywano pani do cyrkułu na przesłuchanie. Jestem do pani usług, we wszelkim możliwym zakresie. Proszę się nie krępować i dowolnie dysponować moją osobą. – Ignacy pocałował dłoń Eleonory i spojrzał na nią na tyle wymownie, że zaczerwieniła się niczym podlotek.

Im więcej czasu pani Szpakowska spędzała w towarzystwie mecenasa Darskiego, tym częściej miała okazję zauważyć, jak wielką przyjemność sprawia Ignacemu niesienie pomocy. Konstatacja ta przypomniała jej okrutne słowa męża, który zakazał jej pomagać w Towarzystwie Dobroczynności, twierdząc, że jej działania są przejawem głębokiego egoizmu, a wszystko, co robi – rzekomo dla biednych – robi tylko po to, aby poczuć się lepiej i zagłuszyć własne sumienie. Ignacy nie wzbudzał w niej podobnych wątpliwości. Miał po prostu wielkie serce.

– Widzę, że pan jest wrażliwy na ludzką krzywdę, naprawdę pana to dotyka – stwierdziła w trakcie jednego z odbywanych wspólnie spacerów, a Darski odpowiedział jej nieśmiałym, dobronudnym uśmiechem.

Zauważyła, że miał piękne, duże, szare oczy. Odrobinę wyłupiaste, ale niezmiernie ufne. Takie same jak jej biedny ojciec.

– To wynika z faktu, że pochodzę z nizin społecznych. Pani dobrze wie, że jestem synem pokojówki i tylko dobroci pani matki zawdzięczam to, co osiągnąłem. Gdyby nie pani Regina, byłbym w najlepszym razie kamerdynerem, o ile odziedziczona po moim nieszczęsnym ojcu skłonność do hazardu, którą udaje mi się kontrolować, nie doprowadziłaby mnie do upadku...

– A więc splanca pan poniekąd dług wdzięczności?

– Tak, dzielę się częścią tego, co otrzymałem. Taki dar losu, jaki mnie spotkał, nie trafi się znakomitej większości tych biedaków, zapewne to pani wie. Nie trzeba szukać ogłoszeń biura nędzy wyjątkowej, żeby dotrzeć do nieszczęśników, którzy znajdują się na skraju egzystencji. Chore matki-wdowy z małutkimi dziećmi, chorujący jedyni żywicieli rodzin, robotnicy z urwanymi nogami i rękami, choroby, trwoga bez nadziei na przyszłość – przecież to wszystko jest wokół nas, wszędzie, w całym niemal mieście. Ale większość ludzi woli tego nie widzieć, do Ogrodu Saskiego nędzarza nie wpuszczą, do restauracji przy placu Teatralnym i nowych domów towarowych na Marszałkowskiej też nie... Łatwo nie zauważyć ludzi, którzy, choć żywi, przypominają jakieś zjawy. Można zatańczyć walca albo poloneza na balu reutowym i uspokoić swoje sumienie, skoro kilka kopiejek oddało się na bilet...

– ...a suknia na ten bal kosztowała kilkanaście rubli... – dopowiedziała Eleonora.

Spojrzała na Ignacego z nieskrywanym podziwem. Mało kto na jego miejscu czymkolwiek chciałby się dzielić. Jego wielkoduszność robiła na niej wrażenie. Podobnie jak postawa własnej matki, którą Eleonora uważała za najbardziej próżną i skupioną na sobie istotę na świecie. Nie zdawała sobie dotąd sprawy, że prawnik rodziny był w istocie matki wychowankiem, że łożyła na jego szkoły, utrzymanie, na studia. Być może matka miała w zanadrzu wiele podobnych tajemnic, których ujawnienie zmieniłoby dotychczasowy obraz jej osoby jako niewiasty skupionej na

sobie i mało wrażliwej na czyjekolwiek potrzeby.

Ignacy jakby czytał w jej myślach.

– Pani Eleonoro, pani matka bardzo panią kocha i martwi się o panią... Jest w dobrym zdrowiu, ona i pani młodsza siostrzyczka. Z różnych przyczyn, bardzo ważnych, których jednak ujawnić nie mogę, pani Żmijewska nie może na razie przyjechać do Warszawy, nie może też ujawnić miejsca swojego pobytu. Proszę wybaczyć, chciałbym powiedzieć więcej, ale nie mogę. Przysiągłem, że nikomu nie wyjawię nawet tego, że pani matka żyje – tłumaczył żarliwie.

Eleonora nie potrafiła ukryć wzburzenia.

– Skąd pan to wie?! – krzyknęła.

– Prowadzę różne sprawy pani matki i mam z nią kontakt, to znaczy ona kontaktuje się ze mną w wymagających tego sytuacjach i w sposób dla niej właściwy – odparł.

– Coś podobnego! Zostawiła mnie całkiem samą, pozbawiła kontaktu z ukochaną siostrzyczką! Najpierw ojciec, później ona, a mój brat uciekł do Ameryki, siostra jeździ z trupą prowincjonalną gdzieś po Galicji, wszyscy uciekli i zostawili mnie na pastwę tego potwora... – Eleonora w afekcie powiedziała więcej, niż zamierzała.

Zamilkła gwałtownie, choć galopujące serce sprawiało, że Ignacy doskonale widział jej unoszącą się klatkę piersiową. Przez gorset ściskający kibić nie mogła złapać oddechu, zbladła tak potwornie, że Darski przytrzymał ją za ramię.

Przechodzili właśnie obok wylotu ulicy Pivnej i Ignacy łagodnym głosem zaproponował, aby wstąpili do pobliskiej jadłodajni Pod Papugą.

– Musi pani natychmiast usiąść i się uspokoić! – orzekł.

Weszli do parnego pomieszczenia o niskim, belkowanym stropie, który musiał pamiętać zamierzchłe czasy Wazów. Szynek miał wystrój nad wyraz mizerny, niezbyt odpowiedni dla damy pokroju pani Szpakowskiej. Ale Eleonora była w takim stanie, że zupełnie nie zauważała brudnego otoczenia. Zapełniający izbę tłumek bił akurat brawo wesolej karczmarce, która stojąc na środku lokalu, śpiewała szlagier tegorocznego sezonu:

– *Zielona łódka na Wiśle,*

Powiedz mi, panno, swe myśle,

Jako wczoraj, tak i dziś,

Ale ty moją musisz być!

– *Idź pan sobie do księżny,*

Księżna ma dużo pieniędzy,

U księżny są pokoje,

A ja, biedna, jak stoję.

Zielona łódka, jałowiec,

Lepszy kawaler niż wdowiec.

Bo wdowiec bije, katuje,

Kawaler ściska, całuje.

Burza oklasków i okrzyki gości świadczyły o tym, że piosenka bardzo się podoba. Tymczasem Eleonora zbladła jeszcze bardziej i nie mogła opanować drżenia rąk. Milczała. Dopiero przy filiżance kawy z kroplą nalewki (Ignacy nalegał, aby wypłała właśnie taką miksturę) Eleonora opowiedziała po raz pierwszy od lat o koszmarze, jakim było jej małżeństwo, i o potwornościach, jakich zaznawała ze strony męża.

– Nie ma sytuacji bez wyjścia! Nie jest już pani sama! Zrobię wszystko, dosłownie *wszystko*, aby panią ratować – powiedział wyraźnie poruszony Ignacy i pocałował jej dłoń.

10.

Teodor wracał dorożką w gorące popołudnie z restauracji Promenada przy Drodze Królewskiej³³, gdy nagle zauważył wznoszący się na niebie duży balon. Serce zabiło mu szybciej. Bez zwłoki nakazał dorożkarzowi, aby zawiózł go bliżej pól, nad którymi leciała czerwono-żółta kula.

– Panie szanowny, to będą Pola Mokotowskie, nic tam nie ma, kilka starych cegielni, pusta ziemia na manewry wojskowe przydatna.

– Jedźcie czym prędzej, zapłacę dwadzieścia kopiejek więcej! – rzucił Teodor.

Wypełniony wodorem balon wolno sunął po powleczonej złotem letnim niebie. Widok ten wzbudził w Szpakowskim wspomnienia, fale żalu, dawno – wydawałoby się – wyparte z umysłu marzenia o wzbiciu się w górę, o machinach lżejszych od powietrza, które kiedyś zapewne powstaną i całkowicie zmienią świat. Lata temu, gdy był młody, aeronautyka była jego jedyną miłością, a sądził, że także przyszłością.

Od kiedy po raz pierwszy zobaczył balon startujący z Pól Marsowych

w Paryżu, dokąd udał się w podróż z właśnie owdowiałym ojcem, wiedział, że jak najprędzej musi wzbić się w powietrze. I dopiął swego, poleciał z pewnym szalonym aeronautą, którego poznał w Rzymie. Lot ten, choć nie obył się bez przeszkód i zakończył niefortunnym upadkiem, nie osłabił jego determinacji. Za wszelką cenę chciał latać.

Jednak ojciec skutecznie pokrzyżował jego plany. Właściwie zniszczył mu życie. Grożąc wydziedziczeniem i odcięciem środków finansowych, zakazał synowi „podniebnych idiostw”, jak to określał, i był nieubłagany w swoim postanowieniu. „Jesteś moim jedynym synem, dziedzicem. Tylko ty możesz przedłużyć nazwisko Szpakowskich i to jest twoje główne zadanie życiowe” – mówił. Teodor był zbyt słaby, aby sprzeniewierzyć się ojcowskiej woli.

Edward Szpakowski był przedziwnym człowiekiem. Bóg obdarzył go nie tylko wspaniałą urodą (przez większość długiego życia kobiety wprost lgnęły do niego), ale wybitną inteligencją i wieloma innymi talentami. Jednak całe swoje jestestwo podporządkował zemście. Trucizną tą nasyciła go babka, wdowa Eugenia, przez większość swojego życia bolejąca nad faktem, że Szpakowscy stracili dorobek kilku pokoleń i na skutek nieszczęsnego podstępu utracili własność hotelu Varsovie przy Długiej.

Ojciec Teodora wymógł na nim przysięgę, że pomści jego imię. Mimo trzech małżeństw (dwie żony zmarły, a jedno małżeństwo unieważniono), hulaszczego trybu życia i pomieszkiwania w różnych krajach Europy (Edward zdobywał pieniądze, spekulując na giełdzie i trwonił je na grach hazardowych) nigdy nie pogodził się z tym, jak potraktowała go miłość jego życia – okrutna i podstępna panna Regina. Oszukała go, wpędziła w kłopoty finansowe i w końcu była bezpośrednią przyczyną jego próby samobójczej. A po tym wszystkim, co zrobiła Edwardowi, wyszła za mąż za członka znenawidzonej przez Szpakowskich rodziny Żmijewskich.

Na łożu śmierci Edward przekazał synowi kasetkę z listami pisanymi przed laty przez młodziutką Reginę Florę Oryską. „Wykorzystaj to dobrze, synu, nakazuję ci to jako ojciec. Musisz spełnić obowiązek wobec naszego rodu! Od lat przekłęci Żmijewscy w haniebny sposób zadawali nam ciosy albo podstępem zabierali nam owoce naszej pracy, nasze córki i wnuczki. Teraz nadszedł czas, abyś to ty zadał im cios, doprowadził do ruiny i przysporzył możliwie dużo cierpień!” – przemawiał drżącym głosem umierający ojciec Teodora.

Wykonał zadanie. Być może byłoby mu ciężiej, gdyby nie żywił przekonania o tym, że nie ma żadnego Boga na świecie. Nie miał złudzeń i pogodził się z poczuciem bezcelowości swego życia. Uważał, że los jest pasmem bezsensownych cierpień, a człowiek kończy swe istnienie z chwilą śmierci. Jedyne, co miało w tej sytuacji sens, to dobrze się bawić i folgować swoim żądom.

Kiedy przybył do Warszawy, rodzina Żmijewskich była już w zasadzie

rozbita, on tylko dokończył dzieła. Po ucieczce córki, która chciała być aktorką, po dziwnym zniknięciu nestora rodu skandale trapiące tę rodzinę bardzo ułatwiły Teodorowi zadanie. Szybko wypędził z miasta panią Reginę – wystarczyło kilka anonimów i fragmenty listów, jakie kiedyś wymieniała z Edwardem. Tak bardzo bała się kompromitacji i ujawnienia faktów z przeszłości, że bez zwłoki uciekła za granicę i bała się nawet przyznać do tego, że żyje.

Jej syna Konstantego równie łatwo było rozpracować i wykorzystać jego słabości. A kochanka baletnica nie była wybredna, jeśli chodziło o mężczyzn. Wystarczyło sypnąć rublami... Eleonora? Teodor nie był wprawdzie tak urodziwy jak jego ojciec, a jednak bez trudu zdołał zdobyć serce naiwnej panny Żmijewskiej. Dręczenie nieszczęsnej żony nie sprawiało mu wiele przyjemności, ale ilekroć widział jej pełne przerażenia spojrzenie, budził się w nim potwór. Jak wszyscy mężczyźni w rodzinie Szpakowskich on też miał gwałtowny charakter, bardzo łatwo wpadał w szał i nie był w stanie poskromić gniewu.

Patrząc teraz na balon oddalający się na zachodzącym czerwienią niebie, Teodor poczuł, że nadszedł moment, aby wreszcie zaczął żyć po swojemu. Przecież nie było za późno, aby latać balonem, wciąż mógł to robić. Czy nie spełnił ojcowskich próśb? Zemścił się, zmarnował życie młodej kobiecie, mocno wpłynął na losy członków rodziny Żmijewskich. Zrobił wiele okropnych rzeczy, i po co? Aby wypełnić wolę chorego, zaślepionego zemstą starca?

Nagle zrozumiał, że nadszedł czas, aby dać już spokój, opuścić na dobre to miasto, którego nigdy nie polubił. Nic go tu nie trzymało, nie doczekał się dzieci, nie udało mu się poprawić kondycji hotelu a wręcz przeciwnie, pewnie wkrótce trzeba będzie go zamknąć.

Postanowił, że zabierze wszelkie możliwe pieniądze, listy zastawne, akcje i aktywa, po czym po prostu zniknie. Wyjedzie pociągiem do Wiednia, stamtąd dalej, na południe Francji albo nawet do Hiszpanii! Za trzy, cztery tygodnie powinien załatwić wszystko, co potrzebne, i zacząć wreszcie żyć!

Podeksytowany powziętym postanowieniem, zdecydował się tego wieczoru wstąpić do lepszego zakładu restauracyjnego i godziwą kolacją oraz butelką zacnego burgunda sam ze sobą celebrować moment rozpoczęcia nowego życia. Dorożka zawiozła go na plac Teatralny, gdzie Szpakowski wybrał jeden z lepszych lokali w mieście, zjadł comber z jelenia, pieczoną kaczkę, popił to wszystko winem, które nadzwyczaj mocno uderzyło mu do głowy, i już miał wracać do domu na ulicę Długą, gdy niespodziewanie w korytarzu gabinetu restauracyjnego zaczepiła go jakaś urodziwa kobieta w uroczym, małym kapelusiku z wisienkami i malinowej sukni z falbaniastym ogonem.

– Czy szanowny pan przypadkiem nie jest pracownikiem teatrów rządowych? – zapytała kokieteryjnie.

Po jej umalowanej twarzy Teodor poznał, że nie była to bynajmniej dama

z towarzystwa, a jednak miała w sobie nieodparty urok. Przedstawiła się jako aktorka z prowincji, która ubiega się o angaż w teatrze i poszukuje protektora, który pomógłby jej w dostaniu się na warszawską scenę.

Teodor był przekonany, że kobieta zaproponowała mu swoje usługi, pomyślał więc, że akt cielesny może być doskonałym zwieńczeniem tego udanego dnia, i zgodził się na pójście z ową panią do wynajmowanego przez nią – jak twierdziła – pokoju. Już trzymał swą towarzyszkę pod rękę, już miał na sobie płaszcz i cylinder, już kierował swe chwiejne (nie do wiary, za ledwie po butelce wina!) kroki do wyjścia, gdy nagle wpadł na niego jakiś wściekły, starszy jegomość z faworytami porastającymi pół twarzy i zaczął krzyczeć, żeby Teodor natychmiast puścił ramię jego młodej żony.

– Obraził mnie pan na oczach klienteli jednej z najlepszych restauracji w mieście! Żądam satysfakcji. Jeśli ma pan krztę honoru, rozstrzygniemy to, jak należy!

– Postradał pan zmysły! To nielegalne, nie zamierzam się pojedynkować! Nic nie zrobiłem, to ta oto kobieta mnie zaczepiła... – zaczął bełkotliwym głosem wyjaśniać Teodor.

Język mu się plątał i nie bardzo rozumiał, co się właściwie dzieje. Kilkanaście osób przypatrywało się w osłupieniu tej scenie, a niski jegomość z faworytami wrzasnął:

– Teraz pan przeholował! Moja żona ciebie zaczepiała??? Nie daruję takiej zniewagi! Pijany jesteś, sam zaczepiasz niewinną kobietę i wystawiasz na szwank jej honor!

Pani w malinowej sukni jak na zawołanie odsunęła się od Teodora i teatralnym gestem przykładła chustkę do czoła, powtarzając:

– Chodźmy stąd, będzie skandal! Ten pan był po prostu pijany, nie chciał zapewne mnie obrazić!

– To jakaś ponura komedia! – Teodor zaśmiał się, ale mina stojącego wciąż naprzeciw niego mężczyzny mówiła co innego.

– Rozstrzygnijmy to jak mężczyźni! Jutro o ósmej rano stawi się szanowny pan ze swoim sekundantem w Lesie Bielańskim. Ja zapewniam broń – powiedział mężczyzna i wręczył mu swój bilet wizytowy, po czym wziął pod rękę kobietę w malinowej sukni i wyszedł z lokalu.

11.

Dziesiątego sierpnia Eleonora wstała jak zwykle z łóżka o siódmej trzydzięci, skorzystała z nocnika, a następnie usiadła przy toalecie, gdzie czekała już na nią letnia woda w dzbanku. Ledwie zdołała wytrzeć gąbką spoconą w trakcie parnej nocy skórę w zagłębieniu pach i dekoltu, po czym służąca zaczęła szcztokować jej długie włosy, gdy niespodziewanie do pokoju zastukała

pokojówka z informacją, że na dole w holu czeka dwóch policjantów i chcą natychmiast widzieć się z panią Szpakowską.

Kilkanaście minut później zaniepokojona Eleonora w pośpiesznie założonej domowej sukni, czując się bardzo niezręcznie bez gorsetu, przyjęła przedstawicieli policji w saloniku z fortepianem. Panowie zapytali ją, czy mąż wrócił na noc do domu. Odparła zgodnie z prawdą, że nie, ale ostatnio często mu się to zdarzało.

– Obawiam się, szanowna pani, że pan Teodor Szpakowski został dzisiejszego ranka zastrzelony w nielegalnym pojedynku na pistolety z mężczyzną, którego tożsamość staramy się ustalić – prosto z mostu powiedział stójkowy.

Eleonora osłupiała.

Z całych sił musiała powstrzymać uśmiech, który siłą chciał wedrzeć się na jej oblicze. Oczy zaszyły jej łzami. Przymknęła powieki i osunęła się na dywan w zielono-żółte wzory. Udając zemdloną, mogła pozwolić sobie na chwilę niemej radości. „A więc Bóg wysłuchał mych modlitw! On zniknął! Ten potwór już nigdy mnie nie uderzy, nie weźmie gwałtem, nie poniży! Czy mogło mnie spotkać większe szczęście?” – myślała.

Euforię wywołaną wieścią o śmierci męża zastąpiło jednak niepokojące pytanie o powód, dla którego jej comiesięczne krwawienie się spóźnia. A jeśli spodziewa się dziecka Teodora? Co prawda miewała bardzo nieregularne menstruacje, często bolesne i przerażające swą obfitością i spóźnieniami, które nie oznaczały ciąży. Gdy była panną, ilekroć nadchodził ten bolesny moment – zwykle poprzedzony potwornym bólem podbrzusza, zawrotami głowy i wypryskami na skórze – całymi dniami leżała w łóżku w rannym kaftaniku, nie chodziła na żadne spotkania ani tańce, za to ubrana w ciepłe pantalonek i skarpety popijała mdły bulion (matka bardzo pilnowała, aby córka przestrzegała diety, w której zabronione były potrawy ostre i wyraziste w smaku), a jej nieustannie obsuwający się bandaż z gąbką w środku błyskawicznie nasącał się krwią.

Jako mężatka wyczekiwała tych chwil – ból podbrzusza sprawiał jej wręcz przyjemność, gdyż oznaczał, że Teodor nie przyjdzie do jej sypialni, ona zaś będzie mogła spędzić kilka dni bez noszenia gorsetu i konieczności uczestniczenia w balach i żurkach w towarzystwie pań jej pokroju, żon bankierów i bogatych handlowców. Od kiedy nikomu nie mogła powiedzieć prawdy o swoim życiu, szczerze nie znosiła tych spotkań i pogaduszek o nowych modelach kapeluszy z Paryża, deseniach sukien i operetkach.

Często jednak zdarzało się, że krwawienie nie nadchodziło przez kilka miesięcy. Wówczas – zgodnie z zaleceniami doktora – stosowała poranne letnio-ciepłe kąpiele z dodatkiem mydła i otrąb. Tarła też podbrzusze rano i wieczorem wełnianą rękawicą oraz moczyła nogi w wodzie z domieszką popiołu, zanurzając je do kolan, aby ściągnąć krew w dół ciała.

Teraz powtarzała sobie, że spóźnienie okresu nie musiało wcale oznaczać

ciąży. Dopiero gdy nabrała wstrętu do piżmowych perfum, zbierało się jej na wymioty, ilekroć czuła zapach smażonego na smalcu mięsa, chciała jadać kwaśne potrawy i nie mogła przełknąć choćby łyka kawy ani wina, wówczas było jasne, że w swoim łonie nosi potomka Szpakowskich, któremu stanowczo nie chciała pozwolić pojawić się na świecie. Tym razem żadne ze znanych zapachów nie wywoływały w niej wstrętu, nie miała też apetytu na nic specjalnego, a jej brzuch był płaski jak deska. „Może jednak?” – pomyślała z przerażeniem, rozważając wizytę u przyjmujących po kryjomu lekarzy.

Pod koniec sierpnia policjanci pozwolili pogrzebać ciało Teodora Szpakowskiego. Eleonora nie życzyła sobie, aby mąż spoczął w grobowcu Żmijewskich na cmentarzu Powązkowskim, lecz wykupiła mu osobną kwaterę. Na uroczystość przybyło wielu ludzi zwabionych sensacyjną historią pojedynku, o którym pisała prasa.

Rzucając garść ziemi na trumnę męża, Eleonora pochwyciła spojrzenie mecenasa Darskiego. Uśmiechnął się do niej w taki sposób, że przyszło jej na myśl, iż to on stoi za tym dziwacznym pojedynkiem. Jak tego dokonał? W zasadzie wolała nie wiedzieć.

Wiedziała od dawna, właściwie zawsze czuła, że nie jest mu obojętna. Kiedyś ten widoczny w jego oczach afekt ją irytował, teraz – przeciwnie – syciła się nim niczym smakołykiem, którego od dawna nie miała okazji próbować.

Uratował ją i otrzyma nagrodę. Eleonora była gotowa oddać mu swoje serce. Osłonięta czarną mantylką mogła swobodnie przymknąć oczy i uśmiechnąć się do siebie z poczuciem wielkiej ulgi. Oczywiście jeśli nie nosi w brzuchu dziecka Teodora.

A jeśli jest w ciąży, czy postąpi tak, jak miała w zwyczaju przez ostatnie lata? Teraz przecież nie musi już karać tyrana, który gryzie ziemię... Czy los wdowy z dzieckiem nie byłby dla niej doskonalszym jeszcze rozwiązaniem niż ponowny związek z mężczyzną? Tak bardzo marzyła o byciu matką...

Takie myśli zajmowały jej umysł w trakcie stypy urządzonej w hotelowej sali restauracyjnej. Doskonale grając swoją rolę, Eleonora z niezwykle smutnym wyrazem twarzy przyjmowała kondolencje oraz zwykłe w tej sytuacji słowa otuchy, gdy w pewnej chwili zbliżył się do niej pan Ignacy. Z tajemniczym uśmiechem poklepał się po kieszeni marynarki i patrząc na wdowę swoimi wielkimi, łagodnymi oczami, jak miał to w zwyczaju – przechylił głowę na bok, po czym szepnął w jej kierunku:

– Pani matka wie o wszystkim i teraz, kiedy mąż pani więcej jej nie zaszkodzi, napisała mi, że podjęła niezbędne kroki, aby jak najszybciej powrócić do Warszawy!

Rozdział VII
Jadwiżka i Wenus

Jedna dziewczka na skrzypka ustawicznie patrzała

I koniecznie go sobie za męża mieć chciała.

Ale jej matka tego wzbraniała tak srodze,

Widząc, że lotr, nie życząc do złego niebodze.

Rzecz: Spodobał mi się, bo prędko przebiera

Palc, grając na skrzypice, aż serce umiera.

Mniemam, iżę też będzie prędko w mej robocie,

Kiedy mnie będzie cieszył po jakim kłopotcie.

ADAM WŁADYSŁAWIUSZ, *O dziewce...*

Wrzesień – grudzień Anno Domini 1635

1.

Mijały właśnie trzy lata, od kiedy na tronie w warszawskim zamku zasiadał król Władysław IV, syn panującego przez czterdzieści pięć lat Zygmunta III Wazy. Po tym, jak Rzeczpospolita Obojga Narodów zawarła wieczysty pokój w Polanowie z Rosją i odnowiła traktat pokojowy z Turcją, krajowi nie zagrażały chwilowo większe konflikty. We wrześniu roku Pańskiego tysiąc sześćset trzydziestego piątego wygasł sześćioletni altmarski rozejm ze Szwedami, a król, pragnąc odzyskać szwedzką koronę, której nie udało się utrzymać jego ojcu, dążył do wojny i ściągnął już nawet na północ wojska pod wodzą hetmana Stanisława Koniecpolskiego.



Od kilku tygodni Władysław IV przebywał na zamku w Grudziądzu, gdzie rokowań podjęli się posłowie francuscy. Ich celem było zapobieżenie wybuchowi wojny i zawarcie pokoju między Polską a sprzymierzoną z Francją Szwecją. Dyplomatyczne zabiegi wspierali też Anglicy i Holendrzy, przez co król przez długie tygodnie nie wracał do Warszawy.

Tymczasem w opustoszałym mieście pozostali na zamku dworzanie

z przejściem wyczekiwali na powrót dworu, a głównie na bale, przyjęcia, koncerty i spektakle, które tak uwielbiał głodny wszelkich rozrywek władca. Z niecierpliwością wypatrując wieści o zakończeniu rokowań, na różne sposoby walczone z nudą – flirtowano i intrygowano – z ufnością patrząc w przyszłość.

Najwspanialszy z głosów warszawskich, ulubiony sopran miłościwie panującego króla, należał w owym czasie do kastrata Baldassarego Ferriego, którego w mieście powszechnie nazywano Balcerkiem. Był on nie tylko wybitnym śpiewakiem, który jako młody chłopiec niemal dziesięć lat temu przybył z Perugii do obcej mu Warszawy, ale dzięki swojemu miłemu usposobieniu, nabytej w krótkim czasie znajomości polskiej mowy, którą zabawnie ubarwiał włoskimi słówkami, uważano go za najjaśniejszą gwiazdę rozśpiewanego, rozbrzmiewającego wspaniałą muzyką królewskiego dworu.

W deszczowy, jesienny wieczór do komnat zajmowanych przez szczodrze opłacanego Balcerka udawała się właśnie Anusia Żmijówna, córka niegdysiejszego lutnisty kapeli królewskiej. Osłonięta szerokim kapturem i ciemną peleryną, po zjedzeniu skromnej wieczerzy wymknęła się nader dyskretnie z zajmowanego od przeszło dwóch lat pomieszczenia w nędznej, drewnianej dobudówce przyklejonej do pomieszczeń gospodarskich królewskiego zamku. Mogła rzecz jasna mieszkać w domu gościnnym U Kaliny, należącym do jej ojca, ale nade wszystko pragnęła być jak najbliżej zamku i wszystkiego, co działo się za jego murami.

Oświetlając sobie drogę małą latarenką, w której tkwiła ledwo tłąca się świeca, pokonała wąskie, drewniane schodki i przemknęła koło izby należącej do maestro Sabatina, mistrza hafciarstwa, u którego terminowała kilka lat temu jako piętnastoletnia dziewczynka. Jeszcze wcześniej ojciec umieścił ją na zamku, gdzie przyuczana była do pełnienia funkcji damy dworu dalekiej kuzynki królowej. Niestety owa pochodząca z Austrii dama z wielkim niezadowoleniem obserwowała dojrzewanie Anusi, jej pęczniące pod kształcikiem piersi, wybujające biodra i twarz, której gładkość bardzo mocno oddziaływała na mężczyzn. Pani Sofia odprawiła więc dziewczynę, zarzucając jej frywolne usposobienie. Laurentemu nie pozostawało nic innego, jak znaleźć dla córki inne miejsce. Jej zręczne palce przydały się w pracowni haftów koronek, która ozdabiała szaty całego dworu i zmagala się z nawałem pracy, odkąd w modę weszły zastępujące sztywne kryzy wykładane, duże kołnierze z białej, delikatnej koronki.

Anusia w największym skupieniu pchnęła skrzypiące drzwi i wyszła na tonące w błocie, zagracone podwórze, z którego po ledwie kilkunastu krokach przedostała się pod dach budynków zajmowanych przez pomieszczenia kuchenne – stąd służba nosiła potrawy gotowe do postawienia na królewskim stole. Od wejścia do izby kuchennej dzieliło ją zaledwie kilkanaście metrów i pokonałaby je bardzo szybko, gdyby nie oleiste błoto, w którym utkwiał jej pantofel. Zakopał się tak niefortunnie, że w obawie przed demaskacją Anusia zrezygnowała z jego

poszukiwań (nie był ani wytworny, ani nawet nowy) i z jedną nogą w pończoszce przedostała się wzdłuż ściany domu, gdzie mieszkała grupa służących na dworze karłów, ku wrotom zamkowym przeznaczonym dla kuchennej służby.

Cichutko weszła do oświetlonej pochodniami sieni zamkowej, minęła skulonego w kącie i śpiącego strażnika i po kilku krokach zamarła. Zdawało jej się, że w kącie korytarza porusza się coś dziwnego. Może to był duch Michała Piekarskiego, o którym wiele razy słyszała? Ponoć duch tego obłąkanego człowieka, który próbował przed pięcioma laty pozbawić życia samego króla Zygmunta, straszył w zamkowych korytarzach. Serce zabiło jej mocniej, ale gdy nagle dobiegło jej ucha wyrwane z kobiecej piersi westchnienie, dojrzała w ciemnych, drgających kształtach obejmującą się i tonącą w pocałunkach parę pokojowców. Z uśmiechem na ustach przeszła dalej.

Widok ten nie był obecnie niczym nadzwyczajnym – inaczej niż za czasów surowych rządów ochmistrzyni Urszuli Meyerin teraz służba i dworzanie poczynali sobie nader swobodnie w miłosnych zalotach, bez skrupowania prowadzili miłosne gierki i radosne podchody. Atmosfera folgowania zmysłom, która nastąpiła wraz z panowaniem Władysława IV, udzieliła się niemal całemu dworowi.

Anusia już skręcała ku komnatom najznamienitszych dworzan, położonym na parterze, tuż przed pokojami zajmowanymi przez królewską rodzinę, gdy w korytarzu pojawiła się grupa służących w galantnych uniformach, niosąca z kuchni na zamkowe pokoje dania na wieczerzę. Korytarz wypełnił aromat piezzonego mięsiwa i aromatycznych sosów.

– Z drogi! Jadło na stół królewski niesiem! – zawołał jeden z pokojowców i Anusia stanęła pod ścianą, robiąc miejsce dla korowodu służby niosącej srebrne patery zakryte baniastymi pokrywkami półmiski i kosze owoców.

Jeden z dźwigających na ramieniu wielkie naczynie służących zbliżył się do niej z zawadiackim uśmiechem i powiedział:

– Może waćpanna skosztuje sosu z przetartych śliwek? Wyobraź sobie, że to ten sos, który tak uwielbia nasz z Bożej łaski król! Posmakujcie tego, co macie tuż przed nosem! – To mówiąc, odsłonił srebrną pokrywkę z sosjerki, zamoczył w gęstym, aromatycznym sosie wskazujący palec i podsunął go do warg Anusi. Ona z uśmiechem otworzyła usta i zlizwała ciemny, słodko-kwaśny płyn, nie spuszczać wzroku z pokojowca. Był ślicznym chłopcem o niebieskich oczach i zadziornym uśmiechu.

– Ach... Nie wiem, czy teraz przez waćpannę dam radę wypełnić swoje obowiązki... – jęknął chłopak, patrząc na Anusię wzrokiem płonącaym pożądaniem.

– Idź już, bo na stół trafi zimne mięso z zastygłym sosem! – zaśmiała się Anusia.

– Aj, wszyscy już się do tego zdążyli przyzwyczaić! Zanim my te wszystkie dania doniesiemy z kuchni na pokoje, nie da rady, żeby nie ostygły! – zawołał

pokojowiec i z uśmiechem wkroczył na marmurowe schody.

Anusia skręciła zaś w prawo. W tej części zamku podłoga korytarza wyłożona była białymi i czarnymi kaflami, a przy drzwiach do poszczególnych pokoi siedzieli służący czekający na sygnał od swoich panów. W lichtarzach płonęły woskowe świece, a obite zieloną materią ściany korytarza ozdabiały wielkie malowidła przedstawiające sceny z greckich mitów.

Widząc nadchodzącego z naprzeciwka śpiewaka, Anusia dygnęła w odpowiedzi na jego ukłon. Paulino był złośliwym, nieprzystępnym kastratem, wyglądającym jak otyła niewiasta, znanym powszechnie ze swoich skłonności do młodziutkich chłopców, których dostarczali mu służący i różni dworscy dostawcy. Wiedziała, że śpiewak na pewno jej nie pomoże w sprawie, w jakiej tutaj przyszła. Śmiano się z niego, mówiąc, że brak jąder w jego przypadku nie wygasił chorych żądz.

Balcerek był inny: sympatyczny, zawsze życzliwy i zupełnie niezainteresowany cielesnymi potrzebami, które przejawiał każdy normalny mężczyzna. Od rana, czekając na wizytę w pokojach kastrata, Anusia nie ustawała w niemych zaklęciach, pragnąc, aby spotkanie to posunęło ją chociaż o krok ku realizacji upragnionych celów. Któż, jeśli nie królewski ulubieniec mógł jej pomóc dokonać tego, co zdawało się niemal niemożliwe? Nie wiedziała, co mogła mu w zamian zaoferować, co takiego obiecać, ale była gotowa na każde poświęcenie.

Bo Anusia niczego nie pragnęła w życiu tak bardzo, jak śpiewać. Śpiewać *canzoni* i *canzanelle amoroze*, tak piękne jak te komponowane przez Luigiego Rossiego, albo madrygały, wreszcie solowe arie – zupełną nowość, jaką wprowadzała *dramma per musica*, potocznie zwana operą.

Może dlatego, że od dziecka dorastała w domu przesiąkniętym muzyką i śpiewem, Anusia wiedziała, że muzyka jest jedynym światem, w którym pragnie przebywać, a śpiew wyносił ją poza pełną grozy doczesność. Bardziej niż wizje obiecywanego przez księży rajy przemawiała do niej siła muzyki, w której dostrzegała obietnice innego wymiaru, krainy zawieszanej gdzieś między rzeczywistością a przedsionkiem nieba, gdzie strach przed chorobami, ogniem, atakami Tatarów czy karą boską nie zatruwał każdej przyjemnej chwili życia.

Hulaszczy tryb życia nowego władcy – jego polowania, przyjęcia z najlepszym jadem i winami, kaprysy dotyczące wykwinnych strojów, dzieła sztuki, które kolekcjonował podobnie jak jego ojciec Zygmunt III Waza, liczne kochanki – nie znajdował pokrycia we wpływach z podatków zasilających królewski skarbiec. Z każdym rokiem panowania Władysław coraz bardziej zadłużał kraj. Król nie szczędził środków na swoje pasje. Uwielbiał malarstwo – zwłaszcza prace ukochanego przez niego mistrza Rubensa i jego uczniów. Ale najbardziej jego zmysły rozpalala muzyka.

Od kiedy jeszcze jako królewicz odbył podróż po Europie i we Florencji był

świadkiem narodzin opery, pragnął stworzyć na rodzimym polskim dworze scenę muzyczną godną najwspanialszych dworów Italii. Mimo że królewski skarbiec często bywał pusty, muzykom nie szczędzono środków, aby tylko zechcieli w Warszawie umilać trudy królewskiego życia i karmić władcę oraz jego dworzan i gości najbardziej wyrafinowaną strawą duchową.

Władysław planował także budowę teatru operowego z prawdziwą, nowoczesną sceną. Już sprowadził do kraju wielu zagranicznych muzyków, śpiewaków, reżyserów, librecistów i znawców scenografii oraz teatralnych machin. Orkiestra i chór nieustannie poszerzały swoje grono o nowych artystów.

Najlepsi śpiewacy zarabiali po półtora tysiąca florenów rocznie, otrzymywali drogie i wymyślne prezenty (złożone lichtarze, szkatuły z hebanowego drewna i sakwy pełne orientalnych przypraw oraz pachnidła), po pięćset florenów z cła z portu gdańskiego, różnej wysokości kwoty z żup wielickich, a z podatków płaconych przez Żydów po dwieście czerwonych złotych.

Oprócz czterech kastratów, zarówno alty, jak i tenorzy, a także basy, wszystkie głosy należały do zagranicznych muzyków. Polscy śpiewacy od wielu lat nie występowali na dworze. Organista Luigi, skrzypek Pietro, kornecista Fernando, puzoniści i lutniści, oni także sprowadzeni zostali do Polski z Włoch. Nie licząc dwóch rodzimych skrzypków i niemieckiego wiolonczelisty, wszyscy muzycy pochodzili z Rzymu, Perugia albo Wenecji.

Jakie więc szanse mogła mieć polska sopranistka na dołączenie do tak ciasnego kręgu artystów? Właściwie nie było na to szans, ale Anusia uważała, że ze swoją urodą i świetnym sopranem koloraturowym o wybitnej skali musi spróbować. Była gotowa zrobić wszystko, aby zaśpiewać przed królem. Nie interesowało jej ani zamążpójście, ani reputacja, ani nawet życie wieczne. Gorączkowy afekt, jaki czuła, widząc królewski majestat, popychał ją ku zgubie. Była jak ćma lecąca ku płonącej świecy i upaja się wszystkim tym, co spotyka na swojej drodze.

On – jaśnie pan, jej król Władysław – śnił jej się niemal co noc. Odważny wódz, wytworny, postawny mężczyzna w sile wieku, z ciemnymi włosami opadającymi na ramiona, wypomadowanym wąsem i tym błyskiem w oku, który potwierdzał opowieści o jego miłosnym temperamencie. A do tego taki ludzki, zawsze niemal uśmiechnięty. Był lubiany przez żołnierzy, mieszczan, szlachtę. Dworzanie go wprost uwielbiali, zapewne także dlatego, że był bardzo pobłażliwy i nie potrafił wyegzekwować bezwzględności posłuszeństwa. Przez to na dworze czymś zwykłym była kradzież i objadanie królewskiego stołu.

Nowy król był zupełnym przeciwieństwem surowego ojca Zygmunta, którego nazywano „niemą zmorą ze Szwecji” – prawdziwego dziwaka grającego w zamkowych komnatach w piłkę, który był tak pełen pychy, że nigdy nie odpowiadał na pozdrowienia ludu. Wszyscy – może z wyjątkiem duchownych

krytykujących jego wolny stan i liczne miłości – uwielbiali Władysława, a wiele niewiast skrycie pragnęło spędzić z królem noc.

Anusia także marzyła o chwili, kiedy w trakcie spektaklu król ujrzy ją we wspianym stroju, kiedy usłyszy jej anielski śpiew, zwróci na nią uwagę, a być może zainteresuje się zdolną śpiewaczką i którejs nocy wezwie ją do swego łoża.

Chcąc zrealizować swoje śmiałe plany, Anusia najpierw podjęła próbę pozyskania przychylności liczących się w oczach władcy cudzoziemców. Niestety poniosła klęskę.

Bezskutecznie próbowała zainteresować osobą Marca Scacchiego, który przybył do Warszawy w tysiąc sześćset dwudziestym czwartym roku jako młody skrzypek i pozyskał tak wielkie zaufanie króla, że po nagłej śmierci pochodzącego z Rzymu maestro Aneria, to właśnie on został królewskim kapelmistrzem.

Skoro Marco odrzucił jej jawne zaloty, skoncentrowała swe wysiłki na innym członku kapeli królewskiej – ślicznym kastracie o twarzy Adonisa i złotych puklach Apolla – Virgiliu Puccitellim, który przed rokiem został sekretarzem królewskim i librecistą Teatru Władysławowskiego głoszącego sławę rodu Wazów. Ten jednak wprost dał jej do zrozumienia, że jej wysiłki pozyskania jego życzliwości nie przyniosą żadnego wysiłku. Nie znosił bowiem kobiet.

Balcerk przywitał Anusię odziany w przetykaną srebrnymi nićmi orientálną suknię. Był łysy! Dziewczyna ze zdziwieniem spojrzała na jego okrągłą twarz, krzaczaste brwi i pełne usta – nie miała pojęcia, że złote pukle, które okalały mu twarz, to peruka.

Wkroczyła do jego pokojów i od razu poczuła, że znajduje się w pełnym zbytku królestwie sztuki – spore pomieszczenie rozświetlały liczne świece w mosiężnych kandelabrach, ściany wyłożone były czerwonym jedwabiem w drobny wzorek, sufit zaś pokrywały malowidła oprawione w ramy, przedstawiające nagie kobiety i rozkoszne, pulchne amorki o mleczej skórze, o jakiej Anusia zawsze marzyła.

Ciemna karnacja była zmorą jej życia, całkowicie psuła jej urodę, chociaż okrągła twarz, wąskie usta, gęste pukle brązowych włosów nie mogły budzić zastrzeżeń. Jednak dzisiaj tym, co uważano za najcenniejsze, była mleczna skóra, a tego los Anusi poskąpił. Musiała używać bielidła, przez które cera na buzi pokrywała się wypryskami i traciła gładkość. Rzadko nosiła też perły – a były właściwie obowiązkowym elementem ubioru modnej pani – zbyt kontrastowały z żółtą karnacją.

W pokojach Balcerka rozbrzmiewała piękna, słodka muzyka. Anusia rozejrzała się w poszukiwaniu źródła. Jej wzrok prześlizgnął się po pomieszczeniu, oknach szczelnie zakrytych zasłonami ze złoto-czerwonej materii, po wielkim kufrze z hebanowego drewna, wysokich, malowanych w orientálne wzory wazach, w których stały świeże kwiaty, aż wreszcie dotarł do stolika w kącie i ustawionego

na nim wiriginału³⁴, na którym grała jakaś kobieta w sukni z wyjątkowo pięknej, bladoniebieskiej tkaniny. Anusia widziała jedynie jej plecy i misternie uczesane, upięte po obu stronach głowy czarne loki, które ozdabiały liczne wstążki i odbijające światło świec perły.

Przy stoliku nakrytym orientálną tkaniną siedziało dwóch niezmiernie wytwornie odzianych jegomościów o cudzoziemskim wyglądzie, skupionych na grze w karty – długowłosa blondyn z bródką i wąsami w stylu hiszpańskim oraz gładko ogolony, bladolicy mężczyzna o ciemnych, kręconych włosach opadających mu do połowy pleców. Na ramieniu tego drugiego spokojnie siedziała sobie wielka, mieniąca się jaskrawymi kolorami papuga.

Anusia patrzyła na ten niezwykle obraz oniemiała, a żaden z elegantów nawet nie spojrział w jej stronę. Czekwała przez moment, aż Balcerek dokona prezentacji, ale jedynie szepnął jej do ucha, że to są przebywający w Warszawie tylko chwilowo budowniczy machin scenicznych.

– Dajmy spokój, oni nie mówić polski. Pijcie *vino rosso*. *Buonissimo!* – To mówiąc, podał dziewczynie srebrny kielich, w którym od razu zamoczyła usta, nie mogąc oderwać wzroku od pogrążonych w grze mężczyzn.

Ich swobodna poza przy stole, nogi obleczone jedwabnymi, białymi pończochami, obute w zdobione wielkimi kokardami pantofle z jasnego safianu, bogato haftowane srebrną nicią szerokie spodnie i rozpięte na piersiach kaftany świadczyły o tym, że czują się w komnacie Balcerka nader swobodnie. Papuga o zielonych, niebieskich i czerwonych piórach wydawała się patrzeć w oczy Anusi.

– Powiedzcie, *cara mia*, w czym ja móc tobie pomóc? – Balcerek ujął dłoń Żmijówny i zaprowadził ją do stojącego w odległym kącie izby krzesła.

Sam usiadł obok i pijąc wino, wpatrywał się w nią swoimi pięknymi, wielkimi oczami, które otaczał wianuszek długich, podkreślonych rzęs, jakich nie spotykało się nawet u najładniejszych niewiast.

Anusia z wielkim żarem przedstawiła swoje dzieje, opowiedziała, jak terminowała u znamienitego mistrza hafciarskiego na dworze świętej pamięci miłościwego Zygmunta i wtedy to, wyszywając skomplikowane elementy wzorów wzdłuż rozcięcia wierzchniej sukni królowej Konstancji, uszytej z mlecznego złotogłowiu haftowanego w drobne listki o wypukłej fakturze, w której to szacie pani miała przyjąć legację turecką, Anna poczuła pragnienie o obeszładniającej sile. Aby śpiewać. Ale śpiewać nie tak jak dotychczas, w zaciszu domowym, akompaniując ojcu. Zapragnęła śpiewać dla ludzi, być słyszaną przez możnych, nawet przez samego króla!

Jej ojciec, znany Balcerkowi lutnista Laurenty Żmij, z początku nie chciał słyszeć o karierze śpiewaczki, mimo że sam kochał muzykę. Pragnął, by córka wyszła jak najszybciej za mąż. Ale upór Anusi poskutkował tym, że dzięki koneksjom ojca trafiła do chóru, mogła uczestniczyć w śpiewanych mszach oraz

śpiewać nieszpory na prywatnych koncertach. Jednak ciągle pragnęła czegoś więcej. Dopiero w tym roku, na wiosnę, gdy cały dwór ekscytował się wystawianą z rozkazu króla nowatorską formułą muzycznego spektaklu, zwaną operą, Anna zrozumiała, że tym, czego pragnęła nade wszystko, były występy dla publiczności w takim właśnie spektaklu. Śpiewać, być oklaskiwaną i podziwianą. Podobać się nawet królowi! Tego pragnęła najbardziej na świecie.

Balcerek wysłuchał jej płomiennej przemowy, uśmiechnął się ironicznie i rzekł:

– Słyszała już Anna o tym, że pod koniec roku zgodnie z wolą króla wystawiać mamy nową operę... A ma ona nie tylko sławić królewską potęgę, ale opowiedzieć o wielkiej jego miłości do tej prostej, lwowskiej dziewczki... Libretto oparta ma być na historii Dafne, nimfy uwiedzionej przez samego Apollina! – Balcerek zachichotał.

– I to wszystko dla Jadwiżki... Córki zwykłego flisaka! – westchnęła ze smutkiem Anusia, czując ukłucie w sercu na sam dźwięk imienia królewskiej metresy, która od dziesięciu miesięcy trwała przy boku króla.

Władysław przywiózł ją ze sobą, wracając ze Lwowa, gdzie ponoć matka dziewczki, pani Łuszkowska, tonąc w długach, dostała się przed oblicze królewskie i błagając o łaskę i pomoc, podsunęła mu swoją piękną, dziewiętnastoletnią córkę. I rzeczywiście czarnowłosa, czarnooka dziewczka spodobała się królowi tak bardzo, że uwolnił jej matkę dożywotnio od podatków, spłacił jej długi, ustanowił rentę, a Jadwiżkę obsypał prezentami i zabrał ze sobą do Warszawy. Co gorsza, do chwili obecnej ciemnowłosa lwowianka nie znudziła się władcy, a zwykle jednak nałożnica nie zajmowała go dłużej niż kilka tygodni.

Od przybycia na dwór dziewczka nabrała znacznej oglądy, teraz ubierała się dostojnie, zgodnie z hiszpańską modą, wyuczyła się etykiety i poznała sposoby pozwalające jej utrzymać przy sobie króla. Opowiadano, że nawet gdy król dawnym zwyczajem wyjeżdża na polowania i tam bierze do łóżka inne dziewczki, Jadwiżka nie czyni mu wyrzutów, tylko spokojnie trwa przy królu, śpi w królewskich komnatach, je przy królewskim stole, nawet przyjmuje u boku Władysława obce legacje.

Całe miasto od tygodni huczy od plotek na temat wielkiego grzechu, jaki zagnieździł się na zamku. Magnaci, szlachta, księża, wszyscy nie kryją oburzenia i coraz mocniej naciskają na króla, aby pozbył się tej dziewczki i zaczął czynić starania o poślubienie właściwej panny z francuskiego czy austriackiego dworu. Ale król nic sobie z tego nie robi, puszcza mimo uszu nawet zarzuty, że jego Jadwiżka zna się na czarach i powinna być poddana egzorcyzmom.

– Ładna jest ta czarna dziewczka, ale ma coś w sobie z diablity... Księża dobrze mówią! *Diavola!* – zaśmiał się Balcerek.

Nagle do komnat zajmowanych przez kastrata wszedł jego zaufany sługa

z Mediolanu, szeptem anonsując swemu panu przybycie nowych gości. Po chwili do wnętrza wkroczyły dwie osłonięte pelerynami niewiasty, których twarze częściowo zasłaniały czarne maski. Ich wytworne, zgodne z najnowszą modą fryzury – drobne loki okalające głowę do połowy karku oraz kilka loczków na gładkim czole tworzących grzywkę – świadczyły o tym, że są to osoby z wyższych sfer. Balcerek natychmiast podbiegł do nowo przybyłych i złożył pocałunki na ich okrytych rękawiczkami dłoniach.

Anna wstała z krzesła i skłoniła się delikatnie, ale podobnie jak mężczyźni z papugą tak nowo przybyłe damy nie zwracały na nią najmniejszej uwagi. Balcerek wyraźnie niecierpliwił się i widać było, że pragnie zająć się gośćmi. Wziął do ręki lichtarz z pojedynczą świecą i poprosił Anusię, aby poszła za nim, po czym ujął jej rękę i skierował się ku ścianie drugiego pomieszczenia, gdzie znajdowało się przejście zasłonięte kotarą. Malunki przedstawiające orientalne wzory na ścianie maskowały niewielkie drzwi, przez które Balcerek i Anna przeszli do niewielkiej alkowy kastrata. W nikłym świetle świecy sufit ponad ozdobioną złotym baldachimem i zasłonkami łożnicą przedstawiał całkowicie naga, leżącą na trawie Wenus o mlecznej skórze.

– Postaram się pomóc ci, *cara Anna* – powiedział szeptem Balcerek, a widząc wielką radość, jaka rozlała się na twarzy kobiety, szybko zaznaczył: – Ale ty też musisz coś zrobić dla mnie.

Anusia kiwnęła głową. Była gotowa na wszystko, nawet jeśli ceną było pójście do czyjejs łożnicy i oddanie się jakiemuś jegomościowi. Jednak nawet takie poświęcenie nie na wiele się zdawało, skoro niemal wszyscy włoscy artyści sprowadzeni na dwór przez króla – łącznie z kapelmistrzem Markiem Scacchim i Virgiliem Puccitellim, sekretarzem królewskim do spraw włoskich i autorem librett do *dramma per musica* – byli sodomitami.

– Czuję afekt do pewnej damy... – oświadczył niespodziewanie Balcerek. – Jest to najmłodsza córka mistrza hafciarstwa, u którego terminowałaś, pani.

– Marcelina? Ta rudowłosa? – Anusia nie kryła zdziwienia. Dziewczyna, o której wspomniał kastrat, uważana była za szczególnie brzydką. Miała pokrytą piegami skórę i ognisty kolor włosów, który był wielkim zmartwieniem jej rodziców i samej Marceliny. – Myślałam, panie, że lubisz raczej chłopców, tak jak inni *castratti*... – dodała.

– Większość ludzi sądzi, że my, kastraci, nie możemy uprawiać miłości z kobietą, ale wyobraź sobie, pani, że niektórzy z nas mogą! – odparł obruszony Balcerek.

Chcąc uwiarygodnić swe słowa, niespodziewanie pochylił się i włożył rękę pod warstwy spódnic sukni wierzchniej i spodniej Anusi. Poczowała, jak ręka kastrata śmiało szturmuje jej krocze.

– Ach! – wyrwało się z jej piersi.

Balcerek wysunął dłoń spod obfitych warstw materiału i przyłożył ją do swojego nosa, po czym chwycił rękę Anusi i przyłożył jej dłoń w okolice swojego krocza. Anna poczuła sztywność jego członka i nie kryjąc zdziwienia, szepnęła:

– Och, jesteś normalnym mężczyzną, panie! Jak to możliwe?

– Miałem to szczęście, że wycięto mi genitalia, ale nie uszkodziło to mojego fallusa. A więc, jak mówiłem, mój afekt do *ragazza Marcelina* domaga się czynu. Jeśli sprawisz, że będzie mi przychylna i pojawi się tutaj, w mojej komnacie, jeśli będę mógł jej pokazać moją *ars amandi*, ja zrobię to, co należy, abyś zastąpiła *castrattino Paolo*, który w nowej *dramma* będzie grał rolę Wenus. To idealna rola dla ciebie, doskonała jak na możliwości twojego głosu. Na razie umieszczę cię w chórze, który będzie śpiewał w trakcie przedstawienia. Dam ci tekst libretta do *Dafne*, który właśnie został ukończony. Naucz się na pamięć partii Wenus, udzielę ci kilku lekcji i nauczę cię to śpiewać. Teraz musisz iść, działaj! Chcę mieć *ragazza con i capelli rossi*³⁵!

Anna pokłoniła się na znak, że przyjmuje warunki postawione przez Balcerka, choć w duchu była przerażona tym karkołomnym zadaniem. Dlaczego kastrat – skoro miał potrzeby jak każdy mężczyzna – nie chciał jej posiąść? W końcu nie była brzydka, miała miły uśmiech i urocze dołeczki w pełnych policzkach, orzechowe oczy, bujne kształty, skórę może zbyt ciemną, ale nago prezentowała się doskonale. Na szczęście jej nos nie był tak długi jak nos jej siostry Julianny, która była bardziej podobna do ojca niż Anusia. Ale Balcerek wołał rudowłosą! Jak nakłonić szesnastoletnią dziewicę, aby legła w łóżu z otyłym, łysym kastratem?

– *Cara mia*, muzyka jest warta każdego poświęcenia! Tylko kiedy śpiewam, wiem, że mój głos powoduje *affetto*, potrafi uspokoić każde serce, każdy gniew albo rozpalic miłość w najzimniejszej duszy! Mój służący przyniesie ci libretto opery, nie pokazuj go absolutnie nikomu! – rzekł Balcerek i otworzył drzwi do gwarnego, rozświetlonego, wypełnionego już kilkunastoma osobami wnętrza swoich pokojów.

2.

Schyłek lata był tego roku wyjątkowo spokojny. W sierpniu miasto nadal było opustoszałe i szykowano się powoli na zapowiadane na przełom listopada i grudnia obrady sejmowe. W domu gościnnym – bo tak teraz określano przybytek należący do Laurentego Żmija – oznaczonym drewnianym szyldem, z wymalowanym na zielonym tle czerwonym napisem U Kaliny, ale u bezpośredniej konkurencji, w zajeździe zwanym Giełdą, położonym przy tym samym długim trakcie, przebywało niewielu gości.

Giełda wygrywała z zajazdem Żmijów położeniem – była zlokalizowana bliżej Nowego Miasta Warszawy, a także posiadała wygody, na jakie klienci nie

mogli liczyć w żadnym innym domu gościnnym, ani w obrębie miasta, ani wokół niego. Jednak zajazd U Kaliny wyróżniała wspaniała kuchnia oraz grana na żywo muzyka, jaką zapewniano co wieczór gościom. Co prawda we wszystkich gospodach, szynkach i domach gościnnych Warszawy grano wesole melodie na skrzypcach oraz ckliwe madrygały na lutni, jednak tylko u Żmija, z racji zawodu, jaki wykonywał przez lata, można było usłyszeć najwybitniejszych muzyków, w tym sławnego w całym mieście skrzypka Piotra Elerta, który nie tylko grał własne, skoczne melodie, ale też wyśpiewywał wesole piosenki, których słuchano z zapartym tchem.

W ciągu dziesięciu lat funkcjonowania domu gościnnego Kalina Żmijowa widziała wielu dziwacznych gości, więc kiedy w progu zajazdu stanęło dwóch elegantów i zapytali o dwa najlepsze pokoje obok siebie, nie była zdziwiona. Długowłosi mężowie w swoich cudzoziemskich, kolorowych strojach, obwieszeni klejnotami, ustrojeni w brabantkie koronki, w koletach z haftowanej we wzory tkaniny, jedwabnych pończochach i wykwinnych butach na obcasach – sprawiali wrażenie egzotycznych ptaków. Nie zaskoczył jej nawet zbytnio widok wielkiej, żelaznej klatki, którą okrywała ozdobna tkanina. Panowie przedstawili się po łacinie jako konstruktorzy machin teatralnych i zapłacili złotym dukatem z góry za cały ponadtrzymiesięczny pobyt, zaznaczając, że szczególnie zależy im na dyskrecji i czystej pościeli zmienianej najlepiej raz w tygodniu.

Kalina z trudem przystała na te ekstrawagancje, wiedząc, że będzie musiała dorzucić kilka szelągów pracce, która i tak ciągle narzekała na nawał roboty i wiecznie poplamione prześcieradła.

– Co tydzień świeża pościel, kto to widział coś podobnego? – mruknęła pod nosem Żmijowa.

Jednak opłacona przez elegantów suma wymagała poświęceń.

Kalina wydała odpowiednie rozporządzenia służbie i zabrała z kuchni przygotowany dla męża lekkostrawny posiłek złożony z duszonego królika i postnej zupy. Osobiście postanowiła zanieść obiad do izby usytuowanej na tyłach drewnianego domu.

W ciągu dwóch ostatnich lat Laurenty bardzo się postarzał i zmienił. Choroba duszy, która od przeszło roku trzymała go w szponach, ostatnio doprowadziła do skrajnego wychudzenia i wycieńczenia. Zdawało się, że najgorsze minęło, ale zmęczone ciało silniej dawało się we znaki. Lutnista wyłysiał, schudł, jego twarz – kiedyś tak rumiana i okrągła, teraz poorana zmarszczkami – przypominała skórę wysuszonego jabłka. Z trudem się poruszał i rzadko opuszczał swoją izbę na tyłach zajazdu. Posiłki kazał sobie przynosić do pokoju i spożywał je w pozycji półleżącej niczym Rzymianin.

Jego umysł także uległ zasadniczej przemianie. Rzadko kiedy sięgał do instrumentów, a jeśli już, to grał smutne, przejmujące kantaty na skrzypcach. Dużo

teraz czytał mądrych pism – pomieszczenie zajmowane przez muzyka tonęło wprost w pismach i książkach kupowanych od pewnego krążącego między Krakowem a Gdańskiem antykwariusza, który przywoził lutniście co kilka miesięcy zamówione wydawnictwa i nowości z krakowskich drukarni.

Bywały dni, kiedy Żmij nie robił nic poza czytaniem raz po raz wierszy niejakiego Mikołaja Sępa Szarzyńskiego. Kalina przychodziła do izby męża (od dawna nie dzielili wspólnej łóżnicy), chcąc porozmawiać z nim o kłopotach, jakie ją trapiły w związku z zajazdem (dach przeciekał, robaki zniszczyły dużą część ściany, w jednej z izb zatkał się komin, jeden z gości dostał ataku paraliżu i trzeba było natychmiast sprowadzić medyka), ale Laurenty nawet nie udawał, że cokolwiek obchodzi go doczesne sprawy. Gdy żona prosiła, aby zamienił z nią choć słowo, on, nawet na nią nie spoglądając, zaczynał czytać sonety wielkiego poety:

*Sonet I O krótkości i niepewności na świecie żywota człowieka
Ehej, jak gwałtem obrotne obłoki*

I Tytan prętki lotne czasy pędzą,

A chciwa może odciąć rozkosz nędzą

Śmierć – tuż za nami spore czyni kroki.

A ja, co dalej, lepiej cień głęboki

Błędów mych widzę, które gęsto jędzą

Strwożone serce ustawiczną nędzą,

I z płaczem ganię młodości mej skoki.

O moc, o rozkosz, o skarby pilności,

Choćby nie darmo były, przedsie szkodzą,

Bo naszą chciwość od swej szczęśliwości

Własnej (co Bogiem zowiemy) odwodzą.

Niestale dobra. O, stokroć szczęśliwy,

Który tych cieniów wczas zna kształt prawdziwy.

Do jego izby, do której poza Kaliną i kilkoma zaledwie osobami nikogo nie wpuszczał, często wieczorami zaglądał pewien ksiądz January, wybitny teolog i myśliciel. Ilekroć pojawiał się w zajeździe, razem z Laurentym do późna w nocy prowadzili dysputy na wzniosłe tematy albo milczeli, rozgrywając partię szachów.

Osad gorczy narastał w nim przez lata. Kiedy chorował, a jego dusza wydawała się gnici i nieodwracalnie marnieć, niewiele go obchodziły ani losy córek, ani ponure losy jego rodziny. Nie płakał nad nieznanym losem jedyne go syna Pietrka, który prawdopodobnie zmarł z powodu morowego powietrza, choć nigdy nie znalazły się jakiegokolwiek dowody o tym świadczące. Laurenty nie interesował się też bratem, po którym słuch zaginął, gdy tylko opuścił Warszawę.

Ale teraz nieoczekiwanie Żmij zaczął wracać do zdrowia, a wraz z odnową duszy ożywiła się nawet jego od lat uśpiona męskość. Nagle poczuł potrzebę oddzielenia się od dotychczasowego życia, a także podsumowania wszystkiego, co udało mu się przez lata żywota osiągnąć, oraz zrozumienia, co stanowiło jego porażkę.

Gdyby nie ojciec January i jego nauki o boskim miłosierdziu, muzyk pewnie już by nie żył. Ból duszy był tak nieopisanie dotkliwy, tak niezrozumiały przez innych ludzi, że jedynym nań lekarstwem wydawała się śmierć. Niechybnie skończyłby na dnie Wisły, gdyby nie niespodziewany gość w zajeździe, tajemniczy mnich, który przybył „gdzieś z południa”, a zmierzał „gdzieś na wschód”.

Widział teraz wyraźnie, że jego życie składało się z nieszczęść i chwil niezасłużonego szczęścia, niczego pomiędzy. Albo Bóg ofiarowywał mu wyjątkowy dar – ożenek z Anną, służbę na dworze króla, zdolność grania na lutni, albo doświadczał go wyjątkowo mocno – okrutnym ojcem, klątwą nałożoną na rodzinę za winy tego potwora, wreszcie śmiercią ukochanej, której – jak się okazało – żadna inna nie mogła zastąpić.

Nawet Kalina, której tak bardzo pragnął, dla której nadszarpnął swą reputację, nie spełniła pokładanych w niej oczekiwań. Uratował ją, licząc na miłość. Ich małżeństwo pod tym względem było jednak mało udane.

W dniu, w którym po dramatycznej w swym przebiegu rozprawie Kalina została poślubiona temu, który „wyprosił” jej życie, omal nie umarła przez poród, który rozpoczął się na sali sądowej. Przewieziona wozem do zajazdu Żmija, w pustej izbie na tyłach domu, obecnie wykorzystywanej na spiżarnię, wydała na świat martwego chłopca. Później przez wiele dni leżała w malignie. Otrzymała już ostatnie namaszczenie, a Laurenty zastanawiał się, gdzie pochować drugą żonę (położyć ją obok jej nieboszczki siostry?), gdy niespodziewanie nastąpiła poprawa. Pomógł jej sprowadzony przez Laurentego lekarz rodziny królewskiej, który oświadczył, że jeśli Kalina przeżyje, nie będzie mogła już nigdy mieć dzieci.

Medyk zaznaczył też wyraźnie, że kolejna ciąża może Kalinę zabić, więc wszelkie zbliżenia muszą być podejmowane z największą ostrożnością.

W związku z tym okrutnym zaleceniem ciężko było Laurentemu cieszyć się pożyciem małżeńskim, na które tak liczył. Zresztą minęło wiele tygodni, zanim Kalina doszła do siebie, i chociaż była posłuszna mężowi, wdzięczna za uratowanie jej od łamania kołem, to nigdy nie czuła do niego takiego afektu, jaki miała dla Joachima. Mówiła, że rozpacza po stracie dziecka, ale muzyk wiedział, że tęskniła za tamtym, i to doprowadzało go do wściekłości.

Czas osłabił jednak moc jej tęsknoty. Gdy tylko odzyskała siły, skoncentrowała się na pracy. Okazało się, że ma niezwykle umiejętności zarządzania zajazdem, ale też sprawiała, że goście opuszczali go zadowoleni z jadła i miłej kompanii.

Dzięki jej przedsiębiorczości i pracowitości zajazd Żmijów stał się jednym z najpopularniejszych domów gościnnych na całym długim trakcie. A było tam aż pięć tego typu przybytków, spośród których wciąż największą sławą cieszyła się Giełda, gdzie gościom dogadzano z całych sił, budując nawet na ich potrzeby łaźnię i oferując ziołowe kąpiele na różne dolegliwości.

Gdy jesienią tysiąc sześćset trzydziestego drugiego roku, po tym, jak zmarł Zygmunt III Waza, miłościwie panujący przez czterdzieści pięć lat, wolna elekcja przyciągnęła do Warszawy tłumy szlachty i ludu. Chociaż elekcja odbywała się we wsi Wola, nie było zajazdu wokół Starej Warszawy, który nie miałby kompletu klientów. Chętnych do przenocowania było tak wielu, że jedną izbę okupowało czasem kilkanaście osób. Po tych ważnych dla miasta wydarzeniach, gdy wybrano na króla Polski królewicza Władysława, dom gościnny U Kaliny dosłownie pękał w szwach i Żmijowie co rusz musieli z braku miejsca odsyłać gości chętnych do przenocowania i biesiady.

Laurenty był za to wszystko ogromnie wdzięczny żonie, która w ciągu kilku lat wspólnego pożycia uczyniła go człowiekiem majątnym. W tym czasie jego służba w kapeli królewskiej dobiegła końca – nowy władca miał odmienną wizję orkiestry, sprowadził kilkunastu muzyków z Italii i im powierzył pieczę nad reorganizacją kapeli, która od tej pory miała specjalizować się w świeckim repertuarze.

Najwięcej zgryzot przysparzało mu rozczarowanie, jakie czuł na myśl o swoich córkach. Starsza, Julianna, w wieku zaledwie dwudziestu czterech lat została bezdzietną ale majątną wdową. Zamiast jednak przystać na jedną z wielu propozycji nowego mariażu, wołała wieść gorszące życie – nie chciała wyjść za mąż, za to wydawała mężowskie pieniądze na nowe stroje, biżuterię i zbytkowne przedmioty, a co najgorsze, wręcz jawnie brała sobie kochanków i zupełnie nie wstydziała się swojej pychy.

Upominali ją księża, sąsiadki, a rodzina zmarłego męża groziła procesem,

widząc, jak Julianna trwoni odziedziczone pieniądze. Jakże bardzo wstydził się za córkę Laurenty! Gdyby nie ta niemoc, jaka na niego spadła, nie pozwoliłby jej na to zepsute życie i paradowanie po staromiejskim Rynku w coraz to nowych sukniach z mieniających się barwami muchajerów³⁶, noszenie kołpaków z borsuczego futra i podbijanych rysiem czamar, które nieszczęsna wdowa kazała szyć u najlepszych krawców w mieście.

Nie dopilnował córki i bezpowrotnie straciła już reputację. Została jeszcze młodsza Anusia, która zapowiadała się na dziecko potulne i chcące spełniać każdą ojcowską wolę. Jednak kilka lat temu Laurenty uległ jej prośbom i wystarczyło, że spełnił jedno jedyne życzenie – pozwolił śpiewać jej w chórze – a dziewczyna uległa zepsuciu nie mniejszemu niż siostra. Zamiast wyjść za męża, jak każda porządna białogłowa, Anusia myślała tylko o śpiewaniu. Zepsuciu, które zapanowało na dworze wraz ze wstąpieniem nowego króla na tron, sprawiło, że córka Żmija – jak wiele innych dwórek – zбочyła z cnotliwej drogi i poddała się pragnieniom i tak popularnej w tych czasach pogoni za doznaniem zmysłów.

Mijał już drugi rok, jak Żmij nie zamienił słowa z żadną z córek. Wstydził się ich i zakazał odwiedzin. Jedna folgowała zbytkowi, druga uciechom. Laurenty nie chciał ich znać.

3.

Wraz z nastaniem jesieni – wyjątkowo łagodnej tego roku – dom gościnny Żmijów zapełnił się nadzwyczaj szybko, na wiele tygodni, zanim Warszawę nawiedziły tłumy przybyłe na sejm. Tym razem nie brakowało podejrzanych typów, dziwnie zachowujących się jegomościów oraz skorych do bijatyki i awantury przyjezdnych, którzy wieczorami doprowadzali salę biesiadną do wrzenia. Dotąd nigdy chyba nie stłuczono tyłu dzbanów po piwie, nigdy nie dochodziło wieczór w wieczór do mordobicia i awantur.

Kalina jako gospodyni zajazdu martwiła się jego reputacją, stratami, których przybywało z każdym kolejnym zakończonym awanturą wieczorem, ale też frasowała się nowym obowiązkiem, jakim kilka tygodni wcześniej obarczył Żmijów królewski sekretarz. Jego posłaniec pojawił się pewnego dnia w ich domu i w imieniu króla zażądał, aby właściciele składali comiesięczne raporty, informując szczegółowo o wszelkich cudzoziemcach, dziwnych typach i podejrzanych gościach, jacy najmują pokoje w zajeździe U Kaliny.

– Jeśli nie wykonasz tych obowiązków, pani, czeka was sroga kara! Król nie będzie pobłażliwy i zamknie na cztery spusty wasz podejrzany przybytek! Zrozumieliście? – zagroził odziany w galantny żupan jegomość w obitym borsuczym futrem kołpaku na podgolonej w myśl szlacheckiej mody głowie.

W związku z bijatykami, jakie miały tu ostatnio miejsce, Kalina powinna powiadomić sekretarza o zaistniałej sytuacji. Wiedziała jednak, że jeśli to zrobi,

gwardziści królewscy zaraz zjawią się w zajezdzie i wystraszą wszystkich gości, nie tylko awanturników. Inwigilowany przybytek szybko zostanie napiętnowany i ludzie będą się bali nocować u Żmijów.

Zrozpaczona Kalina zdecydowała się zakłócić spokój swojego męża i poskarżyła się, mówiąc:

– Drogi Laurenty, musimy coś zrobić, bo goście rozniosą nam zajazd! Po prawdzie księżyc idzie na pełnię, może więc on wprowadza niepokój w ludzkie serca, ale tak dotąd nie było! Cynowe talerze tylko latają nad ławami, co rusz dziewczki muszą podsypywać nową słomę na deski, bo krew tryska z obitych gęb, parobek uzbierał cały koszyk wybitych zębów, a jakie krzyki i hałasy! Chyba słyszysz te wrzaski nawet w swoim alkierzu, nieprawdaż, mężu?

– Nie wiem, nic nie słyszałem...

– A biedne dziewczki, które sprzątają biesiadną izbę, narzekają, bo kiedy goście biesiadują, co rusz rozochoceni winem łapią je i sadzają sobie na kolana. Oganiać się trzeba od chciwych łapsk męskich, a kiedy już sala opustoszeje, jest tyle sprzątanina, tyle wymiocin, wybitych zębów i krwi, że już druga kobieta do sprzątanina w tym tygodniu odeszła! Nająć znów muszę wieśniaczki z Woli, przyuczyć je, przypilnować, a dość mam swojej roboty...

Laurenty wysłuchał żony z nieskrywaną niecierpliwością. Nie bardzo się przejął jej narzekaniami – od kilku bowiem tygodni zajęty był dysputami z żydowskim uczonym, który odwiedzał go niemal co wieczór i pożyczał stare księgi, w których ten szukał odpowiedzi, jakich nie dawała mu Biblia ani dysputy z dominikaninem, ojcem Januarym, który przychodził napić się alikantu i zagrać partyjkę szachów.

Mąż zdobył się tylko na tyle, że poradził, aby Kalina najbardziej wojowniczych gości jak najszybciej po prostu wyrzuciła z ich zajazdu – niech się rozniesie po okolicy nowina, że w przepelnionym przybytku niezachowujący się godnie panowie tracą miejsce, oraz żeby najęła barczystego chłopca, który przypilnuje porządku.

Kalina westchnęła i wróciła do kuchni, gdzie uwijano się jak w ukropie, aby przygotować biesiadę dla Bractwa Muzykantów, które jak w każdy drugi czwartek miesiąca spotykało się w jej zajezdzie i zajadając się pieczonym prosięciem i szczupakiem w szafranowym sosie, muzykowało i omawiało swoje sprawy. Żmijowa była zła na męża za jego obojętność i skupienie na sobie. Pomagając kucharce przy marynowaniu baraniego udźca, pomyślała z żalem o Joachimie. Gdyby był tu obok niej, nie zostawiłby jej z problemami, zadbałby o porządek, tak jak powinien to zrobić poważny mąż.

Raz przywołane wspomnienie dawnej miłości uruchomiło całą ich lawinę, wprawiając Kalinę w nostalgiczny nastrój, a w końcu w rozżalenie. Ciągłe powracało pytanie, dlaczego Joachim ją zostawił? Dlaczego przez wszystkie te lata

nie odezwał się do swojego rodzzonego brata? Jak mógł... Przecież tak bardzo ponoć ją miłował!

Dobierając w spizarce odpowiednie zioła do marynaty, pomyślała z goryczą, że już minął jej czas, młodość bezpowrotnie przebrzmiała, włosy tego lata zaczęły siwieć, przez co teraz przez całe dni – a nawet nocami – nie rozstawała się ze sztywnym, białym czepkiem. Co gorsza, zauważyła ostatnio, że jej zakładany na koszulę o szerokich rękawach kształcik z aksamitu w kolorze byczej krwi sznurowała z przodu z wielkim trudem, a suto marszczone spódnice sprawiały, że była szeroka w biodrach niczym gdańska szafa. „Ach, starość nieuchronnie mnie dopadła, a serce wciąż młode, chciałoby jeszcze poczuć choć raz ten afekt, co to kiedyś tak je mocno poruszał!” – westchnęła w duchu.

Jedyne, co jeszcze jej zostało, to krzepa i dopisujące zdrowie. Zdawała sobie sprawę, że swoją formę zawdzięcza wyłącznie temu, iż rodziła ledwie dwa razy w życiu i tylko dwukrotnie nosiła dziecko w swoim łonie. Wszystkie właściwie niewiasty, jakie znała, nieustannie były w ciąży – każda albo przy nadziei, albo w połogu. Wcześniej czy później, przy którymś kolejnym rozwiązaniu następowały komplikacje i w końcu niewiasta umierała w trakcie porodu albo od gorączki poporodowej.

Nie licząc przypadków, jakie Kalina mogła policzyć na palcach jednej ręki, wszystkie niewiasty kończyły w ten właśnie sposób, najczęściej w kwiecie wieku. Jeśli któraś miała szczęście, z kilkunastu urodzonych dzieci kilkoro dożywało wieku młodzieńczego. Taki los zgotował Bóg żeńskiej płci i nikt nie mógł się temu przeciwstawić. A takie wybrakowane białogłowy jak Kalina żyły co prawda dłużej i cieszyły się dobrym zdrowiem, ale cóż z tego, skoro nie było dnia, w którym patrząc na inne kobiety, nie czułyby żalu z powodu tego, że nie mają dzieci przy swojej spódnicy.

Zatrudniony przez Kalinę syn kucharki – muskularny i rezolutny młodzieniec, na którego wołano Zbyszek i który zaczął pilnować porządku w biesiadnej izbie – przyszedł jej powiedzieć coś ważnego. Jego zdaniem cały ten ferment, bójki i awantury wszczynał jeden konkretny gość zajazdu – niejaki Tomasz, posługujący się osobliwym zawołaniem Wierny Tomasz. Kalina od razu przypomniała sobie dziwny wygląd tego jegomościa, który zapadał głęboko w pamięć przy pierwszym spotkaniu.

Był to mężczyzna dojrzały – dobiegający czterdziestki, miał charakterystyczne, sięgające ramion intensywnie rude strąki splecione kołtunami, mocno naznaczoną piegami skórę i niespokojne, zawsze podkrążone oczy w ciemnej oprawie. Przedstawiał się jako malarz, ale nikt nie widział żadnych jego obrazów, a nawet rysunków.

Mimo zaczepnego charakteru i głośnego sposobu bycia było w nim coś ujmującego. Może zaraźliwy, rehotliwy śmiech, może gibkie ciało odziane

w wysłużony, skórzany kaftan i wąskie spodnie, których nie nosił już nikt poza żebrakami? Może przez swoje zachowanie, te zabawne podskoki, wymachiwanie rękami i wygląd nędzarza nie wydawał się w żaden sposób groźny? Zachowywał się trochę jak błazen, trochę jak mędrzec, który posiadał prawdy nieznaną zwykłym ludziom. Nikt nie wiedział, skąd przybył i po co zawitał do Warszawy.

Kalina pamiętała, że ów Tomasz nieraz wskakiwał na stół w izbie biesiadnej, rozprawiał o Biblii, wykrzykiwał bluźnierstwa, twierdził, że raj to utopia, a piekło wymyślono tylko po to, aby straszyć nim ludzi. Prowokował, bluźnił i szydził z księży, króla, nawet z papieża. Im więcej wina wypijał i im bardziej chętną do dyskusji napotkał kompanię, z tym większym zapałem bawił współbiesiadników, podważając sens męki Chrystusa. Gdy zaś ów dziwny człowiek zmęczył się potyczkami – najpierw słownymi, potem rękoczynami, do których wcześniej czy później dochodziło – szukał ukojenia w kobiecych ramionach i wołał za noszącymi piwo dziewczkami: „Moja dusza pożąda twego ciała, ślicznotko!”, po czym gonił uciekające z piskiem karczmarki.

Wydawał się Kalinie jedynie prowokującym kompanów komediantem, którego błazeństwa nie przynoszą wiele szkody. Usłyszawszy teraz relację najętego do pilnowania porządku pomocnika, Kalina stwierdziła, że trzeba koniecznie rozmówić się z owym Tomaszem i zmusić go do natychmiastowego opuszczenia zajazdu. Awanturnicze występy owego malarza oraz zarzuty obrazy czci Boskiej były bardzo niebezpieczne – lada chwila ucierpieć przez nie mogła reputacja lokalu, nie mówiąc o ewentualnych konsekwencjach, jakie groziły samemu Tomaszowi. Za bluźnierstwa i szerzenie ateizmu mógł zgnieć w więzieniu.

– Wiadomo, rudy to fałszywy... – rzekł Zbyszek.

Nie zwlekając, Kalina w towarzystwie uzbrojonego w nóż i siekiere potężnego młodzieńca udała się na piętro, gdzie w najmniejszej z izb zajazdu zakwaterowany był Tomasz. Pamiętała, że zapłacił jej z góry, dając dukata za cały pobyt, którego długości nie chciał jednak precyzyjnie określić. Dziwiła się, skąd taki oberwaniec o skołtunionych włosach może sobie pozwolić na tak duży wydatek, ale życie nauczyło ją, aby nie dociekać, skąd goście mają gotówkę, którą opłacają nocleg w jej przybytku.

Kalina zastukała do drzwi jego izdebki i odpowiedziała jej głucha cisza. Dopiero po kilku minutach w progu ukazał się Tomasz, goły jak go Pan Bóg stworzył.

– O co chodzi? Zbyt duży hałas? – zapytał z wesołym uśmiechem, przyrodzenie zasłaniając sobie zwiniętym prześcieradłem.

Kalina zapomniała języka w gębie. Stała, nie mogąc wykrztusić słowa na widok nagiego mężczyzny i widocznych w głębi izby porzrzucanych barwnych, błyszczących szat.

– Co tu się wyrabia? – zagrzemiał towarzyszący jej młodzian i przepychając

malarza, wkroczył do wnętrza izby.

Kalina weszła za nim.

Widok, jaki się ukazał ich oczom, wołał o pomstę do nieba: całe pomieszczenie zastawione było obrazami malowanymi na różnej wielkości deskach, na stole oprócz lichtarza leżała paleta z farbami i przeróżne akcesoria niezbędne do przygotowywania farb. Pośród stojących na podłodze malowideł Kalina od razu zauważyła także stare obrazy, które pochodziły z domu Pod Lutnią należącego do Laurentego, w tym portret jego pierwszej żony wiszący kiedyś w głównej izbie kamienicy.

Jednak nie było to wszystko. Na łóżku, które stało w centralnym miejscu izby, leżał nagi – teraz ledwo zakrywający swe blade ciało – jegomość o długich włosach i wypielęgowanych wąsikach, jeden z dwójki elegancko ubranych cudzoziemców, którzy niedawno wynajęli dwa sąsiadujące pokoje i sprowadzili do jej zajazdu wielobarwną papugę, która śniła się Kalinie poprzedniej nocy.

– Co tu się dzieje? Wyjaśnij to pan natychmiast! – krzyknęła teraz, widząc zalegające na podłodze puchary do wina, buty na obcasach, ozdobione różową kokardą, talerze z zaschniętym jedzeniem i czerwone pończochy oraz błękitne wstążki, jakie panowie wiązali sobie tuż nad kolanem dla podtrzymania pończoch.

– Maluję portret, pani. – Tomasz skłonił się, a na jego twarzy zagościł uśmiech, który Kalina odczytała jako jawną kpinę z jej niepokoju.

– Nie pozwolę, aby w cieszącym się powszechnym szacunkiem zajęździe Żmijów dochodziło do takich... takich bezceństw! – Kalina nie kryła wzburzenia.

– Spocznij, pani, uspokój się! Zapewniam, że niczego złego czy występnego wobec matki natury nie uczynił. – Tomasz podsunął jej krzesło, wcześniej zrzucając na podłogę zalegające na jego oparciu elementy męskiego stroju.

Kalina, czując, jak krew napłynęła jej do twarzy, i nie wiedząc, jak wybrnąć z niezręcznej sytuacji, usiadła i rozejrzała się raz jeszcze po niewielkiej izdebce, którą oświetlał jedynie nikły blask kilku świec. Na rozstawionych w rogu sztalugach ujrzała najwyraźniej dopiero co rozpoczęty obraz, który przedstawiał męską postać w dziwnej pozie.

– Maluję Apollina, którego kształty wzoruję na wizerunku obecnego tu właśnie kawalera! – zawołał wesoło Tomasz, stojąc przy kotarze zasłaniającej niewielkie okno izdebki. Nagle zasłona poruszyła się i zwinny Zbyszko dopadł do niej, po czym szybkim ruchem odsłonił połac ciemnozielonego materiału. Oczom zebranych ukazał się drugi z długowłosych kawalerów, nagi jak dwaj pozostali mężczyźni.

Kalina aż pisnęła na jego widok, zupełnie jakby zobaczyła samego Lucyfera, i poczuła, że kręci się jej w głowie.

– Boże, zlituj się, sodomici w moim domu! – krzyknęła i upadła na podłogę.

Kiedy się ocknęła, leżała w swoim łóżku, a u jej wezgłowia czuwała zaufana służąca Katarzyna. Dziewka podała jej do ust ziołową nalewkę na spirytusie, która natychmiast wlała w Kalinę życiodajne siły.

– Co się stało, jak się tu znalazłam? – zaczęła wypytywać starą służącą.

– Pani, przyniósł cię omdlałą ten młody osiłek, co to miał pilnować porządku... A za nim przyleciał ten oberwany rudzielec i ciągle krzyczał, wymachiwał rękami, tyle hałasu narobił, że aż jaśnie pan Laurenty zbudził się z poobiedniej drzemki, a wie pani dobrze, jaki jest wściekły, jak go kto obudzi zniecka...

– I co ten malarz krzyczał? Czego chciał?

– Eee... – Wyraźnie zmieszana służąca nie wiedziała, co odpowiedzieć swojej pani.

– No, mówcie, Katarzyno!

– Ach, dobrodziejo, ten malarz wykrzykiwał potworne rzeczy, aż osiłek dał mu z pięści w twarz i powalił na ziemię, inaczej by się nie przymknął. Tak krzyczał na cały dom, że nikt go tu nie rozpoznał, a on tu powinien być panem, bo to za jego majątek wielmożny pan wybudował ten zajazd...

– Jak to? Kimże jest ten Tomasz? – Kalina usiadła na łóżku jak rażona piorunem.

– Ponoć nazywa się Szpak i jest jedynym synem mistrza Janusza Szpaka i świętej pamięci Anny, pierwszej żony pana Laurentego!

Słyszając te słowa, Kalina aż usiadła z wrażenia, a gdy nieco ochłonęła, czym prędzej pobiegła do klitki swojego męża, który zajęty był graniem jakiejś smutnej melodii na skrzypcach. Na wieść o awanturze wywołanej przez rudowłosego mężczyznę Laurenty w potwornych nerwach udał się do izby zajmowanej przez Tomasza, aby jak najszybciej się z nim rozmówić.

Po tym, jak doszło do rozmowy między Żmijem a rudym zabijaką, który twierdził, że jest malarzem Tomaszem Szpakiem, synem pierwszej żony muzyka, lutnista wezwał Kalinę do swojej izdebki i oświadczył jej, że musi jak najszybciej pozbyć się awanturnika z zajazdu. Zdaniem Laurentego nie był on osobą, za którą się podawał.

– Przepędź go na cztery wiatry! Ferment tylko sieje i jest na tyle bezczelny, że żąda części majątku należnego mu rzekomo po matce, świętej pamięci Annie! – mówił wzburzony Laurenty.

Jak wyjaśnił Kalinie, Tomaszek w wieku dwunastu lat dawno temu opuścił matczyny dom, aby terminować w warsztacie pewnego malarza herbów. Jako że zdradzał zdolności ku malarskiej profesji, za pieniądze pozostawione przez jego zmarłego ojca malarza wysłany został przez Annę na studia do samej Brecii, skąd nigdy już do Warszawy nie powrócił. Jak sądził Laurenty, po tym, jak Tomaszowi zmarła matka, a życie układało mu się pomyślnie we włoskim mieście, nie widział

sensu w powrocie do Warszawy. Laurenty czasami nawet sądził, że Tomasz zmarł na obcej ziemi. Nigdy nie dał znaku życia, nie napisał nawet słowa do swoich siostr. Przecież gdyby żył, w jakikolwiek sposób dałby o tym znać!

Z tego, co mówił teraz rudzielec, zgadzała się data narodzin Tomasza Szpaka, na wiarygodne też wyglądały informacje przekazywane na temat zielonego domu Pod Lutnią. Jednak Laurenty nie dał się na tej podstawie przekonać co do tożsamości awanturnika. Wszystkie przytoczone przez niego informacje równie dobrze można było bowiem pozyskać, znając kiedyś prawdziwego Tomasza Szpaka.

Muzyk przepytał mężczyznę o różne szczegóły, w tym wspomnienia dotyczące matki, po czym stwierdził, że nie daje wiary w to, że jest on tym, za kogo się podaje.

– Tomaszek nie miał rudych włosów, mości panie! Był spokojnym chłopcem, a nie awanturnikiem spod ciemnej gwiazdy! – mówił wzburzony Laurenty i nie chciał za nic przyjąć do wiadomości tłumaczenia rzekomego Tomasza, jakoby trudy życia i upływ czasu tak bardzo go odmieniły.

– Nie widzieliście mnie przeszło dwadzieścia lat, panie! Nie możecie mnie dobrze pamiętać. Jeszcze się przekonacie, że jestem waszym pasierbem i to wszystko, co tu macie, należy do mnie! Zapłacicie za to, jak mnie potraktowaliście, Laurenty! Pożalujecie, ty i twoja nowa żona! – wykrzyczał wściekle rudzielec i zatrzaskał za sobą drzwi.

Muzyk nie przejął się wcale rzucanymi groźbami.

– To jakiś chłystek, nikt tu w Warszawie nie będzie go słuchał! – stwierdził. – Musiały go tu zwabić wieści na temat dobrze prosperującego zajazdu. Nie zdziwię się, jeśli zaraz zjawią się kolejni dziwacy podający się za moich synów! – westchnął Laurenty, a Kalina przyznała mu rację.

Nie minął miesiąc od kłótni z rzekomym Tomaszem, gdy pewnego dnia w progu zajazdu pojawił się urzędnik z magistratu Starej Warszawy i oświadczył, że w związku ze zgłoszonymi przez niejakiego Tomasza Szpaka roszczeniami wobec kamienicy przy ulicy Krzywe Koło, zwanej zielonym domem Pod Lutnią, w kolejnym tygodniu odbędzie się proces z udziałem ławników o stwierdzenie nabycia spadku po Annie Żmijowej, wdowie po Januszu Szpaku i żonie Laurentego.

– Może być z tego wojna... Lepiej byłoby ułożyć się z pasierbem i oddać mu część majątku, żeby uniknąć sądu – zasugerował urzędnik.

Słyszając te rewelacje, muzyk tylko zaśmiał się w głos i krzyknął:

– Po moim trupie!

4.

Kastrat dotrzymał słowa. Wkrótce po tym, jak Anusia nakłoniła młodziutką

Marcelinę, córkę mistrza koronczarstwa, do odbycia z nim schadzki (kosztowało ją to najlepszy naszyjnik z pereł, pożyczony zresztą od zamożnej siostry), otrzymała wiadomość o przydzielonej jej roli w planowanym na uświetnienie obrad sejmowych przedstawieniu muzycznym, które potocznie nazywano operą.

Co prawda oferowano jej na razie tylko miejsce w chórze, ale zgodnie z tym, co przyrzekł Balcerek, Opatrzność miała się okazać łaskawa dla Anusi i w efekcie rola Wenus będzie należała właśnie do niej. Z wielkim zapalem i chęcią do pracy Żmijówna brała udział w niezliczonych próbach i przygotowaniach, które angażowały większość obecnych na zamku dworzan. Opera musiała oszołomić króla i jego gości nie tylko wspaniałą muzyką i wyśpiewaną historią, ale także przepychem dekoracji i strojów.

Król wciąż przebywał poza Warszawą. W połowie września do miasta dotarła wiadomość o zakończeniu trwających od maja rokowań i podpisaniu w dniu dwunastego września roku Pańskiego tysiąc sześćset trzydziestego piątego pokoju ze Szwedami w Sztumskiej Wsi, co ponoć było nie po myśli monarchy, a wymagało zgody sejmu Rzeczypospolitej. Magnaci z hetmanem Koniecpolskim i wojewodą Lubomirskim uważali, że Szwedów trzeba usunąć z polskiego wybrzeża, nie zamierzali też wspierać niegasnących żądań Władysława IV dotyczących korony szwedzkiej. Król skapitulował i zgodził się na warunki rozejmu, który stanowił o pokoju ze Szwecją na kolejne dwadzieścia pięć lat. Uznał też Krystynę za królową szwedzką, co zupełnie nie było zbieżne z jego interesami.

Wszyscy na dworze spodziewali się, że władca wróci do Warszawy z poczuciem przegranej. Tym większy wysiłek wkładano w przygotowania tak uwielbianej przez króla opery, chcąc wzbudzić w nim zachwyt, a także ukazać spektakl na tyle wyjątkowy, że godnie podkreśli majestat rodu Wazów.

Dramma musicale z librettem napisanym przez Puccitellego i muzyką Scacchiego nosiła tytuł *Dafne*, a jej treść oparta była na opisanym przez Owidiusza w *Metamorfozach* historii nimfy, którą pragnie posiąść sam bóg Apollo. Ta, chcąc jednak zachować czystość, błaga ojca, aby zamienił ją w drzewo laurowe. Dzięki przemianie nimfa zdołała uniknąć losu kochanki boga i pozostała dziewicą.

W zamkowych korytarzach opera wzbudzała wielkie emocje. Szeptano, że król ponoć sam wskazał interesujący go temat, a opowieść zaczerpnięta z greckiej mitologii miała być ilustracją niezwyklej historii samego Władysława i Jadwiżki. Podobnie jak Apollo zauroczył się piękną nimfą, tak król zadurzył się w bladoliciej mieszkance ze Lwowa. Co prawda u monarchy nie było mowy o ucieczce panny przed jego miłością – matka dziewczyny wręcz podsunęła ją królowi jak smakowity kąsek na tacy – ale sam koncept uczucia między bogiem a dziewczyną z ludu był w opinii monarchy wspaniałą alegorią aktualnych wydarzeń.

Inscenizację *Dafne* planowano w konwencji pasterskiej sielanki, zgodnie

z modnymi trendami, jakie panowały na dworach włoskich. Cały zespół obecnych na warszawskim dworze artystów pod kierownictwem Virgilio Puccitellego – sekretarza królewskiego do spraw włoskich – opracował wydarzenie z wielkim rozmachem. Wymyślne i bogate stroje dla całej obsady szły ponad dwadzieścia szwaczek, po czym dziesięć najbieglejszych dziewcząt zdołało kostiumy perłami, szlachetnymi kamieniami i wszelkiej maści pasmanterią. Na potrzeby inscenizacji już we wrześniu zaczęto adaptować jedną z największych na zamku izb – nie miała co prawda wielu niezbędnych w prawdziwym teatrze rozwiązań i udogodnień, jak zapadnie czy specjalne miejsca dla machin scenicznych, ale ogromnymi środkami postanowiono uczynić z niej namiastkę operowej sceny.

Oprócz rozbudowanych ról nimf – w tym tytułowej Dafne – w spektaklu znalazły się też partie wokalne bogów Wenus i Apolla, pasterzy, Kupidyna oraz boga rzeki i ojca Dafne – Peneusa. Anusia drżała na myśl o tym, że mogłaby stanąć w blasku tysięcy świec na scenie przed samym królem, w złocistej szacie i zaśpiewać jako bogini miłości. Partia Wenus wydała się jej najbardziej wymagająca i najtkliwsza. Ach, zawładnąć na moment sercami tak wspaniałych słuchaczy! Żmijówna była gotowa pokonać wszelkie przeszkody, uczyć się i ćwiczyć dniami i nocami, aby osiągnąć swój cel.

Anusia z zachwytem śledziła trwające jesienią przygotowania do wydarzenia, które swym rozmachem biło na głowę wszystko, co dotąd wystawiano na królewskim dworze. Zafascynowały ją technikalnia całego przedsięwzięcia, budowa skomplikowanej scenografii i machin scenicznych. Zaskakiwały nowoczesne rozwiązania, dzięki którym na scenie działa się prawdziwa magia: falowało morze połyskującej tkaniny (dzięki wałkom umieszczonym w specjalnych ramach napędzanych korbką), po wodzie sunął gigantyczny wieloryb z Neptunem na grzbiecie (poruszający się po szerokim na dwa łokcie kanale, który specjalnie w tym celu przygotowano na etapie konstruowania sceny), a bóstwa mitologiczne ukazywać się miały widzom w obłokach lub latały (unoszone dzięki skomplikowanemu systemowi lin i bloczków oraz pionowym prowadnicom zamontowanym w tyle sceny, w których poruszały się wertykalne ramiona). Dzięki specjalnej zapadni w podłodze i chroniącej otwór kłapie na zawiasach pomocnicy tkwiący w proscenium wystawiali w odpowiedniej chwili statyw z drzewem laurowym i jednocześnie łapali zeskakującą w tym samym czasie do wnętrza aktorkę, przez co widzowie stawali się świadkami przemiany Dafne w roślinę.

Anusia swoją łamaną włoszczyzną wypytywała o wszystko reżysera spektaklu Roberta, któremu schlebiali zainteresowanie młodej panny i z chęcią opowiadał o tym, co działo się w sali zamkowej zamienionej chwilowo w teatr.

Zbita z desek scena zajęła znaczną część pomieszczenia o marmurowych kolumnach i stropie zasłoniętym gipsowymi kasetonami. Jej centralną część zajmował stosunkowo wąski pomost o wysokości trzech łokci, tak aby powstało

podscenium, z którego w trakcie spektaklu wyłaniali się bohaterowie i w którym ukryte były osoby sterujące machinami.

Oprawą wizualną zajął się nadworny scenograf Agostino Locci. Tłem dla widowiska były aż trzy płaszczyzny obrazów – dwa rozsuwane prospekty oraz wielka powierzchnia stojącego w drewnianych ramach pejzażu, dającego wrażenie dalekiej perspektywy. Prospekt stanowiła wielka płachta płótna z wymalowanym na nim wiejskim widokiem z iluzjonistyczną perspektywą, podzielonego na pół i rozpiętego na rozsuwanych ramach, które w odpowiednim momencie przedstawienia rozsuwano, tak że widzom ukazywał się kolejny widok, a następnie głęboki tył sceny.

Scenografię uzupełniały cztery słupy, ustawione w parach po obu bokach sceny. Fachowo nazywano je periaktoidy. Były to graniastosłupy o podstawie trójkąta, które w wyniku jednoczesnych obrotów umożliwiały zmianę dekoracji. Dzięki takim konstrukcjom zbudowanym wedle najnowocześniejszego systemu Sabbatiniego, który wzbudzał wielki zachwyt na dworach Rzymu i Florencji, możliwe były przemiany scenerii w trakcie trwania przedstawienia. W *Dafne* odbyć się miały dwukrotnie – najpierw oczom widzów miała się ukazać scenografia leśna, później zaś morska.

Tron króla stanął na specjalnym podeście naprzeciwko pomostu, po obu stronach którego ustawione miały być krzesła dla najważniejszych gości. Zaadaptowana na teatr sala nie była w stanie pomieścić więcej niż trzystu osób, stąd o zaproszenia na spektakl zaczęto ubiegać się, gdy tylko po Warszawie rozeszła się wieść o planowanym na grudzień wystawieniu napisanej na zlecenie króla opery o oszałamiającym rozmachu, w której nimfy i bogowie będą szybować nad sceną.

Próby do *Dafne* przebiegały w podniosłej atmosferze. Wszyscy aktorzy, śpiewacy, muzycy oraz pomocnicy odpowiedzialni za kostiumy wiedzieli, że odegrają ten kosztowny, efektowny spektakl tylko jeden jedyny raz, a do tego w obecności samego króla, możnych, przedstawicieli sejmu, duchowieństwa i znakomitych gości z zagranicy. Celem widowiska było przecież podkreślenie prestiżu władcy, zaś każde potknięcie i niepowodzenie oznaczało plamę na honorze Rzeczypospolitej Obojga Narodów i rodu Wazów.

Któregoś październikowego dnia, w trakcie porannej próby do szóstej sceny, stało się niespodziewanie to, na co Anusia tak bardzo czekała. W ćwiczonej właśnie scenie Wenus miała zstąpić z nieba w złotym wozie, a Kupidyn miał lecieć za nią. Możliwe to było dzięki pionowym prowadnicom zamontowanym w tyle sceny, przez co dwa bóstwa mogły latać niezależnie od siebie. Wenus i Kupidyn wyłaniali się spośród chmur i oboje lądowali na środku sceny. Potrzebne było w tym celu umieszczenie odpowiedniej konstrukcji w dziurze, w której obracano prowadnice wokół własnej osi.

Synchronizacja latających bóstw od początku jednak się nie udawała. Technicy robili, co mogli, podążając za nerwowymi wskazówkami scenografa, a mimo to unosząca się w górze mocno dojrzała śpiewaczka grająca boginię nie była w stanie wylądować w tym samym czasie co wenecki kastrat Fabrizio o eterycznej urodzie, grający postać Kupidyna. Jedno wyrzucało drugiemu, że robi coś w niewłaściwy sposób, reżyser się wściekał, a obsługa ostentacyjnie dawała upust niezadowoleniu, gdyż minęła już pora od dawna wyczekiwanego posiłku. Wreszcie po kolejnym nieudanym lądowaniu kastrat nie wytrzymał i mruknął dostatecznie głośno pod nosem coś na temat zbyt obfitych kształtów aktorki, co wywołało głośną awanturę.

– Próbujemy ostatni raz, dłużej tego nie zniósę! – krzyknął reżyser i ubrani w powłóczyście szaty aktorzy zostali uniesieni nad sceną, na której panował spory rozgardiasz.

Kupidyn z uniesioną lekko nogą i rozłożonymi rękoma zaczął powoli zmierzać ku scenie, gdy niespodziewanie jedna z lin podtrzymujących Wenus zacięła się i nieszczęsna aktorka zawisła dziesięć stóp nad ziemią. Wierzgając nogami, zaczęła wrzeszczeć, aby natychmiast postawiono ją na deskach podestu, co jednak nie było możliwe. Coraz bardziej wściekła ciskała gromy i przekleństwa i nawet nie zauważyła, jak słabo jeszcze przymocowana do reszty kostiumu, lekko tylko udrapowana spódnica osuwa się z jej bioder i nieoczekiwanie spada na scenę, lądując w formie wielkiej płachty błyszczącej błękitnej materii na głowie jednego z pomocników.

Nagle wszystkie obecne w wielkiej sali osoby umilkły i odruchowo spojrzwały w górę na pozbawioną dolnej części odzienia śpiewaczkę, która gdy tylko zorientowała się, co się stało, zaczęła krzyczeć jak zwierzę obdzierane ze skóry. Mężczyźni z obsługi sceny nie mogli pohamować śmiechu, gwizdali i pokazywali palcami blade, masywne nogi w sięgających połowy ud pończochach i widoczne między nimi w całej okazałości krocze nieszczęsnej Wenus.

– Szybko, ściągnąć ją! – wołano, ale zacięty mechanizm za nic nie dawał się naprawić, mimo że kilku mężczyzn gorączkowo próbowało usunąć niespodziewaną usterkę.

Wzburzona śpiewaczka tak mocno szarpała się na linie, że ta w końcu przerwała się, a Wenus niespodziewanie runęła z hukiem na scenę, czemu towarzyszył okrzyk przerażenia gapiących się na całe zajście aktorów i śpiewaków.

– *Madre mia!* – jęknął tylko reżyser i złapał się za łysą głowę, z której dawno już zsunęła się peruka.

Pomocnicy przykryli nieszczęsna śpiewaczkę jakąś tkaniną i zabrali krzyczącą z bólu do sąsiedniej izby.

Anusia z bijącym sercem śledziła te wydarzenia. „Ach, ten Balcerek, jak on to zrobił?” – myślała podekscytowana, ale też przerażona niedolą śpiewaczki

i możliwościami kastrata. Ten człowiek zdolny był do wszystkiego! Wiedziała, że nadszedł moment, na który czekała. Nie zwlekając, podeszła do maestra i zapytała, czy teraz do roli Wenus potrzebna będzie inna śpiewaczka.

– Znam na pamięć całą jej rolę i wszystkie arie. Tak mi się podobały, że nauczyłam się wszystkiego, przysłuchując się próbom – zapewniała, patrząc błagalnie na reżysera.

– *Molto buono!* – odparł zaskoczony maestro i poprosił, aby zaprezentowała wybrany przez siebie fragment, a wówczas Anusia czystym, przepięknym sopranem zaśpiewała początek arii:

Non sarà tanto amara

*La pena del morir*³⁷.

Roberto spojrział na Anusię z nieskrywanym zachwytem.

– *Buonissimo! Soprano coloratura!* – wykrzyknął.

Żmijówna już wiedziała, że upragniona rola należy do niej.

5.

Był gwarny sobotni wieczór. Na dworze szalała jesienna wichura, ale w głównej izbie domu gościnnego Żmijów liczni goście w ciepłe trzaskającego w kominku ognia, z pełnymi brzuchami (tego wieczoru Kalina podała gęś duszoną w winie według własnej sekretnej receptury) siedzieli przy drewnianych ławach, popijając piwo i węgryzna, podczas gdy lutnista wygrywał na swoim instrumencie cikliwe, chwytające za serce madrygały.

Kalina przysiadła na brzegu ławy i zasłuchała się w rzewną melodię. Przywołała w myślach postać Joachima, którego wizerunek z każdym rokiem ulegał zatarciu, i teraz to, co stawało jej przed oczami wyobraźni, było własną wizją idealnego kochanka, którego straciła na zawsze. Nagle jej myśli o tym, jak oboje godzinami leżeli wtuleni w siebie w łóżnicy i opowiadali niesamowite historie, zakłócone zostały przez rytmiczne stukanie dochodzące z pomieszczenia na piętrze usytuowanego nad sufitem izby biesiadnej z wielkim kominkiem.

Zaniepokojona, wzięła do rąk latarenkę i weszła na górę. Dziwne odgłosy nasiliły się, a w pewnym momencie do stukania dołączyły ludzkie jęki. Z bijącym sercem sięgnęła po stojący w rogu mosiężny lichtarz i trzymając go nad głową na wypadek, gdyby miała stanąć twarzą w twarz z jakimś zbrodniarzem, pchnęła nogą drewniane drzwi, zza których dochodziły te dźwięki.

To, co zobaczyła wewnątrz, sprawiło, że całkowicie zamarła i doznała wstrząsu niemal tak silnego jak wtedy, gdy syn szlachcica pojawił się w jej komnacie, zamierzając zadać jej gwałt. Jeden z długowłosych, wytwornych cudzoziemców leżał nagi, jak go Pan Bóg stworzył, podczas gdy drugi – także nagi

– siedział na nim okrakiem, za sobą mając obraz przedstawiający świętą Cecylię z lutnią w dłoni, i pochylał się nad podbrzuszem leżącego. Osobliwie poruszał przy tym głową, którą zasłaniała burza jasnych, długich pasm kręconych włosów, podczas gdy drugi mężczyzna pojękiwał, a jego twarz wykrzywił grymas bólu.

Kalina nigdy nie widziała czegoś podobnego. Mimowolnie krzyknęła, a wówczas nagi jegomość na łóżku wrzasnął, jakby zobaczył ducha.

– To znowu waćpanowie! – wrzasnęła Żmijowa.

Trzymany przez Kalinę lichtarz wypadł jej z rąk, przewrócił się na podłogę, a świeca potoczyła się po szerokich deskach na środek izby. W ułamku sekundy leżący na ziemi skrawek kobierca pokrywającego stół zajął się ogniem. Wszystko trwało dosłownie chwilę i skończyłoby się pożarem, gdyby nie najbardziej trzeźwy z całej trójki – mężczyzna o blond włosach. Chwycił leżącą na łożu narzutę i ugasił nią język niemrawego jeszcze ognia na rogu ormiańskiego materiału.

– *Et voilà, Madame!* – zawołał beztrząsco blondyn, a na tego twarzy pojawił się szelmowski uśmieszek.

Stał przed Kaliną nagi, nie okazując nawet cienia wstydu.

– Wynocha! Sodomii w moim zajeździe nie zdzierzę! – wrzasnęła Żmijowa.

Zdumione twarze mężczyzn zdradzały, że zapewne zrozumieli jedynie słowo na S. Kalina odetchnęła ciężko i wyszła z izby, mocno zatrzaskując jej wrota. Znalazła czym prędzej bardzo jej pomocnego w ostatnich dniach Zbyszka i poleciła, aby dwaj cudzoziemcy zostali jak najszybciej usunięci z zajazdu.

– A jak będą się opierać, powiedz im, że posłałam po strażników do ratusza!

– Pani, jak mam to powiedzieć, nie znam przecie żadnego języka, ino nasz, polski... – zatroskał się Zbyszek.

– Nie frasuj się tym. Ja myślę, że sami doskonale wiedzą, iż muszą stąd się zabierać. – Kalina machnęła ręką.

Ciągle była wzburzona aktem sodomii, który zobaczyła na własne oczy. Słyszała co prawda o takich degeneratach, którzy nie dostąpią odkupienia swoich grzechów, ale nigdy nie mogła zrozumieć, jak dwóch mężczyzn spółkuje ze sobą. Tamci dwaj byli zbudowani jak greccy bogowie, piękniejsi jeszcze bez swoich ozdobnych strojów, w nikłym blasku świec wyglądali jakoś tak... tak... Nie potrafiła znaleźć właściwego słowa, ale serce biło jej bardzo szybko, nie tylko z oburzenia, ale i na skutek targających nią emocji. Nagle odżyły w niej tęsknoty za dawno zapomnianymi doznaniem. Przed oczami stanął Joachim, jego nagie ciało, które teraz przypominał jej długowłosa blondyn. Ach, tyle lat minęło, od kiedy na widok nagiego, męskiego ciała czuła coś takiego jak teraz...

Wzburzona swoimi myślami Kalina czym prędzej zeszła na dół do przylegającej do kuchni izdebki, w której trzymała skrzynię z księgami rachunkowymi, drewniane liczydło i wszelkiego rodzaju papiery, a także zamykaną na klucz szkatułę z pieniędzmi. Usiadła przy zasłanym wzorzystym kobiercem

stoliku i zapatrzyła się w słoik z inkaustem, w którym tkwiło gęsie pióro. Powinna była jak najszybciej uzupełnić w księdze poczynione rankiem wydatki u rzeźnika, do którego tym razem wyjątkowo nie poszła sama, posłała za to swoją najlepszą dziewczkę, która wydała podejrzenie dużo pieniędzy. Czyżby Agnieszka z powierzonego jej denara uszczknęła coś dla siebie? A może to rzeźnik oszukał nieznającą się na rzeczy dziewczynę?

Godzinę później, gdy dwóch długowłosych elegantów bez żadnej litości, mimo burzy i wichury, zostało wyrzuconych na dwór i z jękiem rozpaczy wychodzili przez główne wrota, w progu zajazdu stanęła jakaś niska, okryta peleryną istota.

Panująca na dworze ciemność (tego dnia padało, więc nie było sensu zapalać pochodni, która zwykle oświetlała sztyd) nie pozwalała dojrzeć oblicza przybysza. Kalina pomyślała, że to jakieś żebrzące dziecko zaszło w okolice traktu, przy którym stał zajazd, i zziębnięte szuka miejsca, by się ogrzać.

– Skąd się tu wzięłeś, chłopcze? Czego szukasz? Jeśli liczysz na jałmużnę, to nic z tego, do roboty nikogo nie potrzebujemy. Mogę ci dać miskę ciepłej stawy, to wszystko – powiedziała Kalina, czując przenikliwy chłód.

Nie lubiła przepędzać żebrzących dzieci, ale często musiała to robić. Wystarczyło dać jakąś monetę albo tobolek z jedzeniem i dosłownie zaraz zjawiała się cała horda dzieciaków, a gdy odprawiała ich z kwitkiem, rzucali kamieniami w okna budynku i niepokoiili gości.

– Witajcie, pani. Nie oczekuję jałmużny, ale noclegu i jadła, za które sam zapłacę – ku wielkiemu zdziwieniu Kaliny istota odezwała się męskim, dźwięcznym głosem.

Nagle zrozumiała, że przybyszem był karzeł, który skłonił się przed niewiastą.

– Wybaczcie, ciemno tu potwornie. Wejdźcie. Nie mamy wolnej pojedynczej izby, ale chociaż się posilicie i napijecie grzanego wina.

Mężczyzna przekroczył próg zajazdu i znalazł się w słabo oświetlonym korytarzyku, gdzie otoczyło go błogie ciepło i zapach gorącej stawy. Jego drobna postura – wzrost pięcio- czy sześćioletniego dziecka – przypominała karlice, z którymi przed laty Kalina przebywała na dworze królowy Anny Wazówny. Siostra króla bardzo lubiła ich towarzystwo, trzymała przy sobie kilka karlic, które potrafiły być bardzo opryskliwe i nieustannie walczyły między sobą o pozycję w sercu swej pani. Kalina ich nie lubiła.

Przybysz tymczasem zsunął z głowy podbity futrem kaptur porządnie wyglądającej ferezji (Kalina zawsze zwracała uwagę na szczegóły ubioru, pozwalały jej bowiem ocenić zasobność portfela gościa i zorientować się, z kim ma do czynienia), ukazując okoloną gęstymi, złocistymi lokami twarz o młeczej, gładkiej cerze i pięknych, nadzwyczaj harmonijnych rysach. Kalina była tak

poruszona, że natarczywie wpatrywała się w młodego człowieka (oceniła jego wiek na osiemnaście lub dziewiętnaście lat) z wyczekującym spojrzeniem.

Na dworze w Brodnicy czy w Villa Regia w pobliżu zamku warszawskiego obcowała z wieloma karłami, ale żaden nie miał tak miłej twarzy i szlachetnych rysów, wielkich oczu otoczonych firanką rzęs, doskonale zaznaczonego podbródka z dołeczkiem w brodzie, małych ust o uroczym kształcie. Nigdy nie widziała karła o tak gładkim obliczu.

Wrażenie pogłębiło się, gdy dziwaczny gość, czując gorąc buchający z kominka rozpalonego w izbie biesiadnej, zrzucił z ramion sięgającą stóp podbitą futerką ferezję. Wówczas oczom Kaliny ukazała się jego sylwetka w całej okazałości – był drobny jak jakaś miniaturka prawdziwego mężczyzny. Bardziej liliput niż karzeł. Jego kształty były nadzwyczaj proporcjonalne, harmonijne, podczas gdy karły, jakie poznała Kalina, zawsze miały ręce i nogi dziwacznie krótsze i nadzwyczaj małe. On był inny, jak jakieś kuriozum, od którego nie można było oderwać wzroku. Odziany w kosztowny kaftan z lśniącej tkaniny w niebiesko-czerwony wzór prezentował się wyjątkowo okazale. Ot, urocza miniatura królewicza!

Nieco zmieszany spojrzeniem właścicielki, które zdradzało fascynację jego postacią, karzeł odezwał się drżącym głosem:

– Mam na imię Franciszek, zwą mnie po prostu Liliputem. Czy wy, pani, jesteście Kalina Melcerówna?

– Owszem, z domu Melcer, ale teraz po mężu Żmijowa. Czemu pytacie?

Karzeł skłonił się z zadziwiającą galanterią i patrząc rozmówczyni w oczy, rzekł:

– Przybyłem tu z Rusi, aby spotkać się z niejaką Kaliną Melcer, która ponoć jest moją rodzicielką.

6.

W pierwszej chwili do Kaliny nie dotarło znaczenie słów wypowiedzianych przez liliputa o uroczym obliczu. Pomyślała, że oto pojawił się kolejny uzurpator, jak ledwo przed chwilą wyrzucony z domu gościnnego Żmijów mężczyzna podający się za Tomasza, syna pierwszej żony Laurentego. Chciała natychmiast wyrzucić za drzwi tego dziwnego karła, który wydał się jej podejrzenie dobrze ubrany, zbyt dobrze wykształcony jak na kogoś, kto został wychowany przez rybaka. Pomyślała, że oto pojawił się następny mężczyzna, chcący mieć swój udział w zyskach z zajazdu, który okazał się tak dochodowym przedsięwzięciem.

Na dworze szalała ulewa i mimo że w Kalinie kipiała złość, ów człowieczek o wielkich oczach patrzył na nią błagalnie, tak że w końcu posadziła go w swojej izdebce, w której zajmowała się księgami rachunkowymi i pisała listy, nalala mu kielich wina i kazała opowiedzieć historię swojego życia.

O tym, że urodziła syna, którego ojcem był młody syn szlachcica, oprócz niej wiedział jedynie ojciec Bonifacy, jeśli więc karzeł znał historię swojego pochodzenia, mógł ją usłyszeć tylko od jezuitę, który od przeszło dziesięciu lat spoczywał w krypcie kościoła Świętego Jana.

– A więc mówcie, Franciszku, słucham... – westchnęła Kalina.

Siedząc przy stole, oparła łokcie o pokryty sukrem blat i z miną, która wyrażała powątpiewanie, utkwiała wzrok w wielkich oczach liliputa.

– Tak, pani, liczę, że szybko zdołam cię przekonać o tym, że nie masz do czynienia z oszustem, a jeno z rodzonym dziecięciem – powiedział karzeł niepewnym głosem i rozpoczął swoją opowieść.

Zaczął od tego, że Kalina powinna wiedzieć, iż poznał potworną prawdę o swoim pochodzeniu. Jest owocem okrutnego gwałtu, jaki zadano jego matce, młodej pannie, która przybyła do Warszawy w odwiedziny do swojego szwagra, lutnistę z kapeli królewskiej, Laurentego Żmija. Nie zna dokładnej daty swoich urodzin, wie tylko, że nastąpiły na początku tysiąc sześćset siedemnastego roku, tak więc liczy teraz – jak mniema – osiemnaście wiosen.

Wszystko, co wie na swój temat, a także wszelkie dobro, jakie mu się w życiu przytrafiło, zawdzięcza swojemu dobrodziejowi, jezuitę o wesołym usposobieniu, ojcu Bonifacemu. On to stał się zbawcą Franciszka i tak jak uratował kiedyś Kalinę, tak też zapobiegł cierpieniu i zapewne przedwczesnej śmierci nieszczęsnego karła, który przyszedł na świat jako owoc potwornego grzechu i zapewne dlatego Bóg wyznaczył mu rolę poczwarki ludzkiej. Zdawałoby się, że ktoś taki jak on jest skazany na potworny los, jednak dzięki jednemu człowiekowi otrzymał od życia to, co karły otrzymują tylko wtedy, gdy przypadnie im los zabawek na bogatych dworach możnych ludzi. Początkowo ojciec Bonifacy oddał niemowlę na wychowanie biednej rodzinie rybaka Józefa Nalewki, który mieszkał wraz z żoną i czwórką małych dzieci blisko portu nad Wisłą, na Rybitwie. Pierwsze lata życia Franciszek spędził w starej, drewnianej chacie, gdzie wszyscy żyli na kupie w dwóch izbach. Z tego czasu pamięta tylko zapach przynoszonych przez Nalewkę ryb, sieci rybackie, jakie uczył się rozwieszać na płocie otaczającym domostwo, i niewielki ogródek, a także nieustający głód. Ciężki był los tej rodziny, zależny od kapryśnej Wisły, która albo wylewała wraz z wiosennymi roztopami, albo traciła wodę od suszy, przez co ruch łodzi i statków zamierał, połów ryb stawał się niemożliwy i cała będąca na utrzymaniu rybaka rodzina przymierała głodem.

Opowieść o własnym życiu najwyraźniej wzruszyła Franciszka, gdyż w pewnym momencie począł mówić z wyraźnym trudem. Kalina dołała mu wina i zachęciła, aby opowiadał dalej.

– Nie bójcie się, przecie was nie skrzywdzę – szepnęła.

Urodziłem się ponoć maleńki, mniejszy, niż zwykle rodzą się dzieci, jednakowoż byłem proporcjonalny i zachowywałem się jak zdrowe dziecko, stąd żona rybaka, która mnie nianczyła, początkowo nie niepokoila się niczym. Ojciec Bonifacy dbał o tę rodzinę i co rusz przysyłał im to miód, to suszone mięso, dzban łoju albo wędzoną słoninę, aby nie przymierali głodem w ciężką zimę.

Jednak mijał czas, a ja nie rosłem. W trzeciej wiosnie życia, kiedy biegałem po podwórku i śpiewałem piosenki zasłyszane w okolicy (a z łatwością zapamiętywałem słowa i każdą melodię), głową nie sięgałem nawet stołu. Rybak i jego żona zorientowali się, że oddano im pod opiekę karła. Od tej chwili zaczęli mną okrutnie pomiatać, szturchać, bić i strofować o byle co. Zamienili moje życie w piekło. Jeśli tylko nie zrobiłem, co mi nakazali, zamykali mnie w ciemnej komórce, w której wylem, wzywając nieznaną mi matkę. Dzieci z sąsiedztwa dręczyły mnie i poniżały każdego dnia. Byłem ich „plugawym karłem”, którego mogły bić i męczyć do woli. Kiedyś niemal nie doprowadziły do mojej śmierci, zrzucając mnie z dachu pobliskiego spichlerza.

I wtedy uratował mnie ojciec Bonifacy. Nawiedził niespodziewanie chatę rybaka i kiedy ujrzał moje siniaki, złamaną rękę, placki łysiny na głowie w miejscach, gdzie wypalono mi włosy, zezłościł się okrutnie. Nawrzeszczał na rybaka i jego żonę, a mnie zabrał ze sobą do klasztoru. Tak wylądowałem w pobliżu fary. Miałem pięć lat i wyglądałem jak miniaturowa wersja normalnego chłopca.

Biedny ojciec Bonifacy nie wiedział, co ze mną począć. Byłem zbyt mikry, by pomagać w kuchni czy przy obejściu, nie nadawałem się do niczego. Jednak poczciwy jezuita zauważył moją bystrość umysłu, która ponoć cechowała mnie od najmłodszych lat. Zaczął więc w wolnych chwilach uczyć mnie pisania i czytania. Zajęcie to sprawiało mu dużą przyjemność, tym bardziej że czyniłem szybkie postępy.

W ósmej wiosnie życia recytowałem już Biblię po łacinie, treny Kochanowskiego, fragmenty dzieł Seneki i Owidiusza. Potrafiłem też rachować i byłem w tej dziedzinie niezwykle biegły. Ale niestety niemal wcale nie rosłem. Ilekroć wychylałem nos z izdebki przylegającej do zakonnej kuchni i pokazywałem się ludziom, zaraz spotykały mnie szyderstwa i udręka. Ojciec Bonifacy się zamartwiał, nie mógł przecie pilnować mnie przez całe dni, a nie chciał, aby wyrządzano mi krzywdę.

Wreszcie pewnego dnia znalazł rozwiązanie. Co prawda oznaczało kres bezpieczeństwa i prawdziwego dzieciństwa, ale było dla mnie najlepsze. Otóż jezuita wpadł na pomysł, że podaruje mnie w prezencie zaprzyjaźnionej z nim bogobojnej i cnotliwej wdowie po kasztelanie na Rusi. Przeraził mnie ten pomysł, ale nie potrafiłem przekonać mojego dobroczyńcy, by zmienił zdanie.

Karły uważano za nadzwyczaj cenne, zwłaszcza jeśli wykształcone i biegle w tańcu i sztukach walki, przesyłano sobie w podarku na różnych dworach. Kiedy po kilku tygodniach podróży niewygodnym wozem trafiłem do majątku wdowy Anastazji Krościenko, byłem na skraju wyczerpania, wychłodzony i przerażony.

W dziewiątej wiosnie życia zawitałem więc na Ruś. Wdowa zachwyciła się moją aparycją, mówiła o mnie „chłopię laleczka” i tak też mnie traktowała. Nieszczęsna była bardzo samotna i nieszczęśliwa, opuszczona przez córki, które wyszły już z domu, a jedyny syn wojował gdzieś na wschodzie z Tatarami.

Wdowa należycie się mną opiekowała, zatrudniła dla mnie nauczyciela fechtunku, przyuczyła do tańców i nauczyła manier. Wreszcie sprawiła dla swojej zabaweczki specjalne, miniaturowe meble i odpowiednią garderobę. Miałem nawet własnego lokaja, który zresztą szczerze mnie nienawidził!

Wdowa Krościenko darzyła mnie niezwykłym afektem, momentami czułem się w jej towarzystwie wręcz osobliwie, tym bardziej że wołała moje towarzystwo od kompanii swoich kuzynek i krewnych, a nawet oddaliła pewną karlicę, która do czasu mojego przybycia na Ruś umilała czas swojej pani.

Mijały lata, nabierałem męskich atrybutów i rosłem – choć rzecz jasna niewiele, jednak wdowa pragnęła nade wszystko, bym nigdy nie osiągnął rozmiarów choćby niskiego wzrostu mężczyzny, ja więc też w duchu modliłem się, by pozostać karłem. Wiedziałem, że gdybym urósł, pani Anastazja oddaliłaby mnie i zupełnie nie miałbym co z sobą począć.

Moje życie zdawało się spokojne i miłe, jednak gdy osiągnąłem wiek siedemnastu lat, pewne obyczaje wdowy zaczęły mi bardzo przeszkadzać. Już nie podobał mi się jej zwyczaj prezentowania mnie w specjalnej oprawie gościom w trakcie biesiad. Zwykle pani Anastazja pragnęła, abym był ukryty w wielkiej wazie na zupę i w niej wnoszony na salę, gdzie odbywała się uczta, po czym w odpowiednim momencie wyskakiwałem z wielkiego naczynia, bawiąc i zadziwiając zgromadzonych gości swoją posturą, intelektem oraz ogładą.

Wdowa lubiła popisywać się moimi zdolnościami. Zawsze musiałem prezentować przed jej gośćmi przygotowane wcześniej tańce, śpiewać pieśni albo recytować po łacinie. Goście, zwłaszcza panie, uwielbiali mnie oglądać, podziwiać moje występy, a później konwersować ze mną i wypytywać o różne sprawy, w tym także dosyć prywatne.

Coraz bardziej doskwierało mi to, że traktowano mnie jak zabaweczkę. Zdarzyło się też coś, co zupełnie odmieniło mój żywot, a dalszy pobyt w majątku wdowy uczyniło niemożliwym. Otóż zakochałem się w ubogiej krewniej wdowy Krościenko, skromnej i powabnej pannie Małgosi, która zamieszkała u ciotki, gdy jej ojciec – zubożały szlachcic i zabijaka – musiał uciekać przed zemstą jakiegoś ważnego jegomościa.

Małgosia była niewinna i czysta jak świeżo zakwitła róża. Moje delikatne

zaloty z początku ją peszyły, a jednak – pomimo niedoskonałości mojego ciała – z czasem zaczęła odczuwać afekt, podobny do tego, jaki ja do niej miałem. Krok po kroku zdobywałem jej tkliwe serce i wreszcie dopiąłem swego. Po tym, jak napisałem dla niej wiersz i wyznałem, że ją miłuję, uległa mi i pozwoliła na więcej, niż powinna. Niestety wdowa przyłapała nas na... miłosnych zapasach. Jakież był jej gniew! Krzyczała na nas oboje, że okazaliśmy niewdzięczność za wszystko, co dla nas zrobiła. Nie rozumiem tego do dziś, ale po tym dniu wdowa nie chciała już na mnie patrzeć. Powiedziała, że już nie jestem jej zabaweczką.

Przez kilka dni po tym niefortunnym wydarzeniu pani Anastazja nie mogła dojsć do siebie, wreszcie wezwała mnie i oświadczyła, że muszę opuścić jej dom. Wypędziła mnie, nie bacząc na fakt, że nie miałem rodziny ani żadnego miejsca, do którego mógłbym się udać. Swoją krewną wysłała do klasztoru i nie mogłem się z nią nawet pożegnać!

Mimo moich szczerych błagań i próśb wyrzuciła mnie z domu. Pozwoliła mi jedynie zabrać tobolek z ubraniami i przedmiotami, z których i tak nikt nie skorzystałby poza karłem. Było lato i mogłem spędzać całe dnie na powietrzu.

Wędrowałem całymi dniami, żywiąc się jagodami i borówkami. Byłem głodny, bez grosza i pewien, że skończę w jakimś przydrożnym dole, napadnięty przez złoczyńców. W chwili największego zwątpienia przypomniałem sobie jednak o liście, jaki dał mi ojciec Bonifacy, gdy ostatni raz go widziałem. Powiedział mi wtedy, że mogę przeczytać ten list dopiero po jego śmierci albo gdy spotka mnie okrutny los. W takim właśnie położeniu się znajdowałem, złamałem więc pieczęć i przeczytałem pismo.

Z listu dowiedziałem się o tym, pani, że żyjesz i mieszkasz pod murami Starej Warszawy, jako żona królewskiego muzyka. Wiedz, że czytając nakreślone przez jezuitę słowa, czułem, jakby mi ktoś darował nowe życie. Postanowiłem, że muszę zrobić wszystko, co w mojej mocy, aby jakoś pokonać długą drogę do tego miasta, odnaleźć ciebie, pani, i błagać o pomoc.

Tułaczka do Warszawy zajęła mi ponad dwa miesiące i wierz mi, pani, że były chwile, kiedy cudem udawało mi się uniknąć niebezpieczeństwa. Ale to wszystko nieważne, bo oto jestem!

Kiedy Franciszek skończył swą opowieść, Kalina nie potrafiła wydobyć z siebie słowa. Łzy pociekły jej po policzkach, tak bardzo było jej żal nieszczęsnego chłopca. Siedzieli parę chwil w milczeniu, aż wzruszony widokiem zapłakanej rodzicielki mężczyzna odważył się przyklęknąć u jej stóp. Ostrożnie, jakby bał się ją wystraszyć, ujął spracowaną, szorstką dłoń Kaliny i przycisnął ją do swojego miękkiego, gładkiego policzka.

– Tyle wycierpiałeś... Że też Bóg tak cię pokarał, a przecie nie ze swojej

winy narodziłeś się jako owoc grzechu. Zrozum, nie mogłam cię przy sobie zostawić, nie byłam w stanie... Właściwie tylko świętej pamięci ojciec Bonifacy – świeć, Panie, nad jego zasnę duszą – a teraz ty wiesz, co naprawdę mnie spotkało – powiedziała Kalina łagodnie i położyła rękę na głowie karzełka.

– Nie mam żalu ani do Boga, ani do ciebie, pani. I tak miałem wiele szczęścia w życiu i mam je nadal, skorom cię odnalazł. Moje serce przepelnia wdzięczność! Tak długo modliłem się do Niepokalanej Pani, że ulitowała się nad samotną duszą i doprowadziła tutaj!

Franciszek nie mógł pohamować łez i długo trzymane na wodzy emocje, wypite wino, nastrój wieczoru, wszystko to sprawiło, że zaczął szlochać tak mocno, iż jego filigranowym ciałem wstrząsały dreszcze.

– Już dobrze, nie płacz, chłopcze. Nie jesteś już sam! Bóg jeden wie, ile razy kierowałam do niego modlitwy za twoje zdrowie, nie wiedziałam, czy żyjesz, czyś zdrów, nie wiedziałam o – Kalina zawahała się – twojej posturze... Nic nie wiedziałam! Zachodzę w głowę, dlaczego ojciec Bonifacy nic mi nie powiedział? Nigdy się tego nie dowiem, wdzięczna mu jednak jestem, oboje zawdzięczamy mu to, że żyjemy.

Franciszek powstał z kolan, otarł twarz elegancką chustką, z wyhaftowaną na rogu literką F.

– Dobrze... Teraz chodź za mną, chłopcze, oddam ci pokój, który trzymamy dla najważniejszych gości, bo jedynie ten pozostał wolny w całym zajeździe. Muszę wszystko przemyśleć, zastanowić się, co robić dalej. Mój małżonek nie wie, że żyjesz! Powiem zatem Laurentemu, że zatrzymał się u nas powracający ze Lwowa syn szlachcica, co przecież jest prawdą!

Kalina uśmiechnęła się do karła i spojrzała na niego z uwagą, widząc w nim kogoś zupełnie innego, niż widziała jeszcze przed dwiema godzinami. Jego twarz o szlachetnych rysach wydała się jej urocza. Wielkie oczy i rysunek ust miał po niej, resztę zapewne po młodym szlachcicu, którego twarzy zupełnie nie pamiętała.

„Ciekawe – pomyślała – czy w rodzinie kasztelana rodziły się jakieś karły?”. Po kim jej syn odziedziczył swoją niedoskonałość? Naszła ją myśl o przewrotności życia: oto szlachecki syn przekazał swoją rycerską krew i zdolności dziecku zrodzonemu z gwałtu, sam zaś zapłacił za swój nieczyny czyn śmiercią. Zginął w tak młodym wieku, miał nawet mniej lat, niż obecnie liczył sobie jego syn.

– Pani... matko – zaczął niepewnym głosem Franciszek, a gdy Kalina zatrzymała się w progu i zwróciła w stronę liliputa lichtarza i badawczo spojrzała na jego twarz, dodał: – Muszę wyznać ci coś jeszcze...

– Mów.

– Niedługo zostaniesz, pani, babką...

7.

W zwykłych okolicznościach ludność Warszawy byłaby nadzwyczaj ciekawa toczącego się jesienią roku Pańskiego tysiąc sześćset trzydziestego piątego procesu przez sądem radzieckim. Przedmiotem sporu sądowego było ustalenie własności domu Pod Lutnią, do którego prawa rościł sobie niejaki Tomasz Szpak, rzekomy syn zmarłej przed dziewiętnastoma laty Anny Żmijowej, poślubionej muzykowi kapeli królewskiej.

Jednak przewidziane na przełom listopada i grudnia obrady sejmowe skutecznie odwróciły uwagę pospólstwa od przebiegu procesu. Warszawa kolejny raz wypełniła się różnego pokroju przybyszami. Z dnia na dzień robiło się tu coraz bardziej tłoczno, głośno, barwnie i niebezpiecznie. Goście wypełniający tłumnie zajazd U Kaliny nie pozwalali właścicielom na chwilę wytchnienia i zapewne dlatego Laurenty Żmij i jego żona nie stawili się na pierwszą rozprawę w procesie o spadek po Annie. Pojawili się w ratuszu przekonani, że wyrok będzie dla nich korzystny.

Zadziwił ich skarżący się Tomasz – pomimo reputacji awanturnika, włóczęgi i bluźniercy zrobił w ratuszu nader korzystne wrażenie na ławnikach. Pojawił się schludnie ubrany, z rudymi włosami przyciętymi na szlachecką modłę i ukrytymi pod kołpakiem, spokojny i gotowy na walkę, w której wspomagał go jakiś uczony prawnik.

Już pierwsza rozprawa nie pozostawiała złudzeń co do dalszego przebiegu postępowania przed sądem. Tomasz przedstawił pisemne poświadczenie dwóch szanowanych obywateli Starej Warszawy, którzy ręczyli za jego tożsamość. A skoro ławnicy dali wiarę zapewnieniom, że ten właśnie człowiek jest synem warszawskiego malarza Janusza Szpaka, który zdobył pozycję i majątek i jako obywatel Starej Warszawy nabył plac przy ulicy Krzywe Koło, budując na nim dom, Kalina nie miała już złudzeń co do rozstrzygnięcia.

Laurenty po rozprawie dostał gorączki, która nie dawała się zbić przez kilka dni. Wezwany medyk puścił muzykowi krwi, co jeszcze bardziej go osłabiło. Żmij nie wstawał z łóżka i był nieprzytomny przez trzy doby. Kalina czuła, że to może być koniec. Wezwała przez parobka córki lutnisty, aby przyszły pożegnać się z ojcem. Kiedy niewiasty pojawiły się w izdebce, w której leżał chory – obie wystrojone i wyperfumowane, piękne i obce jak jakieś damy dworu, Laurenty odzyskał świadomość i w obliczu wielkiej niemocy, jaka go ogarnęła, uroczyście pojednał się ze swoimi dziećmi, a widząc ich wytworne ubrania i misternie ułożone fryzury, kazał przysiąc, że jak najszybciej znajdą sobie mężów.

Pogodzony z córkami Laurenty w spokoju przyjął ostatnie namaszczenie. Kalina nie odstępowała jego łóżka, zmieniała mu kompresy i poila wywarem z pokrzywy. W pewnym momencie muzyk ujął rękę żony i z wyraźnym trudem powiedział:

– Kalino droga, wybacz, jeśli nasze pożycie nie było takie, jak pragnęłaś.

Zawsze podziwiałem twoją urodę, piękna byłaś i nadal jesteś... Bóg nie dał nam dzieci, ale żyliśmy w zgodzie. Dobrą, pracowitą żoną byłaś, dziękuję ci za wszystkie te lata...

– Wiem, wiem, kochany! Tyś mnie uratował od pewnej śmierci, niczego więcej dostać nie mogłam! Wiem, żeś nigdy nie zapomniał mojej siostry, nieboszczki Anny. Ja nie mogłam jej zastąpić. Ale zawsze dobry dla mnie byłeś...

Czując, jak łzy płyną jej po policzkach, Kalina przycisnęła do ust nadal piękną, smukłą dłoń muzyka. Pocałowała ją i wstrząsnął nią silny szloch.

– Zrobiłem, moja droga, w życiu wiele złego, zdawało mi się, że mogę sam wymierzać sprawiedliwość... Ciekawym, czy teraz Bóg otworzy przede mną bramy Królestwa Niebieskiego, czy też odtrąci i ześle do piekieł...

– Chociażby za to, co dla mnie zrobiłeś, musi czekać cię nagroda w niebie! – szepnęła Kalina i otarła pot z rozpalonego czoła męża.

Laurenty przymknął oczy i z wielkim trudem zaczął łapać powietrze, niczym wyciągnięta na brzeg rzeki ryba.

8.

Dziesiątego dnia miesiąca grudnia roku Pańskiego tysiąc sześćset trzydziestego piątego, dla uczczenia zakończonych właśnie obrad sejmu w zamienionej w teatr sali na piętrze Zamku Królewskiego zgromadziło się najznamienitsze towarzystwo dworzan, szlachty, duchowieństwa, zagranicznych posłów i najważniejszych członków władz Starej Warszawy. Przed wejściem do rozświetlonego tysiącem świec, udekorowanym kosztami kwiatów pomieszczenia, gdzie masywna kotara z wymalowanym na niej wizerunkiem Warszawy zasłaniała scenę, każdy gość otrzymał ręcznie wykaligrafowaną złotym inkaustem kartkę z tytułem widowiska: *Dafne. Dramma musicale w sześciu odstępach* oraz librettem opartym na greckiej mitologii.

W trakcie gdy zaproszeni goście zajmowali miejsca, muzycy orkiestry ukryci na balkonikach zasłoniętych chmurami ponad sceną stroili swoje instrumenty. Wszyscy w napięciu czekali na pojawienie się króla i jego świty. Zgodnie z wydanym zaleceniem, plebejów i mieszczan sadzano na stopniach i po bokach sceny, na miejscach, gdzie maszyny sceniczne bywały czasem widoczne.

Gdy odświętnie ubrani goście w zachwycających strojach zasiedli na wskazanych im zgodnie ze ścisłą hierarchią miejscach, rozległ się dźwięk trąbki zwiastujący pojawienie się monarchy. Publiczność powstała i zapartym tchem śledziła Władysława, który majestatycznym krokiem wszedł do odświętnie udekorowanej izby z dumnie podniesioną głową, prowadząc obok siebie pod rękę swoją kochankę, czym wywołał jawne zgorszenie wielu możnych i duchownych.

W sali rozległ się pomruk wzburzenia i dezaprobaty. Znany ze swej pobożności, ceniony przez króla kanclerz wielki litewski Albrycht Stanisław

Radziwiłł ze zgorzeniem wręcz odwrócił głowę. Podobnie uczyniło kilku magnatów i biskupów.

Król jak gdyby nigdy nic zasiadł na przygotowanym dla niego tronie, a obok niego Jadwiżka, nadzwyczaj piękna i ubrana tego wieczora niczym królowa. Władysław prezentował się bogato i wytwornie – ubrany był w *pourpoint*³⁸ z baskiną i spodnie do kolan, uszyte z haftowanego we wzór lilii pięknie mieniącego się atlasu w intensywnym, niebieskim kolorze. Ramiona okrywał mu duży kołnierz, ozdobiony szeroką brabancką koronką. Luźne spodnie zaś pokrywały liczne zdobienia w formie wstążek i klejnotów. Długie włosy króla ułożono w myśl najnowszej mody francuskiej we fryzurę à la *cadnette* z pojedynczym, długim lokiem przerzuconym przez ramię i przewiązany kokardką zdobioną wielkim diamentem.

Jadwiga ubrana była tak, jakby w jej żyłach płynęła błękitna krew: miała na sobie suknię spodnią z mieniącego się, złotego jedwabiu, której spódnica widoczna była wzdłuż rozcięcia sukni wierzchniej, uszytej z lekko błyszczącej, czarnej tkaniny. Bufiaste, nisko wszyte rękawy podkreślały śmiało odsłonięty dekolt, który otaczał lekko usztywniony kołnierz uniesiony z tyłu, o formie przypominającej koronkowy wachlarz.

Włosy miała misternie ułożone we fryzurę z odsłoniętym czołem i puklami loków upiętymi po obu stronach głowy diamentowymi spinkami i kokardami. Biel jej skóry podkreślały perły oplatające jej szyję oraz noszone w myśl najnowszej mody czarne tasiemki zawiązane na przegubach dłoni. Siedziała obok króla spokojna, wyniosła i milcząca. Niekiedy tylko sam władca z wyraźną troską nachylał się i szeptał coś do ucha swej kochanki, która słuchała go, trzepocząc rzęsami. Na zamku mówiło się, że ponoć lwowska mieszcza jest przy nadziei i za kilka miesięcy król powita na świecie swojego bękarta.

– Patrzcie, córka flisaka królową udaje – syknął ktoś z najdalszych rzędów krzesel, ale śmiech, jaki rozległ się na końcu pomieszczenia, zagłuszyły zagrane z niezwykłym impetem pierwsze dźwięki uwertury. Skrzypce, klawesyn i wiolonczela zdawały się rozmawiać ze sobą z taką harmonią i polotem, jakby wszyscy grający na nich muzycy pragnęli wznieść się do nieba.

Zabrzmiała liryczna melodia. Kotara rozsunała się, ukazując widzom zalaną światłem słonecznym leśną polanę, z zamglonymi górami w tle, fontanną, doliną, ształasem w odległej perspektywie. Ustawione na scenie kosze kwiatów oraz wypchane ptaki i zwierzęta dopełniały sielski obrazek.

Przy akompaniamencie wspaniałej muzyki, na oświetlonym dziesiątkami świec nieboskłonie w odcieniach szarości i błękitu pojawiła się nagle Anusia Żmijówna jako Wenus, odziana w złocistą, mieniącą się w blasku świec szatę. Unosiła się na sunącym po scenicznym niebie obłoku w otoczeniu czterech Zefirów.

Wznosząc się coraz wyżej, Wenus rozpoczęła stanowiącą prolog pieśń o pięknej nimfie Dafne, którą ujrzał na brzegu strumienia sam bóg miłości Apollo i natychmiast zapragnął ją pojąć. W trakcie wykonywania arii za plecami śpiewaczki zmieniały się tła – błękit poranka przeszedł w czerwień wschodzącego słońca.

Anusia śpiewała w takim uniesieniu, że sama przestała niemal istnieć na czas przedstawienia. Była tylko i aż głosem, była boginią Wenus. Jej śpiew wzniósł się na wyżyny, do jakich dotąd nie była zdolna. Naprawdę unosiła się nad ziemią.

Trwający ponad godzinę spektakl przebiegał bez najmniejszego potknięcia. Podniosła atmosfera udzieliła się wszystkim występującym na scenie śpiewakom i aktorom, którzy śpiewali i grali z niezwykłym zaangażowaniem, dając z siebie wszystko.

W kulminacyjnym momencie widowiska, gdy Apollo biegał po scenie, chcąc złapać nimfę, czemu towarzyszyła żwawa, głośna melodia, zabrzmiał niepokojący, zagłuszający wszystkie dźwięki bęben i Dafne zapadła się pod ziemię, a w jej miejsce na scenie ukazało się widzom osadzone w donicy drzewko laurowe.

Gdy sceneria pasterska została zastąpiona morską, a scenę pokryła połyskująca brokatem płachta błękitnego materiału imitująca falujące morze, rozegrał się spektakularny epilog opery. Prospekt rozsunał się całkowicie, dzięki czemu widzowie ujrzeli bezkresną perspektywę, a z końca sceny spuszczone została dużych rozmiarów *machina mundi* – połyskująca kula ziemiska z siedzącą na niej personifikacją Szczęścia. Nad Ziemią pojawiły się alegoryczne postacie Moskwiczyna i Turczyna w efektownych strojach – przedstawiciele ludów podbitych przez Władysława IV. Chór zaśpiewał ostatnią pieśń sławiącą głośne na całą Europę czyny dynastii Wazów, po czym opadła kurtyna. Na kilka sekund umilkły wszystkie dźwięki, aż wreszcie rozległo się na widowni wykrzywane z entuzjazmem: „Brawo, brawo!”.

Słyszając nagły huk braw, Anusia odważyła się zerknąć w kierunku tronu króla. Na jedną chwilę jej wzrok spotkał się z pełnym podziwu spojrzeniem monarchy. Zadrżała. Władca siedział wygodnie rozparty, a na jego twarzy malowało się wyraźne wzruszenie wywołane doznaniem, jakich dostarczył mu spektakl *dramma per musica*. Anusia pomyślała, że może właśnie tego wieczoru zostanie wezwana do łóżnicy króla.

Oszalaniający przepych dekoracji w połączeniu z dramatyzmem przedstawianej historii, anielskim śpiewem i piękną muzyką stanowiły mieszankę, która zapewniła zgromadzonym elektryzujące doznania. Publiczność wyrażała swój zachwyt gorącymi brawami.

„Ach, gdyby słuchał mnie i oglądał dzisiaj ojciec” – powiedziała do siebie w duchu Anusia, po raz kolejny z resztą zespołu kłaniając się przed klaszczącą z zapalem publicznością. Na próżno wypatrywała starego lutnisty w dalszych

rzędach krzesel. Przekazała mu przez posłańca zaproszenie, które zdobyła z wielkim trudem, ale muzyk nie pojawił się, sprawiając córce zawód. Zaproszenie na *Dafne* otrzymała także jej siostra Julianna, ale i jej twarzy Anusia nie mogła dostrzec wśród zwróconych ku scenie widzów.

Stojąc przed publicznością, która nagradzała występ owacjami, Anusia już wiedziała, że za ten ekscytujący moment zatracenia się na scenie, gdy słucha jej cała sala, zrobi absolutnie wszystko, pokona wszelkie przeszkody, poniży się i zada każdy możliwy cios, aby tylko móc przeżyć to raz jeszcze.

Gdy w końcu na dobre opadła kurtyna i zmęczeni i bardzo szczęśliwi aktorzy zaczęli dzielić się między sobą wrażeniami, do Anusi podbiegł jakiś posłaniec i poprosił, aby jak najszybciej poszła za nim.

– Panienko, twoja siostra kazała ci donieść, że czeka na ciebie przy schodach. Czym prędzej musicie spieszyć do waszego ojca, który za chwilę wyda swoje ostatnie tchnienie! – powiedział chłopak z troską w głosie.

– Śmierć zaczęła swój taniec... – szepnęła, nie otwierając oczu Laurenty, i skonał, zanim jego córki w grudniową, mroźną noc zdołały wydostać się z Zamku Królewskiego i czekającym już nieopodal Bramy Krakowskiej pojazdem dojechać do zajazdu U Kaliny, na którego tyłach, w swojej małej izdebce z żoną u wezłowania łożnicy udręczone serce muzyka zatrzymało się na zawsze.

9.

Kiedy za sprawą procesu wytoczonego przez rzekomego pasierba Laurenty legł zmożony chorobą serca, sprawa sporu o kamienicę Pod Lutnią nie budziła zainteresowania wśród warszawian, gdyż powszechną uwagę wszystkich przebywających w mieście i jego okolicach ludzi przykuwała historia Iwana Sulimy. I nawet gdy podjęta na początku grudnia decyzja sądu ławniczego o uznaniu roszczeń malarza podającego się za Tomasza Szpaka sprawiła, że słabe serce muzyka nie wytrzymało, nikt specjalnie nie przejął się rodzinnym dramatem i dalszym losem jednej z warszawskich kamienic.

Ekscytowano się tym, że obradujący właśnie sejm Rzeczypospolitej Obojga Narodów miał podjąć decyzję co do tego budzącego skrajne odczucia kozackiego przywódcy. Gdyby nie pojawienie się w mieście rozpalającej wyobraźnię postaci, o której odwadze i brawurze opowiadano niezwykle historie, rodzinna awantura o wartościową nieruchomość na pewno nie umknęłaby niczyjej uwagi.

Iwan Sulima był hetmanem nierejestrowych Kozaków zaporoskich i przywódcą buntu kozackiego. Przewodniczył kilku wyprawom przeciwko chanowi krymskiemu i imperium osmańskiemu, a za swoją odwagę został nawet odznaczony orderem przez papieża Pawła V.

Latem tysiąc sześćset trzydziestego piątego roku wraz ze swymi ludźmi zaatakował świeżo wzniesioną polską twierdzę Kudak nad Dnieprem, gdzie

wyróżnął załogę liczącą ponad dwustu ludzi. Sulima myślał, że ujdzie mu to na sucho, skoro król polski zajęty był rokowaniami ze Szwecją, ale Polska wysłała ekspedycję karną przeciw Kozakom, a wówczas starszyzna kozacka, nie chcąc sporu z Polakami, sama wydała Sulimę i przywiozła go do Warszawy.

Dwa dni po tym, jak zakończono obrady sejmowe i w królewskich pomieszczeniach odegrano *Komedję włoską o Apollinie i Dafinidzie* – o którym to spektaklu i jego cudach: wielorybie sikającym wodą i szybującej nad sceną Wenus opowiadano przez wiele dni – po mieście rozniosła się wieść o tym, że po południu odbędzie się egzekucja Iwana Sulimy.

Nie pomogło nawet wstawiennictwo króla – sejm zdecydował o tym, że zostanie publicznie ścięty. Ponoć zaraz po przekazaniu mu decyzji o karze śmierci Sulima nawrócił się na katolicyzm, przyjął ostatnie namaszczenie, a w swej ostatniej woli poprosił, aby pochowano wraz z nim jego papieski order.

Całą Warszawę ciekawił los Sulimy, w mieście nie mówiono o niczym innym. Jedni go żałowali, inni z niecierpliwością czekali na widowisko, jakim była publiczna egzekucja.

Śmierć królewskiego muzyka, zamożnego lutnisty, obywatela Starej Warszawy i właściciela kamienicy, a także zajazdu przy Długim Trakcie przeszła niemal bez echa. I chociaż większość mieszkańców wołała obejrzeć, jak katowany jest kozacki wódz, ci, którzy przez lata grali ze Żmijem w dworskiej orkiestrze, stawili się tłumnie na mszy w kościele augustianów pod wezwaniem Świętego Marcina, gdzie tradycyjnie chowano muzyków i gdzie miało spocząć także ciało Laurentego.

Kiedy kondukt pogrzebowy z ciałem Żmija ruszył z zajazdu przy ulicy Długiej ku Bramie Nowomiejskiej, mimo trzaskającego mrozu wokół podium gromadził się już tłum gapiów. Podest, na którym miała się odbyć egzekucja, z uwagi na rangę wydarzenia, ustawiono na Rynku, tuż obok ratusza.

Wieczorem ciało Sulimy porąbano na cztery części i na czterech rogach miasta zawieszono na wbitych w ziemię palach. Szczątki tego odważnego bądź co bądź człowieka wzbudzały smutek w wielu oglądających je ludziach. „Ot, co z człowieka zostaje, ochłap mięsa, nic ponadto” – wzdychano, myśląc o tym, jaką życie jest marnością.

Podobne myśli towarzyszyły tego wieczora wdowie po Żmiju, do której dopiero teraz docierała świadomość, w jak trudnym znalazła się położeniu. Łzy ciekły po jej twarzy, a tklive dźwięki wiolonczeli i śpiewy w świątyni tylko pogłębiały nastrój rozpaczliwego smutku. W zajeździe U Kaliny do późna w nocy trwała stypa po pogrzebie lutnisty, która przerodziła się w koncert, jaki urządzili licznie przybyli starsi i nowi muzycy z kapeli królewskiej.

Wdowa zastanawiała się, co teraz pocznie. Jak samodzielnie zdoła prowadzić i utrzymać zajazd? Za kilka miesięcy Kalina skończy trzydzieści osiem lat, w takim

wieku należałoby zajmować się wnukami, a nie szarpać się i od rana do nocy w zajeździe starać się dogodzić gościom i utrzymać renomę przybytku. Została sama, bez rodziny, bez dzieci... Ten liliput, który zjawił się przed kilkoma tygodniami, może i był jej synem, ale jego ułomność i młody wiek oznaczały tylko kłopoty. Ponoć jakaś dziewczka, którą poznał w drodze do Warszawy, zaopiekowała się nim z takim zaangażowaniem, że teraz nosi w brzuchu jego dziecko i czeka przerażona na rozwiązanie, bojąc się, że urodzi karła.

Smutne myśli przerwała naraz Kalinie żona cukiernika, który na pobliskiej ulicy Miodowej miał piekarnię i sprzedawał znane na całe miasto pierniki. Piekarzowa była w ich okolicach najbardziej znaną swatką, więc interesował ją każdy wdowiec i każda wdowa, których zaczynała urabiać już w dniu pogrzebu, chociaż obyczaj nakazywał odczekać kilka tygodni, zanim zacznie się oficjalne poszukiwanie kandydata na nowego towarzysza życia.

– Wiem, Kalino, że to nie moment na myśli o przyszłości, skoro twój mąż ledwie do grobu złożony, ale musisz jak najszybciej pomyśleć o sobie. Zaradna jesteś, robotna i zdrowa, ale już niemłoda... Opiekuna mieć musisz! Córki Źmija zaraz się do ciebie zgłoszą po swoje, dzieci nie masz, ani rodziny, ani nikogo ważnego, kto by cię ochronił. Nie masz wyjścia, jak najszybciej musisz iść za mąż. Pomogę ci! Znajdę chętnych do ożenku z właścicielką takiego przybytku jak ten zajazd, już moja w tym głowa. Jak tylko żałoba minie, przedstawię ci kandydata. Już ja się o to postaram!

Kalina spojrzała na piekarszową z nieskrywaną odrazą. W oczach niemłodej kobiety o nalanej twarzy dostrzegła ogniki zdradzające ekscytację. Dla tej biedaczki swaty były najwyraźniej świętem w codziennej nudzie.

– Nie teraz, nie teraz... – powiedziała tylko, ocierając cieknące z oczu łzy. – Sama wszystkiemu dotąd dawałam radę, tak dam i teraz... Mążnek mój tylko muzyką i księgami się interesował, bynajmniej nie mną i nie zajazdem – dodała.

I nagle na myśl przyszedł jej Joachim. Po cichu liczyła na to, że jeśli żyje i pozwoli mu na to zdrowie, gdy jakimś cudem dowie się o tym, że jego rodzony brat opuścił padół tego świata, przybędzie do Warszawy. Gdy Laurenty nie wstawał już z łoża, Kalina poleciła parobkowi zanieść napisany jej ręką list na jeden z płynących do Gdańska statków. Przy odrobinie szczęścia pismo powinno dotrzeć do domu Joachima. O ile oczywiście jeszcze tam mieszkał.

– Zobaczycie, że taka wdowa jak wy długo nie będzie czekała na dobrego męża, a nawet w waszym wieku, Kalino, chłop grzejący pierzyny w zimną noc może umilić pozostałe lata życia – nie ustępowała w swoich zabiegach piekarszowa.

– Dziękuję wam najmilej, ale ja już mam kandydata na męża. I on niedługo tutaj zjedzie! – odparła Kalina i wstała z ławy, by pożegnać opuszczających jej dom gości.

W duchu powiedziała sobie, że nie czas na lamenty. Może jeszcze nie jest za

późno, żeby odnaleźć Joachima. Jeśli miałyby z kimkolwiek dzielić się swoim zajazdem, to tylko z nim.

Rozdział VIII
Sekret Eufrozyny

Miłość jest własny bieg bycia naszego,

Ale z żywiołów utworzone ciało

To chwalcąc, co zna początku równego,

Zawodzi duszę, której wszystko mało.

MIKOŁAJ SĘP SZARZYŃSKI, *Sonet V*

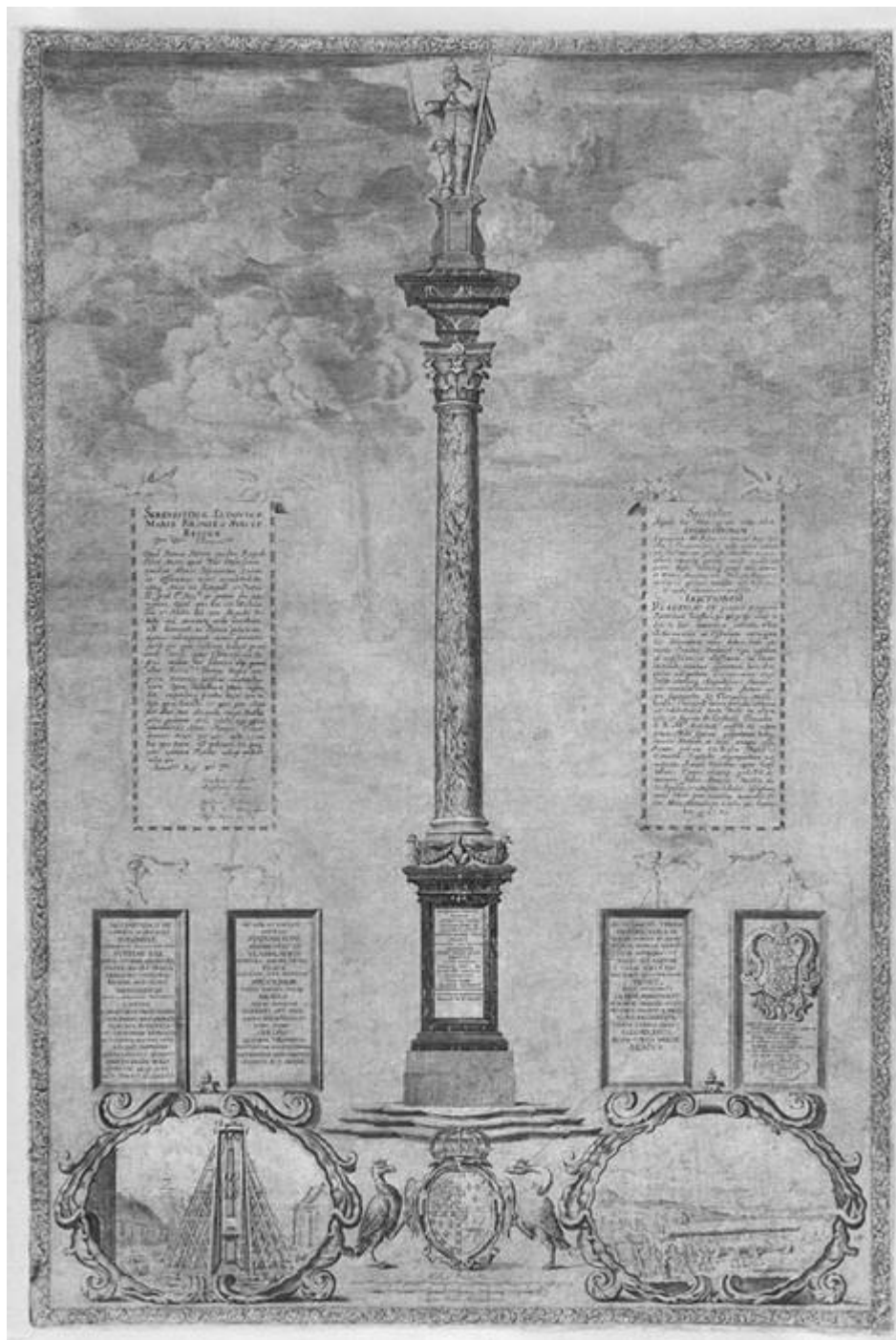
Styczeń Anno Domini 1643 – marzec Anno Domini 1645

1.

Czterdziestopięcioletni mistrz malarstwa – Tomasz Szpakowski (podróżując po prowincji, zmienił formę nazwiska ze Szpak na Szpakowski, aby nadać mu szlacheckie brzmienie), wszystkie ważne decyzje w swoim życiu podejmował ot tak, nagle i zdecydowanie, pod wpływem impulsu i bez zastanowienia. I tak też było tym razem, gdy w przeraźliwie zimny drugi dzień stycznia postanowił wrócić na dobre do Warszawy.

Minęło równo siedem lat od dnia, w którym niespodziewanie, po cichu opuścił swe rodzinne miasto, jadąc konno przed siebie, nie wiedząc, dokąd się udać i jak pokierować swoim życiem. A przecież Tomasz Szpak wpisany był do ksiąg magistralnych jako obywatel miasta, właściciel kamienicy przy ulicy Krzywe Koło, wzniesionej przez jego ojca przed pięćdziesięcioma laty. Po tym, jak wygrał proces i odebrał swojemu ojczymowi dom posadowiony na parceli w pobliżu Rynku Starego Miasta, wydawało mu się, że wreszcie osiadzie w tym miejscu na dobre, poskromi swój porywczy temperament i stanie się szanowanym obywatelem miasta.

Rzeczywiście początkowo udawało mu się stronić od hazardu i libacji w domach schadzek, choć wśród kompanów od picia i ladacznic czuł się najlepiej. W końcu przestał jednak szukać takiej rozrywki, zaczął zabiegać o klientów chcących uwiecznić na portretach swoje rodziny lub ozdobić ściany czy sufity swego domostwa malowidłami.



Mimo też pozornej odmiany, schludnie ubrany, obcięty na krótko i ogolony Tomasz nie zyskał sympatii sąsiadów, którzy nie mogli w nim dostrzec uczonego we włoskich miastach mistrza malarstwa, a widzieli jedynie chciwego awanturnika, który wpędził do grobu poczciwego muzyka królewskiej kapeli. Dla ludzi był tylko podającym się za syna Szpaka wariatem, który wytoczył proces ojczymowi. Wszyscy obwiniali Tomasa o śmierć lutnisty, którego *canzoni* opublikowano

drukiem i cieszyły się sporą popularnością.

Ostracyzm, z jakim traktowali malarza sąsiedzi z ulicy Krzywe Koło, sprawił, że Szpakowski z każdym kolejnym miesiącem coraz częściej popadał w konflikty z mieszkańcami. Najpierw wyrzucił na bruk dzierżawców, którzy mieszkali w odzyskanej przez niego kamienicy, wszedł w spór z najmującym dolne pomieszczenia cyrulikiem i zmusił go do zamknięcia swojej praktyki, wreszcie zaś wywołał prawdziwy skandal – ożenił się z własną gospodynią! Takiego mezaliansu nie mogli mu wybaczyć obywatele Starej Warszawy i jawnie śmiali się z jego wywodzącej się ze wsi małżonki Jagny, która przyjechała do miasta za pracą, nie umiała ani czytać, ani pisać, a w dodatku była starą panną.

Tomasz sam nie do końca wiedział, czemu wziął sobie Jagnę za żonę. Jak zawsze i tę ważną decyzję podjął pod wpływem impulsu. Brał ją do swojej łóżnicy od dłuższego czasu, był z niej zadowolony, dobrze gotowała, cerowała mu bieliznę i zgodnie z jego zaleceniami sprzątała malarską pracownię. Ale żeby się żenić? Niewiasta nawet słowem nie zająknęła się na ten temat, nie śmiała marzyć o takim szczęściu. Aż pewnego wieczoru, walcząc okrutnie z chęcią pójścia do burdelu, upicia się, stoczenia kilku batalii słownych, a potem też siłowych, zagrania w kości i zakończenia nocy w objęciach jakiejś rozbawionej dziewczki, Tomasz pomyślał, że zapanuje nad swoim temperamentem, narzucając sobie samemu jarzmo małżeństwa.

Długo jednak nie wytrzymał, próbując żyć jako przykładowy mąż i obywatel. Jagienka spodziewała się ich dziecka. Tomasz zaś, nie mogąc dłużej czekać na spełnienie swoich potrzeb, udał się do wieży skosztować płatnej miłości. Jednak miód pitny uderzył mu do głowy i malarz wywołał awanturę, następnie bijatykę, w której ugodził nożem w udo jakiegoś ważnego urzędnika magistratu. Niewiele myśląc o żonie, zleceniach na obrazy i swojej kamienicy, tak jak stał, tak uciekł na ukradzionym koniu z Warszawy.

Dzięki znajomości malarskiego rzemiosła, prezentując się jako malarz uczony fachu w Rzymie i innych miastach Italii, w ciągu kolejnych kilku lat przemierzył wielkie połacie północno-wschodniej Rzeczypospolitej, wędrował od dworu do dworu, gdzie malował portrety i obrazy zleczone mu przez wielmożnych panów i głowy rodziny.

Najlepiej wychodziło mu malowanie coraz bardziej popularnych wśród szlachty portretów trumiennych. Mało kto chętny był zapłacić za malowidła na ścianach domu, nawet konterfekty były zamawiane tylko w najzamożniejszych domostwach, ale na pochówku nikt nie oszczędzał. Majestat śmierci czynił ludzi pokornymi i skorymi do poniesienia nadzwyczajnych wydatków. Każdy, nawet ubogi szlachcic, chciał przygotować się na ten moment, gdy w asyście rodziny, dostojników świeckich i kościelnych odejdzie z tego świata. Aby *pompa funebris*³⁹ odbyła się zgodnie z panującą modą, konieczne było przygotowanie sobie za życia

wizerunku, który w trakcie uroczystości pożegnalnych przypominał widzom tego przedstawienia o wyglądzie osoby, której zalety i dokonania opiewano w tej ostatniej drodze.

Życie tułaczę, kilkutygodniowe pobyty i gościna w różnych domach zaczęły w końcu mocno doskwierać Szpakowi, chociaż zarobek był niezgorszy, jadło i łoże darmowe, a na każdym dworze spotykał młode dziewczki albo znudzone matrony łase na wdzięki charyzmatycznego przybysza, który opowiadał o obcych krajach, swoich przygodach w Rzymie z czasów, gdy mieszkał w dzielnicy malarzy i konkurował ze sławnymi Włochami w zdobywaniu zleceń.

Z czasem zaczęła męczyć Tomasza anonimowość jego pracy. Miał już prawie czterdzieści pięć lat za sobą i choć uwiecznił na sześciobocznej blasze cynowej wizerunki kilkudziesięciu mężczyzn i niewiast, nigdy na żadnym z portretów nie zostawił nawet inicjału. Ceremoniał nakazywał, aby malarz jako rzemieślnik służący Bogu i ludziom nie ujawniał swego nazwiska, a malowane przez niego wizerunki nie mogły przedstawiać portretowanego w sposób odbiegający od rzeczywistości. I chociaż każda z osób pozujących do portretu stroiła się w najwystawniejsze szaty, futra, klejnoty i wymyślne nakrycia głowy, na obrazach ich szerokie bądź oszpecone brodawkami nosy, wydęte wargi lub podwójne podbródki Tomasz odwzorowywał z absolutną rzetelnością.

Na początku grudnia roku Pańskiego tysiąc sześćset czterdziestego drugiego malarz przybył do położonego w pobliżu Baranowa majątku podkomorzego Jana Grabowskiego, gdzie miał namalować portret trumienny nestora rodu i kilku dalszych członków rodziny. Zwykle do pomocy przy rozrabianiu farb oraz powlekaniu blachy cynowej sokiem z czosnku dawano Tomaszowi parobka, ale tym razem – ku jego zaskoczeniu – przydzielono mu dziewczkę o imieniu Eufrozyna, która ponoć znała się na rzeczy. W majątku podkomorzego na tyle doceniono jej umiejętności malarskie, że pozwolono jej nawet malować herby rodowe Grabowskich.

– Waćpanna maluje nie gorzej ode mnie! – zawołał Tomasz, kiedy dziewczka wyglądem przypominająca młodego chłopca pokazała mu swoje malunki na deskach.

Jej autoportret szczerze zachwycił Szpaka, który jako malarz ze sporym doświadczeniem umiał docenić talent dziewczyny. Szczerze zachwycił się jej umiejętnościami, nie kryjąc zdziwienia, że tak wprawną rękę może mieć niewiasta.

– Ojciec mój był malarzem. Dzieckiem będąc, pomagałam mu przy wszystkim, chciałam iść w jego ślady. Freski w naszym kościele we wsi namalował! Ledwie skończył, zmarł biedaczysko. Rok już będzie, jak w ziemi leży. Rodzina nie miała sumienia mnie wygnąć, dają mi więc herby do malowania – wyjaśniła rezolutnie Eufrozyna.

– Po co mnie najęli, skoro ty mogłabyś im trumienne portrety namalować?! –

odparł Tomasz, chcąc przypodobać się malarce, doskonale jednak wiedział, że podkomorzy nie czułby się dostatecznie uhonorowany portretem, który wyszedłby spod ręki białogłowy.

Dziewczyna od razu mu się spodobała i szybko zaczęła pomagać w pracowni urządzonej w gospodarczym pomieszczeniu. Tomasza od pierwszych chwil kusilo ogromnie, aby jak najszybciej dobrać się do jej drobnego ciała. Uznanie, jakie miał dla jej umiejętności, nieco go jednak onieśmiało. Wiedział, że ma do czynienia z wyjątkową panną. Nigdy dotąd nikogo takiego nie spotkał.

Dziewka miała dziewiętnaście lat, choć jej gładka twarz o wąskich ustach, drobnym nosie i mocno zaznaczonych kościach policzkowych, a także chłopięca budowa sprawiały, że wyglądała na znacznie młodszą. Tomasz wnikliwie przyjrzał się ciasno opinającemu jej piersi kaftanowi i stwierdził, że panna jest płaska jak deska. Obficie pofałdowana spódnica maskowała jej biodra, a gospodarski czepek zasłaniał jej krótko obcięte, kręcone włosy w kolorze kasztanów. Któregoś razu widział, jak dziewczyna zajęta energicznym mieszaniem farby w zydeltu nie zdołała przytrzymać nakrycia głowy, które spadło na deski podłogi, ukazując kształtną głowę z ledwo pokrywającymi ją loczkami.

– Dlaczego waćpanna nie nosi warkocza, jak wszystkie panny? – zapytał ją wówczas.

– Panie, ja nie jestem taka jak inne, a poza tym po co mi takie długie włosy, których nie będę mogła upiąć, dopóki nie oddam się w niewolę jakiemuś mężowi? – odparła butnie.

Tomasz aż zadrżał na myśl o tym, jak ta istota wyglądać musi nago (wiedział już, że zrobi wszystko, aby zobaczyć ją taką, jak ją Pan Bóg stworzył) i wizja ta nie opuszczała go przez kolejne dni pobytu w majątku podkomorzego. Jako człowiek czynu szybko przeszedł do dzieła.

– Słuchajcie, waćpanno. Mam dla was propozycję. Eufrozyno, jeśli mi pokażesz swoje drażniątka⁴⁰, dam ci namalować oko twojego pryncypała na trumiennym portrecie! – Tomasz spojrział głęboko w oczy krzątającej się obok niego po izbie dziewczynie, która przygotowywała zaprawę dla połaci cyny, na której miała namalować kolejny herb rodu Grabowskich.

Nie mógł znieść jej bliskości, musiał ją posiąść jak najszybciej. Wszystko mu się podobało w tej zdolnej dziewczynie: chmurne spojrzenie jak u dzikiego zwierzątka, chłopięce, drobne ciało, a nawet śmieszna przerwa między przednimi górnymi zębami. Przez nią czuł, jak wygasły płomień znowu rozpałił jego trzewia. Wydawało mu się, że znowu ma dwadzieścia lat.

Eufrozyna spojrzała na niego hardo z ognikami w oczach.

– Pokażę ci je, a w zamian pozwolisz mi namalować oko i ucho – odparła stanowczo.

Tomasz westchnął z uśmiechem.

– Niech i tak będzie – rzekł, po czym z napięciem jął wpatrywać się w opinający klatkę piersiową dziewczyny sznurowany z przodu kształcik o miodowym kolorze.

Ona zaś, nie spuszczać wzroku z malarza, pociągnęła za wiązanie i szybko uwolniła się od opinającej ciała części garderoby. Tomasz patrzył urzeczony, jak energicznym ruchem dziewczyna ściąga przez głowę białą koszulę o szerokich rękawach, a następnie delikatne gieżło, aż jego oczom ukazuje się blada klatka piersiowa z ledwo zarysowanymi piersiátkami o różowych, sterczących sutkach. Westchnął boleśnie i zrobił krok do przodu, bezwiednie wyciągając w kierunku dziewczyny pobrudzone farbami ręce. Ale Eufrozyna w porę zakryła piersi rękoma i robiąc zagniewaną minę, powiedziała stanowczo:

– Chciałeś, waćpan, zobaczyć drażniątka, zobaczyłeś! Jeśli chcesz więcej, musisz mnie stąd zabrać. Jeśli mnie wywieziesz, pozwolisz zamieszkać w innym domu i malować, co tylko będę chciała, moje ciało będzie twoje i skorzystasz z niego do woli!

Czując, jak jego lędźwie płoną z pożądania, Tomasz, niewiele myśląc, złożył dziewczynie obietnicę. Dopiero nocą, nie mogąc spać, myślał gorączkowo o tym, w jaki sposób spełnić złożone przyrzeczenie. Musiał ją wywieźć pod osłoną nocy, najlepiej przebraną za swojego pachotka. Tylko dokąd mieli jechać w ten zimowy, trudny czas?

Nagle przyszła mu na myśl Warszawa i kamienica Pod Lutnią. Nie miał pojęcia, czy jego żona nadal tam mieszkała, czy w ogóle miał dokąd wracać. Jednak nie widział lepszego rozwiązania. Pomyślał, że najdalej za dwa dni dokończy ostatni z portretów rodziny Grabowskich i kiedy tylko otrzyma należną zapłatę, ruszy konno ku Warszawie.

Nazajutrz obudziły go bijące złowieszczo dzwony. Okazało się, że o świcie niespodziewanie wyzionął ducha podkomorzy Grabowski. *Vita brevis ars longa est*⁴¹ – napisała Eufrozyna czarną farbą na dole swojego obrazu, który przedstawiał taniec kościotrupów. Doskonale oboje z Tomaszem rozumieli, na czym powinni skoncentrować swoje życiowe siły.

Tomasz postanowił, że święta Bożego Narodzenia spędzą w majątku podkomorzego i dokończą to, co pozostało do zrobienia, a zaraz po uroczystościach pogrzebowych wyjadą oboje do Warszawy. Ona przebrana w chłopięcy strój parobka nie powinna wzbudzać zainteresowania, nawet jeśli będzie jechała razem z nim na koniu. W ten sposób będzie mógł w pełni zakosztować życia z tą przedziwną istotą.

Trwał pogrzeb bogatego podkomorzego Jana Grabowskiego. Dzwony kościelne biły od trzech dni. W kościele nieustannie odprawiano msze w intencji duszy nieboszczyka. I wreszcie w czwartej dobie uroczystości, w niedawno wybudowanym – głównie z funduszy Grabowskich – kościele nadszedł moment

kulminacyjny, gdy po raz ostatni żegnano wielkiego męża, zmarłego tydzień przed Bożym Narodzeniem, w sile wieku, niespodziewanie powalonego przez atak paraliżu, którego przyczyn żaden z przybyłych z pobliskiego Lublina medyków nie umiał wyłożyć.

Zgodnie z obyczajem ze zwłok podkomorzego usunięto wnętrzności, a potem przez kilka tygodni zwłoki czekały zabalsamowane, aż miną święta i rodzina zdąży przygotować uroczystości pogrzebowe, które miały być pokazem siły, zamożności i chwały rodu Grabowskich. Zaproszono prawie tysiąc gości i aby należycie przyjąć znamienite towarzystwo (rodzinę, sąsiadów, możnych, duchownych i urzędników), ubito prawie setkę wołów.

Najpierw ubrany w paradny strój nieboszczyk leżał kilka dni w izbie swego domu, w otwartej trumnie wyściełanej czarnym ałasem, na specjalnie w tym celu wzniesionym i udekorowanym kwiatami i czaszkami katafalku. Przy tym oświetlonym skąpym światłem łożu czuwał kuzyn – ubrany podobnie, jak za życia nosił się podkomorzy – odgrywał w uroczystościach rolę sobowtóra zmarłego. Dym kadzideł neutralizował smród rozkładających się zwłok, ale i tak przychodzący do izby goście zasłaniali twarze chustkami. Płaczki zawodziły żałobne pieśni.

W dniu, w którym nastąpić miało złożenie do grobu, trumnę ustawiono na katafalku w świątyni. Ośmiograniasty cokół zwany *castrum doloris*⁴² otaczały wyrzeźbione, tak modne wśród szlachty i duchowieństwa figury zwane *putto*⁴³, symbolizujące roztropność, sprawiedliwość, męstwo i wstrzeźliwość. Rzeźby te cieszyły się obecnie wielką popularnością – zdobiły niemal każdą nową świątynię, każdy pałac i fontanny, aż Tomasz przez jakiś czas poważnie zastanawiał się nad porzuceniem malarstwa i rozpoczęciem produkcji tych pękatek amorków.

Z obu stron stopni prowadzących do trumny leżały wiązanek kwiatów, ludzkie czaszki oraz klepsydry przypominające o tym, że czas nigdy się nie zatrzymuje. Tarcze herbowe (malowane zresztą przez Eufrozinę) ustawiono przy górnej części trumny, od strony głowy zaś umocowany był portret trumienny Jana Grabowskiego (kończony przez Tomasza w pośpiechu) – męża o surowej pociągłej twarzy, noszącego się po sarmacku, z wąsem, podgolonymi po bokach włosami, ubranego w purpurowy kontusz o złotych guzach. W dole trumny stała tabliczka z epitafium. Po bokach trumny paradnie ubrani członkowie rodziny trzymali straż, dzierżąc w dłoniach sztandary z rodowymi herbami.

Zabrzmiały organy. Ksiądz zaintonował pieśń po łacinie i wszyscy zgromadzeni w kościele dołączyli do jego głosu. Rozpoczęto uroczystości. Poruszając orację wygłosił przybyły aż z Lublina jezuita, którego mowa miała później wyjść drukiem i przysporzyć rodzinie Grabowskich sławy oraz świadczyć o potędze rodu silniejszej niż sama śmierć.

– Zabierz mnie, waćpan, stąd jak najszybciej... To okropne, przecie te

splendory życia podkomorzemu nie wróca... – szepnęła Eufrozyna do stojącego obok niej Tomasza.

Była wyraźnie poruszona mową pogrzebową księdza, który przejmująco opowiadał o krótkim ziemskim życiu i prochu, w który wszyscy się obróca.

– Nie lękaj się, waćpanna, śmierć na każdego czyha z kosą, dlatego trzeba się cieszyć życiem, póki można. Jam nie z tych, co to się umartwiają i trzęsą się ze strachu. Przy mnie zaznasz uciechy, już ja ci to mówię! – pocieszył ją Tomasz.

W tym momencie do kościoła wjechał na pięknie przystrojonym koniu sobowtór zmarłego. Przed katafalkiem z trumną teatralnie spadł z wierzchowca na drewnianą podłogę kaplicy. Ogromny huk przebudził wszystkich umęczonych długimi uroczystościami gości. Następnie kuzyn Grabowskiego występujący w zaszczytnej roli jego sobowtóra złamał rodową szablę należącą do zmarłego, a zaraz potem jego pieczęć, co stanowiło symbol odejścia z ziemskiego padolu. Wiele osób zgromadzonych w kościele płakało porażonych myślą, jak szybko przemija ziemska chwała.

Po trwającej przeszło dwie godziny mszy uformowała się z uczestników uroczystości procesja żałobna, do której dołączyli miejscowi żebracy, aby wedle zwyczaju otrzymać później jałmużnę i ciepłą strawę. Za procesją prowadzono też najlepsze konie ze stajni Grabowskiego, udekorowane piórami i narzutami ze złotogłowa, a także herbami rodu podkomorzego. Wkrótce przekoczono wzniesioną specjalnie w tym celu bramę triumfalną u progu cmentarza. Od tej chwili zmarły rozpoczynał życie wieczne.

Mowom krewnych zmarłego, płaczom i zwodzeniom nie było końca. Po tym, jak podkomorzy spoczął w rodzinnym grobowcu, jego krewni zaprosili wszystkich na stypę, do której miała przygrywać kapela.

– No, nareszcie! Miodu trza się napić, zimno potwornie! – westchnął Tomasz i wraz z tłumem gości pośpieszył w kierunku dworu, gdzie czekały już stoły uginające się od jedzenia.

2.

Warszawa, jaka ukazała się oczom przybyszów, zadziwiła ich swoim majestatem i bogactwem. Tomasz nie mógł oczom uwierzyć, jak bardzo miasto się rozrosło, zabudowane nowymi pałacami, dworami i kościołami. Eufrozyna przybyła tu po raz pierwszy i nie mogła wyjść z podziwu dla jego ogromu, gwaru i zamożności.

Warszawa za panowania Władysława IV miała swój czas „złotego pokoju”. Od lat miasta nie strawił większy pożar, a potworne epidemie stały się ponurym wspomnieniem. Niemal wszystkie wojny prowadzone w ostatnich latach zostały zakończone, pretensje do szwedzkiego i moskiewskiego tronu ucichły, uspokoili się Kozacy, a widmo tureckiego najazdu stało się mało realne. Europa od lat

niszczona była przez wojnę trzydziestoletnią, a na Mazowszu ludzie wiedli w miarę dostatnie życie, patrycjat miejski i kupcy bogacili się, szlachta coraz bardziej rosła w siłę.

Stara Warszawa pękała w nienaruszalnym pierścieniu murów, w naturalny więc sposób miasto zaczęło rozlewać się na zachód i południe. Wzdłuż Krakowskiego Przedmieścia magnaci i zasłużeni dla korony urzędnicy – wszyscy ci, którzy chcieli być blisko króla i dworu – zabiegali o przyznanie im działek na terenach otaczających zachodnią stronę zamku lub kupowali je, żeby budować oszalałymi przepychem i bogactwem pałace i w większości drewniane dwory. Otoczone ogrodami wystawne siedziby moźnych zachwycaly każdego, kto przybył do Warszawy, robiąc szczególnie silne wrażenie na cudzoziemcach, którzy przyjeżdżając do polskiego miasta, nie spodziewali się zastać w nim takiego bogactwa.

Król nie miał silnej ręki, ale uważany był za władcę sprawiedliwego i mądrego. Nie był też władcą gospodarnym – trwonił pieniądze z królewskiego skarbcza na zabawy, polowania i przedstawienia. Równie mocno co operą interesował się osiągnięciami świeckiej nauki (korespondował z samym Galileuszem), architekturą i sztukami plastycznymi, które miały wedle królewskiej filozofii potwierdzić majestat rodu Wazów.

Przed sześcioma laty na zamku w Warszawie po raz pierwszy odbyło się królewskie wesele – czterdziestodwuletni król poślubił swoją cioteczną siostrę, brzydką jak noc Habsburżankę Cecylię Renatę. Małżeństwo nie należało do zbyt udanych, a król nie czuł ponoć pociągu do małżonki i przez pierwsze lata związku nie chciał odprawić swojej wieloletniej kochanki, czarnowłosej Jadwiźki, która dała mu syna. Cecylia Renata wymusiła jednak w końcu decyzję o odesłaniu znienawidzonej lwowianki. Jadwiga została wydana za mąż za dworzanina i wraz z dzieckiem króla zamieszkała w dalekim Mereczu na Litwie, dokąd król często jeździł na polowania oraz po to, by ją odwiedzać. W tysiąc sześćset czterdziestym roku królowa dała mężowi upragnionego męskiego potomka – urodziła królewicza Zygmunta i od tego czasu stosunki między małżonkami poprawiły się.

Władysław IV, kiedyś tak pełen werwy i chęci do zabawy, od kilku już lat poważnie niedomagał. Po przekroczeniu czterdziestego roku życia przykre objawy dawała nabyta w czasie europejskiej podróży młodego Władysława choroba francuska⁴⁴. Ogromna tusza, poważne bóleści kałkułu⁴⁵, powszechne w rodzinie Habsburgów podagra i reumatyzm – wszystko to sprawiło, że król w niektórych okresach nie był w stanie poruszać się o własnych siłach. Dworzanie wozili go w specjalnie wykonanym fotelu, a w zamku nadworny architekt Gisleni skonstruował krzesło, na którym – niczym windą – spuszczano Jego Królewską Mość. Zdarzało się, że na obrady sejmowe wnoszono króla leżącego na łożu, cierpiącego bóleści z powodu choroby lewej nogi, która była tak spuchnięta, że

była czterokrotnie grubsza niż prawa.

Zielony dom Pod Lutnią przy ulicy Krzywe Koło wyglądał na nieco bardziej zaniedbany niż wówczas, gdy Tomasz uciekał z Warszawy, zostawiając kamienicę na łasce żony, której się tak wstydził. Teraz okazało się, że biedaczka zmarła przed dwoma laty, dom zaś przejął magistrat i umieścił w nim swoich urzędników wraz z ich rodzinami.

Przybywając jako prawowity właściciel budynku (co potwierdzał wydany po procesie ze Żmijem dokument), Tomasz wprowadził w popłoch tymczasowych mieszkańców. Udostępniono mu obszerną izbę od strony ulicy, gdzie malarz umościł się wraz ze swym parobkiem.

Pierwszego dnia pobytu w mieście Szpakowski spędził wieczór w winiarni u Fukiera na Rynku, gdzie spotkał nawet kilku znanych mu przed laty warszawian. Wysłuchiwał plotek o królu, panoszącej się szlachcie, bogaczach kręcących się na dworze i zbijających fortuny.

Jeden ze spotkanych kompanów przekazał malarzowi wieści o niewidzianych przez Tomasza od wielu lat siostrach. Młodsza, Anna, nie wyszła za mąż, straciła reputację i powszechny szacunek, gdyż – jak mawiano – dla występów w operowych przedstawieniach na dworze gotowa była zrobić wszystko.

– Niejedną rurkę ssała, ponoć jest mistrzynią... – zaśmiał się jeden z mężczyzn.

– Jeszcze raz nazwiesz Anusię bezwstydnicą, a popamiętasz! – nie wytrzymał Tomasz i pełen wigoru po wypiciu kilku kielichów alikantu wyciągnął zatknięty za pas krótki nóż, czym wywołał popłoch w gospodzie.

Kompani zdołali uspokoić malarza, wspominając drugą z jego sióstr.

– Słyszeliście, Tomaszu, że wasza siostra Julianna porzuciła w końcu wdowieński stan i wydała się za mąż za syna podczaszego, za szlachcica! Po prawdzie, gdyby nie jej ogromny spadek po jej pierwszym mężu, chciwi Jadowscy nie przyjęliby jej do rodziny. Ale mawiają, że młody Kacper Jadowski zgłupiał na jej punkcie i nic mu nie przeszkadzało, co ludzie mówią o ślicznej wdówce...

– Waćpan! Waż, proszę, słowa, gdy o mojej siostrze mówisz! – zagroził Tomasz.

– Wybaczcie, panie, zwę się Adam Jarzębski, jestem skrzypkiem w orkiestrze Jego Wysokości króla naszego błogosławionego, czy pamiętacie mnie, panie? Spotkaliśmy się przy grze w kości wiele lat temu, jeszcze w zajeździe pana Laurentego przy Długiej ulicy – odezwał się nagle wykwintnie ubrany jegomość lat około czterdziestu.

Wypielęgnowana broda w szpic, wąsy i śnieżnobiały, wyłożony na kolet kołnierz świadczyły o jego zamożności.

– Ach tak! Witajcie, panie Jarzębski. Nie poznałem... – odparł nieco już spokojniejszy Tomasz. – Pan byłeś przyjacielem mojego ojczyma?

– Przyjacielem... Nie! Po prawdzie nie pałałem do niego zbyt afektem, bo powiem waćpanu, że ten człowiek mnie okradł i nigdy nie chciał się do tego przyznać! Razu pewnego zabrał moje papiery z zapisem nutowym nowych pieśni i je sobie przywłaszczył! Potem prezentował me kompozycje jako swoje, a ja nie potrafiłem dowieść, że je stworzyłem!

Nietajona niechęć wobec leżącego od dawna w grobie Laurentego sprawiła, że Tomasz spojrział na Jarzębskiego przychylnie. Zaprosił go do stołu i zaproponował dzban piwa.

– Panie Szpakowski, kontent jestem, że waćpana spotkałem! Pan jesteś malarzem, jak dobrze pamiętam? Mam dla waćpana pewną propozycję...

Jak się okazało, muzyk kapeli królewskiej wpadł jakiś czas temu na niebywały koncept opisanie Warszawy i wydania w formie książki pierwszego przewodnika po tym mieście. Ponoć wszystkie ważniejsze miasta Europy zostały już opisane w ten sposób, a przyjezdni, przybywając po raz pierwszy do odwiedzanego miejsca, kupowali książkę, aby móc poznać miejsce, w którym właśnie się znaleźli. Jarzębski gotów był pokusić się o napisanie podobnego dzieła, co więcej, miał już upatrzonogo protektora dla swojego projektu, który obiecał pokryć koszty i częściowo sfinansować pomysł. Postawił tylko jeden warunek: w książce miały się znaleźć odpowiednie informacje na temat jego pałacu i innych składników majątku. Adam poszukiwał teraz zaufanego rysownika, który umiałby dobrze naszkicować co ważniejsze obiekty Warszawy, tak aby obrazy te wzbogaciły wymowę przewodnika. Stąd, widząc Tomasza, pomyślał o jego zaangażowaniu w ten projekt.

– Kto to taki? Kto będzie patronował pracy waćpana?

– Sam jaśnie wielmożny Adam Kazanowski, od kilku miesięcy już nie podkomorzy koronny, ale sam marszałek nadworny koronny! Wielka persona! – szeptem odparł muzyk, rozglądając się dookoła, by sprawdzić, czy nikt nie podsłuchuje ich rozmowy.

– Ten sam, co trzynastoletnią białogłową wziął sobie za żonę, tak mu było pilno zagarnąć jej posag?

– Daj, waćpan, pokój... To bliski przyjaciel króla, bardzo znamienity człowiek, jedno jego słowo może uczynić cię bogatym i jedno słowo może zniszczyć! Waćpan, chcesz ze mną coś zdziałać? Dam ci chwilę do namysłu, ale muszę wiedzieć to prędko! Nie mam czasu czekać.

Jak się okazało, skrzypek miał już obmyśloną trasę po mieście. Nosił w kieszeni kaftana kartkę papieru z wypisanymi obiektami i najważniejszymi punktami miasta, jakie należało opisać. Ostatecznym argumentem była sakiewka szelągów, które zaproponował Tomaszowi jako zaliczkę na poczet płatności za rysunki. Zaznaczył, że jeśli szkice spodobają się jaśnie wielmożnemu Kazanowskiemu, zarobek będzie spory.

– Spotkałem wielu cudzoziemców, których nasze miasto wprowadziło w zachwyt. Dziwują się, że tu tak pięknie. Dwory magnackie największe robią wrażenie. Wielu przybyłych pyta o jakieś pisma, książki, jakie w innych miastach Europy dostępne są dla cudzoziemców chcących poznać nowe miejsce, jego najznamienitsze budowle. Warszawy nikt dotąd nie opisał, nikt nie dał o niej świadectwa, żeby zachęcić gości z zagranicy do oglądania tutejszych wspaniałości. A przecie i u nas nie brakuje pięknych kościołów, mamy Zamek Królewski, a nasze pałace, dwory są wspaniałe i okazałe, choć ponoć nigdzie w świecie tyle z drewna się nie buduje co u nas. Ale przecie kamień ani cegła nie są tak zdrowe jak drewno właśnie – tłumaczył Jarzębski.

– Ale też drewno płonie niezrównanie łatwiej... – wtrącił Tomasz.

– Tak... To prawda, dlatego też to piękno miasta trzeba nam uwiecznić! Ja słowem, ty kreską! Kościoły, Zamek Królewski, pałace... Mamy co pokazać światu! A pożytek z takiej publikacji będzie dla wszystkich ogromny! Wielu, oj, wielu moźnych zechce, aby ich siedziba opisana była w naszym dziele, zarobimy na tym sporo dukatów! Od kilku dobrych lat każdy, kto liczy się w kraju, buduje swój pałac albo dwór w okolicach Starej Warszawy. Im bliżej zamku i króla, tym więcej znaczy taka miejska posiadłość. Naliczyłem ponad pięćdziesiąt dworów, które możemy opisać, wybiorę ze dwadzieścia najokazalszych.

– Tylu moźnych sprowadziło się w okolice Warszawy? – zdziwił się Tomasz.

– Od kiedy spokojniej się zrobiło w kraju, król często w Warszawie albo Jazdowie siedział, każdy, kto cokolwiek znaczył w Rzeczypospolitej, nabrał chętki, aby pięknie i wygodnie mieszkać, kiedy przybywa na sejm. Dworem można się pochwalić, ukazać potęgę swego rodu, zaznaczyć swą wagę na tym świecie. Jakżeby inaczej... – tłumaczył Adam.

– I tak to wszystko nic niewarte, skoro śmierć wszystko zabierze, czy kto ważny i bogaty, czy biedny i bez żadnego dorobku – westchnął Tomasz i kiwnął w kierunku karczmareczki, aby przyniosła mu kolejny dzban piwa.

– Dla potomności trzeba jednak coś zostawić, drogi Tomaszu! – Jarzębski poklepał malarza po ramieniu i wychylił zawartość swojego naczynia.

W trakcie ich rozmowy Eufrozyna siedziała wciśnięta w nieoświetlony żadną świecą kąt obitej drewnianą boazerią ściany, ani razu się nie odzywając. Muzyk co chwila spoglądał w jej stronę, przez co czuła się dość nieswojo. Zdawało się jej, że pan Adam od razu odgadł, iż pod męskim ubraniem kryje się młoda panna.

– Parobka zostaw przed wejściem, niech czeka na ciebie – powiedział Jarzębski, kiedy przekraczali próg kolejnego szynku, tym razem Pod Zieloną Gwiazdą, dokąd udali się, by kontynuować rozmowę w spokojniejszym miejscu. Pan Jarzębski był bardzo ostrożny i zazdrośnie strzegł swojego konceptu opisanania Warszawy.

– Lepiej niech parobek siedzi w środku, słabego jest zdrowia, a deszcz zaraz spadnie. Nie będzie nam przeszkadzał – odparł Tomasz.

Kiedy muzyk wyszedł oddać mocz na wewnętrzne podwórko gospody, malarz dawał dziewczynie popić piwa ze swojego dzbanu i ugryźć kawałek mięsiwa i wyjątkowo niesmacznego chleba.

– Co myślisz o tym opisanu Warszawy? – zagadnął Eufrozyne, gdy skrzypek po raz kolejny (ciągle dokuczał mu ból pęcherza) udał się na podwórko za potrzebą.

– Nie masz, waćpan, na ten czas innej roboty, a tu w mieście niewiele raczej trumiennych portretów namalujesz – trzeźwo zauważyła dziewczyna.

Spojrzał na nią z uznaniem.

– Zdziwiasz mnie, waćpanna... Masz łeb na karku, jak na taką młodą dziewczkę, jesteś wyjątkowo sprytna. Po prawdzie, miałem szczęście, że cię spotkał.

Tomasz spojrzał na dziewczynę z szerokim uśmiechem i złapał palcami jej brodę, nie mogąc się oprzeć chęci zwrócenia ku sobie jej okrągłej buzi, która tak zabawnie wyglądała w płaskiej czapce. Jej błyszczące oczka i małe usta przywodziły na myśl małego liska.

Pomyślał, że byłby głupcem, nie przyjmując propozycji Jarzębskiego, tym bardziej że był to człowiek, który odnosił sukcesy na wielu polach i udawało mu się każde przedsięwzięcie. Muzyk był powszechnie znany, szanowany i nadzwyczaj zaradny. Nie dość, że zdołał w krótkim czasie zostać właścicielem dwóch kamienic w obrębie Starej Warszawy, komponował i koncertował w kapeli królewskiej, to jeszcze król zrobił go administratorem wielkiej przebudowy Zamku w Jazdowie pod miastem, gdzie Jarzębski pomagał przy poważnych pracach. A teraz wymyślił jeszcze to opisanie Warszawy, żeby przypodobać się potężnemu Kazanowskiemu...

Tomasz wiedział, że przy kimś takim nie zginie. A dzięki zleceniu przez większość dnia będzie miał przy sobie Eufrozyne. Bliskość jej młodego, gibkiego ciała działała ożywczo na mężczyznę w jego wieku.

– Zgadzam się, waćpanie. Zabierajmy się do roboty! – rzucił w stronę pana Adama, gdy ten pojawił się przy zastawionej dzbanami piwa ławie.

– Jakże się cieszę, Tomaszu! Przeczytam ci, co żem do tej pory napisał. To będzie historia wierszem... Opisuję miasto, jakbym był jakimś chłopkiem, co to wraca z Warszawy i opowiada o tym, co widział! – To mówiąc, Jarzębski wyciągnął zza kaftana jakieś złożone niczym list zwitki papieru i przeczytał:

Czytaj pilno, patrz na chłopka:

Nowego coś od parobka

Ustyszemy tu na drodze.

Widzę, prędko bieży srodze.

– I chłopak miałby takie wiersze składać? – zdziwił się Tomasz.

– Taki koncept obmyśliłem, nic ci do tego. Ty się zajmuj rycinami! – Jarzębski rzucił malarzowi gniewne spojrzenie i kiwnął na szynkarkę.

– Dajcie, dobra niewiasto, jeszcze jeden, ostatni dzban piwa. Ten jegomość płaci! – Muzyk wskazał na Tomasza, który skrzywił się tylko, ale nie odpowiedział ani słowem.

3.

Zaczęli od Rynku Starego Miasta, gdzie Jarzębski polecił Tomaszowi narysować wąskie kamieniczki z bogatymi polichromowanymi i złoconymi fasadami oraz ukrytymi za attykami dachami, a także stojący na środku ratusz i otaczające go liczne, wielobarwne stragany. Muzyk zdziwił się, widząc, że nie tylko Szpakowski, ale też jego parobek o gładkiej twarzy siadają na zydelkach i obaj wyciągają teczki z papierem, na którym każdy z nich po swojemu zaczyna kreślić zarys ciasno przytulonych do siebie, bogatych domów.

– Cóż to, waćpan, szkolisz parobka na malarza? – z drwiną zapytał pan Adam i zaśmiał się w głos.

– Zdolny z niego chłopak, będą z niego ludzie... – mruknął Tomasz i zabrał się do rysowania.

Spod jego ręki wyszedł szkic stojącej w pobliżu ściany ratusza żelaznej klatki zwanej kuną, w której magistrat przetrzymywał złodziei, rzeźmieszków, czasami kobiety lekkich obyczajów albo wyjątkowo pyskate przekupki. Siedzieli tam przez kilka czy kilkanaście dni, wystawieni na widok publiczny, moczeni przez deszcz albo śnieg, lżeni przez przechodniów albo dzieciaki, które wrzucały do klatki drobne kamienie i wyśmiewały kulącego się przed ciosami nieszczęśnika.

– „Panie, gdym wszedł raz w Rynek, pięknym widział tam budynek” – wyrecytował Jarzębski, rozglądając się wokół siebie po najbardziej reprezentacyjnym i bogatym placu miasta.

Bardziej niż reprezentacyjne budowle interesowały go jednak kręcące się po Rynku przekupki, dziewczki służebne, szynkarki, spacerujące w pięknych strojach panny na wydaniu i szanowane małżonki – niemal każda przedstawicielka płci pięknej zwracała jego baczną uwagę.

– Nie sposób nie opisać dokładnie warszawianek! To powinien każdy przybysz wiedzieć, że u nas białogłowy są gładkie i czarujące! Jakież one wystrojone, jak zmyślnie umieją obejść ustawy przeciw zbytkowi! Co jedna, to ładniejsza, ach, nie wytrzymam! – Muzyk aż cmokał, lustrując niewiasty krążące

przy straganach i robiące sprawunki w eleganckich sklepach ulokowanych w kamienicach okalających Rynek.

– Niechże Tomasz narysuje choć kilka tych młodych panien z modlitewnikami w dłoniach. Do fary spieszą, będą tam sobie klęczeć i modlić się, gołąbeczki...

– Ten Jarzębski to pies na baby! – szepnął Tomasz do ucha Eufrozyny, upominając ją, aby czapkę głębiej naciągnęła na oczy, bo firanka jej długich rzes mogła zdradzić jej płeć.

– Co myślicie, Tomaszu, na takie rymy?

Od złota, perel, kamieni

Zaledwie wzroku nie mieni.

Oko piękne, brew czarniuchna,

A płci białej, rumieniuchna;

Matka za nią, dziewczę sprawne

Książki niesie, w złoto wprawne.

– Zdolni jesteście, panie Adamie, żeby tak z miejsca wierszem mówić, to niezwykle... – mruknął pod nosem Tomasz, rozglądając się za jakimś parobkiem, który przyniósłby mu szklanicę piwa.

– Muszę czym prędzej zapisać to, co w głowie się zrodziło, pamięć u mnie krótka! Wy sobie tu rysujcie, a ja w szynku Pod Zmokłą Kurą na Kanonii będę na was czekał! – To powiedziawszy, pan Adam zawinął się na pięcie i odszedł żwawym krokiem.

W zajeździe nakazał przynieść sobie śledzie, dzban piwa, kałamarz, inkaust i wyjął z noszonego ze sobą worka pióro oraz papier. Jął pisać, a z każdym łykiem złocistego napoju rymy powstawały w jego głowie z większą łatwością.

Chłopku, a skądże ty idziesz?

Z Nowej Warszawy, mój panie.

A rychłoż do domu przyjdiesz?

Jak Bóg zdarzy, tak się stanie.

Czy to we śnie, czy na jawie

Prawisz o Nowej Warszawie?

Nie wyssałem tego z palca,

Zapytajcie tego malca!

Pani, gdym wszedł właśnie w Rynek,

Pięknym widział tam budynek.

A cóż za budynek taki?

O, głupcze, taki owaki!

Barzo kamienice śliczne

W Rynku, także i uliczne,

Błyszczą się od złota prawie;

Nie masz takich w Czersku, w Rawie.

Dalej pan Adam opisał *magistratus* i jego słynnych członków, poszczególne domy przy Rynku, starając się nie zapomnieć o żadnej z ważniejszych rodzin warszawskich, których przedstawiciele od kilkudziesięciu, a niekiedy kilkuset lat zasiadali we władzach Starej Warszawy i piastowali najważniejsze stanowiska.

Ułożył pochwalne peany na cześć Gizów, Baryczków, Strubiczów, Drewnów, Działottów oraz Czerskich. Każdemu, kto cokolwiek znaczył, pan Jarzębski pragnął odpowiednio się przypodobać.

Jak się wkrótce okazało, Eufrozyna w zadziwiający sposób umiała naszkicować sylwetki kościołów z ich wieżami, umiejętnie oddając najdrobniejsze detale budowli. Narysowała niewielki kościół jezuitów i stojącą obok niego farę. Sporządziła też kilka szkiców bogatego wnętrza, w tym chrzcielnicy, grobów książąt mazowieckich i kaplicy Baryczków, gdzie spoczywał krucyfiks z poczeriałego drewna, który szczególnie zwrócił jej uwagę.

Tak wiarygodnie narysowała strzelistą sylwetkę gotyckiego kościoła Świętego Jana, że na widok jej prac Jarzębski wykrzyknął zdumiony:

– Tomaszu, oto uczeń przerósł mistrza! Pięknie żeś wyuczył swego parobka. Po prawdzie nie powinieneś go tak niegodnie nazywać. To twój uczeń, dumny bądź

z niego. Wybacz, ale rysunki tego tu oto chłopca bardziej mi do gustu przypadły niżli twoje... Rzecz jasna wszystkie panu Kazanowskiemu przedłożymy i to on wybierze te, za które będzie chciał zapłacić. Przypomnij, chłopcze, jak cię wołają?
– zwrócił się muzyk do stojącej w pąsach Eufrozyny.

– Ja... Eu, Eu, Eufrozyn mnie zowią, panie.

– Po prawdzie rzadkie imię. Eufrozyna to owszem, znałem jedną taką... – Pan Adam spojrzał wnikliwie na drobną postać w zniszczonym kaftanie i za dużych portkach, ale nic więcej nie powiedział.

Malarz zgrzytnął jedynie zębami i rzucił wściekle spojrzenie w kierunku muzyka. Dziewczyna w okropnym stroju parobka starała się z całych sił powstrzymać triumfalny uśmiech.

Jarzębski zaproponował, aby to Eufrozyn stworzył kilka rysunków kościoła Świętego Marcina przy Piwnej, na co Tomasz przystał, nie okazując nawet urazy.

– W takim razie idę napić się gorzałki, a jak Eufrozyn skończy, niech przyjdzie do karczmy i pokaże nam swoje dzieła – odrzekł tylko i wraz z muzykiem skierowali swe kroki ku kościołowi Świętego Jana.

Kolejnego dnia, po pobeżnym obejrzeniu zamku (w jego murach odbywały się właśnie obrady sejmowe i nie można było zwiedzić ważniejszych pomieszczeń), przez Bramę Krakowską pan Adam i jego kompani opuścili Starą Warszawę.

Następna wytyczona przez muzyka trasa wiodła przez Krakowskie Przedmieście, gdzie ulokowanych było najwięcej pałaców i dworów, które trzeba było opisać i narysować. Zajęło im to kilkanaście dni. Najbardziej reprezentacyjny, górujący nad miastem pałac dobrodzieja Kazanowskiego, pan Jarzębski pozostawił na koniec tego etapu zwiedzania miasta, niczym deser po sutym obiedzie.

Po dokładnym obejrzeniu i naszkicowaniu kościoła Świętej Anny trójka piechurów odwiedziła drewniany pałacyk króla zwany Villa Regia, a następnie rozsiane wzdłuż traktu, otoczone bujnymi ogrodami i gospodarskimi zabudowaniami pałace możnych.

W ciągu kolejnych dni Jarzębski opisał wiele dworów należących do możnych panów, a Tomasz i Eufrozyna wykonali rysunki tych znamienitych budowli. Najwięcej uwagi poświęcili tym przybytkom, gdzie należycie ich ugoszczono i gdzie zaproponowano zapłatę w podzięcie za utrwalenie w przewodniku danego domu. I tak pan Adam postarał się pięknie opisać dwory: łowczego koronnego Gniewosza, pana Herarda – muzyka Jego Królewskiej Mości, proboszcza warszawskiego, jaśnie wielmożnego Koniecpolskiego, burgrabiego krakowskiego Czarneckiego, starosty łomżyńskiego Radziejowskiego, jaśnie wielmożnego Sobieskiego, wojewody ruskiego, jaśnie wielmożnego Denhoffa, wojewody sieradzkiego, starosty sochaczewskiego, wojewodziny podlaskiej oraz rezydencję księcia Radziwiłła.

– Zważ, waćpan, że wszystkie te dwory okazały się, ale każdy z nich wedle tego samego wzorca stawiany, jeden podobny do drugiego – westchnął Jarzębski, z trudem układając rymy opisujące poszczególne warszawskie siedziby możnych, którym tak chciał się przypodobać.

Warszawskie drewniane pałace i dwory, dziedzińce paradne i ogrody komponowano, wzorując się na włoskiej architekturze. Każdy budynek zdobiły baszty, wieże, strome dachy – zwykle czterospadowe – a także pięknie prezentujące się loggie otwierające się na zewnątrz arkadami przywodzącymi na myśl włoskie wille. Większość najpiękniejszych dworów posadowiona była na skarpie wiślanej, dzięki czemu mieszkańcy korzystali z ogrodów schodzących ku rzece i cieszyli nimi oczy, odpoczywając czy jedząc posiłki na tarasach albo w basztach o dużych oknach.

Na pierwszym piętrze urządzano zwykle reprezentacyjne pomieszczenia o wysokich sklepieniach, do których wiodły efektowne, szerokie schody zwane z włoska *piano nobile*. W salach specjalnie w tych celach budowanych urządzano paradne uczyty, z orkiestrą i wspaniałymi występami.

Wszystkie budowle zadziwiała przepychem i wystawnością. Widać było, że nikt pieniędzy nie skąpi na urządzenie warszawskich domostw, a panowie jeden od drugiego kopiują pomysły, prześcigając się w urządzeniu wnętrza, tak aby zadziwiała gości i od pierwszej chwili sprawiała wrażenie drogich oraz zgodnych z modą włoską.

Jedynie kilka najbardziej reprezentacyjnych budowli najznamienitszych możnych było zbudowanych z cegły z niewielkim dodatkiem kamienia. Oprócz przeznaczonego dla królewskiej rodziny wielkiego pałacu w Jazdowie – z jego tarasowymi ogrodami i zwierzyńcem, w którym znaleźć można było jelenie, sarny, króliki i małe leśne zwierzęta – do najpiękniejszych obiektów w pobliżu Starej Warszawy należał pałac jaśnie wielmożnego kanclerza wielkiego koronnego Jerzego Ossolińskiego. Oddalony od Wisły budynek zajmował spory teren na zachód od Bramy Krakowskiej⁴⁶. Ozdobiony wieżyczkami, wzniesiony był na planie prostokąta. Front pałacu zwrócony był w kierunku Krakowskiego Przedmieścia. Na górnej kondygnacji pyszniła się duża sala balowa rozciągająca się na całą długość budynku. Na samym środku płaskiego dachu posadowiono pawilon z oknami i spiczastym dachem, zwany *belvedere* (zapewniał widoki na Wisłę w zimowe dni), a wokół niego biegł taras, który otaczały zdobione barierki. Wewnątrz urządzonej z przepychem rezydencji zamontowano nawet w specjalnych szybach windy ciągnięte przez służbę na linach, aby jaśnie państwo nie musieli wspinać się po bardzo wysokich, reprezentacyjnych schodach, które każdą nowo przybyłą osobę wprawiała w osłupienie.

Jarzębski zaplanował, że najbardziej rozbudowany opis opatrzony największą liczbą rysunków poświęci pałacowi jaśnie wielmożnego marszałka

nadwornego koronnego Adama Kazanowskiego.

– W rzeczy samej pałac, jak się patrzy, piękniejszy nawet od Zamku Królewskiego – stwierdził Tomasz.

Budowla ta robiła na wszystkich wielkie wrażenie – zarówno na Polakach, jak i cudzoziemcach.

Położony bardzo blisko Bramy Krakowskiej i Zamku Królewskiego⁴⁷ budynek ten, darowany wiele lat temu przez młodego królewicza Władysława najlepszemu przyjacielowi Adamowi Kazanowskiemu, został rozbudowany, upiększony i wielkimi nakładami pieniędzy uczyniony najznamienitszą budowlą poza murami miasta.

Czterokondygnacyjny, ogromny pałac kanclerza budził zachwyt nie tylko mieszkańców miasta, ale również odwiedzających je cudzoziemców. Jarzębski opisał wygląd budowli, jej wnętrza i otoczenie z taką skrupulatnością, że wedle jego wizji siedziba ta była nie mniej dostojna od Zamku Królewskiego. Budynek na planie prostokąta zdobiły dwa narożne, wyższe od korpusu ryzality z namiotowymi dachami, których szczyty miały złote gałki. Od Krakowskiego Przedmieścia i z dwóch boków rezydencję otaczała fosa, a tarasowe ogrody o bogatej roślinności, z licznymi fontannami, rzeźbami i pawilonami wiodły ku rzece.

Wnętrza o marmurowych podłogach urządzone były z wielkim przepychem, udekorowane wieloma malowidłami o tematyce mitologicznej. Sala balowa o dwóch kondygnacjach, w której urządzano słynne na całą Warszawę bale, mogła pomieścić kilkaset osób i miała specjalne balkony, gdzie sadzano muzyków.

– Sam nieraz byłem tu najmowany, aby zabawiać wybornych gości kanclerza – westchnął Jarzębski.

Tomasza zachwyciła specjalnie urządzona łaźnia, a także zbrojownia i zwierzyniec z egzotycznymi stworzeniami. Zamknięte w klatkach małpy (cała trójka pielgrzymów po raz pierwszy miała sposobność zobaczyć na własne oczy te przedziwne stworzenia) swoimi krzykami wystraszyły Eufrozynę.

Jej rysunek pałacu wykonany od strony Krakowskiego Przedmieścia tak zachwycił Jarzębskiego, że ten nakłonił Tomaszowego ucznia, aby zgodził się wykonać szkic pałacu od strony Wisły, skąd prezentował się szczególnie potężnie i okazałe. Nie podejrzewając podstęp, malarz nie zgłaszał zastrzeżeń, gdy Adam i Eufrozyna zostawili go we wnętrzu pałacu, aby dokończył rysować reprezentacyjne schody w głównym korytarzu, sami zaś poszli na przystań nad rzeką z rzekomym zamiarem obejrzenia budowli z pokładu wynajętej łodzi.

Zalany wiosennym słońcem pałac robił jeszcze większe wrażenie. Widziany od strony Wisły budynek wydawał się najbardziej przykuwającym uwagę punktem rozlanego na skarpie miasta.

– Jak piękny musi być widok na rzekę i ogrody z tarasu i altany! Chciałabym tam mieszkać... – westchnęła Eufrozyna.

Siedząc na ławce łodzi, zapomniała o zachowaniu pozorów. Nagle ocknęła się i chciała się poprawić, ale lubieżne spojrzenie Jarzębskiego już krążyło po jej ciele.

– Wiedziałem! Od jakiegoś czasu nabrałem podejrzeń. Po co ci, waćpanna, ta maskarada? Tomasz zrobił sobie z ciebie niewolnicę? Czemu mu na to pozwalasz?

Nie czekając na odpowiedź, złapał silną dłonią dziewczynę za kark, przyciągnął do siebie i zatopił usta w jej wargach. Ta wzdrygnęła się i podskoczyła, tak że łódź zachybotała się i zaczęła bujać na boki, a sterujący nią przewoźnik ledwo zdołał utrzymać ją na wodzie, na której panował wielki tłok. Obok nich co rusz przepływały łodzie, promy i skutny.

– Co robicie? Owszem, jestem niewiastą, ale to nie znaczy, że można mnie brać ot tak, wedle życzenia! Przyznaj, waćpan, że gdybyście znali mój sekret, żaden mój rysunek nie zdobyłby waszego uznania. Nikt białogłowskiej pracy nie traktuje na równi z męską!

– Po prawdzie masz rację... Jeszczem nie widział nigdy, aby dziewczka, w dodatku tak młoda, umiała rysować jak jaki uczoney za granicą mistrz rysunku!

– Zostawcie mnie albo tak zacznę krzyczeć, że ludzie ze wszystkich tych statków i łódek ruszą mi na ratunek, a waćpan okryjesz się hańbą! – rzuciła ostro Eufrozyna.

– Ach... Jeszcze bardziej mi się podobasz taka waleczna! Ale ja nie z tych, co dziewczkę gwałtem biorą, poczekam, aż sama do mnie przyjdiesz... – z lubieżnym uśmiechem odparł pan Adam, cmokając bezwstydnie, jakby miał przed sobą kapłona, którego bardzo chce zjeść.

4.

Po tym, jak Adam rozpoznał płeć Eufrozyny (o czym nie omieszkął niezwłocznie powiadomić Tomasza), beztroska atmosfera między trójką przemierzających Warszawę kompanów nieodwracalnie się zmieniła. Mimo że dziewczyna nadal zakładała strój ubogiego parobka (liczyła na to, że Tomasz da jej trochę pieniędzy, za które mogłaby sobie sprawić niewieście ubrania, nabyć chociażby gotowe stroje na straganie u Szkotów, ten jednak nie wpadł na podobne rozwiązanie), nie czuła się w towarzystwie starszych mężczyzn tak bezwstydnie jak wcześniej.

Obaj zerkali na nią lubieżnie, a ich wzrok przypominał zachłanność dziecka wpatrującego się w leżące na stole cukry czy marcepany i niezmiernie ją krępował i utrudniał pracę. Panowie stali się wobec siebie złośliwi, niekiedy wręcz wrocy – z dnia na dzień coraz jawniej rywalizowali o względy dziewczyny. Prześcigali się w podarkach i uprzejmościach wobec Eufrozyny. A to otrzymywała od nich owoce czy słodkie pierniki w kształcie figurki rycerza, a to sznur koralu, których i tak nie

mogła nosić na ulicy. Podstawiali jej kielich z winem w szynku, w którym zatrzymywali się na posiłek, wyluskiwali co lepsze kęski z pieczonego korpusu kapłona i podtykali do ust. Gdy nikogo nie było wokół nich, prawili jej komplementy, czasami podszczyrywali albo próbowali dotknąć jej lica.

Z każdym dniem te zaloty coraz bardziej ciążyły Eufrozynie, tym bardziej, że mieszkała w domu Tomasza i że malarz traktował ją jako swoją zdobycz.

– To wszystko przypomina mi pewien obraz, który widziałem kiedyś w Rzymie. Nazywał się *Zuzanna i starcy*... – mruknął Tomasz.

Jechali właśnie konno od kościoła Świętego Krzyża przy Kaplicy Moskiewskiej z grobem cara Szujskiego do Jazdowa i położonego na wzgórzu zamku. Przemierzali tonące w wiosennym błocie, zamieszkałe przez rzemieślników, kowali i zdunów ulice położone u podnóża skarpy, w pobliżu koryta rzeki.

– Pamiętaj waćpan, że ta dziewczka sama zarabia na swoje utrzymanie! Czy dalsie jej chociaż szeląga za rysunki, które całymi dniami smaruje? – dogadywał Adam, podpuszczając też Eufrozinę, aby upomniała się o swoją dolę u malarza.

– Zapewniam jej wikt i opierunek, przecie chciała się uczyć. A to, co robi, jest jak terminowanie w pracowni, to nawet dla niej lepsze. Za to miałbym jej jeszcze płacić? – bronił się Tomasz.

Większą część otrzymanej zaliczki i tak już zdążył roztrwonić na karciane długi i miody, których znowu zaczął sporo wypijać każdego wieczora.

Po obejrzeniu i narysowaniu dopiero co wybudowanego, górującego nad zalesioną okolicą zamku w Jazdowie trójka kompanów wróciła przez wiejską drogę zwaną Nowym Światem, po czym skręciła na lewo ku drodze Świętej Trójcy w stronę arsenału.

Po tym, jak wiele godzin poświęcili, przemierzając puste place i leśne zagajniki, skierowali się ku Bielanom, gdzie Adam opisał, a „parobek Tomasza” narysował klasztor kamedułów. Stamtąd udali się traktem zakroczymskim do Nowego Miasta, gdzie obejrzeliby Rynek i ratusz nowomiejski, a wszędzie po drodze skromniejsze niż w pobliżu Krakowskiego Przedmieścia dwory możnych. Żadnego zacnego domu pan Adam nie chciał pominąć, każdy choć w kilku wersach opisał, aby nikogo nie obrazić i nie przysporzyć sobie żadnych wrogów.

Zwiedzanie dworków trwało tygodniami, aż nastał maj i muzyk zdał sobie sprawę, że musi kończyć swe dzieło, bo wraz z nadejściem ciepłych dni król przeniesie dwór do zamku w Jazdowie, a Jarzębski wraz z całą kapelą królewską będzie musiał siedzieć na wsi i zapewniać wieczorną rozrywkę uwielbiającym tańce i wesołe melodie dwórkom.

Swoją wędrówkę po mieście kontynuowali przez następne dni, przemierzając ulice: Freta, Długą – tam przypadkowo spotkali Kalinę, która na szczęście nie poznała Tomasza Szpakowskiego – potem ulicę Senatorską i Podwale. Przez

Mostową dotarli do przystani nad Wisłą i tam zakończyli wielką wycieczkę po Warszawie i jej okolicach. Tomasz i Eufrozyna narysowali kilka ostatnich rysunków Wisły i portu, po czym we trójkę udali się do karczmy, aby wznieść kielich wina za ukończoną eskapadę po mieście.

– Wiem, jak to zakończyć! Posłuchajcie! – Jarzębski rozwinął arkusz papieru i przeczytał:

Na skutę mię wziąć wolno.

Wsiadłem. Ja Warszawie daję

Dobłą noc, służby oddaję.

Com miał do domu piechotą,

Jadę z flisami, lichotą,

Do Gdańska, miasta sławnego

W handlach od czasu dawnego.

– Na samym końcu skreślę swoje imię i nazwisko! Za kilka dni dopracuję swoje rymy, moja żona wykaligrafuje mi to ładnie i będę mógł pokazać tekst Kazanowskiemu! A potem do drukarni i książka będzie gotowa! Na zdrowie!

Szpakowski wzniósł kielich, wychylił zawartość, po czym ze złośliwym uśmiechem powiedział:

– Nie obraż się waćpan, ale Kochanowskim to wy nigdy nie będziecie... Twoje rymy liche są tak, że... uuuu! Czasami ciężko tego słuchać. Ale rzecz jasna swego celu dopiąłeś, przypochebiłeś się pan wszystkim, którzy w mieście cokolwiek ważni są! Pokłony biję przed tobą! – kpił Tomasz.

Wino krążące w żyłach uwalniało w nim dawno uśpione demony przekory i złośliwości. Wesołe błyski w jego oczach zdradzały intencje. Dążył do zwady, ale Jarzębski nie dawał się sprowokować.

Pan Adam wzniósł kielich w stronę malarza i rzekł:

– Wypijmy za naszą pomyślność, aby zacni panowie, których dwory opisałem, a wy z Eufrozyną narysowaliście, odpłacili nam za to, że zostanie po nich wieczny ślad w księdze!

– Wieczny ślad? – Szpakowski się zaśmiał. – Żartujecie, skrzyпку! O tych lichych rymach i opisanu Warszawy, z którego wyszło opisanie bogatych pałaców, pamięć przeminie najdalej za rok, dwa! Owszem, ty dukaty zarobisz, kilku możnych zadowolenie okaże, ale żaden cudzoziemiec, żaden nawet przybysz

z Krakowa, Gdańska czy Czerska niewiele zyska, kierując swe kroki po mieście wedle twojego przewodnika!

– Zbyt surowo mnie waćpan oceniasz! Wszystkie kościoły opisałem! Niewiele ich mniej niż pałaców. A cóż więcej miałem pokazać przyjezdnym, Gnojną Górę, trakty zawsze błotem zawałone, co ty byś waćpan pokazał? Słucham? – Adam był już na granicy wybuchu.

Poczerwieniał, z trudem panując nad pełnym złości wyrazem twarzy.

Ale Tomasz tylko śmiał się wyzywająco. Nalał z dzbana kolejny kielich wina, wychylił go duszkiem, otarł usta dłonią, po czym rozparty na ławie rzucił od niechcienia:

– Przynajmniej taka moja satysfakcja, że cel waćpan żeś osiągnął, ale za moją dziewczką bez powodzenia się ślinisz... Nigdy nie legnie z tobą, ona nie z tych, które na wpływy i bogactwo są łase...

Tomasz nie zdążył dokończyć zdania, gdy mocny cios wyprowadzony przez prawe ramię Adama zwałił go z ławy.

– Jeszcze zobaczymy, czy nie legnie! A może już spakowana jest i opuszcza wasz dom, żeby teraz mnie ogrzewać w łóżnicy!

Ledwie skończył, Adam poczuł silne uderzenie w czubek głowy. Powstały z ziemi Tomasz bez chwili wahania walnął muzyka kielichem pełnym wina, tak że twarz mężczyzny zalana została czerwoną mieszaniną napoju i krwi. Jarzębski z krzykiem rzucił się na Szpakowskiego i po chwili obaj leżeli na klepisku, szarpiąc się i okładając pięściami z ogromną zawziętością.

Pozostali goście szynku zerwali się ze swoich siedzisk i z okrzykami rzucili ku mężczyznom, którzy walczyli tak zajadle, jakby chcieli się pozabijać.

Od awantury w gospodzie minęło już kilkanaście dni, ale muzyk i malarz nie próbowali się ze sobą spotkać. Tomasz myślał, że przepadła obiecana zapłata i skończy się na zaliczce, którą dawno już przepuścił. Eufrozyna coraz natarczywiej domagała się zapłaty za swoje rysunki, on zaś nieustannie obiecywał, że dopilnuje, aby pojechali do jaśnie wielmożnego Kazanowskiego we trójkę i rozliczyli się na miejscu.

Któregoś ciepłego letniego dnia nieoczekiwanie na progu kamienicy Pod Lutnią stanął dawno niewidziany Jarzębski.

– Witajcie, Tomaszu. Jak zdrowie waćpana? Przybywam zafrasowany, trzeba bowiem jeszcze dodać trochę rymów, a także rysunków do mojego *Gościńca*. Wielmożny Kazanowski życzy sobie, aby Pragę opisać i miasteczko Skaryszew, gdzie marszałek posiada kilkanaście działek, spichlerze, magazyny, nie wiem co jeszcze... – westchnął ciężko muzyk. – Chciałem prosić, abys zrobił kilka rysunków spichlerzy przynajmniej... – dodał przymilnie.

– A niech go szlag! Nie znoszę tej opitej mordy. Uważa się ten człowiek za nie wiem kogo! Ludzie okropne rzeczy o nim opowiadają, łasy na pieniądze jak

nikt, bałamuci każdą pannę, jaka tylko nawinie mu się pod rękę. Ponoć z królem do tej pory jakieś orgie urządają, bo jedna dziewczka na raz mu za mało. Tfu! – splunął Szpakowski.

– Musimy skończyć dzieło, inaczej nie dostaniemy należnej zapłaty.

– Zaliczki już nie mam... – westchnął Tomasz.

Podrapał się po głowie, na której sterczały potargane, rude włosy. Adam zwrócił uwagę na niegolony od wielu dni zarost i cuchnącą, poszarzałą koszulę, jaką miał na sobie malarz. Widać Eufrozyna nie uważała, że do jej obowiązków należy dbanie o strój utrzymującego ją żywiciela.

– Umyj się waćpan, przebierz. Czekam na ciebie przed Świętym Marcinem. Nie mam czasu, muszę skończyć kilka pieśni dla króla. Niech to! Obskoczmy tę Pragę raz-dwa, i tak tam nie ma nic do oglądania.

– Prócz spichlerzy Kazanowskiego – mruknął Tomasz i krzyknął do Eufrozyny: – Szykuj się, musimy jechać na Pragę!

– Nigdzie nie jadę, obraz maluję. Sam coś, waćpan, narysuj, ja wszystkie prawie budowle i pałace sama namalowałam!

„Narowista sztuka!” – Jarzębski uśmiechnął się pod wąsem i opuścił się domu Pod Lutnią.

5.

W nieco jeszcze chłodny, ale słoneczny marcowy dzień Kalina Żmijowa, wdowa po muzyku królewskim, stała na podwórzu na tyłach zajazdu przy ulicy Długiej na obrzeżach Warszawy i bacznie śledziła cztery najęte do prania pościeli dziewczki, które miały pracować przez trzy dni i wyszorować ługiem⁴⁸ całą górę poszewek i prześcieradeł.

Strofując dziewczęta, aby na przemian brały mydło czarne i białe, kątem oka nagle zobaczyła za ogrodzeniem dwóch jeźdźców, bez pośpiechu przemierzających się drogą w kierunku niedawno ukończonego budynku arsenału królewskiego. W pierwszej chwili przypomniała sobie, że z samego rana rozsypała sól, co było oczywistą zapowiedzią nieszczęścia i teraz pomyślała, że może właśnie ci jeźdźcy zwiastują nieszczęście.

Jeden z nich był ubrany na czarno, na modę cudzoziemską, na jego głowie spoczywał kapelusz z niezwykle szerokim rondem, ozdobiony paradnym piórem. Drugi mężczyzna, mimo zimna, jechał w samym kolecie z czarnej skóry, a spod lichej czapki wystawały mu rude włosy. Obaj rozprawiali o czymś żywo. Kalina dosłyszała tylko słowo „gielda” i pomyślała, że są to podróżni szukający zajazdu.

– Witajcie, szanowni panowie, szukacie może jakiejś izby z miejscem na odpoczynek? A może strawy czy obroku dla koni?! – Kalina zawołała w kierunku mężczyzn i ruszyła w kierunku płotu.

Pomyślała z trwogą, że zaraz zdarzy się coś złego. Czują, że tego dnia coś

wisi w powietrzu.

Mężczyźni powściągnęli cugle i konie stanęły.

– Dziękujemy, pani, nie szukamy noclegu – odparł jegomość w kapeluszu i skłonił się Kalinie.

Rudowłosa, nie patrząc nawet w kierunku Kaliny, pochylił głowę. Kogoś jej przypominał, ale nie mogła dociec kogo. Obaj bardzo szybko odjechali, jakby Żmijowa spłoszyła ich swoim pytaniem.

„Tylko tędy przejeżdżali” – pomyślała z ulgą, patrząc, jak konie oddalają się traktem, który za sprawą wiosennych burz przypominał rzekę błota.

W tych szczęśliwych dla Warszawy czasach zajazd U Kaliny prosperował nawet lepiej niż przed śmiercią Laurentego. Mimo że oddalony od słynnej Giełdy i kościoła pod wezwaniem Świętego Ducha, wiele zyskał w ostatnich latach, odkąd przy trakcie ku Nalewkom wzniesiono wielką budowlę – dwupiętrowy magazyn broni zwany arsenałem królewskim.

Dzięki pracowitości właścicielki i gorliwej pomocy jej syna Franciszka zajazd Żmijewskich rozbudowano, dołączając do pierwotnej parceli sąsiednią działkę, przez co Kalina mogła spełnić swoje pragnienie i założyć własny ogród. Wreszcie każdą wolną chwilę poświęcała swoim roślinom i kwiatom, syciła się harmonią, jaką dawało obcowanie z naturą. Czego mogła więcej chcieć od życia, będąc czterdziestosiedmioletnią wdową?

Miała przy sobie bratnią duszę – posłusznego syna, cieszyła się powszechnym szacunkiem warszawian i gości. Mimo że miała wielu kandydatów do swej ręki, dla których zajazd był niezwykle łakomym kąskiem, nie zdecydowała się na ponowne zamążpójście. Ludzie nie przestawali plotkować na temat przyczyn, dla których bogata wdowa żyje samotnie. Niektórzy twierdzili, że winien temu jest karzeł, który odstrasza wszystkich mężczyzn. W mieście mówiono, że powodem tej niespotykanej sytuacji były córki Laurentego z pierwszego małżeństwa i spór dotyczący spadku, jaki podzielił rodzinę.

Kwestia podziału schedy po muzyku dręczyła Kalinę przez lata. Zaraz po pogrzebie Laurentego, gdy otwarto jego testament, doszło do awantury między trzema kobietami, zakończonej interwencją pisarza radzieckiego, u którego zdeponowana była ostatnia wola lutnisty. Prerażony starszy człowiek nie był w stanie okiełznać wściekłych córek Laurentego, które nie zgadzały się z ostatnią wolą ojca.

Doszło nawet do rękoczynów, przez które Kalina została pozbawiona kilku kęp włosów na głowie, straciła ząb i miała rozkrwawione wargi. Julianna i Anusia także nie wyszły bez szwanku z tej potyczki – oprócz kilku wybitych zębów i straconych pereł (naszyjniki rozerwały się i klejnoty rozsypały się po całej izbie), wyszły z zajazdu z porwanymi sukniami i zniszczonymi czepcami przetykanymi złotą nicią. Potem – jak powiadano – pokłóciły się między sobą o jeden z gruntów

otrzymanych przez muzyka w ostatnich dniach służby w kapeli królewskiej. Bogata wdowa dzięki ojcowiznie dodatkowo powiększyła swój majątek, a niezamężna Anna, śpiewaczka o zszarganej reputacji, straciła możnego protektora, a że za nic nie chciała zrezygnować z opery i z kasy królewskiej nie dostawała zaległych płatności, chciała koniecznie wyszarpać od siostry więcej, niż się jej ze spadku po ojcu należało.

Po tych zdarzeniach Kalina zaczęła otrzymywać pisane eleganckim pismem anonimowe groźby. Raz też ostrzegano ją przez ogniem, który strawi zajazd, jeśli karzeł nadal będzie się rządził w przybytku przy Długiej.

Wedle woli, którą nakreślił muzyk w ostatnich dniach swego życia, syn Kaliny Franciszek (ten podstępny karzeł, jak mówiły o nim córki Laurentego) został przez Żmijewskiego usynowiony i na równi z córkami dziedziczył jedną trzecią z połowy majątku. Druga połowa przypadła Kalinie, która wraz z synem dzierżyła większą część.

Za pośrednictwem prawnika, którego Żmijowa najęła do sprawy, Julianna i Anusia otrzymały wszystkie drogocenne przedmioty po ojcu, w tym obrazy pozostawione przez pierwszego męża ich matki, a także bogato zdobione skrzynie, klejnoty, kolekcjonowane przez Laurentego lutnie i skrzypce. Córki dostały też do podziału grunty na dalekiej Woli oraz dwa folwarki w tej samej wsi, z posadowionymi na nich młynami i inwentarzem, które muzyk otrzymał jako wynagrodzenia od króla.

Mimo grózb i przychodzących anonimów Kalina nie bała się o swoje życie. Opatrzność dotąd zawsze nad nią czuwała. Przez całe swe burzliwe życie czuła, jakby ktoś tam w górze otaczał ją szczególną opieką. Mimo strasznych wydarzeń, gwałtu, więzienia, ostatecznie zawsze ktoś lub coś utrzymywało ją przy życiu. Teraz drżała tylko o zdrowie drogiego jej syna, który musiał dzień w dzień cierpieć z powodu nienawistnych słów i spojrzeń.

Na łożu śmierci muzyk powiedział żonie słowa, które Żmijowa miała zapamiętać na zawsze: „Pamiętajcie, Kalino, Bóg chce, abyśmy go zadziwili! To nie jest tak, że cała nasza droga jest z góry wytyczona. Po prawdzie ktoś tam porusza pionkami na szachownicy, ale my mamy zadanie, my musimy Boga zaskoczyć!”.

Wspominając te dziwne słowa, Kalina zawsze myślała, że jeśli cokolwiek zdołała zadziwić Boga, to z pewnością tym cudownym chłopcem, którego wydała na świat. Była przekonana, że on właśnie dokona w życiu czegoś wielkiego. Franciszek okazał się największym szczęściem, jakie spotkało ją w życiu. Był rozsądny, mądry, uważny, czuły dla matki, pomocny i niezwykle pracowity. Tak sprawnie i zmyślnie zajmował się prowadzeniem zajazdu, że od kilku lat Kalina zupełnie już przestała uzupełniać księgi rachunkowe, sporządzać raporty dla władz i wykonywać przeróżne inne obowiązki. Teraz zajmowała się głównie ogrodem

i pilnowała służby. Dziewuchy pracujące w zajeździe na stałe, jak i te najmowane do prania bielizny trzeba było trzymać krótko i traktować dosyć szorstko, bo kradły, co popadło, leniły się i gdy tylko mogły, obijały się zamiast pracować. Dodatkowym problemem był Franciszek, który jak każdy młody mężczyzna miał swoje potrzeby i nieraz kucharki donosiły Kalinie, że widziały go w stajni, jak na sianie leży na którejś z dziewczek. Trzeba było mieć oko na młode panny, tym bardziej że mimo ułomności ciała, Franciszek był zdolny do poczęcia dzieci. Cóż, jej synowi potrzebna była żona i ta sprawa spędzała Żmijowej sen z powiek.

Wkrótce po tym, jak Franciszek zaczął posługiwać się nazwiskiem Żmijewski (uznał, że podkreśli dzięki temu swoją odrębność, a jednocześnie doda w ten sposób splendoru zajazdowi) i przejął zarządzanie przybytkiem, po mieście rozniosła się wieść o karle, który wygląda jak miniaturka eleganckiego szlachcica, mówi obcymi językami, śpiewa i tańczy dla gości, pisze listy i pisma w imieniu gości, a nawet dyskutuje z nimi o mądrościach tego świata.

Z jednej strony sława nowego współwłaściciela lokalu przyciągała większą liczbę gości, w tym nawet posłów i szlachciców, ale do zajazdu przybywali także ludzie wiedzeni ciekawością i żądzą sensacji. Na widok liliputa o uroczej, inteligentnej twarzy i nienaganych manierach, wytwornie ubranego w miniaturowy żupanik i obszyty futrem wydry kołpak z czaplim piórem, wielu gości stroiło sobie niewybredne żarty i dotykało Franciszka, jakby chciało sprawdzić, czy jest żywą istotą.

Razu pewnego przybyły do zajazdu szlachcic spod Zambrowa złapał karła za krocze i ze śmiechem zapytał, czy zdolny jest do czerpania radości z obcowania z kobietą.

– Jeśli waćpan pozwolisz, dowiodę mej męskości w towarzystwie pana żony bądź córki! – odparł hardo Franciszek, a oburzony gość wyszedł z zajazdu, krzycząc, że woli jak zwykle nocować w Giełdzie.

Kalina podziwiała pogodę ducha swojego syna, który nigdy nie skarżył się na swój los, nie miał żalu do Boga ani ludzi. Kiedyś, widząc Franciszka spoglądającego z jakimś niebywałym smutkiem w oczach na izbę, gdzie w chłodny dzień goście zajazdu grzali się przy wielkim kominku, wesoło rozprawiali, jedząc i pijąc, Żmijowa odważyła się powiedzieć:

– Synu, wiem, że przykro ci patrzeć na szczęście innych ludzi, mają wszystko, a tobie nie dane jest wieść normalnego życia...

– Nie, matko – odparł. – Cieszę się szczęściem tych ludzi, choć oni nawet nie wiedzą, jak bardzo są szczęśliwi. Bóg lepi ludzi z gliny i w moim przypadku coś mu widać nie wyszło, ale czy zepsute dzieło ma prawo mieć żal do mistrza, skoro większość jego dzieł jest tak doskonała? Popatrz na tę białogłową w złotym czepcu albo na tego jegomościa w czerwonym kontuszu, czyż oni nie mają wszystkiego, co pozwala cieszyć się doczesnym życiem? Ale pewnie o tym nie myślą, bo nigdy

nikt ich nie wyśmiał, nie obraził, nie uznał, że są nic niewarci... Ja ciągle słyszę obelgi, uważają mnie za wybryk natury, ale przecież jestem taki sam jak oni wszyscy. Dobrze, że są ludzie tacy jak ty, matko, którzy nie widzą we mnie tylko wynaturzenia.

Kalina przygarnęła syna do siebie i pogłaskała czule jego głowę, która przylgnęła do jej obszernego brzucha. Dla niej Franciszek był cudem i bolała ją każda zniewaga, jakiej był adresatem.

– Nie wiem, synu, skąd w tobie tyle siły, każdego dnia walczysz o należny ci szacunek. Mój zdobyłeś dawno temu – powiedziała, patrząc w obramowane firanką długich rzęs oczy.

Teraz, gdy Franciszek był dwudziestosześcioletnim mężczyzną, widziała w nim wyłącznie podobieństwo do swojego rodzonego brata, a trochę do siebie.

Gdyby był zdrowy, normalnego wzrostu, byłby wspaniałym, zachwycającym kawalerem, do którego ustawiałyby się kolejki panien chcących się za niego wydać. Jako karzeł – pomimo majątku, jaki mu przypadał – nie miał specjalnych szans na znalezienie szanowanej żony z dobrej rodziny. Kalina wiedziała, że musi dopomóc szczęściu i zacząć się starać o odpowiednią żonę dla syna. Od jakiegoś czasu myślała o tym intensywnie.

Poszła do kuchni sprawdzić, czy dziewczki schowały resztki potraw po obiedzie do spiżarni, którą trzeba było czym prędzej zamknąć na klucz, i pomyślała, że nazajutrz z rana uda się do swatki mieszkającej przy Miodowej i rozmówi się z nią, proponując konkretne profity, jakie odpowiedniej pannie przyniesie ożenek z jej synem. I wówczas właśnie, przemierzając korytarz wiodący ku tylnym izbom budynku, usłyszała głos, który wydał się jej znajomy.

Kalina skierowała swoje kroki ku głównym wrotom wiodącym do dobrze oświetlonego przedsionka ze stołem nakrytym sukniem, gdzie legitymowano gości i wpisywano ich dane do specjalnej księgi, określając czas i cel pobytu, oraz pobierano odpowiednie opłaty. Wszystkim tym od lat zajmował się Franciszek, i właśnie na niego trafił przybyły do zajazdu U Kaliny Joachim Żmijewski.

– Wiedziałam, że jeśli żyjesz, kiedyś się tu pojawisz! – powiedziała bez żadnych słów powitania, patrząc na Joachima, jakby zobaczyła upiora.

– Matko, znasz tego jegomościa? – spytał syn, a ona tylko pokiwała głową. – Wielmożny pan rzecze, że dobrze zna ten dom i mieszkał tu wiele lat temu...

Podeszła bliżej, zupełnie nie myśląc o tym, że odziana jest w roboczą spódnicę i podniszczony kształcik. Przez chwilę zapomniała też o swojej tuszy, czerstwej i pociemniałej od częstego przebywania na powietrzu twarzy. Przybliżyła się z sercem tłukącym jej w piersi, nie odpowiadając na pytanie Franciszka, który patrzył na nią osłupiały.

Bez słowa długo patrzyła na potężne ciało swojego dawnego oblubieńca, jego osmaganą wiatrem i słońcem ciemną twarz, którą znaczyła przecinająca lewy

policzek blizna. W uchu kołysał się złoty kolczyk w kształcie kółka. Ubiór przybysza zdradzał jego żeglarski fach. Kalinie od razu przyszło to do głowy: Joachim wyglądał jak stary wilk morski. Gdyby nie ten niski, ciepły głos, nie poznałaby go wcale. Miał to samo co kiedyś niespokojne spojrzenie, brodę, wąsy i sięgające ramion – teraz już posiwiące – włosy.

Podszedł niepewnym krokiem, ujął jej dłoń i przycisnął do ust, patrząc w jej zmęczone oczy. I dopiero w tej chwili Kalina pomyślała z przerażeniem o tym, jak nędznie musi wyglądać. Zapewne nie takiego widoku Joachim się spodziewał...

– A więc żyjesz w dobrym zdrowiu! Doszły mnie słuchy, że mój brat od przeszło dziesięciu lat gryzie ziemię – odezwał się Joachim po chwili milczenia. – Widzę, że dobrze tu gospodarzycie, nie mógłbym znaleźć zajazdu w lepszej kondycji... – dodał po chwili.

Kalina milczała, tłumiąc szloch i chcąc jak najszybciej uciec przed przenikliwym wzrokiem swojego ukochanego, o którym nigdy nie zapomniała. Wystarczył dźwięk jego głosu, aby od dawna chowane uczucia powróciły z wielką siłą.

Zawstydzony tym osobliwym spotkaniem Franciszek wspiął się na palce i wysunął ku przybyszowi rękę, aby wręczyć mu klucz do przydzielonej izby w zajęździe.

– Zechciej, waćpan, odpocząć po podróży. Parobek oporządzi konia. Przyśle dziewczkę z ciepłą strawą i napitkiem, a kiedy odpocznesz, zejdź na dół do głównej izby. Będę czekała – powiedziała Kalina i czym prędzej uciekła, chcąc wydać dyspozycje służbie i szybko przebrać się w lepszą suknię, obmyć twarz i założyć czysty czepiec.

Kiedy spotkali się kilka pacierzy później w gwarnej, wypełnionej jedzącymi i pijącymi ludźmi izbie, gdzie skrzypek grał skoczne melodie, a płomień pogodnie trzaskał na kominku, Kalina czuła się już pewniej – ubrana była w najlepszą z sukien, uszytą z włoskiego, miodowego sukna wykończonego rubinową pasmanterią, w jej uszach połyskiwały mleczne perły, a czepiec zasłaniający siwe włosy uszyty był z tkaniny przetykanej złotą nicią. Joachim odświeżony, ubrany był w czystą, białą koszulę, którą zawadiacko rozpiął na torsie.

Złocistym tokajem wzniesli toast za spotkanie. Wzruszona Kalina wychyliła niemal całą zawartość kielicha i wyznała Joachimowi, że ciągle myślała o tym, aby jeszcze raz go zobaczyć.

– Jak ci się wiodło, Joachimie, przez te wszystkie lata? – zapytała łagodnie, zerkając na jego wielką dłoń, na której lśnił nie tylko sygnet, ale też obrączka.

On jednak nie odpowiedział na pytanie, tylko ściszonego głosem, wyraźnie przejęty zapytał:

– Dręczy mnie jedno pytanie. Powiedz, czy ten karzeł, który nazywał cię matką, to jest nasz syn?

– Nie! Skąd! Nasze dziecko urodziło się martwe. Po tym, co przeszłam, po uwięzieniu i rozprawie, poroniłam... – Kalina otarła łzy, wspominając minione wydarzenia. Po chwili dodała: – Franciszkowi dwudziesta siódma wiosna idzie... On jest owocem tej potwornej krzywdy, która spotkała mnie w domu Laurentego, gdy przybyłam z Brodnicy do Warszawy. Opowiadałam przecie o tym waćpanu nieraz, gdy tutaj razem, w ten straszny czas zarazy kryliśmy się przed światem.

– Ach, więc to tak... A więc naszemu nieszczęsnemu dziecku pisana była śmierć – westchnął. – Bałam się już, że po tym wszystkim, co przeszłaś, po cierpieniach jakich zaznałaś w więzieniu urodziło się... coś takiego.

Kalina spojrzała na niego, nie mogąc ukryć bólu, jaki sprawiły jej te słowa.

– Franciszek to mój syn, kocham go takim, jaki jest. To najlepszy syn, jakiego Bóg raczył mi dać, i nie zamieniłabym go na żadnego innego! – powiedziała hardo.

– Jakie nosi nazwisko?

– Żmijewski.

Joachim westchnął ciężko. Cmoknął z niesmakiem.

– Jak to możliwe, że Laurenty usynowił tego karła? Wierzyć się nie chce... – pytał wciąż zafrasowany.

– Po prawdzie mój mąż chciał mieć koniecznie syna, a że los zesłał mu takiego, wziął to, co mógł – odparła Kalina z urazą.

Liczne pytania i denerwująca dociekliwość kogoś, kogo tak bardzo kiedyś kochała, sprawiły jej zawód. Pomyślała sobie nawet, że jeśli Joachim nie zmieni swojego stosunku do Franciszka i nie będzie mu okazywał należnego szacunku, to nie zważając na wspólną przeszłość, na wszystko to, co kiedyś ich łączyło, wygna go z zajazdu i każe mu nigdy więcej nie wracać.

Nie mogła mu powiedzieć, że akt usynowienia Franciszka podsunęła konającemu Laurentemu do podpisu dosłownie na kilka godzin, zanim wyzionął ducha. Nigdy nie pożałowała swego czynu, choć nieraz spowiadała się z tego grzechu przed księdzem. Zrobiła jednak to, co zrobić musiała, aby zapewnić synowi przyszłość. Kiedy Laurenty był jeszcze świadomy, wyznała mu prawdę, kim jest goszczący w zajeździe karzeł, a mąż odparł, że nie wierzy, iż ten wynaturzony potworek może być jej dzieckiem. „To kolejny oszust, tak jak ten podający się za Tomasza, ten który mnie zniszczył i wpędził do grobu” – powiedział słabym głosem umierający.

Oddychał tak ciężko, każde wypowiedane słowo było okupione ogromnym wysiłkiem. Nie chcąc go męczyć, Kalina nie wracała już do tematu, a Żmij o nim zapomniał.

Kiedy kilkanaście godzin później poprosiła konającego męża, aby złożył swój podpis na kilku ważnych dokumentach uprawniających Kalinę do samodzielnego zajmowania się zajazdem, do sterty pism dorzuciła jeszcze to jedno.

Laurenty i tak nie był w stanie przeczytać pism podanych mu przez żonę, i w zaufaniu pozwolił, aby pomogła mu utrzymać w dłoni pióro i poprowadzić je po kartach papieru.

I w ten sposób karzeł posługujący się imieniem Franciszek stał się oficjalnie panem Żmijewskim.

6.

Z początkiem sierpnia Adam Jarzębski odebrał z nowej drukarni Elerta pierwsze dwieście egzemplarzy *Gościńca* wraz z osobno dołączanymi do księgi rycinami, obrazującymi najbardziej interesujące budowle miasta i okolic. Na pierwszej stronie książki znalazła się dedykacja dla marszałka nadwornego koronnego Adama Kazanowskiego, której treść bardzo się nie spodobała Szpakowskiemu, jednak nie miał w tej kwestii nic do powiedzenia.

Jaśnie Wielmożny, Miłościwy Panie

i Dobrodziejju mój! W cudzych krajach

miasta główne, przy rezydencji pańskiej,

opisują dla wiadomości wszem narodom, co

jest w którym do widzenia. Ja, wiedząc, żeś

W.M. M.M. Pan⁴⁹ dość peregrynował,

napatrzyłeś się różnych budynków

i kunsztów nieoszacowanych, ważyłem się

opisać sejmowe miasto Warszawę,

z kościołami, z pałacami, z dworami,

z ogrodami, z okolicznościami. To wszystko

oddawam pod regiment W.M., jako Panu

i Dobrodziejowi memu Miłociwemu.

Podpisano: Najniższy sługa A.J.B.U.⁵⁰ Na stronie obok znalazł się rysunek

Grzymały – herbu Kazanowskich, czyli muru o trzech blankowanych basztach, ze stojącym w bramie rycerzem trzymającym miecz w prawej i tarczę w lewej ręce.

Spośród licznych rysunków zrobionych przez Tomasza i Eufrozyne, muzyk wybrał do książki głównie te wykonane przez dziewczynę – były dużo lepsze od pobieżnych, niedokładnych szkiców malarza, który widać nie miał serca do odwzorowywania detali architektonicznych zabudowań miasta.

Kilkanaście pachnących farbą drukarską egzemplarzy niedużych rozmiarów książeczki pan Adam właśnie przekazał do rąk własnych marszałkowi nadwornemu koronnemu, który przyjął muzyka i towarzyszącego mu malarza w swoim podmiejskim dworze we wsi Skaryszew.

Tomasz nie zabrał ze sobą Eufrozyny i naradziwszy się wcześniej z Jarzębskim, sobie przypisał autorstwo wszystkich rysunków, jakie pokazane zostały Kazanowskiemu. Panowie stwierdzili, że ujawnienie autorstwa białogłowy wywoła uśmiech pobłażania na licu ich mocodawcy i zaniży wartość rysunków. Nikt przecież nie traktował poważnie malunków wykonanych niewprawną ręką niewiasty. „Wyśmiej nas, lepiej będzie, jak waćpan przedstawi się jako autor, a potem już sam, wedle własnego sumienia rozliczysz się z Eufrozyną” – postanowił Jarzębski.

Marszałek był kontent z dzieła, które – jak mniemał – miało przekazać światu przychylny obraz jego osoby i stanowić świadectwo pozycji i majątku.

– *Non omnis moriar!* – zawołał i uściśnął dłonie autora tekstu, a także rysownika, którego szkice warszawskich budowli bardzo przypadły mu do gustu.

Od ręki zapłacił Szpakowskiemu sporą sumę dukatów za wszystkie ryciny, jakie ten miał przy sobie.

Przy okazji marszałek z dumą oprowadził gości po bogato urządzonej, drewnianym pałacyku i pokazał Jarzębskiemu i Szpakowskiemu swoje imponujące spichlerze oraz gospodarskie magazyny, które planował rozbudowywać.

– Przyznajcie się, Adamie, wszelako chodziło wam o to, żeby sam Kazanowski łaskawym okiem na waćpana patrzył i zatrudnił do bardziej dochodowych interesów. – Tomasz uśmiechnął się pobłaźliwie do kompana, kiedy już opuścili włości we wsi Skaryszew i kierowali się ku przeprawie przez Wisłę.

– Po prawdzie z początku tak żem kombinował, jego protekcja w każdej sprawie dużo znaczy. Wszyscy wiedzą, jak jest łasy na pieniądze, a dzięki *Gościńcowi* uda mu się jeszcze wzmocnić swoją potęgę. Mniemam, że kontent był z efektu mej pracy! Teraz czuję radość, wielka to rzecz mieć w rękach napisaną przez siebie księgę. – Wzruszony muzyk westchnął, wpatrując się w egzemplarz małej, oprawionej w bydlęcą skórę książeczki i obracając ją w dłoniach.

Zanim mężczyźni podeszli do pomostu przystani, z której odpływały łodzie i tratwy przewożące ludzi ze strony praskiej na drugi brzeg Wisły, przystanęli na moment, aby popatrzeć na zalaną miodowym światłem panoramę wyrastających

z wierzchołka wiślanej skarpy zabudowań miasta. Przed nimi piętrzyły się barwne sylwetki przyciśniętych jedna do drugiej kamieniczek o czerwonych dachach, szczyty kościołów, strzeliste sylwetki dzwonnicy i przyciągający wzrok bańkowaty hełm wieńczący wieżę zegarową Zamku Królewskiego.

– Wszelako piękne to miasto! Pełno tu błota, ale i sporo piękna, jakiego próżno szukać po świecie.

– A ja ciągle pamiętam obraz mojego ojca, który namalował Warszawę widzianą z miejsca, w którym jesteśmy. Ale w tamtym czasie Warszawa to było nic w porównaniu z tym, co dzisiaj tu widać. Drewniane domki, kilka wieżyczek na szczytach skarpy, to wszystko... Ale ojciec pokazał to tak niecodziennie, że i dzisiaj jego malowidło u niejednej osoby wzbudziłoby afekt. Takie wielkie kłębowisko chmur wisiało nad budowlami, a wszystko skąpane było w mglistym świetle, jakie tylko ojciec potrafił wyczarować. Próbowałem namalować podobny widok, ale za nic nie potrafię. Po prawdzie, dużo gorszy ze mnie malarz niż ze świętej pamięci ojca mego...

– Jeszcze waćpan namalujesz niejedną widok Warszawy, ja ci to mówię! Patrz, jak to miasto się zmienia, rośnie, bogaci się, pięknieje! Jeśli wkrótce o *Gościńcu* będzie głośno, za kilka lat opiszę to wszystko od nowa! Może rymy mi wyjdą lepsze niż tym razem! – Jarzębski zaśmiał się serdecznie i poklepał malarza po ramieniu.

Kiedy przeprawili się na drugi brzeg Wisły, postanowili uczcić wydanie książki kielichem zacnego alikantu w nowej winiarni Pod Czerwonym Lwem przy placu Bernardyńskim, słynnej za sprawą najlepszego wyboru win z całego kontynentu. W tym celu przebrnęli przez zdeptane błoto zatłoczonych uliczek oplatających Rynek Starego Miasta, obeszli fragment Barbakanu, wzdłuż którego kuliły się do siebie uginające się od towarów stragany Ormian, Szkotów i kupców z okolicznych wsi, i chcąc wyjść poza teren ograniczonej murami Starej Warszawy, skierowali swe kroki ku Bramie Krakowskiej. Tomasz spojrzał na dziwaczną, wysoką na kilkadziesiąt łokci konstrukcję z drewnianych desek o kształcie wąskiego stożka, wnoszoną właśnie przez budowniczych na niewielkim placu między bramą a murem odgradzającym wejście na przeddziedziniec Zamku Królewskiego.

– Patrz, waćpan. Co takiego tutaj powstaje? – zdziwił się malarz.

– Ponoć mówi się, że król podstępem ten teren księżulkom wyszarpał i będzie tu urządzał forum, na wzór rzymskiego, na cześć Wazów. Postawi – o ile będzie miał za co, bo skarbiec ponoć ciągle pusty – wielkie pomniki sławiące swój ród. Ta tutaj budowla ma być kolumną z marmuru, z posągami króla Zygmunta III na cokole.

– Coś takiego! Jeszcze nie słyszałem, żeby świeckiemu władcy kolumny wznosić, jakby jakim świętym był albo cezarem! – zafrasował się Tomasz.

– Tak... Dość osobliwe koncepty miewa nasz król. Pewnie przez to, że żadna wojna nie zaprzęta mu głowy, na polowania coraz ciężej mu jeździć, bo tusza wielka i choroby nie pozwalają – westchnął Jarzębski.

– Może szkoda, Adamie, żeś waćpan nie opisał tej dziwacznej budowli... – zafrasował się Tomasz. – Takie kuriozum warte jest upamiętnienia, tym więcej że kolumna długo nie przetrwa, skoro szlachta nie pochwała tak jawnych symboli królewskiego majestatu.

– Nie mam czasu czekać, aż wybudują to dziwo. Nie mniej niż rok im to zajmie. W następnej swej książce ją opiszę... Jak tak dalej pójdzie i dobry Bóg nie ukarze nas ani najazdem Turków, ani jaką zarazą, za parę lat Warszawa jeszcze piękniejszą będzie i w ten czas od nowa ją opiszę, a wy, Tomasz, narysujecie! – zapowiedział Jarzębski.

Kiedy zadowolony z ubitego interesu Tomasz zawitał w progi domu Pod Lutnią, zamierzał obdarować Eufrozinę dukatem, a nadto poprosić ją, aby została jego żoną. W drodze do domu myślał sobie, jak nieszczęsna dziewczyna bez posagu, bez rodziny ucieszy się z jego wspaniałomyślnej propozycji. Może wreszcie zajmie się obejściem, zacznie gospodarować w domu jak prawdziwa niewiasta? „Jak będzie się starała, pozwolę jej nawet czasami rysować dla przyjemności” – powtarzał sobie w myślach.

Wielkie jednak było jego zdziwienie, gdy przestąpił próg kamienicy i przychodząca pomagać w kuchni dziewczka ze strapioną miną i drżącym głosem przekazała mu wiadomość:

– Panna Eufrozyna kazała wielmożnemu panu powiedzieć, że nie chce znać pana, wyjeżdża z Warszawy i nie chce, abyś waćpan jej szukał.

– Ale co się stało? Dlaczego? – Tomasz nie mógł zrozumieć, co właściwie się stało.

– Panienska zostawiła tylko to. – Dziewka podała malarzowi złożony w formę listu papier, na którym nabazgrano koślawymi literami:

Waćpan potworem jesteś. Te rysunki ja zrobiłam, nikt inny. Okradziona zostałam i nigdy ci tego nie wybaczę.

7.

Kalina nie spała przez większość nocy. Wydarzenia minionego dnia całkowicie zburzyły jej spokój. Kiedy opadła euforia, ucichł wewnętrzny krzyk „On wrócił!”, ruszyła lawina pytań i wątpliwości. Targało nią tysiąc sprzecznych uczuć: nadzieja, strach, żal, złość, rozbudzone pragnienia...

Tyle straconych lat! Dlaczego nie pojawił się wcześniej? Twierdził, że nie miał pojęcia o śmierci Laurentego, w ostatnich latach ciągle pływał na statkach. Zgodnie ze złożoną przez Joachima przysięgą, o której Kalina dopiero teraz miała

okazję się dowiedzieć, jego stopa nie mogła postać w zajeździe na Długiej. Wszystko jej opowiedział: o warunku, jaki postawił muzyk, o jego pragnieniu odebrania bratu tego, co było dla niego najważniejsze. Zgodnie z obietnicą złożoną Laurentemu Joachim zniknął, ale nie opuścił Warszawy, dopóki nie powiedziano mu, że na rozprawie udało się uratować Kalinę przed śmiercią. Wtedy dopiero ruszył do Gdańska. Ostatnie kilkanaście lat swego życia oddał morzu. Pływał na wspaniałych żaglowcach pod różnymi banderami, trochę handlował, niekiedy powierzano mu bardziej niebezpieczne misje, o których nie mógł mówić. Życie płynęło mu bardzo szybko. Przeżył dwie swoje żony, z narodzonych dzieci żadne nie dotrwało do dziesiątego roku życia.

„I tak nagle waćpan przypomniałeś sobie o mnie?” – zapytała Kalina. On zaś odpowiedział dokładnie to, co chciała usłyszeć: że nigdy jej nie zapomniał, że będzie ją wiecznie miłował, że często zastanawiał się, czy żyje i jak się jej wiedzie.

Teraz w mroczną, wietrzną noc – wtulona w pierzynę nakrytą dodatkowym sukniem, grzejąc nogi o tułów wiernego pieska zwanego Kulką, który trwał wiernie przy swojej pani od ośmiu lat – przemyślała sobie dogłębnie słowa Joachima i dotarła do niej ponura prawda. Po prostu szukał przystani na stare lata, pewnie nie był już w stanie dłużej pływać na statkach, przyjechał tu, licząc na to, że Kalina jako wdowa przyjmie go z otwartymi ramionami i zapewni wygodne życie. Skądś musiał się dowiedzieć, że nie wyszła powtórnie za męża, a jej zajazd świetnie prosperuje. Tylko karzeł, jej rzekomy syn, musiał być dla Joachima pewną przeszkodą.

Co ona sobie wyobrażała? Przecież jej uroda dawno przeminęła, jedynym, co mogło przyciągać do niej mężczyzn, był majątek. Ale dawno temu już postanowiła, że zajazd przejmie Franciszek. Zapisła to w swojej ostatniej woli i przysięgła sobie, że nigdy tego postanowienia nie zmieni.

Żal ścisnął jej serce, ilekroć przypominała sobie pogardliwy i lekceważący sposób, w jaki Joachim mówił o jej synu. Był taki jak większość ludzi, widział w nim tylko karła, który z racji swojej ułomności nie zasługiwał na ludzkie traktowanie. Bardzo tym Kalinę rozczarował.

„Cokolwiek się wydarzy, nikt – nawet Joachim – nie usunie Franciszka z mego serca” – pomyślała.

Tak jak Kalina się spodziewała, Joachim został w zajeździe na dobre. Cierpiał na reumatyzm, którego nabawił się na morzu, i nie nadawał się już na wielomiesięczne podróże statkami. Zaoferował jej pomoc przy prowadzeniu interesu, ale kiedy okazało się, że Franciszek daje sobie ze wszystkim świetnie radę i Kalina wyraźnie zaznaczyła, że nie chce odsuwać go od prowadzenia zajazdu, strapiiony Joachim postanowił zająć się handlem.

Zapewniła mu wikt i opierunek, pomagała, jak mogła w rozpoczęciu działalności i ciągle czekała na jakiś znak ze strony byłego kochanka. Całymi

tygodniami liczyła na sygnał świadczący o tym, że Joachim widzi w niej jeszcze kobietę, której – jak sam powiedział – nigdy nie przestał miłować. Jednak mijały kolejne miesiące, a Joachim nie próbował nawet zbliżyć się do jej łóżnicy, chociaż Kalina niejedną noc czekała na jego przyjście.

Stawała przed lustrem, patrzyła na siebie z odrazą i czuła rozpacz. Jej skóra straciła sprężystość, piersi opadły, kształty zaokrągliły się... Nie mogła mieć Joachimowi za złe, że jej widok nie wzbudził w nim żadnych pragnień. Ale jego ciało wciąż przyprawiało ją o szybsze bicie serca, wciąż powtarzała sobie, że czuje taki sam afekt jak kiedyś. Cóż, gdyby nie jej wiek i wygląd, może ich historia ułożyłaby się inaczej.

Z czasem przestała czekać. Stwierdziła, że dobrze jest tak, jak jest, że musi jej wystarczać sama obecność ukochanego mężczyzny w domu, to, że coraz częściej jadają we trójkę wraz z Franciszkiem wieczrze, mijają się na korytarzach i schodach, zamieniają kilka zdań powitania i mogą choćby spojrzeć na siebie, idąc do swoich obowiązków.

Joachim skrupulatnie opłacał należności za pokój i wyżywienie, mimo że Kalina prosiła go, by tego nie robił. Jesienią uruchomił swoje przedsięwzięcie handlowe i w wynajętym magazynie po drugiej stronie rzeki, w Skaryszewie (miejscowość właśnie otrzymała prawa miejskie) znalazły się rozmaite egzotyczne towary, które przyływały Wisłą z Gdańska, gdzie zawędrowały z dalekich krajów. Oprócz przypraw korzennych Joachim sprowadzał do Warszawy sadzonki roślin, a nawet cebulki jednych z najdroższych w Europie kwiatów – tulipanów. Ceny za cebulkę rzadkich okazów dochodziły w Amsterdamie do takiego poziomu, że warte były tyle co kamienica. Wszystko to bardzo interesowało Kalinę, zwłaszcza dziwne rośliny, których historię i właściwości poznawała dzięki Joachimowi.

Z czasem Franciszek zdołał zaskarbić sobie cień szacunku Joachima, chociaż fakt, że karzeł posługiwał się nazwiskiem Żmijewski, wywoływał w Joachimie niemy, aczkolwiek widoczny sprzeciw.

Całą zimę roku Pańskiego tysiąc sześćset czterdziestego czwartego Kalina poświęciła na szukanie odpowiedniej kandydatki na żonę dla swojego syna. Wreszcie, korzystając z usług swatki, udało się jej ułożyć z wdową po bednarzu z Nowego Miasta, który zostawił żonę z piątką dzieci. Jedną z córek, drobna blondynka o cichym usposobieniu bardzo się spodobała Franciszkowi, a że dziewczyna była w trudnym życiowym położeniu i nie mogła wybrzydzać, jej ręka została przyrzeczona Żmijewskiemu.

Wczesną wiosną odbył się ślub i wesele karzełka Żmijewskiego z córką bednarza Marylą. Uroczystości przebiegły pomyślnie, mimo że pan młody wyglądał nieco dziwnie przy pięknej pannie, której błękitna suknia podkreślała jasne pukle włosów. Gdy orszak weselny przy akompaniamencie skrzypków szedł ulicą Długą, licznie zgromadzona ludność tych okolic wiwatowała i wykrzykiwała

życzenia szczęścia.

Kalina doskonale wiedziała, w jak okrutny sposób mieszczanie komentują między sobą i wyśmiewają ożenek jej syna. Przez fakt, że jej zajazd dorobił się dosyć zamożnej klienteli, wdowa po Żmiju miała wielu wrogów, a szczególnie liczne grono sąsiadów z ulicy Długiej życzyło jej wszystkiego co najgorsze. Wiedząc o tym, wyprawiła Franciszkowi tak bogatą ucztę weselną, że jeszcze wiele lat później w okolicach zajazdu wspomniano przepych zabawy – jadło, polewki, wina i tańce do białego rana przy dźwiękach najpopularniejszych muzyków.

Dzień po poprawinach w mieście gruchnęła potworna wiadomość. W dalekim Wilnie 24 marca roku Pańskiego tysiąc sześćset czterdziestego czwartego królowa wydała na świat nieżywą córkę, a wkrótce potem trzydziestotrzyletnia Cecylia Renata opuściła na wieki ziemski padół.

„Król ponoć zrozpaczony, nie doceniał królowej za jej życia, chociaż tak pięknego syna mu dała, brzydka była, ale rozumna i bogobojna” – mówiono w mieście. „Ciekawe, kogo teraz sobie Władysław za żonę weźmie? Byłe nie jakąś francuską zepsutą bezecnicę... A może znowu na dwór ściągnie swoją czarnulkę?” – zastanawiała się warszawka ulica.

Gdy w maju przez Warszawę szedł kondukt pogrzebowy z ciałem królowej, król niesiony był na krześle, a obok niego prowadzono osieroconego czteroletniego Zygmunta Kazimierza – prześlicznego królewicza o długich, jasnych włosach i buzi amorka. Kalina z synem i jego młodą, już noszącą w łonie dziecko, synową stali w tłumie gapiów przy Bramie Krakowskiej, chcąc obejrzeć smutny orszak czarno ubranych dworzan.

– Biedny chłopczyk. Nie ma nic gorszego niż dorastać bez matczynej opieki – westchnęła Maryla i zaraz spłonęła rumieńcem, zdając sobie sprawę, że przecież stojący obok niej małżonek był oddany pod opiekę obcym ludziom.

– Ale najważniejsze, gdy matczyzna opieka jest dziecku zwrócona. Mały Zygmus nigdy jej już nie doczeka, bo żadna, nawet najlepsza macocha nie da mu tego co prawdziwa matka – powiedział Franciszek i uśmiechnął się do Kaliny, a ta z zadowoleniem skinęła głową.

Późnym wieczorem tego dnia, gdy opustoszała już izba biesiadna zajazdu, Kalina siadła przy dogasającym palenisku kominka. Nie mogła przestać myśleć o nieszczęsnej królowej i jej ostatnich chwilach. Niewiele brakowało, a po przedwczesnym porodzie i wydaniu na świat nieżywego chłopca Kalinę spotkałby właśnie taki los.

Jej myśli przerwało niespodziewane pojawienie się w izbie Joachima, który nie mogąc zasnąć, opuścił swój pokój w poszukiwaniu wina.

– Po prawdzie wiesz, waćpan, dobrze, gdzie w tym domu jest spizarka. Weź dzban wina, napiję się tobą kubek węgryna – powiedziała Kalina, czując, że oto nadchodzi wreszcie moment, kiedy ośmielona trunkiem odważy się po raz jedyny

dowiedzieć się, czy Joachim czuje jeszcze do niej dawny afekt.

Gdy stuknęli się kielichami i wychylili pierwszy łyk, Żmijewski rozpoczął rozmowę, na którą Kalina tak czekała. Widać szukał odpowiedniej okazji, aby się z nią rozmówić.

– Pani, duszyczko leśna, jesteś moim największym szczęściem! Miłuję was, Kalino, nadal tak samo gorąco jak kiedyś, chociaż wiadomo, żeśmy się oboje postarzelili i bliżej nam do grobu niż dalej. Ale, jak Bóg da, mamy przed sobą jeszcze tych kilka lat w jako takim zdrowiu, zanim kostucha nie wygna nas ze sceny tego świata... – rozpoczął podniosłym tonem.

Kalina pomyślała, że Joachim zawsze umiał pięknie i efektownie przemawiać. Wzruszenie odebrało jej mowę, wbiła wzrok w deski podłogi, nie chcąc, aby zauważył afekt malujący się na jej twarzy.

Joachim zaś kontynuował, mówiąc, że od pierwszego dnia, gdy pojawił się w Warszawie, jego zamiarem było poproszenie Kaliny o rękę, ale okoliczności, które zastał, zbiły go z tropu. Nie mógł, tak jak stał, bezdomny, pozbawiony majątku prosić o rękę właścicielkę tak wspaniale prosperującego zajazdu. Potrzebował czasu, ale teraz nadeszła ta chwila, kiedy stanął na nogi, jego skład towarów kolonialnych zaczął przynosić dochody i może wreszcie z dumą zaproponować, aby resztę życia Kalina spędziła u jego boku jako prawowita żona.

– A Franciszek? Rozumiesz, waćpan, że nie jestem sama. To jemu zajazd cały zapisałam w spadku. Za parę miesięcy wnuk mój pojawi się na świecie. Wiedz, waćpan, że testamentu nie zmienię...

– Ja nie pragnę zajazdu, jeno ciebie, Kalino! Serca twojego! Zgadzasz się na to, abyśmy wspólnie dożyli końca naszych dni? – spytał Joachim i przyklęknął przed wdową.

Ta kiwnęła głową, a po rumianych policzkach potoczyły się łzy. Im była starsza, tym częściej płakała.

„Oby to była prawda, oby chodziło ci, mój miły, tylko o mnie” – pomyślała.

Jesienią roku Pańskiego tysiąc sześćset czterdziestego piątego po Warszawie rozeszły się plotki na temat ponownego ożenku króla. Ponoć przebiegły francuski kardynał Mazarini dopiął swego i doprowadził do zawarcia kontraktu małżeńskiego między Władysławem IV a francuską księżną Marią Gonzagą de Nevers. Szeptano o ogromnym posagu i pożyczce, jaka zasilić ma polski skarbiec dzięki temu mariażowi, choć sam król podobno nie był przekonany do wybranki. Jednak już 10 marca następnego roku, kilka miesięcy po ślubie zawartym *per procura*, w odświętnie przystrojonej Warszawie odbyła się huczna ceremonia zaślubin króla z Francuzką. Do miasta wraz z nową panią przybył liczny francuski dwór, a jak łatwo było przewidzieć, bardzo szybko zaczęli się pojawiać kolejni przybysze z Paryża – artyści, krawcy, kucharze, nauczyciele języka i przeróżne typy szukający szczęścia w pobliżu dworu. Warszawa zaczęła rozbrzmiewać

francuskim.

Znający bardzo dobrze ten język Franciszek żywo interesując się tym wszystkim, co działo się na dworze, i szybko zrozumiał, że nadchodzą nowe czasy i nadarza się niezwykła sposobność na rozwój zajazdu. W swoich planach miał dokupienie sąsiedniej działki, rozbudowę przybytku o dodatkowe skrzydło budynku z nowymi izbami, wybudowanie wozowni, a także czegoś zupełnie nowego, co wprawi gości w zachwyt i wyróżni przybytek Żmijewskich spośród innych, coraz to częściej powstających wokół miejskich murów. Niekiedy śniła mu się fontanna zaprojektowana przez włoskiego mistrza albo mały zwierzyńiec, w którym trzymane byłyby dziwaczne stworzenia, jak chociażby małpy przy pałacu Kazanowskich.

Franciszek wyłożył matce oraz Joachimowi swoje racje, i bez trudu przekonał ich do potrzeby zmian w zajęzdzie. Najpierw, chcąc zwabić nowych gości, usunięto pomalowany na zielono drewniany szyld z napisem „U Kaliny” i zastąpiono go zupełnie nowym, starannie wykończonym złotą farbą z napisem „Varsovie”.

Kolejna wersja *Gościńca* – osobliwego przewodnika po Warszawie prawdopodobnie nigdy nie powstała. Adam Jarzębski – człowiek wielu talentów – już nie zdążył jej napisać. Zmarł najpewniej na początku tysiąc sześćset czterdziestego dziewiątego roku, ledwie kilka miesięcy po tragicznej śmierci tak łaskawego dla miasta króla Władysława IV. Ryciny i rysunki obrazujące Warszawę nie przetrwały najazdu Szwedów, zachował się na szczęście tekst przewodnika.

Warszawa i jej okolice takie, jakimi widział je i opisał Jarzębski, bezpowrotnie zniknęły ledwie kilkanaście lat po napisaniu *Gościńca*, na skutek zgubnego dla miasta potopu szwedzkiego. Dopiero w tysiąc sześćset pięćdziesiątym szóstym roku spalone, okradzione ze wszelkich zabytków miasto zaczęło ponosić się z klęski.

Niemal żadne szkice ani malowidła obrazujące siedemnastowieczne miasto nie przetrwały najazdu Szwedów. Gdyby nie „opisanie Warszawy” pana Adama, nie udałoby się odtworzyć pierwotnego wyglądu wielu budowli, które zniszczyły pożary albo obcy najeźdźcy. W tym także tych pieczołowicie odtwarzanych po tym, gdy Warszawa została zrównana z ziemią w tysiąc dziewięćset czterdziestym czwartym roku.

Rozdział IX
Wielkanocna niespodzianka

Byle – rzekłam – mieć wytrwanie

A w niezmiennej tej podróży

Lat i sił na wszystko stanie,

Pracą wszystko się wysłuży.

DEOTYMA, *Pieśń wieczorna*

5 kwietnia 1885 roku

1.

W dniu pierwszych urodzin Tadzia jego matka – Eleonora Szpakowska – wstała bardzo wcześnie, aby należycie przygotować siebie i dziecko, zamierzając stawić się wraz z synkiem i swą matką Reginą Żmijewską na mszy o godzinie dziewiątej w kościele Świętego Ducha przy ulicy Nowomiejskiej.

Ten świąteczny dzień zapowiadał się wyjątkowo – po raz pierwszy od bardzo wielu lat rodzina Żmijewskich miała zasiąść zjednoczona przy świątecznym stole, a ponadto Eleonora chciała ogłosić istotną decyzję, jaką podjęła *à propos* swojej przyszłości.

Poleciała służącej ubrać swojego synka w uroczy kostiumik marynarski, sama zaś na ten szczególny dzień uszyła w pracowni Hersego nową suknię z materiału w szeroką, zielono-wrzosową kratę, ozdobioną falbankami przy dekolcie i mankietach, z bogato marszczonym trenem, który zgodnie z obowiązującą modą – turniura o spektakularnych gabarytach właśnie święciła swój wielki powrót – uwypuklał jej kibić i tuszował szczupłość sylwetki.



Ledwie przed kilkoma dniami do domu przy Długiej, po dwunastu latach pobytu w Ameryce, wrócił jej starszy brat Konstanty Żmijewski. Upływ czasu nie tylko odmienił jego wygląd (bujną czuprynę zastąpiła łysina), ale i charakter. Z uganającego się za baletnicami dandysa o artystycznych ambicjach zmienił się w stonowanego, nieco rozgoryczonego pana w średnim wieku, który po latach marnie płatnej pracy rysownika na dobre dał sobie spokój ze sztuką i zajmował się

teraz sprowadzaniem z Japonii tak modnych w całym cywilizowanym świecie bibelotów i oryginalnych przedmiotów. Stał się też pasjonatem i uznanym kolekcjonerem japońszczyzny. Ponoć w Chicago ożenił się i przed kilkoma miesiącami rozstał z Amerykanką. Mówił po polsku z zabawnym akcentem i bez żenady ujawniał niemal w każdym zdaniu swoje materialistyczne podejście do życia.

Konstanty przyjechał do Polski na wieść o oficjalnym pogrzebie swego ojca i gdy tylko pojawił się na Długiej, nieoczekiwanie oświadczył matce, że pragnie zostać w Warszawie na dobre i zając się prowadzeniem hotelu.

Podobnie swoim zjawieniem się w kamienicy przy Długiej zaskoczyła rodzinę Agnieszka (nadal posługująca się nazwiskiem Żmijewska) – przed kilkunastoma laty wyklęta przez matkę i ojca z powodu ucieczki z aktorem trupy objazdowej. Po kilku burzliwych latach kariery aktorskiej na prowincji, nie mogąc odnieść sukcesu na scenie, zaczęła tworzyć jednoaktówki i pisać komedie na potrzeby małych teatrów.

Dzisiaj Agnieszka powracała do rodzinnego miasta jako znana w pewnym kręgu autorka sztuk teatralnych, które wystawiano w kilku miastach Galicji. Czasy na tyle się zmieniły (a może pani Regina była już bardziej tolerancyjną osobą), że Agnieszka zyskała przebaczenie i chociaż matka powiedziała jej, że skandalu, jaki wywołała, nigdy jej nie zapomni, teraz przyjęła ją z otwartymi ramionami.

W Wielki Czwartek, po piętnastu latach od śmierci, oficjalnie urządono pogrzeb ojcu rodziny, Jeremiemu Żmijewskiemu. Nareszcie było to możliwe, bo rodzinne przedsięwzięcie stanęło na nogi pod zmienioną nazwą hotel Regina. Kanalizacja, dopływ wody i linia telefoniczna, a przede wszystkim nowy wystrój apartamentów sprawiły, że wśród licznych hoteli na ulicy Długiej przybytek prowadzony przez panią Żmijewską znowu zaczął przyciągać gości.

A wszystko dzięki pieniądзом, jakie zainwestowała w hotel pani Wanda Mednis – przedziwna, ekscentryczna postać.

Ku zdziwieniu Eleonory kobieta ta pojawiła się w Warszawie tuż przed świętami Bożego Narodzenia tysiąc osiemset osiemdziesiątego trzeciego roku jako towarzyszka pani Reginy, która po tym, jak mąż Eleonory spoczął w grobie, mogła wreszcie na dobre wrócić z najmłodszym dzieckiem – córką Walerią do domu. Wygląd pani Wandy, przypominającej matronę o nieokreślonym wieku (wysoki wzrost, masywna sylwetka, pełne usta, wiecznie zdziwione, ptasie oczy i wyjątkowo ekstrawaganckie stroje), jej sposób bycia (maniery arystokratki połączone z ciepłem i wylewną życzliwością), dziwne nawyki (codzienne kąpiele w ziołowych naparach, osobliwe potrawy z niezwykłych składników wedle własnych receptur), fobie (strach przed zwierzętami, zwłaszcza kotami, a także unikanie pewnych czynności w określone dni), perlisty śmiech i hojność, a przede

wszystkim przywiązanie, jakie okazywała pani Reginie – wszystko to sprawiało, że żadne z dzieci pani Żmijewskiej nie było w stanie jednoznacznie określić stosunku do tej osoby.

– Kim jest ta kobieta o wschodnim nazwisku? – szeptał do ucha siostry Konstanty, spoglądając z wyraźną niechęcią na siedzącą dwa rzędy przed nim w kościele panią Wandę.

– Niewiele o niej wiem... Ponoć pochodzi ze zubożałej szlachty ze wschodu. To bardzo majątna wdowa, o dzieciach nic słyszałam. Jej mąż dorobił się wielkiego majątku, produkując naczynia kuchenne. Wiadomo, że jest starsza od matki, ale nie wiadomo o ile, jej wiek jest niewiadomą... Poznały się z naszą matką w którymś ze szwajcarskich kurortów i tam rzekomo zapalały do siebie dozgonnym uczuciem, które nazywają przyjaźnią. A skoro pani Wanda nie ma rodziny, matka przywiozła ją tutaj... – wyjaśniła Eleonora.

– Ale dlaczego spłaciła nasze długi? Nie rozumiem...

– Nikt tego nie rozumie. Rzekomo to nasza dobrodziejka, ale przecież nie ma cudów na tym świecie, jakiś interes pani Mednis ma, aby ratować nasz hotel... – odparła z przekąsem Eleonora.

Sama nie wiedziała, co myśleć o nieco dziwnej relacji łączącej jej matkę z Dušką (jak pani Regina nazywała pieszczotliwie starszą od siebie przyjaciółkę). Wydawało się, że łączy je szczególna nić porozumienia, tak intymna, iż przebywając w ich towarzystwie, każdy czuł się jak intruz wkraczający w świat, którego języka ani znaczenia wypowiedzianych słów nie rozumie.

Pani Mednis, czując, że dzieci Reginy rozmawiają na jej temat, odwróciła się w ich stronę i posłała szeroki, dobrotliwy uśmiech. Pani Żmijewska, jak zawsze elegancka, ubrana w morelową suknię przystrojoną świeżymi pąkami róż, nie wyglądała na swój wiek – w lutym skończyła sześćdziesiąt lat, co kobiety mieszkające przy Długiej świętowały wybornym szampanem i ostrygami sprowadzonymi do Warszawy wielkimi nakładami kosztów przez Wandę.

Dzięki jakiejś orientalnej substancji o właściwościach barwiących, którą Regina nauczyła się stosować w Egipcie, jej włosy nigdy nie były siwe i zachowały kasztanowy kolor. Zdrowa, zaróżowiona twarz i uśmiech na lekko pomarszczonej twarzy sprawiały, że wyglądała bardzo dobrze jak na swoje lata.

Matka wróciła do Warszawy inna niż kiedyś. Rozpłakała się na widok odzianej w żałobną czerń córki z widocznym pod spódnicą ciężowym brzuchem. Całując Eleonorę po rękach, przyklękła i błagała o przebaczenie. „Nie było mnie, kiedy naprawdę mnie potrzebowałaś, nie byłam w stanie cię ostrzec przed człowiekiem, który realizował zemstę zaplanowaną przez swojego ojca. Co za okrutni ludzie! Szpakowscy tacy właśnie byli, gwałtowni, nieobliczalni, przystojni... Nasza rodzina wiele przez nich wycierpiała. Cierpiałaś za moje grzechy! – łkała.

To przedstawienie w wykonaniu matki zapowiadało zasadniczą zmianę w ich stosunkach, jednak wbrew oczekiwaniom Eleonora nie dowiedziała się od pani Reginy wiele więcej. Zasypywała matkę pytaniami o jej relacje ze Szpakowskimi, o skomplikowane powiązania dwóch rodzin, których się domyślała, ale matka stanowczo i konsekwentnie unikała konkretnych odpowiedzi.

Rąbka tajemnicy uchylila tylko raz. Wymusknęła się jej kiedyś uwaga o zmienności fortuny, która odwraca się od człowieka, jeśli ten zawiera swój los miłości, a ona w efekcie prowadzi go do zguby.

– Co chcesz, matko, przez to powiedzieć? Dziadek Anzelm przejął hotel od Szpakowskiego, wykorzystując fakt, że tamten kogoś kochał? – Eleonora nie rozumiała, co właściwie matka chce jej przekazać.

– Nie, nie... Nieważne. Przysięgłam pewnej osobie, że pewne tajemnice zabiorę ze sobą do grobu, nie mogę więcej nic powiedzieć, bo będę się smażyć w piekle – westchnęła Regina.

„I tak będziesz” – w myślach odpowiedziała Eleonora.

2.

O godzinie jedenastej rodzina Żmijewskich zasiadła przy wytwornie nakrytym stole w sali restauracyjnej opustoszałego w okresie świąt hotelu: Eleonora z uroczym małym Tadzkiem, którego wprost obsypano prezentami (ze wszystkich podarków najbardziej przypadła mu do gustu pozytywka z konikiem), obok zdystansowana, paląca papierosa za papierosem dramatopisarka – bo tak teraz kazała się określać – Agnieszka, przedwcześnie postarzały Konstanty, którego uroda i temperament nieodwracalnie przebrzmiały, piętnastoletnia Waleria – zadzierająca nosa, wyniosła uczennica żeńskiego gimnazjum, wreszcie pani Regina doskonale grająca rolę zacnej matrony wzruszonej zjednoczeniem rodziny. Przy stole znalazło się też miejsce dla osób, które w ostatnich miesiącach zrosły się z rodziną i hotelem Regina: pani Wandy Mednis i mecenas Darskiego. Prawnik rodziny Żmijewskich miał ostatnio ręce pełne roboty związanej ze sprawami własnościowymi hotelu.

Ani Konstanty, ani Agnieszka nie zajaknęli się nawet słowem, ale oczywiste było dla obojga, że w istocie przybyli do Warszawy, aby odebrać przypadającą im część spadku. Ponadto jedyny syn i dziedzic Żmijewskich planował osiąść na stałe w mieście i zająć się zarządzaniem hotelem, co tuż po przybyciu okazało się pomysłem absolutnie sprzecznym z wizją, jaką co do majątku rodziny miała pani Regina.

Jednak trudne rozmowy nie mogły być toczone przy wielkanocnym, uginającym się od jadła i przednich napojów, stole. Wyznaczona na poświęcony wtorek narada rodzinna z udziałem prawnika i rejenta miała być momentem otwarcia testamentu Jeremiego Żmijewskiego, a także dokonania ustaleń w kwestii

podziału majątku. Do tego czasu wszystkim pozostawało maskować podenerwowanie i obdarzać się wzajemnie najcudowniejszymi uśmiechami.

Po latach niewidzenia się odczuwaną wobec siebie obcość pokrywano nadmiarem komplementów i wyszukaną uprzejmością. O sielską atmosferę w ten uroczy wiosenny dzień dbała szczególnie pani Wanda, która co chwilę śmiała się perliście i sypała anegdotami o balach w Paryżu i przygodach w kasynach Monte Carlo, gdzie – jak beztrąsko stwierdziła – przegrała fortunę. Umiała zadbać o to, aby każdy z gości poczuł się przy stole wyjątkowo.

– Dlaczego ona siedzi u szczytu stołu jak głowa rodziny? – szepnął wściekły Konstanty, nachylając się ku Eleonorze. – Co tu się dzieje? Kupiła sobie ten hotel? Dla nas nie zostało już nic?

– Ona tu jest bez wątpienia najważniejsza, nawet matka ma dla niej wiele uwagi. Mnie również się to nie podoba. Ale ja wkrótce się stąd wyprowadzam – odparła z tajemniczym uśmiechem Eleonora.

Oboje spojrzeli w stronę pani Wandy z pobłażliwym uśmiechem na ustach. Ubrana w suknię w kolorze intensywnej żółci z czarną pasmanterią, z diamentową tiarą na włosach, sprawiała wrażenie olbrzymiej pszczoły królowej matki, która z końca długiego stołu obserwuje swoje pszczoły robotnice.

Pani Mednis nawet przy wielkanocnym stole nie rozstawała się ze swoim małym pudełkiem miniaturką, którego trzymała na kolanach, i rozmawiając z gośćmi, wsuwała w pyszczek pupila co lepsze kąski ze swego talerza.

– Dzisiejsze menu to w całości zasługa drogiej Wandeczki! – Regina z uśmiechem spojrzała na przyjaciółkę.

– Wspaniałe kołduny, nawet w Wilnie takich nie jadłam – odezwała się Agnieszka.

– Wyborna gęsina! Naprawdę wszystko jest wspaniałe! – dorzucił Konstanty.

– Jeśli państwo pozwolą, chciałbym podzielić się z państwem niezmiernie szczęśliwą nowiną! – mecenas Darski przerwał nagle tę wymianę komplementów.

Wstał z krzesła, otarł wargi serwetą, zaczerpnął łyk wody, po czym patrząc z miną zadurzonego dzieciaka w oczy Eleonory, obwieścił z nieskrywaną dumą, że w imieniu pani Szpakowskiej i swoim pragnie poinformować o ich zaręczynach.

– Eleonoro, uczyniłaś mnie najszczęśliwszym z ludzi, zgadzając się przyjąć moje oświadczyzny – rzekł wyraźnie wzruszony Ignacy.

Ucałował dłoń przyszłej żony, na której palcu lśnił podarowany jej miesiąc wcześniej pierścień z brylantem otoczony szmaragdami.

Powinszowaniom i życzeniom nie było końca, dopiero wniesiony przez służbę wyjątkowy tort udekorowany kandyzowanymi wiśniami, kawa i likiery oderwały od siebie uwagę członków rodziny, którzy okazywali radość. Eleonora przyjmowała życzliwe słowa z uroczym rumieńcem, kiwała głową, słysząc, że

„Tadzio powinien mieć ojca”. Myślała o tym, że już nie może się doczekać chwili, kiedy opuści dom przy Długiej i zamieszka w zupełnie nowym, obszernym mieszkaniu, jakie Ignacy zakupił w nowej kamienicy w najprężniej rozwijającej się części miasta, przy ulicy Kruczej. Chciała urządzić sobie gniazdko wedle własnych gustów, zorganizować domostwo po swojemu, wybrać i zatrudnić samodzielnie służbę, a przede wszystkim zniknąć z hotelu, w którym przytłaczała ją panująca atmosfera, a zwłaszcza rządy pani Wandy oraz matki.

Wszyscy cieszyli się jej szczęściem, zwłaszcza że wycofanie się Eleonory ze spraw dotyczących rodzinnego interesu każdemu było na rękę. Tylko matka sprawiała wrażenie osoby, która za wszelką cenę chce ukryć niemiły dla niej efekt zaskoczenia. Powinszowała córce i szepnęła jej, że co prawda pan Ignacy ciągle był gdzieś obok, ale nie spodziewała się tak wielkiej zażyłości pomiędzy nim a córką.

– Wydawało mi się, że nigdy go nie lubiłaś – szepnęła, patrząc na córkę wnikliwie.

– Ignacy był dla mnie ogromnym wsparciem w okresie mojego wdowieństwa, kiedy przyszedł na świat Tadzio. Wiem, że nigdy mnie nie skrzywdzi, zawsze moje szczęście będzie dla niego najważniejsze – odparła Eleonora.

Płacz dziecka wybawił ją od konieczności kontynuowania rozmowy z matką, która sprawiała wrażenie wyraźnie zaniepokojonej.

Korzystając z chwili zamieszania, gdy Tadzio bawił się malowanymi jajkami na dywanie w orientalnym saloniku, a Eleonora i Agnieszka razem z zachwyconą przebiegiem świątecznego spotkania Wandą roztkliwiały się nad urodą chłopca, pani Regina poprosiła Ignacego o chwilę rozmowy na osobności. Ten przeprosił na moment Konstantego, któremu towarzyszył w bibliotece przy cygarze i koniaku, i udał się do dawnego gabinetu Jeremiego Żmijewskiego.

Darski po sutym śniadaniu, kawie i kilku kawałkach wybornych mazurków z kajmakiem czuł się doskonale, zaś fakt, że jego zaręczyny zostały obwieszzone rodzinie, podbudował jego ego. Spodziewał się wyrzutów ze strony pani Żmijewskiej, że przed ogłoszeniem decyzji o małżeństwie nie zapytał o jej zgodę, jednak niewiele sobie z tego robił. „Na Boga! Eleonora jest dojrzałą kobietą, wdową z dzieckiem, nie musi pytać matki o zgodę!” – tak właśnie zamierzał odpowiedzieć na to spodziewane pytanie pani Reginy.

Ale taki wyrzut nie padł z ust pani Żmijewskiej.

Gdy tylko drzwi gabinetu zamknęły się za Ignacym, Regina spojrzała na prawnika bez cienia sympatii i powiedziała gniewnie i stanowczo, że ślub nie może dojść do skutku. Ignacy odpowiedział jej uśmiechem i wyrażającym niedowierzanie spojrzeniem łagodnych oczu.

– Na razie wie o tym nedorzecznym pomysłe tylko rodzina, łatwo będzie

uniknąć skandalu...

– Jakiego skandalu? Czyż nie jestem godzien pani córki? Osiągnąłem sukces w swoim zawodzie, mam pieniądze...

– Nie o to chodzi! – przerwała mu gwałtownie Regina. – Jesteś pan rzekomo inteligentnym człowiekiem, czego nieraz dowiodłeś w swej pracy. Pomyśl! Jako syn służącej zostałeś prawnikiem, człowiekiem zamożnym, cieszącym się powszechnym szacunkiem. Nigdy się pan nie zastanawiałeś, czemu tak się stało?

Ignacy spojrział na swoją dobrodziejkę hardo i odpowiedział ostro:

– Szanowna pani ma rację, oczywiście, że wiele razy zastanawiałem się nad przyczynami dobroci, jaką raczyła mi pani okazać.

– Racz pan pomyśleć! Dziecko służącej staje się prawnikiem! I do jakich wniosków pan doszedłeś? Nie rozumiesz jeszcze? Twoja nieszczęsna matka, jak wiele przed nią i wiele po niej, nie umiała się oprzeć męskiej chuci i uległa swojemu panu...

– Proszę natychmiast przestać! Jak pani śmie?! – niemal krzyknął Ignacy. Jego twarz zaczerwieniła się, a gdyby spojrzenie mogło zabić, pani Żmijewska padłaby trupem na orientalnym dywanie pełnego palisandrowych mebli gabinetu. – Ani słowa więcej! Nie wierzę w ani jedno pani słowo! Moja matka była biedną, ale uczciwą kobietą, wyznałaby mi prawdę przed śmiercią.

– Wiem, że to wstrząsające i prawdopodobnie nigdy bym tego nie wyjawiała, ale cóż, okoliczności mnie do tego zmuszają. Pańskim ojcem faktycznie był... mój mąż! Jeremi był zacnym człowiekiem, wielkim patriotą, ale niestety – wybacz pan wulgarność, do której nie nawykłam, muszę to jednak jasno powiedzieć – nie przepuścił żadnej dziewczce, która służyła w tym hotelu. – Eleonora westchnęła. – Na jego życzenie opłacałam pańską edukację, o wszystko zadbałam.

– Bzdura! – ostro powiedział Ignacy. – Zadbała pani, bo taka inwestycja doskonale się pani opłaciła... Nie wierzę w ani jedno słowo! Powiem więcej, proszę mnie uważnie posłuchać! Kiedy wyjdziemy z tego gabinetu oboje uznamy, że ta przykra rozmowa nigdy, słyży pani, *nigdy* nie miała miejsca! Poślubię pani córkę i uczynię ją szczęśliwą, Tadeusza będę traktował jak własnego syna, chociaż liczę na to, że Eleonora urodzi mi potomka. Ona zasługuje na dobre życie, po tylu latach cierpień, jakie zgotował jej ten oprawca Szpakowski. Gdyby nie moja interwencja, doprowadziłby nieszczęsną Eleonorę do obłądzenia albo samobójczej śmierci. Proszę się więc cieszyć szczęściem pani córki.

– Nie zamierzam milczeć, chciałam dać panu jedynie możliwość wycofania się z obietnicy małżeństwa bez ujawniania sekretów przeszłości, ale skoro pan nie chcesz... – Pani Żmijewska podniosła się z krzesła i ruszyła w stronę drzwi.

– W takim razie, szanowna pani, ja też ujawnię Eleonorze pewne fakty, co do których od lat ona i reszta rodziny pozostaje w błędzie!

– Ośmieszasz się, wiem, że masz dużą wiedzę o naszych sprawach, ale...

Regina nie dokończyła zdania. Ignacy złapał ją mocno za przegub i powiedział groźnym tonem:

– Jeśli poruszysz kiedykolwiek ten temat z Eleonorą, ona dowie się o tym, coś pani zrobiła jej siostrze, małej Emilii! Dowie się, że nieszczęsna dziewczynka wcale nie urodziła się chora i obłąkana, jak to przedstawialiście od początku. Ciekawe, czy z jej wrażliwością zrozumie, że pozbyła się pani dziecka tylko dlatego, że było karłem!

Eleonora zbladła i powściągając emocje, przypatrywała się mężczyźnie, wyglądającemu jak gotowy na wszystko szaleniec.

– Nie wiem, jakim sposobem dowiedziałeś się pan o tych sprawach, ale cóż, nieważne. Taką decyzję podjął mój mąż i ja się z nią zgodziłam. Zrobiliśmy to dla dobra rodziny i hotelu.

– Zatem karłowate dziecko psuło wizerunek idealnej rodziny?

– Nie pasowało do nas. To wybryk natury. Lepiej mu na wsi, gdzie ma zapewnione wikt i opierunek – westchnęła Eleonora.

– To pani tak uważa. Ciekaw jestem, jak zareaguje na tę wiadomość Eleonora i reszta pani dzieci? A co ciekawe, Emilia – z tego, co wiem – wciąż żyje na zapadłej wsi i nadal formalnie nosi nazwisko Żmijewska. Ponoć jest całkiem zdrowa na umyśle, ale nie zna prawdy o swoim pochodzeniu. Przywiozę ją tutaj i oto przybędzie kolejna głowa do podziału spadku po Jeremim... – Ignacy opanował się już i widząc, jak usilnie jego rozmówczyni stara się stłumić targające nią emocje, zakończył z uśmiechem: – A teraz proszę wybaczyć, nie chcę, aby narzeczona zaniepokoiła się moją długą nieobecnością!

– Słusznie się powiada, że nienawidzi się najbardziej tych, którym najwięcej się zawdzięcza...! – krzyknęła jeszcze za nim pani Regina.

Ignacy nie zareagował, zamknął za sobą drzwi saloniku i ocierając zroszone potem czoło, ruszył wąskim korytarzem ku pomieszczeniu, gdzie nadal bawiła się reszta towarzystwa. Nagle dosłownie wpadł na niego Konstanty. Rozglądając się nerwowo na boki, Żmijewski protekcyjnie ujął przedramię prawnika i konspiracyjnym szeptem zapytał:

– Panie mecenasie, ja wiem, że pan znasz treść ojcowskiej ostatniej woli. Muszę wiedzieć... Czy on naprawdę mnie wydziedziczył, czy to były tylko groźby?

Ignacy westchnął, delikatnie odsunął rękę Konstantego i uśmiechając się w grzeczny, aczkolwiek zdystansowany sposób (jak zawsze, gdy rozmawiał z wyjątkowo roszczeniowymi klientami), odparł cicho:

– Wszystkiego dowiesz się pan wkrótce. Obawiam się jednak, że ojciec zakomunikował panu prawdę. Owszem, polecił dokonać zmian w testamencie po tym, jak zerwał pan stosunki z rodziną i zostałeś w Londynie.

„Ale ja nie wykonałem jego polecenia” – dodał w myślach.

Darski wciąż nie wiedział, jak rozwiązać sprawę testamentu. Miał w ręce wszelkie narzędzia i mógł manipulować losem całej rodziny Żmijewskich. Nie mieli pojęcia o tym, że pewien doskonale znający swój fach kopista z półświatka, a także zaprzyjaźniony rejent byli w stanie dopomóc Darskiemu w sporządzeniu odpowiednio brzmiącego wariantu testamentu Jeremiego. Nikt nigdy nie będzie w stanie podważyć autentyczności charakteru pisma osoby, która nakreśliła jego treść.

– A niech to! – Konstanty westchnął głęboko z wyraźnym rozczarowaniem.

– Wybaczy pan, pańska siostra czeka...

Ignacy poprawił muszkę i wygładził poły fraka, po czym wyminął Żmijewskiego i ruszył szybkim krokiem do salonu, gdzie powitały go radosne, iskrzące się oczy Eleonory.

Z szerokim uśmiechem ruszył w jej kierunku, powtarzając sobie, że to, co powiedziała mu pani Regina, na pewno nie jest prawdą. Stara wiedźma ma widać inne plany względem owdowiałej córki. Przypomniał sobie pooraną zmarszczkami twarz swojej zapracowanej matki, twarz ojca, który przez dwadzieścia lat pracował jako odźwierny w hotelu. To oni byli jego rodzicami.

Epilog Odzyskiwacze

Droga pani Schubert, niech pani nie przyśpiesza Losu; że musi, że tylko teraz, że za zakrętem w prawo... Niech go pani nie popycha, nie nakłania, nie kusi. Jest właścicielem ziemskim. Skupuje miłość, fortunę, ogień i umarłych. Niech pani nie liczy na to, że wyjdzie z obiegu, jak marna moneta. I nigdy nie przegra. Wygra każdą kłeskę, przykładając do oka pytania na przyszłość

EWA LIPSKA, *Los*

4 września 2016 roku

Drugiego września, w sobotę późnymi wieczorem, mecenas Jan Kucharski otrzymał od Dany Spakowski mejl o zaskakującej treści. Nie musiał teoretycznie na niego odpowiadać, tym bardziej że sprawa działki przy Dobrej nie miała statusu pilnej. Jednak wiedziony ciekawością otworzył wiadomość, a ponieważ jej treść była co najmniej dziwna – a do tego list napisany był po polsku – postanowił odpisać. Nie chciał, aby nadawczymi otrzymała wysłaną automatycznie informację statusu: „Przeczytano 02.09 o godz. 23.59”.

Treść mejla brzmiała:

Janek, cześć! Co u Ciebie? Mam pytanie, czy jesteście odzyskiwaczami (w znaczeniu cała kancelaria)? Pozdrawiam, Dana

Jej wiadomość podniosła mu ciśnienie. Impertynenckie pytanie, zwłaszcza w obecnej, trudnej sytuacji było niestosowne, w dodatku napisane tak, jakby pani Spakowski korespondowała ze znajomym w sieci. Coś podobnego! Od kiedy przed kilkoma tygodniami niespodziewanie wybuchła tak zwana „afery reprivatyzacyjna w Warszawie” przez całe dni atmosfera w kancelarii była napięta do granic możliwości. Nikt nie wiedział, co będzie się działo dalej z prowadzonymi sprawami, co z ich posadami, skoro działalność mecenas Sity, a tym samym reszty prawników dotyczyła niemal wyłącznie kwestii odzyskiwania gruntów w Warszawie.

Zaskoczył go ten mejl, jego ton (prowokacyjny czy oskarżycielski, nie mógł się zdecydować), a nawet poziom języka polskiego. Jakby przez te jedenaście tygodni, jakie minęły od czasu wizyty Dany w Warszawie, jego dotąd kalecząca polski klientka nauczyła się poprawnie nim posługiwać. A może ktoś to dla niej napisał? Ta opcja od razu przyszła mu do głowy. Może ktoś, wykorzystując Danę, stara się pozyskać informacje w tak teraz głośnych sprawach reprivatyzacyjnych?

Może chce wyciągnąć dane albo wiedzę dotyczącą skandalicznych układów z ratuszem i nieetycznych praktyk prawników, z których w ostatnich dniach prasa robi oszustów handlujących kupowanymi za bezcen roszczeniami.

Odpowiedział w oschłym, profesjonalnym tonie (od czasu do czasu mecenas Sito weryfikował mejle prawników pod kątem poprawności komunikacji z klientami, tym bardziej Janek nie mógł sobie pozwolić na swobodny ton, chociaż w wypadku Dany nie było to łatwe). Poprosił ją o zadanie konkretnego pytania. Napisał, że nie rozumie, o co jej chodzi? Tak jak informował wcześniej, wszelkie prawne wnioski dotyczące odzyskania przez panią Spakowski działki przy ulicy Długiej zostały złożone, jednak w związku z deklaracją prezydent miasta sprzed kilku dni, do czasu uchwalenia „dużej” ustawy w tym zakresie, wszelkie reprivatyzacje warszawskich nieruchomości zostają bezterminowo wstrzymane. Na końcu dodał standardową formułkę, że pozostaje do dyspozycji w przypadku jakichkolwiek wątpliwości.

Wysłał mejl po północy. Nie mógł spać, myślał o tym, jak rozplanować wakacje. Najchętniej wziąłby zaległy urlop jak najszybciej. Atmosfera w kancelarii była fatalna, nie do pozazdroszczenia była także sytuacja, w jakiej znalazł się mecenas Sito, nękanym od rana do nocy przez dziennikarzy i napiętnowanym przez prasę jako osoba uwikłana w tak zwany „układ warszawski”, czyli grupę prawników, urzędników i sędziów, którzy rzekomo mieli przejmować warszawskie nieruchomości od spadkobierców dawnych właścicieli.

Obejrzał na tablecie odcinek sensacyjnego serialu będącego połączeniem horroru i fantasy, który reklamowano jako „hit lata”, po czym leżał w łóżku przy otwartym oknie. Nagle usłyszał sygnał zwiastujący wiadomość na komunikatorze. Sięgnął po telefon, myśląc o tym, jak cholernie mocno jest uzależniony od tego urządzenia.

To była Dana. Napisała, że nie rozumie jego oschłej odpowiedzi i prosi o telefon albo spotkanie, bo właśnie teraz przebywa w Warszawie. Janek był zaskoczony. Dlaczego nie pisała wprost, że chce się spotkać, po co te złośliwości? Bez zastanowienia napisał, że chętnie się spotka, nawet w niedzielę. Umówili się o siedemnastą w lokalu Charlotte przy placu Grzybowskim.

Od pierwszej chwili, kiedy ją zobaczył kroczącą od strony Próżnej w kierunku wystawionych na placu stolików, spojrzał na nią innymi niż dotąd oczami – zupełnie jakby objawiła mu się nieznana do tej pory piękność. Ubrana w prostą, czerwoną sukienkę, z rozwianymi długimi, ciemnymi włosami skojarzyła mu się z Monicą Belucci. Gdy zdjęła przeciwsłoneczne okulary i Janek spojrzał w jej ciemne oczy, na wyraziste brwi i pomalowane błyszczącym ustami, pomyślał, że chciałby pójść z nią do hotelu i zdjąć z niej ubranie.

Nie tylko wygląd Dany był inny, ale też to, w jaki sposób i co mówiła. Zupełnie nie przypominała tej zagubionej wizytą w obcym kraju nieco

podenerwowanej osoby, jaką objawiła mu się w trakcie wizyty w czerwcu. Teraz mówiła dużo lepiej po polsku, śmiała się często, a przede wszystkim zadawała natarczywe pytania. Interesowała ją głównie afera warszawska – dlaczego akurat teraz wybuchła, czy ktoś za tym stoi? Pytała o kwestie prawne, jak to możliwe, aby ktoś kupował roszczenia za marne pieniądze od nieorientowanych ludzi, dlaczego sądy i ratusz procedowały tak, a nie inaczej w tych sprawach. Najwyraźniej zdobyła (lub ktoś jej przekazał) jakąś pobieżną wiedzę na temat głośnych ostatnio wydarzeń. Co nieco wiedziała, ale nie rozumiała mechanizmu i chciała go zrozumieć. Albo ktoś chciał, aby pozyskała tę wiedzę...

– Co się stało? W czerwcu odniosłem wrażenie, że kwestia tej działki ma dla ciebie znaczenie sentymentalne, nie zależało ci tak bardzo na skutecznej walce o nieruchomości. A teraz... Czy potrzebujesz pieniędzy?

Zrobiła minę wyrażającą zniecierpliwienie. Odparła, że po prostu chce wiedzieć, na czym stoi, ale nie, pieniędzy jej nie brakuje, jeśli tak bardzo go to interesuje.

– Wynajęłam sobie pokój w Bristolu, chciałam mieć ładny widok na Krakowskie Przedmieście. Czytam teraz *Lalkę* Prusa i lubię patrzeć na ten rejon. Widzisz, że stać mnie na wydatki – obruszyła się na jego słowa.

Jak się okazało, w lipcu i sierpniu Dana poznała przez portal internetowy wielu Polaków z Warszawy, zawarła ciekawe znajomości i w trakcie lata, które właśnie dogasało, była w Polsce kilkakrotnie! Zachwyciała się Warszawą, zwłaszcza niespotykanym w innych dużych miastach nieuregulowanym i dzikim brzegiem rzeki, plażami nad Wisłą, targiem staroci na Kole i starymi cmentarzami. Poznała ponoć towarzystwo, które zabierało ją do ciekawych restauracji z regionalnymi produktami, do knajp z piwem kraftowym i offowych kawiarni. Wiodła tu najwyraźniej aktywne, wypełnione rozrywkami życie towarzyskie.

Poznała artystów z Pragi, mieszkała u kogoś na Żoliborzu Oficerskim, następnie u jakiegoś znajomego na Targówku. Przemierzała miasto rowerem, wiele razy miała okazję od nocy do rana plątać się po knajpkach wegańskich, nocnych marketach, targach śniadaniowych, festiwalach food trucków i tego typu atrakcjach. Poznała to miasto od strony, której Janek nigdy nie miał nawet ochoty zasmakować. Tego typu próżniacze życie nie było dla niego. Zawsze wydawało mu się to szczeniackie, trywialne, aby krążyć od knajpy do knajpy i szukać przygód.

– Warszawa to nie tylko modnie wyglądający ludzie, biegający w maratonach albo siedzący z tabletami w kawiarniach i gotujący wegańskie dziwactwa z kupionych na dzielnicowym targu produktów. To także tłumy ludzi, którzy nie mają z czego żyć, całe rzesze ludzi, które przyjechały tu za pracą, wzięły kredyt i teraz są niewolnikami systemu, duszą się tutaj, marzą o ucieczce, ale dopóki mają pracę, muszą tu być.

– Wszędzie tak to wygląda. Ale tutaj naprawdę czuję pozytywną energię –

odparła Dana.

Janek skrzywił się z niesmakiem, słysząc to banalne określenie, a Dana rzuciła, że zaraz musi uciekać, bo umówiła się tutaj na placu ze znajomym, Borysem, który tak jak ona jest pisarzem.

– Borys przeprowadził się do Warszawy z małego miasteczka, chce robić karierę. Píše kryminały, całkiem niezłe. Zresztą ja też pracuję teraz nad książką, Piszę o morderstwie w hotelu, w którym jest, wiesz, taka surrealistyczna atmosfera.

Niemal zaraz gdy skończyła mówić, przy ich stoliku pojawił się wysoki facet w typie hipstera, po trzydziestce, ubrany w krótkie spodenki, mokasyny i koszulkę z jakimś idiotycznym napisem.

Spojrzał na Janka z wyraźną niechęcią.

– No to jak, mecenasie, pan też kupił roszczenia do jakiejś działki? Dzisiaj chyba co drugi prawnik maczał w tym palce – zagał z głupim uśmiechem. Co chwila spoglądał na Danę i widać było, że albo już są, albo zaraz będą kochankami.

– Bzdury! – odparł cierpko Janek.

Dryblas uśmiechnął się lekceważąco i zapalił papierosa. Dana siedziała z nogą założoną na nogę, wystawiając twarz ku słońcu, które wychyliło się zza wieżowca Cosmopolitan. Wydawała się niezwykle atrakcyjna.

Janek uświadomił sobie, że teraz, gdy niespodziewanie tak silnie zapragnął tej kobiety, wbrew swojej woli zachowywał się jak kogucik. Skoro pojawiła się konkurencja, jego męskie ego kazało mu stanąć do urojonej walki o kobietę, która do niedawna nawet nie wydawała mu się atrakcyjna.

Dana i jej znajomy musieli „szybko uciekać”, rzekomo na jakąś imprezę. Janek pożegnał się z poczuciem, że zmarnował niedzielne popołudnie. W zasadzie nie wiedział, w jakim celu Dana poprosiła o to spotkanie. A mógł zostać w domu i obejrzeć mecz eliminacyjny do mundialu!

Odchodząc, spojrzał jeszcze, jak Dana idzie obok Borysa, a jej pośladki opięte czerwoną tkaniną kołyszą się kusząco. Przez platformy butów wydawała się o wiele wyższa, jakaś zgrabniejsza niż przed dziesięcioma tygodniami, intrygująca, przepiękna. Może choćby przelotny związek z pisarką o ciekawym życiorysie ożywiłby jego nudne życie?

Janek skierował swe kroki w stronę stacji metra. Nad plac Defilad nadciągnęły ołowiane chmury. Zbierało się na burzę.

Po spędzeniu w mieszkaniu dwóch jałowych godzin (odgrzał sobie w mikrofalówce resztkę pierogów kupionych poprzedniego dnia, zmył naczynia, trochę ogarnął mieszkanie, myśląc o czekającej go nazajutrz rozprawie w sądzie gospodarczym), stanął przy oknie, z fascynacją obserwując bardzo gwałtowną burzę, która szarpała koronami drzew. W pewnym momencie o szyby zaczął dzwonić grad.

Włączył telewizor i zaczął bezmyślnie oglądać amerykański film *Marsjanin* (samotnie przebywający na planecie bohater właśnie stracił uprawiane na Marsie ziemniaki, które miały mu zapewnić wyżywienie do czasu przylotu załogi, a tym samym uratować życie), gdy nagle na ekranie smartfonu ukazał się dymek z wiadomością.

To była ona. Napisała tylko: „Przyjdź do Bristolu, tylko szybko, proszę...”.

Nie wiedział, co począć. Na dworze szalała straszliwa burza, w serwisie internetowym pisano o licznych interwencjach straży pożarnej, połamanych drzewach i tak dalej. Ale skoro ona go wzywa... Pragnął przecież przyjść do jej hotelowego pokoju. Wyobrażał sobie Danę leżącą na łóżku, w samej bieliźnie albo bez... Fantazjował na ten temat ledwie przed godziną.

„Dlaczego teraz? Jest burza” – odpisał, licząc na to, że może przełoży to dziwne randez-vous na jutro.

Nie odpisała. Czekał, przypomniał się ponownie, ale bezskutecznie. Trwało to dwadzieścia, może trzydzieści minut.

Po jedenastej wieczorem burza zaczęła się uspokajać, padał tylko deszcz. Z ulicy dochodziły odgłosy karetek i wozów jadących na sygnale. W mieście wichura musiała wyrządzić sporo szkód. Kto wychodzi z domu w taką pogodę?

W końcu jednak postanowił, że jeśli uda mu się zamówić samochód przez aplikację Uber, po prostu pojedzie na Krakowskie Przedmieście. Jeśli nie będzie wolnego samochodu, zostanie w domu. Kliknął na ikonkę, wszedł w aplikację i zaraz pojawiło się powiadomienie o kilku kierowcach w pobliżu. Zamówił przejazd, narzucił na siebie sportową kurtkę z kapturem i wyszedł przed kamienicę.

Miasto mimo późnej pory było zakorkowane i dotarcie z Mokotowa pod Bristol zajęło ponad dwadzieścia minut. Kiedy wysiadł z samochodu na Karowej, od razu zauważył wóz policyjny, samochód straży pożarnej i karetkę pogotowia stojące pod głównym wejściem do hotelu.

– Coś się stało? – zagadnął stojącego przed oknami hotelowej restauracji faceta w uniformie boya.

– Nic nie widziałem, ale podobno jakaś kobieta wyskoczyła przez okno.

Koniec części pierwszej

Od autorki

Niniejsza powieść nie mogłaby powstać, gdyby nie liczne materiały źródłowe, z których czerpałam wiedzę na temat historii, realiów, obyczajów czy architektury dawnej Warszawy. Chciałabym poniżej wymienić zaledwie kilkanaście z kilkudziesięciu pozycji, którym zawdzięczam unikatową wiedzę.

Odtworzenie topografii miasta w czasach panowania Wazów nie byłoby możliwe, gdyby nie pierwszy przewodnik po Warszawie *Gościniec albo krótkie opisanie Warszawy* Adama Jarzębskiego (Państwowe Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa), którego postać ożywiłam na kartach powieści.

Wspaniałym źródłem wiedzy jest książka Jolanty Putkowskiej *Architektura Warszawy XVII wieku* (Państwowe Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa).

Kilka anegdot oraz ciekawostek obyczajowych dotyczących I poł. XVII oparłam na relacjach z *Dziennika podróży do Polski. 1635–1636* Charlesa Ogiera (Wydawnictwo WIMANA, Gdańsk).

Wiedzę na temat XVII-wiecznych oper, jakie wystawiane były na Zamku Królewskim, zaczerpnęłam z tekstu Jakuba Lewickiego *Jak mogła „wyglądać” premiera Dafne na dworze Władysława IV? Scenografia i maszyny teatralne w XVII-wiecznych adaptacjach operowych* (Źródło: www.bezporownania.polonistyka.uj.edu.pl).

Inne pozycje, które były dla mnie niezmiernie ważne przy tworzeniu sagi warszawskiej, to: Jerzy Lileyko *Życie codzienne w Warszawie za Wazów*, PIW, Jan Stanisław Bystron *Dzieje obyczajów w dawnej Polsce. Wiek XVI-XVIII*, PIW, Aleksander Łupienko *Kamienice czynszowe Warszawy. 1864–1914*, Instytut Historii PAN, Błażej Brzostek *Paryże innej Europy. Warszawa i Bukareszt, XIX i XX wiek*, W.A.B., Stanisław Milewski *Ciemne sprawy dawnych warszawiaków*, PIW, Stanisław Milewski *Szemrane towarzystwo niegdysiejszej Warszawy*, Iskry, Jerzy S. Majewski *Warszawa nieodbudowana. Metropolia Belle Époque*, wyd. Veda, oraz Artur Międzyrzecki *Warszawa Prusa i Gieryskiego*, Arkady.

Wiedzę na temat strojów noszonych przez mieszczan w danej epoce czerpałam z kilkunastu pozycji, jednak pozwolę sobie przede wszystkim wskazać te napisane przez polskich autorów. Były to między innymi: Anna Sieradzka *Tysiąc lat ubiorów w Polsce*, wyd. Arkady, Joanna Dobkowska i Joanna Wasilewska *W cieniu koronkowej parasolki*, wyd. Arkady, Magdalena Bartkiewicz *Polski ubiór do 1864 roku*, Ossolineum, oraz Maria Gutkowska-Rychlewska *Historia ubiorów*, Ossolineum.

Wielką inspiracją przy pisaniu książki były opowieści snute z wielką pasją przez Bożenę Fabiani – mam na myśli zarówno cykl *Gawędy o sztuce*, jak i książkę *W kręgu Wazów. Ludzie i obyczaje*, wyd. PWN.

Wyrazy uznania kieruję do dyrekcji i pracowników Muzeum Pałacu Jana III

w Wilanowie. Placówka ta poprzez liczne imprezy, odczyty, konferencje oraz zamieszczanie cyfrowych zbiorów i treści na stronie www.wilanow-palac.pl we wspólny sposób upowszechnia wiedzę na temat historii XVII-wiecznej Rzeczypospolitej.

Pisząc niniejszą powieść, chciałam wyrazić swój podziw dla wielkiego kronikarza i mistrza opowieści o Warszawie II połowy XIX wieku Bolesława Prusa. Jego *Kroniki Warszawskie*, opowiadania, nowele oraz powieści – w tym moja ukochana powieść warszawska *Lalka* oraz także *Emancypantki* – stanowią niewyczerpane źródło wiedzy i inspiracji.

Pragnę podziękować też Jarosławowi Zielińskiemu za jego liczne publikacje o tematyce warszawianistycznej, inspirujące opowieści o historii Warszawy, a także liczne sugestie, jakie mi przekazał odnośnie do konkretnych pozycji książkowych, które pozwoliły mi zbudować obraz miasta.

Dziękuję gorąco dwóm paniom, które z takim entuzjazmem podeszły do mojej propozycji sagi o Warszawie – Anicie Musioł oraz redaktorce prowadzącej Agnieszce Trzeszkowskiej.

Agnieszko, szczególne podziękowania za zaangażowanie w ten projekt.

Dziękuję też moim serdecznym przyjaciółkom: Krystynie Bociong, Joannie Polachowskiej, Magdalenie Świętochowskiej, Brygidzie Helbig i Małgorzacie Libich-Radziwonce za wsparcie i życzliwość.

Szczególne podziękowania należą się mężowi i dzieciom, którzy z takim zapałem wspierają mnie w pracy nad sagą o Warszawie, przemierzają ze mną miasto, odwiedzają muzea, a także wysłuchują niezliczonych opowieści, które zawsze zaczynają się podobnie: „A czy wiecie, że w XVII wieku w Warszawie...”.

I poł. XVII w.

ŻMIJEWSCY

SZPAKOWSCY

Kazimierz Żmij

Joachim Żmijewski

Laurenty Żmij

Janusz Szpak

(1) ANNA Melcerówna

Juliana

Anna

Piotr

(1) ANNA Szpakowa

(2) KALINA Melcerówna

TOMASZ SZPAKOWSKI

(1) JAGUSIA

(2) EUFROZYNA

ALOJZY SZPAKOWSKI

FRANCISZEK ŻMIJEWSKI

(1) ANNA BEATA

Lucjan

Marcjanna

FABRIZIO

(1) Wacław Kurek

(2) Kacper Janowski

FABRIZIO

II poł. XIX w.

ŻMIJEWSCY

Ludwik Żmijewski
Kornelia

JEREMI
Regina Flora

Krystian

Konstanty Agnieszka Waleria Emilia Eleonora

Klara

Ewelina Eugenia Elżbieta

SZPAKOWSCY

Maurycy Szpakowski
Adelajda

EDWARD
(1) Zuzanna
(2) Eugenia
(3) Katerina

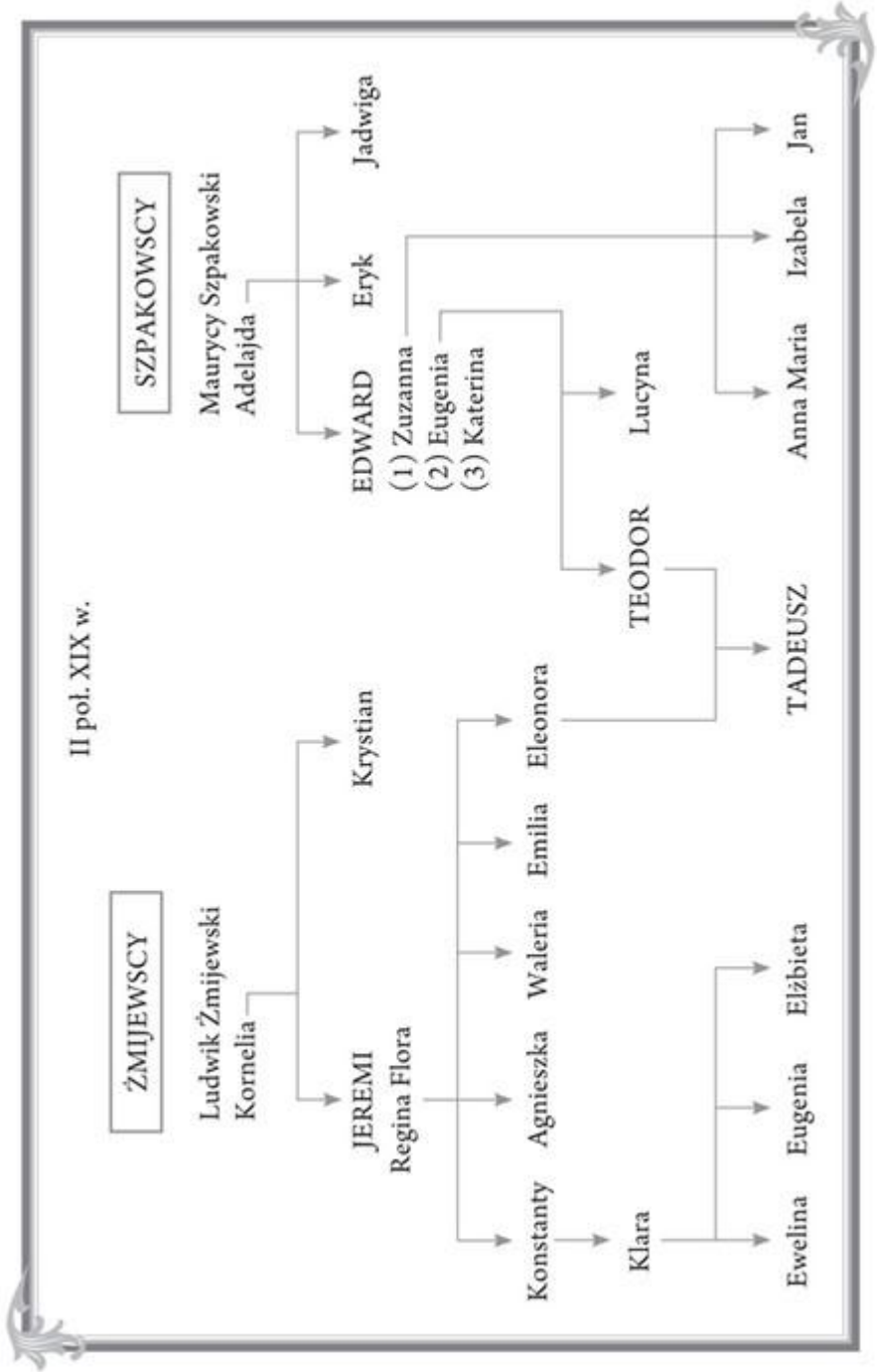
Jadwiga

Eryk

TEODOR
Lucyna

Anna Maria Izabela Jan

TADEUSZ

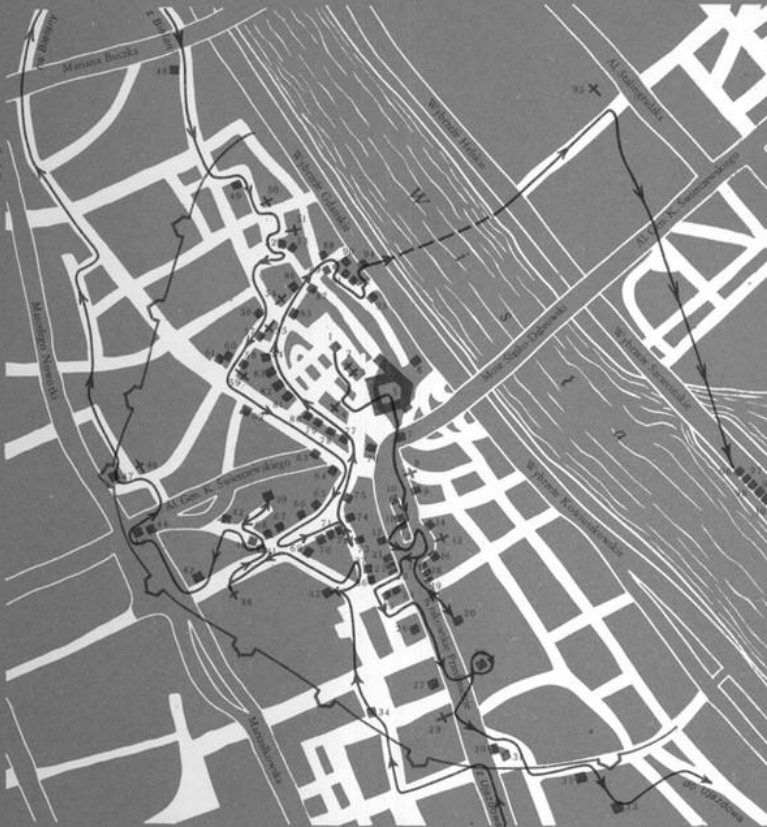


Szlak wędrówki Jarzębskiego po Warszawie



kierunek trasy Jarzębskiego
 Wąły Zygmuntowski i uliska architektoniczne

- 1 Ratusz Starego Miasta
- 2 Kościół Jezuistów
- 3 Katedra św. Jana
- 4 Kościół i klasztor Augustynów
- 5 Zamek Królewski
- 6 Pałac Karola Ferdynanda Wazy
- 7 Kościół św. Klary i klasztor Bernardynek
- 8 Kościół św. Anny i klasztor Bernardynek
- 9 Pałac Adama Kazimierza
- 10 Dwór Józefa Goszczyńskiego
- 11 Dwór Leśmiewskich
- 12 Dworek Łaska Leszka
- 13 Dwór Wincentego Gajewskiego
- 14 Dwór polonisty warszawskiego
- 15 Kościół i klasztor Karmelitów Bosych
- 16 Pałac Stanisława Koniecpolskiego
- 17 Dwór Bagrowskich
- 18 Dwór Franciszka Gottschalka
- 19 Dwór Józefa Czarnieckiego
- 20 Dwór Hieronima Radziwiłłowskiego
- 21 Dwór Jakuba Sobieskiego
- 22 Dwór Łasockich
- 23 Dwór Karola Dąbrowskiego
- 24 Dwór Jana Oborskiego
- 25 Dwór Zofii Chłapowskiej
- 26 Zappa Solna
- 27 Dwór Aleksandra Ludwika Radziwiłła
- 28 Pałac Karłowicki (Kamienizowski)
- 29 Kościół św. Krzyża
- 30 Kaplica Muskiewicza
- 31 Dwór ks. Petrykowskiego
- 32 Dwór Władysława Dominika Zaslawskiego - Ostrogskiego
- 33 Dwór Omulickiego
- 34 Dwór Starostki
- 35 Pałac Jerzego Ossolińskiego
- 36 Dwór Teofila Grybowski
- 37 Dwór Marka Szczyńskiego
- 38 Kościół Reformatorów
- 39 Pałac Daniłowiczów
- 40 Dwór Władysława Dominika Zaslawskiego - Ostrogskiego
- 41 Dwór Mikołaja Szyrkowskiego
- 42 Dwór Szalapskich
- 43 Dwór Adama Kazimierza
- 44 Dwór Zygmunta Goszczyńskiego
- 45 Dwór Bogusława Leszczyńskiego
- 46 Kościół św. Trójcy i klasztor Bregidki
- 47 Armał Kościelna
- 48 Dwór Hieronima Wollwina
- 49 Dwór Mikołaja Sapieży



- 50 Kościół Panny Marii
- 51 Kościół św. Benona
- 52 Dwór Łukasza Opalińskiego
- 53 Dwór Wojciecha Radziwiłłowskiego
- 54 Kościół i klasztor Dominikanów
- 55 Kościół św. Ducha i klasztor Paulinów
- 56 Zajazd „Giełda”
- 57 Dwór Janusza Radziwiłła
- 58 Dwór Ręcajskich
- 59 Kościół i klasztor Pijarów
- 60 Dwór Andrzeja Matuszaka
- 61 Dwór Stanisława Witkowskiego
- 62 Dwór Krzysztofa Gembickiego
- 63 Dwór Firlejów
- 64 Pałac Biskupów Krakowskich
- 65 Dwór Mikołaja Ostrogi
- 66 Dwór Józefa Mokrowskiego
- 67 Dwór Władysława Witkowskiego
- 68 Dwór Sebastiana Wołoskiego
- 69 Dwór Jana Zamoyńskiego
- 70 Dwór Pawła Działyńskiego
- 71 Dwór Filipa Lipińskiego
- 72 Dwór Stanisława Warzyńskiego
- 73 Dwór Pawła Piaseckiego
- 74 Dwór Stanisława Zaręby
- 75 Pałac Arcybiskupów Giełmińskich (Prymasowski)
- 76 Dwór Jana Grybowski
- 77 Dwór Kazimierza Leona Sapieży
- 78 Dwór Piotra Szyrkowskiego
- 79 Dwór Stanisława Lubomirskiego
- 80 Dwór Piosentary Komonnych (Kantlery)
- 81 Dwór Albrechta Stanisława Radziwiłła
- 82 Dwór Paryżów
- 83 Dwór Jana Karola Nuskowskiego
- 84 Dwór Gładyszów
- 85 Łazienka Mlejska
- 86 Dwór Piotra Zabickiego
- 87 Szpital św. Łazarza
- 88 Brama Mostowa
- 89 Dwór Żerka
- 90 Dwór Jana Leśmiewskiego
- 91
- 92 Spichlerz
- 93
- 94 Prysztań
- 95 Kaplica Łowczańska
- 96
- 97
- 98 Spichlerz Skaryszewski
- 99
- 100



- | | | |
|-----------------------------------|--|---------------------------------------|
| 1. Rynek Starego Miasta | 10. Synagoga Nożyków
(jedyna, która przetrwała) | 16. Poczta Główna |
| 2. Rynek Nowego Miasta | 11. Hotel Europejski | 17. Filharmonia |
| 3. Katedra św. Jana | 12. Hôtel Bristol | 18. Prudential |
| 4. Zamek | 13. „Największe bajero w «mitel-
europie»” (Plac Saski
po rozebraniu soboru) | 19. Pałac Staszica i pomnik Kopernika |
| 5. Most Kierbedzia | 14. Uniwersytet | 20. Bracia Pakulscy - delikatesy |
| 6. Kościół św. Michała i Floriana | 15. Cukiernia Ziemiańska | 21. Elektrownia |
| 7. Kolumna Zygmunta | | 22. Muzeum Narodowe |
| 8. Teatr Wielki | | 23. Hotel Polonia |
| 9. Wielka Synagoga (reformowana) | | 24. Cytadela |

Spis ilustracji

Erik J. Dahlbergh, ryt. Nicolas Perelle, *Panorama Warszawy* (fragment), miedzioryt, wg Pufendorfa, rs. 1656, rycina Nicolasa Perelle'a, fot. Biblioteka Narodowa

Abraham Boot, *Panorama Warszawy*, 1627, rysunek piórem, Wojewódzkie Archiwum Państwowe (WAP), Gdańsk, Neg. Muzeum Historyczne m.st. Warszawy (sygnatura APG: 1016/58 s. 45)

Edward Dwurnik, *Zamek Królewski*, 2009

Woman at her Toilet, Jan Havicksz. Steen, 1655–1660, oil on panel, fot. Rijksmuseum Amsterdam

Spacer w Ogrodzie Saskim, ok. 1888; fot. z albumu rodzinnego St. Witkiewicza; fot. Konrad Brandel/Muzeum Narodowe w Warszawie

Łukasz Drewno Burmistrz powietrzny m. Starej Warszawy w roku 1624 oddaje miasto pod opiekę N.M.P. i Sgo Benona. Pod ilustracją figuruje też podpis: „Według ówczesnego malow: przez tegoż Luk: Drewno. Litogr. B. Podczaszyń: 20 VII 52”; ilustracja przedstawiająca Łukasza Drewno, „Biblioteka Warszawska: pismo poświęcone naukom, sztukom i przemysłowi”, t. 3, Warszawa, 1852, nr inw. BCz-sygn-587-II Czas. fot. Jarosław Cyganik, Pracownia Fotograficzna Muzeum Narodowego w Krakowie

Plac Krasińskich i kościół popijarski, ok. 1885; Konrad Brandel. Widok z placu Krasińskich na kościół popijarski oraz wylot ulicy Długiej, ok. 1885. Muzeum Narodowe w Warszawie

Władysław IV, sztych P. Pontiusa wg portretu P.P. Rubensa z 1624 r.; © Władysław IV Waza (1595–1648), 1624 (engraving), Pontius, Paulus (1603–58)/Muzeum Książąt Czartoryskich/Bridgeman Images/PhotoPower

Kolumna Zygmunta III. Sztych W. Hondiusa z 1646 dedykowany królowej Ludwice Marii, wg rysunku A. Locciego, fot. Muzeum Narodowe w Warszawie, cyfrowe.mnw.art.pl

Julian Fałat *Warszawianka*, „Tygodnik Ilustrowany”, 1891

Szlak wędrówki Jarzębskiego po Warszawie. A. Jarzębski, *Gościniec albo krótkie opisanie Warszawy*, PWN, Warszawa 1974

Plan Warszawy

Grupa Wydawnicza Foksal informuje, że dołożyła należytej staranności w rozumieniu art. 355 par. 2 kodeksu cywilnego w celu odnalezienia aktualnego dysponenta autorskich praw majątkowych do ostatniej ilustracji.

Z uwagi na to, że przed publikacją niniejszej książki poszukiwania te nie przyniosły rezultatu, Grupa Wydawnicza Foksal zobowiązuje się do wypłacenia stosownego wynagrodzenia z tytułu wykorzystania ilustracji aktualnemu dysponentowi autorskich praw majątkowych, niezwłocznie po jego zgłoszeniu się

do Grupy Wydawniczej Foksal.

- ¹ Dzisiaj ulica Świętojańska na Starym Mieście.
- ² Gieźło – rodzaj koszulki wkładanej pod wierzchnie okrycie.
- ³ Łac. „Twe usta są pełne łaski”.
- ⁴ Kołpak – staropolskie nakrycie głowy o kształcie stożkowym bądź półkolistym, obszyte najczęściej futrem.
- ⁵ Franc. „Trzeba uprawiać nasz ogródek”.
- ⁶ W rzeczywistości nazwa miasta wywodzi się od wsi Warszowa – własności rycerza Warsza Rawity.
- ⁷ Austriacka.
- ⁸ Bezoar – kamień jelitowy powstający w żołądku zwierzęcia z niestrawionych substancji, o silnym zapachu przypominającym piżmo. Od średniowiecza uważany za talizman o właściwościach leczniczych i magicznych.
- ⁹ Dzisiaj ulica Freta łącząca Stare i Nowe Miasto.
- ¹⁰ Prostytutka.
- ¹¹ Kaduki – masa spadkowa po zmarłym, który nie pozostawił spadkobierców, stanowiła własność króla, który nadawał ją poddanym wedle uznania.
- ¹² Alikant – wino hiszpańskie.
- ¹³ Cenione przez mieszkańców Warszawy słodkie wino greckie.
- ¹⁴ Podwika – biała, sztywna chusta, zakrywająca włosy i szyję.
- ¹⁵ Fortugał – stelaż stosowany w kobiecych ubiorach, poszerzający biodra i nadający spódnicy wierzchniej formę stożka.
- ¹⁶ Kazjak – rodzaj podbitej futrem kurtki.
- ¹⁷ Ferezja – męskie okrycie wierzchnie wzorowane na ubiorach tureckich.
- ¹⁸ Kara śmierci.
- ¹⁹ Obecnie plac Powstańców Warszawy.
- ²⁰ Dzisiaj plac Dąbrowskiego.
- ²¹ Pludry – popularne w I poł. XVII wieku męskie spodnie o niezwykle szerokich nogawkach, sięgające przed kolano.
- ²² Rodzaj łodzi.
- ²³ Czamara – damskie okrycie wierzchnie, rodzaj pelerynki.
- ²⁴ Kościół i klasztor bernardynek istniał do 1843 r.
- ²⁵ Obecnie część Krakowskiego Przedmieścia.
- ²⁶ Bramka – noszona przez niewiasty sztywna, szeroka opaska na włosach, zdobiona najczęściej perłami.
- ²⁷ Teren Zamku Ujazdowskiego w Warszawie.
- ²⁸ Obecnie ulica Rybaki.
- ²⁹ Stężony kwas siarkowy, trucizna pod postacią oleistej cieczy, popularna wśród samobójczyń.
- ³⁰ Zakład Opieki Najświętszej Marii Panny – zakład pomocy dla prostytutek

i kobiet z marginesu, założony przez Ewę Potocką w I poł. XIX w.

³¹ Z franc. spacerowicz.

³² Cyrkuł – komisariat policji, areszt na terenie Królestwa Polskiego.

³³ Obecnie ulica Belwederska.

³⁴ Wiriginał – mały instrument muzyczny, rodzaj klawesynu o jednej strunie zamiast dwóch. Do gry kładziono go na stole, biurku czy toaletce, przeznaczony był dla panien – stąd nazwa; popularny w XVI–XVII w.

³⁵ Dziewczyna z czerwonymi włosami (wł.).

³⁶ Muchajer – popularna wśród mieszczan tkanina z lekkiej wełny.

³⁷ Nie będzie bardziej gorzki ból śmierci.

³⁸ Kaftan.

³⁹ Szlachecki ceremoniał pogrzebowy.

⁴⁰ Staropolskie określenie sutków.

⁴¹ Łac. Życie krótkie jest, sztuka długotrwała.

⁴² Łac. łożę boleści.

⁴³ Motyw dekoracyjny popularny w baroku – rzeźba przedstawiająca nagiego chłopca (amorka) z atrybutami męstwa.

⁴⁴ Kiła.

⁴⁵ Kamienie nerkowe.

⁴⁶ Pałac zlokalizowany przy dzisiejszym placu Piłsudskiego. Od XVIII w. przebudowany jako Pałac Brühla, zburzony w 1944 r., nieodbudowany.

⁴⁷ Pałac Kazanowskich zlokalizowany był przy Krakowskim Przedmieściu (pod numerem 62), dzisiaj pozostałości częściowo rozebranego pod koniec XVII w. budynku należą do Towarzystwa Dobroczynności Caritas A.W.

⁴⁸ Ług – środek czyszczący, przygotowywany z popiołu.

⁴⁹ Wielce Mój Miłościwy Pan.

⁵⁰ Adam Jarzębski, Budowniczy Ujazdowski.

